

ROBERT STONE

"NA POWITANIE DNIA"

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ojciec Egan zostawił pisanie, wstał z krzesła i odrobinę chwiejnym krokiem podszedł do butelki Flor de Cana, którą zostawił w drugiej części pokoju, z dala od biurka. Gabinet, w którym pracował, oświetlała lampa naftowa. Aby zaoszczędzić ropę, ojciec Egan wyłączył agregat, który zasilął misję. Przez otwarte okiennice wpadał podmuch morskiego powietrza, w po-koju było chłodno i przyjemnie. W Chicken Shack, budzie należącej do Freddy'ego, odbywało się wesele, goście śpiewali razem z piosenkarzami z radia Puerto Alvarado, sztuccami wystukując rytm reggae na zastawie. Egan popijał rum. Przymknąwszy oczy widział Beguinage w Bru-gii, wielkie, rzeźbione sklepienie, witraże przedstawiające świętą Urszulę z towarzyszkami, królewską purpurę i złocenia kolumn. Ostatni raz oglądał je naprawdę wiele, wiele lat temu. Lampa naftowa oświetlała krucyfiks, stojący na biurku za stertami książek i rachunków, które wały się wokół maszyny do pisania. Egan wychylił jeszcze jeden łyk i zapatrzył się na cień rzucany przez krzyż. Jego miejsce pracy natrętnie przypominało mu, że oto zajmuje się jakimś heretykiem z okresu Odrodzenia, człowiekiem którego współcześni potępili, ale który przetrwał dzięki wierze w Boga i ducha obecnego w ludziach. Książka, nad którą pracował ojciec Egan, nie otrzyma im-primatur, ukaże się może w jakimś świeckim wydawnictwie. A kiedy wyjdzie, ojcu Eganowi zostanie nakazane milczenie. Odmówi, odwołując się do Rzymu, choćby po to, by zyskać większy rozgłos. Kiedy z Rzymu napłynie grzmiące potępienie,

Egan przejdzie do Kościoła Duchowego, do tłumów spragnionych pociechy w okrutnie ginącym świecie. Właśnie praca nad książką doprowadziła do nieumiarkowania w pićiu u ojca Egana. Przez ponad trzydzieści lat służby jako zakonnik Devotionist zachowywał w tym względie umiar, ale pisanie go wykańczało, a dobrowolne wygnanie na tę misję, odciętą od wszelkich ośrodków kulturalnych dodatkowo pogarszało sytuację. Sześciokrotnie przeredagował swoją książkę i doszedł do punktu, kiedy bez pomocy alkoholu nie potrafił stawić czoła swej pracy. Mimo to, jak się przekonał, życie bez pracy było w ogóle nie do zniesienia. Jeśli zaś chodzi o wiarę - przechodził okres napięcia, a mrok jego duszy stał się tak głęboki, że ksiądz nie znajdował w sobie siły, by go dalej znosić. A jeśli to oznaczało obumieranie wiary, pozostawało mu tylko ufać, że jego wiara wraca do nasienia, by wzrastać, przemienić się, wysuszyć i zahartować w promieniach tropikalnego słońca, a wreszcie powstać niczym tecaneński feniks z pascalskiego ognia.

Odsunął myśl o trzecim tyku i właśnie wracał do biurka, kiedy z plaży, rozciągającej się pod zabudowaniami misji, dobiegł warkot silnika jeepa. Ojciec Egan zatrzymał się, nasłuchując. Samochód się zbliżał. Egan usłyszał pisk hamulców, silnik ucichł. Po chwili na schodach prowadzących z plaży do werandy rozległ się odgłos męskich kroków.

- Kurważ mać - odezwał się na głos ojciec Egan.

Szybko schował butelkę Flor de Cana pod prysznic, zaciągnął zasłonę, która oddzielała łazienkę od pokoju, i wsunąwszy do ust miętówkę wyszedł na werandę.

Była pełnia księżycy, poniżej czernił się ocean. Czubki rafy koralowej i pienne fale przybrzeżne tonęły w srebrnej poświacie, odnosiło się wrażenie, jakby każde ziarnko piasku na plaży połyskiwało. W oknie przychodni, za bambusową zasłoną pokoju siostry Justin Feeney, płonęła lampa naftowa. Samochód zaparkował u stóp schodów, ku głównemu budynkowi wspinał się mężczyzna. Nucił melodię dobiegającą z lokalu Freddy'ego. Szedł bardzo wolno, stając oboma stopami na każdym stopniu i szurając nimi w rytmie reggae. Na górze uniósł obie ręce nad głowę, potrząsnął nimi, udając ekstazę, wreszcie poczłapał na werandę. Ojciec Egan stał w mroku rozjaśnianym tylko przez blask

księżycu. Na widok księdza mężczyzna cofnął się zdumiony. Gość miał na sobie białą koszulę guayabera i ciemne spodnie. Na udzie dyndała mu kabura zwisająca z parcianego wojskowego pasa, zapiętego niestarannie na luźnej koszuli. Włosy miał gładko zaczesane. Nie pochodził z wybrzeża, ale z głębi kraju, w jego żyłach płynęła hiszpańska i amerykańska krew. Egan rozpoznał porucznika Camposa, żołnierza Guardia Nacional, wyjątkowo nie w mundurze i kompletnie pijanego, i z przerażeniem wciągnął powietrze. - Święty ojciec - odezwał się porucznik Campos.

Przeżegnał się i ucałował palce, jakby Egan był jakimś obiektem czci.

- Pobłogosław mnie, ojciec - podjął po hiszpańsku. - Pobłogosław mnie, bo zgrzeszyłem.

Z ust Egana padła stała, choć podana bez szczególnego entuzjazmu, kwestia:

- Dobry wieczór, poruczniku, drogi przyjacielu. Czy możemy panu w czymś pomóc?

- Tak - stwierdził porucznik Campos. - A teraz musi ojciec ze mną pojechać.

Ojciec Egan mimowolnie się wzdygnął. Słowa policjanta go zmroziły. Campos wpatrywał się w oświetlone okno siostry Justin Feeney. Mężczyźni stali w bladej poświacie księżycu, obaj lekko się chwiali - skutek picia alkoholu. W Chicken Shack Freddy'ego nieustannie dudniła muzyka.

- A gdzie zakonnica? - spytał porucznik z niesmakiem. - Ta poważna?

- Przypuszczam, że śpi - odparł pogodnie ojciec Egan.

Boże, zmiłuj się nad nami - pomyślał. - Aresztuje nas. - Nie, nie - powiedział Campos. - Widzi ojciec? Światło się u niej pali. Czuwa. I ciekawe, co sobie myśli?

Podniósł głos, przekrzykując hałas muzyki, ale z pomieszczenia siostry Justin Feeney nie dobiegł żaden odgłos, żadnej reakcji. Campos zgarbił się ze smutkiem i ponownie całą uwagę skupił na duchownym.

- Proszę ze mną - oświadczył tonem policjanta na służbie.

- Jedziemy.

- Już tak późno - bronił się ksiądz. - Czy naprawdę musimy jechać teraz?

Widział jak szalone, inteligentne oczy żarzą się w blasku księżycu. Campos położył mu dłoń na

ramieniu.

- Ruszamy.
- Panie poruczniku - zwrócił się do policjanta Egan. - Proszę.

Jedną chwileczkę.

Wszedł do środka po stulę i brewiarz, w razie gdyby okazały się potrzebne.

Bez słowa zeszli w dół, na plażę. Campos stanął obok drzwiczek samochodu i otworzył je przed księdzem.

Droga, o ile można ją było określić tym mianem, wiodła przez plażę, po ubitym piasku. Co pewien czas jeep wpadał w kałużę z morską wodą, rozchlapując ją dokoła. Egan siedział ze stulą w zębach, między kolanami ścisnął brewiarz, dłońmi trzymał się mocno uchwyty. Porucznik jechał tak szybko, jak na to pozwalał samochód, od czasu do czasu mruczał pod nosem coś, czego ksiądz nie rozumiał. Nie hamował, żeby ominąć zwierzęta. Jeśli jakaś krowa - nie-ruchawa, wpatrzona w światła wozu - zbyt wolno zabierała z drogi swój ciężki zad, porucznik bez wahania wjeżdżał na ryczące zwierzę, wrzucał wsteczny i znowu szarżował do przodu. Po jakichś dwudziestu minutach dotarli na półwysep, gdzie znajdowało się mieszkanie porucznika. W kraju gdzie wszyscy byli wylewni i towarzyscy, on mieszkał samotnie, bez rodziny i służby. Wzdłuż zjazdu wiodącego na jego teren ciągnęło się ogrodzenie, na bramie wisiła kłódka. Campos nie wyłączył silnika, kiedy wyszedł ją otworzyć. A gdy już wjechali, znowu wysiadł i zamknął ją na klucz.

Oddychając głęboko ojciec Egan ruszył za Camposem, poczekał, aż ten otworzy drzwi wejściowe. Porucznik miał o wiele więcej zamków niż przeciętny mieszkaniec wybrzeża.

Egan wszedł pierwszy; obecność Camposa, który wszedł za nim do ciemnego pomieszczenia, napawała go przerażeniem. Porucznik miał elektryczność, w mieszkaniu panował nieskazitelny porządek. Na jednej ścianie wisił portret prezydenta republiki: prezydent jako apoteoza swego państwa. Autor zabarwił policzki różową kredką, mundur pociągnął pastelami, spuścił zasłonę na charakterystyczne uszy. Całość mieniła się narodowymi barwami Tecanu. Obok wisiła oprawiona

licencja porucznika, poza tym grupowe zdjęcie młodszego - podówczas może i mniej szalonego - porucznika Camposa ze swoimi kumplami ze szkoły policyjnej.

Pod rym stały dwie biblioteczki. Na jednej znajdowały się oprawione dzienniki i książki prawnicze; na drugiej upchnięto amerykańskie czasopisma detektywistyczne. True, Startling, ła-skie, Master oraz Underground Detectwe - Egan miał wrażenie, że porucznik zebrał ich tu tysiąc. Na drugiej ścianie wisiał portret Johna Kennedy'ego, pod nim stało coś, co wyglądało na zamrażarkę, a obok znajdowało się jedyne oszklone okno między Puerto Morazon a granicą, za którym rozciągał się widok na zalany poświatą księżycy ocean. Z pomieszczenia obok dobiegały szumy i głosy z włączonego odbiornika Guardia Hallstadt. Od czasu do czasu odzywał się ktoś ze środkowoamerykańskim akcentem.

- ...aż w Belize, wiesz?

- ...No, sam wiesz... to brytyjski port... Będzie ciężko... Egan obrócił się w stronę gospodarza i zobaczył, że porucznik wyjął skądś butelkę Flor de Caña i podaje mu drinka. Przyjął go z wdzięcznością, ale rum nie zdał się na wiele. Campos usiadł w wiklinowym fotelu obok nadajnika i łamaną angielszczyzną spytał, czy gość życzy sobie dolewkę.

- Tak - odparł ojciec Egan zawstydzony.

Campos powoli nalał płynu do szklanki i kiedy stawiał ją przed Eganem, ten miał wrażenie, jakby policjant miał ochotę wyrwać mu ją z ręki, żeby zobaczyć, jak zareaguje. 1 w chwili, gdy wyobrażał sobie okropny uśmiech, który mógłby się pojawić na twarzy Camposa, gdyby rzeczywiście tak zrobił - ów uśmiech zagościł na twarzy gospodarza. Egan wychylił rum. - Jesteś... - zwrócił się do niego porucznik. - Jesteś pedałem? Maricon? Egan w jednej chwili wytrzeźwiał. Z wściekłością mierzył wzrokiem porucznika. Od dziesięciu lat mieszkał w tym kraju i nigdy, nigdy nikt - nawet pijany baptysta - nie ważył się tak go nazwać. A jednak to straszne słowo przypomniało mu rozpaczliwą, przeklętą noc. Był w mieście, w Morazon, i zalał się okropnie. Coś się stało w barze w hotelu Gran Atlantico; pamiętał światła baru i latarnie przed hotelem - chłopak w kasku motocyklisty, wyglądał na

Europejczyka, długie, tłuste włosy opadały mu na ramiona, i inny chłopiec, który krzyczał za nim gniewnie:

- Maricon! Eres maricon!

Czy to było wspomnienie? Czy coś takiego się wydarzyło? Egan sam nie wiedział.

- Panie poruczniku, dlaczego pan tak się do mnie zwraca?

- spytał pokornie.

- Wiem, co wiem. Wiem, że jesteś dobry. W porządku. Chcę się przed tobą wyświadczyć.

Ojciec Egan próbował odzyskać jasność myślenia.

- Ależ poruczniku... Czy to właściwa pora? Przecież pan ma w czubie. - Udało mu się zachichotać ze zrozumieniem. - Sądzę, że powinien pan nieco wytrzeźwieć.

Porucznik uniósł rękę leniwym gestem, który wskazywał na bezsens dalszej rozmowy.

- Nie - stwierdził. - Chcę się wyświadczyć. To będzie pod przysięgą.

- Nie mogę... - zaczął ojciec Egan.

Zamierzał powiedzieć porucznikowi, że pijanemu nie może udzielić rozgrzeszenia. Istniałyby wątpliwości co do żalu za grzechy i postanowienia poprawy. Napił się jeszcze.

Porucznik Campos wstał. Wpatrywał się w Egana z przerażającą intensywnością. Podeszedł do czerwonej zamrażarki przy oknie i uchylił klapę. Lekkim ruchem brody nakazał ojcu Eganowi, żeby się zbliżył. Ksiądz przysunął się powoli, nie spuszczać wzroku z twarzy Camposa. Porucznik zajrzał do otwartej zamrażarki. Na jego twarzy pojawił się wyraz spokojnego smutku. Ojciec Egan lęklonie popatrzył za wzrokiem porucznika i zobaczył w zamrażarce nie oskubanego indyka i mnóstwo butelek z piwem Germania. Pod nimi było widać zieloną szmatę. Zdziwiony obrócił się do Camposa, ale porucznik zamknął oczy i przygryzał wargę, jakby chciał zapanować nad uczuciami. Egan włożył rękę do środka i przesunął parę butelek zmrożonego piwa, a wtedy kątem oka dostrzegł kanadyjską flagę z liściem klonu. Ojciec Egan pochodził z Windsoru w Ontario i przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy aby w pijanym mózgu porucznika Camposa nie zrodził się pomysł jakiegoś

uczczenia, naiwnego synowskiego gestu szacunku, który pewnego dnia mógłby się stać tematem miłej anegdotki. Zerknął na porucznika, ale wyraz twarzy gospodarza wystarczył, by wszelkie niewinne domysły uznać za zupełnie nieuzasadnione.

Przypatrzył się zawartości zamrażarki, bezkształtnym kostkom lodu, olbrzymiemu indykowi, butelkom piwa z odklejającymi się nalepkami i wreszcie zobaczył - w rogu, częściowo zasłoniętą przez lód - ludzką stopę. Przyjrawszy się uważniej, dostrzegł, że stanowi ona zakończenie łydki, na której widać drobną, poczer-niałą ranę. Widać było zewnętrzną część stopy, stwardniałą skórę wrzynającą się w południowoamerykański sandał. Rzemień rozdzielał podbicie, na którym rysowała się ciemna siatka żył. Między dwoma palcami tkwił malutki, jaskrawoczerwony, baweł-niany pomponik. Ojciec Egan wpatrywał się w stopę i widział jedynie jej cudowną symetrię, doskonałość, z jaką ją stworzono, niezgłębione mechanizmy, które poruszały pięcioma długimi palcami. Zauważył też, że wierzch stopy był opalony. Wtedy ugięły się pod nim kolana. Wyciągnął rękę, żeby nie upaść, palcami rozgarnął kostki lodu, spod których wyłoniły się wilgotne, jasne włosy, opalone czoło. Potem, niżej, piegowaty nos i oko - niebieskie ze srebrzystą tęczę - którego białka pociemniały, oko tak tępe, tak martwe, bezwzględna śmiercią zwierzęcia, że dla Egana ten widok stał się duchowym wstrząsem. Chwiejnym krokiem cofnął się od zamrażarki.

- O, Boże - powiedział.

Dowlóknął się do ściany i oparł się o nią pod portretem prezydenta.

Drżał z obrzydzenia i strachu.

Na twarzy porucznika zagościł smutny uśmiech. Obrócił się do Egana i uśmiech stał się tak szeroki, że na policzkach pojawiły się głębokie bruzdy. Patrząc na niego Egan miał wrażenie, że znalazł się w towarzystwie człowieka, który - choć bez wątplenia szalony - doskonale go rozumie.

- Ojcie - odezwał się porucznik - czyni swą powinność. Musisz być opanowany i odważny. Musisz mieć miłosierdzie. - Przynął się bliżej do kapłana. - Mocą przykazań Chrystusa. Ojciec Egan zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, czym jest moc Chrystusa. Wydawało mu się, że Chrystus nie ma

więcej mocy niż on, a przecież on, Egan, z trudem trzymał się na nogach. Ogarnęła go panika niczym nagła fala gorączki i walczył o zachowanie rozsądku. - Co się stało? - usłyszał swoje pytanie. Porucznik Campos wznosił oczy ku niebu, tam kierując pytanie. Egan zmusił się, by podejść do zamrażarki. Z delikatnością, która, jak sobie uświadomił, stanowi wyuczony element jego kapłaństwa, odsunął z ciała kostki lodu i butelki z piwem. To była młoda dziewczyna, blondynka, w szortach khaki i bluzie z przyszytą na plecach flagą kanadyjską. Dźgnięta nożem w klatkę piersiową. Żał złagodził obrzydzenie Egana. Jego zdaniem dziewczyna nie żyła już od długiego czasu. Zginęła daleko od jezior - myślał, usiłując zapanować nad drżeniem - modrzewi, wiązowych alei. - Jak zginęła, poruczniku?

- Powiem ojcu - odparł porucznik. - Dowie się ojciec, jak.

Nalał sobie jeszcze rumu i wyciągnął butelkę w stronę Egana.

- Nie, dziękuję - odmówił ksiądz.

Jego wzrok spoczął na stule i brewiarzu, które zostawił na biblioteczce, automatycznie wziął je i usiadł w bujanym fotelu, opierając czoło na dłoni.

- Km była?

- Jakąś hipiską - oświadczył uroczyście porucznik Campos.

- Ćpunką. Dziwką.

Ty draniu - pomyślał ojciec Egan.

- Ale mnie chodziło o to, jak się nazywała, poruczniku. Czy nie miała przy sobie paszportu? Chyba zdaje pan sobie sprawę, że ma jakąś rodzinę?

Campos podszedł do biurka obok radia, usiadł i zaczął pisać. Skończywszy, podał Eganowi żółtą kartkę z wypisanym drukowanymi literami nazwiskiem:

JANET FOGARTY, ALBERTA.

Porucznik z trudem odczytał je głośno.

Egan bawił się frędzlami stuły. Sądząc po nazwisku, dziewczyna mogła być katoliczką.

Ale najpierw - pomyślał, znowu zerkając na Camposa - powinienem się zająć żywymi.

Założył stufę na szyję.

- No, dobrze, poruczniku. Wystucham pańskiej spowiedzi. Ku zażenowaniu księdza, porucznik Campos podszedł i uklęknął na podłodze u jego stóp. Przeżegnał się i nabożnie złożył ciężkie ręce. Egan odwrócił wzrok.

- Była hipiską - oświadczył porucznik Campos ze złożonymi dłońmi.

- Rozumiem - odparł drżącym głosem Egan.

Musiał zadać to straszliwe pytanie, które, wiedział, później będzie go kosztować życie.

- Zabiłeś ją?

- Nie! - krzyknął Campos, zupełnie zaskakując duchownego. Wstał z klęczek i zaczął krążyć po pokoju. - Łowiła ryby har-punem, rozumie ojciec? To bezprawne. Wszyscy wiedzą, że prawo tego zakazuje.

- Oczywiście - powiedział Egan.

- Niech ojciec słucha - podjął Campos, stawiając krzesło obok krzesła Egana. - Niech ojciec_ słucha.

Schowała harpun pod przystanią w Playa Tatę. Burmistrz nam powiedział. Pojechaliśmy i zobaczyliśmy ją. Miała harpun.

- Tak - przytaknęła ksiądz.

- Kazaliśmy jej wyjść z wody. Udawała, że się boi. Prowokowała nas jak jakaś dziwka.

Powiedzieliśmy: dobra, prowokujesz nas, i my cię sprowokujemy.

Egan widział tę scenę doskonale - przerażona dziewczyna w wodzie próbuje przepłynąć nad rafą ku wąskiej półce piaszczystego dna, wzdłuż plaży rząd pijanych żołnierzy ze straży przybrzeżnej z odbezpieczonymi M-16, na zwietrzalej skale stoi Campos, głośno śmiejąc się z dziewczyny.

- I utonęła?

- Umarła - uniknął bezpośredniej odpowiedzi Campos.

- Rozumiem.

- Więc przejąłem dowodzenie - oświadczył porucznik. - To był mój obowiązek. Zwolniłem ich.

Rozumie ojciec... Ubrałem ją. Te szmatki, to wszystko, co na sobie miała. Zachowałem ją do uroczystości. - Jakiej uroczystości?

Gdzież tu uroczystość - pomyślał. - Jej śmierć była podejrzana.

Campos tylko cicho się roześmiał, łzy napłynęły mu do oczu. - Kiedy to się stało? - spytał Egan, czując, że zmarnował jedno pytanie.

- Zimą.

- Bardzo źle się stało - powiedział ksiądz - że ją tak trzymałeś. Jej rodzina nie wiedziała, co się z nią dzieje, pomyśl, jak musieli się czuć. Jako policjant, a szczególnie jako kurator, powinieneś sobie zdawać sprawę ze skutków pogwałcenia obowiązków. Zobaczył ostrzeżenie, które błysnęło w oczach Camposa. - Niech ksiądz nie myśli - odparł porucznik - że łatwo mi było żyć z tym ciałem z zamrażarce. Bardzo trudno. Niech ksiądz słucha, bardzo trudno było żyć, mając ją tutaj cały czas. Egan zdał sobie sprawę, że wsłuchuje się w monotony szum agregatu Camposa.

- W takim razie czemu ją przetrzymywałeś?

Czuł, że koniecznie musi w odpowiedni sposób sformułować pytanie, tak by Campos nie uznał, że sugeruje mu słabość czy szaleństwo.

- Czy to przez samotność?

Ksiądz niepotrzebnie starał się być delikatny. Twarz Camposa stwardniała.

- A cóż ksiądz może o tym wiedzieć?

Egan tylko skinął głową.

- Kiedy stawiam pytanie, ojcie, żądam, by na nie odpowiedzia-no. Cóż ksiądz może o tym wiedzieć?

Podczas gdy ojciec Egan zastanawiał się, co może wiedzieć o samotności, Campos ruszył do niego chwiejnym krokiem. - Ty... Ty, maricon, ty nic o tym nie wiesz! Maricord Jak śmiesz mnie wypytywać!

- Poprosił mnie pan, żebym wysłuchał jego spowiedzi - łagodził Egan. - Muszę zadawać pytania.

- Spowiedź, właśnie - odparł Campos. - Tajemnica spowiedzi, rozumie ksiądz? To znaczy, że trzyma

ksiądz język za zębami. Język za zębami, zrozumiał ksiądz?

- Kościół stawia sprawę jasno - uspokoił go Egan. - To, co mi pan mówi, pozostanie wyłącznie między nami.
 - I niech ojciec sobie nie myśli, że księża czy religia mnie coś obchodzą. Gównu mnie obchodzą. Jestem mężczyzną - nie babą, albo jakimś mańcon. Ma ojciec trzymać język za zębami. - Może pan być tego pewien - oświadczył Egan. Przyszło mu na myśl, że może się pospieszył z tym zapewnieniem. - Niech ksiądz posłucha - powiedział porucznik łagodniej.
 - Sądzę, że nie powinienem jej tu trzymać. To jest złe.
 - Zgadza się.
 - Doskonale - stwierdził Campos. - W takim razie może ojciec ją zabrać.
 - Co?
 - Może ojciec ją zabrać. Zabrać.
 - Ja? Zabrać? Ależ drogi poruczniku, jak mogę...
 - To obowiązek Kościoła! - wrzasnął Campos. - Zabieranie zmarłych to obowiązek księży!
 - Cóż, a obowiązkiem policji jest... - zaczął Egan, ale porucznik nie dał mu dokończyć.
 - Nie będzie mnie ojciec pouczał o moich obowiązkach. Myśli ksiądz, że nie wiem, co się dzieje? Ta zakonnica... To wcale nie zakonnica. Uważa mnie ksiądz za głupca?
 - Nie wiem, o czym pan mówi.
- Niespodziewanie Campos się uśmiechnął.
- No, proszę księdza - powiedział lekko, dotykając rękawa duchownego, jakby byli współnikami - oddamy ją księdzu. Jest ojciec kapłanem. Weźmie ją ksiądz - bo tak się należy. Egan patrzył jak mężczyzna bierze z drugiego kąta pokoju śpiwór i wlecze go do zamrażarki.
 - Niech ksiądz podejdzie, wyjmemy ją.
 - Słuchaj, no. Wychodzę.

Wstał i wyszedł na zewnątrz. Był już w połowie zalanych poświatą księżycy schodów, kiedy porucznik

go dogonił. - Wracać - rozkazał. - Mówię jako przedstawiciel władzy.

Egan ruszył z powrotem po schodach.

- Na miłość boską - próbował przemówić Camposowi do rozu-mu - przecież pan lepiej niż ja może się pozbyć ciała. Jeśli uparł się pan, żeby sprawa nie wyszła na jaw... Nikomu bym nie powiedział.

- Nie jestem zwierzęciem - odparł Campos. - Wierzę w siły duchowe. Wierzę w życie po śmierci.

- Tak, tak, oczywiście.

- Dobrze. By moje serce zaznało spokoju - daję ją ojcu.

Podszedł do zamrażarki i wziął jeden koniec śpiwora.

- I niech ojciec nie próbuje więcej uciekać.

Ojciec Egan opadł na krzesło. Odwróciwszy wzrok słuchał, jak porucznik Campos przeklina, zmagając się z workiem w za-mrażarce.

- Doskonale - usłyszał głos porucznika - a teraz niech ojciec podejdzie i pomoże.

Obróciwszy się, zobaczył na podłodze lód i butelki piwa. Połowa śpiwora wystawała z zamrażarki, wyglądał jak krępy, brązowy wąż, który połknął owcę. Skulone ciało, którego charakterystyczny kształt wyraźnie rysował się pod materiałem, leżało na metalowej krawędzi, zawiązane końce śpiwora dyndały luźno. Egan podszedł krokiem somnambulika.

Porucznik Campos otarł pot z oczu.

- Niech ksiądz weźmie z tamtej strony.

Ale on nie mógł.

- Weź z tamtej strony! - krzyknął Campos. - Ty tchórze! Ty maricon! Egan przestał ścisnąć materiał i wsunął ręce pod ludzki kształt. Mimo grubej warstwy materiału miał wrażenie, że trzyma kloc lodu.

Wspólnie dźwignęli śpiwór i wynieśli go na dwór - po schodach, na tylne siedzenia jeepa porucznika.

Egan był tak poruszony, że bał się, czy lada chwila nie zemdleje. Poza tym odzwyczał się od ćwiczeń.

Kiedy wracali po zalanej światłem księżycą drodze wzdłuż plaży, rozpaczliwie trzymał się uchwyty.

Wiatr rozwiewał końce stuły, które łopotały w powietrzu.

- Po prostu nie wierzę, że to mi się nie śni - powiedział na głos do siebie.

Porucznik Campos usłyszał.

- W takim razie - odparł - nie powinien być ojciec zostawać księdzem.

U stóp schodów do misji wywlekli wór z siedzenia i położyli go na piasku. Z Chicken Shack

Freddy'ego nadal dobiegało dud-nienie, miękkie uderzenia pałeczek, odmierzających czas życia, nieco przycichły.

Chwiejąc się nieco na nogach, porucznik Campos położył dłoń na ramieniu Egana.

- Niech ksiądz spełni swój obowiązek - powiedział. - Tak jak każdy z nas musi.

Ojciec Egan odprowadził wzrokiem znikający samochód. Na jasnym piasku u jego stóp leżał ciemny toból.

Niedaleko schodów prowadzących do misji stała szopa z narzę-dziami, do której przytykała maleńka przystań wychodząca na ocean. Przy niej kotłowała się długa, wąska łódź wykorzystywana przez ratowników. Oglądając się przez ramię Egan wszedł na pomost. Okazało się, że łódź jest przyczepiona do swojego słupka, silnik przymocowany do rufy, śruby unosiły się ponad linią wody.

Wrócił do swego bagażu, ujął go za końce i z siłą płynącą z desperacji zaczął go ciągnąć. Szło centymetr za centymetrem - perkusja z budy Freddy'ego jakby na kpinę uderzała w rytm urywanych sapań zakonnika. Kiedy był już w połowie drogi, spojrzął w stronę budy i zobaczył dwóch zapóźnionych gości, którzy chwiejnym krokiem wynurzyli się od Freddy'ego i zmierali w stronę przystani. Szybko kucnął obok swojego makabrycznego ciężaru i wyciągnął się wzdłuż worka, czując pod sobą piasek i gnijące liście palmowe.

Mężczyźni szli w rytm muzyki, w dłoniach trzymali buty. Obaj byli ubrani w ciemne garnitury, smokingowe koszule i krawaty, idąc nucili. Kiedy mijali molo, jakieś trzydzieści metrów od miejsca, gdzie obok wypchanego śpiwora leżał ojciec Egan, jeden z mężczyzn wszedł na sosnowe deski i zaczął tańczyć. Rękę, w której trzymał buty, unióś nad głową, drugą wysunął pod właściwym kątem, nogi ugiwały mu się w kolanach. Jego sylwetka złociła się na tle zalanego blaskiem księżycy morza.

Bosymi nogami wystukiwał na drewnianej podłodze rytm, jaki podawała mu perkusja z budy Freddy'ego, po każdym tupnięciu woda pod mołem migotała. Kiedy mężczyzna skończył tańczyć, ruszył wraz z towarzyszem w stronę mrocznych szalunków French Harbor. Egan leżał nieruchomo, póki nie zniknęli, po czym wstał z trudem i przetaszczył ciało do przystani.

Zgodnie z obyczajami panującymi na wybrzeżu, szopa była otwarta. Egan wziął z półki dwie ciężkie kotwice i zwój metalowej linki. Wrzucił to do łódki, umieścił motor za rufą. Resztkami sił zwlókł ciało z pomostu - spadło do łodzi z taką siłą, że Egan przez chwilę obawiał się, czy nie przebiło dna. Wreszcie ksiądz odczepił linę i pozwolił, by woda uniosła łódkę.

Zaciskając zęby, pociągnął linę, żeby uruchomić silnik i - nie śmiejąc obejrzeć się wstecz - ustawił kurs na rafę. Niecałe pięćset metrów od zatoki skierował się na północ, żeby okrążyć pierwszą ścianę koralowców - teraz był wdzięczny za jasną noc - potem znowu skręcił na północ, póki łódź nie ominęła drugiej rafy. Kiedy wyłączył silnik, prąd otwartego morza pchnął łódź z po-wrotem ku brzegowi. Za drugą rafą dno gwałtownie się obniżało. Woda pod kilem była głęboka na setki sążni. Z szeroko otwartymi oczami ojciec Egan szarpnął suwak śpiwo-ra, wrzucił do środka obie kotwice, potem zawiązał linką oba końce śpiwora, reszta zwoju dyndała splątana.

Niedaleko niczym dwie srebrzyste smugi wyskoczyły z wody dwie ryby uciekające przed rekinem. Egan najpierw wysunął lekki koniec, potem klęknął nad lukiem i wypchnął zamrożone ciało dziewczyny do morza. Najbardziej obawiał się, że nie zatonie - ale ono zatoneło całkiem ochoczo, wsuwając się pod kadłub i znikając pod wodą. Żadnego plus-nięcia, które by zaznaczyło miejsce, gdzie zniknęło w ciemno-ściach. Ani na pokładzie łódki, ani na oceanie nie pozostało śladu po tym, co jeszcze parę sekund temu było na ich powierzchni. Ojca Egana zdumiała łatwość, z jaką to wszystko się odbyło. Miał wrażenie, że zdobył zupełnie nowy punkt widzenia na świat i jego sprawy.

Kiedy znowu uruchomił silnik, ogarnęło go pragnienie, by skierować się na otwarte morze, gdzie zastałby go wschód słońca, z dala od misji, z dala od wybrzeża Republiki. Zapanował jednak nad sobą i ruszył niespiesznie ku brzegowi. Raz silnik zgasł, ale bez szczególnych trudności udało się go znowu

uruchomić. Kiedy ojciec Egan minął przybrzeżną rafę, zaczął płakać.

A gdy już zbliżył się do plaży, na moment ogarnął go spokój i wielka jasność niczym anielska wizja.

Uchwycił się ich niczym tonący. W owej chwili ciszy rozbrzmiewał jego własny głos, głos świadka, chrześcijańskiego humanisty żyjącego w okrutnym świecie. Gdzieś, w jakimś rozsądnym, wyłożonym boazerią, prze-grzonym pokoju rozbrzmiewał jego głos. Zdawał sprawę z tego, co się właśnie wydarzyło i dogłębnie to wyjaśniał. Zmusił swój głos, by powtarzał to raz po raz, żeby się nie zgubić i by jego racje nie zostały odrzucone.

- Sam ją pogrzebałem - słyszał swoje wyjaśnienia ojciec Egan.

- Oczywiście, nie mogłem nikomu powiedzieć.

ROZDZIAŁ DRUGI

Tego dnia, kiedy Holliwell wyjeżdżał do Ameryki Środkowej, jego żona miała zabrać na weekend z zakładu młodego, wybitnie inteligentnego paranoika. Żona Holliwella pracowała w stanowym szpitalu, zajmując się chorymi z zaburzeniami psychicznymi. Przed siódmą odwiozła dziewczynki do szkoły i pojechała do szpitala po paranoika, żeby odstawić go do domu na przedmieściach Wilmington, gdzie czekali na niego stremowani rodzice.

Holliwell samotnie dokończył pakowania. Z żoną pożegnał się w nocy. Kiedy już zamknął walizkę i zostawił ją przy drzwiach wejściowych, poszedł do kuchni i zrobił sobie mocną Krwawą Mary. Wypił ją w salonie, wyglądając na trawnik przed domem, gdzie na krzewie magnolii leżała czapa śniegu, a nagi, bezbronny jesion stał skuty lodem.

Zdaniem Holliwella żona trochę się durzyła w tym pacjencie - a był on bez wątpienia niebezpieczny. Ale zapewne nic jej się nie stanie. Była bardzo ostrożna.

Samolot odlatywał następnego ranka z lotniska Kennedyego i Holliwell zamierzał spędzić dzień w Nowym Jorku: najpierw zjeść lunch z Marrym Nolanem, potem wprowadzić się do ulubionego hotelu i zobaczyć, co przyniesie wieczór. Nie miał już znajomych w Nowym Jorku. Koło czwartej

zadzwoni do żony, żeby się upewnić, czy wszystko poszło dobrze.

Dopił pierwszego drinka i nalał kolejnego, nie zwracając sobie głowy śniadaniem. Kiedy umieścił walizkę na tylnym siedzeniu Volvo, był już w tak świetnym nastroju, że zatrzymał się przy sklepie tytoniowym i kupił pierwszą od miesiąca paczkę papierosów. Jadąc do autostrady palił jednego papierosa za drugim.

Droga wiodąca do autostrady - podobnie jak ta, którą jego żona będzie jechała do Wilmington - biegła przez las i moczary. Ilekroć przejeżdżał nad drenem albo zamarznąłą rzeką pod przełęczą, dzielącą jedną ścianę świerków od drugiej, oczami wyobraźni widział swoją żonę, martwą, porzuconą w lesie z zaciśniętym wokół szyi jej czerwono-białym szalikiem, ze sztywniejącymi zakrwawionymi palcami ściskającymi gałąź.

Wjechał na autostradę, włączył radio na stację WWVA i przez milę, dwie słuchał płynących z eteru zachęt do nabycia szczęśliwych krzyży czy chrześcijańskiej radości. Holliwell dokładnie wyregulował odbiornik i między reklamówkami wysłuchał historii o pewnym młodym futbolście, opowiedzianej na tle muzyki przez kogoś ze środkowych stanów.

Młodzieniec, o którym była mowa, grał w reprezentacji szkoły średniej. Toczył się właśnie ważny mecz przeciwko reprezentacji innej szkoły i w pierwszej połowie gospodarze przegrywali. W czasie przerwy chłopiec zniknął z szatni i pojawił się późno, dopiero po trzeciej rundzie.

- Gdzieś ty się, u licha, podziewał? - spytał zaniepokojony trener, który był przyzwoitym facetem, ale dość twardym. Rugnął chłopaka i wypchnął na boisko.

I wtedy rozpoczął się zdumiewający pokaz niezapomnianej gry. Dzieciak grał po prostu niesamowicie. Kibice z miasteczka i okolic nigdy nie widzieli tak wspaniałej walki. Przeciwnicy zostali zdruzgotani, trener patrzył na swego podopiecznego z nabożną czcią. Wśród okrzyków wiwatującego tłumu, zawstydzony trener wziął zawodnika na bok.

- Proszę pana - wyjaśnił młodzian - mój ojciec był niewidomy. Ojciec chłopca był niewidomy i od tygodnia leżał na łożu śmierci. Syn regularnie dzwonił do szpitala i w czasie przerwy dowiedział się, że

ojciec zmarł.

Trener odchrząknął. Jak w takim razie wyjaśnić widowisko, w którym przed chwilą uczestniczył? Te wspaniałe przyłożenia, przebieganie z piłką przez całe boisko?

- Bo wie pan - podjął cicho chłopiec - on po raz pierwszy oglądał mnie, jak grałem.

Kiedy WWVA umilkło, Holliwelł zdał sobie sprawę, że po policzkach płyną mu łzy, skapując na krawat, mocząc mu wąsy i papierosa. Zjechał samochodem w najbliższą zatoczkę i nie wyłączając silnika siedział, patrząc na rząd zielonych pojemników na śmiecie, póki się nie uspokoił, a szlochanie nie ucichło. Oto skutki porannego picia. Półtorej godziny jazdy od domu, a już miał anegdotkę dla żony, która wzbudzi jej współczucie i uwagę, anegdotkę, którą zachowa na powrót - oczywiście, zakładając, że oboje wrócą żywi.

Za łatwo się rozklejamy - powiedział sobie, chusteczką higieniczną ocierając głupie łzy. Skutki przekroczenia czterdziestki, małżeństwa i spokojnego życia poza miastem.

Ona robi się twardsza i mądrzejsza, a ja się coraz łatwiej rozklejam - typowe dla naszej warstwy społecznej i kultury. Może opowie jej o melorecytacji, ale nie wspomni o tym, jak się rozbeczał.

Z zaśnieżonego lasu za wybrukowanym parkingiem i zielonymi pojemnikami na śmiecie wynurzył się młody Murzyn w miejskim ubraniu, który z papierową torbą zmierzał ku drodze. Dostrzegłszy zaparkowane Volvo i Holliwella za kierownicą, szybko cofnął się za ścianę świerków. Holliwelł westchnął, wrzucił bieg i wytoczył się z powrotem na autostradę, kierując się do Nowego Jorku, na lunch.

Godzinę później przejeżdżał most Narrows. Zatoka i zarys Manhattanu lśniły w ostrych promieniach styczniowego słońca. Widok rozległego portu Bayonne poprawił mu nastrój. Holliwelł uznał, że całkiem nieźle sobie radzi - wyjąwszy oczywiście nieopanowaną chętkę na coś mocniejszego do picia.

To będzie dzień pijaństwa - poranny strzemienny uruchomił stary mecha-nizm. Ale ostatnio jego zwyczaje były tak umiarkowane, że wydawało mu się, że stać go na odrobinę szaleństwa w granicach rozsądku.

Ruszył Belt Parkway na północ i przedzierał się przez korki wokół King's County Courthouse. Od lat nie był w Brooklynie i przejazd przez tę dzielnicę przyniósł lekki dreszczyk podniecenia, jaki towarzyszy podróży przez nowe, nieznanne miasto. Restauracja znajdowała się przy Court Street. Miała swój parking, parę dzikich sumaków i Holliwell znalazł ją od razu. Strzepnął papierosowy popiół z marynarki, włożył walizkę do bagażnika i podał kluczyki Portorykańczykowi w uniformie.

Restauracja nazywała się U McDermotta, trzy olbrzymie pomieszczenia wyłożone boazerią i lustrami, z zakurzonymi klimatyzatorami pod sufitem. Holliwell uznał, że U McDermotta to świetny lokal - a kiedy później się nad tym zastanawiał, wydawało mu się, że to właśnie perspektywa zjedzenia posiłku w centrum Brooklynu sprawiła, że w ogóle przyjął zaproszenie Marty'ego Nolana na lunch.

Główny kelner w smokingu przeprowadził go między właścicielami domów i inspektorami i usadził przy okrągłym stoliku, na którym zostało niedopite martini i pomięta wzorzysta serwetka. Holliwell zamówił martini i siedział podziwiając olbrzymie lustro i wyłożone boazerią ściany. Kelner przyniósł drinka i Holliwell właśnie wysączył pierwszy łyk, kiedy zobaczył Marty'ego Nolana, który wynurzył się z męskiej toalety w pomieszczeniu obok i spojrzeniem krótkowidza powiódł po sali.

Idąc, automatycznie przeciągnął lewą dłoń pod pasek wełnianych spodni; sprawdzał, czy aby nie zostawił rozpiętego rozporoka. Kiedy zobaczył Holliwella, jego okrągła twarz się rozjaśniła. Holliwell wstał na powitanie.

- Hen Professor - odezwał się Nolan.

Rękę miał wilgotną, okulary w rogowej oprawie wyglądały, jakby lada chwila miały zaparować, a choć w restauracji wcale nie było gorąco, pod rzadkimi, kręconymi włosami błyszczała strużka potu. -

Dobrze znów cię widzieć, Marty - przywitał go Holliwell. Można by - myślał - określić Marty'ego jako kogoś o wybrednym guście, a mimo to jest w nim coś trochę prostackiego, jakby posmak brzydkich tajemnic.

Nolan uniósł szklaneczkę. Wypili.

- To dla mnie prawdziwa rozkosz, że znalazłeś czas na zjedzenie ze mną lunchu. Czuję się

zaszczycony.

- Nic takiego - odparł Holliwell. - Ja też nie mogłem się doczekać.

Był dopuszczony do kilku tajemnic Marty'ego Nolana. Jedną z nich był fakt, że w czasie ofensywy Tet siły Vietcongu, które zdobyły Hue, pogrzebały Marty'ego żywcem - leżał półprzytomny pod ziemią przez sześć godzin, póki nie wykopała go ekipa niemieckich lekarzy.

Zaś pewnego razu, kiedy Holliwell przyjechał w odwiedziny z wysp wokół Wietnamu, znalazł w walizkowej maszynie do pisania Nolana kartkę z jednym zdaniem, a zdanie to brzmiało:

"Żyd czuje się we współczesnym świecie jak u siebie w domu". Czy było ono obraźliwe czy nie, zależało wyłącznie od tego, co czytający sądził na temat współczesnego świata - ale ta heca z Żydem, to brzmiało groźnie. Samo robactwo - pomyślał wtedy Holliwell.

Ale jego więzi z Nolanem były stare i silne. Obaj w latach pięćdziesiątych chodzili do Regis - było to jezuickie liceum, do którego przyjmowano najinteligentniejsze dzieciaki z po-bliskich szkół parafialnych. Obu w latach sześćdziesiątych wypuścili prestiżowe świeckie szkoły wyższe. Obaj służyli w Wietnamie.

Marty zerkał zza okularów na pomieszczenie, w którym siedzieli.

- To na fali brooklyńskiej nostalgii - powiedział Holliwellowi.

- Pochodzę z Bay Rigde, pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Co cię tu sprowadza? Wydawało mi się, że pracujesz w Waszyngtonie.

- O tak - odparł Marty. - W kręgach waszyngtońskich. Przyjechałem odwiedzić matkę.

Holliwell zatroszczył się o zdrowie matki Marty'ego Nolana, zastanawiając się czy Nolan w ogóle się ożenił i czy powinien o to pytać.

- Mama czuje się świetnie. Radzi sobie.

- Cóż, świetne miejsce, ten lokal. Prawdziwy, stary Brooklyn. Zamówili jeszcze martini, butelkę barbarousse. Holliwell wziął dla siebie stek z surówką, Nolan cielęcinę.

- Słyszałeś - spytał Nolan, kiedy kelner otwierał wino - że Paul Robeson zmarł dzisiaj rano?

- Sądziłem, że umarł jakieś dziesięć lat temu w Rosji. - Dziś rano - powtórzył Nolan. W jego oczach zapaliły się iskierki, które Holliwell tak dobrze pamiętał z dawnych lat. - Mówili w radiu.

- Cóż - odparł Holliwell, krojąc mięso - właściwie nie wiem, co powiedzieć.

- Nie zamierzałem budzić w tobie złośliwej satysfakcji, Frank. W końcu każdy musi kiedyś umrzeć.

Po prostu przypominają się dawne czasy. Chętnie bym poszedł na jego pogrzeb. - Masz na myśli oficjalnie?

- Nie bądź śmieszny. Zwyczajnie, poszedłbym. Żeby zobaczyć.

- Myślisz, że będzie tam FBI? Że będą robić zdjęcia żałobników?

- Nie sądzę. Ale z tymi facetami nigdy nie wiadomo. Holliwell przeżuwał mięso, zdając sobie sprawę, że Marty znowu mu się przypatruje.

- A co u ciebie, Frank? Cicha rozpacz? Samospełnienie?

Holliwell skinął głową i przełknął kęs mięsa.

- W ubiegłym miesiącu - powiedział Nolanowi - moja najstarsza córka trochę się poparzyła. W dniu przesilenia zimowego prze-skakiwała z chłopakiem nad ogniskiem.

- To tak się teraz bierze ślub?

Holliwell dolał im obu wina.

- A co u ciebie, Marty? Ożeniłeś się w ogóle?

- Wziąłem ślub z Nam, nie wiedziałaś? W sajgońskiej katedrze. - To musiało być już po moim wyjeździe. I jakaż jest twoja małżonka?

- Świetna - odparł Marty.

Holliwella ogarnęło wzruszenie.

- To Wietnamka?

- Pochodzi z Worcester. Jesteśmy w separacji. Nie mamy dzieci. Holliwell skinął głową, by wyrazić zrozumienie, współczucie, czy czego tam od niego oczekiwano.

- A ty - podjął Nolan - ty wybierasz się do Composteli, żeby spróbować czegoś innego.

- Nagrałem to sobie. Zaprosiłem moich znajomych z tamtej-szego uniwersytetu, żeby i oni mnie zaprosili. Jak się o tym dowiedziałeś?

- Dostałem list od Oscara Ocampo. Wspomniał, że się tam wybierasz.

Wtedy Holliwell zdał sobie sprawę, że zaraz nastąpi atak.

Powinien być od początku się spodziewać, że ta chwila nadejdzie. Postanowił sobie jednak, że nie da się wytrącić z równowagi. To stanowiło element gry, składową jego przyjaźni z Nolanem, trochę szermierki między dwoma dżentelmenami. Żaden z nich nie brał sobie tego zbyt do serca.

- A odkąd to Oscar do ciebie pisuje? Wydawało mi się, że poszedł na lewo.

- Pewnie że poszedł na lewo. Ale nie jesteśmy wrogami. Nawią-zaliśmy między sobą dialog.

Ocampo był rządowym antropologiem z ciepłą posadką na uniwersytecie w Composteli. Hazardzista i szalony kobieciarz. Holliwell od zawsze widział, że Ocampo gorąco popiera re-wolucję.

- Kiedyś Oscar i ja bardzo się sprzecaliśmy - stwierdził. Najwyraźniej Oscar przestał się kłócić.

Urobili go - albo przy użyciu pieniędzy, albo obiecując mu pracę w Stanach. Szkoda - pomyślał

Holliwell. - Oscarowi musi z tym być ciężko. - Przypuszczam, że za parę lat - dodał - będziesz mnie prosił, żebym wyszukał mu pracę gdzieś u nas.

- Frank, a co byś powiedział na zrobienie nam przysługi, skoro już tam będziesz?

Holliwell posmarował masłem bułkę i powiedział, to, co wcześ-niej sobie zaplanował:

- Jeśli zwracasz się do mnie z prośbą o coś takiego, jestem zobowiązany o tym poinformować moje władze. Moje stowarzy-szenie przyjęło uchwałę przeciwko wyświadczeniu wam przysług, koleś.

- Twoje stowarzyszenie - oświadczył pogodnie Marty Nolan - to banda długowłosych bałaganiarzy.

Komunistów, Frank. Lewaków..

- Wszyscy antropologowie są braćmi.

- A gdybym cię spytał, jak głosowałeś?

Holliwell odłożył bułkę i nóż.

- Wstrzymałem się od głosu. W duchu zgadzałem się z tym wnioskiem, ale uważałem, że muszę

ustąpić. Ze względu na to, co zrobiłem w Nan. Te przysługi.

- Boże - oświadczył z powagą Marty. - Jesteś uczciwym czło-wiekiem, Frank.

- No i tak to wygląda. Jak to się kiedyś mawiało. Masz jakieś wieści z Ho Chi Minh City?

Marty przez chwilę mu się przyglądał, po czym dokończył wino. - Niewiele. Aresztowali Hoa Hao.

Wielu z nich było naszymi przyjaciółmi i nikt nawet palcem nie ruszył, żeby ich wyciągnąć. Słuchaj,

cóż ja mogę powiedzieć? Chciałbyś wiedzieć, czy jestem zgorzkniały? Nie. I nie żałuję. Tamci faceci

ostro walczyli, zasłużyli sobie.

- Nie winiłbym cię, gdybyś stał się zgorzkniały. I tak wyszedłeś z tego wszystkiego diabelnie dobrze.

Nolan odłożył widelec. Obaj przestali jeść.

- A co powinienem zrobić? Próbować wejść do Kongresu? Robić przedstawienie w Orange County

pod tytułem: "Znam czerwony terror z pierwszej ręki?" Powiem ci coś, Frank: tamtej nocy, kiedy

mnie wykopali, leżałem w szpitalu ze starym hiszpań-skim księdzem. Facet chodził w tę i z powrotem,

pałac papierosa za papierosem. Był pod ziemią dłużej niż ja. I powiedział mi:

Hombre, to była pestka. W trzydziestym ósmym zakopali mnie żywcem w Murcji i to było o wiele

gorsze.

Holliwell roześmiał się i potrząsnął głową.

- Frank - podjął Marty Nolan - pozwól, że ci opowiem, co się dzieje tam na południu. Ręczę, że ci się spodoba.

Holliwell wzruszył ramionami. Nolan pochylał się ku niemu nad stolikiem, w jego oczach pojawił się

dobroduszny a zarazem konspiracyjny blask.

- W Tecanie, na wschodnim wybrzeżu, w tej właśnie chwili, kiedy my tu sobie siedzimy, niektórzy nasi obywatele, znajdują się w stanie społecznego i duchowego kryzysu.

- To niech sobie sami z nim poradzą.

- Chcę się tylko dowiedzieć, Frank, co oni naprawdę knują. - Spytaj Oscara, co tamci knują, to on jest na waszej liście płac, nie? Jako amerykański podatnik mówię ci: gównu mnie to obchodzi.

- Och, Frank - mitygował Marty. Wyprostował się, jakby go to zgorszyło. - Informacja to siła pozytywna. Ułatwia porozumienie. Zmniejsza izolacje i wyjaśnia motywy. Im więcej wie się, co inni robią, tym mniej jest w świecie nieporozumień.

- Jadę do Composteli. Noga moja nie postanie w pieprzonym Tecanie. To szczurza nora i działa mi na nerwy.

- Bzdury - zaprzeczył Marty. - To cudowne miejsce. Mają sklepy wzorowane na amerykańskich, a ich prezydent mówi po angielsku równie dobrze jak my, mieszkańcy Court Street. - No i też jest cudowny.

- Oczywiście, jeszcze jak. Jest rotarianinem.

- Marty - powiedział Holliwell, rozglądając się za kelnerem - odczep się ode mnie. Nie pojedę tam i nie będę wam wyświadczał żadnych przysług.

Kiedy kelner się zbliżył, Nolan zamówił koktajl z brandy z likie-rem miętowym. Chłopak zabrał talerze z zostawionym jedzeniem. - Na karaibskim wybrzeżu Tecanu jest niewielkie miejsce, zwane przez tubylców French Harbor. Tuż obok Puerto Alvarado. Co najmniej od trzydziestu lat jest tam misja amerykańskich Devotionist, ale ciągną resztkami sił i tamci chcą ją zamknąć. Zostali tylko sześćdziesięcioletni ksiądz i Amerykanka, zakonnica pracująca jako pielęgniarka. Ostatnio przesłuchano Devotionist w tej sprawie i ich prowincjał w Nowym Orleanie wyraża się bardzo ostrożnie - ale wygląda na to, że te osoby nie wrócą. Podano drinki. Marty uniósł swoją szklankę w geście toastu. - Odchodzą sztuczki rodem ze średniowiecznej dyplomacji kościelnej. Prowincjał twierdzi, że pozbawi ich środków finansowych, ale tego nie robi. Ksiądz i zakonnica twierdzą, że są gotowi w każdej chwili wrócić, ale zostają. Również i rząd tecański zauważył ich obecność, a rząd tecański jest wyjątkowo paranoiczny.

- I wyjątkowo żądny krwi - dodał Holliwell.

- Zgoda - przyznał Marty - to żądni krwi troglodyci i my ich tam wsadziliśmy. Ale tak to jest.

Tecańczycy podejrzewają, że ta dwójka ma coś wspólnego z działalnością wywrotową, ale nie mogą im

niczego udowodnić, a nie chcą zadzierać z Kościołem. - A co twierdzą twoje źródła?

- Że ci ludzie są politycznie niesłuszni. Komuchy itp. Ale oni zawsze tak twierdzą. Wiesz, Tecan to szczególne państwo - tam ciągle są lata pięćdziesiąte. Nasz ambasador to skrajny głupek. Policja może cię zamknąć za czytanie Woltera.

- Kolejny zakątek wolnego świata.

- Daruj sobie slogany, Frank. Zachowaj je na spotkania twojego stowarzyszenia antropologów, a może któregoś dnia wybiorą cię na przewodniczącego.

Dopił drinka wyglądając na urażonego.

- Słuchaj, stary druhu, chcę wiedzieć, co ci ludzie knują. Są moimi rodakami i ongiś współwyznawcami, a do tego igrają z El Toro. W pewnym momencie może się okazać, że ktoś będzie musiał ich stamtąd wyciągnąć.

- Nie pojedę tam, żeby ich szpiegować.

- Szpiegować? Czyś ty rozum postradał? Już i tak ich szpiegują na wszystkie sposoby typki, które o niczym innym nie marzą, tylko żeby im zrobić kuku.

Holliwell skinął na kelnera, żeby przyniósł następne dwa koktajle.

- Jedziesz do Composteli. Cóż prostszego niż załatwić sobie wizę do Tecanu i sprawdzić French Harbor? Wybierz się, żeby ponurkować, poszukać albuli. Co więcej, parę mil stamtąd są nawet ruiny starego imperium, w których możesz sobie pogrzebać. Rzecz w tym - ciągnął, nie pozwalając Holliwellowi zaprotestować - że to ja chcę się dowiedzieć czegoś o tych ludziach. Nie tyle góra, co ja. I chciałbym się dowiedzieć tego nie od jakiegoś informatora albo konserwatywnego mądrali, ale od kogoś z wyczuciem. Od kogoś, kto mógłby mi naprawdę powiedzieć, co tamci sobie wyobrażają. Niewykluczone, że mógłbyś wszystkim pomóc. - Ostatnim razem, kiedy mi się tak wydawało, nie skończyło ię to najlepiej.

- To czego ty chcesz? Idealnego świata? Niech mi pan powie, profesorze, czy przestał pan wierzyć, że trzeba stanąć po czyjejs tronie?

- Nie - odparł Holliwell. - Trzeba stanąć po czyjej stronie. - A więc po czyjej stronie jesteś?

Naprawdę uważasz, że tamci aceci rozwiążą problem nierówności społecznych i sprawią, że wszystko będzie dobrze? Rankiem robotnik, myśliwy w połu- , dnie, naukowiec wieczorem - naprawdę wierzysz, że tak jest, Frank?

-Nie.

- Cóż, albo oni, albo my, stary druhu. Jak zawsze. Ci roszczą sobie wszelkie pretensje, my tylko część.

I dlatego w ostatecznym rozrachunku nasza strona jest lepsza.

- Czy właśnie w to wierzysz?

Marty wzruszył ramionami.

- Pewnie że wierzę. I ty też. Zresztą, nie próbuję cię zwerbować i nie chodzi o żadną wrogą akcję.

Mówiłem ci, czego chcę: małego zwiadu. Możliwe, że nauczylibyśmy się czegoś od tych dwojga w Tecanie.

- To dlaczego do nich nie napiszesz? Spytaj, czego tam chcą.

Nolan wolno wypuścił powietrze, zwiesił chude ramiona.

- Proszę brandy - zwrócił się do kelnera. - Albo dwie. Odwrócił się od Holliwella, żeby się rozejrzeć po sali, powiódł wzrokiem po wyłożonych boazerią sufitach, malejącym tłumie gości o bezwzględnych twarzach i twardych oczach. - Chryste, wybrałem ten lokal, bo sądziłem, że atmosfera zniechęci do moralizowania.

- Wina pewnie leży w tobie i we mnie, Marty. Psujemy atmo-sferę.

Nolan bez ceremonii wychylił swoją brandy.

- Ta rozmowa wpływa na mnie przygnębiająco - stwierdził - bo przypomina mi, że żyjemy w kraju totalnej windykacji. Telewizja, telewizja albo nic. Przecież dwadzieścia lat temu mieliśmy kom-pletnie dość usprawiedliwiania Williama Jenningsa Bryana, ojca Flanagana, ładu i porządku. Materializm - narysował w powietrzu znak równości - równał się komunizmowi. Modernizm bezbożno-ści. Bolszewizm... Wszyscy jajogłowi byli komunistycznymi ma-rionetkami i żeby znaleźć lojalnego

Amerikanina, trzeba było jechać do Fordham, Darlington albo Południowej Karoliny. Potem dostaliśmy po tyłkach w Nan i Sajgonie i karta się odwróciła. Hiss tego nie zrobił, Rosenberg tego nie zrobił, nikt, kurwa, tego nie zrobił, a Truman zaczął zimną wojnę. Totalna windykacja. - Cóż - odparł Holliwel - nie ma to jak totalna windykacja. - Nie inaczej. Widzisz, w tym kraju wszystko jest jak w filmie i wystarczy trochę cierpliwości, a doczeka się swojego szczęśliwego zakończenia. Póki nie zacznie się czyjś inny film. Pod wieloma względami to bardzo głupi kraj.

- Czy to właśnie się nazywa patriotyzm?

- Gdzież tam - powiedział Nolan. - Patriotyzm wyszedł z mody. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, pijąc. Kiedy kelner przyniósł rachunek, Holliwel przesunął kartkę do siebie i tam ją zatrzymał. - Jesteśmy na bardzo prymitywnym etapie rozwoju - oznajmił Nolan - tylko że ludzie tego nie rozumieją. Wystarczy wziąć dowolny numer "Timesa", a znajdzie się cały katalog małego postępowania. Wystarczy zdjąć przykrywkę sloganów, wymówek, potoku słów, tak zwanej ideologii, a okaże się, że czytamy, co jedna banda szympanсів narobiła drugiej.

Holliwel zapłacił rachunek kartą Bankamericard, a Nolan nawet nie zrobił ruchu, żeby go powstrzymać.

- Przepraszam - odezwał się Holliwel. - Nie tym razem.

Razem przeszli do wyjścia i stanęli przy ogrodzeniu parkingu. Ostry wiatr poderwał z chodnika tumany kurzu i Nolan prawą ręką osłonił oczy.

- Kiedy już tam się znajdziesz, możesz zmienić zdanie. Tak więc, jeśli pozwolisz, spytam cię jeszcze raz przez osoby trzecie. Holliwel tylko się uśmiechnął. Podali sobie dłonie. Dopiero na wysokości mostu brooklyńskiego zdał sobie sprawę z groźby, jaka zabrzmiała w pożegnalnych słowach Nolana, każąc mu myśleć o człowieku pogrzebanym obok Perfume River, zaangażowanym obserwatorze współczesnego świata. Jego ukrytą samotność przeszył lodowaty dreszcz. I w tym momencie zdał sobie sprawę, że naprawdę był pozbawiony wiary, nadziei - tak w siebie, jak i w świat. Niewielu miał przyjaciół, a już na pewno żadnych sojuszników. Został sam. rojechał na Manhattan, gdzie został

zmuszony do konfrontacji z okrucieństwem nowych, prostokątnych budynków, które wyrosły wokół mostu. Był zmęczony i zbyt pijany, by przejmować się bezpieczeństwem. Pojeździe przez miasto czuł zmęczenie i niepokój. Z ulgą dał kluczyki do samochodu portierowi, a gdy już znalazł się na górze, zamówił do pokoju butelkę szkockiej whisky. Kiedy przyniesiono trunka, usiadł na parapecie i patrzył na dachy domów. Pewnego majowego dnia on i Marty Nolan przeszli całą trasę od biblioteki przy Wschodniej Siedemdziesiątej Dwie-wiątej, przemierzili Drugą Aleję, most, aż dotarli na Clark Street. To musiało być w pięćdziesiątym piątym, albo coś koło tego.

Godzina za godziną, ulica za ulicą, cały czas rozmawiając. Po jakimś czasie przesiadł się na podwójne łóżko, podparł plecy poduszką i wykręcił numer do domu. Słyszając w słuchawce głos żony, zapalił papierosa.

- A więc nic ci nie jest - powiedział. - Wróciłaś cała i zdrowa. - Mówiłam ci, że nie ma się o co martwić. W szpitalu dostał lekarstwo. Był półprzytomny.

- Czyli nie miotał się i nie wściekał?

- Spał. Kiedy dotarliśmy na miejsce, nie wiedział, gdzie jest.

- Tak jakby kiedykolwiek wiedział, gdzie jest.

- Pewnie, że wie. Jest bardzo świadomy.

- Jacy byli ci jego rodzice?

- Typowi, zamożni mieszczanie. Całkiem zamożni, eleganckie mieszkanie. Zapraszali mnie do środka, ale nie weszłam. Odwiozł go.

- I to wszystko.

- Tak - odparła.

- Spotkałem się z Martym, tak jak się umówiliśmy. Sporo żeśmy wypili.

- Słysząc po twoim głosie. I co teraz ze sobą zrobisz? Holliwell nalał sobie trochę szkockiej i lodowatej wody. Za oknem po błękitnym niebie nad Manhattanem mknęły kłębiaste, styczniowe chmury.

- Może przejdę się na Ósmą Aleję. Na trochę seksu oralnego po dwadzieścia dolców za numer.
- Żartujesz, prawda?
- Tak - uspokoił - oczywiście.
- Cóż, żałuję, że nie mogę tu z tobą być. I żałuję, że nie mogłam przyjechać.
- Marty powiedział mi, że Paul Robeson umarł.
- O Boże, bardzo się puszył?
- Coś w tym rodzaju.
- Słuchaj - powiedziała. - Czy poprosił cię, żebyś coś dla nich zrobił?
- Rzeczywiście, miał coś w rękawie, ale zdecydowanie od-mówiłem.
- Okazałeś mu, że jesteś na niego wściekły?
- Nie byłem na niego wściekły.
- Uważam, że mają cholerny tupet - stwierdziła.
- Kocham cię - powiedział Holliwell. - Uważaj na siebie.
- Ja też cię kocham. I też uważaj na siebie.

Oiedział na brzegu łóżka, pijąc kolejne szklanki whisky i analizując swoją rozmowę w Nolanem.

Potem zaczął się zastanawiać nad tym, co Marty napisał w tamtej chacie koło Hue, co miał na myśli, mówiąc o współczesnym świecie i byciu w nim jak u siebie w domu. No i co rozumiał pod pojęciem "Żyd".

W Wietnamie odchodziło mnóstwo poszatkowanej podświadomej pracy mózgu. Ludzie na zmianę skłaniali się ku faszystowskiemu mistycyzmowi, rewolucji komunistycznej i ćpaniu. W pewnych sytuacjach pewni ludzie potrafili robić wszystkie te trzy rzeczy równocześnie. Takie były tamte czasy - po obu stronach Pacyfiku narodziło się, zostało zapisane i wcielone w życie szaleństwo o największych pozorach słuszności i prawdziwości. Większość tych, co przeżyli, stała się znowu sobą, średniakami. Właściwie nikogo nie można było pociągnąć do odpowiedzialności za jego wypowiedzi z tamtego okresu.

Zyd to zapewne ten, który zaanektował bistro, w Brukseli był cały w bąblach, łuszczył się i obłaził w Antwerpii. Holliwell znał go: nazywał się Sy, kiedyś był właścicielem budki z gazetami na rogu Dyckman Street i Broadwayu. Sy prawie dziesięć lat mieszkał w Washington Heights, w tym samym tanim hotelu co Holliwell i jego matka, po drugiej stronie korytarza, prawie naprzeciwko ich drzwi i Holliwell nadal podejrzewał, że Sy był kochankiem matki. Nigdy o to głośno nie zapytał.

Przez lata pracował u Sy w budce z gazetami i nieustannie dyskutowali ze sobą o stanie świata w połowie wieku. Holliwell nauczył się od niego słów "Międzynarodówki", ale ilekroć wspomniał coś o Kościele czy rzeczach związanych z religią, Sy uśmiechał się pogardliwie:

- Wbijają ci te pierdoły do głowy. W tej twojej szkole. Sy był komunistą, w czasie wojny pracował w marynarce handlowej. Holliwell uważał komunistyczne ciągoty Sy za oburzające. Wykluwał mu oczy paktem Hitlera ze Stalinem, zbrodnią katyńską, obozami pracy, NKWD.

Kiedy furgoneki przywoziły gazety, Sy rozcinał sznurki ostrym kastetem, szczerząc zęby na widok czerwonych liter hearstowskiego "Journal-American".

- Ta szkoła, to tam ci wbijają do głowy te pierdoły. Stali pochyleni nad ladą, w poplamionych farbą drukarską fartuchach, z kieszeniami pełnymi brudnych drobniaków, od-wracając się plecami do lodowatego, przenikliwego wiatru wiejącego od gorzelni z Bronx.

- A co ty wiesz o Związku Radzieckim? - pytał Sy. - Byłeś tam kiedyś?

Dotknięty Holliwell wyciągał kartę atutową.

- A co wiem o Niemczech i Oświęcimiu, i całej reszcie? Tam też nigdy nie byłem.

Sy z tą samą pogardliwą miną chował ręce w kieszeniach grubej, dwurzędowej granatowej kurtki.

- Jak sobie chcesz. Zostań faszystą. Zostań antysemitą. Wbijają ci te bzdury do łba.

Ale on nie czuł się we współczesnym świecie jak u siebie w domu. W czasie jednej ze swych ostatnich wizyt w Nowym Jorku - ładne parę lat temu - Holliwell się upił, wpadł w nastrój buntowniczego pobłażania i wyruszył w sentymentalną podróż po mieście. Nim się zorientował, co robi, szedł w zapadającym zmroku przez Fort Tryon Park, czując się całkowicie bezpiecznie. Gdzie się nie

obejrzał, widział sceny, które stanowiły jego we-wnętrzny krajobraz, młodzieńcze przygody - prawdziwe i wymyślone. Bardzo szybko zdał sobie sprawę, że to otoczenie nie ma mu już nic do zaoferowania.

I wtedy zobaczył Sy na ławce przy Broadwayu. Siedział w czar-nym płaszczu, za grubym jak na tę porę roku i papierowym kapeluszu z Gron gniewu.

Sy spytał o matkę Holliwella:

- Żyje?

Umarła, powiedział mu Holliwell. Za swoje pieniądze z ubez-pieczenia wróciła do Glasgow i tam umarła.

- Spodziewałem się, że będziesz na Florydzie - ciągnął. A Sy odparł, żeby dał sobie spokój z Florydą. Te pieprzone bydlaki goniły mnie na ulicach. Próbowali się włamać i zarzucić mi sznur na szyję.

Banda śmierzeli, zrujnowali okolicę, zruj-nowali całe miasto. Pieprzony Lindsay.

Ze złamanego nosa sterczały siwe włoski. Był beznadziejnie stary.

I wtedy Sy opowiedział Holliwellowi historię Pressa, który prowadził sklep przy Manhattan Avenue. Press, właściciel drogerii. Wycofał się z interesu, zamknął sklep - tak często go okradali. Pojechał do brata na Concourse. Samochodem, bał się iść piechotą. I te zwierzęta go dorwały. Raz w łeb - niech cię szlag, i już nie żyje. Gliniarze zatrzymują wóz, łapią tych bydlaków, jeden zeznaje. Ale Press leży już na wysypis-ku śmieci w Mott Haven, nie pamiętają gdzie. Gliniarze nie mogą go znaleźć. Oficjele mówią: nie możemy go znaleźć, wysypisko jest za duże. Igła w stogu siana. I leży tam po dziś dzień, pod kupą śmieci. Pobożny Żyd. Dobry dla rodziny. Zastranego psa chowa się w ziemi.

Opowiadając historię Pressa, Sy patrzył na drugą stronę Broad-wayu, gdzie jakaś latynoska w czerwonych długich butach opie-rała się o wóz policyjny i rozmawiała z gliniarzami. W chwilę potem szybkim krokiem ruszył za kobietą idącą w stronę rzeki. Dogonił ją po parudziesięciu metrach i razem skręcili w boczną ulicę. I tyle go Holliwell widział.

Hotel, w którym kiedyś mieszkali Sy, Holliwell i jego matka, nadal stał. Teraz przejęła go opieka

społeczna i wzdłuż metalowego ogrodzenia tłoczyli się narkomani, opierając pokaleczone pośladki o ostre końce, wydmuchując nos w chusteczki Orange Julius. Tym razem powstrzyma się od sentymentalnych podróży i gestów. Sy zapewne już nie żyje, tak samo jak matka. Wziął drinka i podszedł do okna, by wyrzec na Central Park, widoczny z jego pokoju. Zapalały się latarnie, trawniki ciemniały. Biorąc pod uwagę, jak wyglądały lata kryzysu i wojny oraz to, jak się prowadziła matka - myślał - nie da się wykluczyć, że Sy to mój ojciec. Ale to mało prawdopodobne. Istniał kiedyś, przynajmniej w papierach, niejaki Michael J. Holliwell, który oficjalnie był moim ojcem.

Na myśl o Sy ogarnął go smutek, naprawdę, chciało mu się płakać jak po bliskim zmarłym. Znowu wstawiony, zalany w pes-tkę, gotów chlupać żałośnie nad zmarłym ojcem i kliwymi piosenkami. Odstawił szklanekę. Trunek krążył mu w żyłach, kompletnie go rozbierając. Wszystko się na niego zwały. Jego, przeszłość umarła, terażniejszość wygląda dość kiepsko. W aktówce leży nie dokończony tekst wystąpienia na Autonomicznym Uniwersytecie w Composteli, ale Holliwell uznał, że jest za bardzo wstawiony, żeby nawet do niego zerknąć.

Wstydił się swojego głodu; uznawał to za kolejny dowód swej kruchej wrażliwości. Zamówił kolację do pokoju i prawie do końca opróżnił butelkę.

Kiedy wystawił za drzwi pustą tacę, karnie sięgnął po aktówkę, położył ją na szafce nocnej i otworzył. Po chwili wyciągnął tekst przemówienia i odłożył go na bok. Pod przemówieniem leżały bilety lotnicze i żółta teczka, w której Holliwell trzymał ciągle zmieniającą się kolekcję wycinków, notatek - owocu wielogodzinnej, próżnej lektury. W teczce można było zwykle znaleźć artykuły z "Timesa" i innych gazet, ulotki religijne, wszystko, co w chwili, gdy to czytał, zdawało się wnosić coś do dogłębnych studiów nad rodzajem ludzkim. Często, kiedy po raz drugi czytał teksty, odłożone do teczki, zastanawiał się, dlaczego w ogóle je wyciął. Jeśli po jakimś czasie nie mógł wykorzystać ich w artykule albo na zajęciach, po prostu wszystko wyrzucał.

W teczce, którą Holliwell wiozł ze sobą do Composteli, znajdowały się tylko dwie kartki: artykuł z "National Geographic" o Port Moresby oraz list, który wydrukowano w opozycyjnym, lokalnym

pisemku. Holliwell wyjął wycinek z gazety i położył przed sobą.

Szanowny Panie Redaktorze, zaczynał się list.

i znowu nadszedł wieczór, a metalowe pręty, które oddzielają nas, biedne cienie od zewnętrznego świata, zatrzasnęły się z przejmującym chłodem hukiem. Przede mną kolejna noc, kiedy gwiazdy i księżyc będą jedynie słabym wspomnieniem na suficie mej celi. W nocy będę doświadczać wielu rzeczy. Niektóre z nich przyjmą twarz tych, których kochałem i utraciłem, inne będą wspomnieniami nienawiści i gwałtu. W czasie owej nieskończonej długiej nocy będę się chwycił mych marzeń, wierząc, że w spokoju snu znajdę ucieczkę od wściekłości, która szarpie me serce.

Świat więźnia jest samotny, a ja będę na tyle bezczelny, że spytam, czy znajdzie się czytelniczka (nieważne jakiej rasy), która zechce dzielić ze mną owe samotne godziny pisząc i odzywając się z zewnętrznego świata, z którego tak zwana sprawiedliwość naszego społeczeństwa mnie wygnała.

Łączę wyrazy szacunku

Arch Rudiger

197-46

Skr. 56 G.F.

Farmingdale, Waszyngton

Holliwell znalazł ten wycinek w pokoju córki. Leżał przez jakiś rok między książką o filmach Rity Hayworth a egzemplarzem Ostatniego jednoroźca, póki ostatecznie Holliwell nie zabrał go i nie dołączył do swej kolekcji.

Pewnego razu przeczytał ten list żonie; przyjrzała mu się bacznie, podejrzewając, że z niej kpi.

- Mam nadzieję, że odpisała - brzmiał komentarz żony. Zawsze starała się kształtować u Margaret poczucie społecznej i moralnej odpowiedzialności.

Holliwell był przekonany, że córka nie odpowiedziała.

Wyciągnął się na łóżku, trzymając kartkę między palcami. Myślał o Archu Rudigerze z taką samą pobłażliwością, z jaką myślał o sobie. Przypomniało mu się parę podobnych nocy, które w swoim

życiu spędził.

Skończyło się na tym, że ogarnęło go poczucie winy wobec Archa i próbował je zmniejszyć, układając wzorcową odpowiedź.

Szanotuny Panie Arch 197-46,

Wiem, że jest pan młodym człowiekiem, więźniem, podczas gdy ja jestem uczennicą elitarnego coUege'u na Wschodzie, do którego uczęszczają jedynie panny z zamożnych sfer. Kiedy myślę o okrutnej niesprawiedliwości, jaką pan wycierpiał, ogarnia mnie wstyd na wspomnienie niezmiernego bogactwa i wyjątkowego statusu mojej rodziny...

Holliwell wyrzucił list do kosza, ten sam los podzielił artykuł o Port Moresby. Mężczyzna włączył telewizor, zaczął oglądać pierwszą część filmu o II wojnie światowej i zasnął, podczas gdy na ekranie migotały sylwetki palących się Niemców.

Rozdział trzeci

Cóż - powiedziała siostra Mary Joseph - ani przez chwilę nie wierzę, że wszystko kończy się wraz z grobem. Ona i siostra Justin Feeney siedziały w cieniu na werandzie misji, popijając mrożoną herbatę. Siostra Justin zmarszczyła brwi, patrząc na zalany słońcem ocean. Niezachwiana pewność Mary Joe doprowadzała ją do pasji.

- Może nie rozmawiajmy o teologii - ucięła.

- Kto tu mówi o teologii?

- Ty - odparła siostra Justin. - Mrzonki. Każdy ma swój kawałek miejsca w niebie i tak dalej.

Siostra Mary Joseph przybyła tu z gór wokół jeziora Tapa, żeby przemówić Justin do rozsądku. Jej sytuacja zupełnie się różniła od sytuacji Justin; jej zakon był silny, potrafił się dostosowywać, skuteczność swojej przychodni mogła mierzyć ilością ocalonych istnień. Po przybyciu do French Harbor szybko się zorientowała, że tutejsi mieszkańcy trzymają się z daleka, co oznaczało, że z ojcem Charliem Eganem coś musi naprawdę być nie w porządku i że opowieści, które słyszała o złym stanie

Devotionist na wybrzeżu, przynajmniej w części pokrywają się z rzeczywistością. - Musisz mieć mrzonki, swój kawałek miejsca w niebie, dziecino - oznajmiła siostrze Justin. - To jeden z punktów wyjścia. Justin osłoniła jasnoniebieskie oczy przed blaskiem bijącym z nieba i od oceanu i oparła brodę na zaciśniętej w pięść dłoni. Siostra Mary Joe wstała i wzięła ich szklanki.

- Chcesz rozmawiać w kategoriach pragmatyzmu? Dobra, niech ci będzie. - Trzymając szklanki w palcach, zamachała nimi siostrze Justin przed nosem. - Niczego nie osiągasz. Nie jesteś potrzebna.

Czy to do ciebie dociera?

Słowa były tak twarde, jak tego chciała Mary Joe i satysfakcja, z jaką rzuciła je w twarz biednej Justin, wywołała w niej natychmiastowe wyrzuty sumienia.

Myła szklanki, kiedy do kuchni wszedł ojciec Egan, zmierzając w stronę pojemnika z lodem. W prawej ręce trzymał packę na muchy, którą przyniósł przez roztargnienie.

- Jak leci, ojczu? - spytała siostra Mary mierząc go wzrokiem.

- Ach, droga Joe - odparł Egan. - Leci świetnie.

Nalał sobie wody i posłał jej wątyły uśmiech.

- Jak to miło, że wpadłaś nas odwiedzić.

- Lepsze to niż praca. Ciągłe ślęczysz nad tą swoją książką?

- Ano piszę, piszę - powiedział ksiądz i wycofał się do siebie. Mary Joe wytarła szklanki i poszła do refektarza, żeby zabrać z czarnej torby stetoskop. Po czym raz zastukała do drzwi ojca Egana i weszła nie czekając na zaproszenie.

Siedział przy oknie, za którym rozciągał się widok na zielone zbocze. Okiennice były otwarte, na podłodze stała dyżurna butelka Flor de Caña. Na dworze kurczęta kręciły się wśród pnączy powoju, jakaś stara kobieta rąbała maczetą drewno na słupku figowym.

Siostra Mary usadowiła korpulentne ciało na parapecie. - Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, prawda, ojczu? Możemy ze sobą rozmawiać otwarcie.

- Tak - potaknął Egan - jesteśmy starymi druhami, Joe. Uśmiech zniknął z jego twarzy, odwrócił się,

by zerknąć przez ramię.

- I nie pozwolę, żeby cię tyranizowała. Nie musisz jej słuchać. - Daj spokój - powiedziała Mary Joseph. - Justin jest w porządku. To poczciwe dziecko.

Rozpięła guzik jego białej bawełnianej koszuli i przycisnęła słuchawkę do jego piersi.

- Porozmawiajmy o tobie.

Serce biło słabiutko i nierytmicznie. Egan liczył sobie niewiele ponad sześćdziesiąt lat; Mary Joe odnosiła wrażenie, jakby słuchała serca kogoś o wiele starszego.

- No i co byś powiedział na zamknięcie budki?

- Ach, tu mnie dopadłaś.

- Tak, tu cię dopadłam, Charlie. A z mojego punktu widzenia wyglądasz po prostu jak król. O ile się założysz, że masz powiększoną wątrobę? Wystarczyłby jeden karaluch, żeby cię rozłożyć na łopatki.

Pochyliła się, wzięła butelkę z rumem i postawiła ją na biurku obok krzyża.

- Musisz wrócić do domu, ojcie. Jeśli będziesz dalej tak ciągnął, kapota.

Ojciec Egan podrapał się za uchem i wyjrzał przez okno.

- Bo i co wy tutaj w ogóle robicie? - naciskała siostra Mary. - Otrzymaliście instrukcje, żeby zamknąć misję. A w naszej religii robi się to, co każą, prawda?

- No tak, ale wiesz, myślałem, że chciałbym skończyć książkę, zanim wywiesimy flagę.

- Odbiło ci? Jeśli chcesz skończyć tę książkę, musisz wywiesić flagę czy co tam sobie chcesz. I to szybko. Słuchaj - dodała - zostawię Justin pigułki dla ciebie. Bierz je co cztery godziny zamiast wody ognistej. Ale nigdy nie łącz jednego z drugim, bo to się kończy śmiercią.

- Bóg z tobą, Joe - powiedział ojciec Egan. A powiedział to obojętnym tonem, który poważnie zaniepokoił zakonnicę. - Bóg z tobą, Charlie - odparła. - Módl się za mnie. Wróciła do refektarza, odłożyła stetoskop i wyniosła torbę na werandę. Siostra Justin nadal siedziała na krześle, wpatrując się smutno w morze. Mary Joseph podejrzewała, że tamta płakała. Mary Joseph nie była zbyt współczująca.

Od czasu do czasu nad jeziorem Tapa zdarzało się, że siostra Mary musiała pocieszać co młodsze i wrażliwsze członkinie Korpusu Pokoju. Wybaczała im łyzy: Tecan to trudne miejsce, a one były Amerykankami i do tego młodymi. Po raz pierwszy z dała od swoich deskorolek, jak to chętnie mawiała. Ale łyzy u zakonnic budziły w niej wstyd i gniew. łyzy należały się Tecankom, które zawsze miały dość powodów do płaczu. - Trzeba zakasać rękawy - oświadczyła, zapominając, że żało-wała swej wcześniejszej szorstkości. - Gdybym mieszkała w oko-licy i potrzebowała pomocy, na pewno nie szukałabym jej w tej zasyfiałej norze. Poszłabym prosto do Adwentystów Dnia Siód-mego albo LSA, albo kogoś, kto, u licha, wie, co robi. - LSA! - wybuchnęła Justin. - LSA to banda prawicowych sukinsynów, w kółko śpiewających psalmy. Na ścianach mają portrety prezydenta, włożą w dupę policji i donoszą CIA. Mary Joseph nie potrafiła powstrzymać rumieńca.

- Masz duży tupet, żeby tak mówić.

Justin wbiła wzrok w podłogę na werandzie i zastoniła oczy.

Mary Joe odczekała, aż tamta się uspokoi i usiadła obok. - Słuchaj, Justin, sam fakt, że masz czas, żeby siedzieć i dumać nad losami świata powinien cię przekonać, że nie robisz tego, co do ciebie należy. Powiadam ci, dziecino, nie czas ani miejsce na zagłębianie się w swoje ego.

- Czyżbym zagłębiała się w swoje ego? - spytała Justin. - Czyż nie powinno budzić we mnie niepokoju, że ludzie głodują, żeby Ameryka miała kluby Playboya i gołe tancerki?

- Aj, daj spokój - parsknęła siostra Mary.

- Może głupio to ujmuję. Czy to cię nie nęka?

- Owszem, nęka. Ale kimże ja jestem? Zwykłą strzykawą. Tak jak i ty. Nikt na nas nie głosował w wyborach. Wiesz - powiedziała - pod wieloma względami jesteś typową Devotionist. Inteligentna, nerwowa i pozbawiona zdrowego, chłopskiego ro-zumu.

Siostra Justin wsunęła potargane włosy pod wzorzystą chustkę.

- Już to przerobiłam w zakonie i z moją miłosierną siostrzyczką. - W takim razie pora, żebyś wróciła do domu - odparła siostra Mary. Od słów Justin przeszył ją dreszcz. - Justin, dzieje się coś

wyjatkowego. Kościół naprawdę wraca do Jezusa. To będzie coś wspaniałego i szkoda by coś takiego stracić.

Justin zasłoniła ręką oczy.

- Gdybym ci powiedziała - ciągnęła siostra Mary - że musisz się modlić, że musisz prosić Boga o pomoc, czy uznałabyś to za mrzonki?

Siostra Justin odwróciła twarz i zacisnęła wargi, żeby po-wstrzymać łzy. Mary Joseph patrzyła na płaczącą młodszą siostrę zakonną. Już nie uważała, że powinno ją to gniewać. - Czy to już dla ciebie nic nie znaczy?

Justin tylko potrząsnęła głową.

To prawdziwa piękność - pomyślała Mary Joseph. - Pierwszej klasy.

W jej zakonie nigdy by nie pozwolono, by ktoś tak piękny i uparty złożył śluby wieczyste. Ale teraz już za późno: Justin przez sześć lat trwała na stanowisku - zawsze silna, zawsze pogodna, najmądrzejsza wśród katechetek, opanowana, sprawna pielęgniarka. Patrząc obiektywnie, wszystko to wyglądało troszeczkę za pięknie, by mogło być prawdziwe.

- To nie miejsce na kryzysy wewnętrzne - powiedziała Mary.

- Wiem - odparła Justin. Osuszyła policzki złożoną chusteczką. - A fakty są takie: spółka owocowa wykupiła tę działkę, nie możecie w nieskończoność ich blokować. Do tego krążą bardzo nieprzyjemne pogłoski. Arcybiskup zaczyna się niepokoić. - Ten stary ćwok - wybuchnęła Justin. - Nawet nie jest chrześcijaninem. To skrzyżowanie Wielkiego Inkwizytora z czarnym magiem. Siostra Mary przez chwilę siedziała sztywno, potem pełna poczucia winy parsknęła śmiechem.

- Justin... ależ z ciebie rozrabiała.

Justin, choć przygnębiona, nie wytrzymała i uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Cóż, Bingiem Crosby to on nie jest - przyznała siostra Mary. - Ale reprezentuje tu Kościół, a to wiele znaczy. I, wierz mi albo nie, osłania cię przed przesłuchaniem rządowym.

Justin Feeney wstała z krzesła i stanęła na brzegu werandy. - Daj mi kilka dni, zanim z kimś

porozmawiasz. Muszę sobie zaplanować kilka rzeczy.

Mary Joseph ściągnęła brwi. Nie wierzyła w planowanie ot, tak sobie.

- Masz się ze mną skontaktować w ciągu tygodnia i chcę wtedy poznać datę waszego wyjazdu.

Gdybyś potrzebowała pomocy, może uda mi się załatwić parę dzieciaków z Korpusu Pokoju do pomocy przy zwijaniu obozu.

- Dzięki, Joe. Dzięki, że choć trochę cię to obchodzi.

Mary Joseph wzięła swoją czarną torbę i podeszła do schodów. Zapanowała nad odruchem, żeby pogładzić Justin po policzku albo ją objąć. Takie zewnętrzne objawy uczuć kłóciły się z tym, czego ją nauczono.

- Słuchaj, przez dłuższy czas spisywałaś się tu na piątkę. Nie czuj się, jak ostatnia łamaga. I nie pograżaj się w rozpacz. Po prostu zakasz rękawy i spakuj się.

Justin ochoczo potaknęła.

- Bóg cię kocha, Justin. Jesteś dla niego kimś wyjątkowym.

Pomoże ci.

- Dobra, Joe.

Stojącą na najwyższym schodku siostrę Mary Joseph ogarnął straszliwy niepokój. W niecierpliwym uśmiechu na pożegnanie wyczytała przesłanie: "spadaj" - i dla jej szorstkiej, żołnierskiej duszy to słowo dźwięczało groźnym echem.

- Aha - powiedziała, obracając się w stronę Justin - zostawiłam proszki dla Charliego Egana, rozumiesz, co mam na myśli? Naprawdę chcę, żeby wrócił do domu żywy. Możesz tego dopilnować?

Zrób to dla mnie.

- Spokojna głowa - uspokoiła ją Justin.

Wracając do jeepa siostra Mary kątem oka dostrzegła inny samochód, jadący drogą między palmową aleją obok Chicken Shack Freddy'ego a brzegiem morza. Była to Toyota z napędem na cztery koła, a za kierownicą zakonnica rozpoznała ojca Godoya, tecańczyka z Puerto Alvarado. Poczekała obok

swojego wozu, aż ksiądz podjedzie.

Ojciec Godoy miał na sobie pomięte bawełniane spodnie, niebieską koszulę z plisowanym gorsem i drogie okulary przeciw-słoneczne. Nim siostra Mary Joseph zdążyła cokolwiek powiedzieć, wyskoczył z samochodu, uściskał jej serdecznie rękę i zalał potokiem kurtuazyjnych pytań o zdrowie i samopoczucie. Uśmiech jeszcze bardziej wydłużył kościstą, długą twarz. Był wysoki, kościsty, o typie urody ascetycznego Hiszpana.

- Cóż, idzie nam świetnie, ojczy - usłyszała swoją deklarację siostra Mary. - Mamy już sprzęt laboratoryjny i trochę nowego cięższego sprzętu i, jak Bóg pozwoli, przed nami naprawdę udany rok. Kiwał głową, z góry ochoczo zgadzając się ze wszystkim w za-sięgu wzroku.

Bardzo seksowne - pomyślała. Nie ufała księżom intelektualis-tom, a tutejszych duchownych uważała w większości za miękkich i rozlazłych.

- Bombowo - naśladował amerykańską frazeologię, którą wy-próbowywał na ludziach pokroju siostry Joe. - Naprawdę genial-nie! Cóż oni by bez siostry poczęli!

- Pilnuje ksiądz naszych przyjaciół z misji?

- Racja, racja - odparł, jakby nie zrozumiał pytania.

- Słyszałam - wyjaśniła - że po wybrzeżu krąży jakiś maniak.

Zabija małe dzieci.

- Na to wygląda - powiedział Godoy. - Ludzie sądzą, że to ktoś obcy.

- Taaa - westchnęła siostra - ja też bym chciała tak myśleć.

Mam nadzieję, że ostrzeżono ludzi.

- Wszyscy wiedzą. Już tacy jesteśmy.

- No, cóż, to do zobaczenia - pożegnała się, wsiadając do samochodu. - Dawaj nam znać, co słyhać.

- Wszystkiego najlepszego - wołał za nią. - Pozdrowienia dla wszystkich!

Kiedy dojechała do alei palmowej, zatrzymała jeepa, nie wyłą-czając silnika i pochyliła się do zapalniczki, żeby zapalić papiero-sa. Zaciągając się, obejrzała się przez ramię i zobaczyła Godoya na

szczyt schodów obok siostry Justin. Oboje spoglądali na morze.

- O rany - westchnęła w duchu, wrzucając bieg - dwie gwiazdy. Ojciec Godoy zachwycał się pięknem oceanu i zazdrościł siostrze Justin jej szczęścia, że może mieszkać nad samym morzem. Kiedy słuchała jego "achów" i "ochów", ogarnęło ją poczucie winy.

- Może napije się ksiądz herbaty? - spytała.

- Nie, nie, proszę.

Rozejrzał się wokół, jeszcze bardziej zawstydzając Justin, która zdała sobie sprawę z bezruchu, który panował w budynku. - A jak jego wielbność? - spytał cicho Godoy.

Uśmiechnęła się, słysząc ten przestarzały zwrot.

- Obawiam się, że nie najlepiej. Jest w słabej formie i czasem dziwacznie się zachowuje. Jakiś czas temu w środku nocy wypłynął na morze. Nie mam pojęcia dlaczego.

- Dziwne - odparł ksiądz. - Trochę niepokojące, he?

- Proszę, niech się ksiądz napije herbaty.

- Muszę już jechać. Dziś w mieście jest procesja.

- O rany. Wyleciało mi z głowy. Od kiedy tu jestem, nie opuściłam ani jednej procesji, a dziś zapomniałam. Smutno wzruszyła ramionami.

- Mogę siostrę zabrać wieczorem - zaproponował. - Na zabawę. Wie siostra, wracam po kilkoro dzieci ze szkoły. Jeśli siostra chce, możemy po nią wstąpić.

- Byłoby wspaniale. Może ksiądz?

- Tak, oczywiście. Szczerze mówiąc, przyjechałem, żeby siostrę zaprosić.

- W takim razie - odparła Justin ze śmiechem - tak, proszę. - Świetnie - stwierdził ksiądz - to teraz już pojedę, a wpadniemy po siostrę koło szóstej.

- Cudownie - powiedziała.

Cudownie.

- Cudownie, cudownie - powtarzała pod nosem jak maszyna.

- Niech to diabli, co za kretynka się ze mnie robi.

I kiedy tak się przyglądała Godoyowi, który wsiadał do samo-chodu, nagle ogarnęła ją panika i straszny ból. Uciekła z werandy, zanim mężczyzna się odwrócił i mógł ją zobaczyć.

Przez jakiś czas pracowała zamiatając pustą salę przychodni, popryskaną złożoną bielizną środkiem przeciwko pleśni, urządziła polowanie na krocionogi i skorpiony. Po godzinie pojawił się człowiek z wioski. Przyniósł rybę, czerwonego snajpera, i kosz krewetek. Justin zeszła na dół, żeby mu zapłacić. Mężczyzna przyniósł też wiadomość od dwóch pań Herrera - matki i córki, które gotowały i sprzątały - że w najbliższym czasie nie będą przychodzić. Zresztą nie pokazywały się już od pewnego czasu, tak samo jak młode kobiety, które pracowały jako pomoc pielęgniarska, ani dwie dziewczynki z okolicznych wysepek, które Justin uczyła pisać i czytać, jej bosc lekarki. Może to i dobrze, bo i tak nie było dla nich pracy.

Jakiś czas potem przejechał porucznik Campos. Siostra Justin zobaczyła przelotnie swoje odbicie w jego lustrzankach. Oczyszczyła i oprawiła rybę, umyła krewetki i poszła do siebie wziąć prysznic. Ubrała się w chłodną spódnicę koloru khaki, czerwoną bluzkę w kratkę, włosy przewiązała czerwoną apaszką. Kiedy wróciła, w kuchni stał ojciec Egan i wlewał do rumu chłodną, źródlaną wodę.

- Czy dzisiaj jesteśmy przyjaciółmi? - zwróciła się do niego.

- Na pewnym poziomie, Justin, zawsze jesteśmy przyjaciółmi.

Istnieje jednak poziom, na którym to nigdy nie będzie możliwe.

Justin przyjęła tę odpowiedź w milczeniu.

Jak zwykle tajemniczy - pomyślała.

Wzięła oczyszczoną rybę, przez chwilę stała trzymając ją w za-myśleniu, potem odłożyła.

- Siostra Mary Joseph naciska, żebyśmy zamknęli misję. Za-pewne wiesz o tym.

- Tak - odparł ksiądz. - Oczywiście, to zależy od ciebie. - Dlaczego wszystko zależy ode mnie? - spytała, wycierając dłonie w ręcznik. - Co właściwie się z tobą dzieje? Bardzo się niepokoję.

- Nie rób mi wyrzutów - powiedział ojciec Egan. - Swoją słabą obecnością umacniam ten bunt.

Decyzja należy do ciebie, bo jesteś rozsądną dziewczyną.

- Czy musisz ciągle tak pić?

- Nie zwracaj sobie tym głowy.

Justin podeszła do stołu i oparła się na nim, patrząc na ojca Egana.

- Twoje zachowanie jest tak diabelnie nieracjonalne, że zupełnie z tym sobie nie radzę. A wiem, że od tamtej nocnej wyprawy na morze jeszcze ci się pogorszyło. Och, chciałabym wiedzieć, o co wtedy chodziło.

- Wiąże mnie przysięga - uciął Egan. - Reszta jest milczeniem. Siostra Justin potrząsnęła głową, żeby nie poddać się jego szaleństwu.

- W tej chwili wcale nie czuję się jak rozsądna dziewczyna.

Czuję się jak skończona idiotka.

- Ależ skąd - zaprzeczył Egan. - Chcesz wiedzieć, co myślę?

- Tak, proszę.

- Myślę, że jesteś bardzo inteligentna i moralna, wzorowa zakonnica. Miałaś atak faryzeizmu i postanowiłaś spróbować niemożliwego. Nic w tym złego, Justin. Rzecz ma wieloletnią tradycję.

- Zachęciłeś mnie.

- Tak. Cóż, ja też chciałem zostać. 1 wiesz?, szanuję cię. Możesz w to wierzyć albo nie.

- Sądziłam, że mi się uda.

- Bo zawsze w dużym stopniu byłaś tworzona przez innych. Chcą cię zatrzymać. Stawiasz na swoim.

Jesteś rozpuszczona, moja droga. - Dobry Boże. Rozpuszczona jak liko. - Gniewnie zaplotła ramiona i stanęła w drzwiach, plecami do księdza. - Od college'u nic nie robię tylko haruję. Zarabiam na siebie. Nie nazwałabym tego klasztorным życiem, a ty?

Usłyszała suchy, słaby śmiech i gwałtownie się obróciła.

- Czyżbym mówiła coś zabawnego?

- Jesteś duchowo rozpuszczona. Zawsze miałaś pod ręką kogoś, kto brał serio twoje dobre chęci. A

jeśli to nie jest rozpuszczanie, to nie wiem co nim jest. - Powąchał rum, wypił. - Zakonnice zawsze są o wiele młodsze, niż na to wskazuje ich metryka. Weź chociażby Mary Joe. Z zakonnikami rzecz ma się gorzej. Człowiek pozostaje dziecinny. Życie jest dziecinne. - Wzruszył ramionami. - W ogóle wiara jako taka jest dziecinna, nie uważasz?

Justin spojrzała na niego zaskoczona.

Może - pomyślała - zastawia pułapkę. W tym jego pokoleniu co jeden, to większy Chesterton.

- Nie odmawiasz brewiarza - powiedziała, nagle to sobie uświa-damiając. -1 to od dłuższego czasu.
- Uważam, że źle go napisano.

Uśmiechnęła się, patrząc jak Egan dopija rum.

- Mówisz poważnie?
- Jeśli ktoś tego ode mnie zażąda, odprawię mszę. Udzielę sakramentów. Ale moja modlitwa to rzecz wyłącznie między mną a Bogiem i nie będę jej odmawiał, tak jak mi nakazują. Tam wszystko jest źle, wiesz - oświadczył, wpatrując się w nią szeroko otwartymi oczami. - Wszystko postawili na głowie.

Wszystko. - Poddaję się - powiedziała Justin.

- Ciekawe, że moje ortodoksyjne poglądy mogą mieć dla ciebie jakieś znaczenie. Przecież ty już nie wierzysz?

- Nie mogę na to pytanie odpowiedzieć.

- Cóż - stwierdził Egan - ponoć masz sobie na nie odpowiadać codziennie.

Stanąwszy przy blacie znowu wzięła rybę. Właściwie powinno się ją upiec, przyszykować sos z papryki, cebuli i warzyw. Ale on zje to raczej, jeśli po prostu wrzuci rybę do zupy, doda trochę krewetek. Jaka szkoda. Czerwony snajper.

Ryba poszła do zupy, a Egan zniknął w swoim pokoju. Sama nie wiedząc kiedy, Justin znalazła się znowu na weran-dzie. Dłonie zacisnęła na poręczu i wychylona zapatrzyła się na ocean i fale odpływu. Powierzchnia morza była jasnoniebieska. Słońce schroniło się za zielone, poszarpane wzgórza nad misją.

Zupełna, kompletna głupota - powtarzała w duchu Justin. Kiedy tak stała zadumana, jej dusza otworzyła się niczym w modlitwie. Nie było niczego. Tylko morze, cieniste głębie, groźne oczy. Jej serce biło cicho, samotnie, jego niespokojny, przyspieszony rytm niczym sygnał dla próżni, bez odpowiedzi, bez pociechy. Biło tylko dla niej, nie dla większych spraw, próżne przetaczanie krwi. Od nagłego pragnienia śmierci aż zakręciło jej się w głowie. Uczucie przypominało radość.

Ciągle jeszcze opierała się o poręcz, na wpół ogłuszona przez rozpacz, kiedy zobaczyła młodego mężczyznę, idącego boso plażą ku wsi. Miał gęstą, bardzo jasną brodę, ubrany był w białą koszulę - taką z przypinanym kołnierzykiem - i spłowiałe ogrodniczkę. Kiedy się zbliżył, Justin zauważyła opłakany stan, w jakim znajdowała się koszula, a na rękach mężczyzny zaschłe ślady krwi i brudu.

Najwyraźniej potrzebował pomocy i dlatego Justin w głębi ducha ucieszyła się, że go widzi.

Przypuszczała, że to jeden z tych dzieciaków z Północnej Ameryki, którzy dryfowali koło przesmyku, szukając plaży. Zaczęli się pokazywać ubiegłej wiosny. Niektórzy znajdowali się w ostatnim stadium narkomanii lub alkoholizmu. W pierwszym odruchu Justin chciała go przywołać i w miarę możliwości jakoś mu pomóc - zanim wywęszy go Campos albo jego podwładni, albo tutejsi ratones. Stawiała już nogę na najwyższym stopniu, kiedy zwróciła uwagę na dziwaczne ostrzyżenie włosów mężczyzny: bardzo krótkie, w niczym nie przypominające nawet najdziwniejszych fryzur, które tu się widywało, niemal zakonne, jakby przeniesione wprost ze średniowiecza. Kiedy ruszyła w dół, mężczyzna obrócił się w jej stronę. Na widok jego twarzy, stanęła jak wryta.

Choć ruchy i sylwetkę miał młodzieńczą, twarz przypominała twarz starca: nie opalona lecz zaczerwieniona i popękana, z głębokimi zmarszczkami. W oczy rzucały się przede wszystkim dwie poziome kreski gęstych brwi i dominujące nad twarzą kości policzkowe. Wyjątkowo długi, cienki i zadarty nos nadawał mężczyźnie wygląd krasnala albo gnoma. Justin ta twarz kojarzyła się z rzeźbioną zabawką, jakimś groźnym Pinokiem. Kiedy popatrzyła w jego małe niebieskie oczka, zwróciła uwagę na dwie rzeczy: po pierwsze nie były to - mogła się założyć - oczy Amerykanina ani Anglika, po drugie w niczych oczach nie widziała jeszcze tyle nienawiści.

Przecież jestem w świeckim ubraniu - pomyślała Justin. Ale nawet ci, którzy uważali, że zakonnice przynoszą pecha, nie patrzyli na nią w ten sposób.

Nie odrywała od niego wzroku. Mężczyzna otworzył usta. Przygotowała się na stek wyzwisk, groźby. A jednak krzyk intruza - choć wykrzywił mu twarz - okazał się bezgłośny. Wydawało jej się, że usta ułożyły się w Schwein. Obnażone zęby przygryzły dolną wargę. Potem nadeszły inne słowa. Jedno z nich to da. Znajomość niemieckiego Justin ograniczała się do paru podstawowych wyrazów, które poznała w czasie wycieczki po Austrii, ale była niemal zupełnie pewna, że mężczyzna mówił po niemiecku. Schwein. Du.

Potwór - przyszło jej na myśl. Ogarnęło ją przerażenie.

I wtedy mężczyzna ruszył dalej, kierując się do Puerto Alvarado. Był potężny, masywny. Ramiona, które rysowały się pod koszulą, wyglądały na silne i szerokie niczym kark wołu.

Justin wróciła do kuchni, uniosła pokrywkę rondla i zamieszała zupę jarzynową z kawałkami ryby.

Uznała, że przechodzień to jeden z menonitów - na południu i w głębi kraju znajdowało się sporo ich wspólnot. W Tecanie ta sekta nie była zbyt rozpo-wszechniona, ostatni raz widziała grupkę menonitów wiele lat temu, na dworcu autobusowym. Zrobili na niej wrażenie cichych, pogodnych ludzi, bardzo schludnych i przyjacielskich. Powoli zbliżał się wieczór, pora kiedy kolory tracą swą intensywność. Niebo i morze nabierały łagodnych, pastelowych odcieni, zieleń porośniętych dżunglą wzgórz była o ton delikatniejsza. Idąc w stronę drzwi, Justin wystawiła twarz na lekkie podmuchy wiatru od morza.

Na plaży - od palmowej alei Freddy'ego aż po linię horyzontu na południu - nie było żywego ducha.

Justin tamten chłopak wydawał się teraz tworem jej wyobraźni, uosobieniem obaw. Nienawiść, wszystko co niemieckie stanowiło element koszmaru i czarnej karty historii. Mężczyzna był zjawą przywołaną przez jej rozpacz.

Kiedy u stóp schodów zatrzymał się jeep Godoya z chłopcami, Justin z wdzięcznością zbiegła im na powitanie. Sześciu chłopców siedziało ściśniętych w samochodzie. Wszyscy byli czarni, tu błysnęło

indiańskie oko, ówdzie proste jak druty czarne włosy, charakterystyczne dla rdzennych mieszkańców Karaibów. - Buenos - powitała chłopców i Godoya.

- Buenos - odkrzyknęli chłopcy i zrobili jej miejsce. Młodszy się uśmiechnęli, dwóch starszych - ich zdaniem dorośle i bez trudu - puściło do niej oko. Usiadła obok księdza.

- Ruszamy - zawołał.

- W tej chwili - odparła radośnie siostra Justin.

Wzdłuż drogi szli robotnicy z plantacji. Wracali do domów z maczetami przewieszonymi przez ramię.

Dzieci ugięły się pod ciężarem drewna na rozpałkę pod wieczorny posiłek. Przy każdej zatoczce uwijały się kobiety, zbierające ze skał pranie, które schło w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, inne niosły na głowach dzbany z wodą pitną, czerpaną z pobliskiej studni. Jednak większość wędrowców zmierzało ku Puerto Alvarado na końcówkę obchodów święta.

Ileokroć mijali kupkę gałęzi i liści palmowych, Godoy naciskał klakson, dziecko machało, a chłopcy siedzący w jeepie demon-strowali swoją wyższość osobom podróżujących prywatnym samo-chodem nad piechurami.

Droga wiodła wśród drzew bananowych, potem ananasów, wreszcie dotarli na szczyt wzgórza Pico, skąd rozciągał się widok na ocean, daleki port, połacie żółtych, numerowanych domków spółdzielczych i drewnianych chat na skraju miasta. Z centrum miasta dobiegał huk fajerwerków i dudnienie megafonu, który pewien Syryjczyk, właściciel sklepu wynajął specjalnie na tę okazję, by zachwalać swoje towary.

Wjechali na wybrukowaną drogę, w tej dzielnicy przy domach stały wiaty na samochody, a płoty były pomalowane. Minęli Gran Hotel, stację benzynową Texaco, po czym skręcili na zatłoczony plac.

Godoy manewrował samochodem wśród ciżby, wreszcie zaparkował przy ścianie kościoła, za stojakiem na rowery. Ledwo jeep się zatrzymał, szóstka Karaibów zeskoczyła na ziemię i zniknęła w tłumie. Godoy popatrzył za chłopcami i zerknął na zegarek. - A teraz - zwrócił się do Justin ze smutnym uśmiechem - dowcip polega na tym, żeby ich jakoś zebrać.

Przeszli obok kordonu żołnierzy Guardii, minęli schody prowadzące do kościoła.

Na środku placu rosnęło drzewo ceiba obwieszane girlandami z papieru, pod jego gałęziami ustawiała się orkiestra złożona ze starszych mężczyzn w czarnych ubraniach. Między drzewami wisały chińskie lampy, pod nimi tłoczyli się ludzie. Zamożniejsi stali z radiami tranzystorowymi przy uchu, nastoletni rodzice w tanich bawełnianych ubraniach trzymali się mocno swojego drobiazgu. Setki dzieci bez dozoru kręciły się między nogami dorosłych. Pucybuci oddali swój teren wokół fontanny i siedzieli z pudełkami na brzegu parku, rozglądając się za petami, zgubionymi drobnymi albo portfelami.

Dziewczyny marynarzy przymaszerowały do centrum z portowych burdeli i zajęły miejsce na jednym z trawników, gdzie rozsiadły się na gazetach, śpiewając głośno do wtóru muzyki z najbliższego radiodbiornika albo wymieniając się między sobą komiksami.

Przy fontannie zgromadziła się młodzież, podzielona na grupki zależnie od pochodzenia. Chłopcy przyglądali się prostytutkom, dziewczęta zaś, mniej lub bardziej otwarcie, chłopcom. Część dziewcząt miała na sobie obcisłe spodnie i podkoszulki bawełniane z hasłami typu: "Pocałuj mnie, głuptasio", część wystroїła się w ładne sukienki noszone do szkoły. Wśród chłopców dawało się wypatrzyć prawie zupełnie białych, ubranych w modne włoskie koszule i znudzonych albo nadętych, zarozumiałych potomków latynosów i Amerykanów w lśniącobiałych koszulach i wreszcie czarnych, którzy co drugie zdanie wtręcali: "wiesz, facet" albo "brachu", naśladowali gesty karatek, tańczyli wymachując rękoma jak wiatrakami, tak że w powietrzu migotały tylko jaśniejsze wnętrza dłoni. Po drugiej stronie ulicy, przy wejściu do Municipalidad, grupa żołnierzy Guardii opierała się o filary i obserwowała zgromadzenie. Zostawiono im tyle przestrzeni, ile sobie żączyli.

Mały chłopczyk z chorym okiem gonił dwie młodsze dziewczynki ku kościołowi.

- Mono ma!b, mono molo! - wykrzykiwał. - Zła ma!pa! Justin uświadomiła sobie, że już od tygodni słyszy, jak dzieci wymyślają sobie i nędznym, obszarpanym amerykańcom, którzy tu jeszcze się kręcili, od mono ma!o. Przedtem nigdy nie spotkała się z tym epitetem.

U stóp kościoła brygada techników zmagiała się z olbrzymim reflektorem obrony przeciwlotniczej, poprawiali stojaki, połączenia, rozwijali kable, które miały sięgać aż do kościoła. W pobliżu zgromadzili się mężczyźni i chłopcy w fioletowych kapturach i pelerynkach Służby Liturgicznej - to oni w popołudniowej procesji nieśli chorągwie.

Justin i ojciec Godoy stanęli razem niedaleko drzewa ceiba, i patrzyli na kościół. W powietrzu unosił się zapach placków migdałowych, perfum, olejku do włosów, a przede wszystkim smród bimbru, który krążył między ludźmi podawany w butelkach po coli.

Wraz z zapadnięciem zmroku orkiestra zagrała paso dobre, a technicy włączyli reflektor. Oślepiająca biel zaalała plac. Ludzie z pierwszych rzędów musieli się cofnąć, odwracając się i zasłaniając oczy. Reflektor omiótł plac, wreszcie został skierowany ku górze, tak że w niebo wyrzelił biały słup światła. Zachwycony tłum wydał westchnienie radości.

I znowu reflektor zawirował i oświetlił zgromadzonych na placu, zatrzymując się na wszystkich po kolei. Przez ułamek sekundy w białej strudze światła można było oglądać znieruchomiłe twarze zaskoczonych staruszków, którzy siedzieli w wiklinowych krzesłach przez sklepikiem Syryjczyka, żołnierzy-policjantów opierających się o słupy, plakaty Życzenia śmierci przed kinem. Korale dziwek błyszcząły. Światło odbijało się w balonach i wyczyszczonych lakierkach dzieci z zamożniejszych rodzin i lśniących liściach bananowca. Tłum pisał i wiwatował z zachwytem. Justin i ksiądz Godoy wymienili uśmiechy.

W końcu promień zatrzymał się na schodach kościoła, oświetlając trumnę ze szkła i mahoni, którą w czasie procesji niosło czterech mężczyzn z fioletowych szatach Służby. W trumnie znajdowała się figura Chrystusa - powód radości mieszkańców Puerto Alvarado.

Chrystus był w tych samych zniszczonych lnianych szatach, w jakich go złożono do grobu. Dłonie, w których ścisnął lilię, miał złożone na piersi. Na głowę miał nałożoną cierniową koronę, w długich włosach było widać ślady krwi. I włosy, i krew zostały tak doskonale odtworzone, że siostra Justin, która przecież nie raz widywała tę figurę, zawsze zastanawiała się, czy nie są prawdziwe. Tak samo

powieki: miało się wrażenie, że lada chwila się uchyli i na tłum spojrzą ciemne, martwe oczy.

Kiedy światło padło na sylwetkę martwego Jezusa, nad placem zawisła cisza - ale tylko na chwilę.

Spoglądając na swego zamordowanego Zbawiciela, tłum zaczął mrużyć, coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie zagłuszył orkiestrę. W powietrze wzbijały się jęki i wzdychania kobiet, wykrzywane chrapliwie: Viva el Cristo's pijanych wyznawców.

Leżący w szklanej, zalanej światłem trumnie mógł równie dobrze umrzeć przed chwilą, tu, w Tecanie.

Na zapalenie opon mózgowych, jak córka brygadzysty, która odeszła w święta Bożego Narodzenia.

Czy od ukąszenia skorpiona. Czy od gorączki. Czy zadźgany nożem w porcie. Dlatego tłum zaczął się radować; dzieci przedwcześnie zmarłych rodziców, rodzice ukochanych angeliios - którzy znajdowali pociechę w nadziei na swoje i dzieci wskrzeszenie - pozdrawiali Tego, który nie tylko zaznał śmierci, ale i ją pokonał.

Justin patrzyła, jak ludzie klękają. Parę kroków od niej stała kobieta, która w jednej ręce ścisnęła balon, na drugiej zaś trzymała córeczkę. Kobieta płakała nad zmarłym - może dlatego że tak wypadało, a może z przyzwyczajenia.

Justin obróciła się w stronę Godoya. W niewyraźnym świetle dostrzegła, że ten wygląda jakby tylko cierpliwie to przeczekiwał. Kiedy sobie zdał sprawę, że zakonnica mu się przypatruje, powiedział: - Widzi siostra, to tylko kwestia operowania światłem. Tak jak w filmach.

Pomyślała, że ona też zapewne rzuciłaby podobną uwagę, choć w tej chwili czuła coś zupełnie innego.

Dlatego zaczęła się zastanawiać, czy to stwierdzenie nie padło wyłącznie na jej beneficjum i czy nie stanowiło próby usprawiedliwienia swego kraju. Po kilku minutach światło wyłączono i zamknięta w trumnie figura Zbawiciela została wniesiona do kościoła. Postawiono ją w bocznej nawie, gdzie zwykle spoczywała - z wyjątkiem Wielkiego Tygodnia i procesji. W wejściu do kościoła stała grupka osób. Justin rozpoznała ojca Schleichera, oblata ze środkowego Wschodu. Rozmawiał z dwoma księżmi - Tecańczykami, a właściwie Hiszpanami - proboszczem katedry i monsignorem z kapituły, przedstawicielem arcybiskupa.

- Powinniśmy tam podejść - odezwał się ksiądz Godoy, kiedy już okrążyli plac. - A przynajmniej ja. Razem wspięli się po schodach ku drzwiom kościoła i podczas gdy Godoy składał czołobitności zwierzchnikom kościelnym, Justin musiała się męczyć rozmawiając z Schleicherem i młodą Tecanką, która mu towarzyszyła.

Ojciec Schleicher był młody i, jak niosła wieść, politycznie zaangażowany. Siostra Justin słyszała też, że nieoficjalnie zakupił od urzędnika pracującego na katolickim uniwersytecie w stolicy, kolonialne wydanie Don Kiszota i że zapłacił robotnikom z plan-tacji, żeby przynosili mu wszelkie możliwe rękodzieła z okresu przedkolumbijskiego. Choć ani jednego, ani drugiego nie dawało się określić mianem działalności niezgodnej z prawem, choć zapewne stanowiło zaledwie niewinne hobby ojca Schleichera, Justin uważała, że owe pogłoski źle o nim świadczą. Nie lubiła go. Miał puciołowatą twarz i jasne włosy, a jego grube usta, zdaniem Justine, zaciskały się w wyrazie samozadowolenia. Nudziarz, tak go w duchu nazywała.

Przez chwilę rozmawiali o polityce amerykańskiej. Schleicher przedstawił swoją towarzyszkę jako specjalistkę od planowania przestrzennego. Kiedy zaczęło im brakować tematów, zerknęli do środka kościoła, żeby znaleźć punkt zaczepienia dla kulejącej konwersacji. Wokół figury zabitego Chrystusa klęczał tłum wier-nych.

- Niesamowita rzeźba - powiedziała Justin. - Bardzo dziwne, żeby Go tak przedstawiać, leżącego w trumnie, prawda? - Kiedy pierwszy raz zobaczyłem tę figurę - stwierdził Schleicher - przypomniała mi Che. Wicie, co nam na myśli, to zdjęcie zaraz po zamachu. Nadal mi przypomina.

Tecanka uśmiechnęła się lekko i przytaknęła.

- Ciekawe, z czego ją zrobiono? - zastanowiła się na głos Justin. Tecanka roześmiała się głośno - zdaniem Justin trochę za wesoło - i zwróciła się do Schleichera:

- Typowe pytanie mieszkańca Stanów Zjednoczonych: z czego to zrobiono?

Schleicher też parsknął śmiechem, jakby się zgadzał, że to typowe pytanie mieszkańca Stanów Zjednoczonych. - Już taka jestem - przyznała siostra Justin. - Oglądając katedrę Notre Dame,

zastanawiałam się, ile może ważyć. Tam skąd pochodzę, wszyscy reagują podobnie.

W śmiechu dziewczyny nie brzmiała już taka pewność. Ojciec Schleicher pospieszył z pytaniem, skąd pochodzi siostra Justin, ale ona nie odpowiedziała. Mówiła mu już to wystarczająco często. -

Studiowała pani w Stanach? - zwróciła się do Tecanki. - Tak. Tak, w Nowym Orleanie. Na uniwersytecie św. Ignacego Loyoli.

- Przypuszczam, że świetnie się tam pani bawiła - odparła Justin. - Planowanie przestrzenne.

- Tak - przyznała ostrożnie dziewczyna.

Godoy zakończył rozmowę ze starszymi duchownymi i przyłączył się do nich. Wymienili parę zdawkowych uprzejmości, potem on i Justin pożegnali się i zeszli na plac. Justin przytępała się na tym, że zastanawia się, czy ojciec Schleicher nie sypia z młodą absolwentką planowania przestrzennego. Westchnęła, wściekła na siebie za swoją małostkowość i złośliwość. Dziś wieczorem uważała za wroga każdego, kto miał cel w życiu, kto był mniej samotny i pobity niż ona.

Plac pustoszał. W cieniu drzew kryli się mężczyźni. Żebrali albo wołali za przechodzącą parą, prosząc o błogosławieństwo, które uchroni ich przed koszmarnymi wizjami po bimbrze. Jakiś młody chłopak zaświergotał za nimi. Rozległ się kobiecy śmiech. Tłumy, światła i muzyka przeniosły się teraz na drugą stronę kościoła, gdzie rozstawiono kramiki i karuzelę dla dzieci. Tłum pozdzierał girlandy i lampiony, opustoszała główna ulica biegła ku ostremu światłu mieszkań spółdzielczych.

- Głodna? - spytał ojciec Godoy.

Justin wcale nie odczuwała głodu, przypuszczała jednak, że jej towarzysz owszem. Skinęła głową.

- Damy dzieciakom trochę czasu. Niech sobie poszaleją, zanim ich aresztujemy. A teraz, jeśli ma siostra ochotę, zajrzemy do Chino.

Chino był właścicielem restauracji o nazwie Gran Mura de China. Znajdował się tam niewielki balkonik z dwoma stolikami, skąd rozciągał się widok na zatokę.

Kiedy przyszli, główna sala Gran Mura de China świeciła pustkami, a żona i córka Chino siedziały przy stole bawiąc się kapiszonami. Justin i Godoy uśmiechnęli się do nich i ruszyli na górę. Zajęli

miejsca. Godoy zapalił Winstona.

- Wie ksiądz, co ojciec Schleicher powiedział o figurze? - spytała Justin. - Że przypomina mu Che.

Godoy wpatrywał się w nią spokojnie, bez uśmiechu.

- Ojciec Schleicher tak powiedział? Nie żartował?

- To nie był żart. Wydaje mi się, że chciał na coś zwrócić uwagę. - Ikonografia - oświadczył niejasno

Godoy, strzepując popiół i spoglądając nad światłami falochronów na ciemne morze. Po chwili na

górze przyszła córka Chino, żeby przyjąć zamówienie. Fartuch przykrywał białą świąteczną sukienkę.

Dziewczynka widać była wcześniej na placu.

Godoy zamówił krewetki z ryżem; Justin butelkę piwa Germania. - Wuj ksiądz słyszał o naszych

problemach - odezwała się Justin, kiedy kelnerka odeszła. Zaskoczone spojrzenie Godoya uznała za nieprawdziwe. Przecież nie mógł o tym nie słyszeć - pomyślała.

- Zamknę misję i wracam do domu. Dość mam kłótni z zakonem, a nie wierzę, żebyśmy cokolwiek tu osiągnęli. - Prawdziwa szkoda, że nie ma siostra poparcia. To musi być bardzo trudne.

- Tak, bardzo trudno wyjść na idiotkę i nic przy tym dobrego nie działać. Ale oczywiście przyda mi się ta nauka. - Godoy zaczynał jej działać na nerwy. - Kolejna przeklęta, cenna nauka na przyszłość.

- Muszę się siostrze przyznać - powiedział ksiądz, przyglądając się, jak dziewczynka podaje zamówiony posiłek i piwo - że bardzo przykro mi słyszeć, że zamyka siostra punkt.

- Doprawdy? - spytała niecierpliwie Justin. - Cóż, bardzo mi miło.

Jest załamująco wzorowy, pomyślała.

- Wybacz siostra - odezwał się Godoy. - Nic dzisiaj nie jadłem.

- Niech się ksiądz nie krępuje.

Uznała go za fircykowatego i próżnego. Za takiego, co to boi się kobiet, a więc jest wobec nich wrogo nastawiony. Bardzo długo sądziła, że Godoy ma trudności ze zrozumieniem potocznej

angielszczyzny, teraz była prawie pewna, że udaje. - Wie siostra - podjął Godoy, jedząc krewetkę -

wydaje mi się, że została siostra tak długo dlatego, że ja tego chciałem. - Żartuje ksiądz?

- To taki mój przesąd.

- Jeśli nawet chciał ksiądz żebyśmy zostali, okazywał to ksiądz w wyjątkowo subtelny sposób.

- Nie tylko dlatego, że siostrę lubię - ciągnął ksiądz. - I nie dlatego, że stanowiła siostra wzór cnót i uosobienie idealnej jankeskiej misjonarki. Bo widać, że siostra wcale tym nie jest. Zaskoczyła ją bezpośredniość tego stwierdzenia.

- W takim razie dlaczego?

- Bo znam sposób myślenia siostry. Znam podejście siostry do świata. Znam nawet książki, które siostra ma.

Justin przyglądała się, jak ostrożnie je krewetkę.

- W takim razie wszyscy już muszą o tym wiedzieć. Czyli najprawdopodobniej wpadłam w tarapaty.

Wzruszył ramionami.

- Jest siostra Amerykanką z Północnej Ameryki i to siostrę chroni. I arcybiskup na swój sposób też siostrę osłania. - Campos - rzuciła.

- Na razie nie musi się siostra obawiać Camposa.

Mówiąc to, nie odrywał spojrzenia od talerza.

- Naprawdę, próba utrzymania punktu była z mojej strony szczytem głupoty.

Godoy zerknął na nią z rozbawieniem.

- Nie wiem, co sobie siostra wyobrażała. Ale podziwiam siostrę za to. I współczuję.

- Byłam naiwna, jak zwykle.

Znowu uniósł wzrok znad talerza i popatrzył jej w oczy. - Gdzież siostrze do mojej naiwności! A przecież ja się tutaj urodziłem. Uważa siostra, że poniosła klęskę? Oczywiście że tak. Tutaj wszystko jest klęską. Cały kraj to jedna wielka klęska.

Rozpacz, nie historia.

- W tym, co ksiądz mówi, w ogóle nie ma nadziei.

- Od tego zaczynamy. Właśnie od tego założenia.

Skończywszy jedzenie, ksiądz wypił łyk Germanii i zapalił kolejnego Winstona. Od piwa lekko poróżowił jego blady, dzio-baty policzek.

- Kiedy chodziłem do kolegium jezuickiego napisałem list, z którego byłem bardzo dumny.

Napisałem do waszego prezyden-ta, Eisenhowera.

- Wielkie nieba. Do pocziwego, starego Ike'a.

- Tak, do samego Ike'a. I drugi taki sam list wysłałem do przywódcy naszej opozycji, nazywał się Enriq̄ue Matos, ze wspa-niałej Partii Liberalnej. W owych listach, które skropiłem łzami, napisałem, że jeśli wolny świat chce zwalczyć komunizm, musi zejść z drogi ładu zysku i wąskiego partykularyzmu, a wkroczyć na drogę naszego Wielkiego Zbawiciela. Tego samego, którego śmierć dziś oglądaliśmy.

Godoy zgniółł Winstona w popielniczce i włożył do ust kolejnego papierosa.

- Napisałem, że Ike i Matos - musi siostra zrozumieć, byłem jeszcze dzieckiem - winni pamiętać, że ich przywództwo ma mieć charakter duchowy. A także, że nie zwracają uwagi na zło, które niszczy nasz kraj, że cierpimy z powodu władzy, bogaczy, a także sposobu, w jaki traktuje nas Ameryka Północna.

- Tego samego tygodnia mój ojciec zniknął. Nie na długo i wrócił żywy. Był emigrantem z Hiszpanii, pracował w stolicy jako zegarmistrz. Nie zrobili mu dużej krzywdy, ale był śmiertelnie przerażony.

Powiedział, żebym już więcej nie pisywał listów. - Jakiś czas potem przyszedł list z Białego Domu w Waszyng-tonie. Zapewniam, że w naszym domu nie stało się to powodem do radości, moi rodzice pod wieloma względami byli dość prości i nieobyci. List był bardzo przyjacielski. Ike dziękował za mój list. Podpisał się sekretarz. Typowy formularz.

- Formułka - poprawiła Justin.

- Tak, formułka. - Zapalił Winstona i wydmuchnął dym w górę. - Kiedy tamten rząd był u władzy, ludzie często znikali. Kiedy prezydentem została nasza nadzieja, nasz Matos, nic się nie zmieniło.

Teraz jest tak samo. Za czasów prezydentury Matosa w stolicy mieszkał pewien człowiek z waszego

kraju - był głową wywiadu i bliskim przyjacielem Matosa. W ubiegłym roku jego nazwisko pojawiło się kilka razy w prasie w związku ze skandalami w Waszyngtonie. Dziś przypuszczamy, że bardzo dużo wiedział o tym, kto i dlaczego zniknął. Dziwnie się czułem, kiedy czytałem o nim w prasie. Wydawał się głupawym, zabawnym człowieczkiem. Takim, którego można by nawet polubić. Justin milczała.

- Będę się do ciebie zwracał po imieniu, Justin.
- Już od tak dawna je noszę - powiedziała - że chyba rzeczywiście stało się moim imieniem.
- Jeśli powiesz swojej władzy, że zgadzasz się wyjechać, ile czasu udałoby ci się jeszcze zostać w misji?
- Cóż - odparła Justin - zacznijmy od tego, że działka stanowi własność spółki, która natychmiast ją odbierze. Mamy lekarstwa i meble, więc przypuszczam, że to przejmą i w ciągu tygodnia może nas już tam nie być.

Godoy z rozczarowaniem pokręcił głową.

- Niedobrze - stwierdził. I nim zdążyła spytać, co miał na myśli, dodał: - Co zamierzasz robić w Stanach?
- Nie wiem. Na pewno wystąpię z zakonu. Prawdopodobnie rozejrzę się za pracą. - Zmieszana poprawiła włosy. - Boję się o tym myśleć.
- Chcę, żebyś utrzymała misję. Przynajmniej na miesiąc. Możesz próbować metody uników. Upieraj się, że ojciec Egan nie wytrzyma podróży.
 - Ojciec Egan umrze, jeśli tam dłużej zostanie.
- Dobra, w takim razie odeślij Egana. Ale zrób, co w twojej mocy, żeby nie zamknąć misji.
 - Ale dlaczego?
- Dlatego, że mam przyjaciół, którzy działają nielegalnie. Szykują jbcu w górach. Przez jakiś czas będą potrzebowali miejsca na wybrzeżu.
 - Będą walczyć?
- Nie tutaj. Ale stosunkowo niedaleko. Wiesz, przez tyle lat był tylko dym. - Pozwolił sobie na

przelotny uśmiech. - Ale teraz nadeszła już pora.

- Ojej - powiedziała. Serce jej zakotało.
- Tak więc przydałaby nam się twoja pomoc. O ile zechcesz.
- Dziękuję, że poprosiłeś - odparła Justin. - Że mi zaufałeś.
- Mam powody, by ci ufać i łatwo było spytać.

Przyglądał się jej. Wiedziała, że ocenia jej wahanie. _ - Nie chodzi tylko o korzystanie z budynków.

Ty też byłabyś nam potrzebna. Ale jeśli uważasz, że nie możesz... Cóż, zro-zumiem.

- Pomogę wam - usłyszała swój głos Justin. - Na ile będę mogła. Nie tylko udzielając wam schronienia. Niczego bardziej nie pragnę jak wam pomóc.
- Nie próbuję cię namówić ani wciągnąć. Musisz sama podjąć decyzję.
- Nie mam rodziny. Ani domu. Idę tam, gdzie mnie ktoś potrzebuje. Widzisz, można powiedzieć, że pod tym względem mam szczęście.

Nie potrafiła odczytać, co kryje się w jego spojrzeniu. Nagle zapragnęła, żeby wyciągnął rękę i dotknął jej: poklepał po ramie-niu, ucisnął dłoń, gestem potwierdził umowę, którą właśnie zawarli. Ale on się nie poruszył i ona też nie.

- To będzie walka zbrojna, więc ktoś może zginąć. Nie będę cię oszukiwał.
- Nie mam za sobą pacyfistycznej przeszłości - odparła. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że to musiało zabrzmieć chłodno i pedantycznie. Ciągle się zastanawiała, co Godoy o niej sądził. Fakt że spytał, że chciał wiedzieć, czyby nie pomogła, świadczył, że jakoś ją ocenić musiał.

Tak - pomyślała. - Na pewno musiał.

Godoy zerknął na zegarek.

- Chodźmy - powiedział.

Ruszyli razem w stronę ciemnego placu, z daleka dobiegały odgłosy płynącej przez głośnik muzyki i hałasy zabawy. - Gdybyś została - odezwał się Godoy - może udałoby się nam ustalić jakoś twój status w Kościele. Tak by było lepiej. - Jak uważasz.

- Na razie nie będziemy więcej o tym rozmawiać. W tygodniu.

Spotkamy się i omówimy sprawę dokładniej.

Justin skinęła głową; znowu poczuła się samotna, ogarnął ją lęk. Kiedy doszli do placu, Godoy przystanął i obrócił się ku zakonnicy.

- W naszej pracy trzeba się trochę zmienić - powiedział. - Człowiek się rozwija i staje się nieco inny.

To bywa dość trudne dla ego, ale to konieczne.

- Rozumiem - odparła.

Rozumiała doskonale. Przesłanie, które chciał jej przekazać, było przesłaniem, które słyszała przez całe swe dorosłe życie i wedle którego zawsze żyła.

Świetnie się będę czuła w tej skórze - pomyślała. Podniosłoby ją na duchu, gdyby mogła to powiedzieć na głos, ale nie zrobiła tego: bo zabrzmiałoby zbyt wzniosie i zarozumiale, a także dlatego, że Godoy by nie zrozumiał. Zdaniem Justin, był pozbawiony poczucia humoru.

Natychmiast skarciła się, że zwraca uwagę na brak humoru Godoya. To było osądzanie, a poza tym pewien przejaw swego rodzaju rasizmu.

Lepiej się zajmij swoją powagą - nakazała sobie w duchu. Za kościołem znajdowało się małe wesołe miasteczko. Między zniszczonym osiemnastowiecznym murem a rzeką zaparkowały jaskrawe wozy objazdowego wesołego miasteczka ze stolicy. Rozstawiono dwie karuzele, jedną łańcuszkową z różowymi i fio-letowymi gondolami oraz drugą, zwaną Carretera de Fortuna. Dwaj lodziarze przyciągnęli wózki z placu, stał też jeden sprzedawca balonów, człowiek z przepowiadającą przyszłość papugą i Az-jata w kimonie, który demonstrował młodej widowni ciosy karate. W jednym stoisku sprzedawano wodę sodową, piwo oraz czarny albo biały rum.

Koło przenośnego agregatu stał samochód wynajęty przez przedsiębiorczego Syryjczyka - ale pusty i cichy. Muzykę zapewniały karuzele. Melodie, które z nich płynęły, były równie stare i zgrzytające jak ich mechanizmy. Nad placem wisały kolorowe żarówki, każdą otaczał rój drobnych owadów przyciągniętych przez światło.

Justin i Godoy mijali kościół. Z cienia wynurzyli się żebracy. W mroku wyglądali niczym malutkie, nie przypominające ludzi sylwetki, kupki ubrań z wyciągniętymi dłońmi, mamroczące coś żałośnie. Justin rozdała kilka drobnych monet: dziesiątek i dwu-dziesiątek. Ksiądz Godoy nie dał nic.

Kiedy wyszli na główną aleję, jedno z urządzeń grało właśnie La Cumparsitę. Oświetlenie było niesamowite: błyszczało wszystkimi kolorami tęczy. Buzie dzieci nabrały nieziemskiej poświaty, trawa wyglądała, jakby ją pomalowano.

Mężczyźni byli pijani i ponurzy, ale większość tłoczącego się na placu tłumu stanowiły kobiety i dzieci. Za linią światła, niczym bandy rozbójników czaiły się grupki młodzieży, niektórzy palili marihuanę. W ciemnościach spowijających rzekę rozległ się krzyk pijanego albo szaleńca, ale zagłuszyła go muzyka.

Ludzie kłaniali się księdzu. Kamienne indiańskie rysy łagodniały, szybko zdzierali z głów słomiane kapelusze i przyciskali je do piersi. Ksiądz Godoy i Justin górowali nad tłumem. - Kiedyś przyjeżdżało tu wesołe miasteczko z prawdziwego zdarzenia - powiedział Godoy. - Było mnóstwo namiotów, przed-stawień. Teraz to już nie to, kino wszystko wyparło. - Ale i tak robi wrażenie - odparła Justin.

Czwórka podopiecznych Godoya czekała w kolejce przed większą karuzelą. Justin przyglądała się, jak ksiądz zgarnia chłopców, stukając w zegarek. W odpowiedzi dzieci zamachały czerwonymi biletami. Wzruszył ramionami i rozglądał się nad głowami ludzi. Justin miała ochotę na piwo, ale uznała, że nie powinna zbliżyć się do budki, którą otaczali pijani.

- Brakuje dwóch - zwrócił się do niej Godoy. - Z nimi zawsze tak.

- Nie ma sprawy - odparła Justin. - Poczekam przy karuzeli. Podczas gdy Godoy przeczesywał ciemniejsze miejsca, Justin znalazła sobie miejsce w pobliżu karuzeli. Wokół niej stały matki, których dzieci właśnie się kręciły i matki z dziećmi, które przyglądały się jadącym na karuzeli.

Uważa mnie za kretynkę - myślała Justin z lękiem. - Przejrzał moją głupotę, Zwróciwszy twarz ku wirującej karuzeli, oczami duszy oglądała swój wewnętrzny świat. Oczywiście, był głupi, ale za to

uporządkowany, niczym korytarz jakiejś szacownej instytucji: ściany i podłogi nieskazitelnie czyste, cierpienia i ludzie ukryci za białymi parawanami. Dziewicze miejsce, przypominające nieco bielony grób. Panował tam półmrok i smutek, święci ukryli się za całunami, a nawet jeśli znajdowało się tam jakieś tabernaculum, stało otwarte i puste. Owo miejsce było bardzo, bardzo daleko. Przeraziła ją ta myśl.

Daleko... Daleko, ale skąd?

Napawało lękiem, przywodziło na myśl więzienie - tak samo jak świat. Ze swojego miejsca, przez światła latarni, popatrzyła na ludzi. Miała wrażenie, że dzielą ją od nich całe mile. Ale przecież była już kiedyś w więzieniu i się bała. Szła nocą wśród cykania świerszczy do miejsca, gdzie plantacje bawełny były oświetlone latarniami i ogrodzone drutem kolczastym. Szła pod rozgwieżdżonym niebem Missisipi do baraku śmierdzącego odpadkami i moczem. Wtedy w baraku gaszono światła i z mroku płynął głos kobiety, opowiadającej historie o duchach. Ta noc była torturą zarezerwowaną dla agitatorów. Żadnego bicia ani wiadra na głowę - tylko ciemność i opowieści o duchach. Ktoś powiedział: "Ludziska, gdyby tu byli Folkway Records. Siedzieli by w baraku dla czarnych, bo białe dziewczyny by ich zabiły". W sali obok ich zatłoczonej celi czarne dziewczyny śmiały się, jęczały, albo wrzeszczały; niektóre były przyjazne, inne szalone, a inne uzbrojone w żyłki.

- Kto zabrał moją Złotą Rękę? - rozlegał się przytłumiony głos przełożonej.

W tamtych okolicach uważano, że zakonnice przynoszą pecha.

Do diabła - powiedziała w duchu Justin - nie jestem głupia.

Musi sobie z tego zdawać sprawę.

Widziała strzelby i psy. Na własnej skórze poznała różnicę między prawdziwymi ranami a malowanym męczeństwem. Miała odwagę - odziedziczyła ją po rodzicach. Całe życie wspierała i solidaryzowała się z tym, co najlepsze. Zawsze gotowa ruszyć tam, gdzie potrzebowano ochotników.

Dziś się nie boimy - pomyślała. - W co ja się pakuję?

Przeszył ją dreszcz.

Wtedy uniosła wzrok i zobaczyła, że ksiądz Godoy stanął naprzeciwko niej przy barierce wokół karuzeli. Ponieważ Justin miała źródło światła za plecami, sądziła, że może bez skrępowania go obserwować. Obok niego stali brakujący dwaj starsi chłopcy. Wyglądali na pijanych i rozłoszczonych. Godoy przyglądał się dzieciom wirującym na karuzeli.

Muzyka grała marsza z jakiejś starej operetki. Dzieci, z oczami pełnymi blasku, wyciągały ręce, by złapać mosiężne kółko, zawieszane na stojaku niedaleko księdza Godoya. Przesuwały się przed nim: niewyrośnięte, chore, wiele z nich karłowatych albo pokrzywionych, owe sześćdziesiąt pięć procent tecańskich dzieci, które przeżyły okres niemowlęcy. Patrzył na nich wzrokiem, jakiego Justin nigdy nie widziała w oczach nawet najlepszego ojca spoglądającego na swoje dzieci. Jego oczy lśniły tak samo jak ich, płonęła w nich tak gorąca miłość, że Justin ogarnęło coś bliskiego zawstydzeniu. Miała wrażenie, że to poczucie bliskości, porozumienie, których oczekiwała od wszechświata, zebrało się w oczach księdza. Między nimi wirowały dzieci na drewnianych koniach, potomstwo cam-pestnos, rojos fibaros - dzieci szumowin, pohrecitos. Justin nie mogła oderwać wzroku od obserwującego dzieci księdza.

Rozdział czwarty

O czwartej zero jeden zszedł ze zmiany i wypalił ostatniego papierosa w czasie służby. Mijając stanowiska wydziału poszukiwań i pomocy, ruszył w stronę automatu z colą. Przez okno pomieszczenia operatorów zobaczył płonące, przejrzyste, złotawe niebo.

- Och - szepnął cicho.

Breedlove, oficer kancelaryjny operatorów, bacznie mu się przyglądał.

- Stary Pablo musiał wypalić z tysiąc papierosów - zwrócił się do swojego młodszego oficera. -

Przyglądałem mu się całą noc, kurzył jak lokomotywa.

- Zejdź ze mnie, Breedkwe - warknął Tabor. - Już ci mówiłem. - Powietrze - ciągnął Breedkwe mrugając do pomocnika. - Po--wie-trze, oto czego ci trzeba, Tabor.

- Dajcie mu powietrza - podjął szybko młodszy oficer. Pablo słuchał, jak monety grzechoczą w automacie i jak butelka sunie przez metalową rynnę. Wziął lodowatą butelkę w rozgrzaną rękę i otworzył colę.

- Wiecie, jesteście niczym więcej niż dwoma cholernymi mu-chami, które bzyczą mi w mózgu.

Młodszy oficer się uśmiechnął.

- Niczym więcej.

- Wszyscy jesteście jak domki z kart - stwierdził Breedkwe. - Ej, dobranoc, Tabor! - zawołał za wychodzącym kolegą. - Spij dobrze, słyszałeś?

Wychylił się zza biurka, żeby się upewnić, czy Tabor nie usłyszy i zwrócił się do młodszego oficera.

- Nie myśl sobie, że znowu nie naćpał się tych swoich pigulek.

Wystarczy spojrzeć na te maleńkie oczka. - Zmrużył powieki. - Nasz operator stacza się w tempie błyskawicy. Ledwo łązi, cały się trzęsie.

- Drgawki - oświadczył młodszy oficer.

- Nie myśl sobie, że go nie nakryją - oznajmił pogodnie Breedkwe.

- Tego starucha? Pewnie, że go nakryją, jeszcze jak. - Jr ewnego dnia - myślał Tabor w drodze do szatni

- zabiję tego kościstego drania. Ale on tak bardzo mnie potrzebuje, że jednak tego nie zrobię.

Zdjął roboczy kombinezon i przebrał się w ubranie cywilne. Dziś rano była to jedwabna koszula, spodnie z tkanego ukośnie materiału, pseudoskórzana kurtka i modne buty z cholewkami. W kieszeni kurtki zagrzechotała butelka po aspirynie, w której trzymał pastylki dexedryny. Przebrawszy się Pablo postawił buteleczkę obok coli i usiadł na ławce, chowając twarz w dłoniach. Chryste - powiedział w duchu - i za takie gówna ja tu ciągle siedzę. Płakać się chce. Rany.

Poderwał się i lewym łokciem rąbnął w metalowe drzwiczki szafki, poprawiając prawą dłoń.

Byle łachudra może mi wymyślać, a ja dalej tu siedzę za tę gównianą forszę. Nic mi to nie robi.

Opadł na ławkę, odkręcił buteleczkę po aspirynie i wsunął dwie tabletki dexedryny do kieszeni

koszuli. Dwie pastylki popił colą. Jeszcze ten Breedkwe - pomyślał. - Powiem mu jeszcze raz i dość.

Stara Breedlove'a pracowała w supermarkecie. Niezła babka.

Daj żyć, Boże - modlił się Tabor, wychodząc. - Daj mi chwilę ulgi, niech mój umysł na chwilę się uciszy. Odrobinę odpoczynku. Kiedy ruszył do wyjścia, przypomniał sobie o butelce coli, którą trzymał w ręku. Zawrócił więc do działu poszukiwań i pomocy i wstawił butelkę do pojemnika.

Widział, że Breedkwe uważnie mu się przypatruje. Podeszedł do biurka i nachylił się, póki Breedkwe się do niego nie zbliżył.

- Chcę ci coś powiedzieć, Breedlove - oświadczył przysuwając się bliżej i mówiąc tak cicho, że Breedlove musiał się nachylić, żeby go usłyszeć. - Masz się ode mnie odczepić, jasne? A jeśli nie, zawlokę cię na Gulfstream Plaża przed ten duży supermarket i stłukę tak, że ci się odechce. A twoja starsza pani będzie się temu przyglądać przez okno, siedząc za kasą.

Breedkwe odszedł blady, potrząsając głową.

Tabor odmeldował się i wyszedł na dwór. Wzdłuż chodnika wiodącego do wyjścia i parkingu rosły krzewy magnolii. Na niebie pojawiło się cytrynowożółte światło, rzucając blask na gładką powierzchnię zatoki, biały kadłub kutra, przycumowanego do mola. Na wschodzie promienie zapalały się na stalowych zwojach rafinerii Escondido, a w oddali, na autostradzie, niczym ślepia węża błyszcząły światła samochodów jadących na północ. - Chryste, niech wreszcie się zacznie - odezwał się Tabor. Z kluczykami w dłoni szedł w stronę swojego Chewy. Włożył je do zamka, uśmiechnął się i oblizał wargi.

Przyjdzie taki dzień - pomyślał - kiedy będę miał samochód, gdzie kluczyków nie wkłada się do góry nogami.

- Poszło - powiedział głośno. Zaczynało trochę ustępować, obejrzał się przez ramię, żeby popatrzeć na niebo.

Niech się wreszcie zacznie, Boże, jeśli naprawdę chcesz, żebym stał się Twoim osobistym promykiem słońca.

Wyjechawszy za bramę, minął drogerię i uśmiechnął się na widok furgonetki z melonami.

Dzień dobry, chłopcy. Śliczne melony, doprawdy, śliczne. Ochłonął kiedy znalazł się w mieście. Przejeżdżał wzdłuż rzędów kutrów przycumowanych do mola, minął targ rybny, bar. Pierwsze promienie słońca rozjaśniły szerokie, brudne chodniki przy głównej trasie. Kilka Meksykanek w dopasowanych dżinsach maszerowało w stronę fabryki konserw.

Tabor zaparkował wóz tuż obok hotelu Sullivan. Hotel Sullivan był trzypiętrowym budynkiem z matowymi szybami o zaokrąglonej linii. Nad drzwiami wisiał napis: "Locker Club. Wojskowi mile widziani" Tabor wszedł do środka, przemierzył mały, zakurzony hall, kierując się do baru w głębi. Bar składał się z bufetu na kółkach, plastikowych stolików krzesel, ale prawdziwym skarbem Sullivan była szafa grająca. Pochodziła z czasów drugiej wojny światowej, podobnie jak znak Locker Club nad drzwiami wejściowymi. Właśnie kręciła się płyta Lindy Ronstandt z nagraniem Heart Like a Wheel. Przy jednym ze stolików siedział Mert McPhail, szef służby radiowej. Towarzyszyły mu dwie dziewczyny w kombinezonach. Piły Jax. Przed McPhaiem stała butelka burbona i papierowy kubek z lodem. Cała trójka podniosła wzrok, kiedy wszedł Tabor. Starsza dziewczyna nazywała się Nancy.

- Heeeej, Pablo! - zawołała, gdy ku nim podchodził. - Jak się miewasz, chłopcze?

- Hej - odparł Pablo.

- Napijesz się, kochany? Masz ochotę na whisky? Może jakiś koktajl?

- Wystarczy piwo. A może wszyscy byśmy się napili piwka? - Gracias, amigo - powiedziała Nancy i

ruszyła w stronę lodówki. Tabor przyciągnął krzesło i usiadł obok McPhaila. - Jak leci, McPhail?

McPhail spędził w hotelu większą część nocy. Był zmęczony i pijany. Potężny, tysiejący mężczyzna o

brązowej pomarszczonej twarzy - opuszczone ramiona, metr dziewięćdziesiąt, może nawet

dziewięćdziesiąt pięć. Popatrzył na Tabora z niesmakiem. Jego towarzyska przyglądała się im obu z

szerokim uśmiechem. - Naprawdę świetnie - podjął Tabor. - Wiecie - odezwał się po chwili - rano

jest taki ładny, że może się wybiorę na ptaki. Mam w samochodzie Remingtona. Podjadę sobie na

lotnisko i ustrzelę jakiego sępa.

Dziewczyna przy stoliku zerknęła na stopy Tabora. - Będziesz się babrać w tym błocie? W takich

fajowskich butach? Zniszczysz je sobie.

- Co mi tam.

Nancy przyniosła piwo i rozstawiła butelki.

- Nie znam się na sępach - stwierdziła - ale założę się, że mógłbyś tam sobie upolować aligatora.

- Jeśli się natknę na bydlę, rozłożę je na łopatki. Jak myślisz, McPhail, dałbym radę aligatorowi?

McPhail bacznie przyglądał się gołej ścianie za Taborem.

- A skąd mam niby wiedzieć? - odparł.

- Mógłbyś mi sprezentować notes - wtrąciła się szybko Nancy. - Ale to chyba teraz zakazane, nie?

Posiadanie notesów z kroko-dylej skóry jest niezgodne z prawem.

- Tak samo niezgodne z prawem, jak wszystko, co się tu dzieje - oświadczyła młodsza dziewczyna.

Po chwili McPhail dźwignął się ciężko na nogi i poszedł do toalety. Tabor wziął piwo i jednym

haustem opróżnił pół butelki. - Pić się chce - stwierdził.

Dziewczyny roześmiały się, jakby powiedział dowcip. - Ej, Pablo - zahaczyła Nancy - od razu

jedziesz na polowanie czy jeszcze trochę zostaniesz?

- Nie wiem - odparł. Wziął piwo i poszedł do męskiej toalety, w której wcześniej zniknął McPhail.

McPhail stał przed pisuarem, odlewając się z zadowoleniem. Trzymając butelkę w ręku, Tabor stanął tuż za mężczyzną i oparł się o ścianę.

- A więc jest na mnie doniesienie, hej, szefie?

McPhail obejrzał się, próbując zobaczyć stojącego za nim Tabora.

- Owszem, wpisałem cię do raportu - oznajmił, jakby w tej chwili sobie o tym przypomniał. - Notatka leży ciągle na moim biurku. Załatw to do poniedziałku.

Przestał się załatwiać i szybko zapiął rozporek.

- Jasne - powiedział Tabor. - Naprawdę chciałbym to załatwić, wiesz, co mam na myśli, szefie?

McPhail pospiesznie wyszedł z łazienki. Kiedy Tabor wrócił do baru, zwierzchnik siedział na stołku barowym przy ruchomym bufecie i przeczesywał cienkie czarne włosy. Tabor przyglądał mu się z

rozbawieniem.

- I czym ty je czeszysz, McPhail? Swoimi szczynami? Nie umyłeś rąk.

Młodsza dziewczyna wstała z miejsca i wyszła z baru do hallu.

McPhail próbował zeskoczyć ze stołka. Nogi mu drżały. - Mam cię już dość, ty zwariowany sukinsynu - powiedział, ruszając ku Taborowi. - Ty przeklęty czubku.

Tabor się nie cofnął, ręce trzymał opuszczone.

- Niech nic cię nie powstrzymuje, McPhail, nawet strach. Nancy wsunęła się między mężczyzn. Wyglądała, jakby lada chwila miała się uchylić.

- Uspokójcie się - mitygowała. - No, co wy?

- Co ci, do cholery, odbiło, Tabor? - spytał McPhail. - Rozum żeś stracił czy co?

- Z twojego punktu widzenia może i o wiele więcej - brzmiała odpowiedź Tabora. - Ale mnie się nie podoba twój punkt widzenia. Nawet nie myjesz rąk, kiedy się wysikasz.

McPhail wpatrywał się w niego pustym wzrokiem. Przerastał Tabora o głowę.

- Po prostu odleciałeś - oświadczył wreszcie. Zrobił krok w stronę drzwi i potknął się, jak opasły starzec. - Powinieneś pójść do lekarza.

Nancy obrzuciła Pabla Tabora spojrzeniem matki, która wie wszystko o swoim synu.

- Wszyscy wreszcie będą cię mieli dość, Pablo. Nie tylko straż przybrzeżna. Wszyscy.

- Cóż, wielka szkoda - odparł Pablo, kończąc piwo. - Gównu mnie to obchodzi. Wynoszę się stąd. Muszę.

- Poprosisz o przeniesienie?

- Sam się przeniosę - oznajmił Tabor. - Ten posterunek mnie wykańcza.

- A gdzie byś poszedł, gdybyś miał wybór?

- Poczekałbym na wiadomość. Kiedy dostanę wiadomość, wtedy do widzenia. To może być w każdej chwili. Nawet dziś. - Cóż - odezwała się Nancy - mam nadzieję, że dobrze to sobie rozegrasz. -

Zniżyła głos i zerknęła na drzwi wiodące do hallu. - Ej, Pablo... nie masz pod ręką trochę zbędnej

amfy albo czegoś w tym rodzaju?

- Nie - uciął Pablo i wyszedł.

Ruszył ku głównej ulicy i skręcił na zachód, mijając stare drewniane domy z obłazającymi z farby żaluzjami i nie ogrodzonymi podwórkami. Po paru przecznicach domy i bruk się skończyły, droga wiała się między błotem i zaroślami, które ciągnęły się aż po odległą linię sosen. Na końcu drogi stał mały kwadratowy budynek, z zagrodzonym wybiegiem dla psów. Tabor zaparkował na błotnistym podwórku obok kojca. Ledwo wysiadł, psy zaczęły ujadać.

- Cześć, pieski - powiedział.

Jego dwa krótkowłose psy znajdowały się w najbliższej zagrodzie. Na widok pana oszalały z radości, przyciskały nosy do kolczastego drutu, wyły, drapały o drewniane wrota. - Chwileczkę, chwileczkę - uspokajał Tabor.

Z kartonowego pudła w bagażniku wyjął Remingtona kaliber dwanaście, włożył do kieszeni naboje.

Na horyzoncie pojawiła się tarcza słońca. Na nos wsadził okulary przeciwsłoneczne. Uwolnione psy w błyskawicznym tempie okrążyły podwórko i podbiegły do Tabora, skacząc mu na ramiona, szarpiąc go za nogawki, póki nie uspokoił ich kopniakiem.

- Spokój, dranie! - krzyknął. - Co wy sobie wyobrażacie? Co wy sobie wyobrażacie, co?

Z chaty wyszedł stary Murzyn z dzbankiem kawy w ręku. - Bierze pan je na spacer? - spytał, zerkając na strój Tabora, który bardziej pasował do sobotniej zabawy niż spaceru z psami. - A co innego? - odparł Tabor.

Dał starcowi trzy dolary - opłatę za przechowanie psów. Tabor mieszkał w przyczepie, właściciel kempingu nie zgadzał się na trzymanie psów.

- Widział pan jakieś ptaki? - spytał Tabor.

- Zара... Widziałem jednego, może ze dwa po tamtej stronie lądowiska. Na tym suchym kawałku.

Akurat nie miałem przy sobie strzelby.

- Szkoda.

Stary przyglądał się jak Tabor wyjmuje z buteleczki dwie tabletki i łyka, popijając kawą.

- Najchętniej ustrzeliłbym jeden z tych samolotów - stwierdził Tabor. - Kurwicy można dostać od tego hałasu. Płoszą krowy. I psy.

- Lepiej tego teraz nie robić.

Tabor odstawił kubek i wziął broń.

- Marnuję tutaj czas - zwrócił się do starca. - Marnuję najlepsze lata swojego życia, nie pieprzę.

- Gnębi cię to, co? - Siadł, czekając aż Tabor weźmie psy i sobie pójdzie. - Pewnie dlatego, żeś młody;

Twoje prawo. Szukać. Szarpać się na smyczy, he, he.

- Szarpać się na smyczy - powtórzył głucho Tabor. - Cóż, do zobaczenia.

- No, do zobaczenia - odparł tamten. - Może trafi się panu coś w tych suchych krzakach.

Ruszył ścieżką usypaną przez moczary, psy biegły przed nim, słońce świeciło mu w plecy.

Szarpać się na smyczy. Dobra - myślał Tabor. - Staruch nie miał nic na myśli. Stary czarnuch, który żyje ze strzelania do byle gówna.

Psy trafiły na ślad królika, węszyły podekscytowane, pochylone, szaleńczo machając kikutami. Tabor kopnął psa.

- Ruszaj, Kłopot. Niech cię diabli, to tylko zasrany król. Psy, które lękały się gniewu pana, ruszyły przez sitowie, zawróciły na ścieżkę i znowu pobiegły przed siebie. W ogóle były z nich dobre psy łowcze, ale za rzadko brał je na polowanie, więc się rozleniwiły.

- Zasrany ranek - odezwał się na głos Tabor.

Z lotniska po prawej stronie, z ogłuszającym rykiem silników wystrzelił w niebo samolot, kierując się w stronę zatoki. Może leci na jedną z wysp albo do Tampico, Villahermosa, albo Jukatana. Dalej na moczarach było kilka polanek, na których lądowały samoloty z trawką albo meksykańskim grzybkim - parę ładnych paczek za kilka godzin roboty. Psy szczekały za samolotem. Tabor przyglądał się słońcu, które odbijało się w jasnożółtych skrzydłach, gdy samolot nabierał wysokości, kierując się na południowy zachód.

- Bardzo daleko od Boga dziś rano - powiedział. - Bardzo daleko od Ciebie, Boże mój.

Promienie słońca ogrzewały mu ramiona, tak że zaczął się pocić pod koszulą. Nogi zaś miał zimne, jakby należały do kogoś innego. Gdybym był Bogiem - rozmyślał Pablo Tabor - nie przytrafiałyby mi się takie poranki. Słońce nad bagnami, dwa nic niewarte psy, elegancik-operator, który w żyłach zamiast krwi ma gaz i benzynę. Żaden Bóg nie wytrzymałby takiego poranka.

Gdybym był Bogiem - dumał dalej Tabor - stworzyłbym ranki bez Pabla Tabora i jego psów.

- To Twoja sprawka, Boże? - spytał głośno. - To Ty jesteś Stwórcą takich ranków?

Dotarł do rozwidlenia ścieżki, psy pobiegły w prawo, ku więk-szym moczarom, gdzie dopiero zaczynała się zabawa. Tabor skręcił w lewo, ku zatoce. Po jakimś czasie zagubione, niepewne psy ruszyły za nim. Nagle poczuły woń padliny dochodzącą z plaży i wystrzeliły jak z procy. Tabor miał teraz słońce z boku, jasne promienie raziły go w oczy. Tabletki zaczynały działać, kotłowało mu się w głowie, w gardle narastał znajomy gniew. Poczwszy w ustach smak wściekłości, mężczyzna zacisnął zęby. Od czego, kurwa, zacząć? - pomyślał. Ale ci ludzie - trudno było do nich dotrzeć.

- Wykorzystują mnie - śpiewał na głos - wykorzystują, wyko-rzystują mnie. Manipulują, manipulują, manipulują, jak chcą. Przed oczami migały mu pojedyncze obrazy: trupie czaszki, swastyki, as pikowy. Ogłuszenie. Nędzny, ciemny sklepik. Rozpalił się w nim gniew, zaostrowany, spotęgowany przez tabletki dexedry-ny. Nie minęło wiele czasu, a stał na plaży. Przed nim rozciągała się zatoka lśniąca w promieniach słońca. Piasek lepił się do jego wilgotnych butów z cholewkami. Psy węszyły nad brzegiem morza. Tabor ruszył plażą, chowając się przed słońcem, potem stanął z zamkniętymi oczami. Czuł chłód strzelby na karku i barkach, przerzucił przez nią ramiona. Serce dudniło mu w płucach, skroniach, gardle. Zdjął z ramion strzeblę, oparł ją o udo. Z kieszeni kurtki wyłowił dwa czerwono-złote naboje, załadował je do magazynka. Potem trzeci - włożył i odbezpieczył broń. Psy znalazły dużego ostrogona i teraz próbowały się do niego dostać, podnosząc pyskami skorupę kraba. Tabor przyglądał się psom.

Jeśli się ruszę - pomyślał - będzie tak.

Kiedy uniósł strzelbę, gniew ustąpił. Tabor miał wrażenie, że jest swoim stalowym sobowtórem, zimnym, bez żadnego związku z rzeczywistością.

Właśnie tak.

Kula trafiła psa w łeb. Opadł na mokry piach, ciałem wstrząsały drgawki, zwierzę szarpało się w płytkiej wodzie. Na lśniącej, gładkiej plaży pojawiła się plama krwi.

Tabor wyrzucił łuskę. Usłyszawszy strzał, suka zadrżała, nie rozumiała, co się dzieje, wyglądała, jakby chciała uciec. Druga kula Tabora wyrzuciła ją w powietrze. Zwierzę ciągle jeszcze drżało, kiedy opadło na gałąź wyrzuconego przez morze drzewa.

Tabor wyrzucił kolejną łuskę i oblizał suche wargi.

Zadowolony, głupku jeden, żeś zabił swoje psy?

- Czuję się świetnie - odparł głośno Tabor - po prostu świetnie.

Ale to nie była prawda.

Co się dziś wyprawia w tej mojej cholernej głowie? Odszedł od psów, zabraniając sobie oglądania się wstecz, kiedy nagle dostrzegł dwie głowy wychylające się z nad zarośli po drugiej stronie plaży.

Zatrzymawszy się zobaczył chłopca i dziewczynę, ukrytych w zaroślach jakieś dziesięć metrów od niego. Znieru-chomieli w dziwacznej pozycji, jakby właśnie wstawali albo próbowali przykucnąć.

Podszedł do nich.

Chłopcu spod czerwonej chustki wymykały się jasne włosy. Dziewczyna była prawie tego samego wzrostu co chłopak, o ciemnych włosach. Tabor zauważył, że płakała.

- Musiałem to zrobić - wyjaśnił. - Były chore, rozumiecie?

Miały nicienicę, naprawdę było z nimi źle.

Tamci trochę się uspokoili. Dziewczyna wytarła łzy z opalonego policzka.

- Rany - powiedział chłopiec. - To były ładne psy.

Tabor odwrócił wzrok.

- A co ty, u diabła, możesz o tym wiedzieć.

Zobaczył, że dziewczyna utkwiała spojrzenie w jego strzelbie.

- I nie waż się płakać nad moimi psami - zwrócił się do niej.

- Ja sam je opłacę.

Ucichli. Chłopak przełknął ślinę i poruszył wargami.

- Chcecie odprawić ze mną modły? - spytał Tabor. - Chyba nie znamy żadnych odpowiednich -
odparł chłopiec z cieniem uśmiechu. Dziewczyna przywarła do jego ramienia. - Boicie się, że was
skrzywdzę, co?

- Mam nadzieję, że nie - powiedział cicho chłopak. - Nie chcieliśmy zrobić nic złego. Po prostu było
nam przykro z powodu tych psów.

Ty smarkaty draniu - pomyślał Tabor - wszystko żeś sobie ustawił. Wprowadź wariata ze spluwą w
dobry nastrój. Zachowuj się spokojnie. Ocal swój i swojej dziewczyny zadek. Sprytny chłopak. Mądry.

- Dobre z was dzieciaki - odezwał się głośno. - Widać, że dobre z was dzieciaki. Chodźcie do
college'u, co?

Chłopak ostrożnie skinął głową.

- Nic wam nie zrobię - uspokoił Tabor. Odwrócił wzrok od ich przestraszonych twarzy i popatrzył
na słońce. - Idźcie sobie i bawcie się dobrze.

Ruszył z powrotem ku morzu. Usłyszał ich: "I pan też". Prze-chodząc między ciałami psów obejrzał
się i zobaczył, że ani chłopak, ani dziewczyna nie ruszyli się z miejsca. Wracając przez miasto, kierując
się na zachód, czuł przejmujący chłód, przenikający do szpiku kości. Plac, gdzie wśród wielu innych
stała jego przyczepa, znajdował się nad starym kanałem, po którym pływały lilie wodne. Po drugiej
stronie autostrady widać było brązowe zbocze z dużą reklamą hotelu nad plażą i trzy dźwigi. Ich
ramiona regularnie wznosiły się i opadały.

Przyczepa Tabora stała w ostatnim rzędzie, najbardziej od-dalonym od szosy i najdroższym miejscu
na placu. Zaparkował obok, w małej zatoczce wysypanej żwirem, na której końcu marniało drzewko
bananowca. Wsiadając z samochodu zdjął okulary i oślepiło go słońce odbijające się w bocznej

ścianie przyczepy. Z powrotem nałożył okulary i zerknął ku namiastce placu zabaw, ogrodzonemu kawałkowi ziemi między przyczepami i zobaczył tam syna. Chłopiec leżał na brzuchu na jednej z zardzewiałych malutkich zjeżdżalni. Jedną ręką przesypywał wysuszonego mułu spod zjeżdżalni. Tabor podszedł do furtki. - Billy.

Chłopczyk drgnął i szybko się obejrzał wystraszony.

- Czemu, u licha, nie jesteś w szkole? Co tu robisz?

Billy podszedł, gotów w każdym momencie się uchylić.

- Nie obudziła cię, tak? - ryknął Tabor. Billy pokręcił głową. Tabor postukiwał stopą, patrząc w ziemię. - Głupia suka - szepnął.

Słyszając to, chłopiec niezręcznie wytarł nos.

- To powinno załatwić sprawę - pomyślał Tabor.

- Słuchaj - zwrócił się do małego. - Za jakiś czas cię zawiozę.

Na razie zostań tu i nie wchodź do środka, jasne?

Podszedł do przyczepy, otworzył drzwi. W części dziennej unosił się słodkawy zapach stęchlizny, rozlanego piwa, brudnej bielizny. W czymś takim powinno się utrzymywać porządek - pomyślał Tabor. - Jak na statku. Trzeba utrzymywać porządek albo szybko będzie się człowiek czuł, jakby mieszkał na tylnym siedzeniu samochodu.

Obok pustego worka z pralni z jednej strony niewielkiej sofy piętrzyły się ubrania: jej bluzy, ciuchy robocze, ogrodniczki Billy'ego. Pozostałą wolną powierzchnię zaśmiecały niedzielne wydania gazet. Na poręczy leżały ulotki świadków Jehowy, które baba dała sobie wcisnąć.

Kobieta spała w sypialni, w drugiej części przyczepy. Cicho poszedł do kuchni, otworzył niską lodówkę. Były w niej trzy półki: najniższą zajmowały w całości puszki piwa Jax. Na dwóch wyższych stały rzędy zamrożonych, owiniętych w papier hamburgerów, które baba wynosiła z pracy.

Kiedy patrzył na rzędy hamburgerów, coś dziwnego zaświtało mu w głowie. Wyprostował się i zaczerpnął oddech - miał wrażenie, jakby czas uciekał, jakby ktoś odliczał ostatnie sekundy dzielące

go od kresu. Wreszcie wziął puszkę piwa, otworzył i usiadł na sofie w części dziennej, patrząc na plastikowe drzwi. Jeśli huknę sobie jeszcze jedną - pomyślał - może trafi mi się następny odlot. Z jednej strony łatwo, bo wszystko wali się coraz szybciej, a z drugiej: mam to gdzieś.

Wyjął z buteleczki tabletkę, rozłamał i przełknął połówkę, zapijając piwem. Po chwili połknął drugą. Wróciwszy do kuchni, wyrzucił puszkę po piwie i wyrzwał przez niewielkie okno nad zlewem. Pod bezchmurnym niebem rozciągały się niezmierzone połacie jasnozielonej trawy. Tu i ówdzie wyrastały zbiorniki na ropę na stalowych, pajęczych nogach, niczym latające talerze.

Otworzył lodówkę i wyciągnął hamburgera.

- Istne kino - odezwał się, trzymając go nad zlewem. Zgarbił się. Zacisnął palce na bułce, gniotąc ją z papierem. Tłuste, obrzydliwe świństwo. Nie mógł się powstrzymać, żeby tego nie ścisnąć. Od ciepła dłoni rozpuścił się lód, woda spłynęła po ramieniu. Tabor zaczerpnął kilka głębokich oddechów. Serce zaczynało bić jak trzeba, właśnie tak. Rzucił bułkę do zlewu.

Umywszy ręce przeszedł do drugiej części mieszkania, gdzie trzymał swoje rzeczy: panował tam porządek. Pod szafą z ubraniami była zamykana na klucz szuflada, w której przechowywał książki o elektronice i wojskową automatyczną czterdziestkę piątkę. Wyjął pistolet, założył magazynek i wrócił do kuchni. Trzymając broń w prawej ręce, lewą wygarnął z lodówki tyle hamburgerów, ile mógł i przeszedł do sypialni.

- Więcej mięsa - powiedział.

W sypialni wisały niebieskie kotary, zaciągnięte dla osłony przed słońcem. Kobieta spała z kołdrą naciągniętą na głowę. Powierzchnię między poduszką a ścianą zajmowała zwinięta gazeta i popielniczka, z której wysypywały się niedopałki. Tabor obszedł łóżko, starannie, w równych odstępach kładąc na nim hamburgery.

- Kathy - zawołał cicho.

Poruszyła się.

- Zabiłem psy - powiedział.

- Że co? - spytała, a przytomniejąc zobaczyła na łóżku ham-burgerowy krąg.

Próbowała się przekręcić na drugi bok. Tabor pokazał jej lufę pistoletu, podsunął pod nos i zmusił, żeby znowu się położyła. - Pab - odezwała się cicho, ze strachem.

Trzymał pistolet przy jej kości policzkowej. Kobieta usłyszała ciche szczęknięcie, gdy odbezpieczył broń. Zaczęła drżeć i płakać. Nosem prawie dotykała jednego z hamburgerów.

- Masz ochotę na więcej mięsa, Kathy? Tylko ty i te wszystkie kotlety ze szcurzej padliny porzucane po całym piekle? - Boże - szepnęła. - Och, Pab.

Kiedy odbezpieczał broń, pomyślał, że sprawa właściwie jest przesądzona. Jeśli naciśnie spust, będzie tak samo jak z psami. - Chcesz, żebym odliczył? A może przeczytać ci którąś z tych ulotek od jehowych, zanim stąd wylecisz? - Sięgnął po małe krzesło, przystawił je bliżej łóżka i usiadł. - Nie ma po co wychodzić z łóżka, kochana. Pora na spanie.

Patrzył, jak kobieta wykrzywia usta, próbując oddychać czy coś powiedzieć. Tak samo jak psy - pomyślał.

Spod kołdry uniósł się charakterystyczny zapach. Uniósł pościel i zobaczył przesikane prześcieradło.

Przykrył kobietę. - Ty cholerna flejo - powiedział ze znużeniem.

- Kochanie, och, kochanie, błagam.

Z drżących ust kobiety wydarł się jęk.

Tabor wstał i odłożył broń na krzesło. Z portfela wyjął dwie monety i rzucił je na kołdrę.

- To na pamiątkę dobrych czasów.

Wziął pistolet, wsadził go do kieszeni.

Ciągle jeszcze płakała i zawodziła, kiedy wychodził, zabierając swoje rzeczy. To, co zobaczył na dworze, przypominało zły sen: nieustanny sznur samochodów, ciągły ruch dźwigów, w górę w dół, w górę, w dół. Szaleństwo. Nogi się pod nim ugięły. Wrzucił torbę na tylne siedzenie i poszedł na plac zabaw do syna - Zawieziesz mnie teraz, tato?

- Wygląda na to, że nie. Muszę gdzieś pojechać, więc możesz tu zostać i się pobawić.

- Bomba - ucieszył się chłopak. - Nie płyniesz nigdzie, prawda, tato? - Tak, płynę. Na Morze Południowe. - Oparł się o siatkę i głęboko zaczerpnął powietrza. - Masz być dobry dla mamy, jasne? Musisz być dla niej naprawdę dobry. - Tak, proszę taty.

Rozdział piąty

Na lotnisku w Miami Holliwel miał przesiadkę.

Hala tętniła życiem, jak to zwykle w pełni styczniowego sezonu. Atmosfera nie była przygnębiająca: tłumy rozradowanych turystów, abrazos i spotkania, zalew wyrobów sztuki ludowej i słomianych kapeluszy. Jednak pod fosforyzującym dachem Holliwel poczuł znajomą woń, tłum stał się zbiorowiskiem ludzi ze świata oddalonego od Boga, a przecież dzieliło go od domu zaledwie parę godzin lotu.

Poznawał to po drobiazgach. Fioletowa torebka leżąca w dużej popielniczce, między niedopałkami i plwocinami. Kubańczyk zerkający na swój Rolex i porównujący godzinę z zegarem na ścianie. Strach wyzierający z oczu eleganckiej Latynoski, kiedy ścisnęła ramię pulchnego syna, który do kieszeni szkolnego mundurka miał przyczepione pióro Parkera.

Oczywiście, to wszystko było tworem jego wyobraźni. Wina zmęczenia i niepokoju. Ale kiedy przepychał się przez tłum, żeby dojść do stanowiska Aerochac, z jasno oświetlonych kątów czuł zapach nędzy i żądzę zemsty, a nad szmerem rozmów rozbrzmiewał sztuczny śmiech i charakterystyczna, śpiewna hiszpańska wymowa.

Na ścianie za stanowiskiem linii Aerochac wisiała maska bóstwa Majów, do której zupełnie bez sensu dodano skrzydła. Za kon-tuarem nie było nikogo. Holliwel odstawił walizkę i odwrócił się w stronę hali. Widział samoloty odrywające się od pasów startowych, wznoszące nad palmy kokosowe i ludzi, którzy wychodzili ku światu bambusowych chat i slumsów, do niewielkiego, ciemnego człowieczka z motyką, na którego plecach - niczym na fryzie Majów - spoczywało lotnisko w Miami. Przemysłowca, hienę cmentarną, tajniaka, esmeraldo, agenta. Z boku przemýkali hipisi i ludzie szukający dorywczej

pracy, od sprzedaży pasty do zębów po wyścigi psów. Obok kosza na śmiecie jakiś facet wyrzucił plik nic niewartych pieniędzy. Na brudnych, wypłowiatach niebiesko-czerwonych banknotach widniał portret wzoru Republikanina - mężczyzny o wydatnej szczęce, ubranego w mundur i pieróg. Po obu stronach znajdowały się symbole rodem z epoki napoleońskiej: ptak, człowiek i wulkan. Warte trzydzieści centów strzępy złej historii, które czekały na Murzyna ze zmiotką.

Kiedy za kontuarem wreszcie pojawił się urzędnik i potwierdził rezerwację, Holliwell udał się z walizką do przebieralni przy toalecie i zmienił ubranie na lekki bawełniany garnitur i granatową sportową koszulę. Przepakowawszy torbę, udał się do baru i usiadł, pijąc jedną Krwawą Mary za drugą.

W wybranym przez niego barze znajdowało się mnóstwo Szwedów i z podchwyconych fragmentów rozmów Holliwell domyślił się, że część z nich była na Kubie. Padały takie słowa jak Hawana, Matanzas i cukier. Kiedy oczy już się przyzwyczyły do światła, zobaczył, że Szwedzi pogardliwie patrzyli na to, co ich otacza - prychnęli, marszcząc proste, nordyckie nosy. Kelnerkę przywołali po hiszpańsku i zamówili mieszankę soków owocowych z alkoholem. Holliwell siedział tam prawie do odlotu. Trunki dodały mu odwagi. Umundurowany ochroniarz, który go przeszukał przy wejściu na salę odpraw, przypomniał mu o Te-canie.

Kiedy wreszcie usiadł na fotelu w DC-8, cieszył się, że leci. Siedzenie pachniało perfumami ze sklepu na lotnisku i środkiem owadobójczym. Stewardesy poprawiały makijaż i fonetycznie recytowały angielskie powitania i instrukcje. Oprócz Holliwella na pokładzie znajdowało się sporo pań z Composteli, które tutaj robiły zakupy, paru młodych turystów i bankierzy - do Composteli zawsze jeździło mnóstwo bankierów.

Kiedy wylecieli, Holliwell wypił jeszcze jedną Krwawą Mary i gdzieś między Zatoką a wybrzeżem Hondurasu zapadł w sen. Śniło mu się, że znalazł się w dużym, starym, chłodnym domu na północy, gdzie był tylko jeden oświetlony pokój. On sam stał w mrocznym hallu, obok niego koleżanka, z którą kiedyś miał romans i która prawie pięć lat temu popełniła samobójstwo. Szeptali. Bali się i czuli winni,

tak jak kiedyś rzeczywiście było.

W oświetlonym pokoju stał kominek bez ognia. Na półce nad kominkiem leżała sterta listów, częściowo otwartych i wyjętych z kopert.

- Czego się boisz? - zwrócił się Holliwell do swej towarzyszki.

- Ty nie rozumiesz - odparła.

Kiedy tak patrzyli, do jasnego pokoju wszedł mężczyzna w ubra-niu listonosza i zaczął przeglądać listy. Holliwell podszedł do intruza. Był wesoły, rozbawiony, swobodny.

- To chyba moje listy - odezwał się do listonosza.

- Czy to również pana dom? - spytał tamten.

Holliwell zmieszał się i zdenerwował. Zaprzeczył, ale nie czuł się pewny.

- Niech pan porozmawia z tamtym człowiekiem - poradził listonosz.

Mężczyzny, do którego go skierował, nie było widać, ale Holliwell wiedział, o kogo chodzi. O kucharza ze statku, którego poznał w Da Nang. Pamiętał jego fartuch i czapkę kucharską, ale twarzy za nic nie mógł sobie przypomnieć. Nie chciał z nim rozmawiać, nawet nie chciał go widzieć. Bał się. Gdzieś w domu rozległo się ujadanie psa.

- Uważają mnie za komunistę! - zawołał Holliwell do koleżanki.

- Jasne, że tak.

W czasach, kiedy ją znał, zwykle uśmiechała się i kręciła głową, kiedy inni nie rozumieli czegoś, co ona uważała za oczywiste. Pies nadal szczekał.

- Jeśli zaatakują dom - powiedział przerażony Holliwell - za-strzelą psa.

W tej właśnie chwili się ocknął. Kołowali nad Belize, szykując się do lądowania. Z góry miasto wyglądało o wiele ładniej niż w rzeczywistości. Morze miało wspaniałą, jasnozieloną barwę. Gorące słońce prażyło na błyszczących plażach. Holliwell zmarsz-czył się widząc tę tropikalną obfitość tak odmienną od atmosfery jego snu, który w różnych wariacjach nękał go od wielu lat. Zawsze czuł się po nim tak samo.

Na budynku lotniska powiewała flaga brytyjska, wokół przykrytych siatką kamuflażową platform stali uzbrojeni mężczyźni. Byli bez koszul, karki mieli zaczerwienione. Kiedy otwarto drzwi, do samolotu wtargnęło ciepłe, wilgotne powietrze. Patrząc na palmy, karabiny i rzędy samochodów wojskowych, Holliwell nie potrafił się powstrzymać od wspomnień. Choć oczywiście to było zupełnie coś innego, komiczna odmiana nigdy nie wszczętej wojny między mieszkańcami lasu Sherwood a urojoną armią gwatemalskich poborowych.

W Belize wysiedli dwaj mężczyźni z wędkami. DC-8 znowu wystartował i oddalił się od morza. Piął się nad połaciami dżungli i mijał nagie łańcuchy gór - pasmo za pasmem rozdzielone cienistymi dolinami, nad którymi wisiały chmury, brązowe szczyty, u których stóp rozciągała się intensywnie zielona dżungla. I po niecałej godzinie - w cudownej dolinie pełnej słońca i blasku - rozciągnęło się pod nimi miasto: Compostela, położona na zboczach gór, strzeżona przez ośnieżone wierzchołki i dwa wygasłe wulkany.

Kiedy się patrzyło na miasto z góry, oczy radował jeden z piękniejszych widoków Ameryki, ale dla lotników to było straszne miejsce: wystarczyło posłuchać historii o katastrofach i zapoznać się ze statystykami. Na lotnisku umieszczono specjalny znak, na którym odliczano, ile dni minęło od ostatniego wypadku. Mieszkańcy Composteli pragnęli w ten sposób dodać ducha podróżnym: zawsze podbierali pomysły reklamowe swoim braciom z Północnej Ameryki i zawsze nieco opacznie je wykorzystywali. Kiedy Holliwell był tu ostatnio, na znaku widniała liczba 108.

Wysiadł z samolotu. Nagle poczuł się, jakby był środek czerwca:

ciepłe słońce, przejrzyste powietrze, niebo nad górami jasno-niebieskie. Wpół do czwartej po południu i dwadzieścia dwa stopnie ciepła.

Odprawa przeprowadzona pod nadzorem uzbrojonych młodych żołnierzy w niebieskich mundurach była długa i męcząca. Stano-wiła przykład amerykańskiego przeszkolenia wzbogaconego o tu-tejsze pojmowanie godności urzędnika i wyobrażenie o zagranicznych gliniarzach. Jeden z celników wypytywał wszystkich: bankiera, misjonarza, podstarzałego turystę, czy nie ma marihuany. Inny -

młody szaleniec w grubych okularach, najprawdopodobniej krewniak któregoś z tutejszych szefów - mówił do siebie w czasie inspekcji i otwarcie śmiał się na widok zawartości walizek pasa-żerów. Compostela była dziwnym miejscem. Cieszyła się opinią kraju o postępowej polityce, od której konserwatystom w Stanach Zjednoczonych włos się jeżył z przerażenia. Tutejsi malkontenci - jeśli trafili się jacyś na tyle naiwni, by wierzyć w oficjalne zapewnienia o możliwości prowadzenia zorganizowanej działal-ności - bardzo szybko zostawali obdzierani ze złudzeń - czasem ze skutkiem śmiertelnym - przez policję, albo tajemnicze siły znane jako Rycerze Maryi albo członkowie Bractwa Ducha Świętego.

Od czasu do czasu władza występowała przeciwko Stanom oraz Narodom Zjednoczonym i podejmowała bułgarskiego wice-premiera. Wieszczy narodowy - osiemdziesięcioletni staruszek - regularnie bywał wysyłany do Hawany po cygara. Ale tak naprawdę Compostela rządili energiczni nowobogacy, którzy niezbyt uczciwie dorobili się swoich majątków i dla których forsa to forsa, a reszta to pieprzenie kotka za pomocą młotka. Za-graniczne firmy uważały ten rząd za pewny. Świat traktował Compostelę łagodnie, okazując jej szczególne względy, co Com-postela zawdzięczała sąsiedztwu z Tecanem, gdzie, jak z troską przyznawał nawet najgorszy kacyk, życie było po prostu kosz-marne.

Tragarz, który odebrał bagaż Holliwella, czekał aż ten wymieni pieniądze. Banknoty w Composteli były brązowo-żółte i oficjalnie nazywały się grenadas, ale ludzie i tak używali starych określeń jak pesos albo morenos. Na banknocie wartym 1 grenada widniało oblicze jakiegoś lekarza-Murzyna, który ponoć - jak twierdzili Compostelczycy - pierwszy stwierdził, że malarię można leczyć chininą. Właśnie taki banknot - równowartość czterdziestu centów - Holliwell wsunął tragarzowi w rękę. Mężczyzna warknął - czasy się zmieniły - i poszedł sobie, tak że Holliwell sam musiał przenieść torbę przez szklane drzwi i odpędzać chłopców, którzy chcieli mu ją zabrać.

Oscar Ocampo stał oparty o swoją niewielką Toyotę, zaparkowaną najbliżej, jak się dało. Idąc ku niemu, Holliwell zauważył, że kolega przytył. Nad paskiem przelewała się gruba fałda tłuszczu,

koszulka stała się obcisła. Miał typową twarz Indianina, której twarde rysy łagodził zaokrąglony podbródek. Holliwell pomachał mu na powitanie. Ciągłe nie mógł się nadziwić, jak te dodatkowe kilogramy zmieniły Ocampo: wyglądał jakoś europejsko, z tą szpiczastą bródką przypominając Włocha ucharakteryzowanego na Otella.

Oscar uśmiechał się szeroko i wyciągnął rękę po torbę Holliwella. Na jego twarzy malowała się ulga. Kiedy już walizka wylądowała w samochodzie, mężczyźni się objęli.

- I jak się czujesz znowu na starych śmieciach?
- Dobrze - odparł Holliwell.

Wulkan i oblodzone szczyty górujące nad miastem nieodmiennie go zaskakiwały. Zmuszały człowieka do uśmiechu na powitanie. - Zawsze dobrze tu wracać.

- La dulce cintura de America - powiedział Oscar.

Tak właśnie Ruben Dario określał Środkową Amerykę: rozkoszną talią połączonych Ameryk; byle dziecko znało to zdanie, wszyscy nie raz je cytowali, często bez ironii. Ale w ustach Oscara zawsze brzmiało nieco ironicznie, zawsze szczerze. - Możemy mówić po angielsku? - spytał Oscar.

- Jasne - zgodził się Holliwell, który wolałby odkurzyć swój hiszpański z przyjacielem. Wykład na uniwersytecie ma wygłosić właśnie w tym języku.

- Jak leci?
- U mnie właściwie bez zmian. Dziękować Bogu, wszyscy zdrowi.
- Dobrze. I mianowali cię?

Holliwell roześmiał się, słysząc pytanie. Tak naprawdę, to go rozdrażniło.

- O tak. W życiu też mam pewne, stałe miejsce. Ale nie jestem pewny, czy to, o które mi chodziło.
- Nie narzekaj - powiedział Oscar, uruchamiając silnik. - Próbujesz się wykręcić. Miałeś kupę szczęścia.
- A co u ciebie?

Jechali drogą z lotniska, skręcili na fragment autostrady łączącej obie Ameryki, wiodący do stolicy.

Oscar uśmiechnął się, patrząc prosto przed siebie.

- Długo by mówić. Morał brzmi: nic za darmo.

Holliwell z trudem się powstrzymał, żeby nie spytać od razu o Marty'ego Nolana.

- Rozstaliśmy się z Laurą. Wszystko frrrr... skończone.

- To smutna wiadomość - odparł Holliwell. - Tak?

- A żebym to ja wiedział.

Po obu stronach autostrady stały obejścia i nie ogrodzone pola, na których pasły się chude zwierzęta.

Parę kilometrów dalej minęli stalownię, obiekt chluby compostelskiego przemysłu. Obok mieściła się

schludna, dobrze wyposażona klinika rządowa, dalej rozciągało się osiedle złożone z betonowych

bloków i chałup. Przy wjeździe do miasta minęli zegar kwietny. Nad klombem dominowała rzeźba

indiańskiego wodza, który oparł się Konkwiś-cie. Za placem carretera przeszła w Avenida Morazon,

stanowiącą naśladownictwo Reforma i uosobienie radosnych wyobrażeń Composteli o sobie. Po

jednej stronie rozciągał się park z tysiącem drzew eukaliptusowych, pod drugiej budynki z szerokimi

podjazdami i migotliwymi basenami pełnymi kory papai i larw komarów. Za parkiem znajdował się

Uniwersytet Narodu, gdzie pracował Oscar, oraz Muzeum Antropologii. Lewą stronę Avenida

Morazon zamieszkiwali zamożni obywatele, tam stały domy z maleńkimi trawnikami, otoczonymi

niskimi, betonowymi murkami. Dalej można było dostrzec chaty przycupnięte na zboczach dwóch

wzgórz, na których była położona Compostela.

Jakąś milę od głównego placu miasta stał hotel Panamerica--Plaza, otoczony parkiem z trawnikami,

drzewami ceiba i oswojonymi papugami. Piętnastopiętrowa konstrukcja ze stali i kolorowych szyb

urągała niespokojnej powierzchni Composteli. Oscar zjechał z Avenida i skręcił na podjazd hotelu.

- Zarezerwowałem tu dla ciebie pokój - wyjaśnił Holliwellowi.

- Nie mamy już domu.

- Hm - mruknął Holliwell.

Nie znosił hoteli. Stanowiły przybytek kanciarzy, którzy pławili się w luksusie. Na widok pucybutów i

dziwek, które czały się na początku eleganckiej alei palmowej ogarnął go wstyd. - Hm - powtórzył. - Jeszcze tu nie byłem.

Kiedy zaparkowali, Oscar wziął walizkę Holliwella i odprawivszy portiera, zdecydowanym krokiem wmaszerował z nią do hotelu. Holliwell podszedł za nim do recepcji, gdzie kolega ostrym tonem zażądał potwierdzenia rezerwacji. Nie było żadnych problemów. - Słuchaj - zwrócił się do Holliwella

Oscar - kiedy już skoń-czysz, zawiozę cię do siebie na jednego. Co ty na to? - Chętnie - odparł Holliwell. - Z przyjemnością.

- Dobrze. W takim razie poczekam na ciebie na dole. Czekając na klucz, Holliwell przyglądał się Oscarowi, który szedł przez jasnoszary westybul. Przy schodach wiodących na antresolę rósł ładny bananowiec, obok urządzono ładną imitację wodospadu. Reszta zaś stanowiła przedłużenie atmosfery lotniska w Miami.

Oscar podszedł do kontuaru agencji turystycznej, która mieściła się obok kiosku z pamiątkami i pogrążył się w konwersacji z pracownikiem biura: wysokim mężczyzną w lekkim włoskim garniturze. Wyglądał na Europejczyka. Obaj mężczyźni zerknęli, upewniając się, czy nikt ich nie obserwuje. Potem Oscar podał tamtemu paczkę. Mężczyzna sprawdził pod kontuarem jej zawar-tość. Oscar ruszył w stronę drzwi i zapalił papierosa. Kiedy Holliwell z chłopcem hotelowym jechali windą na szóste piętro, z głośnika płynął motyw z "Ojca chrzestnego". Chłopiec ani przez chwilę nie przestawał się uśmiechać.

Pokój Holliwella okazał się przyjemnym pomieszczeniem z bal-konem i widokiem na basen. Kiedy boy odstawił walizki i włączył klimatyzację, Holliwell dał mu dwa grenadas. Tym razem okazało się, że to odpowiednia stawka.

Ocampo czekał przy drzwiach windy.

- Nie podoba mi się tu - oświadczył Holliwellowi w drodze do samochodu. - Wcale.

- A myślisz, że mnie się podoba? Nie ma sprawy - uciął przeprosiny kolegi. - Mam wygodę. Odmianę.

Oscar usiadł za kierownicą. Holliwell dał jedno grenada chłop-cu, który otworzył przed nim drzwi.

- Słuchaj, nie wiem jak cię przeproszać - tłumaczył się Oscar.
- Ale mieszkanie jest małe i nie mieszkam sam.
- Daj spokój, Oscar. Nie ma sprawy. I masz ważniejsze sprawy na głowie.

Dziwne - pomyślał. - Laura Ocampo tyle lat się z tym godziła. Czyżby feministki dotarły nawet do Composteli? A może znalazła sobie kogoś innego? Ale to zupełnie nie w stylu Composteli. Minęli plac przed katedrą. Żebracy i sprzedawcy losów roz-pierzchali się przed samochodem, Holliwell poklepał kieszeń, sprawdzając czy portfel jest na miejscu.

- A co z dziećmi?
- Zostały z Laurą. Nie pozwalają mi się z nimi spotykać.
- Kto nie pozwala?
- Jej rodzina. Szwagier groził, że mnie zastrzeli.
- Widać nie potrafią się pogodzić z sytuacją.
- Claro - odparł Oscar. - Widać nie.

Jego mieszkanie znajdowało się w starej, eleganckiej dzielnicy, nad brzegiem jeziora leżącego u stóp góry Colucu. Przy brukowa-nych ulicach stały domy w stylu kolonialnym z drzwiami z maho-niu i kratami na oknach. Tu i ówdzie mignął jakiś nowy budynek w stylu kalifornijskim. Oscar mieszkał właśnie w jednym z takich domów. Przyjemny, dwupiętrowy, obłożony ciemnym drewnem, ładnie wkomponowany w tło. Oscar wstawił Toyotę do jednego z garaży na tyłach domu i weszli schodami zewnętrznymi. Za budynkiem rozciągał się ogród z drzewami figowymi, ale ograni-czała go ściana, nadająca mu wygląd karceru.

W mieszkaniu Oscara płynęły dźwięki muzyki Purcella, unosił się zapach whisky. Wszędzie walały się książki, niektóre nawet nie rozpakowane. Holliwell dostrzegł także sporo przedmiotów z okresu przedkolumbijskiego - nigdy przedtem nie widział ich u przyjaciela aż tak wiele. W małej części jadalnej wydzielonej z kuchni, niczym szeregi ołowianych żołnierzyków stały rzędy wypalanych statuetek z wybrzeża Pacyfiku, a obok nich jadeitowe figurki zwierząt. Na jednej ścianie wisały rzeźby

w kości naj-prawdopodobniej z epoki Majów i trzy zachowane w całości, różniące się wielkością figurki - największa mierzyła sobie dobre sześćdziesiąt centymetrów, od czubka głowy leżącego boga po palce u nóg. Kolekcja była surowa, bez jakichkolwiek ozdóbek, co kazało się domyślać, że wszystko to oryginały. Z tego co Holliwell pamiętał, kiedyś Ocampo bardzo skrupulatnie rozliczał się z wszelkich antyków, które przechodziły przez jego ręce. Nigdy niczego nie kolekcjonował, zachowywał jedynie dziwaczne kawałki jadeitu albo jakiś niewielki naszyjnik dla żony lub dziewczyny, żeby miały co nosić za granicą.

Holliwell wpatrywał się w zgromadzone dzieła sztuki, jakby chciał w ten sposób zrobić gospodarzowi przyjemność. Oscar zaś najwyraźniej za kimś się rozglądał.

- Frank - odezwał się nagle - napijmy się.

- Z przyjemnością.

Oscar podszedł do drzwi kuchni i na chwilę w nich przystanął. - Patrick? - usłyszał jego głos Holliwell. W pierwszej chwili nie zorientował się, o co chodzi.

Kiedy Ocampo wrócił, niósł w rękach dwie szklaneczki lodu i butelkę szkockiej. Okrążył pokój i butelką zastukał do drzwi sypialni. Holliwell właśnie brał napełnioną szklanę, kiedy z sypialni wyszedł wysoki młodzieniec, odgarniając z twarzy długie, jasne włosy. - To mój przyjaciel, Frank Holliwell - przedstawił Oscar.

- Frank, to jest Patrick Ventura.

Holliwell wyciągnął rękę. Chłopak uściśnął ją lekko, na euro-pejską modę. Nie miał jeszcze dwudziestu lat i zdaniem Holliwella był jakiś niewyraźny: pijany albo na prochach.

- A gdzie moja? - spytał chłopak Oscara.

Zmierzył ich obu uważnym spojrzeniem, które Holliwell uznał za co najmniej niesmaczne. Oscar podał mu butelkę i chłopak zniknął w kuchni.

Naprzeciwko Holliwella, na ścianie wisiło zdjęcie Oscara i synów. Chłopcy siedzieli na kucach, ojciec stał między nimi, trzymając lejce. Kiedy Patrick Ventura wrócił do pokoju, miał w dłoni dużą szklanę

whisky.

- Jesteś ze Stanów? - spytał Holliwell.

- Spędziłem kupę czasu w Hastings-on-Hudson - odparł chłopak, posyłając mu kolejne niechętnie spojrzenie.

Gdzie wykarmiły cię wilki - pomyślał Holliwell. Zerknął na Oscara. Był niespokojny, zaborczy.

- Rodzina matki tam mieszka. Ale pochodzę z Chile.

- Aha - odparł Holliwell. - Chile.

- Czije dzisiaj będzie Chile? - powiedział Patrick Ventura. - Tak mawiają w Hastings-on-Hudson.

Ostatnie wiadomości z Ameryki Południowej. Słyszałeś to już kiedyś, Oskar? Czije dzisiaj będzie Chile?

Oscar nigdy tego nie słyszał.

- Nie rozumiem - dodał. - Prześladowali cię tym?

- W kółko.

- Dziwne - zwrócił się ze sztucznym ożywieniem Oscar do chłopaka. - Nigdy jeszcze nie rozmawialiśmy ze sobą po angielsku. - Cóż - zauważył Holliwell - Santiago było kiedyś całkiem przyjemnym miastem.

- Nadal nim jest - odparł Patrick Ventura.

- Wielu ludzi je opuściło. Albo zostało aresztowanych.

- Patrick nie interesuje się polityką - wtrącił się Oscar. - Oscar był kiedyś wyznawcą marksizmu-leninizmu - poinformował ich Patrick Ventura - ale teraz został hipisem. Holliwell szybko się odwrócił, żeby nie musieć patrzeć na Oscara, i podszedł do dużego okna balkonowego.

- Przynajmniej tak mówiłeś - upierał się Ventura.

Nagle obaj znaleźli się w kuchni, rozmawiając po hiszpańsku, wrywając sobie butelkę. Oscar trzymał Patricka Venturę krótko. Jeśli chodziło o Holliwella, to żywił on gorącą nadzieję, że obejdzie się bez sceny. A jeśli do niej dojdzie, jeśli dzieciak dostanie szau albo coś w tym stylu, natychmiast zarządzam

odwrót - postanowił. Wychylił duży łyk whisky.

Oscar pojawił się w salonie, dzierżąc butelkę.

- Nam to bardziej potrzebne niż jemu - oświadczył. - Chodźmy, usiądziemy na świeżym powietrzu.

Chłopiec opierał się o sofę, powieki mu drżały. Holliwell bał się, czy nie upadnie. Oscar wyłączył muzykę i trzymając w ręku szkocką, poprowadził Holliwella na balkon.

Kiedy usiedli już w leżakach, z mieszkania rozległ się odgłos tłuczonego szkła. Oscar nawet się nie obejrzał. Słońce zniknęło za wierzchołkami gór. Ulicę pod nimi ogarniał cień. Holliwell zapiął marynarkę. Z odległej Avenida Central dobiegał szmer samo-chodów.

- Przechodzę kryzys mieszczańskiej osobowości - powiedział Oscar. Dolał whisky do obu szklaneczek.

- W takim razie trafiłeś na właściwego człowieka.

- To z nim teraz mieszkam.

- Mówisz, że jest twoim kochankiem?

Holliwell zrozumiał, że od tej chwili znalazł się na niepewnym gruncie.

- Moja żona nazywa go "utrzymankiem".

Holliwell czuł na sobie baczne spojrzenie przyjaciela. Zabębnił palcami po poręczy leżaka.

- Jesteś zażenowany - powiedział Oscar.

- Nie, nie. Tylko... znasz mnie, Oscar. Wiesz, że mam dość konserwatywne poglądy.

- Ty? Skądże!

- Mam nadzieję, że wiesz, że nie myślę o tobie źle. Oscar skinął głową. Holliwell zdawał sobie sprawę, że właściwie nie to powinien był powiedzieć. Ale w tej chwili nic odpowiedniego nie przychodziło mu na myśl, a gdyby powiedział za mało, Oscar poczułby się dotknięty.

- To dlatego szwagier ci grozi?

Oscar wzruszył ramionami i wyrzucił w górę ręce.

- A ty, Frank? Nigdy nie miałeś ciągót homoseksualnych? Teraz prowadzi rachunkowość - pomyślał

Holliwell. Mimo woli spłonął rumieńcem. Starał się głośno nie roześmiać. - Nigdy.

- Nigdy, ani razu?

Do Holliwella zaczęło docierać, że Oscar nigdy mu nie wybaczy tej pewności siebie. On też nie znośił tracić przyjaciół. Dlatego postanowił zmienić kierunek i postawić sprawę jasno. - Słuchaj, Oscar, chcesz, żebym się przyznał do ciągot homo-seksualnych? Nie, nie jestem homoseksualistą, przynajmniej z te-go co wiem. Nigdy nie miałem tego typu doświadczeń Przykro mi. - Nie ma za co przepraszać.

Holliwell dopił drinka.

- Zdaje się, że wybrałem nieodpowiedni moment na odwiedzin.

- Czemu? - spytał Oscar.

Na miłość boską - pomyślał Holliwell.

- Czy nie jest dla ciebie nieco kłopotliwe podejmowanie mnie, kiedy równocześnie zmagasz się ze zmianami w twoim życiu? Czy nie potrzebujesz czegoś innego niż... niż gości?

- Potrzebuję przyjaciela - odparł Oscar.

I to była prawda. W tym momencie pozostało mu niewielu przyjaciół. Tu wszyscy wszystko wiedzieli.

Sam Oscar - pomyślał Holliwell - mimo pozorów ogłady pozostał typowym Compostel-czykiem, człowiekiem z gór, kowbojem. W swoim środowisku, kręgu elity intelektualnej kraju, spotkał się z potępieniem. Nawet on w głębi ducha sobą gardził.

- Cieszę się, że tu przyjechałem - powiedział Holliwell. - Jestem dumny, że mam ciebie za przyjaciela i chciałbym twoim przyja-cielem pozostać.

Twarz Oscara pociemniała, nie dawało się z niej niczego wyczytać. Holliwell miał przed sobą zamknięte oblicze Indianina. Odszedł - pomyślał. - Odciął się ode mnie, od naszych różnic kulturowych i uciekł do Boga Siedem. Natychmiastowa otchłań, zasłona wieków. Skoro ludzie zawsze nam to robią, to pewnie i my zawsze to im robimy?

Tamto zdanie było prawdziwe. Może Oscar uznał je za protekcjo-nalne. Może lepiej by brzmiało po

hiszpańsku albo w języku Majów. W zapadającym zmroku zobaczył, że Oscar płacze. - Dziękuję, przyjacielu - powiedział Ocampo.

- Chciałbym ci pomóc.

- Wiesz, Frank, ten mój Patrick Ventura jest bardzo trudny. Upija się. Łyka wszelkie możliwe prochy. To dla mnie bardzo ciężkie.

- To jeszcze dzieciak - odparł Holiwell. - Rany, przecież nie skończył jeszcze dwudziestu lat, prawda?

Oscar nie usłyszał pytania. Z zadumą wpatrywał się w dachy budynków po drugiej stronie ulicy.

- Oglądałeś kiedyś niemiecki film, Der blaue Engel? - Chryste - wybuchnął Holiwell, skręcając się w duchu. - To znaczy... Jasne że oglądałem.

Popatrzył na płytki, którymi wyłożony był balkon; przygotowywał się duchowo na to, że zaraz intelektualista ze Środkowej Ameryki będzie się porównywał z postacią profesora z Błękitnego anioła. Kolejna dawka różnic kulturowych.

- Czasem czuję się jak profesor z tamtego filmu.

- Filmy to filmy, Oscar. A to jest twoje życie.

Dokończył drinka. "To jest twoje życie", powiedział przed chwilą. - Bo okazywanie mu miłości mnóstwo mnie kosztuje. Ale tu chodzi o coś więcej niż seks, Frank. Ten chłopiec jest bardzo piękny, nie tylko w sensie fizycznym. Piękna jest również jego dusza.

Holiwell drżącą ręką sięgnął po butelkę, stojącą obok leżaka Oscara. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył, że przyjaciel przymknął powieki. Oscar zarecytował:

De que siwe la hermosura

cuando lojuese la mia

si mefalta la alegria

si mefalta la ventura.

Oscar otworzył oczy, lśniły w nich łzy.

- Si mi Jafta la ventura - powtórzył.

- Nie znam tego - powiedział Holliwell.
- Calderon. El príncipe constante. - Uniósł szklanke i wychylił łyk. - Powiedziane - dodał, uśmiechając się smutno - przez piękną lecz melancholijną Fenix, kapryśną księżniczkę Fezu. Holliwell też się uśmiechnął i pokręcił głową. Oscar przyglądał mu się bacznie.
- Dziwny kaprys losu, co? Dla mnie?
- Bardzo dziwny, Oscarze.
- Frank, pragnę ci pokazać kilka jego wierszy. Chciałbym, żebyś i ty poznał go od tej strony.

Przeczytasz?

- Dobrze - zgodził się Holliwell.

Oscar wstał i przeszedł do mieszkania. Holliwell obejrzał się za nim. Oscar przez chwilę pochylał się nad sofą. Widać było skrzyżowane na poręczy gołe nogi Patricka Yentury. Holliwell odwrócił się i popatrzył na ciemniejącą ulicę. Gdzieś błyskał czerwony neon. Wypatrzył jasne okna swojego hotelu parę ładnych mil stąd, na zalanym światłem stoku.

Dotarli do niego rozmiary upadku Ocampo. Stracił więcej niż rodzinę - znajomościom żony zawdzięczał pracę i bezpieczeństwo, tak więc istniało ogromne prawdopodobieństwo, że wkrótce znajdzie się bez pracy, a jego nazwisko pojawi się na czarnej liście policji. Także i jego działalność polityczna zapewne się skończy. Przecież stracił do siebie szacunek, uważał się za maricon, mañposa, żalosego pajaca, księżniczkę Fezu. A żaden kłown, żaden mariposa nie może być prawdziwym rewolucjonistą. Holliwell wodził palcem po krawędzi szklanki. Ten człowiek współpracował z ludźmi Marty'ego Nolana w Composteli. Był spalony i niebezpieczny. Zdesperowany.

Po jakimś czasie Ocampo wrócił na balkon z otwartą teczką, w której trzymał cienkie, luźne kartki. Zapalił lampkę obok siedzenia Holliwella.

- Masz, Frank - powiedział, przerzucając strony. - Zerknij na kilka, wszystkie są krótkie. Zaczniemy od tego.

Holliwell wziął teczkę i popatrzył na tekst, na którym była otwarta. Pierwszy wiersz nosił tytuł:

Fontanna w Belvedere.

FONTANNA W BELVEDERE

Rytm miłości i nienawiści drży pod werblami wzywając
do rozpostarcia skrzydeł i ja też zaciskam szpony
na rozkosznych ciele Portorykańczyka słodycz mango
bujna trawa czyni ze mnie niewolnikabicia werbli
więc tańczę bez muzykibez słowa bez tańca w Gazie

Był też i drugi wiersz. UNIESIENIE

Uniesienie to nie doniesienie nie wiadomość
nie reklama nie tabela może lekkie
orzech skryty w swej łupinie może większe
niżlija sam moje gwiazdy mleczna droga niż dziesiętne części czasu.

- Co o tym sądzisz, Frank? Nadaje się do druku?

Holliwell delikatnie odłożył teczkę na podłogę. Wzrok utkwił w jakimś kwiatku doniczkowym, który stał przy drzwiach balkonowych.

- "Uniesienie to nie doniesienie" brzmi całkiem nieźle. - On jest niesamowicie twórczy, Frank. Nigdy jeszcze nie spotkałem nikogo o tak głębokiej, o tak artystycznej duszy. Holliwell skinął z powagą.

- Nie możemy tu zostać. Gdybyśmy mieszkali w Stanach, wszystko wyglądałoby inaczej.

Wyprowadziłoby się go na prostą. Poszedłby do college'u. I mnie byłoby łatwiej. Tu nie sposób wytrzymać.

Holliwell poszukał w kieszeni papierosów.

- Oscar, przed moim wyjazdem tutaj skontaktował się ze mną niejaki Marty Nolan. Wspominał, że do siebie pisujecie. Oscar nie patrzył mu w oczy.

- Wiem, kim jest - powiedział - ale nigdy go nie spotkałem.

- To bez znaczenia, Oscar.

- Rozważyłem to w swoim sumieniu - oświadczył. - Nie lubię ich, wiesz, że nie. Ale co mi pozostaje?

- Co? Nie wiem.

- Twierdzą, że mogą mi pomóc. Frank, muszę znaleźć pracę w Stanach. A u was o to niełatwo, sam wiesz. Musimy się stąd wyrwać.

- Nie są w stanie dać ci tego, co ci obiecują. Może tak twierdzą, ale to nieprawda.

- Ach - westchnął Oscar - jakiś ty naiwny, Frank. Nie wiesz nawet, jak pracuje twój własny rząd. Oni mogą wszystko załatwić. - Nawet gdyby ci znaleźli pracę, nigdy nie mógłbyś wrócić. Nigdy więcej nie zobaczyłbyś dzieci. Byłbyś skompromitowany w obu Amerykach. Ci faceci nie mają tajemnic.

- Frank, posłuchaj... - Oscar wyciągnął rękę i zacisnął palce wokół dłoni, jakby miął papier. - Oni mnie mają.

- Płacą ci?

- Tak. Dyskretnie.

Holliwell zapalił papierosa i pokręcił głową.

- Spytałbym cię, co dla nich robisz, ale chyba nie chcę znać odpowiedzi.

- Pracowałeś dla nich - zaatakował nagle Oscar. - W Wietnamie. Pracowałeś dla nich.

- Ty wiesz, że ja pracowałem dla nich w Wietnamie. Ja wiem, że ty pracujesz dla nich tutaj. Masz całą ich dyskrecję. - Odłożył papierosa i schylił się po butelkę. - Chodziłem do szkoły z Martym Nolanem.

A Wietnam to stare czasy.

- Mogę to robić tak, by nikt nie został skompromitowany. Mogę to obrócić na swoją korzyść i nikomu nie stanie się krzywda.

- Pozwól, że coś powiem - przerwał Holliwell. - To logika człowieka zdesperowanego.

- Jestem zdesperowany - odparł Oscar. - Ale mogę też być... - Chwilę szukał słowa, a kiedy je znalazł, wyglądał na zadowolonego. - Sprytny. - Wymówił je "spritny". - Spritniejszy niż ci się wydaje.

Holliwell odwrócił się, żeby nie widzieć chłopięcego, nieszczęśliwego uśmiechu przyjaciela.

- Lepiej zajmij się sprzedawaniem figurek turystom. - Sprzedaję. Kupuję od huaqueros i sprzedaję.

Słono. Poza tym pracuję w twoim hotelu jako przewodnik. - Wstał, podszedł do poręczy balkonu i

wyjrzał na cichą ulicę. - Co sobota zabieram twoich rodaków do ruin w Uxpan i zapoznaję ich z

kulturą Majów. Cudowną rzeczą u Majów jest to, że dla każdego przed-stawiają coś innego. Zawsze

ofiarowuję swoim drogim amerykańskim turystom takich Majów, na jakich moim zdaniem zasłużyli. -

W ostatecznym rozrachunku to ty ucierpisz, Oscar.

Oscar gwałtownie potrząsnął głową i wziął butelkę. - To tylko dialog. Wymiana poglądów. Plotki.

Mogę zmyślać, jeśli mi się tak spodoba.

Holliwell wyciągnął szklanekę i Oscar nalał dla nich obu. - Nie oceniam cię - mówił Holliwell. - Boję

się o ciebie. Ci ludzie toczą wojnę.

- Chciałbym, żeby na świecie nie było wojen.

- Podpisuję się oboma rękami.

- Uważasz, że donoszę tylko dla pieniędzy. Ale moim zdaniem, nawet w czasie wojny jest miejsce na dialog. Znam moją biedną ojczyznę. I znam też twój kraj. Co w tym złego, jeśli nawiązuję między nimi kontakt?

Holliwell się uśmiechnął.

- Nie przekonałem cię?

- Pewnie. Ale mnie łatwo przekonać.

- Potrzebna nam wojna - ciągnął Oscar. - Postęp wymaga wojny. Sztuka jej wymaga.

- Wracam do hotelu - oświadczył Holliwell. - Umywam od tego ręce.

- Chcą, żebym pojechał do Tecanu.

Holliwell milczał.

- Od lat marzyłem, żeby tam pojechać i sfotografować stele na północy. Bo musisz wiedzieć, że stele na tamtym wybrzeżu są ogromnie interesujące: wyglądają na dzieło Majów, ale nimi nie są. Nie wiemy, kto je postawił. Przypuszczamy, że tamci ludzie mogli mówić językiem Majów, ale stanowili odrębną

grupę etniczną.

- Pretekst.

Oscar wzruszył ramionami.

- Jest tam misja. Chcą się o niej dowiedzieć czegoś więcej.

Z innego źródła. Zrozum, oni nie są głupi. Są ostrożni.

- Zaoferowałeś się, że pojedziesz?

- Do tej pory nie miałem najmniejszych szans, żeby dostać wizę. Tamtejsza policja doskonale znała moje zapatrywania poli-tyczne. Ale teraz przyjaciele Nolana obiecują, że mi to załatwią. - Odstawił szklankę i oboma rękami przytrzymał się barierki. - Ale nic by z tego nie wyszło. Powiedziałem im to. Poza tym nienawidzę księży i zakonników. Zostało mi to z czasów szkolnych.

Holliwell wstał i potarł brodę.

- Będziesz na wykładzie?

- Nie mogę, Frank. Nie mogę stanąć twarzą w twarz z tamtymi ludźmi. Zresztą tobie też by to nie wyszło na dobre. - Ależ jestem na twoje zaproszenie.

- Z pewnością zdążyli już o tym zapomnieć.

- W takim razie spotkajmy się po wykładzie. U mnie w hotelu.

- Dobrze, spróbuję.

Weszli do mieszkania. Holliwell nie skorzystał z propozycji Oscara, że ten go odwiezie do hotelu.

Krążył po pokoju, patrząc na pogrążonego we śnie Patricka Venture. Oscar w tym czasie dzwonił po taksówkę. Trwało to dłuższą chwilę. Oscar odprowadził go na dwór po zewnętrznych schodach.

Teraz budynek przypominał fortecę. Przy zejściu paliły się matowe żarówki, na tylną ścianę było skierowane światło mocnego reflektora. Na wzgórzu za domem widać było okna rozjaśnione blaskiem telewizora. Nieco dalej i wyżej w ubogich chatkach migotały płomyki lamp naftowych.

Przeszli przez suchą trawę do tylnej ściany ogrodzenia. Oscar otworzył drzwi, prowadzące na czarną jak atrament uliczkę na tyłach domu.

- Potępiasz mnie - odezwał się Oscar, kiedy już znaleźli się na ulicy. - Są rzeczy, które mógłbym ci powiedzieć, ale tego nie zrobię. Nie wiesz, jak tutaj jest.

- Przypuszczam, że dokładnie tak samo, jak w każdym innym miejscu świata - odparł Holliwell. -1 może wiem nawet lepiej od ciebie.

- A, tak - przypomniał sobie Oscar. - Wietnam.

W ulicę wjechał samochód i wolno sunął wzdłuż muru. Kiedy Holliwell zrobił krok do przodu, żeby go zatrzymać, zauważył, że Ocampo cofnął się, jakby szukał cienia. Ale ściana, o którą się opierał, była jasno oświetlona.

Samochód - pięcioletni Chewolet - miał na szybie napis "taxi", a na tablicy rozdzielczej plastikowy odlew serca jesusowego. - Pan Holliwell? - spytał kierowca.

- Wietnam, nie? - zawołał cicho Oscar spod muru.

- Wietnam - powtórzył, kiedy Holliwell wsiadał do taksówki.

Kiedy ruszyli, Holliwell podał nazwę hotelu. Wstydził się jej. Taksówkarz powtórzył ją z szacunkiem.

Holliwell obejrzał się za siebie. Oscar zniknął. Oświetlony mur rysował się wyraziście na tle ciemnej ulicy. W stłuczonej szybie na górze załamywały się promienie światła.

Rozdział szósty

Trzy przecznice od mola w Vizcaya mieściła się farmazia, zrobiona na wzór amerykański, z zielonym krzyżem na drzwiach. Pablo dwukrotnie składał tam wizytę, próbując naciągnąć aptekarza, żeby mu sprzedał prochy. Bezskutecznie. Uznał, że widocznie źle się do tego zabrał.

O dziesiątej rano, podczas swej trzeciej wizyty w sklepie, Pablo kipiał ze złości, łał się z niego pot, kiedy patrząc w ukryte za grubymi szklami, martwe oczy aptekarza, usiłował wzbudzić w nich iskrę zrozumienia i współczucia.

- Kurważ jego mać, co jest grane? - wściekał się Pablo, pokazując oryginalne opakowanie. -W kraju przepisali mi receptę. Aptekarz jakby nie widział butelki, nawet nie wzruszył ramionami. Dwie

młode farmaceutki w zielonych fartuchach przyglądały im się znad rzędów szamponów leczniczych.

- Cierpię na nadwagę - wyrzekął ponuro Pablo. Wcale nie cierpiał na nadwagę, zresztą sprzedawca i tak go nie zrozumiał. - Cholera, mam depresję, skumałeś? I co ty na to?

Kiedy mężczyzna wyciągnął rękę, żeby go wyprowadzić za drzwi, Pablo był gotów rąbnąć faceta. W ostatniej chwili zauważył, że tamten całą uwagę skupił na różowym banknocie, który Tabor ścisnął w lewej ręce. Aptekarz próbował dyskretnie, elegancko wyprowadzić Pabla na dwór, rzecz, przeciwko której burzyła się jego natura.

- Tiene que volver a la tarde - szepnął cicho mężczyzna, tak, żeby nie usłyszały go dziewczyny. - Mas tarde, comprende? Ahońta no.

Kiedy wreszcie znaleźli się na ulicy, Pablo wreszcie pojął, że tamten chce z nim ubić interes.

- Dobra - powiedział.

Przechodnie przyglądali się jego wymianie z aptekarzem. Zer-kając na swoje odbicie w szybie apteki, Pablo stwierdził, że bynajmniej nie wygląda na otyłego ani załamane go, a przypomina raczej niezbyt mile widzianego łobuza, który lada chwila może wylądować w więzieniu.

- Mas tarde, tak? - upewnił się Pablo. Mężczyzna szybko wrócił do sklepu.

Trudno było odgrywać luzaka. Po pierwsze jazgot ptaków doprowadzał go do szału. Miał wrażenie, że się z niego na-śmiewają. Pablo myślał, że bywał z różnych miejscach, ale żadne nie było aż tak koszmarnie jak Vizcaya, gdzie nawet ptaki robiły sobie z człowieka chichy-śmichy. Otarł brwi i ruszył Calle Catorce de Mayo w stronę mola i Lany.

Lana prowadziła "pensjonat" Miramar. Tym mianem określała kamienny barak z rzędami zakratowanych okien od strony ulicy i małym wewnętrznym dziedzińcem, na którym rosło zdychające drzewo. Dziesięcioro niskich drewnianych drzwi wiodło do mieszkań dziewcząt. Wracający do siebie Pablo usłyszał płacz dziecka. W Miramar wiecznie płakało jakieś dziecko. Trzy-mając w rękach butelki i kawałki kory, trójka śniadych dzieci, o szarawej, wiecznie niedomytej skórze skradała się pod drzewem próbując złapać kota.

Pablo podszedł do chłodziarki i kilkakrotnie grzmotnął w nią pięścią. Po chwili z pokoju wynurzył się młódzian w wieku lat czternastu, otworzył kluczem chłodziarkę i dał mu piwo. Pablo rzucił mu pięćdziesiąt centavo. Tamten nie wydał reszty - tu nikt nigdy nie miał wydać.

Zdegustowany i znużony Pablo usiadł na drewnianej ławce przy drzewie i próbował nie słyszeć ptaków. Kiedy wyjdę na prostą - pomyślał - wykombinuję coś. Dzieci zaczęły rzucać w kota kawałkami kory. Pablo wypił piwo i przyglądał się im z rozdrażnieniem. Wszystko przypominało taniec na linie. Kiedy jedno z dzieci rzuciło w kota butelką, przy okazji ją tłukąc, z domu wynurzyła się Lana i zwymyślała dzieci od ostatnich. Jedno było jej. Zauważyła Pabla i przysiadła się do niego.

- Znalazłeś coś na poprawę nastroju?
- Sądziłem, że to ty masz mi owo coś skołować - odparł Pablo.
- Nie mogę się dogadać z tymi ludźmi.
- Nie ma sprawy - zapewniła go Lana. - Zajmiemy się tobą.
- Nie widzę, żebyś się szczególnie gorliwie starała. Lana przysunęła się bliżej do Pabla i zabrała mu piwo, żeby pociągnąć łyka.
- Don Jorge mówił, że możesz tu ściągnąć tego maricon. Jeśli będzie miał szmal, pomożemy ci się nim zająć. Ale musisz to zrobić nocą, powiada Don Jorge.
- A kto weźmie forszę tamtego?
- Dla każdego po trochu.

Pablo odstawił butelkę.

- I co ja mam z nim zrobić? Zabić? To mam z nim zrobić? Lana wzruszyła ramionami. Przyznała się kiedyś Pablowi, że spędziła dwa lata na Coney Island, niedaleko Surf Avenue. - Nic nie wiem o facecie - oświadczyła. - Przekazuję ci tylko, co mówił Don Jorge.
- Co mówił Don Hor-he - odparł z goryczą Pablo. - Nie będę ściągał ciot dla Don Jorge. A już na pewno nie będę nikogo zabijał, bo Don Jorge sobie tego życzy.

Don Jorge był właścicielem Miramar i baru, który mieścił się obok. Potężny mężczyzna z

szpakowatymi, falującymi włosami, zawsze w ciemnych okularach - można go było spotkać na uliczkach, wiecznie zajętego ubijaniem podejrzanych interesów. Zdaniem Pabla tamci chcieli, żeby ściągnął tu biednego pedzia i zabił. Wtedy będą mogli go udupić.

Pora się zwijać - pomyślał Pablo. - Najwyższy czas. - A może byś mi oddała paszport? - spytał Lane. - Potrzebny mi. Bez niego nie czuję się sobą.

- Dziecino, nie mam twojego paszportu. Don Jorge go trzyma.

Może mu jesteś winien pieniądze, albo coś w tym stylu. - Nic mu nie jestem winien - warknął Pablo.

- A jeśli już, to wy wszyscy jesteście mi coś winni.

Lana pospiesznie zapewniła, że ona o niczym nie wie. - Ale możesz przyprowadzić tu tego faceta dziś wieczorem - przypomniała. - Wtedy już nigdy więcej nie będzie ci prze-szkadzał.

Pablo wstał.

- Idę do niego teraz.

Idąc Catorce de Mayo w stronę zocalo, Pablo zauważył parę Amerykanów z plecakami; automatycznie zaczął się zastanawiać, ile pieniędzy mogą mieć przy sobie. Jemu zostało tylko siedem-dziesiąt dolarów, nie licząc nic niewartej tutejszej waluty. Ubrania i paszport pozostawały pod opieką właściciela Miramar i zapewne już ich od niego nie wydobędzie.

Pucybuci gonili za nim przez plac aż do drzwi hotelu, świszcząc i gwizdząc jak natrętne ptaki. W środku, w klimatyzowanym wnętrzu szybko ochłonął, obejrzał kiosk z pamiątkami i stojak z gazetami, obserwując hotelowych ochroniarzy, czy nie będą się krzywili na jego obecność. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Tony'ego Bobbicka, owego zamożnego mañcon, ani widu ani słyhu. Odczekawszy kilka minut, Pablo przemknął się do re-stauracji nad basenem i zamówił kawę przy kontuarze. Sprawa Tony'ego Bobbicka nie należała do najłatwiejszych. Z jednej strony Pablo lubił zacisze domowego ogniska; uganianie się za ciotami uważał za rzecz poniżej swej godności, poza tym był już na to trochę za stary. Z drugiej zaś strony, Tony Bobbick należał chyba do najbardziej znanych obywateli Vizcaya, słynął w całym mieście z bogactwa i ogromnego wyboru kart kredyto-wych. W pewnym okresie karty

kredytowe stały się ogromnie modne w Środkowej Ameryce. Tutejsi biznesmeni nabyli stosowne urządzenia i rozdawali karty i bilety lotnicze z jankeskim gestem i europejską dwornością. Podpisów nie byli w stanie odczytać, a co dopiero sprawdzić ich rzetelność. Jako obywatele kraju stosunkowo mało odwiedzanego przez turystów, nadal polegali na procedurach handlowych rodem z Północnej Ameryki oraz Kodeksu Napoleona. Pabla - balansującego na linie, nękanego przez ptaki i początkowe stadium gangreny - męczyły niemożność podjęcia decyzji i skrupuły.

Ale muszę ruszać - postanowił. - Wynieść się z Yizcaya. Kiedy tak siedział skulony nad filiżanką wspanialej compostel-skiej kawy i dumał o Tonym Bobbicku, pojawił się sam zainteresowany. Miał na sobie niebieskie spodnie, adidasy i podkoszulek Triumphu. Zajął miejsce przy stoliku obok okna z widokiem na ogród i basen. Łapczywie pił filtrowaną wodę, którą przyniosła mu kelnerka i rozłożył przed sobą wczorajszy egzemplarz Miami Herald.

Tabor westchnął, zawahał się chwilę, szukając czegoś miłego, a może nawet pożądanego w czekającym go zadaniu, i ruszył w stronę stolika Tony'ego.

- Cześć, koleś - zagaił pogodnie. Choć w czasie swej kariery miał do czynienia z wieloma homoseksualistami, żył w przekonaniu, że właśnie w ten sposób się do siebie zwracają. - Jak tam samopoczucie z rana?

Bobbick ze znużeniem podniósł wzrok i nie zaprosił Pabla, by usiadł.

- Dzień dobry - odparł.

Tabor tkwił przy stoliku Tony'ego Bobbicka z przyklejonym uśmiechem na twarzy. Cały dobry humor gdzieś się ulotnił i sam widok chłopięcej, pobrużdżonej, obrzmiałej po przepiciu twarzy mężczyzny wystarczał, by pięści mu się zaciskały. Zupełnie nie wiedział, jak zacząć rozmowę.

- Słuchaj - odezwał się wreszcie po dłuższej chwili rozpaczliwego milczenia - miałbyś ochotę wybrać się gdzieś i zabawić? Bobbick oderwał wzrok od gazety i ostentacyjnie wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś mi coś takiego proponował.

Zdaje się, że miałem wtedy jakieś jedenaście lat.

Pablo głęboko zaczerpnął tchu i usiadł naprzeciwko Toby'ego. - Dokładnie to samo pytanie zadałeś mi wczoraj wieczorem, koleś. Czyja wyglądam na jakiegoś zafajdanego jedenastolatka? Tony Bobbick rozmasował czoło nad brwiami i wypił kolejny łyk wody.

- Skoro tak mówisz, widać musiałem coś takiego powiedzieć. Ale zrozumiem, Pablo, jest teraz ze mną przyjaciel ze Stanów. Po śniadaniu wybieramy się na zwiedzanie ruin.

- O kurwa - stwierdził ponuro Pablo.

- Wyglądasz na rozczarowanego.

- Bo i jestem. Lepiej, żebyś mi uwierzył.

W trakcie ich rozmowy do kawiarni wszedł młody Amerykanin i skierował się w stronę stolika Tony'ego. Amerykanin był wysoki, muskularny, miał przerzedzone blond włosy i złamany nos, który mógł świadczyć o tym, że nie bał się walki. Szttywno skinął na powitanie Bobbickowi i zatrzymał się obok stolika, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, skoro oba krzesła były już zajęte. Tony wstał, wziął krzesło od drugiego stolika i przysunął dla towarzysza. - Bill - odezwał się Tony, kiedy Amerykanin usiadł - to jest Pablo.

- Pablo? - spytał tamten rozbawiony. Nawet nie spojrzał na Tabora.

- Cześć - przywitał się Pablo.

Przyglądał się mężczyznom. Ogarnął go gniew, złość, ale i lekka ulga. Polowanie odwołane: zamiast jednego, mamy dwóch mari-cones.

- Dobrze się bawiłeś? - zwrócił się Bill do przyjaciela. - Zależy, co się komu podoba - odparł Tony. - Trochę sobie wczoraj daliśmy w szyję. A teraz Pablo przychodzi z propozycją niezłej zabawy.

- Czyżby? - Bill odwrócił się wolno i po raz pierwszy popatrzył na Tabora. - A cóż to za zabawa?

Udana jowialność Tabora rozplýwała się z minuty na minutę. Rozpaczliwie próbował zachować pozory dobroduszości, resztkami sił zdobył się na promienny uśmiech.

- Jaką tylko sobie życzysz.

Bill jeszcze raz bacznie mu się przyjrzał.

- Ten facet to kompletny dupek, prawda? Naganiacz?

- Hm - przyznał niepewnie Tony. - Chyba tak.

- Chyba bardzo tak - stwierdził Bill. - Idź na spacer - rozkazał Pablowi.

Pablo przełknął ślinę. Przez chwilę wpatrywał się w Billa i nagle pewność siebie, zarozumiałość bijąca z twarzy mężczyzny wydały mu się komiczne. Suchy śmiech rodził mu się w gardle. Bill uśmiechał się do niego cierpliwie.

- Wiesz, że co najmniej dwudziestu tutejszych bonzów miałoby ochotę na kawałeczek twojego przyjaciela, Tony'ego? Już się umówiłem, że będę go pilnował i dostanę forszę. Prosił się od samego przyjazdu.

Bill zerknął na Tony'ego. Tamten siedział z nosem w gazecie. - Nie żebym chciał kogoś zabić - ciągnął Pablo. - Jestem splukany i potrzebuję trochę grosza.

- Nie od niego, brachu - powiedział Bill. - A już na pewno nie ode mnie. Idź na spacer.

Pablo pochylił się nad stołem i odezwał się cicho, wytrzymując spokojne spojrzenie Billa.

- To nie jest bal u cioci Ziuty, cholerny zbrojeńcu. Jak myślisz, kto ci tu zapewni bezpieczeństwo?

- Znam doskonale to miejsce.

- Siedzi w turystyce - poinformował Tony Pabla.

- Wiem o nim wszystko - ciągnął Bill. - Często tu bywam i robię mnóstwo interesów. Więc dam ci wybór: albo zmyjesz się stąd pronto albo prosto z tego krzesła wylądujesz w obozie. Nie spodoba ci się tam.

- Ty kurewska cioto - syknął Pablo.

Bill lekko uniół brwi i ruchem ręki przywołał barmana. Tony delikatnie dotknął jego ramienia.

- Zaczekaj - powiedział. - Zaczekaj, daj spokój. - Tabor zauważył w dłoni Tony'ego banknot. -

Biedny facet, ma popieprzone życie. Dam mu coś.

Przesunął w stronę Tabora banknot dwudziestodolarowy. Pablo nie odrywał od niego wzroku.

- Nie dawaj mu ani centa - powstrzymał go Bill. - Takiej łajzie?

- Proszę - mówił łagodnie Tony - proszę, Pablo. To dla ciebie.

- Nie dla ciebie, kochanie - wtrącił się Bill.

Zabrał Pablowi banknot sprzed nosa i schował do kieszeni koszuli. - Słuchaj - mitygował Tony - może rzeczywiście tak to zrozumiał. Biedak jest w opłakanym stanie. Niech sobie weźmie. Bill westchnął, wyjął z kieszonki dwudziestodolarówkę i rzucił ją na podłogę.

- Świetny sposób na załatwianie spraw - powiedział ze złością do Tony'ego. Przyglądał się, jak Pablo schyla się po pieniądze. - Podnieś to i wynoś się, Pablo. Chcemy coś zjeść.

Pablo przykucnął nad banknotem.

Przebrała się miarka - pomyślał. - Będę musiał zabić tych skurczybyków.

W tej samej chwili Bill założył nogę na nogę. Czubek jednej z jego drogich tenisówek dyndał tuż przy twarzy Pabla. Pablo schował banknot do kieszeni i popatrzył na Billa. Mężczyzna spoglądał na niego z wyrazem lekkiej odrazy.

- Naprawdę, nie spodobałby ci się obóz karny, chłopcze. - Nie spodobałby - przytaknął Tony. - Znad jeziora ciągle wieje wiatr i nie sądzę, żeby słyszeli tam o homarze w delikatnej potrawce a la Newburg.

Tabor wyprostował się i ruszył w stronę wyjścia, nie oglądając się na boki.

Dobra - powiedział w duchu, kiedy już znalazł się na zewnątrz, a pucybuci nie dawali mu spokoju. - Dwie dychy to dwie dychy. Gdybym ich zabił, miałbym potem wyrzuty sumienia. Przedarłszy się przez tłum czyścibutów i żebraków, zdecydował, że najpierw się czegoś napije. W porcie była knajpa Paris, gdzie czasem wpadał w nadziei, że przypadkiem trafi mu się jakaś robota. Doniósł tam swoje ciężko zarobione dwadzieścia dolarów i usadowił się przy barze. W lokalu było tylko paru marynarzy z Composteli, którzy tłoczyli się wokół nowego automatu do gry. Z szafy grającej płynęło El Rancho Grandę w wykonaniu Fred-dy'ego Fendera. Pablo znał trochę barmana: potężnego faceta rodem z Hondurasu, który lubił hawajskie koszule, chodaki, a na szyi nosił krzyżyk; czasem wymieniali parę zdań.

- Jak leci, facet? - spytał barman.
- Mam wrażenie, że tańczę na linie - odparł Pablo.
- Odważnyś - stwierdził tamten.

Pablo zamówił margaritę: tekilę z sokiem cytrynowym i likierem pomarańczowym. Jego koktajl pochodził z małej buteleczki, takiej jakie rozdają w samolotach.

- Jak sie miewa twój przyjaciel? Pan Tony?
- Nie jest moim przyjacielem. Stawiał mi drinki, to wszystko.

A ja je piłem.

- Nic w tym złego. Ale teraz pokazał się jego przyjaciel.
- Taa... Przyjechał jego przyjaciel. Para zbrojców.
- Mocno powiedziane. Ale lubi się zabawić ten twój Tony, wiesz?

Ciągle ładne chłopcy. Bezwstydnik.

- Głupek - stwierdził Tabor.
- Racja, święta racja. Ale teraz przyjaciel się wszystkim zajmnie. - Cholera, skąd ty to wszystko wiesz?
- spytał Tabor. - W tej zaszrannej dziurze wszyscy wszystko o wszystkich wiedzą. - Wiesz, na tym polega zabawa. Trza polubić, brachu.
- Gównno.
- Ej, brachu, pływasz trochę?
- Znam się po trosze na wszystkim - odparł ostrożnie Pablo.
- Wim, gdzie znajdziesz robotę, jeśli się okażesz odpowiedni.

Facet ze statkiem szuka załogę.

-Tak?

Cecil przyniósł jeszcze jedną buteleczkę z margaritą.

- Ale nic o nim nie wiadomo. Jest w interesach.
- Cholera, podeślij mi go.

- Poczekaj, niech cię spytam o jedną rzecz, brachu. Jesteś biały czy czarny?

Niewiele brakowało, a Tabor zleciałby ze stołka. Kiedyś ktoś mu już postawił to pytanie i nikomu to nie wyszło na dobre. - A na jakiego wyglądam?

Cecil uśmiechał się szeroko, jak to on.

- Ja tam się nie znam, brachu, dla mnie wszyscy jednacy. Ale ten facet od statku może zobaczyć coś, com ja przeoczył. - Jestem biały - oświadczył Pablo. - Ślepy by zauważył. - No to nadasz się tamtemu. Bo coś mi się widzi, że by nie chciał kolorowej załogi.

Ma czuja - pomyślał Tabor.

- Coś ci powiem, brachu. Dajesz dychę i umówię cię z facetem. Powiem, że jesteś moim starym kumplem, co to przemierzył sto mórz.

- A jak to się stało, że przyszedł do ciebie, żeby skompletować załogę?

- Boja wszystkich znam, brachu. Już mu kiedyś pomagałem. - Dycha - zamyślił się głośno Tabor. - To kupa forsy. A jeśli mnie nie weźmie?

- Jak tam sobie chcesz, brachu.

Pablo przeliczył banknoty w portfelu, zasłaniając je od góry dłonią i podejrzliwie się rozglądając. Cecil przypatrywał mu się z rozbawieniem. Pablo znalazł banknot dziesięciodolarowy i podał barmanowi.

- I lepiej, żeby wypaliło - powiedział Cecilowi.

- Spoko, druhu - odparł Cecil z uśmiechem pełnym wyższości.

- Zajrzyj tu o trzeciej, a zobaczysz się z samym kapitanem. Pablo wyszedł i usiadł na placyku naprzeciwko bazy marynarki wojennej, gdzie wznosiła się statua Morazon. Słowa Cecila brzmiały mu w pamięci; jak na jego gust pachniały zdradą i oszustwem. Gadałem już z wystarczająco wieloma kapitanami - myślał.

Podejrzewał, że Cecil sprzedał go amerykańskim łowcom głów. Znowu się na niego uwzięli. W ciągu jednej godziny został upokorzony przez dwie cioty i nazwany w oczy Murzynem. Skulił się na ławce i przeciągnął palcami przez włosy. Te cholerne ptaszyska na drzewach wzdłuż Malecon darły się jak

opętane. Zawzięty, wściekły Pablo ruszył przez spokojne ulice pogrążone w południowej drzemce, kierując się do apteki. Sprzedawca czekał już na niego oparty o żaluzje. Na twarzy malował mu się dziwny wyraz. Był bez zielonego fartucha, miał na sobie ciemny, lekki garnitur z kilkoma długopisami w kieszonce. Kiedy zjawił się Pablo, przyłączył się do niego i obaj przeszli w cieniste miejsce po drugiej stronie ulicy.

- Ritalin? - spytał aptekarz.
- Mhm. Tylko amfetamina, czysta, bez domieszek.
- Dexamel?

Pablo omal nie prychnął z oburzenia.

- Żadnych środków uspokajających.
- Benedńno - powiedział aptekarz.

To było najpiękniejsze hiszpańskie słowo, jakie Pablo kiedykolwiek słyszał.

- Benedńno - powtórzył. - To jest to.
- Dwadzieścia dolarów - oświadczył sprzedawca, kiedy ruszyli.
- Kpisz sobie facet? Za ile?
- Za cincuenta. Pięćdziesiąt tabletek.
- Chryste Panie. Chromołą, niech będzie.

Nie był w nastroju do targowania.

Skręcili w wąską, brudną uliczkę. Po obu stronach stały zardzewiałe ogrodzenia, na których wisały liczne plakaty głoszące chwałę rządzącej partii. Aptekarz wręczył Pablowi butelkę bez naklejki. Pablo dał mu banknot. Kręciło mu się głowie od tylu transakcji finansowych w ciągu jednego ranka.

W tym zaszranym kraju - pomyślał - wszyscy myślą wyłącznie o pieniądzach.

Kiedy otworzył pokrywkę, żeby sprawdzić zawartość, sprzedawca zaczął syczeć i machać ręką, każąc schować butelkę.-- Odpieprz się - warknął Pablo, ale schował butelkę do kieszeni spodni.

Na rogu aptekarz skręcił i podreptał w stronę sklepu. Na ulicy było pusto. Pablo dostrzegł znak

firmowy Coca-Coli i podążył w tamtym kierunku. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie połknie proszek. Pozostawało mu tylko modlić się, żeby się nie okazało, że tamten go naciął.

Znak wisiał nad niewielką, pełną much tienda z kontuarem, na którym było trochę ciastek i ekspres do kawy. Pablo wszedł do środka poświstując pod nosem. Po chwili z zaplecza wynurzyła się zaspana kobieta i sprzedała mu colę.

Podał jej monetę z profilem generała - pięć ratones, gibrones, czy jak je tam zwał - i patrzył na nią twardo, żeby sobie nie myślała, że może zgarnąć resztę. Kobieta nerwowo odliczyła drobne, wkładając je do wyciągniętej władczo dłoni Pabla. Wtedy wyszedł na ulicę, wsadził colę pod pachę i wyjął butelkę, którą sprzedał mu aptekarz. Rzeczywiście henzendrino, maleńkie żółte tabletki po trzysta miligramów.

Gorący towar - pomyślał Tabor.

Popił dwie tabletki letnią colą i oparł się o ścianę narożnego budynku. Wzięte na pusty żołądek pastylki zaczęły działać stosunkowo szybko. Wyglądało na to, że facet go nie oszukał. - Dzięki ci, Jezu - powiedział na głos Tabor.

Powoli zbierał się do kupy. Kiedy tak stał oparty o ścianę, pojawił się chłopczyk i zbliżył, wyciągając rękę. Tabor beztrąsko wrzucił mu garść drobnych. Ale chłopiec nie odszedł - tkwił przy Taborze i palcem pokazał butelkę coli, którą Pablo trzymał w ręku. Tabor już miał dać małemu butelkę, kiedy poczuł, że wreszcie naprawdę się zaczyna. Łzy wzruszenia napłynęły mu do oczu. Chłopczyk z szeroko otwartymi oczami przyglądał się, jak Pablo składa się do rzutu i wspaniałym ruchem posyła butelkę w powietrze. Rozbiła się o ścianę budynku po drugiej stronie, rozpryskując na tysiące drobnych kawałków.

- Aj -jęknęło dziecko.

- Aj - powtórzył Tabor. - Ajajaj.

Unióś kciuk w geście zwycięstwa i ruszył w stronę portu. Serce mu śpiewało.

- Wygląda świetnie - zwróciła się blondynka do swojego towarzysza - ale nie boisz się, że to jakiś

złodziej albo morderca? Cecil właśnie pokazał im Pabla.

Towarzysz kobiety był mniej więcej pięćdziesięcioletnim męż-czyzną, bardzo opalonym, o delikatnych rysach. Szpakowate włosy miał dość krótko przycięte, gdyby był młodszy nadawałby się na zdjęcie reklamowe młodzieńca zachęcającego do wstąpienia do szkoły wojskowej.

Wzruszył ramionami i zapalił cygaro.

- Oni wszyscy są tacy sami. Skoro uważasz, że wygląda świetnie, to mi wystarczy.
- Cecil wykręca nam jeden z tych swoich numerów - wahała się kobieta. - Wściekł się, bo nie wzięłaś jego krewniaka. - Cholera, jestem pewny, że zna tego facia góra od tygodnia.

Wolałbym to załatwić po swojemu.

- Wiesz, że uważa cię za rasistę. Dosłyszał tę twoją uwagę o typach spod ciemnej gwiazdy.
- Mam gdzieś co sobie Cecil myśli. Jeśli dalej będę najmował tych diabelnych ratones, ponoć jego krewniaków, dopiero wpadnę w kłopoty.
- Do licha -. westchnęła kobieta - gdzie się podział ten beztroski student college'u, o którym zawsze marzyliśmy?
- Nie chcę żadnego beztroskiego młodzieńca z college'u, wolę brzydkiego chłopca, żeby utrzymać go w ryzach.

Kobieta zerknęła na Pabla i zaczęła się bawić słomką, kręcąc plasterkiem cytryny, który pływał w szklance z Cuba Libre. - Nie sądzisz, że ten wygląda trochę dziwnie? Jakiś świrus czy co?

- Może się naćpał - odparł mężczyzna, nie podnosząc wzroku. - To niedobrze. Ale z drugiej strony... łatwiej by go utrzymać w ryzach. Oczywiście, o ile w ogóle ma pojęcie o morzu. - Jesteś na tyle trzeźwy, żeby z nim porozmawiać? Chciałabym mu się przyjrzeć z bliska.

- Jasne. Pogadajmy z nim.

Kobieta wyjęła słomkę i machała nią leniwie, póki Cecil nie zauważył jej znaku. Pochylił się do Pabla, który siedział nad piwem i zaczynał się już denerwować.

- Dobra, brachu. Bacność, naprzód marsz. Powiedziałem, że znamy się z Nowego Orleanu.

Nawet komenderowanie typu "baczność, naprzód marsz" nie mogło zdusić iskry nadziei, która zapłonęła w sercu Pabla. Zeskoczył ze stołka i pewnym krokiem ruszył do stolika, przy którym siedziała tamta para. Już wcześniej przyglądał im się łakomie. Wyglądali na bogatych i beztroskich, a kobietka była seksy i do rzeczy. Nabrał na nich chrapki.

- Nazywam się Callahan - odezwał się szpakowaty mężczyzna, kiedy Pablo stanął przy stoliku. - A to pani Callahan. - Bardzo mi miło państwa poznać - odparł Pablo. - Pablo Tabor. - Cóż, nam też bardzo miło cię poznać, Pablo - odwdzięczyła się tym samym pani Callahan. - Proszę, usiądź.

Pablo usiadł. Pani Callahan poprosiła o jeszcze dwie szklanki rumu z colą i jedno piwo dla Pabla.

Mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

- Więc jesteś koleśiem Cecila? - zagaił Callahan.

- Nie, proszę pana, nie jest moim koleśiem. Ale się znamy.

Z Nowego Orleanu.

- Nurkowaliście razem, tak? - spytała z ożywieniem pani Callahan.

- Taaak - odparł zaskoczony Pablo. - Tego też spróbowaliśmy. Państwo Callahan wymienili przelotne spojrzenia. Cecil przy-niósł drinki. Uśmiechał się szeroko do całej trójki.

- Rzecz w tym, Pablo - przeszedł do rzeczy pan Callahan - że mamy z panią łódź. Z silnikiem.

Pablo skinął głową.

- Pływałeś kiedyś po morzu?

- Cóż - powiedział Pablo. - Umiem sterować. Całkiem nieźle sobie radzę z silnikami. Potrafię obsługiwać sprzęt radiowy każdego rodzaju. Jeśli mają państwo radar, to też umiałbym sobie z nim poradzić.

- Widać z tego, że służyłeś w marynarce.

- Ochrona wybrzeża. - Pablo postanowił iść na całego.

- Świetnie - stwierdził Callahan. - Znasz się na nawigacji?

- Przypuszczam, że z radionamiernikiem bym sobie poradził.

Nie miałem wiele do czynienia z sekstantem.

- Skąd się wzięło twoje imię? - spytała pani Callahan. - Któreś z twoich rodziców pochodziło z Kuby?

- Żadne nie pochodziło z Kuby - uciął Pablo. - Jestem Amerykaninem.

- Masz paszport? - chciał wiedzieć Callahan.

- Trzymają go właściciele mieszkania. Podejrzewam, że teraz łązi po nim stado karaluchów.

- Rozumiem - powiedział pan Callahan. - Cóż, to może być problem. Możliwe, że trzeba będzie tę sprawę załatwić. Pablo ogryzał kciuk.

- A dokąd państwo się wybierają?

- Och, chcemy popływać trochę wzdłuż wybrzeża. Może zahaczymy o jakieś wyspy.

Potrzebowalibyśmy cię na niecały miesiąc. Mógłbyś schodzić ze statku w każdym porcie.

- Mógłbym się dowiedzieć czegoś bliższego o zarobkach? - Cóż, zwykle tą sprawą zajmuje się mój starszy. Ale mogę cię zapewnić, że stawka jest wyższa niż przeciętna. Praca jest ciężka i stawiamy wysokie wymagania.

- To mi nie przeszkadza.

- Umówmy się tak - podsumował Callahan. - Nim damy ci ostateczną odpowiedź, musimy się jeszcze upewnić co do paru spraw. Zajrzyj tu koło piątej. Będziemy czekali, albo zostawimy ci wiadomość u Cecila.

- Rany, miałem nadzieję, że od razu się państwo zdecydują.

Callahan uśmiechnął się ze współczuciem.

- Przykro mi, marynarzu. To ci musi na razie starczyć. Ale wiesz co - pchnął w jego stronę plik banknotów - kup sobie parę piw. Pablo westchnął w duchu i wziął pieniądze. Co za dzień. Forsa nieustannie przechodziła mu przez rękę.

- Co się stało, Pablo? - zaniepokoił się Callahan. - Dobrze się czujesz?

- Nie wiem - odparł Tabor. - Czasem człowiek ma wrażenie, że jedyne, co tutaj ludzi interesuje, to forsa.

Państwo Callahan spojrzeli na niego z sympatią.

- Cóż - stwierdził Callahan - to dlatego, że taki tu straszny materializm. Wartości duchowe nie są tu aż tak w cenie, jak w naszej ojczyźnie.

- Racja - przytaknęła pani Callahan - człowiek sam w to wpada. Pablo uśmiechnął się i wstał.

Pomyślał, że ci ludzie mogą mu przysporzyć kłopotów.

- No to mam nadzieję, że spotkamy się o piątej - powiedział.

- Na razie - rzucił Cecilowi wychodząc.

Kiedy Pablo już zniknął, państwo Callahanowie zamówili na-stępną kolejkę.

- Chryste, można się załamać - odezwała się pani Callahan. - Oni wszyscy są tacy okropni. A my tak naprawdę potrzebujemy jakby drugiej rodziny.

- W dzisiejszych czasach jedyne pytanie, jakie należy sobie postawić, to: czy się przeciwko tobie nie obróć? Smutne, ale tak już jest.

- Mam wrażenie, że właśnie doszłam do wniosku - powiedziała pani Callahan zerkając w stronę baru - że go nie lubię. Podejrzewam, że to jeden z żartów Cecila.

- To dezerter. A tacy to zwykle niezły interes.

- A może chce, żebyśmy go uważali za dezertera, tymczasem naprawdę jest gliniarzem.

- Jak na gliniarza, to jest za bardzo porąbany. Oni nigdy nie są na tyle dobrzy.

- Może jednak poradzilibyśmy sobie bez niego?

- Nie sędzę - odparł Callahan.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu.

- Słuchaj, Deedee, instynkt mi mówi, że możemy go wziąć.

Moim zdaniem to najlepszy facet, jakiego do tej pory mieliśmy. Sędzę, że potrafi słuchać rozkazów.

Jestem pewny, że za tym nie przepada, ale... umie się podporządkować.

- Nie podoba mi się ten człowiek - upierała się pani Callahan. - Jest nas trójka przeciwko jemu jednemu. A przy tym nie zna się na nawigacji. Ale muszę wyciągnąć jego paszport i go sprawdzić.

Cecil pewnie wie, u kogo są jego dokumenty. - To twoja decyzja.

- Ach, jak ja lubiłem, kiedy najgorszą rzeczą w tym interesie byłem ja. Teraz jestem po prostu kolejnym niewinnym w okolicy. Pani Callahan dopiła rum i zapaliła małego, cienkiego pa-pierosa.

- Okropność - westchnęła. - Rodzaj ludzki przynosi wstyd naszej planecie.

Callahan uśmiechnął się marząco.

- Szczęście nam sprzyjało, dziecino. Spotkaliśmy paru czub-ków, ale też i parę naprawdę złotych serduszek.

Pani Callahan machała, odganiając dym znad stolika.

- Nie bierz mnie pod włos, bo się rozplącę.

Rozdział siódmy

Pięć pięter w dół, pod oknem Holliwella dwie jasnowłose Francuzki, matka i córka, pływały w basenie. Były opalone, z ich ciał emanowało ciepło słońca podobnie jak z owocu ogrzewanego łagodnymi promieniami popołudniowego słońca. Na-stolatka pokonywała jedną długość za drugą i nawet w niewielkim basenie hotelowym widać było, że to dobra pływaczka. Za każdym razem kiedy docierała do brzegu, zawracała jak zawodniczka, podczas gdy matka przyglądała się jej, opierając brązowe ramię o krawędź basenu, ręką osłaniając oczy przed słońcem. W drugiej trzymała wysoką szklankę ze schłodzoną lemoniadą. Od czasu do czasu pociągała tyk. Między krzewami, które rosły przed apartamen-tami przy basenie, przechadzały się oswojone papugi. Pod murem, dzielącym teren hotelu od ulicy, stali dwaj mężczyźni w hotelowych uniformach i podlewali ogród. Nie patrzyli ani na gości, ani na siebie. Holliwell siedział na swoim balkoniku i przyglądał się Francuz-kom, kiedy nagle sobie uświadomił, że - wbrew temu, co radził instynkt i rozsądek - mimo wszystko ma ochotę wybrać się do Tecanu. Tam niedaleko wybrzeża, na Morzu Karaibskim leżały wyspy Corazon, odwrotność zimy i pustki, które czekały nań w domu. Co się działo w Tecanie, każdy wiedział, ale przecież, podobnie jak Compostela, Tecan był rozkoszną talią Ameryki. Uwodzicielką, la encantada, miejscem

rozkoszy dla ludzi takich on jak, Holliwell.

Do Tecanu ciągnęła go również rosnąca ciekawość. Tam mieszkał katolicy. Dziwne by było spotkać takich katolików - pomyślał. - Dziwne by było spotkać ludzi, którzy w coś wierzą i postępują zgodnie z nakazami wiary. Jakaś odmiana. Przypomnienie dawnych czasów. Nikomu nie był nic dłużny. Może pojechać albo nie. To co by zrobił i zobaczył, nikogo by nie obchodziło. Pozostałoby jego osobistą sprawą.

Odsunął od siebie tę myśl i wypił jeszcze trochę. Wreszcie i nad basenem zapadł mrok. Holliwell został w pokoju, czekając na jakiś znak życia z uniwersytetu: zaproszenie na kolację albo coś w tym stylu czy choćby telefon.

A jednak nikt się nie odezwał i Holliwell podejrzewał, że ma to związek z Oscarem. Może tamci sobie wyobrazili, że dwóch pedziów robi ich w konia?

Chromolę to wszystko - myślał, krążąc po pokoju. W rękę trzymał szklankę. Nie spodoba im się jego referat. Lewicowcy i prawicowcy jednogłośnie uznają go za przykład tej okropnej amerykańskiej dekadencji.

Kobiety ogarnie zażenowanie, poczują się zagrożone, będą spoglądać na mężów, szukając wyjaśnienia. Mężowie wytłumaczą im, na czym polega dekadencja Ameryki. Ten profesor, wyjaśnił zaciskając wargi, to przyjaciel Ocampo, to mańcon. Nic dziwnego, że ma takie poglądy.

Przecież jest żonaty, upewnią się żony.

To o niczym nie świadczy, oświecą je mężowie. Wierz mi, na pewno tak samo jak Ocampo sypia z młodymi chłopcami. A żona bez wątpienia ma kochanków.

Biedne ich dzieci, westchną kobiety.

A mężczyźni - niezależnie od swoich przekonań politycznych - stwierdzą: Muer, dzieci... Sama możesz się przekonać. Przecież tyle ich tu przyjeżdża. Spójrz na ich usta, na ich oczy. Wszyscy chłopcy wyglądają jak kobiety. Nie potrafią zaspokoić dziewczyny. Co jeden to narkoman.

Jakiż ja się zrobiłem zgorzkniały - pomyślał Holliwell. Za-skoczyła go jego złośliwość.

A niech tam. Jeśli Uniwersytet Narodu nie zafunduje mu kolacji, po prelekcji wróci do hotelu i tutaj zje. Może Oscar się do niego przyłączy.

Odstawiwszy drinka, wyjął słownik hiszpańsko-angielski i przez jakiś czas pracował nad tekstem wystąpienia.

Po godzinie odbył kolejną rundkę gry w chowanego z hotelowym telefonem. Sam nie wiedząc kiedy, rozmawiał z kimś z sekcji ds kultury w ambasadzie amerykańskiej, niejakim Vandenbergiem.

Vandenberg wyraził swój żal z powodu niemożności sponsorowania przez sekcję kulturalną wykładu Holliwella. Następnie prze-prosił, że on sam nie będzie mógł się pojawić na prelekcji, choć, o ile się orientował, parę osób z ambasady się tam wybierało. Holliwell wyjaśnił, że wszystko zostało załatwione w ostatniej chwili, przez przyjaciół. Zdawał sobie sprawę, że ambasada nie miała czasu, by oficjalnie się tą sprawą zająć.

Vandenberg powiedział, że mimo to wszyscy bardzo się cieszą, że rzecz w ogóle doszła do skutku.

- Niech pan o nas nie zapomina - dodał na zakończenie.

Holliwell zapewnił, że oczywiście o nich nie zapomni. Do szóstej nie było więcej telefonów. Holliwell wziął prysznic, żeby trochę otrzeźwieć, po czym jeszcze się napił, jakby to miało poprawić sytuację. Kiedy szedł do windy, zauważył, że kroki ma nieco chwiejne. W westybulu zatrzymał się przy barze na drinka, rozkładając tekst wystąpienia na mahoniowym blacie. Wychylił dwie escoseses i przysłuchiwał się głosom mężczyzn, rozmawiających po angielsku. Oglądając się od niechcienia w ich stronę, stwierdził, że dwaj to Compostelczycy, a dwaj - sądząc po wymowie i lśniącobiałych, rozpiętych pod szyją koszulach - to Izraelczycy. Byli zbyt daleko i mówili zbyt cicho, tak że nie mógł odgadnąć, o czym rozprawiali.

Holliwell zebrał notatki i pewnym krokiem wyszedł w zapadający zmrok. Przespacerował się wzdłuż hotelu i stanął obok policjan-tów, którzy odganiaли żebraków i czyścibutów. Kiedy taksówka skręciła na podjazd, zatrzymał ją i z piskiem opon ruszył w stronę Uniwersytetu Narodu.

Samochód mknął pustą aleją wśród drzew palmowych. Na jednym skrzyżowaniu zahamował,

przepuszczając kolumnę młodych. W pierwszej chwili Holliwell uznał to za jakąś demonstrację. Jednak w miarę jak kolumna wyłaniała się z mrocznej ulicy, zauważył policjantów z karabinami otaczających młodzież i to, że chłopcy i dziewczęta maszerowali dziesiątkami równym krokiem, milcząc, z martwymi twarzami. Większość chłopców miała długie włosy, dziewczęta były w dżinsach. Niektóre pary trzymały się za ręce. Policjanci przeprowadzili ich prawym pasem alei. Po jakimś czasie kolumna zniknęła w mroku bocznej uliczki.

Kiedy taksówka znowu ruszyła, Holliwell spytał kierowcę, kim byli ci młodzi ludzie.

- Jipis - wyjaśnił taksówkarz. - Bezwstydna młodzież. Kierowca - podstarzały Hiszpan w druciakach - wyglądał na domorośłego filozofa.

- I co się z nimi stanie?

Tamten wzruszył ramionami.

- Nic złego. - Obejrzał się na Holliwella i uśmiechnął. - Może fryzura dla policia.

Kiedy dojechali do kwietnika udającego zegar, kierowca klnąc włączył się w strumień samochodów na rondzie. Holliwell znie-ruchomiał wstrzymując oddech.

- No ale - podsunął, kiedy wydostali się z ronda - to przecież wolny kraj.

- Claro - odparł kierowca. - Od czasów reformy.

Na skraju terenu uniwersytetu stał pomnik ku czci reformy, dzięki której Compostela stała się wolnym krajem. Minęli go i pojechali między rzędem oświetlonych fontann, betonowych chodników. Wreszcie dotarli przed budynek Wydziału Studiów nad Ludzkością.

- A więc u was - rzucił Holliwell, płacąc taksówkarzowi i dając mu spory napiwek - nie jest tak jak w Tecanie.

Kierowca wyglądał na głęboko wzburzonego.

- Ależ nie, nie, nie - zaprzeczył z żarem. - Tam nie mają wolności. I tylu tam biedaków.

Na ścianach foyer Wydziału Studiów nad Ludzkością widniały malowidła, które wyszły spod ręki uznanego compostelskiego malarza: naśladowcy Orozco i stałego gościa Brasserie Lipp. Co prawda

nieco kontrastowały z neoflorencką architekturą budynku, ale rzeczywiście przedstawiały rodzaj ludzki w różnorodnych scenach na różnych etapach rozwoju. Kiedy Holliwell wszedł do foyer, tłoczyły się tam grupki studentów, kryjące się konspiracyjnie pod ścianami. Studenci rozmawiali ostrożnie i bacznie się przyglądali mijającemu ich Holliwellowi. Wielu wyglądało i zachowywało się podobnie jak tamta "bezwstydną młodzież", część prezentowała styl pistolem. Bardzo dużo się śmiali, ale ten śmiech nie był melodyjny ani przyjemny, odbijał się głuchym echem o wysokie sklepienie kopuły.

Po dwóch stronach foyer były dwie duże sale wystawowe, wejście do obu zagrażały duże drzwi z prętów z kutego żelaza. W jednej znajdowała się diorama przedstawiająca dzieje republiki, gdzie podkreślano zdradzieckie zapędy sąsiadów oraz męki, jakie republika wycierpiała za przyczyną Kościoła. Z kolei uniwersytet katolicki mieszczący się w innej dzielnicy miał bardzo podobną dioramę, w której przedstawiono męczeństwo Kościoła i prześladowania, jakie go spotykały z rąk niewdzięcznych compostelskich dzieci. W sali po drugiej stronie foyer mieściło się muzeum, nudny zbiór opierzonych szkieletów w szklanych gablotach. Obie sale pozostawały zamknięte już od ponad dziesięciu lat. Za głównym hallem znajdowało się patio, gdzie wokół fontanny posadzono tutejszą roślinność. Żeby tam się dostać, Holliwell musiał pokazać strażnikowi zaproszenie. Działanie było bardzo przyjemnym miejscem i Holliwell z ulgą tam się schronił. Przysiadł obok fontanny i słuchał nierównego szmeru wody i stłumionego odgłosu rozmów studentów we foyer. Nie minęła chwila, a na kamiennych schodach łączących patio z salami na górze pojawił się szpakowaty mężczyzna. Mężczyzna szedł z wyciągniętą ręką, ale w jego zachowaniu Holliwell dostrzegł cień dezaprobaty. Prawdopodobnie - uznał - nie należy siadać przy fontannach.

- Profesor Holliwell? - spytał mężczyzna.

Holliwell wstał. Zachwiał się lekko.

- Claudio Nicolay - przedstawił się tamten, podając Holliwellowi rękę. - Wicerektor do spraw dyscypliny na wydziale socjologii. Witamy ponownie w Composteli.

Nicolay wyglądał jak kopia feldmarszałka von Paulusa, tyle że nieco ciemniejsza.

- Bardzo się cieszę, że tu jestem - odparł Holliwell. -1 ogromnie dziękuję za zaproszenie.
- A tak. - Holliwellowi wydawało się, że w głosie Nicolaya zabrzmiała jakaś dziwna, dwuznaczna nuta.
- Zechce pan pójść za mną?

Wspięli się na te same schody, z których wcześniej zszedł Nicolay, i skręcili w długi korytarz. Mijali otwarte drzwi do sal wykładowych pachnących starym drewnem i środkami owado-bójczymi. Ale pomieszczenie, do którego w końcu został wprowadzony Holliwell, było jasne, miało nowoczesne oświetlenie, lśniło chromem. Z przodu znajdował się podest; przodem do niego na drewnianych krzesłach z twardymi oparciami siedziało mniej więcej trzydzieści osób. Słuchacze poruszyli się i obejrzeni, gdy Nicolay podprowadził Holliwella ku przejściu, potem oparł się o ścianę, stając z nim twarzą w twarz.

- Zakładaliśmy - odezwał się - że będzie pan mówił po angielsku. Słuchacze to w większości pana rodacy, więc nie będzie pan miał żadnych problemów.
- Cóż - zaczął Holliwell - przygotowałem referat po hiszpańsku.

Sądziłem....

Nicolay nie dał mu dokończyć.

- Może pan wygłosić prelekcję w dowolnym języku. Ale moim zdaniem lepiej by było, gdyby pan mówił po angielsku. Do Holliwella wreszcie dotarło, że jest traktowany bardzo nieuprzejmie. Nawet gdyby Nicolay uznał, że profesor jest pijany i poczuł się dotknięty, nawet gdyby nieudolnie próbował naśladować bezpośredni sposób bycia Amerykanów - to nie usprawiedliwiałoby takiego zachowania. W Composteli ludzie nie byli nieuprzejmi ot, tak sobie.

Holliwell wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy.
- Czyli najpierw pan wygłosi referat, potem będzie czas na pytania. Dobrze?
 - Dobrze.

- Po prelekcji chcieliśmy jeszcze zrobić małe przyjęcie z kok-tajlami. Mamy nadzieję, że pan będzie mógł zostać. - Jeszcze raz dziękuję - odparł Holliwell.

- Jeśli zaś chodzi o pańskie honorarium, to ta sprawa została już załatwiona.

- Świetnie.

Holliwell postanowił, że nie da się zbić z tropu.

- Kiedy będzie pan już gotowy, proszę mi powiedzieć, to pana przedstawię słuchaczom - powiedział Nicolay.

- Proszę uprzejmie, jestem do dyspozycji.

Profesor poprowadził Holliwella do mównicy. Holliwell rozejrzał się po sali. Ponad połowę publiczności stanowiły kobiety. Co najmniej jedna trzecia wyglądała na Amerykanów. Twarze rozmywały się w świetle jarzeniówek. Holliwell miał okulary do czytania, z których korzystał w chwilach, gdy nowoczesne oświetlenie bądź jego własne pijaństwo nie pozwalały mu odczytać notatek; zostawił je w hotelu, obok butelki szkockiej whisky. Wprowadzenie Nicolaya składało się z formułek, które pasowały tak do Holliwella, jak i każdego innego naukowca. Kiedy skończył, sala uprzejmie przywitała wykładowcę oklaskami.

- Szanowni państwo - rozpoczął Holliwell - wielce szacowni koledzy.

Kim, u licha - myślał - są ci ludzie?

Bezradnie popatrzył na wygładzone, starannie ułożone hisz-pańskie zdania i umilkł.

- Mam tu przed sobą - podjął po chwili niezręcznego milczenia - mam tu przed sobą, choć nie widzę ich zbyt wyraźnie, notatki sporządzone w języku hiszpańskim. Zamierzałem bo-wiem wygłosić mój referat w języku tego kraju. Muszę przyznać, że przekładanie ich teraz z powrotem na angielski to bardzo trudne zadanie. Szczerze mówiąc, uważam je wręcz za niewykonalne.

Popatrzył na Nicolaya siedzącego w ostatnim rzędzie. Rozpoznał go wyłącznie dzięki ciemnej skórze i szpakowatym włosom. Kiedy wiodł wzrokiem po sali, miał wrażenie, jakby jego compostelscy koledzy padli ofiarą dzieworódtwa. Spoglądało na niego dwóch profesorów Nicolayów; ich surowego

wejrzenia mógł się jedynie domyślać. Wydawało mu się, że na zamazanych twarzach słuchaczy widzi ciepłość i sympatię. , - Pozwólcie, że - jak to się mówi w mojej ojczyźnie -

podzielę się z wami tym doświadczeniem. Dzielenie się owym doświadczeniem stanie się międzyamerykańskim aktem kulturowym. Uczestnicząc razem w owym międzykulturowym doświadczeniu, możemy uchwycić mechanizmy kulturowe in vivo. Tak szanowni państwo i wielce szacowni koledzy, na organizmie żywym. Przez salę przebiegł stłumiony, niepewny śmiech.

- Kiedy myślę o przekładaniu na angielski - oświadczył Holliwell - referatu, który tutaj oto mam, wydaje mi się on jakiś złowieszczy. Jak wiemy, kultura w ogromnym stopniu to kwestia języka i język, który widzę przed sobą, wydaje mi się w tym momencie sztucznym, pseudocycerońskim, absurdalnym tworem. Kiedy na niego patrzę, na samą myśl że miałbym się nim posługiwać, ogarnia mnie gniew. Nie - pospieszył zapewnić - żebym uważał hiszpański jako taki za pseudocyceroński i absurdalny. Nikt goręcej ode mnie nie kocha języka Cervantesa, Lorki i nieśmiertelnego Dario. Tylko że moje myśli, moja gadanina, moja biegłość we władaniu słowem - wszystko to w tym języku wydaje mi się sztucznym, pseudocycerońskim tworem.

Ktoś plasnął dłonią w skórzaną poręcz krzesła. Słysząc było trudne do zinterpretowania westchnienia.

- Kolejnym rozczarowaniem, przyjaciele, kolejnym rozczarowaniem jest dla mnie fakt, że mój referat miał się zajmować związkami kultury z rodziną, a może na odwrót, albo obecnością rodziny w kulturze czy coś w tym stylu. Powiem wam otwarcie: nie do mnie należy mówienie o takich rzeczach. Nie mam pojęcia o rodzinach - a na pewno nie wiem o nich więcej niż ktokolwiek z was. Przez znaczną część życia w ogóle nie posiadałem rodziny. Na przykład słowo "ojciec" stanowiło dla mnie pojęcie abstrakcyjne. Kojarzyłem je wyłącznie z Bogiem.

Pojedyncze hiszpańskie słowo, którego nie zrozumiał, zabrzmiało echem w pustej, błyszczącej chromem sali. Ktoś zaśmiał się rubasznie. Holliwell nie podniósł wzroku. Ogarnął go wielki smutek.

- Kiedy poznałem co to rodzina - rodzina, la familia - przekonałem się tylko, że przynosi ona ból i

cierpienie. To wszystko, co wam mogę powiedzieć o rodzinie, a zakładam, że wy też zdążyliście się już o tym przekonać. Co więcej, w mojej kulturze ucieka się od bólu, więc przyszłość rodziny jest zagrożona. W związku z tym temat dzisiejszego wykładu może się okazać bez znaczenia, a przecież zebraliśmy się tutaj, żeby zrobić coś, co ma znaczenie. O to przede wszystkim tu chodzi. W tym naszym międzykul-turowym doświadczeniu.

- Ale mówiąc poważnie... poważnie, drodzy przyjaciele...

- Umilkł na chwilę, zaszokowany, że mógł się tak zaplątać. - Oczywiście mogę mówić o kulturze. Z tego żyję i nie boję się o niej mówić. Na przykład, kultura masowa, to dopiero zabawa. W moim kraju istnieje takie powiedzonko: Myszka Miki cię przeżyje.

Zapadła cisza.

- Rzeczywiście, nie ma takiego powiedzenia - przyznał Holliwell.

- Siedzący na tej sali moi rodacy zapewnią was, że go nie ma. Wymyśliłem je, żeby zademonstrować, podkreślić powagę, z jaką powinno się traktować amerykańską kulturę masową. Owszem, snobistyczna zagranica - jak ich czasem określamy - wyśmiewa amerykańską kulturę masową. Ale wiecie co? My przynajmniej mamy tę satysfakcję, że możemy owej snobistycznej zagranicy wsadzić tę kulturę w gardła. I albo się udławiają, albo nauczą się z nią żyć. Ona tkwi w ich gardłach, jest w powietrzu, którym oddychają, dostatnim, zagranicznym jedzeniu, którym się ob-żerają. I radziłbym im ją pokochać.

Ktoś zawołał Holliwella, ale udał, że nie słyszy. Grupka Amery-kanów w jednym z pierwszych rzędów wstała i zaczęła wychodzić. - Nasza kultura masowa wychodzi spod sztancy, możemy sprzedać ją każdemu, kto wyskrobie dość pieniędzy i znajdzie odpowiednio liczne grono niedouczonej odbiorców. Compostela to jeden z narodów, który odniósł sukces w tej dziedzinie. Słuchacze w tylnych rzędach próbowali go zagłuszyć. - Zrozumcie - błagał publiczność Holliwell. - Nie chcę się roztkliwiać nad różnymi kulturami masowymi, które wyparła nasza. Możecie być pewni, że choć tak barwne i urozmaicone, były równie wulgarne i kiczowate jak ona. Po prostu zabrakło im

czegoś, co ona ma.

Znowu umilkł. W gardle czuł suchość. Patrzył na szybki exodus publiczności.

- Pragnąłbym jednak coś wam zdradzić. I w tym momencie, szanowni państwo i wielce szacowni koledzy, zwracam się zwłaszcza do tych moich słuchaczy, którzy nie pochodzą z Ameryki Północnej - za kiczowatą pustką, którą sprzedajemy, kryje się zupełnie inna kultura. Tajemna kultura. Może uważacie nas za państwo, w którym nie ma tajemnic. Mylicie się. Naszą tajemną kulturą jest ta, wedle której praw żyjemy. Ta, którą wbiliśmy do łbów kolejnym falom emigrantów, a oni z kolei wbili do głów swoim dzieciom. Ona nie jest na sprzedaż. Co więcej - wara wam od niej. Ale ponieważ dziś wieczorem postanowiliśmy się zabawić w małe międzyamerykańskie doświadczonekko, opowiem wam o niej co nieco.

W sali podniósł się wrogi szmer.

- Pozwólcie, że wyrecytuję pewien wiersz - pierwszy wydrukowany wiersz w kraju, który potem został nazwany Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Oto on:

Na cmentarzu stoję wśród

Rzędów obojętnych płyt,

Z których każda szepce mi:

Nawet dziecię czeka grób.

- Przyjaciele, w angielskich koloniach Ameryki Północnej dzieci nie szły do nieba, gdzie stawały się angelitos. Ich los po śmierci był zbyt okropny, by nad nim dłużej rozmyślać, zagłębiać się. I owo rozmyślanie stało się elementem naszej tajemnej kultury. Jest ona równie beztroska jak wierzba płacząca nad grobem. To cudowna rzecz - a może lepiej powiedzieć: to była cudowna rzecz. Była silna i groźna, majestatyczna i bezwzględna. Nie znała, co to litość. I wiecie, w co wierzyliśmy? Wierzyliśmy, że wiemy więcej o olbrzymich, niezaludnionych przestrzeniach, niż którykolwiek europejski naród. U nas teren nie zajęty oznaczał teren niezaludniony. A równocześnie wierzyliśmy, że wiemy więcej o poczuciu winy. Wierzyliśmy, że nikt nie pragnął, nie tęsknił tak gorąco jak my, że

nikt inny nie potrafił urzeczywistnić swoich marzeń. Tylko my. Wierzyliśmy, że jesteśmy czymś więcej. Więcej - tak brzmiało nasze tajemne hasło. I właśnie z tego, mimo tego, przez to wymyśliśmy Wuję Sama, ów słynny wyczelowany drobiazg. Na Wuju Samie zaś wychowały się pierwsze próżniacze, wykształcone masy - ku przerażeniu całego cywilizowanego świata. Cały cywilizowany świat - faszyci i lewicujący intelektualiści - z obrzydzeniem patrzyli i nadal patrzą na ów dziwaczny twór, Wuję Sama; masy pracujące, które mają dość pieniędzy i czasu, by sterować kulturą; które nie dadzą się pouczać, którym nikt nie pokaże, gdzie ich miejsce. Albowiem Wuj Sam nie myślał o niczym, tylko o wszechpotężnym dolarze i dlatego stworzył spod sztancy kulturę masową, żeby wzbudzić w owych masach żądzę. Albo, jeśli wolicie, żeby pobudzić ich podstawowe instynkty. Nie uważał za swój obowiązek poprawiania ich. One też nie. Podstawą dobrze wychowanego społeczeństwa jest to, co teraz wam sprzedajemy.

Holliwell znowu umilkł. Słuchacze głośno protestowali, ale on nie dał się zagłuszyć. Umiał mówić tak, żeby go słyszano. - Szanowni państwo i wielce szacowni koledzy, mam zaszczyt przynieść wam nadzieję. Tu zwracam się zwłaszcza do wrogów mojej ojczyzny i ich przedstawicieli obecnych na tej sali. Nasza tajemna kultura ukryta pod powłoką kultury masowej umiera. Gorzknieje, i ta gorzyc nas zabija. Umrzemy spokojnie, kiedy całkiem zawładnie naszymi sercami, a nasze dzieci będą się z nas śmiać. A więc koniec Myszki Miki, amigos. Droga wolna, świat stoi otworem przed latynoskimi ideologami, niemieckimi -izmami... Świątynie rozumu, dialekryka, nazwijcie to sobie...

Nie mógł już dłużej ignorować zamieszania z tyłu sali. Nad głowami garstki słuchaczy wyrosła sylwetka jakiegoś młodego chłopaka w ciemnych okularach, czarnej koszuli, z fryzurą a la Ryszard III. Chłopak miał wątpliwości co do tez stawianych przez Holliwella.

- Czy nie jest to łatwy nihilizm, proszę pana? Przykrywka dla ciągotek komunistycznych?

Partyzant Chrystusa Króla - pomyślał Holliwell. - Biała ręka. Przed oczami zamajaczyła mu wizja pędzącego samochodu, z którego na trawniki autostrady łączącej obie Ameryki zostaje wyrzucone jego ciało.

- Czy pańskim zdaniem nihilizm to jest po prostu sposób na podważanie wartości naszej zachodniej, chrześcijańskiej kultury, którą tak bardzo chce wyprzeć komunizm?

- Chyba pan żartuje - odparł Holliwell.

- O nie, proszę pana, wcale nie żartuję - zapewnił go z powagą młodzieniec. W jego głosie zabrzmiał nieprzyjemny śmieszek. Holliwell nagle zdał sobie sprawę z niewłaściwości swego zachowania, przypomniał sobie gdzie jest i rozpaczliwie próbował wrócić na bezpieczny grunt beznamiętnej wymiany naukowych poglądów.

- Czy pańskim zdaniem uważam, że lukę po czymś utraconym może wypełnić jedynie marksizm? Czy sądzi pan, że zrozpaczony, zagubiony spoglądam zazdrośnie ku Litwie albo Kirgistanowi? - A może identyfikuje się pan z naszym narodem? - podsunął młody

człowiek. - Może wydaje się panu, że to my powinniśmy zerkać ku Litwie albo Kirgistanowi?

- Wie pan, a mnie się wydaje, że poczuł się pan dotknięty i dlatego mnie teraz atakuje. Uważam marksizm za zjawisko podobne do kultu cargo. To naiwne zaklinanie werbalnej maszyny. - Ale heroiczne? Może nieuniknione?

Dyskusja była idiotyczna, uznał Holliwell, ale zasłużył sobie na to. Następnym razem dobrze się zastanowi, zanim coś takiego głośno powie. Ale był jeszcze na tyle pijany, żeby odczuwać gniew. -

Jasne - odparł. - Żyjemy z zabawnym świecie, synu. Teraz - zachęcony przez młodego fanatyka - na nogi zerwał się Amerykanin w średnim wieku. Zmuszony stawić czoło narastającemu oburzeniu słuchaczy, Holliwell coraz goręcej żałował swojego wcześniejszego szaleństwa.

- Po pierwsze chciałbym przeprosić wszystkich zebranych tu Compostelczyków - zaczął Amerykanin.

- A poza tym chciał-bym cię o coś spytać, Holliwell. Czy rząd Stanów Zjednoczonych płaci za ów pokaz złych manier, w którym przed chwilą uczestniczyliśmy?

- Zgadza się - potwierdził Holliwell.

- A ja już mam dosyć przepraszania za owych tak zwanych ekspertów, którzy przyjeżdżają tu za pieniądze amerykańskich podatników i wyrabiają Stanom złą opinię. Nie wiem czemu, ale takie bzdury słyszę wyłącznie na tego typu spotkaniach. - Pewnego razu nad Japonią leciał sobie wynajęty

samolot, którym podróżowali amerykańscy biznesmeni z żonami. Biznesmeni pochodzili ze Środkowego Zachodu i handlowali materiałami izolacyjnymi. Wybrali się na wycieczkę krajoznawczą na Wschód. - O ile się zakładamy - spytał Amerykanin swojego towarzysza, który siedział obok - że ta opowiadka skończy się morałem o szkodliwości prowadzenia interesów?

- Jak mam dać panu przedstawienie warte pańskich odprowadzonych do fiskusa pieniędzy - ze złością się Holliwell - skoro nawet pan nie słuchasz?

Obrażony mężczyzna opadł na krzesło.

- A więc - podjął Holliwell - owa wycieczka była nagrodą dla najlepszych pracowników, którzy sprzedali najwięcej materiałów izolacyjnych. I oto kiedy przelatywali nad wulkanem Fuji, samolot się rozleciał i handlowcy wraz z żonami wysypali się na zbocze góry. Oni, ich plastikowe kubeczki, slajdy na filmie Kodaka, portfele ze zdjęciami rodziny i znajomych - wszystko to rozsypało się po całej górze Fuji. Ich ciała zebrali buddyjscy mnisi, ci sami mnisi przygotowali je do pochówku i okadzili.

Tak zakończyła się wycieczka krajoznawcza naszych biznesmenów na Daleki Wschód. No i - zwrócił się Holliwell do Amerykanina - jest w tym nauka czy nie?

Profesor Nicolay zmierzał w jego kierunku.

- Moim zdaniem nie ma sensu kontynuować tego wykładu - stwierdził. - Chyba powinien pan wrócić do hotelu i odpocząć. Co pan na to?

Nim Holliwell zdążył odpowiedzieć, z nielicznego grona słuchaczy podniosła się ruda kobieta o szerokich ramionach i smutnym uśmiechu.

- A co z Bogiem? - spytała. Mówiła z silnym australijskim akcentem. - Czy w tym wszystkim jest miejsce na Boga? Holliwella ogarnęła niewysłowiona ulga, kiedy stwierdził, że interlokutorka jest chyba równie pijana jak on.

- Zawsze jest miejsce na Boga, seriora. Jedyny problem w tym, czy On tam właśnie jest.

Profesorowi Nicolayowi udało się połączyć promienny uśmiech z miną pełną obrzydzenia, co - jak uznał Holliwell - było cechą typowo środkowoeuropejską. Już dawał się prowadzić profesorowi,

kiedy zobaczył, że podchodzi ku nim jakaś Compostelka o jasnych włosach. Chciała go o coś spytać.

Była piękna, zachowywała się przyjacielsko. Począł.

- Czy nie obrazi się pan, profesorze Holliwell, jeśli na podstawie pańskiego zachowania oraz tonu pańskiej wypowiedzi uznaję, że żywi pan względem naszego kraju mieszane uczucia? Uśmiechała się łagodnie, przyjacielsko, niegroźnie. Holliwell splonął rumieńcem.

- Moje uczucia są przyjazne - odparł. - Mówię szczerze. Już uruchomił proces, dzięki któremu - jak ufał - po jakimś czasie zdoła zapomnieć o tym wieczorze. Nie było przyjemnie zostać zmuszonym do obrony.

- Sądziłem, że uda mi się zaimprovizować. Szukałem pełniejszego pogłębienia, którego może nie udało mi się... Gdyby nie to, że wyręczył mnie mój rodak, sam bym państwa przeprosił. - Nie trzeba, proszę pana - odparła uśmiechnięta młoda kobieta. - Ale czy taka stylizowana rozpacz nie stanowi wymówki, usprawiedliwiającej brak moralności? Czy w ten sposób nie rozgrzesza się pan z niedotrzymywania obowiązków? Nie sądzi pan, że jego postawa jest odbiciem dekadencji pańskiego społeczeństwa? - Czy mam odpowiedzieć po kolei na każde pytanie?

- Libertyn i komunista, ręka rękę myje!

To był ów młodzian w czarnej koszuli, który stał oparty o futrynę. Towarzyszyło mu sporo kolegów, również w czarnych koszulach i ciemnych okularach.

- Próbowałem odpowiedzieć na pańskie polityczne zarzuty - oświadczył spokojnie Holliwell. - Ja osobiście nie mieszkam się do polityki.

Polityques wyszli z nieszczęśliwymi minami. W powietrzu została woń hiszpańskiego zagrożenia, niczym połączenie kordytu i jaś-minu. Trzeźwiejący Holliwell coraz bardziej był stawiany twarzą w twarz ze skutkami nieostrożnego wystąpienia.

Piękna Compostelka nadal do niego się uśmiechała.

- Co pan mówił, profesorze?

Holliwell przez chwilę wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc. - Odpowiedź na wszystkie pani pytania

zapewne będzie brzmiała: tak. Wszystko, każda rzecz może się stać czyjąś wymówką, żeby czegoś nie robić.

Kobieta usiadła na zwolnionym krześle. Holliwell przypatrywał się jej oczarowany. Pozwolił sobie na przelotną spekulację, co by było gdyby. Gdyby prelekcja potoczyła się inaczej, gdyby jutro obudził się bez kaca, bez upokarzających wspomnień dzisiejszego wieczoru, czy wszystko ułożyłoby się inaczej...

Nie - udzielił sobie odpowiedzi. - Nie z tą kobietą. Nie w tym kraju. I nie ze mną. Przypomniał sobie o Nicolayu, który nadal stał obok niego. - Proszę - zwrócił się do wicerektora - niech pan potraktuje moje uwagi jako zagraniczną nowinkę. Coś w rodzaju występu wielkiego śpiewaka operowego.

- Jest pan wirtuozem obrazy, profesorze. Nadawałby się pan do walki w pojedynkach.

- O ile wiem, Caruso występował w Composteli - upierał się Holliwell. -W waszej wspaniałej operze. Przed trzęsieniem ziemi. Przynajmniej tak mi mówiono.

- To źle panu mówiono.

Nicolay powiódł wzrokiem po garstce słuchaczy, którzy dotrwali do końca. Byli zbyt daleko, żeby usłyszeć tę wymianę. Młoda kobieta jeszcze raz się podniosła.

- Sądzę, że powinniśmy powiedzieć... - oświadczyła, zwracając się do Nicolaya - Chciałabym powiedzieć... że jeśli nawet wzburzyło nas to, co usłyszeliśmy z ust profesora Holliwella, to tym lepiej. Musimy mu podziękować.

Ale nikt się nie przyłączył do podziękowań, nie zaczął klaskać. Ci, którzy zostali, kierowali się w stronę stolika, na którym czekały drinki.

Po prostu cudowna - pomyślał Holliwell. Wystarczył jej jeden gest, żeby zburzyć jego arogancję i przywrócić do porządku, nagrodzić go za próbę przeprosin i właściwie zatuszować całą sprawę.

Skłonił się jej i bez obawy ruszył do butelki ze szkocką. Nalawszy sobie whisky, ustawił się tak, żeby znaleźć się naprzeciwko kobiety, W oczach miała złociste iskiereki. Wyciągnęła rękę. - Mariaclara Obregon.

- Jest pani ogromnie utalentowana, panno Obregon.

- Nie unikamy dyskusji - powiedziała Mariaclara Obregon.
- Ale z drugiej strony nie lubimy też rozstawać się w niezgodzie.
- Bardzo się cieszę, że pani tu była.
- Ja też. Nagrałam pana wystąpienie. Posłucham go jeszcze raz w wolnej chwili.
 - Oby tylko trzymało się kupy.
- Jestem o tym przekonana - zapewniła. - Spontaniczność bywa dość trudna.
 - O tak, rzeczywiście - przyznał Holliwell.
- Ostatnio pojawiło się u nas pewne napięcie polityczne. Jestem pewna, że pan o tym wie.
 - Doskonale to rozumiem.

Pragnął jej, a równocześnie ze zdwojoną siłą uświadamiał sobie swoje zaniedbanie. Łachmyta. Pijak.

- Tutejsze kręgi akademickie nie są zbyt wyrozumiałe. Jestem pewna, że o tym pan też wie.
- Z kręgiem libertyńskim też czasem trudno się porozumieć. Zdał sobie sprawę, że jakieś małżeństwo ze Stanów, które stało tuż za dziewczyną, chciało z nim porozmawiać. Starał się nie zwracać uwagi na tę parę. Nicolay przywołał dwóch mężczyzn w beżowych uniformach, którzy sięgali mu najwyżej do ramienia. Pokazał im stolik. Skłonili się i zaczęli zbierać kieliszki i szklaneczki.
- Czy rzeczywiście jest pan libertynem, profesorze? - spytała z lekkim uśmiechem.
- Owszem, jestem - odparł. - W ten sposób antydatuję erę przemysłową. Jestem człowiekiem oświecenia i libertynem. - Oświeconym?
- Jestem profesorem średniej klasy. Pod każdym względem.

I niczym ponad to.

- Lewicującym?
- Ludzi takich jak ja określa się raczej mianem liberałów. - U nas - powiedziała kobieta - bycie liberałem równa się byciu masonem.

Holliwell okrążył stolik, minął małżeństwo Amerykanów i stanął obok Mariiclary Obregon.

- A może - zaproponował - moglibyśmy się gdzieś spotkać na kawie? Jeśli nie dziś to kiedy indziej?

- Niestety, obawiam się że to niemożliwe, profesorze. Chciałam tylko panu podziękować za to, co pan powiedział.

Znowu ujął jej dłoń. Zmusił się, żeby jej nie przytrzymać, kiedy kobieta delikatnie ją wysunęła.

- Ale jeszcze pani nie wychodzi?

- Ogromna szkoda, ale muszę już iść. Zechce pan jeszcze raz przyjąć moje podziękowania.

I ku jego rozczarowaniu odwróciła się, zostawiając go ze sprzętaczami, amerykańskim małżeństwem i Nicolayem. Postąpił krok w stronę Nicolaya. Potknął się.

- Kim jest ta panna Obregon? - zwrócił się do profesora. - Czy pracuje na waszym wydziale?

Doktor Nicolay spokojnie ujął go pod ramię i podprowadził do dużego okna z widokiem na plac uniwersytecki wypełniony rzeźbami.

- Nieważne, czy się lubimy czy nie, prawda, Holliwell?

- Święta prawda - odparł Holliwell.

- Święta prawda - potwierdził tamten. - Ale nie mogę patrzeć jak ktoś - kolega, gość jeśli wolisz - robi z siebie głupca. Jesteśmy kolegami po fachu. I pozwól, że ci teraz powiem: zabawa się skończyła, pora wracać do domu. Jeśli chcesz taksówkę, dopilnuję, żeby jakaś cię odwiozła. Nie przysparzaj sobie dodatkowych upokorzeń.

Holliwell obejrzał się przez ramię; zniknęła. Nigdy więcej jej nie zobaczy.

A co by było - rozważał - gdybym pobiegł za nią po schodach, do foyer. Nalegał. Dramatycznie.

Romantycznie. Kategorycznie. Namiętnie, jak kochanek.

Czuł się jak kochanek.

Uciekł Nicolayowi i wrócił do stolika.

Zostali tylko kelnerzy. Zdejmowali obrus, składając go jak sztandar. I małżeństwo Amerykanów, które nadal czekało, nie wiedząc, co ze sobą począć. Po chwili doktor Nicolay znowu się do niego przyłączył.

- Jednego strzemiennego - odezwał się Nicolay, jakby recytował wiersz. - Na drogę.

Nicolay popatrzył na samotną butelkę szkockiej whisky otoczoną karafkami z hiszpańską brandy, potem zerknął na zegarek.

- Jeszcze jednego strzemiennego - powiedział Holliwell, nalewając sobie drugą porcję.
- Oczywiście, jeszcze jednego strzemiennego. Jest pan naszym gościem. Gość to gość.
- Dziękuję panu.

Przesunął butelkę w stronę Nicolaya i rozejrzał się po sali.

Udawał, że nie widzi grymasu niewysokiego doktora. - Podobno - odezwał się Nicolay - przyjaźni się pan z doktorem Ocampo? Czy to prawda?

- To mój stary przyjaciel - odparł Holliwell. Nie tracił nadziei, że może kobieta wróci.
- Z czasów studenckich? Kolega z pokoju?
- Nie. Nie mieszkaliśmy razem.
- Kolega? - nie ustępował Nicolay.
- Kolesie dupesie - palnął wreszcie Holliwell.

Na twarzy Nicolaya malowało się napięcie, jakby nie wierzył własnym uszom.

- Myślę, że powinno się staranniej przygotowywać do referatu - pouczył Holliwella. - Nawet jeśli się występuje przed małą publicznością. Nawet w tak małym i nie znaczącym kraju. Ja bym ryle nie wypił. Może się pan denerwować.

- Taa - powiedział Holliwell unikając jego spojrzenia. - Tak właśnie było. I niech pan weźmie rękę z mojego ramienia. Nicolay cofnął rękę i odszedł. Spotkanie amerykańskich kultur skończyło się niepowodzeniem.

- Jedynym sposobem na zażenowanie - zwrócił się do młodego małżeństwa, które najwyraźniej postanowiło z nim porozmawiać - jest przejść całą drogę aż do ostatecznego upokorzenia.

Amerykianie wyglądali na zatroskanych. Oboje mieli śniadą cerę, drobną budowę ciała i ostre rysy twarzy - kobietę w pierwszej chwili można by wziąć za Compostelkę, ale wyraz twarzy był typowy dla absolwentki college'u ze wschodniego wybrzeża. - Och, niech pan da spokój - uspokoił młody

człowiek. - Nie było tak źle. Bardzo pobudzające.

- Pobudzające - powtórzył Holliwell. - O to mi chodziło.
- Możemy pana podwieźć do centrum? - spytała kobieta.
- Mamy po drodze.

Holliwell bacznie im się przyjrzał. Wyglądali na dość sym-patycznych. Wykształconych. Miłych.

- Dziękuję. Bardzo by to było mile z państwa strony. Amerykanie poprowadzili go na dół, przez dziedziniec, foyer Wydziału Studiów nad Ludzkością. Nicolay, który stał przy drzwiach, rozmawiając z grupką studentów, odwrócił się do nich plecami.

Na zewnątrz panowało przenikliwe zimno, wiał wiatr od gór, rozpryskując krople wody z fontann. Podeszli we trójkę do Hondy z napędem na cztery koła z tecańskimi numerami.

- Nazywam się Tom Zecca - powiedział młody mężczyzna, otwierając drzwiczki. - Z-E-C-C-A. A to Marie.

- Tom zawsze przeliterowuje nazwisko - wyjaśniła dziewczyna. - Ludzie zwykle sądzą, że pisze się je

Zecker, bo wymowa jest podobna.

- Ale my jesteśmy dumnymi makaroniarzami z gór - dodał Tom - i nie chcemy się tego wypierać.

- Jeden z moich studentów nazywał się tak samo - powiedział Holliwell, kiedy okrążywszy plac Honda

wyjechała na pusty bulwar, łączący uniwersytet z centrum miasta. Zastanawiał się, czy to nie jedna i ta sama osoba. Często natykał się na byłych studentów i zupełnie ich nie poznawał.

- Owszem - potwierdził Tom. - To był mój młodszy brat, Rich.

Wywarł pan na niego ogromny wpływ.

- Naprawdę?

- Tak, do tej pory opowiada o zajęciach z panem. Zrobił pan na nim ogromnie wrażenie.

Jedynie, co Holliwell zapamiętał na temat studenta Zecci, to to, że nosił marynarkę i był wyjątkowo uprzejmy.

- Właśnie dlatego przyjechaliśmy na pański wykład - zawtóro-wała Marie Zecca. - W informatorze ambasady znaleźliśmy wiadomość i pomyśleliśmy: to ten facet, o którym Rich wiecznie tak rozprawia. Musimy go zobaczyć.

- Cóż, przykro mi, że tak słabo się zaprezentowałem. - Co pan wygaduje? Wykład był świetny. A że

tamtym poszło w pięty? Tym lepiej.

- Wyglądałem na bardzo pijanego?

Zeccowie się zastanowili.

- Lekko wstawionego - powiedziała Marie.

- Zalałem się w trupa. To był czysty przypadek.

- Zgoda, a więc na odrobinę zalanego w trupa - stwierdził Tom. - Na tych wysokościach trzeba uważać. Alkohol potrafi natych-miast człowieka ściąć z nóg.

- Powinienem być pamiętać - przyznał Holliwell. Przypomniat sobie o tecańskich numerach rejestracyjnych. - Nie jesteście państwo z tutejszej ambasady, prawda?

- Nie, nasza placówka mieści się Tecanie. Co parę tygodni, kiedy tam robi się za nudno, wyskakujemy

na weekend do Composteli. Włączyli się w ciągnący przez miasto, wieczorny sznur samo-chodów.

Holliwell zastanawiał się, co oznacza owo "nudno". - San Ysidro nie oferuje zbyt wiele rozrywki - powiedziała Marie o stolicy Tecanu.

- No, chyba że ktoś lubi zapasy mikrusów albo walki kogutów.

Albo inne przyjemności, o których tu nie będę się rozwodził.

Wszystko to tam się znajdzie.

- Ale w Tecanie są też niezłe plaże - broniła Marie. - Naprawdę, najwspanialsze plaże na świecie.

Po lewej stronie mignął kwietnik. Przed oczami przemykały znaki firmowe. Sony, Seares, Rosebuck, Everready. Holliwell widział też neony z nazwami hoteli.

- Znam tam parę osób - usłyszał swój głos. - Może się tam wybiorę przed powrotem do domu.

Zeccowie przez chwilę milczeli.

- Jeśliby pan się wybierał jutro - odezwał się wreszcie Tom Zecca - moglibyśmy pana wziąć.

Wyjeżdżamy koło południa. Holliwella ogarnęły wyrzuty sumienia na myśl, że właśnie na tego rodzaju ofertę ze strony młodego małżeństwa liczył. - Nie mogę państwa prosić o taką przysługę.

- A czemuż by nie? Ale ostrzegamy, że będzie pan musiał dzielić tylne siedzenie z naszym znajomym reporterem: już wcześ-niej mu obiecaliśmy, że go zabierzemy.

- Nie. Za tłoczno by się zrobiło.

Marie Zecca odwróciła się w jego stronę.

- Niech pan posłucha. Jeśli rzeczywiście wybiera się pan tam jutro, nie pozwolimy panu pojechać inaczej. Naprawdę bardzo chcemy, żeby pan nam towarzyszył.

- Bardzo miło, że pani tak mówi.

- To prawda - odezwał się Tom. - Wie pan, ta pani siedząca obok mnie to stara aktywistka. Pracowała

tu i ówdzie. Ucieszy się, mając kompana do rozmowy w czasie podróży i kogoś, komu będzie mogła pokazać kawałek kraju.

- Zakurzony kawałek - dodała Marie.

- Nie uda mi się załatwić wizy do jutra.

Tom wzruszył ramionami.

- Tecan ma konsulat w Zaltece. To po drodze. Tam wypiszą panu wizę. Żaden problem.

- Hej, mieszkam tu, po prawej! - zawołał Holliwell, kiedy zbliżyli się do hotelu.

Zecca zjechał na bok.

- Nieźle - skomentował.

Holliwell już-już miał wysiąść z samochodu, kiedy przyszło mu na myśl pytanie:

- Marie, gdzie tak się pani udzielała?

- Cóż - odparła z wahaniem. - Przez jakiś czas pracowałam w Wietnamie w Agencji do spraw Rozwoju Międzynarodowego. Ale najbardziej interesuje mnie terapia rodzinna.

- Rozumiem. A ty, Tom? Ty też tam byłeś?

- Jasne, że tak. A ty?

- Tak - potaknął Holliwell. - Ja też.

W samochodzie zawisło pełne napięcia milczenie. W jednej chwili ta trójka obcych ludzi znalazła się w zaklętym kręgu usprawiedliwień i niedomówień, straconych złudzeń i śmierci. Gdyby któreś się odezwało, wszystko to by wyszło na jaw: obco brzmiące nazwy miejsc, wspólni przyjaciele i zdrady, szaleńczy śmiech. I jak zwykle skończyłoby się to tą straszliwą nostalgią. Holliwell wysiadł z wozu.

- Obawiam się, że się nie wyrobię - powiedział. - Ale gdybym zmienił zdanie, czy będę mógł do państwa zadzwonić rano? - Nie ma sprawy - odparł Tom.

Wyjął wizytówkę i coś na niej napisał. Podał ją Holliwellowi przez uchylone drzwiczki.

- Tylko niech pan zadzwoni jak najwcześniej.

Holliwell schował wizytówkę do kieszeni i stał na podjeździe hotelu, machając na pożegnanie. Marie Zecca coś zawołała, ale nie zrozumiał co.

Co za dziwny wieczór - rozmyślał. Kuląc się przed podmuchami mroźnego wiatru, wyjął wizytówkę, którą dał mu Zecca, i prze-czytał:

THOMAS ZECCA

AMBASADA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

SAN YSIDRO, TECAN

To było wszystko. Na odwrocie Tom dopisał adres. Holliwell wszedł do hotelu i ruszył w stronę windy. W restauracji za barem panował ruch; dziś wypadał wieczór Klubu Rotariań-skiego. Na parkiecie tańczyli członkowie compostelskiego klubu z małżonkami i warto dodać, że świetnie się kotylali w rytm marimby, lepiej niż by się można było spodziewać po członkach Klubu Rotariańskiego.

Bliżsi korzeni niż ich wyblakli koledzy z Północy - pomyślał Holliwell.

Bar obok świecił pustkami. Widać było wygodne pluszowe siedzenia i znudzonych kelnerów.

Holliwell wyprostował plecy i pomaszerował do baru, gdzie usiadł tak, by móc oglądać tancerzy. Właśnie kończył drugą szkocką i zastanawiał się, czy nie posłuchać głosu rozsądku, który nakazywał coś przekąsić, kiedy podszedł kelner pytając, czy rozmawia z panem Holliwellem. Holliwell potwierdził, że owszem. Kelner przyniósł telefon, lampka świadcząca o tym, że linia jest zajęta, migotała cicho. Holliwell przypuszczał, że to Oscar - ale przez głowę przemknęła mu szaleńcza myśl, że może jakimś cudem, jakimś zmiłowaniem losu, dzwoni señora Obregon.

- Ty chuju - odezwał się głos w słuchawce. - Komunistyczny skurwysynu, jebiesz własną matkę i znajdziesz śmierć w Com-posteli.

Holliwell śledził wzrokiem spowite w beżowy jedwab pośladki małżonki członka Klubu Rotariańskiego.

- Kto mówi? - spytał.

Mężczyzna po drugiej stronie nie rozłączył się. Holliwell dalej przyciskał słuchawkę do ucha. Ogarnął go nagły chłód. Wpatrywał się w swoją szklaneczkę whisky i kokilkę z orzeszkami ziemnymi. Z restauracji dochodził falujący rytm marimby.

- Ty komunistyczna świnió. Ty łajzo. Będziesz umierał powoli i w męczarniach. Właśnie tutaj spotkasz swoją śmierć. Zginiesz i niech żyje naród!

Odłożył słuchawkę i jednym haustem dokończył drinka. Właś-nie czekał na kolejnego, kiedy podszedł do niego uśmiechnięty Oscar i poklepał go po ramieniu.

- Żałuję, że mnie tam nie było - powiedział. - Ominęła mnie prawdziwa uczta.

- Wygląda na to, że komuś to się nie spodobało - odparł Holliwell. - Właśnie grożono mi śmiercią.

Przed chwilą. Przez telefon.

Oscar przyjrzał mu się uważnie.

- Jesteś blady jak ściana.

Podszedł do baru, gdzie stał telefon, i wykręcił numer recepcji. Spytał, czy rozmówca pana Holliwella od razu dzwonił do baru i czy telefonował z hotelu.

- Nie sędzę, żebyś miał powody do niepokoju, Frank. Dzwonili z zewnątrz i najpierw połączyli się z pokojem. To tylko reakcja na wykład.

- To był naprawdę nieszkodliwy wykład pijaka.

- Nic ci nie zrobią. Nie mogą nic zrobić Amerykaninowi. Wszyscy wiedzą, kto to jest.

- To wyjątkowo nieprzyjemne otrzymać taki telefon. - Oczywiście - zgodził się Oscar. -1 dlatego to

robią. Ale o wiele mniej przyjemnie jest zarobić prawdziwą kulkę. Ciesz się, że jesteś chroniony. Ciesz się, że nie jesteś mną.

Oscar zamówił kolejne drinki dla nich obu.

- Frank, muszę cię błagać o przysługę. Proszę, żebyś pojechał do Tecanu w moim imieniu.

Holliwell oparł brodę na pięści.

- Zrób coś dla mnie, Oscar. Nie mieszaj mnie do twoich gier. - Moich gier? Czyich gier, Frank? Wiesz, że chcą, żebyś tam pojechał. Możesz tam zrobić, co zechcesz. Możesz ostrzec tamtych katolików, co im grozi, możesz z nimi konspirować, złożyć im ofiarę, twoja sprawa. Tylko pojedź i niech cię tam zobaczą, to pójdzie na moje konto. Musisz wiedzieć - wyjaśnił Oscar - że to czyjś pomysł. I dlatego to takie ważne. - Gadasz od rzeczy.

- Owszem - przyznał Ocampo. - Od rzeczy. Bzdury. Oni są głupi i ja jestem głupi. Ale tak to wygląda. Ktoś ma pomysł, Frank i ktoś dopilnuje, żeby wszystko się odbyło tak, jak on to sobie wyobraził. - Przynął się bliżej, obdarzając HoUiwella jednym z tych swoich tajemniczych, indiańskich uśmiechów. - Chodzi tylko o parę kroków, rozumiesz? Jedziesz. Widzą, że tam jesteś. Wracasz do domu i ktoś pyta, co widziałeś, a ty możesz od-powiedzieć, że ruski statek podwodny albo że chóry anielskie, jak wolisz, to bez znaczenia. Tak, to idiotyczne, ale ci ludzie mają władzę nad moim życiem. Jeśli pojedziesz, ja zapluszuję. - Obawiam się, że żyjesz złudzeniami.

- Mogę cię zapewnić - odparł Ocampo nie przestając się uśmiechać - że nie.

- Naprawdę, łudzisz się tylko.

Przez chwilę uczepił się nadziei, że Oscar Ocampo zwariował.

Ale był przecież i Marty Nolan. I Tom. I Marie, działaczka AID. - To są złudzenia, Frank, ale nie moje. Wierz mi, kiedy ci mówię, że moje życie jest w niebezpieczeństwie. Ty nic nie ryzykujesz, ale ja muszę się stąd wyrwać. I mam Patricka. A oni mogą mi załatwić pracę w Stanach.

- Nie, nie mogą.

Rozpaczliwie próbował wytrzeźwieć. Pewnym ruchem odsunął od siebie szklaneczkę i na moment przymknął oczy. - Teraz już nie mogą.

Oscar odpowiedział cicho, uśmiech zniknął z jego warg.

- Ja widzę wyraźniej od ciebie, zapewniam cię.

Holliwell wyjął z kieszeni wizytówkę Toma Zecci i położył ją na barze tak, by Oscar mógł ją zobaczyć. Zebrał wszystkie siły, próbując odczytać wyraz twarzy Oscara, kiedy Ocampo patrzył na wizytówkę.

- Kto to jest? Znasz go? Słyszałeś o nim kiedyś?

Oscar przeczytał nazwisko, odwrócił wzrok i wzruszył ramionami.

- Pierwszy raz w życiu. Nie jeżdżę tam. Nie mam pojęcia, kto to może być.

- A co byś powiedział na to, że facet przyszedł na wykład i zaoferował się, że zawiezie mnie jutro do Tecanu? Ocampo wyraźnie się zmieszał. Miał nieszczęśliwą minę. - Nie wiem, co powiedzieć. Może oni robią wszystko na kilka sposobów? Jak sądzisz? Może wszystko jest robione na kilka sposobów. - Milczał przez chwilę. - Jasne, że jeśli pojedziesz... Chcę, żeby wiedzieli, że to idzie na moje konto. Ale może to zbieg okoliczności, co? Przecież nadal jeszcze istnieje coś takiego jak zbieg okoliczności, nie?

- A może nie - odparł Holliwell. - Może znaleźliśmy się w punkcie, gdzie już nie ma miejsca na zbieg okoliczności. Ty widzisz wyraźniej, Oscar, ty mi wyjaśnij.

Ocampo nie odpowiedział, tylko zamówił jeszcze po jednym. Holliwell podziękował. Kiedy barman podał Oscarowi szklaneczkę, znowu rozdzwonił się telefon na kontuarze. Obaj mu się przyglądali.

- Sertor Holliwell? - zawołał kelner przekrzykując muzykę. Pokręcili głowami; Oscar uniósł rękę w

geście odmowy. Kelner, który przyniósł telefon, popatrzył na nich i odszedł mówiąc coś do

słuchawki.

- Właściwie to dobrze, że cię uważają za lewicowca. Tak naprawdę to daje ci bezpieczeństwo.

- Ty sam nie wiesz, co robisz, prawda, Oscar?

- Nie, wiem, Frank. To co mi mówią. Żeby uciec.

- Dałeś mi do myślenia - odezwał się po chwili Holliwell. - Kim, u licha, są ci faceci?

- Ci faceci? - powtórzył Oscar. - Pavos? Cóż, zwykle to te same twarze. Ludzie, którzy mają za mało do roboty.

- Ale ostatnimi czasy wygląda na to, że każdy ma coś do roboty.

Ocampo pił swojego drinka.

- Była tam pewna kobieta, bardzo piękna, nazywała się Maria-clara Obregon. Za owych dawnych czasów, kiedy jeszcze żyłem w błogim przekonaniu, że istnieją przypadki, myślałem sobie, że może będziesz nas mógł sobie bliżej przedstawić.

Oscar uśmiechnął się i skinął głową.-

Mariaclara. Najpiękniejsza z nich i do tego inteligentna. Nasz Minister Spraw Socjalnych. Widzisz, jaki

postęp?

Kobieta i to piękna?

- Aha - odparł Holliwell - więc to tak.

- W mojej obecnej sytuacji nie ma rzeczy, której bym dla ciebie nie zrobił - zapewnił Oscar. - Szczerze mówię. Ale Mariaclara... Musisz mi uwierzyć na słowo, bo wiem co mówię. Mariaclara nie jest do wzięcia. Zakochana. Nieodwracalnie.

- Teraz to już bez znaczenia.

- Choć z drugiej strony - ciągnął Oscar rozmarzony - my wszyscy jesteśmy dziwkami. Przez was. To znaczy - wyjaśnił - przez Stany Zjednoczone.

- To tylko twoja wersja - rzucił Holliwell swoje dawne hasło do rozpoczęcia słownej potyczki. Teraz pozbawione znaczenia. - Prawdziwa szkoda, co Frank? - Oscar się zadumał. - Już nawet nie

potrafimy się kłócić.

Alkohol znowu zaczynał przyćmiewać Holliwellowi myśli. Ręko-ma przytrzymał się baru, żeby rozjaśnić sobie umysł. - Dobra. A co z Nicolayem? Kim jest Nicolay?

- Ach, Nicolay - zawołał Oscar. Zaśmiał się z taką pogardą, że zabrzmiała w niej niemal czułość. - Nicolay to po prostu... - Potrząsnął głową, szukając właściwego słowa. - To po prostu pavo.

Rozdział ósmy

Kiedy Pablo wrócił do baru Paris, Callahanów nie było nigdzie w zasięgu wzroku. Krzątający się za barem Cecil nie zwrócił na niego uwagi. Pablo usiadł na stołku, wbił wzrok w okrągłą, pospolitą twarz. Czuł jak narasta w nim wściekłość.

Zacisnął zęby i warknął do Cecila:

- I co, kurwa?

- Zamknij gębę i weź głowę do góry - powiedział Cecil, nie zaszczycając go spojrzeniem. - Masz robotę.

- Powaga? - spytał Pablo. - Nie nabierasz?

Cecil pokręcił głową na takiego niedowiarka.

- Nie nabieram. Coś ci nie leży?

- Wszystko mi leży.

- No to między nami kwita? I jak ci powiem, co masz robie, będziesz siedział i słuchał i nie wykręcisz mi numeru, zgadza sie? - Jasna sprawa, brachu - roześmiał się Pablo.

- Rano będę miał twój paszport i klipę. Zabierzesz, pojedziesz na dworzec autobusowy, wsiądziesz do

autobusu do Palmas. Palmas, zapamiętał?

- Zapamiętał.

- Autobus wyjeżdża przed dziesiąto i masz w nim siedzieć, bo jak kapitan tak powiedział, to tak ma być. Ci ludzie nie będą czekać, bo ty masz takie kaprynio.

- A co z dzisiejszą nocą?

- Możesz się skimnąć tutaj - odparł Cecil. - I ani słowa żywej duszy o twoich papiurkach i skąd je masz. Przy odbiorze płacisz mi dwadzieścia dolców.

- Zdaje się, że już ci płaciłem, Cecil.

- Ech, co mi po twoich papiurkach, facet? Juzem ci to kiedyś tłumaczył. Ten tutaj znaczy kłopoty. I ja

sie będę kłopotał w twoim imieniu. Dlatego rozumie się, że mi zapłacisz.

- Tylko ty się liczysz w całym mieście, co Cecil?

- Precisamente, brachu.

Pablo wyszedł i znalazł inny bar. Przyglądał się zmrokowi zapadającemu nad przystanią. Wraz z szybkim zapadnięciem zmierzchu bar zapełnił się robotnikami portowymi. Pablo, który nie lubił tłoku, schronił się na ławce obok budynku szkoły morskiej, gdzie spędził już większość dzisiejszego popołudnia. Ptaki, które całe popołudnie jazgotały w drzewach ucichły i teraz ich miejsce zajęli nocni koncertmistrze.

Cygan - pomyślał Pablo. - Cygański kundel, tak samo jak moja matka.

Do tej pory wyraziście pamiętał poranny spacer z psami za miastem i chłód, który go ogarnął, kiedy je zastrzelił. Potem promienie słońca na połuszczonej skórze tropiciela wracającego do domu.

Zaczyna się stara śpiewka; w jego krwi płynęła trucizna. Dla dobra dziecka lepiej, żeby go tam nie było. Lepiej, żeby tamta kobieta gnębiła go swoim cholernym oderwaniem od rzeczywistości, żeby go zostawiła bez koszuli na grzbiecie, kar-miła podłymi hamburgerami i telewizją, niż żeby był z nim, Pablo - który ściągająby nań przekleństwo, przypominał o złej krwi, o morderstwie.

Z baraków marynarki rozległ się dźwięk trąbki; zmiany warty dokonano tak niedbale, że nawet najmniej rygorystyczny admirał wojsk ochrony wybrzeża dostałby ataku serca. Taborowi przeszło przez myśl, że dźwięk wojskowej trąbki to najsmutniejszy odgłos, jaki kiedykolwiek słyszał.

Syn dziwki. Zadrzał i powtórzył to w duchu z fascynacją, która mroziła mu krew w żyłach. Pablo, syn

dziwki. Hijo de puta. Pablo. Czasem miał wrażenie, że w tych słowach mieści się wszystko, co świat chciał mu powiedzieć - jedyne, co mu powiedział. Słyszał to w parsknięciu śmiechem, widział w nawet najłagodniejszym spojrzeniu.

Niech no tylko któryś z tych murzyńskich gibrones spróbuje mi to rzucić w twarz - pomyślał z nagłą wściekłością. - Niech no tylko. Niech no tylko, a mieszkający gdzieś w głębi niego dziwny, stalowy człowiek wynurzy się z ukrycia, a to oznacza śmierć. Przestraszony rozejrzył się po parku. Nie sprawdził go, kiedy siadał. Paru pijaczków z nieodłącznymi butelkami rozbiło się obozem na zapaskudzonych przez ptaki ławkach. Dwóch przyglądało mu się bacznie. Uśmiechnął się do nich. Uśmiech nosił pozory łagodności. Tylko spróbuj, szmato - mówił. - Nieważne, co masz, spróbuj, a zobaczysz.

Syn dziwki. Nawet moje zasrane psy wiedzą - pomyślał i nagle, bez powodu, ogarnął go straszliwy żal.

Był jak ogłuszony. I po chwili płakał nad swoim synem, równocześnie uśmiechając do pijaczków.

Czekał, aż na niego ruszą. Spróbujcie, a zobaczycie. Pijacy wstali i powędrowali ku przystani.

Pablo, syn dziwki, a zarazem ojciec kolejnego syna dziwki. Cóż - dumął dalej Pablo - może nie będzie wiedział, a może nie będzie go to obchodzić, może będzie to widział inaczej. Może świat się zmieni. Ale nie, świat nigdy się nie zmieni, zawsze będzie taki sam: inni będą cię pieprzyć i obracać łapskami, żeby sprawdzić. Brudny latynos, żółtek, czarnuch. "Spytam cię o jedno rzecz, brachu. Jesteś czarny czy biały?" Cygański kundel. Skurwysyn. A teraz, Jezu - spytał Pablo ze swej ławki w Parco de los Heroes de la Marina w Puerta Vizcaya w Composteli - powiedz mi, czemu, u kurwy pizdy, tak właśnie to ustawieś?

W poszukiwaniu spokoju - ostrość widzenia, za którą tak drogo zapłacił, łomotała mu w głowie - przespacerował się do pobliskiej tiendy, gdzie kupił butelkę Flor de Cana i wrócił do ciemnego parku, na swoją ławkę. Wniósł ją za pazuchą, bo w tym cholernym kraju nie dawali toreb.

Pił rum i przyglądał się migotliwym światłom kutrów i promom oświetlonym niczym choinka

bożonarodzeniowa, które unosiły się nad falami. Wartownicy przed wejściem do jednostki nie zwracali na niego uwagi.

A gdyby świat się zmienił? Gdyby się zmienił, nie byłoby w nim dla mnie miejsca. Nikt by sobie nie życzył w swoim świecie kogoś takiego jak ja, to pewne. Ja na pewno bym sobie nie życzył, więc jaki, do cholery, ze mnie pożytek? Żaden.

Chyba że. Sięgnął do kieszeni i ugryzł kawałek małej żółtej tabletki; wydawało mu się, że jest na tyle pijany, że prochy nie doprowadzą go do stanu nadmiernego pobudzenia. Chyba że coś się nawinie pod rękę. I zaczął marzyć o wschodzie słońca, kiedy coś się nawinie pod rękę i świat się zmieni, a on mimo wszystko się w nim znajdzie. Do władzy dojdą potęgi i moce. Sam Pablo będzie potęgą i mocą, władzą, dzianym faciem. Wizja była ciepła, radosna, ale jak często się trafia z takimi rzeczami, miała na niego dziwny wpływ. Ale przynajmniej po raz pierwszy od dłuższego czasu nie ogarnął go gniew.

Wstał, pomachał strażnikom i z butelką w ręku pomaszerował do baru Paris. Cecil nie wyglądał na uszczęśliwionego. Ale Taborowi spodobała się ostrożność, prawdziwa czujność, która błysnęła w oczach Cecila, kiedy Pablo siadał. W drugim kącie siedział jakiś pijak, bawiąc się magnetofonem, który dziwnym trafem znalazł się w jego posiadaniu.

- Chinga - powiedział pijak do głośnika i wcisnął klawisz odtwarzania.
- Chinga - powtórzyła maszyna.
- Marcwillosal - zawołał pijak.

Pablo głośno się roześmiał, mężczyzna odpowiedział tym samym. Niegroźny śmiech człowieka, który się nie boi. Szczęśliwego złodzieja.

- Ej, to niezłe - odezwał się Pablo. - Nauczysz go, jak się tym posługiwać, Cecil?

Cecil tylko zerknął na niego z ukosa.

- Ej, Cecil - zaczął znowu Pablo - chcę cię o coś spytać.

Obiecujesz, że się nie wkurzysz?

Cecil wyjął z ust papierosa, którego właśnie kopał i odłożył go do popielniczki. Zwrócił ku Pablowi

swoją szczękę boksera. - Myślisz, że jest ze mnie jakiś pożytek? - spytał Pablo. Przez dłuższą chwilę Cecil wpatrywał się w niego, po czym zgarbił się lekko, a na jego dużej, poznaczonej bliznami twarzy zagościł szeroki uśmiech.

- Pożytek? Z ciebie? - powtórzył z niedowierzaniem.

- Tak, brachu. Jak sądzisz, jaki jest ze mnie pożytek?

Czułość wróciła na moment, ale uśmiech nie zniknął.

- W sensie dla mnie, brachu?

- Nie, nie. Pożytek... Rozumiesz, ogólnie.

- Bo ja wim... - zaczął Cecil. W jego głosie drżał tłumiony śmiech. - Trudno powiedzieć, wiesz.

- Cecil, nie jestem pierwszym draniem na ziemi. Ale... Jak sądzisz, jaki byłby ze mnie pożytek?

- Och, po prostu się wstawił, brachu - odkrył Cecil. Ale nie potrafił się powstrzymać. - Pożitek... I ty

mnie o to pytasz? Pożitek? Pożitek z ciebie?

Płasnął dłonią o bar i gwizdnął cicho.

Pablo wzruszył ramionami i wypił trochę z butelki. Uspokojony Cecil przyniósł mu szklanę. Nalali po jednym dla Pabla, dla barmana i dla złodzieja z magnetofonem.

- Pożitek z ciebie, brachu? Taki sam jak z każdego. Dostawić jedno nogę do drugiej. Dopasować się do tego co niesie dzień. - I to wszystko?

- Pewnie. Raz na wozie, raz pod wozem. Jasne jak licho, że to wszystko.

- A nie uważasz, że każdy ma swój własny, określony cel?

- Ej - mitygował go Cecil - czy ja wylądam na klechę, brachu? Moim i twoim celem jest dać się pogrzebać w ziemi, a to wystarczająco trudne. Spocząć na łonie matki ziemi, a nie na dnie oceanu.

Razem pili rum.

- Myślenie cie wykończy, brachu. To twoja zguba. Stary, za młodyś, żeby się martwić o to wszystko.

Tylko łeb ci będzie parował.

- I tak paruje - odparł Pablo. - Pali się jak lichy.

- Idź spać, Pablo - powiedział Cecil z nutką serdeczności. Dał mu klucz. - Idź na górę i prześpij to.

Pablo wziął klucz, zaskoczony że Cecil nie zażądał opłaty. Idąc wąskimi schodami na górę, słyszał, jak barman po hisz-pańsku tłumaczy cicho złodziejowi, o co Pablo go pytał. Złodziej zarechotał.

- Y yo? - spytał po chwili. - Para que siwo? A ja, jak sądzisz? Kiedy Pablo przedzierał się przez mroczny korytarz nad barem, uchyliły się drzwi i w smudze światła pojawiła się dziewczyna, ubrana w obcisłą niebieską sukienkę. Na komódce przy drzwiach stała figurka Nino de Praha. Pablo chwiejnym krokiem ruszył ku dziewczynie, ale na myśl o zawartości swojego portfela szybko się odwrócił.

- To historyjka pieprzonego Walta Disneya, tyle że w prawdziwym świecie, kochaniutka - powiedział

do niej. - To wszystko, nic więcej. Poranna poczta leżała na najniższym schodku werandy. Stojąca wyżej Justin widziała, że jest tam list z kanadyjskim znaczkiem - do Egana od jego odpornej na działanie czasu matki - oraz comiesięczny informator Wspólnoty Pojednania. To dostarczenie poczty niemal pod drzwi było czymś nowym; jeszcze miesiąc temu i więcej po listy jeździło się do Puerto Alvarado. Justin podejrzewała, że owo poszerzenie usług poczty nie wskazywało na poprawę stanu usług w Republice, a raczej świadczyło o tym, że Guardia, zapewne w osobie porucznika Camposa, otwierała i czytała - nawet jeśli połowy nie rozumiała - ich korespondencję. Za drogą i wąskim paskiem plaży widziała żałobny, zimowy ocean - morze było blade, gładkie, z pozoru łagodne i niewinne. Za dwa miesiące nadejdzie wiosna, a wraz z nią burze i deszcze.

Może łatwiej będzie brnąć przez codzienność.

Od tygodni już nie miała wieści od Godoya. Przy okazji rzadkich spotkań wymieniali uprzejmie, kościelne powitania. Może wynikało to ze względów bezpieczeństwa - ale Justin, tak wrażliwej i zawsze przecież bardzo ostrożnej, sprawiało to ból. A w misji nie miała nic do roboty. Nikt nie przyszedł. Dostownie nikt. Nie byli potrzebni. Niechętnie zeszła po schodach i podniosła pocztę. Oprócz listu od matki Egana i biuletynu Wspólnoty był jeszcze jeden list do Egana - z prowincji Devotionist w Nowym Orleanie. Ona dostała tylko jeden, w kopercie w kwiaty - od siostry. Opaska

na gazecie została zerwana, wszystkie listy były otworzone i zaklejone taśmą przezroczystą.

Wróciwszy na werandę, usiadła w bujanym fotelu. Położyła korespondencję na kolanach i jeszcze raz

ją przejrzała. Niezgrabne próby ponownego zaklejenia, brudna taśma. Pokręciła głową. Ty draniu - pomyślała - no, poszerzaj sobie swoje zawszone życie. Staruszka matka Egana, moja znużona siostra... Cóż one mogą mieć za tajemnice? Ale list od prowincjała. To już inna sprawa.

Kolumna listów od czytelników była w całości poświęcona zagadnieniu, czy antywojenny ruch w Stanach powinien - czy też nie - wykorzystać swe domniemane wpływy w rządzie tym-czasowym w Sajgonie, żeby wzbudzić odrobinę łagodności wobec wrogów nowego systemu. Pagoda An Quang została zamknięta. Justin odłożyła gazetę. Opalonymi palcami - wyszorowanymi, o krótko przyciętych paznokciach - zdarła paski taśmy z kolorowej koperty Veroniki i wyjęła ze środka list, napisany na papierze w te same stokrotki, które widniały na kopercie. Listy Veroniki przychodziły, a przynajmniej były wysyłane, mniej więcej raz na dwa miesiące. Często, kiedy dołączała zdjęcia, docierały bez fotografii. Czasem, w lepszych czasach, kiedy dostawała listy od siostry, chciało jej się płakać nad nimi dwiema; dzisiejszego ranka była pewna, że nie wytrzyma, nie przebrnie przez trzy strony papieru w stokrotki. Mimo to zaczęła czytać. Veronika wreszcie została przyjęta do organizacji walczącej o ochronę jeleni. Nie była tam jedyną katoliczką - oprócz niej należały jeszcze dwie Baskijki, które chodzą do tej samej parafii, Maryi Matki Miłosierdzia w Tatum, osiem mil od domu. Veronika co niedziela woziła tam dzieci. Stada w większości były zdrowe, pasły się na zimowych pastwiskach. Ale kojoty nadal dawały im się we znaki. Ich populacja wzrosła, a biorąc pod uwagę, że krowy wkrótce się będą cielić, niebezpieczeństwo jest poważne. Któregoś dnia Morton, wbrew przepisom stanowym, zastrzelił osiem sztuk, które krążyły wokół stada, jakby wiedziały, że krowy będą się cielić. Ona sama zabiła kilka.

Zima jest dość łagodna, w ciągu dnia temperatura właściwie nie spada poniżej zera, śnieg też niewielki.

Na południu, w tam-tejszych kurortach białe szaleństwo - letnie pastwiska mogą się okazać suchsze

niż powinny. Ale w słoneczne dni człowiek zapomina o smutkach i chodzi radosny. Jeździła trochę na nartach z maluchami, Morton z chłopcami szaleli na snow-mobilach.

Biblioteka w Arrow wydała ostatnie pieniądze na zakup całości serii Star Trek - człowiekowi wyc się chce, kiedy patrzy, jak biblioteka marnuje fundusze na durne romansidła, kryminały i bezwartościowe bestsellery. Dzieła Dickensa się rozpadają, nie ma Stendhala, ani jednej książki Thomasa Hardy'ego. Thomas Wolfe, F. Scott Fitzgerald, Joyce? Gdzież tam! Żadnych wartościowych książek dla dzieci, na których można by je wychować. Dzieciaki oglądają bzdury w telewizji i książki to też same bzdury. Księgozbiór biblioteki, pisała Veronika, to po części wina ignorancji starej pani Rand, a po części zasługa świętych mor-monów i ich cenzury. Jak by nie było im dość tego, co zrobili z telewizją: wykorzystali swoje wpływy w Boise, żeby ze stacji lokalnych wycofano kilka naprawdę interesujących programów. Justin może być spokojna, wcale nie utracili władzy w tej części kraju; choć trzeba przyznać, że nie są już tacy okropni i świętosz-kowaci jak dawniej, za czasów rodziców. A nawet jeśli wszystko to, co się mówi o katolikach, było prawdą w odniesieniu do mormonów, nie należy zapominać, że oni też mają swoje dobre strony, że jest wśród nich wielu naprawdę przyzwoitych ludzi i nikt nie powinien nazywać ich hipokrytami, choć i to się zdarza. Jak większość innowierców w Idaho, Veronika wiecznie prze-klinała mormonów i w tym samym zdaniu chwaliła ich rzetelność i uczciwość. Justin nie była taka obiektywna. Kiedyś mówiło się o tablicach, które Josephowi Smithowi podarował anioł Moroni, jako o mormonowskich tablicach. W pierwszej klasie liceum zaliczyła za to w nos od Ady Bengstrom. Ada Bengstrom, uświa-domiła sobie Justin, była teraz sąsiadką Veroniki. Nazywała się Ada Parsons i też walczyła o utrzymanie stad.

Veronika miała nadzieję, że kiedy stado będzie na letnim pastwisku - o ile zatrudnią kogoś do pomocy - uda jej się namówić Mortona na wzięcie dwóch wolnych tygodni i wyrwą się do jej ukochanego Nowego Jorku. A jeśli nie tam, to do Palm Springs, gdzie spędzili miodowy miesiąc, a może nawet do Maui. Zawsze marzyła, żeby się tam wybrać.

Justin ostatnio widziała się z siostrą dwa lata temu, kiedy pojechała do niej z wizytą. Veronika

wyglądała pięknie: opalona twarz, pełne gracji ruchy kogoś, kto często jeździ konno. I taka rozpacz w jasnych oczach, że Justin nie potrafiła się odzywać do siostry bez zacinania. Tak naprawdę - myślała Justine - to czytając jej listy użalam się nad sobą. Dlatego tak mnie one przygnębiają. Zupełny brak nadziei, który wpisywała w życie siostry, był właściwie jej osobistym brakiem nadziei. Z nich dwóch Veronika była zapewne bardziej przeciętna, mniej ambitna, na pewno mniej dumna. Ale to ona lepiej poznała świat, przynajmniej w północnoamerykańskim tego słowa znaczeniu. Po ukończeniu college'u pracowała w redakcji nowojorskiego wydawnictwa; trzy lata spędziła w Los Angeles w redakcji lokalnego czasopisma. Ale teraz wróciła do domu - została żoną ranczera, obciążoną gromadą dzieci i mężem Finem, który coraz chętniej zaglądał do kieliszka, a którego ona uporczywie próbo-wała nawrócić na katolicyzm. Czasem wyrwała się z pustyni kulturalnej Arrow i jechała pół nocy, żeby obejrzeć balet albo wybierała się aż do Salt Lake City, żeby zobaczyć gościnne występy jakiejś opery albo dobrego teatru, który wystawiał sztukę O'Neilla czy Czechowa.

Zdaniem Justin Veronika mogła złapać jakiegoś dziennikarza. Czy lekarza, kogoś na poziomie, zdolnego do prowadzenia kul-turalnej rozmowy, która nie ograniczałaby się do miotania prze-kleństw na robotników sezonowych albo ceny żywności. Choć ona sama niewiele wiedziała o takim życiu. W czasie jednej z wizyt w domu, kiedy Justin pouczała siostrę - rzucając parę frazesów i cytatów z książki o poradnictwie rodzinnym - Veronika nie wytrzymała. "Chryste, jak ja bym chciała wiedzieć o tym wszystkim równie mało co ty", palnęła.

Justin odłożyła list.

A co one w ogóle wiedziały? I co z tego mają? Obiecujące, inteligentne siostry Feeney - May, obecnie Justin, odstawiająca siostrę miłosierdzia na wyspach krokodylich, i Veronika, druga Carol Kennicott, tyle że w liczącym sobie 380 dusz Arrow. Przed sobą widziała ocean. Woda moczyła biały piasek. Liście na bananowcach wisiały nieruchomo. Bezruch po takim pod-nieceniu, wyczekiwanie, a przede wszystkim wtargnięcie, a potem zniknięcie Boga z jej życia - wszystko to ją przygniatało. Jakaż ja byłam głupia - pomyślała. - Jakaż niedojrzała i egois-tyczna, że pokładałam takie nadzieje w

obietnicy jednego człowie-ka, skoro już od tak dawna widziałam cierpienia Tecanu i nie robiłam nic, tylko kręciłam się bez celu i robiłam, co mi nakazali. Ale równocześnie czuła się samotna - rzecz dawało się ująć tak prosto - i potrzebowała przyjaciela, przewodnika. Pusty, bez-duszny świat, któremu musiała stawić czoło jako dwudziestoletnia dziewczyna, znowu rozciągał się przed nią niczym bezkresne, nieruchome morze. Znowu będzie musiała się z nim pogodzić, tak jak to już raz zrobiła, będzie musiała znaleźć w nim jakiś sens, by odkryć w sobie dość wiary i skoczyć. Znowu.

W okolicy zdarzały się morderstwa dzieci. Okrutne. Makabrycz-ne. Tutejsze dzieci nazywały nieznanego mordercę złą małpą i o to właśnie chodziło w okrzykach "Mono mało". Ktoś zabijał dzieci. Była sama. Słońce wschodziło i zachodziło nad oceanem. Wzięła pocztę Egana i poszła do księdza.

Można sobie iść - dumiała, przemierzając w zamyśleniu kuchnię, podchodząc do drzwi ojca Egana - już-już się myśli, że dotarło się na miejsce. I wtedy, wcześniej czy później, człowiek zdaje sobie sprawę, że musi skoczyć. I ten skok - ku człowiekowi, historii, przyszłości, nazwijcie go sobie jak chcecie - był dla niej trudniej-szy. Pogodziła się z rewolucją, pogodziła się już wiele lat temu, ale pozostała krytyczna, surowa, lepsza w zewnętrznych pozorach pokory, nie miłowała bliźniego swego jak siebie samego. I oto znowu pod jej stopami otchłań i skok pełen pogardy wobec śmierci.

Stojąc pod drzwiami Egana, przez chwilę zastanawiała się nad śmiercią i pogardą wobec tejże. Czym jest śmierć - myślała - i co dla mnie znaczy? Świetny temat wprawki dla nowicjuszek, medytacji zakonnicy.

Kilkakrotnie zastukała do drzwi, potem wolno je uchyliła. Egan leżał bezwładnie na łóżku. Był ubrany. Miał na sobie roboczą koszulę khaki i bawełniane spodnie, na głowie czapeczkę drużyny Detroit Tigers, a na nogach buty.

Justin podeszła do nieruchomej sylwetki. Paraliżował ją strach.

Nie żyje - pomyślała. - Naprawdę nie żyje. - Ojczy? Pochyliła się nad nim, szukając oznak życia, i po

chwili zauważy-ła, że oddycha. Widziała jak jego ramiona wolno się unoszą, słyszała nieregularny

oddech. Ręce i buty miał zabrudzone ziemią. - Ojciec Egan? Charles?

Oparła dłoń na jego wilgotnym ramieniu, potrząsnęła. Ksiądz bardzo powoli uniósł głowę z materaca, jeszcze wolniej obrócił się w jej stronę i popatrzył na nią, jakby jej nie poznawał. - Dobrze się czujesz?

- Czy mógłbym - spytał - dostać kawałek papieru?

- Papieru? - spytała zdumiona Justin.

Egan mozolnie próbował się podźwignąć. Justin zauważyła, że obok łóżka leżą tabletki, a na biurku stoi butelka Flor de Caña. - Nie możesz tego łączyć - zwróciła mu uwagę. - To cię zabije. Ojcu Eganowi udało się postawić nogi na podłodze i usiąść z założonymi rękoma i opuszczoną głową.

- W sprawie papieru nic nie mogę - powiedziała Justin. - Ale chciałabym ci zwrócić uwagę, że mamy prysznic. Oprócz tego są świeże ubrania, w które możesz się przebrać.

- Zamknij się - uciszył ją Egan. - Po prostu... zamknij się, Justin. Dobra dziewczynka.

Przeszła w drugi koniec pokoju i bacznie przyjrzała się męż-czyźnie.

- Łączyłeś te tabletki z rumem?

- Nie. Niech cię o to głowa nie boli.

- Nie było cię ubiegłej nocy. Gdzie, u licha, się podziewałeś?

Przeraziło ją zmieszanie, które zobaczyła na jego twarzy.

- A, tak - odparł po chwili. - Tak.

- Więc? Mogę wiedzieć, gdzie byłeś?

- Nie rozumiemy.

Ogarnęło ją straszne podejrzenie.

Pytanie, na ile zwariował? - zastanawiała się w duchu.

- A może jednak bym zrozumiała. Spróbuj.

- Wybrałem się do ruin.

Justin obserwowała go ze swego miejsca w najodleglejszym punkcie zabałaganionego pokoju.

- Ale po co?

- Nie mogę ci powiedzieć. Wiąże mnie przysięga.

Justin wyszła zrobić mu kawy. Lubił kawę po irlandzku, którą czasem dostawał z domu, ale dziś jej nie było. Zaparzywszy kawę, zaniosała księdzu na tacy dzbanek i filiżankę. Egan nadal siedział na łóżku, ze wzrokiem wbitym w wyszorowaną drewnianą podłogę. Justin nalała do filiżanki tutejszej mocnej, czarnej kawy. - W kuchni są owoce - powiedziała. - Przyszły listy. - Wcześniej zostawiła je na stole, przerażona stanem księdza. Teraz wzięła je i podała Eganowi. - Dostaliśmy Wspólnotę, jeśli masz ochotę, to przejrzyj ją sobie. Jest list do ciebie. I majstersztyk od prowincjała. Egan wziął list od matki i położył obok siebie na łóżku. - Były otwierane - ciągnęła Justin. - Nie wiem, czy przez Camposa, czy kogoś na górze.

Ksiądz wzruszył ramionami i zaczął ściągać brudną koszulę.

- I cóż pisze do nas prowincjał?

Kiedy otwierała list, wstał i zaczął rozpinać pasek.

- Och, mam to gdzieś, powiesz mi później. Muszę się umyć i zabrać do pracy. Odpowiedz, jak uznasz za stosowne, a ja później podpiszę.

W czasie gdy ojciec Egan dalej się rozbierał, Justin wyszła i przeczytała list od Przewielebnego Matthew J. Greene'a, którego nakazów ona i Charlie Egan na mocy świętej przysięgi zobowiązali się słuchać.

W liście monsignor Greene ostatecznie i nieodwołalnie zamykał misję. W kopercie znajdowały się też

bilety lotnicze i nakaz, by najpóźniej do dwudziestego lutego stawili się w domu Devotionist pod wezwaniem świętego Piotra męczennika w Metairie w stanie Luizjana. Dodawał też, że zapewne zostali poinformowani przez lokalne władze kościelne, że biskup tutejszej diecezji wyznaczył urzędnika, który zajmie się przedmiotami należącymi do misji i dopilnuje przeniesienia własności do Milimar Corporation z Bos-tonu, głównej siedziby International Fruit & Vegetable, które będzie od tej pory sprawować nad nią władzę. Przypominał również, że wypłacono już pieniądze, które miały

pokryć koszty utrzymania misji w ostatnim kwartale i że nie otrzymają więcej żadnych funduszy.

- Na to nie ma odpowiedzi, Charles - powiedziała Justin do pustego korytarza. Egan brał prysznic. - To już koniec. Tymczasem zaś nikt z przedstawicieli władz kościelnych w Tecanie nie poinformował ich o niczym, podobnie jak International Fruit, która posiadała duże biuro w Puerto Akarado. To znaczy, uznała Justin, że albo tutejsza diecezja przejęła styl tecańskich władz albo że ktoś w hierarchii kościelnej z niepojętych powodów wstrzymywał ostateczne zamknięcie misji.

Jeśli chodzi o IF & V, to firma zapewne po prostu czekała. Mimo pogłosek, że Millimar zamierza urządzić nad French Harbor pierwszy tecański kurort w stylu Florydy, wyglądało na to, że nie spieszą się, dając Kościołowi czas na rozwiązanie problemu owej nieznaczącej schizmy. Oczywiście, jeśli stracą cierpliwość, mogą zwrócić się do rządu - prezydent był młodszym udziałowcem firmy. W Tecanie życie płynęło jak po maśle, jeśli miało się kontakty z IF&V.

Kiedy Justin ponownie weszła do pokoju księdza, Egan był już przebrany i porządkował książki.

- Sam przeczytaj, Charles. To ostateczna decyzja. Na to nie ma odpowiedzi.
- Świetnie - odparł Egan. Wziął do ręki list zwierzchnika, zmiął i wyrzucił do kosza.
- Dostaliśmy też bilety.
- Naprawdę? - zdziwił się ojciec Egan. - Przecież już jedne nam wysłali. Widać zapomnieli. Oto rozrzutność ludzi, którzy nie muszą płacić podatków. Czyli mamy po dwa bilety na łebka. Jeśli posiedzimy tu wystarczająco długo, może przyślą nam jeszcze po jednym i będziemy mogli zabrać ze sobą do Nowego Orleanu całą trzódkę.
- Nie mamy już żadnej trzódki, Charles. Nie zauważyłeś?
- Ja mam trzódkę - oświadczył ojciec Egan.
- I zakon się rozpada. I bez płacenia podatków krucho u nich z forszą.

Egan popatrzył na nią uważnie.

- Mogę naciągnąć Hughiego na tysiąc dolców. Bóg jeden wie czy w ogóle tu dotrą i kiedy. - Hughie był młodszym bratem Egana, niegdyś nowicjuszem w zakonie Devotionist. Teraz miał hurtownię

wódek w Seattle. - Ale to będzie ostatnia paczka, jaką uda mi się z niego wydusić.

- W takim razie spróbuj - powiedziała Justin.

- Osobiście jestem gotów przenieść się do hotelu w mieście. Albo mógłbym spróbować sprzedać te

bilety i kupić sobie jakiś dom w okolicy. Nie zostawaj ze względu na mnie, kochana. - Nie zostaję ze względu na ciebie, ojciec Egan.

A więc uda się jeszcze trochę przeciągnąć. I jednak mogą okazać się potrzebni.

- Jakie masz obywatelstwo? - spytała Egana Justin, której zaświtał pewien pomysł. - Amerykańskie, prawda? - Tak. Od ponad trzydziestu lat jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych. Dostałem je tuż przed Pearl Harbour. - Dobrze.

Była już przy drzwiach, kiedy nagle się zatrzymała. - Wiesz, co w tym jest najdziwniejsze? Reszta obsady... Właściwie ich nie pamiętam. Przecież Mary Margaret Donahue była z nami ponad pięć lat, a ja nie mogę sobie przypomnieć, jak wyglądała. Nie uważasz, że to dziwne?

- Owszem - przyznał Egan. - Ale to w twoim stylu. Ja za to doskonale ich wszystkich pamiętam. Nie zapominam ludzi. Kiedy wyszła, zaczął stukać na maszynie. Justin krążyła po werandzie, przemierzając ją długimi krokami. Brak zajęcia ją wykańczał. Egan miał przynajmniej tę swoją wymyśloną książkę, której nigdy nie skończy. Ona zaś nie miała nic. Chodząc po werandzie, wyglądała sprzedawcy ryb i Epifanii, która powinna zajrzeć po pranie. Pranie, szczególnie rzeczy Egana, było obrzydliwą robotą, ale Justin właściwie wolała, żeby Epifania - podobnie jak reszta ludzi - ich rzuciła, dzięki czemu miałyby zajęcie na popołudnie. Ale jeśli i Epifania zawiedzie, ich sytuacja stanie się jeszcze bardziej groteskowa. Odwiedziny praczki trzymają ich przy życiu. Bo jeśli Epifania i handlarz przestaną przychodzić, misja zostanie całkowicie odcięta od mieszkańców French Harbor, zupełnie pozbawiona kontaktów duszpasterskich, towarzyskich nawet handlowych.

Tak jakbyśmy - pomyślała z goryczą - byli tu po to, żeby kupować ryby i robić pranie.

Wtedy zauważyła nadchodzącą Epifanię. Przynajmniej tak jej się przez chwilę wydawało. I kiedy zastanawiała się, dlaczego Epifania nie niesie koszyka, zrozumiała, że to wcale nie ona, że to w ogóle

nie jest żadna ciemna kobieta z okolicznych wysepek - ale przyjaciółka księdza Schleichera, ta która skończyła planowanie przestrzenne na uniwersytecie Loyoli. Szła bosą, ubrana w jaskraworóżową sukienkę, włosy miała zaplecione. Jakby nie chciała, żeby ją rozpoznano - pomyślała Justin. Zbiegła po schodach i czekała przy drodze, póki kobieta się nie zbliżyła. - Ślicznie pani wygląda - przywitała ją Justin. - Wybrała się pani na spacer?

- Nie, przyszedłam do siostry - odparła dziewczyna. Popatrzyła na zakonnice z powagą, choć wyglądała,

jakby próbowała zaplanować nad podnieceniem. - Mam wiadomość od Xaviera Godoya. Justin miała wrażenie, że przez chwilę serce przestało jej bić.

- Mówi, że musi być siostra gotowa do działania.

A kiedy go zobaczę? - cisnęło jej się na usta. Ale tylko spytała:

- Co mamy zrobić?

- Musicie mieć gotowe miejsce dla ludzi, jeśli będą ranni. Gdzie będą mogli się ukryć, póki ich stamtąd nie zabierzemy. - Mamy takie miejsce, ale mogą je znaleźć, jeśli budynek zostanie dokładnie przeszukany.

- Raczej nie będzie przeszukiwany. A jeśli już, to niezbyt starannie.

- W takim razie - odparła Justin - mamy takie schronienie. - Musimy wiedzieć, czy ma siostra antybiotyki i środki opatunkowe. I czy umie siostra poradzić sobie z ranami postrzałowymi.

Justin zacisnęła wargi, żeby powstrzymać ich drżenie. - Mamy wszelki sprzęt medyczny, który może

się okazać niezbędny. Wiem, jak się postępuje z takim ranami, potrafię też sama wyjąć kulę, jeśli rana jest w miarę powierzchowna. Już to robiłam. Ale nie jestem chirurgiem. W wypadku naprawdę głębokich ran, mogę jedynie powstrzymać krwawienie i zmniejszyć ból. Tecanka słuchała z zamkniętymi oczami. Obie drżały.

- Kiedy mogę się ich spodziewać?

Dziewczyna szybko potrząsnęła głową.

- Nasi ludzie jeszcze nie wiedzą. Zostaniemy powiadomieni.

- Dobra.

- A co ze staruszką, ojcem Eganem? Czy nie przysporzy nam kłopotów?

- Jest chory - powiedziała Justin. - To porządny człowiek. Nie będzie przeszkadzał, może być pani spokojna.

- Cóż, w takim razie to wszystko.

To wszystko - pomyślała Justin. - Nareszcie.

- Czy spotkam Xaviera?

Tecanka aż się cofnęła, słysząc zadane bez tchu pytanie. Potem posłała zakonnicy łagodny, dobry uśmiech.

- Może go siostra spotka. Nie wiem. W takich sytuacjach nigdy nic nie wiadomo.

- Oczywiście - potaknęła Justin, też się uśmiechając. Trzymały się za ręce.

- Ale nie wolno siostrze nikomu o tym powiedzieć. Wiem, że zdaje sobie siostra z tego sprawę.

- Wielkie nieba, to oczywiste.

- W takim razie powodzenia.

- Ja też życzę pani powodzenia. I tym, którzy walczą.

- Nam wszystkim. Całemu Tecanowi.

Szybko się uścisnęły. Dziewczyna dygnęła lekko - może to zdenerwowanie, może tak została nauczona, a może było to przedstawienie na benefis ewentualnych widzów - i szybko ruszyła z powrotem po piaszczystej plaży.

Justin popędziła na górę i oparła się o drzwi, ciężko oddychając. Spojrzała na zegarek - dochodziła jedenasta. Miała mnóstwo czasu, aż za dużo. Jeśli człowiek z rybami się nie pokaże, pojedzie do Puerto Alvarado kupić trochę jedzenia - dość, żeby wystarczyło na wykarmienie dodatkowych osób, ale nie tyle, żeby wzbudziło to podejrzeń.

Kiedy szarpała się na myśl o długim, beczynnym popołudniu, przypomniała sobie o praniu. Dzięki

Bogu! Jeśli Epifania się pokaże, da jej trochę pieniędzy i odeśle.

Bez słowa zabrała brudne, rozrzucone ubrania z pokoju księdza, potem przyniosła swoje rzeczy i postawiła to wszystko przy zlewie w kuchni. Nie ma sensu mówić Eganowi już teraz. Lepiej, jeśli będą jacyś ranni, żeby się dowiedział w ostatniej chwili. Zawsze przecież istnieje możliwość - studziła swój zapal - że Godoy nie przyjdzie, że go nie zobaczy, że będzie musiała sama sobie ze wszystkim poradzić. I poradzi.

Kiedy patrzyła na źródlaną wodę, która płynęła z kranu do miednicy, przypomniały jej się słowa modlitwy. Justin odpędziła je, całą uwagę skupiając na sortowaniu bielizny, rozpalaniu ognia. Nie będziesz się modlić do tego Boga - myślała. - Do Boga bezsensownych wojen, nędzy, na którą nic nie można poradzić, idiotycznych zakazów. Może Egan miał rację, kiedy mówił, że tamci źle to zapisali. Wszystko postawili na głowie. Źle go traktowała: wyniośle, bez miłosierdzia, właściwie nie zwracając nań uwagi. A może, choć w ogóle tego nie podejrzewała, myśleli bardzo podobnie?

Kiedy już miednica się napełniła, poszła rozejrzeć się za mydłem. Tak więc - myślała dalej - niech Bóg będzie w tych dzieciach na karuzeli, w Godoyu, w tych dumnych, głodujących ludziach. Bo jeśli nie w nich, to gdzie miałyby być i jaki by to wszystko miało sens?

Odstawiła metalową miednicę na stół i otworzyła świeżą kostkę mydła.

Rozdział dziewiąty

Ostre, czerwone promienie wschodzącego słońca przebudziły Holliwella. Nie zaciągnął wczoraj zasłon i teraz cały pokój tonął w blasku - płytki na podłodze, lustro na komódce, prześcieradła, które nabrały koloru krwi rozrzedzonej wodą. Na zewnątrz słońce wspinało się ku szarawej, deszczowej chmurze, która zawisała nad wschodnim szczytem Misericordia. Holliwell opuścił stopy na podłogę.

Przecież jest pora sucha - pomyślał. - Co tu robią chmury deszczowe?

W nocy jeszcze trzy razy do niego dzwoniono, grożąc mu śmiercią w męczarniach. Za każdym razem głos był inny, raz należał do kobiety. Holliwell nie zapomniał. Zanim padł do łóżka, zadzwonił do

recepcji prosząc, żeby nie łączono żadnych rozmów. Mimo to telefon dzwonił.

Wstał i nagle ogarnęły go mdłości. Sam nie wiedział kiedy znalazł się w łazience i klęczał przy sedesie, ściskając gładkie, obłe krawędzie. Ciało pokryło mu się potem, włosy przylepiały się do czaszki. Cicho szumiał wentylator. Przez chwilę Holliwell bał się, że umrze.

Po jakimś czasie jednak wstał. Wziął prysznic, umył zęby. Kiedy tak doprowadzał się do ładu, wracały wspomnienia wczoraj-szego wieczoru, każde niczym ukłucie, powodujące gwałtowny skurcz.

Kiedy, owinięty w ręcznik, wrócił do sypialni, czerwona łuna nadal była tam obecna. Podszedł do okna. Słońce świeciło wyżej, ale ciągle jeszcze nie dało się zdławić deszczowej chmurze i obłokom dymu znad Santiago. Jego blask zabarwił nieruchomą powierzchnię basenu, odbijał się w mięsistych, woskowanych liściach drzew, które rosły pod murem i w olśniewająco białych budynkach miasta, które się za nim rozciągało. Krwista poświata zalewała blaszane dachy chat na niższych stokach i pudełka samochodów sunących po autostradzie w stronę lotniska. Holliwell zaciągnął kotary, ubrał się i nalał drinka. Ostrożnie, małymi łyчками pił czystą szkocką, póki nie spłynęła w dół i nie przyniosła ukojenia.

Na zegarku było wpół do ósmej czasu lokalnego; samolot do Miami startował o jedenastej. Następne półtorej godziny Holliwell spędził zmagając się z telefonistką, póki nie nabrał ostatecznej pewności, że w Aerochac nie ma nikogo, kto mógłby przyjąć jego rezerwację. Między kolejnymi próbami pił, krążył po pokoju i palił jednego bezcłowego Kenta za drugim. Kupno biletu w dniu wylotu było praktycznie niemożliwe, a jeśli chodzi o wcześniejsze, wstępne rezerwacje... Cóż, w biurze Aerochac od samego rana kłębiły się tłumy i zawsze znalazł się ktoś, kto wsunął pracownikowi piąta, żeby dostać zwolnioną właśnie rezerwację. Gdyby wcześniej pomyślał i załatwił sprawę wczoraj, nie byłoby najmniejszych problemów. Możliwe, że nie musiałby się nawet ruszać z hotelu. Ale jeszcze wczoraj nie zamierzał wyjeżdżać tak wcześnie. Kiedy tak krążył po pokoju, coraz częściej przychodziło mu na myśl, żeby zadzwonić do Toma Zecci. A wraz z tą myślą przypomniał mu się zastyszany kiedyś

wiersz, o myszy tak przerażonej, że poszła szukać pocieszenia u kota. Ale on nie był myszą - zawsze umiał sobie sam radzić. Nie był ani tchórzem, ani drobnym zwierzątkiem. Prawda wyglądała tak, że - niezależnie od tego, co wmawiał sobie lub innym - po prostu za słabo się orientował w sytuacji, jaka obecnie panowała w Composteli, by móc ocenić, na ile rzeczywiście są niebezpieczne owe telefoniczne pogroźki. Zdarzały się zabójstwa, co do tego nie było najmniej-szych wątpliwości. A za mało już ufał Oscarowi Ocampo, żeby przyjąć jego zapewnienia, że nic mu nie grozi.

Jego wiara w siebie rosła i opadała właściwie bez konkretnych powodów. Robił się coraz bardziej pijany. Tuż przed dziesiątą udało mu się połączyć z Aerochac. I nic. Lista oczekujących? Nie ma żadnej listy.

Gdybym rano zebrał się na tyle do kupy, żeby pojechać na lotnisko - pomyślał - pewnie udałoby mi się podkupić czyjeś miejsce. Ale teraz już na to za późno. Wściekły zarezerwował sobie bilet na jutro.

Najbliższe dwadzieścia cztery godziny nie będą należały do miłych. Kolejne telefony. Będzie unieruchomiony w hotelu, wy-słannicy śmierci będą go tu prześladować. Oscar nie da mu spokoju.

Otępiony, wyciszony przez alkohol mógł jeszcze raz rozważyć perspektywę wycieczki do Tecanu. Położył wizytówkę Toma Zecci obok telefonu. Dochodziło wpół do jedenastej. Jeśli ma coś zrobić, to teraz.

I po chwili już wiedział, że pojedzie do Tecanu. Teraz wszystko za tym przemawiało. Nie mógł znieść myśli o powrocie do domu w tym stanie: do bezpieczeństwa mroźnej zimy, sterroryzowany, jeszcze bardziej roztrzęsiony niż przed wyjazdem. W Tecanie miał sprawę do załatwienia. Na wybrzeżu w pobliżu Puerto Alvarado jest coś, co musi sprawdzić. I to właśnie on musi to sprawdzić, to jego tajna misja, misja jego wysuszonej duszy. Nie da się za-straszyć.

Oczywiście są też wysepki niedaleko brzegu, no i ocean. I nigdy nie jechał autostradą panamerykańską między Santiago de Compostela a San Ysidro.

Holliwell dopił szkocką, którą miał w szklance i podszedł do telefonu.

Chcesz to zrobić - powiedział w duchu. - Więc przestań się nad tym kiwać. Po prostu zrób.

Odebrała Marie. Sprawiała wrażenie zadowolonej. Świetnie. Ma tylko jedną walizkę? No, to w ogóle wspaniale. Mnóstwo miejsca. Holliwell odłożył słuchawkę, lekko oszołomiony tym, w co się wpakował. Przyjadą po niego pod hotel o wpół do pierwszej. Miał akurat dość czasu, żeby się spakować, rozliczyć i wyjść. Kiedy samochód Zecców podjechał pod hotel, Holliwell czekał już na ulicy, obsługiwany przez dwunastoletniego pucybuta. Nie zważając, że ma na sobie najlepszy ciemny garnitur, opierał się o brudny słupek. Wolną nogą przytrzymywał walizkę - odruch z czasów sajgońskich, półśrodek przeciwko złodziejom. Chłopiec mruczał coś pod nosem i zamaszystymi ruchami pucował drugi but Holliwella.

Małżeństwo z uśmiechem zamachało doń powitalnie i czekali, nie wyłączając silnika. Z tyłu siedział tysięjący młody mężczyzna. Wyglądał na dość sympatycznego.

Minęła dłuższa chwila, nim chłopiec uznał dzieło za skończone i z dumnym uśmiechem pokazał Holliwellowi jego lśniące buty. Chłopiec miał zakrwawione dżiasta.

Holliwell pogrzebał w kieszeni. Ku jego zawstydzeniu wyjęty banknot okazał się jednodolarówką. Dał

go pucybutowi. Chłopak wziął banknot i szybko rozejrzał się po ulicy. Zapadnięta klatka piersiowa wypięła się triumfalnie. Parsknął pogardliwie, wziął swoją skrzynkę i uciekł. Aleją zbliżali się ku niemu dwaj starsi chłopcy, biegli na bosaka między samochodami, próbując przeciąć mu drogę ucieczki. Jeden z nich trzymał w ręku śrubokręt. Śrubokręt miał zaostzony koniec.

- Co mu pan dał? - spytał sympatycznie wyglądający mężczyzna z tylnego siedzenia, kiedy Holliwell

wsiadał do samochodu. - Co mu pan dał? Dolca?

- Tylko to miałem - tłumaczył się Holliwell. - Zapomniałem wymienić.

- Chłopakowi dopisało szczęście - powiedziała Marie Zecca.

- Miał tu niezły punkt.

Tom oglądał we wstecznym lusterku pogoń. Ściskając skrzynkę chłopiec skręcił za róg, ale tamci szybko go doganiali. - Dopisze mu szczęście, jeśli uda mu się zatrzymać tego dolara. Jechali ku

Staremu Miastu, gdzie Avenida Central zmieniała się w krętą drogę wiodącą obok siedemnastowiecznej katedry, potem niczym delta otoczyła tylne uliczki targu. Indianie w słomianych sombreroach dźwigali toboły związane marynarskim sznurem, krępe kobiety w bieli niosły zarżnięte indyki albo tanie hamaki, które będą sprzedawać przed dobrymi hotelami takimi jak Panamerica.

Dłonią eksperta wiódł Tom Zecca swoją złocistą Hondę przez zatłoczone ulice, między Salwadorskimi stoiskami chorizo i sklepikami z rurami wydechowymi, kradzionymi felgami i suszonymi ziarnami.

- Przypomina trochę targ w Da Nang - powiedział. Blondyn, towarzysz Holliwella z tylnego siedzenia nazywał się Bob Cole. Siedział wyprostowany, patrząc na uliczki. Był otyły i blady, wyglądał jakoś niezdrowo. Zęby miał krzywe i żółte od tytoniu. Holliwell wyczuwał w jego zachowaniu silne napięcie. Cole trzymał ręce zaciśnięte wokół kolan i materiał spodni był w tym miejscu wilgotny. Holliwell podejrzewał, że jego towarzysz za dużo pije.

- Wszędzie to samo - odezwał się Cole.

- Co ma pan na myśli? - spytał Tom Zecca. - Że wszędzie jest tak jak w Da Nang? Że wystarczy obejrzeć jeden targ i to wystarczy? Cole nawet na niego nie spojrział.

- Ma na myśli Trzeci Świat - wyjaśniła Marie. - Kraje nieuprzedmiotowione, tak, Bob?

- Zgadza się - odparł Cole.

- Jeśli człowiek za bardzo się oddali z Madison w stanie Wisconsin, okazuje się, że świat jest bardzo niehigieniczny - stwierdził Tom Zecca. - Ludzie jakoś tak dziwnie wyglądają i jest gorąco. - Tom - mitygowała Marie - przestań żartować.

Minęli śmierdzący targ mięsny, dworzec autobusowy trzeciej klasy, przy którym stały rozwalające się

hoteliki, i nierównymi uliczkami zdążyli do skrzyżowania, gdzie wkraczało się na tereny bananowe - drogą za miastem, tam gdzie Santiago de Compostela oferowało najwięcej swoim mieszkańcom i przybyszom. Milę czy dwie po ostatnich rudkach zaczęły się plantacje bananów. - Dziadek - powiedział Tom Zecca - zawsze mi powtarzał: dziecino, nie wiesz, ile masz szczęścia, że mieszkasz w

Ameryce. Poza nią życie to nie życie. Haruje człowiek i nic z tego nie ma. Tu masz wszystko gotowe.

- Musiał odnieść sukces - rzucił Cole.

- Spalił za sobą mosty i był twardy. Dożył chwili, kiedy jego syn został wybranym obywatelem roku.

To

było w Toledo. Co roku wybiera się tam obywatela roku i mój staruszek został nim dwukrotnie. Miał

płaszcz z prawdziwej wielbłądziej wełny i kiedy go wkładał, dziadek podchodził, dotykał rękawa i

kręcił głową. - Ameryka, sukces, cała ta śpiewka - wtrąciła się Marie. - Moja rodzina była dość

podobna. Tyle że myśmy nie mieli obywatela roku.

- Czy kiedykolwiek był pan we Włoszech? - spytał Holliwell.

- Jasne - odparł Tom. - Most Westchnień. Florencja. Werona.

Kiedyś nawet spędziliśmy z Marie dwa tygodnie w Taorminie. Cóż, staruszek odleciał. Sycylia?,

wrzeszczał. A po kiego licha wam Sycylia? Tam jest samo strunz!

- To znaczy gówno - pospieszyła z wyjaśnieniem Marie.

- Chyba potrafię zrozumieć jego uczucia - powiedział Bob Cole. - Ej - odezwał się Zecca, udając groźny ton. - Niech pan uważa na słowa.

Po jakiejś godzinie jazdy wzdłuż drzew bananowych, dotarli do La Entrada. Były tam dworce przetokowe, zabudowania fabryczne. W samym mieście stało mnóstwo sklepów i bank z ogromnymi oknami, za którymi widać było ozdobne kwiaty i nowoczesne oświetlenie. Mijali ładne domy, ogrodzone z przodu słupkami z łańcuchami. Na głównym placu przejechali obok nowoczesnego kościoła z wielkich betonowych płyt, naśladownictwo architektury północnoamerykańskiej. Mignęły im nawet pola baseballowe. - Wybudowali tu sobie nawet stalownię - powiedział Zecca. - Powolutku, krok za krokiem, stara Compostela wynurza się na powierzchnię.

- A Tecan - dodała Marie - powolutku, krok za krokiem się pograża. Więcej, idzie na dno. W tym roku

plantacje bananów i kawy dotknęła zaraza. Do tego trzęsienia ziemi.

- Jeśli powstanie jakaś nowa zaraza, można być pewnym, że najpierw dotknie Tecan - dodał Tom. -

No i oczywiście, nie zapominają o starych.

- No i oczywiście - włączył się Bob Cole - cieszą się naszą nieustanną troską i opieką.

Nikt nie odpowiedział.

- Jest pan z Madison? - zwrócił się po chwili Holliwell do Cole'a.

- Nie - odparł tamten. - W życiu tam nie byłem.

Po następnych kilku milach plantacji bananów, Holliwell napił się wody z dzbanka i zasnął. Kiedy ocknął się z pijackiego snu, jechali krętą drogą wśród gór, przypominających nieco Kolorado. Na stokach rosły świerki. Od czasu do czasu błyskały polany porośnięte ciemnozieloną trawą i polnymi kwiatami, rozdzielone bystrzymi, czystymi potokami mknącymi wśród gładkich kamieni. Może nawet żyły w nich pstrągi? Przez otwarte okna wpadał zapach nagrzanego świerkowego lasu.

- Musieli tu szukać złota - odezwał się sennie Holliwell.

Zeccowie obejrzeni się na niego.

- Witamy z powrotem w krainie żyjących - powiedziała Marie.

Bob Cole wyglądał przez okno z nosem przyklejonym do szyby. - Rzeczywiście - zwrócił się do Holliwella. - Był tu niejaki Martinez Trujillo, jeden z żołnierzy Alvarado. Stosował jego metody. Zwoływał indiańskich wodzów i wyznaczał termin, na kiedy mają dostarczyć określoną ilość złota. Jeśli tego nie zrobią, spali ich żywcem. Oczywiście nie przynieśli, bo i skąd mieli je wziąć, to nie są złotoносne tereny. Nie dostał nawet grudki, ale nadal palił Indian. Spalił tysiące mieszkańców tych gór. - Złoto było niżej, na moczarach, gdzie nikt się go nie spodziewał - dodał Zecca. - Pod warstwą ziemi. Nigdy nie znaleziono go w górach.

- A co się stało z Martinezem Trujillo? - spytał Holliwell. - Spalił o kilku Indian za dużo - wyjaśnił Cole - i nie zatroszczył się o ich dusze. Zakonnicy zaczęli narzekać. Martinez Trujillo był chrześcijaninem i końcu Inkwizycja dobrała mu się do skóry. - I miejmy nadzieję, że spaliła go żywcem - dokończyła Marie. - Przekazy nie są zgodne. Pojawia się i znika. Był jednym z pomniejszych, nieudanych konkwistadorów. Niecierpliwym i okrutnym. A może po prostu głupim.

- Historia surowo się obchodzi z takimi.

Cole stwierdził, że tak powinno być.

Cole - pomyślał Holliwel - to człowiek, który szanuje historię. Historia nakazuje sprawiedliwość i życie zgodne z nakazami moralności.

- Kolejny przegrany, kolejny łajdus - powiedział Tom Zecca. - Widzieliście może malowidła w Bonampak? Wszystkie tamte typy warte były jeden drugiego.

- Cóż, właściwie nie można tak tego rozstrzygać - odparł Cole.

- A co można rozstrzygać? - odparował Zecca.

- To jeszcze trwa. Cały czas to samo. Nadal nie rozwiązane. - Sądźcie - wtrąciła Marie - że Indianie od początku wiedzieli, gdzie jest złoto?

- Kto ich wie - zadumał się Zecca. - Kto ich wie, co oni wiedzieli. Przejechali jeszcze ładne parę kilometrów i skręcili w niedawno wybrukowaną, krętą drogę, która wiła się wśród świerków. Wkrótce dostrzegli znak: "Ośrodek wypoczynkowy Lago Azul.

Własność 'Rybaków Świata' z Houston w stanie Teksas". - Jezioro okoniowe - powiedział Holliwel.

-

Słyszałem o nim, ale nigdy tu nie byłem.

- A ja owszem, złowiłem tu parę niezłych okazów - odezwał się Tom Zecca. - Największy ważył dobre dziesięć kilo. Bóg jeden wie, ile ważył rekordowy.

- Dwa razy tyle - odparł Bob Cole. - A może więcej. Droga zaczęła prowadzić w dół. Za kolejnym zakrętem nagle wyłoniło się przed nimi jezioro - olbrzymie, rzeczywiście lazuruwe, otoczone gęstwiną drzew, za którymi sterczały nagie skały. Nigdzie nie było widać łodzi. Gładka tafla jeziora leciutko marszczyła się w podmuchach wiatru. Znad brzegu zerwał się klucz czarnych gęsi. Frunęły tuż nad wodą, układając się w literę V. - Dobry Boże - westchnął Holliwel.

Po dwudziestu minutach jazdy w dół wreszcie dotarli do ośrodka:

luźno rozrzuconych, zadbanych domków z bambusowymi oknami. Przy samym jeziorze, nad rzędami

pomostów, do których przycumowano aluminiowe łodzie, stał duży budynek. Wiklinowe daszki osłaniały tarasy. Budynek stanowił tropikalną odmianę stylu bawarskiego. Na ścianach wisały olbrzymie okazy okoniopstrągów, niektóre większe nawet od piaskowych rekinów. Na błotnistym kawałku plaży obok pomostów leżały wyciągnięte łódki. Zaparkowali przy głównym budynku i cali zeszywniali wysiedli z samochodu. Powietrze było ciepłe, roślinność jeszcze bardziej tropikalna. W pobliżu przystani rosły palmy, w liściach drzew skrzeczały papugi.

W budynku z tarasami mieściła się restauracja; w środku był duży kominek, nad którym stał rząd bawarskich kufli na piwo. Na ścianie wisała jeszcze większa, oszałamiająca kolekcja wypchanych okoni.

- A gdzie się podzieli nasi "rybacy świata" z Teksasu? - spytał Holliwell.

- Lepiej niech pan dziękuje opatrności, że ich nie ma - odparł Tom.

Zajęli stolik z widokiem na jezioro. Po chwili zjawił się kelner, Murzyn. Jego angielszczyzna oraz zachowanie pełnej wymuszonej jowialności i szacunku zapewne - podobnie jak i zapaleni rybacy - pochodziły z Houston.

Bob Cole i Zeccowie zamówili okonia. Holliwell poprosił o piwo, potem wziął dla siebie omelet. Porcja okazała się olbrzymia, a jajka pachniały rybą.

- Znacie historię ośrodka Lago Azul? - spytał w pewnym momencie Cole.

Holliwell nie znał.

- Posłuchajmy pańskiej wersji - powiedział Zecca.

- To jezioro nosiło kiedyś nazwę Lago de los Camaidos. Ale w latach trzydziestych tereny wokół niego wykupiły amerykańskie linie lotnicze. Firma postanowiła założyć tu ośrodek wypoczynkowy. Uznano, że los Camaidos budzi złe wspomnienia, a właściciele linii chcieli, żeby potencjalni klienci czuli się tam jak najlepiej. Dlatego przemianowali jezioro na Lago Azul i zapełnili je wielkimi okoniopstrągami ze stawów hodowlanych w Luizjanie. Jak sami widzicie ryby doskonale się tu zaaklimatyzowały i urosły do niespotykanych rozmiarów. A także wymordowały wszystkie inne ryby,

które do tej pory żyły w jeziorze. Indianie, którzy żywili się tym, co wyłowili z jeziora, głodowali, bo olbrzymie okonie bez trudu rozrywały ich sieci. Wiele gatunków ptaków - a niektóre występowały wyłącznie w tych okolicach - wyginęło, bo monstrualnej wielkości okonie pożerały ich pisklęta. Inwestorów martwiło jednak tylko to, że te olbrzymie okonie nie łąpały haczyka. Po prostu nie dawały się złowić na wędkę. Dlatego skoncentrowano się na połowach z łodzi. Po jakimś czasie linie lotnicze sprzedały ośrodek firmie "Rybaczy Świata", na którą składała się banda bogatych doktorków z Teksasu, i ci po jakimś czasie wyhodowali palczaka, którego okonie tykały razem z haczykiem. Teraz połkną każdą przynętę, byle przypominała tę rybkę. Po jakimś czasie Indianie nauczyli się łowić okonie. Niektóre gatunki ptaków przeżyły.

Cole umilkł. Opowieść podjął Tom.

- Tak więc teraz co parę tygodni do Santiago przylatują ze Stanów całe watahy turystów, które potem przewozi się tutaj. Szanowni turyści pokpiwają z kraju, jego mieszkańców, a potem latają tutaj, drąc się "Si, sefiol albo "Ej, Pedro". No i łowią. Co wieczór siadają przy tym kominku, upijają się i porównują swoich czarnuchów z Teksasu z tymi tutaj, w Composteli. Powiadam panu, to prawdziwy Forrest Lawn wędkarzy, większej bandy pijanych, zakłamanych dupków już chyba ci "Rybaczy Świata" nie potrafili znaleźć.

- Przyjeżdżając tu - włączyła się Marie - za wszelką cenę staramy się unikać tych turnusów. Wtedy nie jest tu zbyt przyjemnie.

Zecca zapatrzył się na ptaki nad jeziorem. Cole palił jednego papierosa za drugim.

- Kiedy raz trafiliśmy na tę stonkę, jeden z ważniaków uszczypnął Marie w pośladek.
- Nie powinienesz być robić o to takiej afery - mitygowała Marie. - Wrócił do domu w kołnierzu ortopedycznym, to go może trochę otrzeźwi - wyjaśnił Tom. - Immunitet dyplomatyczny też się czasem do czegoś przydaje.

Po lunchu podreptali z powrotem do samochodu i siedli na swoich miejscach.

- W tych górach trafiają się jaguary - odezwał się Tom, kiedy jechali z powrotem do autostrady. - Nie mielibyście ochoty na spotkanie z jednym z tych maleństw?

W miarę jak kierowali się na zachód, stoki góry robiły się łagodniejsze, lasy rzedyły, wreszcie jechali wśród pustyni poroż-cinanej głębokimi wąwozami. Po godzinie góry mieli już za sobą, przed nimi rozciągały się piaszczyste, porośnięte kaktusami tereny, na których pasły się wychudzone stada i zabiedzone osiołki. Od czasu do czasu mijali zaprzężony w osiołka wóz z pniami drzew, poza tym praktycznie żywej duszy. Prawdziwa pustynia. Na zachodzie majaczyły szczyty kolejnego masywu: to góry wybrzeża Pacyfiku, wisały nad nimi charakterystyczne pierzaste chmury. Tuż przed owym pasmem skręcili na południe. Przed nimi Wyrosło miasto, nad którym górowała miedziana kopuła bazyliki. Miasto otaczały zielone pasy nawadnianych pól uprawnych.

- To Zalteca - wyjaśnił Bob Cole Holliwellowi. - Tutaj my dwaj dostaniemy wizy tecańskie.

- Zalteca de las Palomas - uściślił Tom Zecca.

Wkrótce mijali zagajniki i skupiska domów zbudowanych z cegły suszonej na słońcu.

- To kolejne miejsce, znane sportowcom całego świata - dodał Zecca. - Co rok odbywa się tu polowanie na gołębie. - Tak, i to ogromne - potwierdził Cole.

- Rokrocznie - wyjaśnił Zecca - w drodze na południe gołębie przelatują nad tą doliną. Wtedy właśnie

zbierają się tu typki rodzaju "Rybacy Świata" i im podobni sportowcy, żeby strzelać do ptaków. A wszyscy wieśniacy na obrzeżach miasta palą chaty. - Ale dlaczego? - spytał Holliwell.

- Cóż, odbywa się to następująco - wytłumaczył Zecca. - Z paczką kolegów wybiera się człowiek na

polowanko, spokojnie strzela sobie z pukawki do gołębi, kiedy nagle ni stąd, ni zowąd pojawia się zrozpaczona staruszka. My oczywiście nie rozumiemy ani słowa z tego, co mówi, ale widać, że jest w rozpacz. Pokazuje nam słup dymu i prowadzi na kupkę popiołu po jakimś gównie, które -jak twierdzi - było domem jej przodków. Jeśli próbujemy ją zignorować, staruszka robi się wredna, zapiera się, wyje coraz głośniejsze i nagle okazuje się, że otoczyła nas banda tubylców. W rękach trzymają

maczety, śmierdzi od nich bimbrem, a miny mają niezbyt przyjacie-Iskie. A co tam, mówimy sobie. Pocziwi z nas ludzie, przyjechaliś-my tu się zabawić, każdy z nas ma gdzieś swoje kondominium, zrzućmy się po dwudziestaku albo trzydziestaku na nową chałupkę dla babci. Powiedzmy jest nas sześciu, siedmiu. Kobieta dostaje sto pięćdziesiąt albo nawet i dwieście dolarów. Jeśli jej szczęście dopisze, trafi na jeszcze jedną paczkę Amerykańców z pukawkami i naciągnie ich na kolejne sto pięćdziesiąt. Po zamknięciu sezonu wszyscy sklecają sobie byle dach nad głową i mogą się bawić do woli. - Ten proceder ciągnie się już od tak dawna - powiedziała Marie - że nabrał niejako religijnego znaczenia.

Zecca parsknął śmiechem.

- Pana, jako antropologa, powinno to zainteresować. Malutki pożar dla zabezpieczenia bytu. Skubanie

Amerykańców. Odnowa. - I auto-da-je - dodał Holliwell. - Może podświadome nawiązanie do Martineza Trujillo.

- Mógłby pan napisać o tym artykuł - stwierdził Bob Cole. - Rzeczywiście - zgodził się Holliwell.

- Pracuję nad wielo-tomowym studium ludzkości zatytułowanym "Estetyka końskiego fajna". Chcę pobić socjologów ich własną bronią. Z rozkoszą dołączę rozdział na temat Zalteki.

Tom Zecca zaczął nucić Cu cu. ru cu cu, paloma. Po chwili przyłączyła się do niego żona.

- Zdaje się, że pańska praca nie przynosi panu szczególnego zadowolenia - odezwał się Bob Cole.

Oho - pomyślał Holliwell. - Odezwał się przedstawiciel historii. - To nieprawda - zaprzeczył na głos.

- Ostatnio trochę jakby pobłądziłem. Ale co wieczór kładę się do łóżka z poczuciem głębokiego zadowolenia.

- Czyżby? - spytał Cole.

- O tak - zapewnił Holliwell. - Żyję dla mej pracy. Co dzień to nowe wyzwanie. .

Cole przytakiwał w zamyśleniu.

- A pańska praca? - spytał Holliwell. - Ma pan z niej coś, jak to się u nas mówi?

- Cóż - odparł Cole - zdaje się, że ja też ostatnio jakby trochę pobłądziłem.
- Bardzo trudno trafić na coś naprawdę wielkiego - stwierdził Holliwell. - Pan też jest tego zdania?
- Tak.

Jechali wyboistymi ulicami miasta. Przy samochodzie biegli chłopcy, proponując rozrywkę albo przewodnictwo. Plac w centrum miasta był niemal pusty. Prażyło popołudniowe słońce. Jakiś mężczyzna spał w cieniu eukaliptusa, obok niego leżała taca z gumami do żucia. Stało też tam kilka ławek, które wyglądały jak żywcem przeniesione z Paryża końca ubiegłego wieku. Może właśnie wtedy zafundował je miastu jakiś zamożny mieszkaniec. Ławki były upstrzone guanem, w ich cieniu wylegiwały się śpiące kundle. Zecca zaparkował samochód w pobliżu bazyliki. Kopuła kościoła trzymała się wyłącznie dzięki drewnianemu rusztowaniu. Chłopcy, którzy już wcześniej biegli za samochodem, teraz pewnym, non-szalanckim krokiem podchodzili przez opustoszały plac. W Zaltece amerykańscy turyści nie robili wielkiego wrażenia. Zecca najął największego chłopca do pilnowania wozu.

Powlekli się bez sił do tecańskiego konsulatu. Musieli dłuższą chwilę naciskać guzik staromodnego dzwonka, zanim wreszcie drzwi się otworzyły i nastoletnia dziewczyna wpuściła ich do hallu pełnego tropikalnych roślin. Elektryczne wiatraki pod sufitem młóciły powietrze. W pokoju obok zamożnie ubrane dzieci oglądały w kolorowym telewizorze przygody misia Yogi. Po chwili zjawiła się żona konsula. W obcisłej, dopasowanej spódnicy wyglądała jak atrakcyjna kobieta, która powoli zmienia się w karykaturę postaci z Riwiery. Żona konsula poprowadziła ich do biura, gdzie było jeszcze więcej wiatraków i ogromne mahoniowe biurko. Na środku blatu stała maszyna do pisania Olympia. Na ścianie za biurkiem wisiał krzyż, portret wspa-niałego prezydenta oraz miedzioryt przedstawiający ostatnią walkę Williama Walkera.

Okazało się, że istnieją pewne trudności z wydaniem wizy Holliwellowi oraz Cole'owi. Szum wiatraków i tecańska wymowa pani konsulowej uniemożliwiły Holliwellowi zrozumienie, jakie. Zdaje się, że chodziło o fakt, że dziś wypada niedziela, a do tego pora sjeisty, no i nie było konsula, a

zbliżał się Wielki Post. Do tego jeszcze dodajmy układ planet i fazę księżyca. Niezależnie od tego, jakie powody podała kobieta - Holliwell ich nie pojął. Stał sztywno, nic nie rozumiejąc, podczas gdy Cole współczująco przytakiwał rozmówczyni. Kiedy kobieta z melancholijnym uśmiechem skończyła wyliczanie przeszkód, Holliwell po prostu zaczął jeszcze raz: stwierdzając, że musi natychmiast wyruszyć do Tecanu, przedstawiając nieszczęścia, jakie spadną na niego i na jego ojczyznę, jeśli nie wróci na czas, dając kobiecie do zrozumienia, że gdyby został przetrzymany w Zaltece, mogłoby się to nie spodobać ważnym osobom. W tym momencie Zecca ruszył mu z odsieczą i pokazał amerykański paszport w czerwonej okładce. Zapewne paszport dyplomatyczny, uznał Holliwell. Okazało się, że chodziło o pieniądze. Podróżni, którzy mimo tak licznych przeciwności nadal upierali się przy chęci przekroczenia granicy, muszą zapłacić podwójną stawkę. Dwanaście dolarów, nie sześć.

Holliwell i Cole położyli na biurku konsula dwadzieścia cztery dolary. Kobieta nawet nie zerknęła na pieniądze. Usiadła, wy-stukała na maszynie formularze, wbiła wizy do paszportów. W tym samym czasie dzieci oderwały się od losów misia Yogi i stanęły w drzwiach pokoju, przyglądając się, jak matka pracuje. Kiedy Amerykanie już wyszli, matka znów zapędziła dzieci przed ekran. Dwadzieścia cztery dolary pozostały nie ruszone tam, gdzie je położyli: na biurku.

Po powrocie na skwer wycieczka stwierdziła, że chłopcy zniknęli, ale felgi na kołach pozostały. Zecca zajrzał pod maskę, żeby się upewnić, czy nie ukradziono akumulatora. Wszystko było na miejscu.

Kiedy wracali do autostrady, do samochodu podbiegł chłopczyk - mógł sobie liczyć najwyżej sześć lat

- i zaoferował się, że ich poprowadzi. Zecce w ostatniej chwili udało się wykręcić, żeby go nie przejechać.

- Cóż, oto cała Zalteca, szanowni państwo - stwierdził Tom.

- Właściwie nie takie znowu najgorsze miasto - broniła Marie.

- Nie - dołączył się Holliwell. - Wcale nie.

- Kiedy znajdziemy się w Tecanie - postraszył Zecca - będzie je pan wspominał z czułością.

Na skraju miasta zatrzymali się na stacji benzynowej. Zatan-kowali najlepszej benzyny, wypili Coca-

Colę i wyruszyli w drogę. Na południe od Zalteki zrobiło się zupełnie równo. Pasma przybrzeżnych gór zniknęło i tylko baranki na niebie świadczyły o bliskości oceanu. Jechali po obszarach pustynnych, gdzie była tylko pożółkła trawa i pył. Na wschód od nich majaczyły góry Sierra, które stąd wyglądały niczym niski, płaski stok, z którego co pewien czas wyrastają rogi.

Po pół godziny zobaczyli coś, co wyglądało jak granica - parę różnokolorowych budek, rząd samochodów ciężarowych i, rzecz najdziwniejszą w tych wyludnionych okolicach, mnóstwo ludzi blokujących drogę.

Granica między Compostelą a Tecanem okazała się zjawiskiem społecznym o wysokim stopniu złożoności. Strona compostelska składała się z trzech połączonych zielonych budynków. Na szczycie jednego z nich, na obciążonym z farby maszcie zwisiała smętnie flaga narodowa. Powierzchnia autostrady była pofałdowana, co uniemożliwiało szybką jazdę - po stronie compostelskiej wypukłości pomalowano w zielone paski, po stronie tecańskiej - w żółte. Czterech compostelskich celników w zielonych mundurach i hełmach stanowiących skrzyżowanie kasków tropikalnych i nakryć głowy Wehrmachtu stało w cieniu budki, piąty bez przekonania grzebał w ciężarówce wyładowanej maszynkami naftowymi. Sądząc z tego, jak powierzchownie i leniwie przeszukiwał transport, musiał przejść przeszkolenie na prowadzonym przez Amerykanów kursie.

Za to po stronie tecańskiej robota wrzała. Na poboczu stało chyba sześć ciężarówek. Celnicy z latarkami i śrubokrętami w rękach przeszukiwali je, niczego nie przepuszczając. Kontrast między jednym krajem a drugim podkreślała jeszcze obecność po stronie tecańskiej żołnierzy Guardia Nacional w wyprasowanych, nieskazitelnych mundurach przypominających nieco stroje amerykańskich spadochroniarzy; do tego wyglansowane buty i barwne szaliki. Wszystko to odróżniało ich od zwykłych mundurów celników. Gwardziści obsługiwali długą kolejkę młodych obco-krajowców, którzy ustawili się na środku drogi, uginając się pod ciężarem chlebaków i plecaków, patrząc pod słońce ku Composteli. Na ich twarzach malował się strach i niepokój. Zecca zatrzymał samochód tak, by przednie koła przejechały pierwszą wypukłość. Najbliżej stojący w barwnym tłumie młodych

podróżników mogli z odległości kilkudziesięciu centymetrów oglądać pasażerów Hondy.

- Trudno się dostać do Tecanu, jeśli władze uznają twój wygląd za podejrzany - stwierdził Tecca. - A jeszcze trudniej się z niego wydostać.

Kolejką podejrzanie wyglądających obcokrajowców zajmował się sierżant. Sierżant był ciemnoskóry, choć w tej części Tecanu ciemnoskórzy raczej nie mieszkali - Guardia Nacional zgodnie ze swoją wieloletnią tradycją przydzielała żandarmów jak najdalej od ich miejsca zamieszkania. Dlatego też w Tecanie dość łatwo było przewidzieć, gdzie kto będzie stacjonował: niewielki, rozdzielony górami kraj składał się z trzech obszarów: gór i terenów po ich obu stronach.

Sierżant sprawdzał i głośno komentował wygląd jednego po drugim amerykańskiego włóczęgi. Od czasu do czasu chwycił jakiegoś chłopaka za długie włosy, wyciągał z szeregu, gładził po włosach i głośno cmokał, udając pocałunki, wyrzaskiwał coś do ofiary i z powrotem wpychał na miejsce. Miał cały repertuar splunień, prychnień, warknięć, a jego uśmiech wcale nie wyglądał przyjacielsko. Kiedy wpadła mu w oko jakaś dziewczyna, przystawał mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, po czym obmacywał. Nikt nie protestował przeciwko takiemu traktowaniu.

- Cholera - odezwał się Zecca. - Musieli złapać kogoś z trawką. - Moim zdaniem ktoś powinien nagadać temu typkowi do słuchu - stwierdziła Marie.

Po drugiej stronie szosy działo się coś innego. Do rowu dzielącego oba kraje wpadła krowa i zaplątała się w druty kolczaste, które Tecańczycy rozciągnęli po swojej stronie. Grupka chłopców, którzy powinni doglądać turystów czekających na odprawę i sprzedawać im chłodne napoje albo żebrać, zabawiła się, rzucając w zwierzę kamieniami. Krowa do tego stopnia pochłonęła ich uwagę, że nawet nie zauważyli samochodu Zecci.

Zwierzę nie mogło się już dźwignąć, tylne nogi podwinęło pod siebie, bezskutecznie wierzgając, podczas gdy ze wszystkich stron spadały na nie kamienie. Chłopcom skończyła się amunicja i pobiegli po następne. Każdemu uderzeniu towarzyszyło ciche stęknienie zwierzęcia. W ślepiach i na nozdrzach pokazała się krew.

- Chryste Panie, spójrzcie na to - zawołała Marie. - Czy nie zamierzamy zareagować na tę okropność?

- zwróciła się do męża. - Spokojnie - uciszał ją. - Dajcie mi swoje paszporty. Pasażerowie Hondy dali mu paszporty. Wysiadł zza kółka i wdał się w krótki dialog z urzędnikami po compostelskiej stronie. Holliwell i Bob Cole przyglądali się, jak dzieci kamienują krowę. W pewnej chwili jeden z mniejszych chłopców zerknął na wóz, wytarł ręce w spodnie i podszedł do nich. W ręku trzymał szklany słoik. Podsunął go Holliwellowi pod nos - w środku siedział skorpion. Holliwell nigdy jeszcze nie widział równie dużego okazu. - Dwa dolary - powiedział chłopiec.

- Nie - odparł Holliwell. - Nie, gracias.

Przez moment bał się, czy - jeśli odmówi - chłopiec nie rzuci mu pajęczaka na tors.

- Jeden dolar - targował się dzieciak.

Marie Zecca pisnęła cicho.

- Nie - nie ustępował Holliwell. - Otrą vez.

Ale chłopiec tylko udał pierdnięcie i pobiegł do kolegów dalej rzucać kamieniami w krowę.

- Ten stwór miał chyba ze dwadzieścia centymetrów - jęknęła Marie Zecca.

- Na pewno mniej - uspokajał Bob Cole.

Tom Zecca wrócił z paszportami.

- Co się stało?

- Właśnie jakiś dzieciak próbował sprzedać mi skorpiona - wyjaśnił Holliwell.

- Choroba, nie można ich wywozić. To miasto alcaran. - Sądzę - powiedział Bob Cole - że uważają

to za swego rodzaju pamiątkę.

Marie Zecca przytrzymała się oparcia fotela i obróciła się w stronę męża.

- Słuchaj no, te okropne szczeniaki mordują bezbronne zwierzę, a po drugiej stronie ten cholerny żandarm znęca się nad kobietami i dziećmi. Czy nie możemy nic na to poradzić?

- Jasne - zapewnił Zecca.

Rozdał towarzystwu paszporty i uruchomił silnik, kierując się do wypukłości po stronie tecańskiej. Takie bezprawne prze-kroczenie granicy państwa zwróciło uwagę sierżanta Guardii. Podszedł ku nim wojowniczym krokiem, trzymając rękę na biodrze.

- Buenos tardes, sargente - odezwał się Tom Zecca, ledwo żołnierz stanął przy samochodzie. Wepchnął mu w rękę czerwony paszport. Tamten przejrzał dokument, nie zdejmując lustrzanych okularów przeciwsłonecznych, które w równym stopniu co lśniące buty stanowiły element umundurowania. Przeczytawszy zawartość paszportu, sierżant wyprostował się, stanął na baczność i energicznie zasalutował.

- Señor capitan, bienvenidos a su casa.

Zecca podziękował za miłe przywitanie i odwdzieczył się równie energicznym oddaniem honorów.

- A co z krową? - wyszeptła Marie.

Z miejsca, w którym stali, Holliwel mógł niemal patrzeć w oczy młodym Europejczykom i Amerykanom ze Stanów, którzy próbowali przekroczyć granicę. Wielu - i chłopcy, i dziewczęta - płakali.

- Sierzancie - odezwał się Tom Zecca - wie sierżant jakie są kobiety. Moja żona nie może patrzeć na

tę nieszczęsną krowę. Czy można by coś zrobić w tej sprawie?

Mówił po hiszpańsku pewnie, bez wysiłku, nawet nie próbując zapanować nad silnym, amerykańskim akcentem.

- Capitan - odparł żołnierz, wymieniając z Zeccą uśmiechy - daro que si Podszedł do rowu, po drodze wyciągając z kabury pistolet automatyczny. Stanął okrakiem i trzykrotnie wystrzelił tuż nad głowę najwyższego chłopca. Amerykańska dzieciarnia skuliła się na odgłos wystrzału. Chłopcy rzucili kamienie i rozpierzchli się, przykucnięci, szukając schronienia. Niektórzy skulili się przy drodze - karły o smutnych oczach wyczekujące wrażliwego fotografa - z rękami za głową.

Krowa była tak zdumiona hukiem, że niezręcznym szarpnięciem wyrwała się z drutu, dźwignęła na

nogi i jakoś wyskoczyła z rowu. Wolno podreptała ku autostradzie panamerykańskiej, wymknęła się z blokady klnących compostelskich celników i ruszyła środ-kowym pasem, kierując się ku stolicy.

Zecca pomachał, dziękując sierżantowi.

- Que le vaya bien, capitano - zawołał żołnierz i wrócił do kolejki trzęsących się turystów. Honda i jej

pasażerowie pomknęli naprzód odprowadzani zawistnym spojrzeniem czekających. - Szkoda tych dzieciaków - powiedział Zecca - ale do tego już nie mogę się wtrącać.

- Niemożliwe, żeby wszyscy szmuglowali marychę - odezwał się Holliwell.- Nie, złapał jednego, może dwoje. Resztę wypuści, jak mu się już znudzi ta zabawa.

- Ci gwardziści to świnię. Prawdziwe świnię - włączyła się Marie. - A co się stanie z tymi, których złapał? - chciał wiedzieć Bob Cole.

- Lepiej o tym nie myśleć - odparł Zecca. - Bardzo głupio zrobili, kupując to tutaj. Pewnie wsypał ich

ten sam facio, który im sprzedał towar.

- Nie wiedziałem, że jest pan kapitanem - odezwał się po chwili Holliwell.

- Bo panu nie powiedziałem. Ale jestem. Kapitan armii Stanów Zjednoczonych. Stacjonuję w misji w

San Ysidro.

Bob Cole nie odrywał od niego wzroku.

- Nie czuje się pan trochę jak... - Cole zawiesił głos.

- Trochę jak kto, panie Cole? Czuję się po prostu świetnie. - Zgoda - ustąpił Cole. - Wyobraża sobie

pan - zwrócił się do Holliwella - jak tamte dzieciaki muszą się czuć? Zwłaszcza te wychuchane,

studentki college'u? Stać tam, znosić to traktowanie, czekać cierpliwie, aż te fajdusy przegrzebią cały

bagaż? - Znam to uczucie. Czasem to mi się śni.

- Ale tamto na granicy nie było snem.

- Nie - wtrącił się Zecca. - To był jeden z normalnych, przecięt-nych dni na granicy Tecanu.

W miarę jak jechali na południe, wiatr wzbudzał tumany kurzu, tak że czasem musieli zamykać

okna.

Z każdym kilometrem tereny stawały się coraz bardziej wypalone, coraz mniej żyzne, stada coraz nędzniejsze, kukurydza gorsza i słabsza. Na południowym zachodzie wyrosła sylwetka wulkanu. Na niebie widać było smugi dymu.

- Opowiem wam coś o naszej drogiej Guardii - odezwał się Zecca. - Nasz Caudillo mieszka w stolicy w stu pięćdziesięciopokojowym domu, który zajmuje powierzchnię mniej więcej dwuipółkiłometrowego kwadratu. Za ogrodzeniem rośnie ściana kaktusów. Terenu strzegą owczarki niemieckie, prawdziwe, prosto z Niemiec. Kiedy staruszek je kupował, powiedziano mu, że psy co wieczór muszą dostawać stek, inaczej przestaną być czujne i ostre. Tak więc co wieczór w pałacu pichci się ponad sto steków dla tych bydłat. Najprawdopodobniej same te psy pochtaniają więcej jedzenia niż cała populacja Tecanu. Pewnego ranka El Caudillo wchodzi do gabinetu i cóż tam widzi? Ośmiu gwardzistów, którzy zwykle strzegą pałacu, tkwi na klęczkach przed biurkiem. Komentem pałacu jest kochany młodszy braciszek El Caudillo, Arturo. Arturo wydziera się na żołnierzy, ryczy i tłucze ich ręką bagnetu. Okazuje się, że gwardziści kradli psie steki i wynosili je do domów, dla rodzin. Wściekły Arturo przedstawia ogrom ich zbrodni. Zawiedli zaufanie prezydenta. Zdradzili naród. Okryli hańbą doborową jednostkę. I tak dalej, i tak dalej. Jeden z żołnierzy jest już prawie zakatowany. I oto staje przed nimi złożony problem. Te typki znają wszelkie zabezpieczenia pałacu. Znają wszystkie zakamarki, systemy, wszystko. Tych ludzi nie można po prostu wywalić. Trzeba ich albo zabić, albo im darować. Wśród szlochów i głuchych odgłosów bicia El Hombre przygląda się scenie i duma. W końcu mówi Arturo, żeby dał spokój i puścił żołnierzy. Od tej pory, powiada, wszyscy gwardziści i ich rodziny podobnie jak psy będą dostawać co wieczór stek. Jakoś naciągamy Amerykanów na następną pożyczkę. Żołnierze pełzną do stóp El Hombre, całują go po rękach, liżą buty. Tak oto kupił sobie ich lojalność po kres swych dni. Dla niego zrobią wszystko. Wszyscy z wyjątkiem tego jednego, którego drogi braciszek za bardzo wymłócił. Za mocno dostał, żeby okazać właściwą wdzięczność, więc go zabijają.

Z ust Marie dobył się cichy jęk. Brzmiały w nim strach i odraza.

- Oto Tecan w całej swojej okazałości - powiedziała. - Nie można jednak odmówić temu człowiekowi pewnych zdolności - ciągnął Tom. - Spójrzcie na tę okrutną, ale silną rękę męża stanu. Ten łajdak nie bez powodu tyle lat trzyma się u żłobu. - Był pan kiedyś w pałacu? - spytał Holliwell.

- Claro, mnóstwo razy. Zapraszano nas nawet na przyjęcia. - Przyjęcia - dodała Marie - są po prostu

koszmarne. Przypo-minają filmy o Drakuli, ale nie mają tej klasy.

- Na ostatnim przyjęciu byłem po powrocie z wysp, więc oblażłem. Za mocno się opaliłem i skóra mi

się łuszczyła. I oto podchodzi do mnie Arturo, pijany w sztok, jak to zwykle on. Zdziera mi płat skóry z nosa i wyzywa od cholernego Amerykańca.

- Nie opowiadałeś mi o tym. I co ty na to?

- Co ja na to? Uśmiechnąłem się i zasalutowałem. Czy Arturo jest małą, plugawą, sadystyczną szują?

Czy powinienem rąbnąć go w nos i rozgnieść na miazgę? Claro. Ale ja reprezentuję nasz sztandar, comprende? Na swój sposób jestem przedstawicielem mojego kraju i władzy.

- Dostanie za swoje - powiedziała Marie.

- Nie, moja miła, o ile to będzie w naszej mocy. Bo jeśli tylko to będzie w naszej mocy, zostanie następnym prezydentem.

- Przecież musi być ktoś lepszy niż on - upierał się Holliwell.

- Ktoś do przyjęcia.

- Cóż, Arturo to taka zapchajdziura. Póki władza nie postanowi, co z rym fantem zrobić. Nie zapominaj, że Gruby Frank naprawdę lubi tego faceta. Całą tę rodzinę. Uważa ich za ludzi "w amerykańskim stylu".

- Sam tak powiedział - przyłączyła się Marie. - "W amerykańskim stylu". Bo rozmawiają z nim po angielsku.

- Co to za Gruby Frank? - dopytywał się Holliwell.

- Ambassador Bridges. Niektórzy tak go nazywają.

- Ale nie my - zapewnił Tom.

Bob Cole przyglądał się wzgórzom, które mieli po lewej stronie. U stóp gór kończyła się pustynia i dalej widać już było zielone stoki.

- To kawa - odezwał się po chwili.

Zecca się cieszy, że tamten się odezwał - pomyślał Holliwell.

Milczenie Cole'a sprawiało, że czuł się niezręcznie.

- Zgadza się - potwierdził Tom. - Ponoć dobry gatunek i tania.

Ale skąd ja mogę wiedzieć, jak jest naprawdę?

- To znaczy, że zanoszą się na powstanie - stwierdził Cole.

- Przynajmniej biorąc pod uwagę tutejszą sytuację.

- Doprawdy? - spytał chłodno Cole'a. - A skąd ten pomysł? - Bo z tego, co zdążyłem zaobserwować, ilekroć urośnie tu kawa, kończy się to powstaniem. Ruszają razem.

- Jest w tym ślady prawdy - przyznał Tom.

- I rzeczywiście zanoszą się na powstanie?

- A słyszał pan coś na ten temat? - zapytał Zecca.

- Słyszałem, że tak. Że tutejsi Indianie zbierają się wokół Extremadura.

- Kto tak twierdzi?

Cole popatrzył na kapitana Zeccę z uśmiechem, odsłaniając na chwilę żółtawe zęby.

- W ubiegłym tygodniu była notatka w międzynarodowym wydaniu Miami Herald. Chyba na podstawie doniesienia AP, zdaje się, że korespondenta z San Jose. Musiał ją pan zauważyć. -

Owszem. Może coś w tym być.

- Cóż - oświadczył Cole, wracając do oglądania widoków. - Ja się tam wybieram.

- Na pańskim miejscu bym tego nie robił.

- Nie powinieneś - poparła męża Marie. - Byłam już tam. Na twoim miejscu nie wybierałabym się

tam właśnie teraz. - Robię to, co do mnie należy. Tak jak wy. Tak jak pan Holliwell.

O co mu chodzi? - pomyślał Holliwell. - Co może mieć na myśli? - Jeśli będę wiedział, że pan tam jest - mówił Zecca - będę się o pana niepokoił. Atapowie nie przepadają za obcymi, a bynajmniej nie są tacy spokojni, na jakich wyglądają. Zwłaszcza ostatnio.

- Czy daje mi pan do zrozumienia, że powinienem zgłosić swoją obecność w ambasadzie w San Ysidro?

- Powiadam panu, panie Cole, nie wiem, co panu sugerować.

Najwyżej, żeby pan nie ruszał w góry.

- Rozumiem,

W milczeniu przemierzali piaszczysty płaskowyż. Przed sobą mieli wulkan. Za nim wyrastał drugi, większy. Zdaniem Holliwella wyglądały niczym nieudane góry; tylko jakieś złośliwe bóstwa mogły je zamieszkiwać i tchnąć w nie życie. Wyrastały pojedynczo z bezkształtnej ziemi, nagie, pozbawione harmonii i piękna. Wyglądały dokładnie na to, czym były: zbyteczną naroślą na zakurzonym skrawku Tecanu.

Lekcja geologii - pomyślał sobie Holliwell. - Dowód niespokojnej duszy Ziemi, ślepej siły, śmiertelności. Równie bezmyślne od-rzucenie nadziei co kości i mózgu.

Krajobraz stanowił memento moń, rozciągający się przed nimi widok przypominał gładką powierzchnię martwego oceanu. - Przeróżające - wypowiedział na głos swe myśli Holliwell.

Tom i Marie parsknęli śmiechem.

- A już myśleliśmy, że tylko my tak to odbieramy - powiedziała Marie.

- Tecańczycy są bardzo dumni ze swych wulkanów - zwrócił się Tom do Holliwella. - Umieścili je na fladze i w godle narodo-wym. Mają je rozsiane po całym kraju. Pierwsza rzecz, o jaką spyta cię Tecańczyk, to czy oglądałeś już ich wulkany. - Nie pojmie Tecańczyka, kto nie pojmie wulkanów? - Nigdy nie wyraziłem tego aż tak skomplikowanie. Nie sądzę, żeby tubylcy tak uważali. Wulkany to po prostu coś wielkiego, na co gapią się turyści. Są i są potężne, a do tego wyłącznie ich, tecańskie, więc

Tecańczycy się nimi szczycą. Uważają to za swój obowiązek.

- A co na to wieszcz narodowy? On też przepada za wulkanami?

- Tecańczycy nie mają żadnego wieszca godnego wzmianki. W Tecanie nigdy się nie urodził drugi Ruben Dario. Zresztą nie widzieli takiej potrzeby.

- Ale w hymnie narodowym jest coś o wulkanach - dodała Marie. - Nie pamiętam dokładnie, jak to szło, ale nic szczególnie odkrywczego.

- Początek pierwszej symfonii Brahmsa - powiedział Tom. - To hymn narodowy Tecanu.

Wzruszające jak wszyscy diabli. Za dawnych, dobrych czasów, kiedy jeszcze nie nastąpiła tu piechota morska, tecańscy żołnierze potrafili defilować w rytmie hymnu. Ale piechota wybiła im to z głowy.

Coraz częściej napotykali po drodze autobusy. Coraz częściej też od głównej trasy odchodziły boczne

piaszczyste drogi, przy których stały tablice z nazwami wiosek. Tom zwolnił w obawie przed dziećmi i stadami, które swobodnie przechadzały się po autostradzie. Na zakrętach naciskał klakson, żeby ostrzec wózki zaprzężone w osiołki, których, w miarę jak zbliżali się do stolicy, robiło się coraz więcej. Od czasu do czasu mijali samotnego Indianina uginającego się pod ciężarem drewna. Ludzie wbijali wzrok w ziemię, kiedy przemykał obok nich samochód. - Zastanawiam się tylko - odezwał się nagle Bob Cole tym swoim dziwnym, drżącym głosem - czy ci ludzie muszą żyć właśnie tak a nie inaczej tylko po to, żebyśmy my żyli tak a nie inaczej.

- Jestem tylko żołnierzem - odparł Zecca. - Ale moim zdaniem odpowiedź brzmi: nie. Wydaje mi się to dość proste. - Ale odpowiedź wcale nie jest taka prosta - stwierdziła Marie.

- Jest wręcz ogromnie skomplikowana.

- A co pan o tym sądzi? - zwrócił się Cole do Holliwella. - Jest pan w końcu czymś w rodzaju eksperta w tej materii. Jak pańskim zdaniem brzmi odpowiedź?

- Muszę przyznać, że nie wiem. W mojej ekspertyzie jest mnóstwo luk. Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

- Musimy wierzyć, że ta odpowiedź brzmi: nie, prawda? - spytał Cole. - Inaczej nie moglibyśmy

dalej

tak żyć. Bo jeśli założyć, że większość ludzi na świecie żyje w takiej nędzy tylko dlatego, byśmy my mieli swoje pyszności i dodatkową rację protein, to w jakim świetle by to nas stawiało? Jak byśmy wtedy wyglądali?

- Jak wampiry - odparł Holliwell. - Wyglądalibyśmy jak te wszystkie karykatury z prasy komunistycznej.

- A gdyby pan się przekonał, że to rzeczywiście prawda?

- Ja? To, co robię, nie ma znaczenia. Robiłbym dalej to samo.

- A pan, kapitanie?

Zecca zdjął rękę z kierownicy i obrócił się w stronę Cole'a.

Marie wpatrywała się w drogę.

- Kim pan jest, panie Cole? - zwrócił się do niego. - Jakimś agitatore?

Pytanie rzucił żartobliwie, w jego głosie silniej niż zwykle zabrzmiał włoski akcent.

- Ależ skąd.

Zbliżali się do stolicy Tecanu, San Ysidro. Trasa biegła zakosami w dół, opuścili wreszcie wyżynną pustynię i wjechali na żyzną, porośniętą bujną, tropikalną roślinnością nizinę nad ogromnym jeziorem. Słońce wisało nad niskimi wzgórzami i sylwetki dwóch wulkanów złagodniały, ukazując Holliwellowi bardziej bezpo-średnie zagrożenie. Robiło się późno. Wraz z zapadnięciem zmroku na drogi wkraczały ciężarówki przewożące towary z miasta do miasta - śmiertelne ryzyko.

- Kiedy był pan w Wietnamie - spytał Holliwell Cole'a - co pan tam robił?

W samochodzie zawisła pełna wyczekiwania cisza. Cole wy-glądał, jakby odpowiedź z niego wymuszono.

- Służyłem w wojsku - odparł. - Trzy lata w wojsku, potem przedłużyłem.

- Jak to? - zapytał Zecca.

- Zacząłem w plutonie piechoty jako podporucznik. Potem przeszedłem do wywiadu. A później...

wróciłem. Z oddziałami pomocy humanitarnej. A potem jeszcze raz wróciłem jako niezależny dziennikarz.

- Musiało się panu tam spodobać - stwierdził Zecca.

- W pewnym sensie. Rzeczywiście bardzo to polubiłem.

Kapitan uśmiechnął się lekko.

- Wietnam miał w sobie coś fascynującego. Rodzaj fascynacji duchowej, zgadza się?

- Cóż... - zawahał się Cole. - Tak.

- Doskonale potrafię to zrozumieć. Prawda, Marie? - Jasne. Wielu naszych przyjaciół czuło podobnie. I my w pewnym stopniu też to odczuwaliśmy, przyznasz Tom? - Jasne że tak. A do tego byliśmy wtedy zaręczeni, co dodawało jeszcze więcej barw naszej duchowej fascynacji.

- Ja nigdy nie miałem czasu na zaloty - powiedział Cole. - A szkoda. Ale znalazł pan czas na jebanie?

Czy też nie był pan zainteresowany?

- Typowy seksizm - syknęła Marie. - Rany.

Holliwell spytał Cole'a, czy często bywał w delcie. Owszem.

Bywał na wyspie i poznał Hoa Hao.

- Facet jest teraz w kiciu - oznajmił Tom. - Zamknęli go.

- Jeśli to prawda, to popełnili błąd.

- To prawda - usłyszał swój głos Holliwell. - Nie zamknęli go przez przypadek. Oni wiedzą, co robią.

- Jeszcze jak - stwierdził Zecca.

Cole tylko wzruszył ramionami i mina jeszcze bardziej mu się wydłużyła.

Na stokach nad San Ysidro rosły banany, sprowadzone ze wschodniego wybrzeża. Rozciągające się poniżej białe miasto portowe z braku oceanu zadowalało się jeziorem. Jezioro było dwa razy większe od Lago Azul, ale martwe po czterystu latach niewłaściwego wykorzystywania. Powierzchnię miało ciemną i nie-ruchomą. Zachodzące słońce rzucało na nią ostatnie promienie. Minęli altanę między młodymi drzewkami bananowymi, samotną willę obwieszoną lampionami. Niżej, jakieś dwie mile od

brudnego brzegu jeziora, znajdował się zbiornik otoczony betono-wą ścianą.

- W latach trzydziestych postawili to żołnierze - powiedział Zecca. - Można stąd pić wodę. Jedyna nadająca się do picia woda między El Paso a nie wiem czym.

- Wreszcie jakaś pociecha - wtrąciła Marie. - Nie wszystko co zrobiliśmy okazało się złe.

Cole wiercił się na siedzeniu, wyraźnie cały czas rozmyślał nad tamtymi plantacjami kawy. Holliwell zapalił papierosa. Po wjeździe do miasta autostrada biegła przez jakiś czas wzdłuż jeziora. Po drugiej stronie ulicy stały rozsypujące się, niszczące wiktoriańskie rezydencje, oświetlone przez żelazne latarnie rodem z Paryża końca ubiegłego stulecia. Przejechali niecały kilometr i szosa się skończyła, mieli przed sobą sieć piaszczystych uliczek.

W San Ysidro, podobnie jak we wszystkich miastach położonych nad górskimi jeziorami, zmrok zapadał szybko. Na wyboistych ulicach nagle zrobiło się ciemno, tu i ówdzie świeciła jakaś latarnia, ale życie nie wygasło. Widać było niewyraźne sylwetki ludzi, słyszeć ich rozmowy. Zecca jechał wolno, wychylił głowę, żeby coś widzieć. Szyba była całkiem zakurzona i zapaskudzona szczątkami owadów, które się o nią rozbiły.

Na rogach handlarze sprzedawali z wózków pieczoną kukurydzę, bosonogie rodziny przepychały się pod wilgotnymi ścianami, gotowe się na nich rozpląszczyć, gdyby przejeżdżał jakiś samo-chód. Na skrzyżowaniach, gdzie było nieco więcej światła, stały grupki młodzieńców w jaskrawych koszulach, którzy pili rum, słuchali muzyki albo śpiewali do wtóru gitary. Wszędzie było słyszeć muzykę - ale na ulicach nie panował nastrój świąteczny albo liryczny. Raczej niepokój, jakby gorączka - pomyślał Holli-well. Piosenki nie były melodyjne przypominały raczej melorecyta-cje, kpinę, wywoływały u słuchaczy twardy, pozbawiony radości śmiech. Holliwell nie rozumiał ani słowa z wykrzykiwanego, dziwacznie przekręconego hiszpańskiego Tecańczyków, który rozlegał się w ciemniejących ulicach. On i Cole milczeli, w napięciu chłonąc scenerię.

- Późną nocą - odezwała się Marie - lepiej tu się nie zapuszczać, Holliwell poczuł w powietrzu woń marihuany - pierwszy raz zetknął się z czymś takim w latynoskim mieście w miejscu publicznym. Z

pobliskiej uliczki dobiegło coś, co brzmiało jak krzyk. - Dość ruchliwie jak na tę porę - stwierdził.

Zecca ostrożnie wziął zakręt.

- Tu zawsze jest ruchliwie. Jedna wielka niebezpieczna zabawa.

Ktoś wystrzelił z pistoletu wodnego w okno po stronie Cole'a.

Cole patrzył na strugi brudnej wody spływającej po szybie. - Ej, Cole - podjął Zecca - większość tych ludzi jest z Estre-madura. Gdybyś się tu pokręcił, mógłbyś się sporo dowiedzieć. Oczywiście za dnia.

- Chyba lepiej sobie poradzę tam, na miejscu, nie sądzi pan?

Tutaj czułbym się niezręcznie. Przyciągałbym uwagę. - Wszędzie będzie pan przyciągał uwagę - stwierdził Zecca. Nie wiadomo czy miał na myśli kraj, czy Cole'a.

Holliwellowi rzuciło się w oczy, że po wąskich uliczkach jeździ zdumiewająco dużo samochodów. W większości amerykańskich i to zaledwie kilkuletnich. Minęli otwarte sklepiki pod arkadami i wyjechali na plac katedralny, w którego środku stał monumentalny obelisk. Rondo pochłaniało i wypływało samochody ze sprawnością automatu. Stanowiło przedziwną zbieraninę aut od wozów świetnej marki po gruchoty. Część kierowców w ogóle nie powinna była siadać za kółkiem, inni zamykali oczy i pruli naprzód.

- No to ruszamy - mruknął Zecca i skierował Hondę w sam środek tej kotłowniny.

Marie skuliła się w fotelu i zasłoniła oczy ramieniem. Cole i Holliwell przytrzymywali się sufitu. Zatoczyli pół koła i znaleźli się na szerokiej alei z obu stron otoczonej drzewami, która łączyła plac przed katedrą z innym, widocznym w oddali. Migotały tam neony, otaczały go wysokie oświetlone biurowce. Po jednej stronie ulicy rosły niskie drzewa, oddzielone wysokim płotem od szerokiego, czystego chodnika. Po drugiej stronie było jeszcze więcej zieleni. Widać było tylko czubki drzew, bo gęsty drut kolczasty wzmacniała dodatkowo ściana kaktusów.

- Po prawej - odezwał się Tom Zecca - za drutem, kaktusami i owczarkami niemieckimi znajduje się

siedziba prezydenta. A tam widzicie Park Centralny i ZOO, słynące z trójnogiej krowy. - W parku sypia teraz około dziesięciu tysięcy ludzi. Wiedzie im się o wiele gorzej niż w Mamalago. Ale wokół

pałacu nie uświadczysz chaty bliżej niż na odległość mózdzierza. To my nauczyliśmy prezydenta tej sztuczki. W tym promieniu wszystko kontroluje Guardia. Pęknięcia na tamtym obelisku pochodzą sprzed dziesięciu lat, kiedy miało miejsce trzęsienie ziemi. Miesz-kańcy Mamalago przenieśli się wtedy do parku i niektórzy zostali tam na stałe. Potem z gór przyszło jeszcze więcej ludzi i ci przejęli mieszkania w Mamalago. W Mamalago żyje się ciężko, ale zawsze trochę lepiej niż w parku. Mamalago zaś i park są lepsze niż rudery na zachodnim zboczu. Za dnia zobaczylibyście stąd katedrę i Pałac Kultury, który stoi obok niej.

- Gdzie odbywają się zapasy kartów - dodała Marie.

- A co upamiętnia obelisk? - spytał Cole.

- To samo co zawsze - odparł Zecca. - Wiktorię, niepodległość i zwycięskie zmagania. Tecan zawsze zwycięża. Wygrał nawet w drugiej wojnie światowej.

W mieście panował nieznośny upał bez cienia szansy czy nadziei na podmuch wiatru znad oceanu. Z rozgrzanej ulicy buchał żar. Do gardła wdzierał się dławiący zapach tropikalnych roślin i taniej benzyny. Kiedy mijali wjazd do pałacu, zapachy, budka wartownika, brunatne mundury żołnierzy w hełmach tak bardzo przywodziły Holliwellowi na myśl Wietnam, że był pewien, że pozostałym też. Widok obudził w nim taką mieszankę nostalgii i strachu, że, choć nadal czuł skutki porannego picia, ogarnęła go przemożna chęć wiania w siebie kielicha.

Nikt się nie odezwał.

Kiedy skręcili w uliczkę, Holliwell podświadomie oczekiwał widoku barów z wietnamskim jedzeniem i kina, w którym graliby jakiś mierny film karate. Tymczasem zobaczył sklepy muzyczne i farmacias, ulicznych sprzedawców prażonych orzechów i em-panadas. Miasto zaś pachniało cygarami, kosmetykami i kurzem, a nie sosem rybnym i kadzidełkami.

Mimo to pewne rzeczy były takie same jak tam. Puste spojrzenia, szaleńczy ruch - nawet niedawno wybudowany dworzec auto-busowy miał w sobie coś z tandetnej odmiany art deco śródmieścia Sajgonu. Przed drzwiami dworca tłoczyli się żebracy z pudełkami pełnymi papierosów, gumy do żucia

i owoców, czasem zaś tylko z wyciągniętymi brązowymi dłońmi. Za dworcem zaś będzie targ - tak jak wszędzie: czy w Tecanie, czy w Da Nang, czy w Hue. - Niech mnie pan wysadzi jak najbliżej dworca - powiedział Bob Cole.

- Chyba nie będziesz próbował jechać dziś do Extremadura? - zaprotestowała Marie. - Dotarłbyś

nad ranem. Nie miałbyś gdzie spać.

- W mojej małej czerwonej książeczce jest napisane, że co dwie godziny odjeżdża autobus - odparł Cole. - Pokręcę się trochę po mieście i złapię go.

Kiedy podjechali pod dworzec, i Marie i Tom obrócili się, żeby sprawdzić, czy nikt za nimi nie jedzie.

- Przenocuj u nas - prosiła Marie. Tom potakiwał.

- Nie, dziękuję. Niech pan posłucha - zwrócił się do Zecca - może konsulat powimeń zostać powiadomiony, że przyjechałem. Jeśli tak, to niech pan im powie, dobrze?

- Popelnia pan błąd - powiedział Zecca. - To rada konsulatu.

Mówię teraz w ich imieniu.

- Cóż, to bez znaczenia - stwierdził Cole.

Wysiadł z samochodu i zaczął się przedzierać w stronę dworca.

Natychmiast opadli go żebracy.

- I co ty na to? - odezwała się Marie. - Ten facet oszalał.

Zecca ostrożnie włączył się do ruchu i okrążył dworzec. - Rozstał się z żoną - wyjaśnił Tom. - Zdaje mi się, że coś o tym wspominał.

Na targu za dworcem kupcy zamykali już kramy. W tej części miasta ulice bardzo przypominały ulice nad brzegiem jeziora: to samo błoto, te same wysokie, popękane krawężniki. Takie same ponure grupki, na rogach ulic.

- Kurde, facet zwariował - mówił Zecca. - Posiekają go macze-tami. I lepiej, żeby się nie oddalał od dworca, bo w ogóle nie opuści miasta. Te okolice nie sprzyjają nocnym przechadzkom. Państwo Zecca mieszkali prawie na szczycie wzgórza nieco poza miastem. Ulica składała się z szeregu w miarę

zamożnych domów, przed którymi stały małe murki. Na końcu tej miłej uliczki zaczynały się chaty, oddzielone od niej barykadą z drutu kolczastego, zardzewiałych znaków drogowych i kawałków blachy. Kiedy wprowadzili Hondę do garażu i zaczęli wyjmować bagaże, od jednego końca ulicy do drugiego rozniosło się ujadanie niewi-docznych psów.

W drzwiach czekała na nich uśmiechnięta młoda pokojówka. Wzięła od nich tyle walizek, ile udało jej się udźwignąć, i po-prowadziła ich do salonu.

Dom był nowy, ale przyjemnie i gustownie urządzone w suro-wym stylu kolonialnym. Płytki wyglądały, jakby pochodziły z Hisz-panii, metalowe ćwieki przytrzymywały zwietrzałe dębowe belki na suficie. Belki w Tecanie nie pełniły wyłącznie ozdobnej funkcji: statystyki dotyczące liczby rannych i ofiar śmiertelnych na skutek trzęsień ziemi były tu przerażające. Dom, choć niewielki, sprawiał wrażenie zamożnego, unosił się w nim przyjemny zapach, koja-rzący się z Ameryką.

Marie wyperswadowała służącej podanie im kolacji i wysłała dziewczynę do siebie, żeby sobie pooglądała telewizję. Miała w pokoju telewizor i dzięki temu, że na bieżąco śledziła losy bohaterów amerykańskich oper mydlanych, mogła je potem streszczać rodzinie i w swoim banio cieszyła się opinią zwołanego gawędziarza.

- Możemy wybrać się do restauracji albo ja upichcę coś na-prędce. Jajka na bekonie czy coś w tym stylu.

- Jest tu duży lokal z zadęciem. Parę przecznic od nas, nazywa się La Finca - powiedział Tom Zecca. - Stek w tutejszym wydaniu. Muy autentico. Mnóstwo muzyki i powiewania chustkami. - Jeśli chodzi o mnie, to nie jestem zbyt głodny. Ale mogę się przyłączyć - odparł Holliwell.

- Ja też nie jestem szczególnie głodny. Sam nie wiem czemu.

- Może żadne z nas nie jest głodne - zasugerowała Marie. - Na to wygląda - stwierdził Zecca. - Ale

sądzę, że wszyscy chętnie byśmy się czegoś napili.

Holliwell z wdzięcznością skinął głową.

Postanowili wypić drinka na zewnątrz. Ogródek był maleńki, otoczony murem zasłoniętym przez winorośl i bananowce. Ledwo wystarczało miejsca na zielony metalowy stolik i krzesła. Marie postawiła szklanki i dwa duże miksery, do których nalała tekili, soku cytrynowego i odrobinę likieru pomarańczowego. - Kiedyś - zwróciła się do Holliwella, nalewając margaritę do zmrożonych szklanek - opowiem panu o tym, jak pewnego dnia siedziałam tutaj i na kolanach wylądowała mi ogromna, półtorametrowa iguana.

Tom wziął swoją szklankę.

- A mnie, bodaj by to szlag trafił, przy tym nie było. Byłem w pracy. Mogę to sobie jedynie wyobrazić.

- O ile pamiętam - powiedziała Marie - przyszli policjanci.

Ludzie wypadli na ulicę, omal się nie zdeptując.

Pili w milczeniu. Po chwili Tom przerwał ciszę.

- A co sądzicie o Cole'u? To dopiero podejrzany typ. Holliwellowi wydało się co najmniej dziwne, że kapitan Zecca w jego obecności porusza tę kwestię. Popatrzył na Marie, która siedziała po drugiej stronie stołu i zobaczył, że kobieta smutno potrząsa głową. Może po prostu się odprężali.

- Przypuszczani, że problem leży w tym, za kogo Cole się uważa i co robi - odparł Holliwell.

- Sądzi pan, że uważa się za drugiego Regisa Debraya?

- Nie, za kogoś jeszcze większego.

- Jeszcze większego? - spytał Zecca. - Tam już moja wyobraźnia nie sięga. Ja uważam, że to kolejna ofiara Wietnamu. Wieczny tułacz.

- Tak jak wielu z nas - stwierdził Holliwell.

- Uważa się pan za ofiarę Wietnamu? - spytała Marie. - Nie opisałabym go w ten sposób - zwróciła się do męża. - Może po prostu pochraniony? - podsunął Holliwell. - Każdy kto tam był, ma pochranione - stwierdził Tom, kładąc stopy w skarpetkach na delikatnym stoliku.

Łatwo było go sobie wyobrazić w wytwornym hotelu czy barze, trochę młodszego, ostrzejszego, typowego przedstawiciela drugiego pokolenia emigrantów: twardego, nienasyconego.

- To była bez wątpienia najgłupsza rzecz, jaką my jako kraj kiedykolwiek zrobiliśmy.
- Cóż, od samego początku im to mówiliśmy. Ale kiedy po-słuchali, było już za późno.
- Nie - powiedział Holliwell - mówiliśmy im, ale oni nie słuchali. - Agencja na Rzecz Rozwoju

Międzynarodowego? - chciał wie-dzieć Zecca. - To była pańska przykrywka?

Holliwell zaczął się bać. Tamten źle go zrozumiał.

- To nie była żadna przykrywka - upierał się. - Nie pracowałem w wywiadzie, nawet nie byłem na etacie. Sam pan wie, jak to jest. - Wpatrywał się w swojego drinka. Małżeństwo bacznie mu się przyglądało. - Przychodzili do nas. Ktoś ma dziewczynę w Saj-gonie, chce tam zostać, więc musi to sobie jakoś zorganizować, musi wymyślić raport, byle coś napisać. I co taki antropolog może wiedzieć - więzi rodzinne, powiązanie wuja z siostrzeńcem, młodszego krewniaka ze starszym - wszystko idzie do kosza. Ludzi gównem to obchodzi, może nawet nikt na to nie zerknie. Ale kończy się, wybaczenie określenie, jako współpraca z wywiadem. - Doskonale rozumiemy, co ma pan na myśli - odparła Marie Zecca.

- Nauczył się pan języka? - spytał Tom.
- Podstaw. Nie. Tak naprawdę to w ogóle się nie nauczyłem. Polegałem na kilku tubylcach i rozmawialiśmy przede wszystkim po francusku.

Holliwellowi zaświtała myśl, że większość życia spędził polegając na kilku tubylcach, postępując się lingua franca, krążąc niczym uparty owad na granicach jakiegoś złożonego, starożytnego środo-wiska, którego właściwie nigdy do końca nie zgłębi. Tak wyglądały jego więzi ze światem. A on sam - coraz bardziej i bardziej tracił kontakt z rodziną, którą założył, bękart bez rodziny, bez więzów krwi czy przyjaźni. Człowiek z innej planety, który wiecznie wypytuje życzliwych nieznajomych o charakter ich związków z innymi. - Nie wiem, jak to się stało, że zająłem się badaniem struktury rodzinnej - usłyszał swój głos. Tekila. Zdradziecka. - Tak na-prawdę lubiłem archeologię. Wiecie państwo, ruiny, poszukiwa-nia. Myślę też, że chętnie bym nurkował. Szukał zatopionych galeonów.

- Może jeszcze uda się panu zrealizować to marzenie - powie-działa Marie.

- Rodzina - myślał na głos Holliwell. - Wie pani, to takie dziwne. Właściwie nigdy nie miałem rodziny. A ta, którą założyłem... Chyba sam w nią nie wierzę. Jeśli zaś mowa o rodzinach jako takich, w ogóle nie mam o tym pojęcia.

- Chryste - westchnął Tom Zecca. Był zupełnie odprężony, zadowolony, że ma już za sobą jazdę. - Jeśli wszyscy byli tacy jak pan, nic dziwnego że przegraliśmy wojnę w Wietnamie. Roześmiali się wszyscy troje.

- Nie. - Zecca położył mu dłoń na ramieniu, żeby go uspokoić.

- Żartuję, brachu. Ty jesteś w porządku. Swój gość. - Mam nadzieję, że nasz przyjaciel Cole bezpiecznie dotrze na miejsce. Trochę się o niego niepokoję.

- A co ty o nim sądzisz, Holliwell? - spytał kapitan Zecca.

- Myślisz, że to wtyka?

- Zapewne wie pan o tym więcej niż ja - odparł ostrożnie Holliwell.

- Coś panu powiem, panie Holliwell... Ja nic nie wiem, póki nie przeczytam poczty, tak to tutaj wygląda. Może w jutrzejszej korespondencji znajdzie się jakaś wzmianka na jego temat. A może i jakaś wzmianka o mnie - pomyślał Holliwell. - Cóż - odezwała się Marie - wyobraźcie sobie, jutro już tam będzie. Wśród bandy wściekłych macheteros. Macie pojęcie. - Mamy - odparł Holliwell.

- Biedny, niepotrzebny drań - stwierdził Zecca nalewając sobie trunku. - Sam nie wie, dla kogo pracuje ani po czyjej jest stronie. Nawet jeśli po naszej, nie jest tego pewien na sto procent. Wystarczy zatrudnić takiego typka, a za chwilę ma się podwójnego agenta, najgorszą, najniebezpieczniejszą z kreatur.

- Za to krótko żyją - pocieszyła Marie - to jedno ich łączy.

- To im trzeba przyznać - dodał Zecca.

Marie podsunęła drugi mikser.

- Ale, u licha, tamci ludzie są kompletnie pochrzanieni. Uziemili ich po prostu niewyobraźalnie.

- I nie myśl, że to żarty - oświadczył Zecca. - Od diabli wiedzą ilu pokoleń żywili się ziarnami i

jaszczurkami uprawiając kawę dla łajdaków, którzy rządzą tym krajem. Teraz znaleźliśmy tam miedź i te półgłówki, generałowie, wyrzucają ich z ich ziemi i przysyłają tutaj, żeby albo skonali z głodu albo zebrałi. Nieee, jakie mam prawo oskarżać Cole'a? Tamci ludzie po prostu się bronią.

- Naprawdę? - spytał Holliwell.

- Czy naprawdę walczą? Sam chciałbym wiedzieć. Ponoć powi-nienem. Nie mogę polegać na takich

łachmytach typu Cole'a. Pewnego dnia będę musiał sam ruszyć tyłek i sprawdzić to osobiście. Polecę helikopterem, a oni mają broń, którą natych-miast poznam.

- Nie warto się zamartwiać - powiedziała Marie. - Jeśli tamci ruszą, będą wiedzieli, gdzie nas znaleźć.

Jesteśmy fatalistami. Bo tylko tym człowiek może być. Trzeba być fatalistą. Napoczęli drugą porcję.

- A co pan wie na pewno? - zapytał Holliwell. - Oczywiście, jeśli może mi pan powiedzieć...

- Dobra. W kraju panuje ogólne, zresztą uzasadnione niezado-wolenie z władzy. Wszyscy mają tego

powyżej dziurek w nosie, szczególnie w górach, gdzie mieszkają Atapowie, a Atapowie mają wieloletnią tradycję rabowania i wszczynania zamieszek. Poradzili-by sobie z nowoczesną bronią, ale nie wiemy właściwie czy w ogóle, a jeśli to ile i jaką mają. Jeśli mają, powiedzmy, pociski ziemia-powietrze, El General znalazł się w poważnych tarapatach. Podobnie jeśli mają spory zapas kałasznikowów. Tu, w mieście, każdy w miarę rozsądny i przyzwoity człowiek nienawidzi rządu, ale najprawdopodobniej nic nie robi. Jedyny problem stanowią studenci - w większości bogate dzieciaki. Podzielili się na frakcje: zwolenników Fidela, Trockiego i Mao, stały zestaw. Na wschodnim wybrzeżu powiedzą ci, że czas się zatrzymał, tam nikt nie spodziewa się żadnych kłopotów. Moim zdaniem niesłusznie, bo jeśli gdzieś miałyby wybuchnąć powstanie to tylko tam, nie od strony Pacyfiku. Poza tym tutaj trudno cokolwiek przewieźć samolotem, bo daliśmy im wyjątkowo silne lotnictwo i nauczyliśmy posługiwać się radarem.

- Brzmi dość typowo - stwierdził Holliwell.

- Ale nie jest, niestety. Bo teraz ci kretyni, którzy rządzą tym grajdołem, przez tę aferę z miedzią dali

wszystkim organizacjom antyrządowym wspólny cel. Bezrobocie sięga sześćdziesięciu procent. Po ulicach pałętają się tysiące nastolatków, którzy zajmują się wyłącznie łapaniem tego, co wpadnie pod rękę i oglądaniem filmów karate. Z tych dzieciaków dałoby się zrobić małą armię. Niewyszkoloną, zdezorganizowaną, to pewne. Ale trzeba by najpierw całą tę bandę wystrzelać - wykorzystają ich jako mięso armatnie. El General będzie jeszcze bardziej plugawy w oczach świata. Brzydko. Pozostaje jedno pytanie: czy Guardia pozostanie lojalna? Odpowiedź brzmi: najprawdopodobniej tak. - A kiedy Guardia wkroczy do akcji - udzielimy jej wsparcia? - Panie Holliwel! - zawołał Zecca. - Profesorze! Ustanowiliśmy tutaj ten rząd dla własnej korzyści. Wyszkoliliśmy Guardię. Nasz ambasador uważa prezydenta i jego rodzinę za ludzi "w amerykańskim stylu".

- I jest w tym ziarnko prawdy - stwierdziła Marie Zecca. - Bo ty jesteś komunistką. Śpiewa Guantanamo na przyjęciach w ambasadzie.

- Pod nosem - broniła się Marie. - Gruby Frank i tak by nie rozpoznał melodii, nawet gdyby usłyszał.

- Dobra - podjął Zecca. - Guardia będzie miała amerykańską broń i wsparcie. Wsparcie-będzie ciche

i nieoficjalne, ale będzie. - A co w takim razie powinni robić uczciwi faceci, tacy jak my, kapitanie Zecca?

Zecca odstawił kolejną szklankę koktajlu.

- Już za późno. Za późno, rozumie pan. Będzie ten sam syf co zawsze. Pan i ja, profesorze, my może

coś wiemy o tym kraju. Ale już za późno. Jeśli teraz nie udzielimy im poparcia, niedługo w Puerto Alvarado znajdzie się rosyjska łódź podwodna. A może tym razem będzie to wyrzutnia raketowa? Na miłość boską, widzi pan te pociski lecące nad Dubuque, Kongresem, Białym Domem? - Znowu spieprzone.

- Mnie już tu nie będzie - ciągnął Zecca. - Moja służba tutaj się kończy. Wtedy może przyślą tu typków, którzy bardziej lubią styl tutejszej gwardii. Łowców głów, Kubańczyków, antypowstańcze oddziały, prowokatorów przebranych za powstańców. Facetów którzy lubią salutować bydłakom w

szytych na miarę różowych garniturach.

- A pan gdzie wtedy będzie?

- Nie wiem. Na pewno nie w takim miejscu jak to. Są mi coś dłużni.

- Wcale nie w tym rzecz - wtrąciła Marie. - Wiesz o rym. Nie ma czarnego albo białego. Nie cały czas robimy za czarne charaktery. Tylko dupki tak myślą. Nabożne dupki.

- Nie nazywaj go nabożnym dupkiem - rozkazał kapitan Zecca żonie.

- Nie o nim myślę - powiedziała Marie i Holliwellowi wydawało się, że słyszy w jej głosie łzy. - Nie myślałam o tobie - zapewniła. - Zgadzam się z tobą. Nie miałam nawet na myśli Cole'a, choć on to prawdziwy nabożny dupek.

- Nie można tracić nadziei - podtrzymywał ją na duchu Zecca.

Marie skinęła głową.

- Trzeba.

- Tylko nabożne dupki wierzą, Marie - powiedział Zecca.

- W górę, Tom.

Holliwell wypił margaritę. Wszystko było mówione lekko, po-godnie.

- Powiem coś panu - zwrócił się nagle kapitan do Holliwella. - W Wietnamie spędziłem dwa lata w

wywiadzie. W tym czasie przesłuchiwałem jakichś dwustu więźniów i chieu hois i nigdy, nigdy nie pozwoliłem na tortury. Mówię o każdej formie tor-turowania. Nigdy, ani razu nie zniżyłem się do niczego, co uważałem za okrutne albo niegodne. Wierzy mi pan? - Oczywiście.

- Zawsze protestowałem przeciwko zabijaniu ludności cywilnej, nawet na północy. Nigdy nie podpaliłem chaty i nigdy na to nie pozwalałem. Prowadziłem tę zawsoną wojnę honorowo. Moi ludzie też. Starłem się o to, jak mogłem, a nie było to łatwe, proszę pana. Co więcej, uważałem to za szkaradziejstwo. Obrzydliwe, beznajdziejne szkaradziejstwo. Ze swej natury bezsensowne i nieludzkie. Ale ja - Zecca przyłożył dłoń do serca - ja nie jestem taki. Mogę to głośno oświadczyć.

- To prawda - zawtórowała Marie.

- Nie chwalebę się swoją szlachetnością. Nie twierdę, że jestem dobry. Ale twierdę, że potrafię walczyć z honorem. - Ja też to mogę o sobie powiedzieć - stwierdził Holliwell. - Złożyłem przysięgę. Dotrzymałem jej, do ciężkiej cholery, dotrzymałem jej, nie tracąc szacunku do siebie. To wymaga trochę pracy.

- Oczywiście.

- Dowództwo nie wysłało mnie tutaj, żebym był kapłanem maluczkich, karmił ptaszki czy doglądał reformy rolnej. Wy-słano mnie tutaj, bo ponoć znam ukształtowanie tego kraju z wojskowego punktu widzenia. W sensie obrony międzykon-tyentalnej.

- Oczywiście - powtórzył Holliwell - obrona międzykontynen-talna. I zaczyna pan tracić do siebie szacunek.

- Nie - zaprzeczył szybko Zecca. - Nie w tej sprawie. - Pan daruje, ale czy uważa pan, że będzie mógł dalej piąć się po szczeblach kariery, przenosząc się z jednego sponsorowanego przez Amerykę grajdoła do drugiego, gdzie będzie pan chodził na przyjęcia do elit władzy, doradzał im jak radzić sobie z partyzan-tami, pilnował uzbrojenia, i nie straci pan przy tym szacunku do siebie? Jak na mój gust to brzmi bardzo podejrzanie. - Nie zna pan faktów, szanowny panie - stwierdziła Marie. - Znam wystarczająco wiele. A poza tym wiem to, co mi państwo powiedzieliście.

- Wiem, co pan wie - oświadczył Zecca. Holliwell oparł dłonie na metalowym blacie. Chyba za daleko się posunął. -1 coś panu powiem: modłę się do Boga, żebym był już daleko stąd, kiedy ostatecznie wysiudają tamtych ludzi z nad złóż mineralnych. Zgoda, to tchórzostwo, unikanie odpowiedzialności. Ale trzeba patrzeć w innych kategoriach...

- Szerszej perspektywie.

- Tak, szerszej perspektywie - potwierdził Zecca z ponurym uśmiechem. - Dziękuję panu. Ale pan nie wie, co tu naprawdę się dzieje. Ani Cole. Jemu się wydaje, że wie, ale jest w błędzie. On wie więcej ode mnie, ale ja wiem więcej niż on, nadają pan? - Zdaje się, że jesteśmy z tej samej szkoły.

- Tom i ja chodziliśmy do St. Bonaventure - powiedziała Marie.

- W Olean, w stanie Nowy Jork.

Kapitan Zecca był pijany. Marie też. I Holliwell, ku swej gorzkiej satysfacji, też.

- Przykro mi - oznajmił Holliwell - ale nie akceptuję amerykańskiej obecności tutaj.

- Pewnego dnia - mówił kapitan Zecca - będę pracował u Chińczyków. Pewnego dnia, jeszcze nie wiem gdzie, okoliczności będą sprzyjające i razem z Chińczykami coś zmagaję - nie obchodzi mnie czy to będzie w Afryce, a choćby i w samych Chinach. - Czyż to by nie było wspaniałe - rozmarzyła się Marie. - Jestem pieprzonym maestro przeznaczenia. Moja rodzina jest spokrewniona z Napoleonem. Tak, urządzę się u Chińczyków. - Słyszysz pan? - spytała Marie. - Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że wszyscy troje jesteśmy pijani.

- Zdaję sobie sprawę. Inaczej bym tego nie zniósł.

- Ale, Chryste - ciągnęła Marie z lekkim smutkiem - jak bardzo żałuję, że nie możemy panu ufać. W końcu nawet nie wiemy, kim pan jest, a gadamy o Chińczykach.

- Wiecie, kim jestem i możecie mi ufać. Ja osobiście chętnie rozmawiam o Chińczykach.

- Taa, nadejdzie taki dzień, że armia zbierze do kupy mnie i Chińczyków i razem zrobimy wielkie żółte kuku.

- Weźcie i mnie - zgłosił się Holliwell. - O ile to będzie możliwe.

- Chińczycy istnieją od pięciu milionów lat, masz pojęcie? - podjął kapitan. - Nie wiem, od jak dawna

datuje się mój ród, ale wiem, że Zecców i Chińczyków łączy jedno: wiemy, dokąd zmierza świat. -

Wziął między palce kryształek soli, który osiadł na szklance i roztał. - Znamy cenę soli. Amerykanie o tym zapomnieli, o ile w ogóle kiedykolwiek ją znali. Ale Zeccowie i Chińczycy zawsze będą pamiętali.

Holliwell wzniosł toast ku czci odwiecznej mądrości Zecców i Chińczyków.

- Cole gównno wie. Gruby Frank gównno wie. El General... Cóż, to małpa. Ale pan - zwrócił się do Holliwella - nie wiem, co pan wie. Nie będę próbował się domyślić. Ale sprawy nie układają się tak, jak to sobie ludzie wyobrażają.

Holliwell wzruszył ramionami.

- Wiem, że mój Zbawiciel żyje - powiedział.

Gospodarze przyjrzeni mu się bacznie. Zdanie zabrzmiało zbyt protestancko. Po chwili Tom parsknął śmiechem.

- W ojczyźnie mego dziadka jest takie przysłowie. Na jego rodzinnej wyspie. Jestem przekonany, że takie samo przysłowie mają w Chinach. Brzmi ono tak: "Dobrze jest ufać. Ale jeszcze lepiej nie ufać wcale".

- Salute - zawołała Marie i dopili do końca margaritę.

- Za Sycylię - powiedział Holliwell.

Z twarzy Zecci nagle zniknęła wszelka pogoda. W blasku światła padającego z salonu widać było tylko gęste brwi, które zacięniały oczy oraz wysokie kości policzkowe i duży nos, które zasłaniały ruch

wąskich warg.

___y - Cena soli i dziesięć mąk towarzyszących śmierci. To wszystko, co

naprawdę wiemy.

Marie westchnęła. Holliwell nie ruszył się z miejsca, póki kapitan Zecca nie wstał od stołu. Widywał już takie popijawy w Wietnamie. Często nie kończyły się najlepiej. Zecca coś za często mu "panował".

Zły znak.

- Za miesiąc - odezwał się znowu Zecca, kiedy wstał z żoną i chwiejnym krokiem ruszyli do domu, zaprowadzić Holliwella do gościnnego pokoju - będzie nam potrzebne dwadzieścia baryłek zielonego piwa. Choć patrząc na to, co się tu dzieje, lepiej zaopatrzyć się już teraz.

Pokój, do którego go zaprowadzili, był mały i wygodny, urządzone tak jak cały dom: trochę po mieszczańsku, z odrobiną hiszpańskiej oficjalności. Do sypialni przylegała osobna łazienka. - Zielone piwo! - zawoła Marie.

Wszyscy troje wymienili uścisk dłoni.

- Dobranoc, profesorze - powiedział kapitan. - Wspaniała przejażdżka.

- Naprawdę - dodała Marie.

Holliwell podziękował im wylewnie, z całego serca. Kiedy mył się w maleńkiej, schludnej łazience, bez trudu mógł słyszeć ich rozmowę. Wystarczyło zakręcić kran. Byli w kuchni.

- Dzień świętego Patryka - mówił kapitan Zecca do żony.
- Wypada w marcu.
- Och, żartujesz.
- Jeszcze jak. Muszę namierzyć tego typka, który przefarbuje je na zielono, nie trując przy tym całego oddziału.
- Toż to zupełny idiotyzm.

Holliwell wrócił do pokoju. Usiadł na łóżku. Nadal ich słyszał. - Może jakiś szkop. Muszą mieć z jednego szkopa w niemieckiej gorzelni. Może on będzie wiedział, jak to zrobić.

- Uzna cię za wariata.
- Mam go gdzieś.
- Tom, w rym mieście zabarwią je starymi skarpetami i wilczymi jagodami.
- Znajdziemy szkopa - upierał się kapitan Zecca. - Każemy mu wypić pierwszą baryłkę.

Marie chichotała, kiedy szli do sypialni.

- Zielone tecańskie piwo na dzień świętego Patryka. Koniec świata. Mam nadzieję, że nikt nie będzie miał mi za złe, jeśli pozostanę przy aqua minerale.

Zasypiając Holliwell słyszał jeszcze ich śmiech.

Rozdział dziesiąty

Pabla obudziło skrzeczenie nadmorskich ptaków. Jeszcze zanim się położył, zablokował klamkę oparciem krzesła. Spał na brudnym, sparciłym hamaku w pustym, śmierdzącym pokoju. Mnóstwo olbrzymich karaluchów - rodem wprost z kosz-marnych przywidzeń pijaka - przemykało po brudnej podłodze, przez zamknięte, połamane żaluzje przedzierały się promienie słońca. Pablo wygrzebał się z hamaka i natychmiast połknął tabletkę benzedryny. Na podłodze leżała pusta paczka po tutaj-szych

papierosach; wsypał do niej resztę tabletek i schował do kieszonki koszuli.

Ubrania i całe ciało pokrywał mu pot i brud; nie pamiętał już, kiedy ostatnio porządnie wyszorował zęby. Dla zawsze tak za-dbanego i schludnego Pabla to była prawdziwa męka. Na dole, w kuchence za barem Cecil pichcił refriios.

- Czy ty nigdy nie śpisz, Cecil?

Cecil bez słowa wynurzył się z kuchni i na blat rzucił plastikowy woreczek, w którym znajdowały się paszport i karta twista Pabla. Obok postawił niebieską torbę podróżną, z którą Pablo przyjechał na południe.

- Dwadzieścia - oświadczył Cecil. - Cholernie tanio.

Pablo zapłacił.

- Dworzec autobusowy. Wisz, gdzie jest. Pojedź autobusem do Palmas - tylko żebyś się nie pomylił.

W Palmas idź do portu i tam zobaczysz "Chmurę". Tak się nazywa ta łódź: "Chmura". To twój najnowszy dom.

- Do zobaczenia, Cecil.

- Oby. Oby ci się powiodło. Żebyś wiedział, co ze sobą robić, no i sam wiesz.

- Gównno.

Cecil odprowadził wzrokiem Pabla, który wyszedł ze swoimi bambetlami, po czym wrócił do swoich zajęć.

Autobus do Palmas mijał jedną plantację bananów za drugą. Jedna była otoczona siatką z drutem kolczatym na górze. Na wjeździe widniał znak Coca-Coli z wymiennym środkiem, zo-stawionym przez hojny koncern, by także inna firma mogła w nim umieścić swoje logo. Na tablicy widniał napis: "Coca-Cola - Bien-venidos a-LA COLONIA PENAL".

Autobus zatrzymywał się często i był zapelniony. W tłumie dawało się wypatrzyć kilka kobiet z dziećmi, ale większość pasażerów stanowili mężczyźni z maczetami w skórzanych poch-wach zwisających u boku. Przysłuchując się ich rozmowom, Pablo znowu padł ofiarą swych zwykłych

urojeń. Wyłapywał tylko pojedyncze słowa, nie rozumiał tego miękkiego, niewyraźnego hiszpańskiego, ale uznał, że ci ludzie kpią sobie z niego, te syki i ptasie świergotanie obnażało jego jestestwo. Wydawało mu się to równie oczywiste, jak bezchmurne niebo i zielone zbocza gór. Pablo lekceważył ich złe zamiary; jak zwykle był uzbrojony: na tyłce miał nóż, pod pachą ukryty pistolet auto-matyczny.

Ale pasażerowie autobusu budzili w Pablo jeszcze innego rodzaju uczucia i właśnie tych uczuć nie śmiał dopuścić do głosu. Kiedy uważnym wzrokiem prześlizgiwał się po ludziach stłoczonych wokół niego, odnosił wrażenie, że potrafi przewidzieć każdy uśmiech, każdy gest. Gdzieś w głębi niego mieszkało drugie ja, które znało rytm, gesty, nawet myśli tych ludzi. Zamknięty w tym rozgrzanym pudełku nagle zdał sobie sprawę, że z tymi śniadymi, nierozgarniętymi ludźmi, którymi tak gardził, łączą go więzy krwi, że - choć nie było jej tam wiele - w żyłach matki płynęła ta sama krew, a więc teraz płynie i w jego. Co wcale nie sprawiło, że nagle zaczął myśleć o nich serdeczniej. Palmas okazało się stacją benzynową na końcu brudnej uliczki wiodącej do morza. Pablo wysiadł z autobusu i z torbą na ramieniu ruszył między szeregami nędznych chat w stronę portu. Przystanął przed przystanią, składającą się ze sklepów, kilku winiarni i biura kapitanatu portu. Przy dwóch molach kołysało się parę kutrów długich na siedemdziesiąt, osiemdziesiąt stóp. Pomalowane na jaskrawo mostki kapitańskie, kolorystyką przy-pominały tutejsze autobusy. Nigdzie w zasięgu wzroku nie było widać łodzi, która zgadzałaby się z opisem jachtu Callahanów. Pablo włożył czapkę, z kieszeni marynarki wyjął okulary przeciw-słoneczne i powiódł wzrokiem od jednego końca zatoki do drugiego. Nic tylko kutry. Zszedł z mola, położył torbę na ziemi i oparł się o słupek klnąc pod nosem.

Zza przyciemnionej szyby mostka "Chmury" sylwetce Pabla przyglądali się pan Callahan i Freddy Negus.

- To nasz chłopiec - odezwał się Callahan.

- Do dupy - oświadczył Freddy Negus.

- A co w nim złego? - spytał Callahan.

Callahan pił rum z sodą i widok pracodawcy z drinkiem o tak wczesnej porze sprawiał, że Negus czuł się niezręcznie. - Przyjechał, nie? To zwykły dezert, nic więcej.

Dostrzegł spojrzenie, jakim Negus mierzył jego szklaneczkę i odstawił ją obok echosondy.

- Na miłość boską, czego ty właściwie się spodziewałeś? Bil-ly'ego Budda?

- Najmujesz tych typków, a później ja ich muszę trzymać w ryzach. Wiesz, co, Jack? Mam tego powyżej uszu. Mogliśmy poszukać jakiegoś tubylca.

Callahan ze złością wziął z powrotem drinka.

- Mówiłem ci już chyba, Freddy, że nie życzę sobie do tej roboty żadnych tubylców? Jasno ci to wyjaśniłem. Potrzebuję ludzi, nad którymi mogę zapanować i którzy mnie będą po-trzebowali.

Potrzebny mi facet, który liznął trochę wiedzy tech-nicznej i który jest daleko od domu, tak że nie będzie mógł dać nogi, kiedy coś mu zacznie cuchnąć. Dezert nadaje się jak ulał. Chłopak, który tam stoi, jest po prostu idealny. Wszystko świetnie się ułoży.

- Gdzie te stare, dobre czasy-westchnął Negus. - Przynajmniej człowiek wiedział, w co się pakował.

- Do diabła, Freddy, znasz to od podszewki. Taki stary pirat jak ty.

Chwiejnym krokiem przeszedł nad lukiem i zniknął w kuchni, gdzie nalał sobie kolejnego drinka.

- Może właśnie w tym tkwi problem - powiedział Negus.

- Robimy się za starzy na piratów.

Nie spuszczał wzroku z Pabla, miotającego się po molu.

- Kiedy wróci Deedee? Chcemy odbić dziś wieczorem. - Pojechała do Pico w poszukiwaniu dentysty

- odparł Cal-lahan odmierzając sobie porcję rumu. - Wróci na czas, spokojna głowa.

- Kurwa mać - stwierdził Negus.

Włożył czapkę baseballową i wyszedł na niewielki mostek nad kabiną. Oślepiły go jasne promienie

słońca.

- Ej, ty! - zawołał do Pabla. - Pablo! Chodź-no tu!

Słyszając swoje imię wykrzywane z jednego z tych gównianych kutrów, Pablo wziął torbę i ruszył w

stronę statków. Na mostku największego stał biały mężczyzna w baseballowej czapce. Machał, przywołując Pabla do siebie. Chłopak uznał, że zapewne jacht Callahanów jest przycumowany gdzie indziej. Podejrzał, że w grę będzie wchodziła kontrabanda, ale nie spodziewał się, że okaże się to aż tak skomplikowana akcja.

- Tabor? - spytał mężczyzna, kiedy Pablo zatrzymał się obok kutra. Murzyn, który jaskrawożółtą farbą

malował napisy na dziobie, obrócił się, żeby na niego spojrzeć. Pablo potaknął. - Właż, Tabor.

Pablo wszedł na pokład. Mężczyzna, który go wołał, był wysoki, szczupły, opalony, miał jasnobłękitne, leniwe oczy. Wskazał na mostek nad budką sternika i poprowadził tam Pabla. -

Szukam "Chmury" - wyjaśnił Pablo.

- Właśnie na niej stoisz - stwierdził wysoki mężczyzna.

Z kuchni wynurzył się pan Callahan ze szklanką w ręku.

- Dobra robota - powiedział. - Pojawiłeś się w samą porę. Pablo odwrócił głowę, uciekając przed twardym wejrzeniem wysokiego mężczyzny.

- Jak rany, panie Callahan, mówił pan, że ma statek z motorem.

Nic pan nie wspominał o kutrze.

Ogarnęło go rozczarowanie, czuł się oszukany. Czego innego się spodziewał.

- A widzisz tu wiosła? - spytał wysoki facet. - To jest statek z napędem motorowym.

Pablo obrócił się w jego stronę.

- Bez dwóch zdań.

- W tej właśnie chwili - oświadczył pan Callahan - stajesz się członkiem załogi kutra "Chmura".

Jesteśmy zarejestrowani w Ma-rathon w stanie Floryda. Mamy prawo do połowów na wodach terytorialnych Stanów Zjednoczonych, Meksyku, Belize, Com-posteli i Tecanu. Wszystkie inne pytania muszą poczekać, zgoda? - A co będzie mi pan płacił? - spytał z goryczą Pablo. - Procent od połowu?

- Zdaje się, że to wygląda na pytanie - stwierdził wysoki facet. Pablo znowu na niego spojrział. Sądząc

po akcencie, Pablo uznał, że tamten pochodzi z Bahamów. Hope Town, Spanish Wells czy inna zakazana dziura. Wredny typ.

- Pozwól, że ci przedstawię: pan Negus, mój pierwszy - powiedział Callahan.

Pablo skłonił głowę. Pan Negus miał w ustach kawałek tytoniu. - I spieszę zapewnić, że nie zostałeś

wykorzystany. Gdybyśmy szukali taniego robotnika, moglibyśmy wybierać jak w ulęgawkach. Nie będziesz stratny, ale musisz się podporządkować naszym regułom.

Negus wyglądał na molo.

- Skąd jesteś, synu? - spytał Pabla.

- Z Teksasu.

- Wyłóż swój towar.

Wskazał torbę Pabla i podłogę, na której stali. W tej samej chwili Pablo zauważył, że ścianki przepierzenia są wyłożone ciemną boazerią, a pokład nieskazitelnie czysty. Otworzył torbę, rozłożył swoje zużyte, robocze ubrania i plastikowe torebki. Negus przykucnął, przerzucił rzeczy i natychmiast wyłowił reklamówkę, w której znajdował się paszport i karta turystyczna. Podał je Callahanowi.

- Wszystkich o to prosimy - wyjaśnił pan Callahan. - W obecnych czasach ostrożności nigdy dość.

Przejrzał paszport i kartę, po czym oddał je Pablowi. Negus zabrał portfel Pabla. Były w nim wyłącznie resztki pieniędzy, które mu pozostały. Negus oddał portfel i ruchem dłoni wskazał przepierzenie. Pablo stanął twarzą do ściany, opierając się na dłoniach.

- Przykro mi - uprawiedliwiał się pan Callahan.

Po chwili Negus rzucił na pokład pistolet automatyczny i nóż.

Z ponurą miną przeszukał wszystkie kieszenie Pabla.

- A to ci po co? - spytał pan Callahan.

- Do obrony:

- A jak, u licha - chciał wiedzieć pan Negus - ten łepiek dostał się tu z tym arsenałem? Nie dziwi cię - zwrócił się do Callahana - że mu go nie skonfiskowali?

- Nikt mnie nie przeszukiwał - odparł Pablo. - Przyjechałem do Vizcayi autobusem.

- Autobusem? Ze Stanów?

- Tak, proszę pana. Aż z Matamoros w Meksyku.

Negus westchnął, dając za wygraną.

- Wspomniałem, że tu rządymy się swoimi prawami - powiedział Callahan. - Jeśli - tu ruchem ręki wskazał chaty Pałmas - to ci nie odpowiada, damy ci na bilet powrotny do Vizcayi i rozstaniemy się w zgodzie. A jeśli tak, umawiamy się ostatecznie: nasze prawa i żadnych pytań. Wtedy skorzystasz na tym ogromnie.

- Zgoda - zdecydował Pablo. - Niech będzie, zostaję z wami. - Nie wolno ci trzymać pistoletu na

pokładzie - powiedział Callahan. - Mógłby się przytrafić jakiś wypadek. Do noża nie mam zastrzeżeń.

Negus oddał Pablowi nóż.

- Noż za paskiem, żeby go było widać, marynarzu. - Witaj na pokładzie - oświadczył Callahan, zabierając swojego drinka na rufę.

Przeszedł przez kuchnię i ciemne pomieszczenie, gdzie powinna się znajdować chłodnia, zamykając za sobą drzwi. Pablo wodził wzrokiem od doskonale zaopatrzonego barku w kuchni do przyciemnionej szyby na pomoście sternika. Z przodu pomieszczenia, w którym się znalazł, stał nadajnik Modar UHF i CB. Były też Lorany A i C oraz coś, co wyglądało na radar o zasięgu siedem-dziesięciu ośmiu mil. Sterówka była także wyposażona w nowiutką echosondę. Z zewnątrz "Chmura" sprawiała wrażenie dość czystego, przeciętnego kutra, jednak po wejściu do środka okazywało się, że ma wyposażenie porządnego patrolowca.

- Zakładam - odezwał się pan Negus, patrząc jak Pablo przygląda się elektronicznym urządzeniom - że znasz tego typu sprzęt? - Mniej więcej.

- Znajdziesz tu każdy bajer, w który są wyposażone najnowsze statki. Twoje wielkie zabawki z Teksasu musiały mieć to wszystko.

Pablo nie zaprzeczył. Wyszli na pokład i pan Negus zaprowadził go na rufę. Między grotmasztem a wyprostowanymi salingami zbudowano rodzaj dodatkowego pomieszczenia. Jego wyższa część wystawała nad poziom pokładu i rozszerzała się ku górze. To - uznał Pablo - zapewne miejsce, w którym pan Callaham zniknął ze swoim drinkiem.

Doszedł do wniosku, że pora na spostrzeżenie.

- Nigdy nie widziałem takiego pomieszczenia na teksaskim statku - zwrócił się do pana Negusa.
- Naoglądasz się tego na tutejszych statkach - odparł od niechcienia Negus. - Człowiek potrzebuje więcej miejsca, jeśli bierze ze sobą rodzinę. "Chmura" to dom, rozumiesz, sposób na życie.
- Och - stwierdził tylko Pablo.

Były dwie puste chłodnie ze zdjętymi pokrywami luku. Luk przed nimi prowadził do dusznego pomieszczenia z jedną kają i kilkoma balami sieci do włoka.

- Jeśli chcesz, możesz się jeszcze wypuścić na ląd, ale wyruszymy przed zachodem słońca i wszyscy mają być na miejscu. - Sie wie.

- Kiedy Tino skończy malowanie, da ci buty i inne takie. Oprowadzi cię po statku. Jak już wyruszymy masz przyjść do sterówki, wtedy wyjaśnimy ci to, co powinieneś wiedzieć. - Tak jest - odparł Pablo odruchowo.

Pozostawiony sam sobie w kajucie Pablo zdjął kowbojskie buty i wyciągnął się na koi. Prześcieradła pachniały świeżością, na-trętna woń benzyny sprawiała, że Pablo czuł się właściwie jak w domu. Statek z motorem.

Leżał przez jakiś czas, wsłuchując się w chlupotanie wody o burty statku, odgłosy spokojnego portu. W pewnym momencie na statku zjawiła się kobieta: słyszał, jak mężczyźni wywołują ją ze sterówki. Potem stłumione echo rozmowy tamtych trojga dobiegało przez chłodnie, które oddzielały jego kajutę od ciemnego pomieszczenia.

Późnym popołudniem spojrzął w górę i nad swoim włazem zobaczył ciemnoskórego mężczyznę, który rano malował dziób. Mężczyzna upuścił parę białych kaloszy. W każdym z nich była biała

gumowa rękawiczka.

- Vamonos, muchacho.
- Si - odparł Pablo - Momento.

Stoczył się z koi i włożył parę czystych wełnianych skarpet, wciągnął na nogi kalosze i wcisnął do kieszeni rękawiczki. Murzyn cofnął się, odstawiając właz i podał Pablowi rękę.

- Soy Tino,

Dłoń Tino była szorstka niczym rafa koralowa. Pablo zastana-wiał się, co tamten sądzi o jego delikatnej, wypielęgnowanej ręce. - Pablo.

- Buenos. Usted es noreamericano, no?
- Z Teksasu.
- Tak mi się zdawało.
- Niezła łódź.
- Jasne. Na mojej wyspie nazywamy to dushi.
- A gdzie to jest?
- Sent Just - odparł Tino. - Za parę dni obejrzysz.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Co za rozkosz wyrwać się z tego pieprzonego kraju, powiadam ci.

Pan Callahan - odświeżony, trzeźwy - stał na pokładzie, rozmawiając z Compostelczykiem w eleganckim mundurze mary-narskim. Śmiali się. Pablo zauważył, że wymieniają się kopertami i serdecznie ściskają sobie dłonie. Negus, który opierał się o reling przy sterówce, leniwym krokiem zszedł do Tino i Pabła. - Wygląda na to, że za chwilę odbijamy - powiedział do nich.

- Nie szykować sieci? - spytał Tino. - Nie stawiać salingu? - Mam to gdzieś. Dziś w nocy nie łowimy

i nie musimy odstawiać przedstawienia. Pogoda jest niezła, więc nie będą nam potrzebne amortyzatory. Podnieś kotwicę i ruszamy. Tino ruszył do maszynowni.

- Podoba ci się statek? - spytał Pabła Negus.

- Dushi - odparł Pablo. Negus się nie uśmiechnął.

Rozdział jedenasty

Holliwell wyruszył Rio de la Fe z miasta o nazwie Tapa.

Gościnne małżeństwo przywiozło go tam z San Ysidro. Jeśli nawet w porannej poczcie kapitana Zecci znalazło się coś na Holliwella, niczym mu tego nie okazał. Równocześnie jednak Holliwell odniósł wrażenie, że mówili mniej niż w czasie podróży z Composteli, bardziej panowali nad językiem. W porcie podali mu serdecznie dłonie i zapewnili, że świetnie spędzili ten czas. Holliwella - teraz już zupełnie trzeźwego - ogarnęło dziwne poczucie osamotnienia, kiedy odprowadzał wzrokiem Hondę odjeżdżającą jedyną, błotnistą uliczką Tapy, skręcającą w wyboi-stą, krętą górską drogę, która wiodła do stolicy.

W przewodniku Holliwella polecano tutejszy statek: ponoć zapewniał leniwą wycieczkę, w czasie której można było podziwiać wspaniałe widoki na dolinę rzeki, oglądać indiańskie wioski na wybrzeżu i pomosty, gdzie hacienaderos czekali na pocztę i zamówione w katalogach luksusy ze stolicy. W przeciwieństwie do Composteli Tecan nie miał autostrady, która łączyłaby oba wybrzeża. Transport na osi wschód-zachód odbywał się rzeką. Drogę tę bardzo często przemierzali poszukiwacze złota w połowie dziewiętnastego wieku, dzięki czemu omijali przylądek Horn: uciążliwa, malaryczna podróż w czasach gorączki złota zabiła jedną czwartą mężczyzn, którzy w nią wyruszyli. Teraz rzeką płynęły napędzane silnikami spalinowymi produkty fabryki w Bre-men, a ten, na którego pokładzie znalazł się Holliwell, wyglądał na nowy i stosunkowo dobrze utrzymany. Nie chcąc przysparzać więcej kłopotów gospodarzom, gnany chęcią ucieczki Holliwell wybrał nocny rapido i zarezerwował na nim kabinę. Za ćwierć dolara indiański chłopiec wniósł na pokład bagaż. Kabina okazała się niewielka, ale bardzo czysta. Jedne drewniane drzwi z mosiężną klamką prowadziły na korytarz, drugie na pokład. Prześcieradła na koi były wykrochmalone i nieskazitelnie czyste. Pod sufitem wisiał wiatrak, w wyposażeniu znalazła się też moskitiera, a nawet szklanka i dzbanek agua puriflcada. Holliwell wyjął z

walizki butelkę tutejszego rumu i wlał sobie do szklanki, rozrzedzając wodą. Wypił drinka, odsunął moskitierę, położył się na koi i zasnął.

Rapido, nie rapido, w każdym razie statek w nocy często się zatrzymywał. Tak często, że dwie godziny po zapadnięciu nocy Holliwell nie wytrzymał, wstał, wziął butelkę z rumem i wyszedł na pokład. Noc była pogodna. Wzdłuż rzeki, po obu stronach wznosiły się szczyty gór, zasłaniające księżyc. Jednak w jego odbitym świetle wyraziście rysowały się nagie skały, kamieniste wzgórza, wierzchołki drzew i leniwie płynący nurt. Z lądu dobiegał śpiew nocnych ptaków, nawoływania zwierząt. Ich echo odbijało się od tafli wody. Holliwell usiadł na skrzyni i popatrzył na gwiazdy. Jeśli jego przewodnik mówił prawdę, w dolinie trafiały się jaguary.

Pomosty rozjaśniały zapalone światła jeepów, czasem nagły blask gdzieś z lądu rozcinał ciemności nocy, statek zwalniał, kierował się do brzegu, póki nie znalazł samochodu i czekających ludzi, wokół których krążyły niezliczone ilości ciem. Ich barwne skrzydełka mieniły się tysiącami barw. Przy tym źródle światła Indianie ze statku rzucali cumy, które czekający przywiązywali do zardzewiałego pachoła i ciągnęli, podczas gdy statek dawał całą wstecz. Kiedy wreszcie stał nieruchomo przy brzegu, przy wtórze ryku silnika, nadal pracującego całą wstecz, marynarze wysuwali drewniany pomost do załadunku i uwijając się jak w ukropie wynosili kilkanaście worów i skrzyń. Oczekujący w porcie chłopcy czym prędzej wrzucali je do samochodów. Nie mijano kilka chwil, a było już po wszystkim; cumę odrzucano, statek ruszał pełną parą. Pomost szybko zniknął w mroku dżungli. Niczym teatralna scenografia sugerująca widzowi sen albo czary wróżek.

W indiańskich wioskach wzdłuż Rio de la Fe nie było ani jeepów, ani elektryczności. Ludzie na brzegu zatrzymywali statek machając latarkami i rozładunek odbywał się przy blasku reflek-tora ze statku i ognia rozpalonego przy brzegu. Cummy zaś były owijane wokół słupków. Uściski dłoni i powitania wymieniano w pośpiechu; język, którym posługiwali się rozmówcy, nie przypominał hiszpańskiego. Chłopcy wskakiwali na pokład w zupełnych ciemnościach, rozbiegali się po statku niczym karaluchy,

budzając pasażerów najbliższych kabin i oferując przeróżne towary: ozdóbki, wypchane jaszczurki, żywego węża w słoiku. Holliwell, uwrażliwiony na złodziei, baczny wzrokiem pilnował nie zamkniętych na klucz drzwi swojej kabiny, choć niewiele by się tam dało ukraść. W ostatniej chwili chłopcy wyskakiwali na brzeg koło ogniska i statek dalej wolno płynął w dół rzeki. Co prawda w panujących ciemnościach, rozjaśnianych czasem światełkami i dymem trudno było coś dostrzec, ale Holliwell odniósł wrażenie, że w indiańskich wioskach panuje taka sama nędza i brud jak w slumsach stolicy. Unosił się wokół nich charakterystyczny, gorzkawy zapach nie tyle odchodów, co starej, zakrzepłej krwi. Wioski, choć małe i w zupełnie innej części świata, przypominały mu nieco niektóre północnoamerykańskie miasta: wokół nich nie unosiła się atmosfera zadomowienia, postępu, ale nędzy i rozpacz i to w ogromnym stężeniu. Między postojami Holliwell spacerował po pokładzie, nigdzie nie było widać pasażerów pozostałych kabin. Przez jakiś czas oparty na łokciu stał przy relingu, obserwując marynarzy w sterówce. Sternik, podobnie jak reszta załogi Indianin, w bezkształtnym kapeluszu z wywiniętym na australijską modłę rondem, wpatrywał się w mrok z lekkim uśmiechem. Za nim, w świetle osłoniętej papierowym kloszem lampki, nad mapą pochylał się kapitan: potężny mężczyzna o czerwonej twarzy. W jego żyłach musiało płynąć trochę murzyńskiej krwi, bo włosy miał gęste, kręcone. Ubrany był w czystą, wykrochmaloną białą koszulę i czarny krawat. Mężczyźni nie odzywali się do siebie. Po jakimś czasie komary znowu zagoniły Holliwella do kabiny. Leżał na koi, zasłonięty moskitierą, i palił. Myślał o żonie i córkach, o tym, jak je stracił, choć z nimi został. Teraz też by ich nie opuścił. Kiedyś wierzył, że wszystko należy robić dobrze, wierzył w miłość. Okazało się jednak, że jest coś, czego ktoś taki jak on najwyraźniej nie umie pojąć i ów brak sprawił, że je stracił. W najgorszy możliwy sposób, powolutku, bez krzyku, bez rozpacz.

Taki bieg myśli, owo poczucie straty, można by wytłumaczyć piciem. Alkohol, który wlewał w siebie od początku podróży, stał się już stałym elementem jego procesu przemiany materii. Holliwell był na wpół pijany, prawie pogodzony z losem. Przysypiał. Kiedy znowu wyszedł na pokład już świtało, słońce wstawało nad gęstą dżunglą i łąkami, na których pasły się zwierzęta. Dalej, na zachodzie,

rysowała się ostra linia gór, zwarty masyw, który w świetle poranka uderzał w oczy jasną zielenią. Po kilku minutach dopłynęli do czegoś w rodzaju miasta. Prawdziwej metropolii. Nad czarną plażą, gdzie mewy chwyciły resztki, a z rynsztoków płynęły bystre potoki brudnej cieczy, stały nie malowane, drewniane chaty z dwuspadowymi dachami. Puerto Alvarado.

Kiedy statek przybił do prawego brzegu, Holliwell zobaczył przed sobą ciąg krytych blachą magazynów, przy których stały dwa frachtowce, za nimi zaś rzekę, rozszerzającą się w deltę, a jeszcze dalej niezmiernie przestrzeń jasnozielonych, prawie nieruchomych wód oceanu. W czasie gdy marynarze zawiązywali cumy, Holliwell zajął się swymi wydatkami, potem zebrał bagaże. Chłopcy na pokładzie, który oferowali się, że zniosą jego rzeczy albo wypastują mu buty, posługiwali się angielszczyzną z karaibskim nalotem i zmuszali do patrzenia prosto w oczy. Buty Holliwella i tak lśniły pełnym blaskiem. Próbował przynajmniej patrzeć chłopcom w oczy, ale i wzrok go nie słuchał; rozglądał się po porcie szukając zagrożenia. Najbardziej niepokojącą rzeczą, jaką wypatrzył, byli żołnierze Guardii National: czteroosobowy patrol z oficerem, wokół którego unosiła się woń wody kwiatowej i który mierzył Holliwella nieprzyjaznym wejrzeniem. Parę metrów za patrolem, na początku ulicy, obok jeepa chyba jeszcze z czasów drugiej wojny światowej, stał wysoki, ciemnoskóry mężczyzna w białej koszuli. - Raj? - zagadnął mężczyzna.

- Pięknie - odparł Holliwell.

Mężczyzna pewnym ruchem wyjął Holliwellowi torbę z ręki i umieścił ją w tyle samochodu.

- Chwileczkę - zawołał Holliwell - to jakieś nieporozumienie.

Taksówkarz zmarszczył brwi.

- Co jest, pytałem czy jedziesz do Raju? Powiedziałaś: tak.

- Nie - zaprzeczył Holliwell. - Nie jadę do Raju.

Mężczyzna bez szczególnego pośpiechu związał skrzydła. Holliwell zabrał torbę, żeby nie okazało się, że musi coś zapłacić. Przy brzegu, pod czujnym okiem gwardzistów pokład opuszczali ostatni

Tecańczycy. Wyglądało na to, że nie napatoczył się żaden inny Amerykaniec.

- No to gdzie pan jedziesz? - spytał wysoki mężczyzna.

Holliwell przyjrzał się jemu i jego samochodowi.

- Właściwie... Do biura Islas Airlines. I na lotnisko. - Świetnie - oświadczył kierowca znowu wrzucając bagaże - zawiozę cię do biura.

Holliwell zajął miejsce obok kierowcy i ruszyli. Uliczki przy rzece miały w sobie coś hiszpańskiego. Obłaząca farba na drewnianych domach, blaszane dachy. Równie dobrze mógł być w Kingston albo Belize.

- A co będzie z lotniskiem?

- Nie masz co pan tam dziś jechać. Jutro też nie.

- Jak to? - spytał Holliwell, mocno zaniepokojony.

- Bo Islas mają tylko jeden samolot, który został w Respina i na pewno nie poleci. Muszą ściągnąć jakieś części z San Ysidro. Przywiozą statkiem, jak będzie im się chciało.

- Chryste Panie - jęknął Holliwell.

W miarę jak zbliżali się do centrum miasta, ulice i ich mieszkańcy nabierali coraz bardziej środkowoamerykańskiego charakteru. Po wybrukowanych ulicach chodzili Indianie z opaskami na swoich sombreroach, niosąc zarżnięte indyki i wiązki chrustu. - Gdyby to była moja firma, inaczej bym nią kierował - stwierdził kierowca. - Ale nie jest moja.

- Cóż, chyba i tak sprawdzę w biurze, co mi tam powiedzą.

- Hmmmm. Poczekać?

Holliwell zastanowił się przez moment.

- Nie, niech pan nie czeka. To może chwilę potrwać. Zresztą, może szczęście się do mnie uśmiechnie.

- Tak trzeba myśleć - zgodził się taksówkarz z Raju. - Ja też tak myślę.

Przed drzwiami biura Islas, Holliwell zapłacił żądaną sumę i wziął torbę.

Biuro znajdowało się niedaleko głównego placu miasta, na-przeciwko rządowej szkoły technicznej. Tu

zdecydowanie pana-wała Ameryka w wydaniu hiszpańskim. Wysokie chodniki wyłożone nie

spotykaną już kostką; katedra prześwitująca zza drzew jacaranda pochodziła z co najmniej końca osiemnastego stulecia. Obok niej stał stary budynek z kamienia, mniej więcej z tego samego okresu. Przy wejściu stały patrole gwardii narodowej. Judicia.

Za kontuarem biura linii lotniczych na wysokim stołku barowym siedziała nieruchomo Azjatka. Promieniowała z niej niewy-słowiona melancholia - drugie wcielenie Maszy Kuliginej, której ofiarowano drugie życie na żałobę, choć karma zmieniła jej miejsce urodzenia i narodowość. Holliwell w jednej chwili nabrał pewności, że od tej kobiety nie należy się spodziewać dobrych wieści. Posługując się najbardziej wyszukany i formalnym hiszpańskim, na jaki go było stać, spytał o możliwość dotarcia na wyspy. Odparła - czego zresztą się spodziewał - po angielsku. Sytuacja przedstawiała się mniej więcej tak, jak ją przedstawił kierowca z Raju. Samolot znajdował się w Respinie. Drugi samolot wysłano po części do stolicy, ale jeszcze nie wrócił. Nie ma szans na jakiegokolwiek rozwiązania zastępcze, bo rządowe przepisy dotyczące linii są bardzo surowe. Wyspy i wybrzeże stanowią strefę zmilitaryzowaną i mogą między nimi krążyć wyłącznie samoloty do tego uprawnione. Owszem, na wyspy można się dostać statkiem, ale tylko w środy i soboty, podobnie jak samo-lotem. Statek wyruszył z portu dziś rano. Podróż trwa ponad dziesięć godzin, gdyż statek zawija niemal do każdej z przybrzeż-nych wiosek, zahacza też o wszystkie pięć wysepek. Żeby się nań dostać, trzeba od wczesnego ranka czekać w kolejce w porcie, zawsze jest ogromnie zatłoczony.

- Doskonale mówi pani po angielsku - pochwalił kobietę Holliwell. - Czy zna pani też francuski?

Kobieta popatrzyła na niego ze smutkiem. Z winy jego rozdraż-nienia ta uwaga i pytanie zabrzmiały nieco wyniośle, a dla Wietnamki o tak wysokiej kulturze, jaką bez wątpienia posiadała kobieta, wręcz impertynencko. Dała mu to do zrozumienia i uśmiechnęła się bez cienia radości.

- Oczywiście - odparła.

Oczywiście - pomyślał Holliwell. - Bień sur. Nasze światy już raz się spotkały i oboje to wiemy, prawda?

W każdym razie owa niewielka szansa na wycofanie się z tej imprezy została mu właśnie odebrana.

Teraz zrobi to, co mu polecił Ocampo. Jest tu. Jest tu widziany, jak to ujął Oscar. Rozejrzał się po wyboistych ulicach, zastanawiając się, przez kogóż to jest widziany.

Z walizką w ręku przechadzał się po placu. Przysiadł na zapaskudzonej przez ptaki ławce, pozwalając wesołemu dziewię-ciolatkowi wyczyścić sobie i tak lśniącej buty. Placyk był niewielki i ponury; ludzie, którzy się po nim kręcili, wyglądali bardzo biednie. Za to wnętrze katedry - choć znalazło się w nim kilka niezłych rzeźb santos - stanowiło klasyczny okaz przeładowanego kiczu z bezsensownymi rokokowymi złoceniami i interesującą figurą Chrystusa w trumnie. Kiedy Holliwell skończył inspekcję katedry, poszedł ulicą zamieszkałą przez notariuszy i prawników, wracając do portu rzeczno-

Jeep stał zaparkowany z cienia stanowiska celnika. Kierowca leżał wyciągnięty na przednim siedzeniu, daszek czapki zasłaniał mu twarz. Na pobliskim nabrzeżu trwał załadunek worków kawy na statek. Robotnicy portowi mieli na czołach opaski, a za paskami zatknięte maczety, co nadawało im wygląd piratów. Kierowcę z Raju przebudził gwizd statku wpływającego do portu. Poprawił czapkę i współczująco popatrzył na Holliwella. - No to co? Jedziemy do Raju?

- Na to wygląda. Ile pan bierze za kurs?

- Dziesięć dolarów - odparł tamten. - I nie powiedziałem: pesos, jasne? Powiedziałem: dziesięć dolarów amerykańskich. Holliwell wzruszył ramionami.

- Turyści zawsze twierdzą, że powiedziałem: pesos - ciągnął kierowca, kiedy obaj obrócili się, żeby popatrzeć na wpływający statek. - Nigdy nic takiego nie mówiłem. Dziesięć dolarów. Z portretem pana Jeffersona.

- Zrozumiałem - uspokoił go Holliwell.

Na parowcu było trzech Amerykańców, wszyscy zdążali do Raju. Niski, pulchny, bardzo opalony mężczyzna ze szpakowatą bródką, która optycznie wydłużała tłuste policzki. Jego żona albo dziewczyna - szarawa blondynka o brunatnej, pomarszczonej skórze, której twarz wyglądała jak but, który lada chwila pęknie. Wysoki, rumiany mężczyzna w kapeluszu.

Kierowca wziął od nich bagaże i wszyscy lekko się sobie skłonili.

Holliwell usiadł z tyłu, obok mężczyzny w kapeluszu. - Ralph Heath - przedstawił się sąsiad Holliwella, kiedy ruszyli prostą, zakurzoną drogą wzdłuż rzędu drzew tropikalnych. Mężczyzna trzymał kapelusz na kolanach.

- Frank Holliwell.

- Był tu już pan kiedyś?

Mężczyzna mówił z akcentem brytyjskim, mógł liczyć sobie około pięćdziesięciu lat, miał twardą, bezwzględną twarz. Pił - worki pod oczami stanowiły jedyną miękkość w tej zimnej twarzy, wzdłuż nosa biegły charakterystyczne fioletowe żyłki. -Nie.

- Alvarado to prawdziwa dziura. Ale wybrzeże jest niezłe i o to chodzi. Dla niego warto przyjechać.

- A pan często tu bywa? - spytał Holliwell.

- Raz, dwa razy w roku. Czasem w interesach, czasem dla samego piwa.

- Z Anglii.

- Teraz mieszkam w Miami - odparł Heath. - Od czasu, kiedy nasza firma owocowa połączyła się z waszą. Jest pan Amerykaninem?

- Tak - potaknął Holliwell. Po chwili zawołał, przekrzykując hałas silnika -1 jak się panu podoba Miami?

- Nie narzekam.

Jechali pod baldachimem z gałęzi drzew, które nagle się skończyły, otwierając widok na piaszczyste plaże i aleje palmowe. Piaszczysta droga - po prostu ubity trakt - wiodła wzdłuż brzegu oceanu. W promieniach słońca zapomnieli o ponurej atmosferze Puerto Alvarado.

Podróż wlokła się w nieskończoność. Mijali wioski: drewniane chaty wśród palm, rozciągnięte na palikach sieci suszące się na plaży; barwne łodzie z kabinami, na piracką modłę wyciągnięte na drewniane pomosty stojące za linią przyptywu. Niemal przed każdym domem był mały ogródek, w którym rosły bananowce; leżały tam przewrócone łodzie. Za nimi rozciągały się kilometry żółtych, numerowanych domów spółki owocowej. Grubo ponad połowa wyglądała na nie zamieszkaną.

Jadąc drogą ciągle mijali kobiety z koszykami albo dzbanami na głowach. Od czasu do czasu Holliwellowi mignął na koszu ślad afrykańskiego wzoru albo dzban z indiańskimi rysunkami. Najczęściej jednak były to rzeczy fabryczne, kupione w Alvarado albo od wędrownego sprzedawcy. Między wioskami albo na ich obrzeżach stały zabudowania o nieco kościelnym charakterze, które mogły być misjami. Holliwell rzucił do Heatha luźną uwagę, że te miejsca świetnie się nadają na misje.

- Aż nadto ich tutaj! - odrzyknął Heath. - Skutki dawnej polityki firmy: im więcej tego tałatajstwa, tym lepiej. Teraz tego żałuje.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Bo to banda czerwonych. A czemu by mieli nie być? Nie zarabiają na życie, tak jak pan i

ja. Zakładam, że pan zarabia na życie.

-Jestem wykładowcą.

- Aha - odparł pan Heath i zapadł w milczenie.

- To nie religii ci ludzie potrzebują - oświadczył po pięciu minutach. - Mieli jej powyżej uszu. Tu potrzebna pigułka anty-koncepcyjna. Gdyby wybrzeże zamieszkiwało o połowę mniej ludności, byłiby w świetnej formie.

Heath mówił na cały głos, przyznając kierowcy cnotę niejakej przydatności. Małżeństwo z przodu wierciło się niezręcznie i ob-róciło się zawstydzone.

- Ale kto by wtedy zbierał owoce?

- Ostatnio niewiele tu jest do zbierania. Ostatni urodzaj, połowę normalnego zbioru, mieliśmy tu jakieś dziesięć lat temu. Teraz naszym towarem jest kawa i banany; większość bananów padło ofiarą zarazy. Następnym towarem jest turystyka, a do tego nie trzeba nam tych wszystkich ściągniętych tu Jamajczyków. Wręcz przeciwnie, potrzebujemy ich jak najmniej.

Pasażerowie z przodu zrobili się malutcy. Kierowca położył ramię na oparciu i z niewzruszonym spokojem patrzył na drogę przed sobą.

- Dawniej, kiedy następowało po sobie kilka lat nieurodzaju, robotnicy się buntowali. Dość tego.

Wtedy rozsądną rzeczą byłoby przetransportować ich na wybrzeże Pacyfiku, gdzie żebrzą o ludzi do zbierania owoców. Ale ponieważ to jest rozsądne, ci pobożniacy robią wszystko, co w ich mocy, żeby nam przeszkodzić. Buntują ludzi przeciwko nam i rządowi. To prawdziwi mistrzowie propa-gandy.

- Naprawdę? - spytał Holliwell.

- Rany, jeszcze jak. Tutaj są łagodni i mięciutcy. Istne baranki. Potem jadą za granicę i grzmia, że trzeba krwi i rewolucji. Wie pan, mają potężnych przyjaciół i wykorzystują ich do ostatniej kropli krwi. Godność człowieka - oświadczył z goryczą Heath. - W moim rozumieniu człowiek albo ją ma, albo nie. Nie da mu się jej załatwić. Nie można mu jej przysłać w paczce. - Właściwie nie znam sytuacji - odkrzyknął Holliwell. - Nie mogę się wypowiadać.

- To nic - odparł Heath. - Nie pan jeden.

Hotel Raj nie był ani tak niebiański, ani tak banalny, jak by się należało spodziewać po nazwie. Składało się nań sporo drewnianych domków położonych w ogrodzie. Niedaleko domków stało coś, co wyglądało na zużyty hangar lotniczy, a co po bliższej obserwacji okazywało się jadalnią z tarasem z widokiem na morze. W miejscu, gdzie normalnie trzymało się narzędzia, znajdowała się kuchnia i bar w kształcie rogalika. Między nim a stolikami umieszczono szafę grającą, zabytek z lat czterdziestych, z której dudniła aranżacja El Rancho Grandę w wykonaniu Freddy'ego Fendera, odbijając się od ścian hangaru i betonowej podłogi. Nad brzegiem oceanu widać było małą przystań z kilkoma łodziami z wymalowanymi numerami i chatę nurka. Żaden raj, ale dość miłe miejsce. W domku-recepcji wyniosła Hiszpanka spisała dane gości i dała im klucze do domków. Holliwell postawił torbę i wziął zimny prysznic - ciepłego nie było. Przebrawszy się, nalał sobie drinka i wyszedł na zewnątrz, żeby posiedzieć w cieniu powoju. Kiedy tak siedział, z baru wyszedł ciemnoskóry młodzieniec, który popijał tam piwko z kie-rowcą i spytał Holliwella czy nie miałby ochoty ponurkować. Holliwell popatrzył na chłopaka i na spokojny ocean. Pytanie wzbudziło w nim dreszcz lęku, a równocześnie tęsknotę za głębinami, za ukojeniem i zapomnieniem, które dawało niebieskawe światło docierające dwadzieścia metrów poniżej poziomu wody. - Dawno tego nie robiłem - powiedział.

- Jeśli pan chce, możemy rano zrobić sobie próbę. Przypomnienie dawnych czasów. Ma pan uprawnienia?

- Tak - odparł Holliwell.

Dzieciak wygląda na godnego zaufania - pomyślał. Przed oczami zamajaczyły mu obrazy podwodnego

świata: kolorowe wargaczo-wate, srebrzysta barrakuda. Skoro już jest jak jest, to czemu nie? Chłopak dał mu kartę z cennikiem sprzętu. Holliwell schował ją do kieszeni. Kiedy tamten odszedł w stronę budki, z hangaru wynurzył się Ralph Heath ze szklaneczką białego rumu w ręku. - Ponurkowałoby się, co?

- Właśnie się nad tym zastanawiam. Dawno już tego nie robiłem.

- Ani ja. Uderzyłem się w głowę w Bogocie osiem lat temu i od tamtej pory nie mogę nurkować.

Pozostaje mi marzyć. - Nurkował pan kiedyś w tych wodach?

- O, tak. Tu, na Jamajce. Malcie. Yap w Oceanii. Bardzo to lubiłem.

- Jak to się stało, że się pan uderzył? - spytał Holliwell. - Wypadek - odparł Heath. - Wie pan co?

Playa Tatę to dobre miejsce do nurkowania. Jakies sześć mil na południe stąd. W pobliżu zatoki jest tam rafa koralowa, która nagle opada na jakies trzy czwarte mili w głąb. Regularna ściana, ciarki człowieka przechodzą, ale warto. Wielki Kanion.

- Dużo rekinów? - spytał pokornie Holliwell. Nie wypadało stawiać takiego pytania.

220óż, w końcu jesteśmy we wschodniej części Morza Karaib-skiego. Tu i ówdzie można się natknąć na rekina.

- Chyba tak - odparł Holliwell.

- Inne niezłe miejsce jest w pobliżu. Niedaleko misji amerykań-skich katolików. Tam rafa zaczyna się

jakies osiem stóp pod wodą, opada do czterdziestu, wyrównuje się i ciągnie na jakąś milę. Tam też niezłe można sobie ponurkować.

- A jak wygląda zaopatrzenie tego sklepu?

- Całkiem nieźle, trzeba przyznać. Sandy to dobry chłopak.

Nurkowałem z jego ojcem jakieś dziesięć lat temu. Miła rodzina.

O głowę przerastają wszystkich innych w okolicy.

- Chyba się pokręcę po okolicy - powiedział Holliwell. - Do Sandy'ego zajrzę rano.

- Gwarantuję ci udaną zabawę, Holliwell - zapewnił Heath.

Rozdział dwunasty

Pablo opierał się leniwie o reling patrząc jak odbijają od brzegu. Gumowe rękawiczki nadal siedziały w

jego kieszeni. Coraz bardziej doskwierał mu brak kąpeli i żałował, że nie spytał o to, kiedy jeszcze statek stał w porcie. Choć, skoro na pokładzie jest kobieta - dumął - "Chmura" musi mieć gdzieś kibel i prysznic.

Spytać nie zawadzi - postanowił wreszcie. - Może jest dość wody z parnika albo mają gdzieś zapasy słodkiej. W końcu wygląda na to, że wszystko inne mają.

Podszedł do sterówki i wsadził głowę przez luk. Negus i Callahan siedzieli na krzesłach.

- Jeśli nie będę teraz potrzebny, a jest trochę wody, to czy mógłbym wziąć prysznic? Już od dłuższego

czasu się nie myłem ani nie goliłem.

Negus powiódł wzrokiem od Pabla do Callahana.

- Wystarczy - oświadczył Callahan. - Zaraz za kuchnią. Zapukaj. Pablo wrócił do kajuty, wziął czyste ubrania i zestaw do mycia, po czym ruszył do kuchni. Rzeczywiście, znalazł drzwi do ciemnego pomieszczenia, w którym przedtem zniknął pan Callahan ze swoim drinkiem. Zastukał dwa razy.

- Chwilę! - usłyszał głos pani Callahan.

- Przepraszam.

- Można wejść.

Otworzył drzwi w tej samej chwili, kiedy Tino zdjął pokrywy, które od zewnątrz zasłaniały okna

pomieszczenia. Światło zalało pokój i Pablo zauważył, że kabina jest wyłożona tą samą ciemną boazerią co przejście, że stoi w niej szeszlony i kapitańskie fotele zarzucone kolorowymi poduszkami, a nawet i szafka z książkami. Na środku zaś okrągły stolik z metalowymi świecami, które przytwierdzały elektryczny wentylator. Obok zapalanej lampki, w jednym z foteli siedziała pani Callahan z książką na kolanach. - Na prawo, Pablo - zwróciła się do chłopaka. Dokładniej zastoniła szlafrokiem opalone uda.

Tylko to ma na sobie - przemknęła mu myśl.

- Postaram się nie wychłapać całej wody.

W kieszeni szlafroka pani Callahan Pablo wypatrzył butelkę z proszkami. Lekka opuchlizna na policzkach i wokół szczęki zniekształcała jej patrycjuszowskie rysy twarzy.

- Tak, proszę - odparła pani Callahan.

Pablo zafundował sobie kupę, prysznic i golenie. Nękały go grzeszne myśli. Mydląc się, nucił:

I ride an old paint

I ride an old dan

Vm going to Montana Jor to have a hooly-an.

Woda była ciepła, pompowało się ją ręcznie z przegrzanej rury. Pablo golił się wolno, rozkoszując się

każdą chwilą. Jedną ręką przytrzymywał się uchwyty przy lustrze i kiwał się w rytm kołysania statku, nie przestając śpiewać.

Kiedy wyszedł, pani Callahan przyjrzała mu się, opierając głowę na łokciu, dłonią zasłaniając usta. Kiedy ją cofnęła, zobaczył, że kobieta się uśmiecha.

- Grasz na gitarze? - spytała.

- Nie - odparł Pablo, który poczuł się odtrącony.

- Prawdziwa szkoda.

Wyszedł z eleganckiej kajuty. Pod pachą trzymał brudne ubrania i zestaw do mycia. Wychylił się na pokład. Wiał lekki zachodni wiatr, który marszczył falę, na horyzoncie majaczyła linia chmur, niemal

różowa w zapadającym zmierzchu.

Ta dziwa uważa mnie za zabawnego - mówił do siebie. - Ma mnie, kurwa, za zabawkę.

Tino sprawdzał linkę przy sieciach, kiedy Pablo wrzucał rzeczy

do swojej kajuty,

- Callahan zawsze bierze ze sobą swoją panią?

- Na ogół tak.

Zwykle nie rozmawiał z ciemnoskórymi o białych kobietach, ale złość i pożądanie sprawiło, że musiał

się rozładować. - Puszczą się?

- Przyczepny motor pomocniczy - powiedział Tino, ruchem głowy wskazując kadłub dodatkowego silnika. Pablo patrzył, jak tamten upuszcza linkę na pokład i podchodzi do skrzyni. - Możesz go obsługiwać stąd albo ze sterówki. Możesz wyciągnąć ręką albo, jeśli trzeba, windą.

Pablo utkwiał wzrok w wysokim autochtonie i oparł się o po-stawiony róg salingu. Znowu go robiono w konia. Widział, jak oczy tamtego twardnieją, i przypomniała mu się jego szorstka ręka.

- Dziś w nocy nie łowimy - powiedział Tino - ale mówię ci od razu na wszelki wypadek. A tam - ruchem ręki wskazał zwiniętą mniejszą sieć opartą o reling - tam jest włok. Wyciągamy go co jakieś pół godziny, albo kiedy nam się zechce. Łowiłeś już kiedyś krewetki?

Pablo tylko się w niego wpatrywał.

- W takim razie - ciągnął Tino, wytrzymując jego spojrzenie - lepiej ci powiem, żebyś wiedział, co robić. Trza wiedzieć, co się robi.

- Czyżby? - spytał Pablo.

- Wierz mi - odparł Tino i znowu wziął linkę.

- To naprawdę miło z twojej strony, Tino.

- Para sewirte - powiedział tamten cicho.

Przez następne dwa dni "Chmura" płynęła wzdłuż przesmyku. Na ogół trzymali się z dala od lądu, krążąc po wodach Basenu Jukatańskiego. Pablo przyglądał się i słuchał, starał się być użyteczny i

zachowywał wszystko dla siebie. Przypominało to jazdę próbną; sprawdzali urządzenia elektroniczne, silniki pomocnicze; snuli plany, do których Pablo nie był dopuszczany. A przede wszystkim, co sobie w pewnym momencie uświadomił, obserwowali właśnie jego. Tino, Negus, oboje Callahanowie od czasu do czasu wszczynali z nim krótkie pogawędki, różne, zależnie od stylu każdego z nich. Pablo starał się być miły, nie okazywać ciekawości, za to błyskać wiedzą w drobnych kwestiach. Na jakiś czas dopuszczono go do steru, wymienił część w radarze i opalał się na luku. Raz, kiedy zarzucili kotwicę w Gracias a Dios, pochlapał się w wodzie i utwierdził w przekonaniu, że wpadł w oko pani Callahan. Kąpiel w morzu pozwoliła mu też przyjrzeć się z bliska napędowi statku; choć nie znał się na tym dokładnie, widział, że "Chmura" bynajmniej nie była tym, za co próbowała uchodzić. Posiadała na przykład to, co w Straży nazywano fałszywą linią. Z pozoru, nawet przy bliższych oględzinach z lądu, statek wyglądał na zwykły kuter do połowu krewetek, ale okazało się, że kształt łodzi nieco poprawiono tak, by po uruchomieniu silników spalinowych była zdolna do rozwinięcia niewiarygodnej prędkości. Kontrabanda, tak jak przypuszczał.

Rankiem trzeciego dnia odbili z Palmas i cała czwórka z wyjątkiem Tino upiła się w trupa. To nieumiarkowanie zaniepokoiło Pabla, który uważał, że ludzie interesu tak nie robią. Dużo też palili trawki, próbowali i jemu ją wcisnąć. Pablo poprzestawał na trzech tabletkach benzendryny dziennie i marihuana go nie interesowała. Kręciło mu się po niej w głowie. Zamajaczyła mu niewyraźna myśl; że w pewnym momencie może tę beztroskę i brak dyscypliny wykorzystać dla swoich celów. Ale na razie był zadowolony.

Tego samego dnia po sjeście cała czwórka odbyła konferencję w wytwornym saloniku. Pabla nie zaproszono. Już wcześniej odkrył, że stojąc w bliższej chłodni można bez trudu podsłuchać, o czym się rozmawia w dalszej części przepierzenia. Miał jednak dość rozsądku, by tę wiedzę zachować na później.

Kiedy popołudnie przeszło w wieczór, a jego nie wezwano, nabrał pewności, że są z niego zadowoleni. Wieczorem on i Tino podnieśli kotwicę i opuścili stabilizatory. Pani Callahan sprzątała w

kuchni. Wyglądało na to, że został przyjęty.

CZĘŚĆ DRÓGA

Rozdział trzynasty

Od czasu kiedy losy miasta spowodowały upadek dzielnic nad jeziorem, najwyżej cenioną częścią stolicy Tecanu stały się zachodnie wzgórza, na jedynym stoku, którego jeszcze nie zaanektowali bezprawni osadnicy. Większość ambasad nadal miała swe siedziby w Malecon nad jeziorem, ale wiele przeniosło się wyżej; właśnie w tej części stolicy państwo Zecca mieszkali w swoim przyjemnym domku.

Część miasta położona na stoku zawsze była nazywana Buenos Aires. W jej środkowej części, kwadracie długości mniej więcej pół kilometra, gdzie niegdyś rozwijało się osiedle kolonialne zniszczone przez liczne trzęsienia ziemi, znajdowały się ruiny baro-kowego kościoła, budynku z kolumnami - dawnego teatru, rynku albo pałacu Inkwizytora, różne źródła różnie go określały. Teraz mieściło się tam wyłącznie targowisko i zapewne zawsze tak było. Dalsze ulice Buenos Aires, między zabytkowym centrum a no-wymi dzielnicami willowymi, zostały zaprojektowane pod koniec ubiegłego wieku przez grupkę ludzi, którzy raz, może dwa, byli w Paryżu i zapamiętali go mile, choć niezbyt dokładnie. Każdy zagraniczny turysta, zdążający do dzielnicy Buenos Aires skuszo-ny obietnicą obejrzenia środkowoamerykańskiego Montparnas-se, pozbędzie się złudzeń równie szybko, jak ktoś, kto zabłądził między teatralne dekoracje La Bohemę. Choć trzeba przyznać, że tu i ówdzie między żebrakami i indiańskimi handlarzami błyskała latarnia, szary kamień renesansowej budowli, mansarda, która mogła przez ułamek sekundy dać namiastkę nie istniejącego już miasta światła. Wysoko urodzeni odpowiedzialni za ten skromny gabinet luster żyli we własnym świetle, pogrążeni w melancholii. Ale przecież byli też i wielkimi marzycielami, więc nikt nie mógł do końca powiedzieć, do jakiego stopnia w okresie prosperity i hojnych pożyczek zagranicznych zamierzali zrealizować swe

marzenia. Ich największe osiągnięcia zostały skażone przez dzielnicę biedoty. Buenos Aires, podobnie jak Paris de Thiers, zostało szybko porzucone. Ale dzięki ostatniej historii ta dzielnica miasta skuteczniej podtrzymywała owe wątle złudzenia. Z osadnikami, którzy samowolnie próbowali zająć część pustych budynków, gwardziści rozprawiali się bezwzględnie, czasem nawet zabijali, co świadczyło o tym, że grupka przedstawicieli obecnej władzy, ci którym mniej niż wszystkim dokoła imponowały Houston i Atlan-ta, nadal żywi sentyment do tej dzielnicy.

Obecnie znajdowało się tam sporo domów należących do Kościoła, biura mniej ważnych urzędów państwowych oraz siedzi-by firm. Kilka budynków zajmował Uniwersytet Narodu, poza tym odnosiło się wrażenie, że mieści się tam też mnóstwo szkół obcojęzycznych, oferujących także pokoje, które reklamowały się w zagranicznych firmach turystycznych. Na szczycie zbocza rodzina prezydenta stawiała nowy hotel.

Pewnego zimowego poranka, zaraz po tym, jak zaświeciły pierw-sze promienie słońca i zanim upał ciężką czapą przygniółł miasto nad wodą, zboczem, między szarymi, kamiennymi budynkami schodziła młoda dziewczyna w dżinsach i czystej białej bluzce. Nuciła pod nosem, w rękę trzymała plastikową torbę z książkami. Niewątpliwie była studentką. Książki, pogodny nastrój, pasowały do otoczenia i podkreślały europejski charakter dzielnicy. Dziewczyna właśnie miała wejść do jednego z kamiennych budynków w połowie zbocza, kiedy poślizgnęła się na mar-murowym schodku. Próbowwała złapać równowagę, ale książki rozsypały się po chodniku. Kiedy się schyliła, żeby je zebrać, podniosła wzrok i zobaczyła starszego mężczyznę w lekkim włoskim garniturze, który zbliżał się, chcąc jej pomóc. Mężczyzna wysiadł z Fiata, który właśnie zatrzymał się w wąskiej uliczce. Ledwo zatrzaskał za sobą drzwiczki, samochód ruszył dalej.

Mężczyzna był elegancko ubrany, wyglądał na wykładowcę. Szybko zebrał rozrzucone książki studentki. Uśmiechnął się i powiedział coś cicho, uspokajając zmieszaną dziewczynę. To była czarująca scenka, zupełnie odmienna od złośliwości i okrucieństwa, którymi zwykle tętniły ulice San Ysidro. Studentka i wykładowca wyglądali dokładnie tak jak powinni wyglądać ludzie, dla których

wybudowano Malecon i Buenos Aires. - Cóż za okazja - mówił starszy pan. - W czasach mej młodości właśnie w ten sposób można było zawrzeć znajomość z jakąś ładną studentką.

- I nadal można - odparła pogodnie dziewczyna.

Miała jasną cerę, choć teraz akurat sponiła się, słysząc komplement. Pociągnęła, ładna twarz, figura może nieco za krępa do dzinsów. Starszy pan wziął książki studentki i oboje weszli do budynku, przed którym przytrafił się ten drobny wypadek. Wytar-ta mosiężna tabliczka na drzwiach głosiła, że tu właśnie mieści się siedziba Braci Chrześcijan.

Wspinali się po zakurzonych schodach, aż doszli do nieskazitel-nego korytarza. Okna z dwóch stron miały koronkowe firanki. Czekał na nich brat, Europejczyk. Grzecznie spytał o nazwiska i powiedział, że na ich seminarium została zarezerwowana sala numer pięć. Ściany korytarza były tynkowane, kroki odbijały się echem po drewnianej podłodze. W sali numer pięć wokół lśniącego okrągłego stołu siedziało pięciu mężczyzn. Na widok starszego pana wstali; odnosiło się wrażenie, jakby się ku niemu wyciągali, chcieli go dotknąć. Był dla nich źródłem szczęścia. - Compañeros - przywitał ich starszy pan - salud.

To lapidarne, godne powitanie przywołało ich do porządku.

Opadli na krzesła.

Z dwornym uśmiechem odłożył książki na wypolerowany stół i wyciągnął rękę do młodej dziewczyny.

- Nazywam się Aguirre - powiedział.

Dziewczyna podała mu rękę i uścisnęła. Jej wypadek tak naprawdę był sygnałem, że droga wolna.

- Już raz się spotkaliśmy, Don Sebastian, ale pan na pewno mnie nie zapamiętał. Kiedy pan zniknął, wszyscy się baliśmy, że... że nigdy więcej pana nie zobaczymy.

- Ale oto wróciłem - odparł Aguirre. -1 dla ciebie, compañera, nie jestem Don Sebastianem.

Wszyscy obecni się uśmiechali. Sam Aguirre nie czuł się najlepiej i był straszliwie zmęczony. Przez ostatnie tygodnie odwiedzał zagranicznych przyjaciół w różnych krajach, przemierzył nawet Atlantyk

w drodze z Pragi, co nieodmiennie go wycieńczało. W Pradze, oprócz załatwiania właściwych interesów, spotykał się ze swoimi starymi przyjaciółmi z czasów wojny hiszpańskiej. Siedzieli do późna w nocy, wskrzeszając przeszłość, rzadko rozmawiając o przyszłości. Ich nostalgia odbierała mu odwagę i wyczerpywała. Do tego, ku swemu bólowi, stwierdził, że wielu starych towarzyszy broni - braci i więcej niż braci z owych strasznych dni obrony miasta uniwersyteckiego - po prostu go nudzi. A jeszcze bardziej go przygnębiało, że właśnie owo wypalenie tak wielu starych przyjaciół stało się przyczyną trudności w nawiązywaniu kontaktów z młodymi. Na szczęście było ich niewiele, ale napawały go lękiem. Dworne zachowanie miało ukrywać niecierpliwość, jaką budziła w nim ich pusta nostalgia, retoryka rodem z dyskotek, beztroska i bezmyślna cyganeria. Ta sama dworność miała mu pomóc i teraz, bowiem obecni w sali numer pięć niewiele mieli mu do powiedzenia mimo jego trzyletniej nieobecności w Tecanie. Niecierpliwie wyczekiwał działania, konkretnych informacji, które uzupełnią jego założenia strategiczne, które wreszcie pchną sprawy naprzód. Tylko jedna osoba w tym pokoju mogła mu dostarczyć tego, czego potrzebował, a on musiał czekać - dobrotliwie, zgodnie z zasadami bontonu - póki nie zacznie się właściwa rozmowa.

Udając, że słucha raportu młodej comrade Rodo, która opowiadała o sytuacji studentów w stolicy, starał się optymalnie wykorzystać czas i w twarzach otaczających go mężczyzn, w ich gestach, zachowaniu wyczytać, co się z nimi działo przez te trzy lata, kiedy nie było go w Tecanie. Oczywiście, oni robili dokładnie to samo, starając się przeniknąć jego. Koncentracja, która pozornie skupiała się na wystąpieniu Rodo, przerzucającej zaszyfrowane notatki, była maksymalna.

Naprzeciwko Aguirre'a siedział Indianin z plemienia Atapa o imieniu a la Torre. Wyższy i bardziej barczysty niż większość współplemieńców, poza tym stanowił klasyczny okaz Indianina Atapa. Atapowie przypominali nieco Malajów, nawet ich sztuka zatrącała nieco o sztukę południowo-wschodniej Azji. Kiedy Hiszpanie podbijali Amerykę, uważali Atapów za łagodnie nastawionych, choć w okresie poprzedzającym zdobycie niepodległości przekonali się, jak bardzo się mylili.

Sam a la Torre był właścicielem niewielkiego kawałka ziemi i choć nie zasługiwał na miano okrutnika,

bali się go tak samo Indianie, jak i biali. I to niezależnie od tego, czy był pijany czy trzeźwy. W Rosji określono by go mianem kułaka, ale tamte podziały społeczne nie przenosiły się dobrze na grunt Tecanu. I przedstawiciele władzy zatroskani o własność surowców mineralnych, i ultrapravicowi fanatycy, nie raz dokonywali zamachów na życie a la Torre. Żaden się nie powiódł, a często kończyły się śmiercią zamachowców. A la Torre był niekwestionowanym przywódcą Atapów z południa, mimo - a może właśnie dlatego - że jego życie tak bardzo się różniło od ich. W młodości pod wpływem misjonarzy z Północnej Ameryki przyłączył się do adwentystów, ale jego entuzjazm w głoszeniu ewangelii ulotnił się po dwóch latach nauki w Krajowym College'u Technicznym. Wyglądało na to, że łączyło się z odkryciem przez niego Republiki i mechanizmów jej działania.

Te doświadczenia sprawiły, że stanowił interesującą i niebezpieczną mieszankę etyki protestanckiej.

Cechowały go silna ambicja i niespożyte siły. Własnymi rękami, w pocie czoła wyrąbał w dżungli swoją działkę, na której uprawiał rzadkie, a przez to stosunkowo drogie warzywa. Jeśli zatrudniał swoich współplemieńców, płacił im hojnie i skrupulatnie doglądał ich pracy. Mimo to społeczeństwo, w którym żył, kazało mu uważać swoją i swoich współbraci pracę za coś upokarzającego, czuć się otoczonym i zdominowanym przez tych, którzy nic nie robili, żyjąc z pracy innych ludzi. Dla a la Torre pojęcie pracy równało się pracy fizycznej. Lekarzy i nauczycieli uważał za niezbędnych, ale nie byli robotnikami. Choć - co prawda niechętnie - robił wyjątek dla tych dwóch grup zawodowych, przepełniała go osobista nienawiść do dużych grup ludzi, których uważał za nierobów. Bogacze i duchowni nie robili nic i ich nienawidził najbardziej. Burżuje nie robili nic. Tak samo Amerykańcy, gachupines, żołnierze. Ich egzystencja polegała na żerowaniu na pracy innych i gotów był z czystym sumieniem pozabijać ich wszystkich, tak samo jakby zabił kogoś, kogo złapał na kradzieży albo kantowaniu przy grze. Był do głębi uczciwy; urodzony przywódca, nie okrutny, ale bezwzględny i wymagający, postępował zgodnie z tym, co mu nakazywało jego poczucie sprawiedliwości, które miało sporo wspólnego z Bogiem adwentystów. Patrząc spod oka w ciemne źrenice Indianina, Aguirre wzruszył ramionami. Ten człowiek w takim stopniu został ukształtowany przez siły

społeczne, że stanowił problem, który Aguirre chętnie przedyskutowałby, siedząc ze starymi druhami nad kuflem dobrego Pilsnera na placu Karola. Z punktu widzenia humanizmu socjalistycznego, a la Torre był niemal zbyt dobry, by mógł być prawdziwy. Że też historia wyposażyła nasz biedny kraj w takie skarby! - rozważał z wdzięcznością Aguirre. - I do tego que huevon! - myślał dalej. -

Niezwyknięty!

Obok wspaniałego Atapy siedziała kolejna chodząca rozterka:

przypominający sowę, tryskający mądrym poczuciem humoru i inteligencją Hector Morelos de Medina, jeden z niewielu żyjących członków dawnej Komunistycznej Partii Tecanu i zarazem jeden z najstarszych przyjaciół Aguirre'a. Ironiczny, obyty, wspaniały kompan i, co rzadko spotykane w San Ysidro, obdarzony prawdziwym dowcipem Morelos prowadził księgarnię w okolicach Buenos Aires. Przez wiele lat jako tecański komunista wiódł straszliwie niebezpieczne życie, przetrwał wygnanie, z niezłomną odwagą znosił tortury i największe poświęcenia. Teraz, podobnie jak inny stary przyjaciel Aguirre'a z Composteli, Oscar Ocampo, Morelos został północnoamerykańskim szpiegiem. Wywiad nie zgłębił motywów jego zdrady, ale nie wydawała się ona ideologiczna. Najprawdopodobniej kierowały nim równie banalne pobudki co w wypadku Ocampy. Aguirre zawsze blisko się przyjaźnił z Morelosem; a na pewno wolał jego towarzystwo od fanatyków takich jak a la Torre. Z drugiej zaś strony nie można powiedzieć, żeby był do głębi wstrząśnięty. W życiu spotkał już wielu zdrajców i większość przygotowała sobie argumenty nie od odparcia. Czasem charakter ich zdrady był zupełnie przedmiotowy. Na myśl, że od tej pory będzie musiał uważać swego przyjaciela za wroga, Sebastiana Aguirre'a ogarniały niesmak i żal, ale z pewnością nie uważał tego za niewyobrażalne.

SerlorttaRodo skończyła swój raport i wszyscy skinęli głowami. Należała do złotej młodzieży, była studentką, kobietą, to się liczyło. Pocziwa dziewczyna, córka bogatych rodziców, która, gdy nadejdzie czas, może albo pójść w stronę dobra albo zła, trudno przewidzieć. Choć w jej odwagę nie można było wątpić: ryzykowała wpadnięcie w ręce Guardii. Aguirre posłał jej swój najserdeczniejszy, najbardziej promienny uśmiech. Obok Rodo - umiarkowani. Agustin Baz, producent mydła,

urodzony w biednej rodzinie Latynos z domieszką białej krwi, który ciężko zapracował na swoje bogactwo, za co został nagrodzony ostrym traktowaniem i ucieczką z rąk rządzącej kliki. Konkurował także z zagranicą. Większość tutejszych kapitalistów znosiła upokorzenia i łapała dla siebie, co się dało. Baz posiadał dar obojętności i jeszcze większego tupetu. Wolał rewolucję od jawnego oszustwa. Był równie uczciwy jak a la Torre i skutecznie kierował podziemną organizacją w San Ysidro. Zdarzały mu się przebłytki geniuszu taktycznego. Mimo to, zdaniem Aguirre'a, facet sobie nie poradzi. Nie miał natury zdrajcy ani słabeusza, ale oni dwaj po prostu walczyli o coś innego i Baz w końcu wylądował w Miami, zgorzkniały, gusano, jak to określali Kubańcy. Jeszcze nie wiedział, co go czeka, ale Aguirre słuchający jego raportu o stanie finansów kraju był tego prawie pewny. Oczywiście wcale by się nie zmartwił, gdyby się okazało, że nie ma racji. Następnie - czego się należało spodziewać - ksiądz, w tej chwili jeszcze jeden ważny. W żyłach monsignora Golza płynęła szwedzka krew. Jeszcze jeden uczciwy człowiek zaznajomiony z ideologią Marksa i jej sympatyk. Zainspirowany przykładem Callesa, ucznia Gustavo Gutierrez, uważał się za intelektualistę. Aguirre, który - potrafiąc docenić zaangażowanych duchownych - był anty-klerykałem, uważał go za nadętego. Mimo to zdawał sobie sprawę, jak konieczna jest obecność takich ludzi w organizacji, a Gólz na swój umiarkowany, księżowski sposób był fanatykiem. Aguirre znacznie bardziej wierzył w ostateczne oddanie Baza niż Golza, którego fanatyzm może ponieść w zupełnie inną stronę. Z księżmi nigdy nic nie wiadomo.

Umiarkowani, Baz i Gólz nie czuli się najlepiej. Zdawali sobie sprawę z wyższości i lekkiej pogardy, z jaką odnosili się do nich pozostali uczestnicy spotkania. Kiedy zaś monsignor opisywał sytuację na wybrzeżu karaibskim, niemal fizycznie paliły go niesmak i nieufność, z jaką obserwował go straszliwy a la Torre. Nawet ta młoda Rodo pogardliwie wyduła wargi. No i oczywiście Morelos, wtyka CIA, nawet nie próbował ukryć rozbawienia z obecności duchownego.

Tylko jeden mężczyzna uważnie słuchał raportu Golza i nie wyglądał, jakby z trudem hamował obraźliwe wyrazy. To właśnie z nim pragnął się spotkać Aguirre. Mężczyzna mógł sobie liczyć jakieś

trzydzieści pięć lat, był ciemnoskóry, potężny, miał twarz, której się nie zapomina. Gęste, proste włosy, byczy kark, duża twarz, złamany nos i brzydka, nie zagojona, poszarpana blizna biegnąca od brwi do nozdrzy - wszystko to zdawało się świadczyć, że ma się do czynienia z typowym tecańskim campesino. Ale nie należało dać się zwieść grubo ciosanym rysom i szpecącym śladzie przemocy: ów młody człowiek bynajmniej nie wywodził się z proletariatu. Jego ojciec był botanikiem w Instytucie Naukowym, on sam zaś posiadał dyplom ukończenia wydziału malarstwa i historii sztuki na Uniwersytecie Narodu. Znał na gruncie towarzyskim rodziny wielu popleczyków prezydenta i Amerykanów związanych z ambasadą. Kogoś takiego nam potrzeba - pomyślał Aguirre uspokojony, przyglądając się jak tamten zachęcająco potakuje gadaniu duchownego. Za granicą też o nim dobrze myślano. Amerykanie uważali, że go znają, lubili go, sądzili, że nie muszą się go bać. Jak dawniej promieniowała z niego siła i energia. Ten właśnie człowiek stanie się przywódcą - rewolucji i tego, co nastąpi później. Z całej piątki obecnej w pokoju tylko Aguirre i ów młodzieniec zdawali sobie z tego sprawę. Aguirre potrzebował wielu lat, żeby dojść do tego wniosku; sam zainteresowany wyglądał, jakby wiedział o tym od zawsze. Aguirre wyjął z kieszeni zakazane papierosy - Benson Hedges - i paląc czekał, aż klecha wreszcie skończy. Młodzieniec z blizną był jedynym prawdziwym współpracownikiem Aguirre'a w tym pokoju, a pewne sprawy wymagały natychmiastowego ustalenia. Niełatwo było zakończyć to zorganizowane pro forma spotkanie strategiczne. Każdy z uczestników oczekiwał podbudowania swej wiary w siebie, szpieg oczekiwał uspokojenia. Należało wyznaczyć role i wymienić abrazos z każdym szlachetnym i czcigodnym uczestnikiem. Aguirre nie mógł się doczekać, kiedy w końcu tamci sobie pójdą. Wreszcie zostali sami. On i mężczyzna z blizną:

Emilio Ortega Curtis.

Kiedy usiedli naprzeciwko siebie za stołem w opustoszałej sali, Aguirre zapalił jeszcze jednego papierosa i poczęstował gospodarza. Ortega uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Jak tam Praga?

- Piękna jak zwykle. Trochę przygaszona, ale tego należało się spodziewać.

- Cóż - odparł Emilio Ortega - niedobrze. Ale to ich zmartwienie.

I co sądzisz o naszych przyjaciółach za granicą?

- Co? - Aguirre ważył słowa. - Ostrożni. Traktują nas z wyższością. Fawc naive.

- Czyli nic się nie zmieniło.

- Właściwie nic. A co słyszeć w Tecanie?

- Jak uczy Koran, Don Sebastian, nikt nie obiecywał nam jutra. Ale sądzę, drogi przyjacielu, że doczekasz się rewolucji. Aguirre poczuł bicie słabego serca gdzieś w gardle. - I właśnie spotkałem rząd tymczasowy? Prawie w pełnym składzie?

- Część. Mniej więcej ci sami ludzie. Oczywiście z wyjątkiem Morelosa. O którym wiemy, że jest jankeskim szpiegiem. Aguirre skinął potakująco głową.

- Smutne, nieprawdaż? Nie wiem, co ty czujesz, Emilio, ale mnie będzie go brakować.

- Brakuje mi go - odparł Ortega. - Już go opłakałem w swoim sercu.

Chwilę siedzieli w ciszy, jakby dla uczczenia pamięci zdrajcy. - Jeśli człowiek już musi mieć hasło - odezwał się Ortega - proponuję następujące: "Nie patrz za długo w siebie, bo w końcu nie będziesz wiedział, kogo tam widzisz".

- Zawsze miałeś cięty, ironiczny dowcip.

- Cóż - stwierdził Ortega - małe, cierpiące kraiki nie potrzebują ironistów. Jeśli będziemy ich potrzebować, wyprodukuje ich sobie sami. Bez pomocy Stanów Zjednoczonych.

- Ale nie nazbyt wielu, mam nadzieję.

- I co sądzisz o członkach naszego rządu tymczasowego? Jak zwykle "potencjalni podejrzani"?

- Tak, chyba tak. Żywią pewne nadzieje co do Golza, kiedy księża ruszą.

- Ja też. Jego organizacja w Kościele została stworzona bardzo dyskretnie i subtelnie. Wciągnął już paru całkiem poważnych ludzi.

- Chodzi ci o Godoya?

- Godoy to jeden z ważniejszych popleczników. Lubię go, ale nie jest zbyt w moim typie.

- Za mało w tobie Hiszpana, żeby go docenić.

Ortega wzruszył ramionami. Nie obchodziła go legenda Hiszpanii i obsesje Hiszpanów. Nawet tecańscy criolios, jak Aguirre pałający miłością do Półwyspu Iberyjskiego, dotykali jego indigenismo.

- Jestem człowiekiem z UCLA - oświadczył. - I choćby nie wiem, co o nas opowiadali, nie wszyscy w Los Angeles to mistycy. - Bez wątplenia - zgodził się Aguirre po czym zmienił temat. - Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że Amerykańcy nafa-szerowali Tecan swoimi szpiegami. Ich działalność to coś więcej niż rutyna. Wiemy to z pierwszorzędnych źródeł za granicą. - Zdajemy. Przyjechali tu się pokazać, więc dajemy im w kość. Co więcej, tydzień temu a la Torre zastrzelił jednego takiego w górach.

- Żartujesz? Obywatela Stanów Zjednoczonych?

Ortega nie zdołał powściągnąć uśmiechu. Ale po chwili jego twarz znowu przybrała poważny wyraz.

- Nie jakiegoś tam obywatela Stanów Zjednoczonych, ale na-ślanego kapusia.

Doktor Aguirre gwizdnął cicho.

- W Extramadura pojawił się niejaki Cole. Podawał się za dziennikarza, twierdził, że nam bardzo współczuje i gorąco pragnął obejrzyć nasze oddziały wojskowe. Przyjechał prosto od Oscara Ocampo. A la Torre zabrał go do Pierwszej Brygady. Facet dużo gadał i wyglądał na zaznajomionego z każdym rodzajem broni. Był w Wietnamie, sam nam o tym powiedział. Oczekaliśmy trochę, chcieliśmy być w porządku i uniknąć prowokacji. Trzeciego dnia został skazany przez sąd wojskowy i rozstrzelany. - Pochwalam - stwierdził Aguirre. - Niech sobie nie myślą, że mają do czynienia z głupkami. Niech się przekonają, że Jankesi umierają równie łatwo jak byle chłop. A może nadeszła ta niemiła chwila, kiedy trzeba będzie zrobić coś z Oscarem? Coś za bardzo mu się podoba utrudnianie nam życia.

- Nadeszła. Ale musimy to załatwić za granicą. Przynajmniej tak nam powiedziano.
- Masz moją zgodę. Niech zajmą się nim towarzysze z Com-posteli.

Aguirre wstał z krzesła z twardym oparciem i zaczął krążyć po sali. Zmęczony się, usiadł na innym.

- Dzięki Bogu za Atapów - podjął z zamkniętymi oczami. - Faszyci własnymi rękami wykopali sobie

grób, kiedy tak się uwzięli na te złoża. Wyciągnęli ostatnie ćwieki z naszej struktury społecznej.

Ortega uśmiechnął się, przyznając mu rację.

- Od czterdziestu lat - ciągnął Sebastian Aguirre - pracowaliśmy nad przeciągnięciem Atapów na naszą stronę, a ci mieli nas gdzieś. Bez tego rozboju ze złożami zajęłoby to nam kolejne czterdzieści.

- Ale teraz ich mamy - powiedział Ortega. - A do tego jeszcze rząd bierze coraz więcej Atapów do gwardii - chcą mieć wierne oddziały - i przy okazji oczywiście ich demoralizuje. Po wyjściu z wojska ci Indianie są już zupełnie innymi ludźmi. A w tym momencie połowa gwardii to Indianie Atapa.

- Dobry Boże! - zawołał Aguirre. - A więc to się stanie! Sam już w to nie wierzyłem.

- Były czasy, drogi przyjacielu, kiedy byłeś jedynym człowiekiem, który w to wierzył.

Na środku stała taca z zimną kawą i kilkoma filiżankami.

Ortega nalał im obu trochę. Wypili.

- Chciałbym porozmawiać teraz nieco o kwestiach strategicznych - odezwał się Aguirre. - Czy istnieje możliwość, że señor Morelos albo jego dobrzy bracia umieścili tu jakąś elektroniczną zabawkę?

Podłuch?

- Ktoś z zagranicy pomógł nam to sprawdzić. Nie tutaj. - Zapewne zdajesz sobie sprawę - zwrócił

się do niego Aguirre - że przywiozłem dla ciebie instrukcje. Większa pomoc zagraniczna. Reszta to w większości gówno. Dlatego teraz spytam cię, co zamierzasz.

- Z chęcią. Niedziela: demonstracja tutaj, w stolicy. Groźna, poważna, ale, jak sam się przekonasz, niezbędna dla naszych celów. Ściągną posiłki z gór. Następnego dnia niewielkimi siłami, z użyciem broni automatycznej zaatakujemy baraki Gwardii na brzegu miasta. W tamtych oddziałach niecała połowa to Indianie Atapa. Nie sądzimy, żeby nam się udało zdobyć jednostkę, ale wszystko się może zdarzyć. Gdyby nam się udało, nie będziemy próbowali jej utrzymać, ale dzięki temu może zyskalibyśmy trochę broni i ochotników. W tym samym czasie nastąpi główne uderzenie. Pięć brygad

Atapów przejmie władzę w górach i wyzwoli wioski. Wystarczy jedna ofensywa, żeby zamknąć autostradę panamerykańską na północ od stolicy, zamknąć autostradę wzdłuż Pacyfiku i rzekę. Guardia ich nie wyprze, nawet przy użyciu lotnictwa. To bardzo ważne i możesz być spokojny, że w prasie nie pojawi się nawet wzmianka. Wysłano do nas całe tony broni automatycznej i rakiet ziemia-powietrze, a nie straciliśmy nawet jednego karabinu. Oddziały gwardii, które udadzą się w góry, przekonają się, że wojska Indian są liczniejsze i lepiej wyposażone niż oni. Ludność nie udzieli im najmniejszego poparcia. Lotnictwo Guardii nie ma doświadczenia w walce z raketami ziemia-powietrze, poza tym te dupki w ogóle nie potrafią latać - a przynajmniej nie w warunkach wojennych. Amerykańcy nauczyli ich samych podstaw i jeśli będą próbowali je wprowadzić w życie, po godzinie walki w tych górach pożegnają się z życiem. Te rakiety ziemia-powietrze są cudowne; łatwo je schować, do obsługi wystarczy dwóch choć trochę przeszkolonych ludzi. To jedyna broń pochodząca z bloku państw socjalistycznych, z której będziemy korzystać i są praktycznie niewykrywalne. - W moich instrukcjach podkreślano, żeby, kiedy to możliwe, korzystać z broni izraelskiej.

- Cóż - stwierdził Ortega - w tym mają rację. Wszyscy wiedzą, że Izraelczycy przysyłają tu Amerykańcom broń dla żołnierzy Guardii i to ona stanowi gros uzbrojenia gwardzistów. W razie wypadki będziemy mogli twierdzić, że zdobyliśmy ją na tutejszych żołnierzach.

- Brawo - przyklasnął Sebastian Aguirre.

- Teraz, przed głównym atakiem zaczniemy powstanie na wybrzeżu karaibskim.

- Ciekawe - zadumał się Aguirre. - Ale niechęć tamtejszych mieszkańców do walki jest już przysłowiowa.

- Mam gdzieś przysłowia. To będzie dobry sprawdzian. Zaata-kujemy posiadłości wykupione przez obcych i zabijemy kilku wysoko postawionych sukinsynów. Jankesi są przekonani, że tam jest bezpiecznie, uważają to miejsce za mały, apolityczny raj, a na wykupionych przez siebie terenach zamierzają wybudować kurorty. Obiedzemy ich ze złudzeń i popsujemy trawienie ich gościom. Może złapiemy jakichś młodych wycieczkowiczów, hej, Sebastian? - Toby bardzo źle wpłynęło na

morale naszych wojowników - oświadczył sucho Aguirre. -1 co by na to powiedzieli Francuzi? Ten człowiek Golza, Godoy, to zorganizował?

- Tak, trzeba mu to przyznać. Od starych kontrabandzistów ściągnął wspaniałą broń, tak że wróg będzie dysponował znacznie słabszym uzbrojeniem, przynajmniej na początku. Poza tym Amerykańcy się przestraszą, zabiorą oddziały z terenów właściwej bitwy. No i poglądy ludności się spolaryzują. Godoy zadbał też o aktywne wsparcie jakichś postępowych misjonarzy. - Człowiek zna się na rzeczy, bez dwóch zdań.

- Bez cienia wątpliwości. Teraz nie możemy liczyć na od-niesienie tam sukcesu: metody są prymitywne, Guardia może przechwycić naszą broń, może nam się nie powieść. Ale nic straconego, jeśli tu przegramy, a to tradycyjny obszar buntów. Jesteśmy winni naszym ludziom pole walki właśnie tam. - Pozwól, że ci coś doradzę - wtrącił Aguirre. - Nie pozwól, żeby Godoy sam kierował tam powstaniem. Jest za dobry, zwłaszcza jeśli chodzi o Indian.

- Zgadzam się. Podczas gdy Atapowie z południa walczą pod dowództwem a la Torre, będziemy mieli Godoya z Atapami na północy. Kontrolę militarną będzie sprawował były oficer Guardii, Atapa.

- Uda się - oświadczył wreszcie Aguirre.

- Jasne. Podstawa to góry i Atapowie. Zamknięte drogi i rzeki, rozruchy na wybrzeżu, powstanie w całym kraju! Co noc fajer-werki w stolicy. Dziesięć dni i mamy Tecan. San Ysidro padnie jako ostatnie.

- Za granicą obawiają się Stanów Zjednoczonych.

- Z całym szacunkiem, ale moim zdaniem to krótkowzroczność. Kto jak kto, ale oni powinni wiedzieć, jak to bywa. Po pierwsze mamy już przygotowany bardzo umiarkowany niemarksistowski manifest i ambasada amerykańska jako jedna z pierwszych dostanie jego egzemplarz. A co ważniejsze, tylu Amerykańców dostało po tyłkach w Wietnamie, że Kongres nigdy nie przegłosuje jakiegokolwiek oficjalnej interwencji.

- Doskonale. Potraktujemy Jankesów kijem i marchewką, ich ulubiony sposób. Wymordujemy ich

zawszonych szpiegów, a równocześnie będziemy zapewniać o swoich dobrych zamiarach. Należy im się to za ich morderstwa.

- Właśnie - powiedział Ortega. - I co mogą nam zrobić?

Wprowadzić destabilizację? W Tecanie?

Obaj mężczyźni się roześmiali.

- Chcę się napić - zawołał Aguirre. - Chcę teraz wznieść toast, bo jutro mogę już nie żyć.

- Tylko jednego, compadre - ostrzegł Ortega. - Jesteś prawdziwym skarbem narodowym i nic nie może ci się przytrafić. - Nędznym, zasranym skarbem.

- Tak czy owak - stwierdził Ortega, ruszając w stronę drzwi - niniejszym zostałeś upaństwowiony. Później mogę kłaść wieńce pod twoim pomnikiem, teraz jesteś mi potrzebny żywy. Kiedy Ortega wyszedł po drinki, Sebastian Aguirre chwycił się za serce, próbując uspokoić jego nierówne kołatanie. Rozsadzało go podniecenie na myśl o zwycięstwie, równocześnie jednak bał się, tak jak nigdy się nie bał, myśląc o klęsce. Ktoś kiedyś powiedział, że druga najsmutniejsza rzecz w życiu człowieka to niespełnienie życiowych ambicji, najsmutniejsza zaś jest ich realizacja. Kto to powiedział? Jakiś Francuz? Clemenceau? Nie, nie, Oskar Wilde. Siedział, patrząc na pseudoparyską fasadę budynku po drugiej stronie ulicy.

Po jakimś czasie Ortega wrócił niosąc dwa kieliszki i otwartą butelkę hiszpańskiego koniaku. Nalał i podał kieliszek Aguirre'owi.

- Salud - powiedział Aguirre i osuszył kieliszek.

Ortegę rozbawiła i wzruszyła niemodna już dwomość jego stylu. Oddał toast.

- Skąd, u licha - spytał po chwili Aguirre - wystraszałeś a la Torre? Kiedy na niego patrzę, przechodzą mnie ciarki. Ortega parsknął śmiechem.

- Tak, a la Torre to prawdziwe znalezisko. Twardy, co? - Nie chodzi o jego twardość, ale jego jestestwo, jego życie. Ten człowiek to chodząca historia. Uosobienie marksistowskiego ideału.

Wszystko w socjalizmie, w co kiedykolwiek wierzyłem, w tym człowieku żyje, jest prawdziwe.

- Do tego stopnia prawdziwe, że aż staje się wulgarne.

Aguirre nie potrafił powstrzymać śmiechu.

- Compadre, my wszyscy to jedno wielkie wulgaryzowanie historii. Musimy żyć tak jak nam każe los - a życie, w przeciwieństwie do wzniosłej filozofii, jest wulgarne.

- Zaiste. A Golz ci odpowiada? I Godoy?

- Golz tak. Przynajmniej na tym etapie. A Godoy nawet jeszcze bardziej, choć za nim jako takim nie

przepadam.

- Przecież chyba nawet go nie znasz, Don Sebastian. Mimo karcącego spojrzenia Ortegi. Sebastian

Aguirre nalał sobie jeszcze jedną malutką porcję koniaku.

- A la Torre poznałem dopiero dzisiaj, a mimo to szanuję go za to, czego się o nim dowiedziałem. A

teraz pozwól, że ci coś powiem o Godoyach naszego świata.

Znowu ruszamy do Hiszpanii - pomyślał Ortega. - Niech piekło pochłonie Hiszpanię. Wiecznie ona. Dlaczego nie Algieria? Nie Angola, Wietnam, Chiny?

- W Irvi walczyliśmy z Carlistami. Powiadam ci, drogi przyjacielu, to byli wspaniali żołnierze i bili się z ogromną wiarą. W pewnym sensie stanowili najbardziej reakcyjny odłam faszystów. Nazywaliśmy ich faszystami, ale właściwie nie mieliśmy racji. Dla nich to była wręcz święta wojna.

Ortega uprzejmie przytakiwał.

- Chyba nigdy nie słyszałeś z moich ust słowa krytyki wobec Republiki Hiszpańskiej - ciągnął Aguirre

- ale nawet w naszych szeregach istniały pewne aktywne elementy mieszczańskie. Niektórzy zamierzali piąć się w górę i wzbogacić na sekularyzacji dóbr kościelnych na północy. Mądre de Dios, jakiegoż to narobiło szumu. Pod sztandarami Juana Carlosa, tego zbiega z Velasquez, prowadzeni przez duchownych i arystokratów - prawdziwą arystokrację, Emilio, nie tych ratones, których tu mamy; ludzi którzy mówili ich językiem, posługiwali się tym samym dialektem - zaatakowali, żeby w

imię Jezusa Chrystusa zmieść nas z powierzchni ziemi. - Jak Cristeros w Meksyku - podsunął Ortega.

Aguirre skrzywił się z niesmakiem.

- Cristeros to była farsa. Mierne naśladownictwo, prymitywna karykatura.

Ortega po raz pierwszy poczuł odruch współczucia wobec Cristeros, którzy dla tego gachupin Aguirre'a byli farsą, bo mieli ciemną skórę i pochodzili z Ameryki, a nie świętej Hiszpanii. - Carliści ulegli wpływowi metafizycznej polityki, która wydała przerośnięty, niezdrowy owoc. Doprowadzili do tak niewyobrażalnych absurdów jak anarcho-carlizm: wszyscy ludzie będą równi, a wszelkie organizacje polityczne będą brać początek w niebie. Niedorzeczny Carlos będzie władał krajem jako zastępca Jezusa, jedyne, prawdziwego króla Hiszpanii. Pod Jego panowaniem nastanie cnota, uczciwość, wolność, równość i braterstwo zbudowane na ośmiu błogosławieństwach. Wyobrazasz sobie, Emilio, nim się zorientowaliśmy, walczyliśmy z ludźmi wprost ze stronic dzieł Engelsa, ludźmi, którzy tak naprawdę wierzyli w to samo, co my, którzy właściwie powinni walczyć ramię w ramię z nami - a którzy za wszelką cenę chcieli nas wymordować. Cóż, w tam-tych czasach, w tamtych okolicznościach trudno było cokolwiek wyrokować, ale wielu naszych ich podziwiała.

- Odwaga i wiara w słuszność swojej sprawy zawsze są do pewnego stopnia godne podziwu - oświadczył Ortega wzruszając ramionami.

- Spytasz zapewne, Emilio: "I co z tego?" I słusznie. Ale powiem ci coś: moim zdaniem Godoy trochę przypomina tamtych ludzi. Walczy za chłopów i Indian, bo, niezależnie od tego, czy to sobie uświadamia czy nie, gorąco pragnie wprowadzenia prawa Bożego. Możliwe że nigdy sobie z tego nie zda sprawy, a przynajmniej taką musimy mieć nadzieję - dla jego dobra. Jestem pewny, że uważa się za humanistę i ucznia Marksa. Ale sądzę, że podświadomie walczy o królestwo Boże. Emilio, najlepsi rewolucjoniści, pierwsi komuniści mogą się rekrutować spośród takich właśnie ludzi! - I właśnie tego zapewne u niego nie lubię - odparł Ortega z uśmiechem. - Przyszłość, jest dobry w tym co robi i na razie to mi wystarcza.

- Aha - stwierdził kąśliwie Aguirre. - UCLA. On walczy za Chrystusa, ty za Johna Deweya.

- Powiedz mi, Sebastianie - spytał Ortega nalewając sobie koniaku - a co zrobimy z naszym byłym towarzyszem, Morelosem? Co prawda ja już podjąłem decyzję, ale mimo to chciałbym poznać i twoją opinię.

Aguirre był zaskoczony i pod wrażeniem. Został skarcony. I słusznie. Ortega skończył z opowiastkami i lżejszymi tematami rozmową o zdradzie i jej konsekwencjach. To było wykalkulowane, brutalne przejście do rzeczy. Przypominało Aguirre'owi Starego. Stary zrobiłby tak samo. Nie, nie pomyliłem się - powiedział w duchu Aguirre - uznając, że to Ortega musi przejąć ster.

- Uważasz mnie za sentymentalnego? - spytał młodego przywódcę. - Sądzisz, że się za nim wstawię?

Tylko raz w życiu Aguirre z przyjaźni sprzeciwił się wyrokowi śmierci i omal nie przyplącił życiem tego wstawiennictwa. Tylko dzięki interwencji Stalina nie został załatwiony przez Andre Marty'ego i NKWD. Od tamtej pory nigdy więcej nie bronił skazanego i choć nieraz nękały go wyrzuty sumienia, po dłuższym namyśle zawsze przyznawał, że polityka bezwzględnej posłuszeństwa jest jak najbardziej słuszna. W sprawie Morelosa nie miał takich wątpliwości. Tu nie było żadnych okoliczności łagodzących. - Może jestem sentymentalny - powiedział Ortega - bo w pierwszym odruchu chciałem go ocalić. Ze względu na wieloletnią służbę i jego siwe włosy. Pomyślałem, że wyekspedujemy go prezydenckim samolotem za granicę, na pamiątkę zostawiając mu dziesięć płyt z ulubionymi nagraniami muzyki klasycznej. Albo obwiążemy go kokardką i подарujemy ambasadzie amerykańskiej.

- Ale teraz zmieniłeś zdanie?

- Jutro, kiedy nasi ludzie tutaj będą pod ziemią, a ty i ja dołączymy do Pierwszej Brygady stacjonującej w górach, señor Morelos zostanie zaaresztowany przez Gardię pod zarzutem działalności komunistycznej. Wtedy, możesz być pewny, będzie zebrał wsparcia od Amerykańców i na własnej skórze się przeko-na, czy jest dla nich coś wart czy nie.

Aguirre dopił swój koniak.

- To nic więcej jak zwykła sprawiedliwość.

On sam nie przeprowadziłby tego z tak wyrafinowaną bez-względnością. Ale on nie był stworzony na przywódcę. - A teraz pozwólcie, że wam coś powiem, Don Sebastian - darujcie tę formę. Walczymy o nowy Tecan pod nowym przy-wództwem. Przywódcą nie będzie John Dewey, a już na pewno nie Jezus Chrystus. Ani Bolivar, ani Jefferson, ani duch papieża Jana XXIII. Ani, jak to się u nas mówi, Naród. Nawet nie Partia, bowiem jej członkowie albo już nie żyją, albo jeszcze nie zostali ukształtowani.

- Więc kto?

- Za pozwoleniem i przy waszej bezcennej współpracy - ja!

- Czy mam uważać, że przemawia przez ciebie cynizm, Emilio?

Ortega odwrócił wzrok i wyjrzał przez zasłonięte okno. - Cynizm? To że ja - zwykły człowiek, mierny artysta, może nawet i mierny żołnierz - biorę na swoje barki odpowiedzialność za zaprowadzenie sprawiedliwości w naszej przeklętej, cierpiącej ojczyźnie? Że chcę przynieść zdrowie jej dzieciom i godność jej zrozpaczonym ubogim? Że chcę by świat przestał nas traktować jak głupków, a zobaczył w nas dumnych ludzi? Że chcę wybudować domy, szpitale, szkoły dla mas niewykształconych obywateli? Że chcę porzucić filozofię i wprowadzić życie, które, o czym obaj wiemy, jest wulgarne? Że chcę jednym dać, a innym odebrać życie w imię nowej formy ludzkości, która, o czym obaj wiemy, może nigdy nie zaistnieć?

Starszy mężczyzna wstał, słuchając słów Ortegi. Ortega obrócił się do niego plecami.

- Hombre - ciągnął - nie ma żadnego Jezusa Chrystusa. Rozlatująca się chata i rynsztok nie wiedzą,

co to filozofia. Nie ma nawet czegoś takiego jak Naród. Są tylko biedne stworzenia takie jak ty i ja, drogi towarzyszu, i my ogłaszamy, że wszystko to wprowadzimy. Albo pierwszej zginiemy.

Ortega znowu stanął twarzą w twarz z Aguirre'em.

- Cynizm? Musiałbym być chyba szalony, żeby podchodzić do tego cynicznie, w imię własnej chwały.

Zresztą, może i jestem szalony, skoro w ogóle chcę to wprowadzić. A mimo to, jako mój osobisty akt

wiary, głoszę to wszystko.

Aguirre patrzył Ortedze prosto w oczy i podszedł do niego 0 krok. Mówił prawdę, kiedy zapewniał, że nie jest sentymentalny. Słyszał już podobne słowa z ust cyników i szaleńców. Napatrzył się na dość wojen, egzekucji, śmierci i okrucieństw. Uniósł ogarniętą niedowładem dłoń i zacisnął w pięść.

- Nie wiem - powiedział Ortedze - czy można dziękować Historii. To zimna dziwka. Ale w tym momencie jej dziękuję. Dziękuję z miłością za to, że dożyłem tej chwili, że ciebie spotkałem. 1
błagam, by pozwoliła mi zobaczyć najbliższe dni. Jesteś moim synem, Ortega...

Starzec roześmiał się z zadowoleniem, próbując w ten sposób ukryć targające nim uczucia. Nie mógł mówić więcej, nie mógł zrobić kolejnego gestu. Jeszcze nie pora na uściski. Może kiedyś, później.

Ortega z uśmiechem oddał pozdrowienie. Czuł się zawstydzony za tę płomienną obronę. To pewnie wzmianka o cynizmie tak go sprowokowała. Poza tym był artystą, człowiekiem pełnym temperamentu.

- A ty moim ojcem - zwrócił się do Aguirre'a. - Bez ciebie - nic.

Dziękuję.

Gdyby Amerykańcy nas widzieli - pomyślał - mieliby niezły ubaw.

- Czyli - podjął stary Aguirre. - W jednym oku śmierć, w drugim niestawa, hę? Będziemy mieli prawdziwy dramat.

Unieśli prawie już puste kieliszki w geście toastu.

- Zwycięstwo - powiedział Ortega. - Patria o muerte.

Rozdział czternasty

Teraz po zachodzie słońca robiło się ciemno. Światła kutrów łowiących przy brzegu coraz bardziej się roz-mywały, oddalały. Na wschodzie pojawiła się gwiazda wieczorna, wiatr był sprzyjający. "Chmura" rozcinała fale, płynąc z szybkością jakichś siedmiu, ośmiu węzłów. Z kuchenki dobiegał zapach smażonego steku.

Pablo usiadł przy tylnym luku, patrząc na pojawiające się na niebie gwiazdy. Freddy Negus wychylił się

na pokład i zawołał go na positek.

Pani Callahan pochylała się nad kuchenką. Za plecami miała swoją szklanę rumu z tonikiem. Na patelni smażyły się paski mięsa, obok stał olbrzymi gar z gotowanymi jarzynami. - Dobrze nas karmi - powiedział Pablo. Był w dobrym nastroju. - I to jak - stwierdziła pani Callahan. - Zrób sobie drinka i przejdź do jadalni.

Pablo nalał sobie skromną porcję słabego rumu i zaniósł go do ładnego, wyłożonego boazerią pomieszczenia. Pokój załogi. Za nim wszedł Tino, pachnący ropą, i szybko dał nura do łazienki, żeby się obmyć.

Po drugiej stronie mahoniowego stołu siedzieli Negus i pan Callahan. Przed nimi stały już drinki. Pablo wziął krzesło i zajął miejsce. Po chwili z łazienki wynurzył się Tino, zniknął w kuchni, gdzie zaopatrzył się w colę z lodówki i przyłączył do towarzystwa. Pablo powiódł wzrokiem po zgromadzonych w jadalni mężczyznach. Wszyscy trzej go obserwowali. Pan Callahan wyglądał na wstawionego i dość przyjaźnie nastawionego. Freddy z nieszczęśliwą miną drapał się za uchem. Z twarzy Tina, któremu oczy same się zamykały, niczego nie dawało się wyczytać. - No i co sądzisz, Pablo? - zagaił pan Callahan.

Pablo się uśmiechnął.

- Co sądzę o czym, panie Callahan? Ma pan niezły statek. Pana żona nieźle nas karmi. A ja do tej pory nic nie robiłem.

Z kuchni dobiegał głos pani Callahan nucącej Amazing Grace. - Ale już niedługo będziesz miał co robić - odparł Callahan.

- Czy potrafisz na przykład posługiwać się M-16?

- Nie na co dzień się człowiek z nim spotyka. Ale znam tę broń. - Może się okazać, że będziemy mieli do czynienia z niezbyt sympatycznymi ludźmi i trzeba się będzie bronić. I co ty na to? - Zawsze tak bywa - stwierdził Pablo. I dodał po chwili: - Mam nadzieję, że nie mówi pan o amerykańskich

jednostkach obrony wybrzeża?

- Chryste Panie! - zawołał Negus - Myślisz, że chcemy się strzelać z obroną wybrzeża? Sądziłem, że masz trochę oleju w głowie.

- To może tutejsi gliniarze?

- Też nikłe prawdopodobieństwo. W tego typu sytuacjach wolimy raczej uciekać. Jesteśmy o wiele szybsi niż się wydaje. Dzięki naszemu mechanikowi.

Pablo zakładał, że pan Callahan mówi o Tino. Skinął głową. - Miałem na myśli złodziei. Mamy to i owo do wymiany z różnymi klientami i chcielibyśmy dostarczyć towar bezpiecznie. Żeby obie strony były zadowolone.

Pablo z zadowoleniem sączył rum. Właśnie na coś takiego liczył. - Trafił pan na właściwego człowieka, panie Callahan. Nie bujam. W życiu nie uciekłem od bijatyki i nigdy nie zawiodłem swoich.

- A uważasz nas za swoich? - spytał Negus.

- Traktujesz mnie w porządku, jesteś swój. Każdy kto mnie zna, o tym wie.

- My też nie zawadzimy swoich ludzi - zapewnił uroczyście Callahan - a już od dawna jesteśmy w branży.

Pablo podniósł otwartą dłoń.

- Świetnie.

Pan Callahan wstał.

- Napijmy się jeszcze, companeros... Deedee - zawołał w stronę kuchni - chodź, wypij z nami.

Podszedł do schodka, który łączył kuchnię z jadalnią, potknął się o niego i zachwiał. Widząc to Negus

i Tino wymienili spojrzenia. Callahanowie chwilę szeptali w kuchni, po czym wrócili. Deedee

Callahan niosła tacę z butelkami rumu i toniku oraz kilkoma schłodzonymi szklankami. Kiedy już się

usadowiła na honorowym miejscu, wszyscy z wyjątkiem Tino nalali sobie po drinku. Potem pani

Callahan zapaliła skręta. Podała go mężowi, który z kolei podał go Tino. Tino dwa razy głęboko się

zaciągnął i przekazał go Pabłowi. Ten wyjątkowo pociągnął i oddał Negusowi. Negus zwrócił go Deedee Callahan, nawet nie próbując. Skręt jeszcze raz okrążył stół, aż pan Callahan odmówił trzeciej rundki. - Ja już mam dość - powiedział Tino.

- Ja też - przyłączył się Pablo.

- Tym lepiej, więcej zostanie dla mnie - oświadczyła pani Callahan.

Pablo czuł na sobie jej spojrzenie. Przez obłoki dymu próbował przeniknąć błękitne, czujne oczy. Nagle Tino się poderwał.

- Idę na górę. Muszę sprawdzić głębokość.

- A co z twoim żarciem? - zawołał za nim Negus, ale tamtego już nie było.

Pani Callahan oparła się wygodniej i dokończyła skręta. Callahan nalewał sobie kolejnego drinka. Nachmurzony Negus kończył tego, który trzymał w dłoni. Kobieta dopalała skręta do samego końca, przytrzymując go w fifice. Kiedy już skończyła, odłożyła szklaną rurkę.

- Pomożesz mi, Pablo?

- Jasne.

Z kuchni widzieli Tino, który siedział pochylony nad echosondą.

Urządzenie rzucało zielonkawą poświatę na jego twarz i ramiona. Z radia dobiegała cicha muzyka.

Pablo nie odrywał wzroku od pośladków pani Callahan wciśniętych w najbardziej obcisłe dżinsy, kotylujących się lekko w rytm merengi. Wyjmowała metalowe talerze z suszarki nad głową. Pablo po raz pierwszy zauważył napis nad kuchenką: "Praca czyni człowieka zmęczonym". Kiedy kobieta się obróciła, jeszcze się śmiał.

- Co takiego śmiesznego, koleś?

Uśmiechnęła się i odgarnęła wilgotne włosy znad oczu. Pablo nie potrafił określić, ile lat mogła sobie

liczyć. Czterdzieści, może trochę więcej. Twarz miała gładką, opaloną, w kącikach oczu pojawiały się lekkie zmarszczki. Kiedy odstawiała naczynia na blat obok kuchenki, na odsłoniętym ramieniu poczuł muśnięcie jej biustu, wyraźny zarys twardej brodawki pod delikatnym materiałem bawełnianego

podkoszulka.

- Po prostu dobrze mi - odparł Pablo.

- Dobrze mi, to takie łatwe - powtórzyła pani Callahan z powagą zmuszającą do głębszego namysłu.

- Nie - powiedział po chwili - to wcale nie takie łatwe. Przyglądali się sobie, nie odrywając od siebie

wzroku. W jej oczach widać było ostrożne rozbawienie, nadal kotysała się w rytm melodii.

- Ciekawy jest ten statek - odezwał się Pablo.

- O tak - zapewniła go Deedee Callahan. - To prawdziwie ciekawy statek. A teraz zrób coś dla mnie,

Pablo. Daj chłopcom ich porcje.

Zdjęła mięso z patelni, kładąc po kawałku na każdy z pięciu talerzy. Potem dołożyła trochę zieleniny i

dała Taborowi dwa talerze. Puściła do niego oko i ruchem głowy wskazała jadalnię. Pablo nie pozwolił sobie na rozdrażnienie za to, że zrobiła z niego kelnera. Zgrabnie obsłużył Negusa i pana Callahana, stawiając przed nimi parujące talerze.

Do diabła, będę ją miał - myślał. - Kiedy zechcę. Jak zechcę. Kiedy wrócił do kuchni, dała mu talerz dla Tino, prosząc, żeby go zaniósł do sterówki. Wziął jedzenie i postawił na stole nawigacyjnym. W odpowiedzi Tino tyknął na niego ponuro. Pablo się uśmiechnął. Facet się domyśla - stwierdził w duchu - co jest grane między mną a panią Callahan.

W kuchni czekał na niego jego talerz z gorącym jedzeniem. Zaniósł go do jadalni i usiadł między Negusem a Callahanem. Po chwili przyłączyła się do nich pani Callahan, niosąc na tacy swój talerz, salsa, sól i pieprz. "Chmura" płynęła po spokojnym morzu kotysząc się lekko.

- Lepsze to niż łowienie krewetek - odezwał się Pablo, przełamując ciszę, która zawisła nad stołem.

Bardzo uważnie kroił swoje mięso.

- Od czasu do czasu łowimy - wyjaśnił pan Callahan. - Ale, jak się zapewne domyśliłeś, nie to stanowi

nasze główne źródło dochodu.

- Taaa - potaknął Pablo. - Domyśliłem się.

- A czego jeszcze się domyśliłeś? - spytał Negus.

- Kazaliście nie zadawać pytań - odparł Pablo - więc nie pytałem. - Powiódł wzrokiem wokół stołu. - Ze mną łatwo się dogadać.

- Fred - zwrócił się do Negusa pan Callahan -jesteś najlepszym marynarzem pod słońcem, ale policjant z ciebie żaden. - Popatrzył na Pabla tym swoim łagodnym spojrzeniem. -Ale zastanawialiśmy się, brachu - w końcu służyłeś w straży przybrzeżnej i tak dalej - co ty o nas myślisz. Ciekawią nas twoje inteligentne domysły. - Niech będzie - ustąpił Pablo. - Przewozicie jakiś lewy towar. Początkowo sądziłem, że narkotyki, ale teraz mi się wydaje, że nie. Gdybyście jechali do Stanów z jakichś holenderskich wysp typu St. Joost powiedziałbym, że chodzi o diamenty. Ale mówiliś-cie, że nie zadzieracie ze Stanami. - Ukroił kolejny kawałek mięsa. - Może części komputerowe. Kalkulatory, te rzeczy. Ale tu z kolei nie pasuje statek. A cała impreza pachnie czymś poważ-nym. I tak metodą eliminacji doszliśmy do broni. To stary, sprawdzony sposób zarabiania pieniędzy.

- Owszem, tak - przyznał Callahan.

- Gdybyśmy płynęli na Kubę, robota byłaby w sam raz dla nas - spekulował dalej Pablo.

- Nie płyniemy na Kubę.

- Cóż, świetnie. Nie tam, to równie dobrze może być sto innych miejsc. W okolicy jest dość wrednych polityków, nie? Nie sposób tego zliczyć.

- Dobra - powiedział Callahan - pozwól, że cię nieco wprowadzę w sprawę. Nie musisz wiedzieć, dokąd płyniemy. Za jakiś dzień, dwa zatrzymamy się w Nieuw Utrecht na St. Joost, żeby wziąć trochę lodu i żywności. Po zapadnięciu zmroku załadujemy towar po drugiej stronie wyspy. Od ciebie oczekujemy tylko trochę pomocy przy załadunku żywności, a przede wszystkim oczekuje-my, że będziesz w gotowości przy zabieraniu ładunku. No i przy jego oddawaniu, bo to będzie chwila prawdy, hombre. Aha, i w razie, gdyby cię to interesowało, to jutro w nocy połowisz sobie krewetki.

- Ciekawe, czy ktoś mi wreszcie powie, ile za to dostanę?
- Kiedy obliczymy koszty - odparł Negus.
- To rozsądne pytanie - łagodził Callahan. - Możesz liczyć na co najmniej pięćset dziennie za najbliższe kilka dni. To na pewno więcej niż twój żołd w Straży Przybrzeżnej.
 - Też mi się tak wydaje.
 - Myślisz, że to ci wystarczy do szczęścia? - upewniał się Negus. - Bo bardzo chcemy, żebyś był szczęśliwy. Wręcz na-legamy.
 - Myślę, że wszyscy będą zadowoleni - oświadczył Pablo.

Ku jego zmieszaniu wszyscy się roześmiali.

Po skończonej kolacji Negus i pan Callahan przeszli z kawą do małego pomieszczenia za główną kabiną, zamykając za sobą drzwi z drewna tekowego. Nim Pablo się zorientował, znowu stał w kuchni z żoną kapitana. Radio w sterówce było nastawione na jakąś religijną stację, która głosiła królestwo Boże - misjonarze baptystów dysponowali najsilniejszymi nadajnikami w okolicy. - "Do czego mam porównać Królestwo Niebieskie?" - pytał jakiś młodzieniec, sądząc z wymowy mieszkańiec Nebraski. - "Jest ono podobne do kwasu..."

Tino notował coś na wykresie Loranu.

Kobieta zapaliła kolejnego skręta. Pablo nigdy przedtem nie próbował tak mocnej trawy, a ona zaciągała się jednym za drugim. Po dwóch, trzech sztachach bibułka zwilgotniała, za-smoliła się, pojawiły się na niej ciemnozielone ślady. Pablo odmówił kolejnego. Skończywszy zmywanie, wrócili do sprzątniętego stołu.

- Jak się tu znalazłeś, Pablo?
 - Ot, kręciłem się po okolicy.
- W duchu myślał, że oni wszyscy są tacy sami.
- Wyleciałeś? Nie podobało ci się w Straży Przybrzeżnej?
 - Podobało mi się, póki nie zaczęli mną manipulować.

- Myślałam, że właśnie o to im chodzi.
- Niektórzy wszystko zniosą - wyjaśnił. - Nie mają za grosz godności. Trepy nimi trzęsą, a ci się nie postawią.

Pablo załapał tę antytrepowską historyjkę, kiedy pracował w Straży Przybrzeżnej w Bostonie i wykorzystał do własnych celów. Na tutejszych dziewczynach robiła wystarczająco duże wrażenie, a pani Callahan, choć już nie taka młoda ani delikatna, wyglądała na kobitkę, która powinna to kupić.

- Więc nieco się zradykalizowałeś, tak?

Pablo miał wrażenie, jakby mu wymierzono delikatny cios w podbrzusze.

- Trafił mi się wredny podoficer, istny faszysta. Ciągłe się mnie czepiał, więc w końcu go załatwiłem.

Dostał w szczękę tak, że mu się złamała. Sprawdzałem godzinę, rozumie pani, co mam na myśli?

Więc dałem nogę.

- Czy to się rzeczywiście wydarzyło, Pablo? - spytała współ-czująco. - Czy też to swego rodzaju przypowieść?

- Co? - spytał Pablo.

Co prawda nie upierał się, żeby kobiety wierzyły we wszystko, co im powiedziano, ale nie lubił, żeby w żywe oczy nazywać go kłamcą. Pani Callahan odłożyła skrzęta i głęboko się zamyślił. - Chodzi o to

- powiedziała - że kiedy człowiek słyszy tę samą historię od wielu całkiem innych ludzi, zaczyna się zastanawiać nad szczegółami. Bo przecież nie ma dwóch identycznych sytuacji, prawda, Pablo?

- Chyba nie.

- Oczywiście, że nie. Więc opowiadasz mi historię, a ja natych-miast chciałabym się dowiedzieć -już

taka jestem ciekawska - co jest takiego wyjątkowego w Pablu Taborze. Co go odróżnia od innych

facetów, którzy złamali szczękę podoficerowi i tak dalej. Sprytna - pomyślał. Ale sprytna czy nie, i tak

byli tacy sami. - Poszła czyjaś szczęka. I to nie moja - wyjaśnił. - Ktoś próbował mnie wkurzyć. Więc

zniknąłem, wylądowałem na tym statku i oto cała opowieść.

- 1 nazywają cię Pablo. To przezwisko czy...?

- Tak mam na imię.

- Ale to hiszpańskie imię.

- Moja matka była Indianką.

W pewnym stopniu to była prawda, ale w jakim - ta kwestia ginęła w pomrokach dziejów.

- Wiedziała - odparła cicho pani Callahan.

A więc na to lecisz - pomyślał Pablo. Już wcześniej spotykał takie. Widział, jak przysuwa do niego krzesło, czuł przy sobie jej ciało, dotyk długiej nogi w gładkich, czystych dżinsach. - A więc ten ciekawy statek to pani dom? - spytał.

- Na to wygląda. Ciągłe płynie i płynie.

- Może pani za tym nie przepada.

- Nie zawsze.

Kiedy położył rękę na miękkim, obleczonym w spodnie udzie, nagle spochmurniała.

- Wielkie nieba - westchnęła.

Przesunął rękę do kolana i z powrotem, palcem dotykając wewnętrznego szwu i ciała, które się pod nim prężyło. Potem zacisnął dłoń w pięść i oparł ją o cienki materiał. Znalazł się w szachu. Z Tino w sterówce, Callahanem i Negusem za drzwiami nie odważyłby się na nic więcej.

- Lubisz korzystać z okazji, skoro się nadarzy, prawda, Pablo?

- Żebyś wiedziała.

- Ja też.

Obróciła ku niemu twarz i zobaczył, że za tą opaloną skórą,

drobnymi zmarszczkami i niewielkim workami pod oczami kryje się jeszcze dziecko.

, - Ej - odezwał się po chwili - możemy się wpakować w tarapaty. Był skrępowany całą tą

sytuacją, ręka zaczynała mu się pocić.

Kobieta roześmiała się cicho.

- Tarapaty?

-Anie?

- A cóż znaczą dodatkowe drobne tarapaty na tym dziwnym statku?

Niewielkie drzwi z drewna tekowego się uchyliły i pojawiła się w nich głowa Freddy'ego Negusa.

Wystarczył ułamek sekundy - uznał Pablo - żeby Negus zobaczył wszystko, co było do zobaczenia.

- Deedee, Jack prosi, żebyś się do nas przyłączyła na chwilę.

O ile nie masz nic ważniejszego do roboty.

Wolno wstała, uwalniając się od ręki Pabla. Dłonią musnęła jego ramię.

- Nie mylisz się.

Otwierając drzwi przed panią Callahan, Negus obserwował Pabla.

- A może byś się przespał, synu?

- Sądziłem, że będziecie chcieli, żebym zmienił Tino. - Tino sobie poradzi. Jeśli będzie chciał się kimnąć, włączy na parę godzin sternika automatycznego.

- W takim razie zgoda. - Wstał, przeciągnął się. - No to wracam do siebie.

Negus skinął głową, wymienili pożegnania.

Wracając do siebie Pablo zatrzymał się przy relingu i patrzył na Oriona Iśniącego wysoko na niebie i na spokojne morze rozcinane przez statek. Ogarniał go żar i pożądanie na myśl o tak łatwym podboju delikatnej, białej pani. Kiedy stał, leniwie snując plany na najbliższą przyszłość, nagle usłyszał głosy, dobiegające gdzieś z głębi statku. Stał nad pierwszą chłodnią. Głosy należały do Negusa i pana Callahana.

Pablo rozejrzał się wokoło i przykucnął w częściowo zasłoniętej chłodni. Pachniała rybami i czymś jeszcze, jakiś znajomy zapach, którego w tej chwili nie potrafił zidentyfikować. Na podłodze stało parę centymetrów wody. Przesunął się bliżej przepierzenia jadalni, przycisnął ucho do wilgotnej ścianki. Panowały tam kompletne ciemności, rozjaśniane tylko migotaniem gwiazd widocznych nad krawędzią luku.

- Żyd coraz bardziej się starzeje - mówił Callahan pewnym tonem pijaka. - W piętękę goni. Pokazała się tam pewna luka. - Na twoim miejscu nie próbowałbym jej wykorzystywać - odparł Negus. -

Moim zdaniem toby było nieroztropne. - To byłoby kompletnie idiotyczne - stwierdził Callahan. -

Na-wet stetryczały Naftali jest wart więcej niż dziesięciu tych punków, którzy się tu ostatnio kręcą.

- A skoro już mowa o punkach... - zaczął Negus, ale Callahan wpadł mu w słowo:

- A skoro już mowa o punkach, daj dzieciakowi spokój. Nie chcę, żeby zaczął narzekać albo odleciał.

Długo z nami nie zagości, a jeszcze nam się przyda.

- Przyda? Do czego? - spytał Negus. - Do podszczypywania Deedee?

- Dajesz mu się podszczypywać, Deedee?

- Przyznaję - usłyszał jej głos Pablo. Był zaskoczony. - Pod-szczypywał mnie na całego. Próbowałam

coś z niego wyciągnąć. - Jeśli się z nim pieprzysz - stwierdził Callahan - to tak jakby należał do rodziny. Moim zdaniem sprawy zaszyły trochę za daleko. Negus wyrzucił z siebie stek cichych wyzwisk.

- Że też nikt tutaj nie zakąszę rękawów. Interes jest poważny, a cała załoga jest albo zaćpana, albo pijana, albo się puszcza. Zapadła krótka cisza, po niej rozległ się śmiech.

- Pablo jest w porządku - powiedział Callahan. - Dla nas się nadaje.

- Muszę przyznać, że jest lepszy od niektórych jego poprzed-ników - ustąpił Negus. - Twardziel. To się przyda, o ile będzie znał swoje miejsce.

- Moim zdaniem zna - wtrąciła się pani Callahan. - Pablo Tabor przypomina jo-jo. Chce się przypodobać i nada się w sam raz.

W umyśle Pabla, stojącego z uchem przyklejonym do zimnego, wilgotnego drewna, błysnęła wizja czerwonego jo-jo i czerwono--biało-niebieskiego sznurka za nalepką "Madę in Japan". Zapom-niał, że był na haju. Bardziej go ta wymiana zdań zastanowiła niż rozzłościła. Będę ją pieprzyć, aż zdechnie - pomyślał. Negus znowu kłął.

- A widziałeś ten arsenał, który przy sobie miał? Uzbrojony po zęby! Cholera!

Znowu chwila ciszy, przerwana przez głos Negusa:

- Tino go nie lubi.

- Tino nie odgrywa w tym wszystkim szczególnie ważnej roli. - Cóż - dodała Deedee Callahan - Tino

to zasrany mistyk. Kto by tam wiedział, co on naprawdę myśli?

257eja bym go posłuchał - upierał się Negus. - Pływam z nim od piętnastu lat, zjedliśmy razem beczkę

soli.

Przykucnięty w chłodni Pablo usłyszał kroki na pokładzie nad sobą. Przywarł mocniej do ścianki i zobaczył cień, który przemknął między jego kryjówką a niebem. To Tino - pomyślał. - Wychodzi z mojej kajuty, gdzie grzebał w moich rzeczach.

Pochylił się jeszcze niżej i słuchał.

- Naftali nadal bierze forsy z góry? - To głos Negusa. - Pierwsze co robi Naftali, to bierze dolę. Będzie czekał na molo z wyciągniętą ręką.

- Ależ ten staruch natłucze forsy - odezwał się Negus. - Widziałem jak szastał studolarówkami, jakby

to były honduraskie lempiry. Moim zdaniem trzyma to wszystko w pokoju hotelowym. Założę się. Pablo właśnie myślał o starym człowieku w pokoju hotelowym pełnym banknotów studolarowych, kiedy po raz kolejny usłyszał kroki na pokładzie. Uniósł głowę i zobaczył zarys mężczyzny dokładnie nad sobą. To mógł być znowu tylko Tino. Minęła dłuższa chwila i mężczyzna wrócił na rufę. Pablo odczekał zbyt wystraszony, żeby dalej słuchać, po czym cicho wyszedł z chłodni. Nikogo nie zauważył. Przez chwilę stał oparty o reling, spodziewając się konfrontacji, ale ponieważ Tino nadal nigdzie nie było widać, wrócił do siebie uspokojony. Rzeczy wyglądały na nie tknięte. Wyciągnął się na koi.

Późno w nocy Negus i Callahanowie siedzieli w swej wytwornej kajucie. "Chmura" płynęła prowadzona przez autopilota. Tino parzył kawę w kuchni.

- Tym razem bierzemy lód i ropę od Perreirów, tak? - spytał Negus.

Garbił się w krześle, kościste ręce zaplótł na stole. Naprzeciwko niego siedział Callahan, ściskając w dłoni szklankę wody sodowej. Jego bogdanka odpoczywała na krótkiej sofie, czytając "High Times".

- Nie sędzę - odparł Callahan. - Myślę, że weźmiemy od nich żarło i części, po czym, po zapadnięciu zmroku, popłyniemy do Naftalego w Serrano. Razem z towarem weźmiemy i ropę. - A co powiemy Perreirze?

- Że Naftali złożył nam korzystniejszą ofertę. Nie będzie naciskał. Nie jest agresywny.

258awsze się zastanawiałem, jakim cudem Naftali nigdy nie wpada - zamyślił się na głos Negus. - Przecież Holendrzy powinni wiedzieć. Albo Amerykanie.

- Może wiedzą. Tak czy owak to posiadłość Naftaliego, jest jej właścicielem i do tego cholernie ostrożnym. Albo właścicielem jest Mossad i są hiperostrożni.

Z kuchni wynurzył się Tino z kubkiem kawy w ręku. Usiadł na krześle. Przez chwilę rozmawiał z Negusem w języku papa-miento.

- Jesteś niezadowolony - odezwał się do niego Callahan.

- Nie lubię tego człeka. Pabla.

- Kurde, ja też nie - zawtórował Negus. - Ale nikt mu nie kazał być miłym chłoptasiem. To nasz sukinsyn.

- Zgodziłeś się na niego, Tino. Powiedziałeś, że z nim popłyniesz.

- No tom popłynął.

Callahan nie odrywał wzroku od mechanika.

- Moim zdaniem ta zabawa przestaje ci odpowiadać.

Tino uśmiechnął się smutno.

- Da się żyć. I forsa niezła.

- Myślę - odezwał się z namysłem Negus - że Tino niepokoi to, jak cała rzecz się ostatnio odbywa.

- To znaczy? - spytał Callahan.

- Ja nic takiego nie powiedziałem, Fred. Tyś powiedział, nie ja. - Słuchaj, Jack, musisz przyznać, że

wszystko się rozłązi. Za dużo pijesz, w tym rzecz. Pijesz w pracy, że tak się wyrażę. Oboje

zachowujecie się, jakby nie było czegoś takiego jak jutro. Zrozum, minęły czasy, kiedy można się było

tutaj bawić.

- Spytaj kogo chcesz, Freddy, a powiedzą ci, że jesteśmy najbardziej profesjonalną, najbardziej odpowiedzialną załogą w branży. Tak było zawsze i tak jest.

- Tak było kiedyś, Jack.

- Gdybyśmy nie byli dobrzy, Naftali by z nami nie pracował.

Negus wbił wzrok w obrus.

- Wiesz co? Czasem się dziwię, że jeszcze to robi.

- Zejdź ze mnie, Freddy.

- Przykro mi, bracie, ale tak to wygląda. Czasem odnoszę wrażenie, że dla ciebie to zabawa.

- Naprawdę to lubimy, zawsze lubiliśmy, Fred. Tylko że teraz wygląda na to, że tracimy pewność siebie.

Negus milczał.

Callahan sięgnął po butelkę i dolał rumu do wody sodowej.

- Może miałeś rację, mówiąc, że jesteśmy już na to za starzy. Może to ty miałbyś ochotę pójść na zieloną trawkę. Może powinie-nieś wrócić do lokalu w Hope Town.

- Ja tylko mam nadzieję, że go jeszcze kiedyś zobaczę.

- Ostatnio - włączył się Tino - tylu człek spotyka drogistas.

Szybka śmierć.

- Młody Pablo wygląda mi trochę na drogista - odezwał się Negus. - I to mnie u niego niepokoi.

- To dezertier ze Straży Przybrzeżnej - uspokajał Callahan. - Co on wie o życiu?

- Wiecie, kogo on mi przypomina? Tego elegancika, z którym mieliśmy kłopoty... No, tego... Nawet nie pamiętam, jak się cholernik nazywał.

Deedee odłożyła na bok gazetę.

- Ojej - westchnęła. - Cóż za nieprzyjemna myśl.

- To było złe - dodał Tino.

Negus ponuro przytaknął.

- Cóż - stwierdził Callahan. - Załatwiliśmy tamtą sprawę. Mam nadzieję, że już nigdy nie będziemy musieli czegoś takiego robić. Aczkolwiek - dodał - gdyby zaistniała taka sytuacja... nie zabraknie nam odwagi.

Freddy Negus wstał i podszedł do luku wiodącego do kuchni. - To nie chodzi o Pabla, Jack. To coś więcej. Zrozum, Tecan to nie jest kaszka z mleczkiem. Jeśli nas dorwą, dopiero będziemy mieć zabawę. - Przez chwilę zawahał się stojąc w przejściu i wrócił na miejsce. - El Jefe ma kupę nowych bajerów. Nowe technologie, więcej statków, szybszych statków. Do tego helikop-tery. Jankesi dają mu, co zechce. Mówią mu, co chce. - Ryzyko zawsze było to samo, Fred.

- Niech to diabli, ale my byliśmy młodszy! Twardzi, w lepszej formie. A ty... bardziej odpowiedzialny.

- Jeśli przestałeś mi wierzyć, dalsza współpraca jest niemożliwa. To chyba jasne.

- Fred ma chandrę - oświadczyła Deedee. - Myśli o tym albinosie, którego trzyma El Jefe.

Callahan sączył swojego drinka.

- Och - powiedział z uśmiechem - o tym karle, który odgryza ludziom narządy.

Negus spłonął rumieńcem.

- To istny potwór, Jack, powiadam ci.

- Śnieżek - włączył się Tino. - Tak się wabi.

- Tecan to mieszanina starego z nowym - zadumała się Deedee. - Słuchajcie - nie wytrzymał Negus - czasami wy dwoje zachowujecie się jak kompletni wariaci. Więc jak, robimy co trzeba i załatwiamy interes, czy co?

- Postawię sprawę jasno, Fred. I ty też zrób to samo. Jesteś z nami czy przeciwko nam?

Tino bez słowa skinął głową.

- Oczywiście że jestem z wami - zapewnił Negus. - Tak jak zawsze. Tylko że czasem odnoszę wrażenie, że igrasz z niebezpieczeństwem.

Callahan uśmiechnął się jak psotny nastolatek i mrugnął do żony.

- Jeśli ma być teraz, nie będzie - oświadczył. - Jeśli nie ma być, będzie. A nawet jeśli nie teraz - i tak przyjdzie. Gotowość, w tym rzecz.

- Dojrzałość - poprawiła Deedee Callahan.

- Nie, gotowość, Deedee.

- Zrozumcie, ryzyko to jedno - tłumaczył Negus. - A szukanie zabawy i podnieci to drugie.

- Bardziej mi się podoba dojrzałość - upierała się Deedee. - Podoba ci się - stwierdził Callahan - bo

brzmi bardziej seksownie.

Rozdział piętnasty

Holliwell siedział na ławce, pod którą do okrężnicy był przyczepiony zbiornik powietrza, palił papierosa i przyglądał się zielonej linii brzegu: alejom palmowym, bananowcom rosnącym na plantacjach, olbrzymim, wspaniałym heliotropom. Sandy, nauczyciel nurkowania, mknął swoją trzydziestosześcioletnią motorówką z pełną szybkością. Woda rozpryskiwała się dokoła i wpadała nawietrzną, mocząc cienką kurtkę, którą Holliwell włożył dla ochrony przed słońcem.

Sandy był wysokim, barczystym mężczyzną z typową piegowaną twarzą Anglika opaloną przez słońce Tecanu i Zachodniej Afryki. Siedział wygodnie rozparty za sterem, jedną ręką przytrzymywał drążek, łokieć oparł o reling. Od czasu do czasu wychylał się, żeby zobaczyć, co jest przed nimi. Długie, czarne włosy rozjaśnione przez słońce czesał z przedziałkiem na środku, co nadawało mu wygląd dziewiętnastowiecznego rosyjskiego chłopca, zaś bystre, ciemne oczy ukryte pod gęstymi brwiami miały w sobie jakiś fanatyczny żar, coś co przywodziło na myśl Rasputina.

Na łodzi oprócz Holliwella była pięcioosobowa, kubańsko-ame-rykańska rodzina z Miami. Ojciec - krępy, muskularny mężczyzna - miał krótko ostrzyżone włosy i brodę pozacinaną od ciągłego golenia. Jego żona mimo pulchnej sylwetki i pełnej twarzy posiadała długie, zgrabne nogi i zadbane, jędrne ciało typowe dla mieszkanki Florydy - efekt uczęszczania na ćwiczenia i stosowania diety.

Towarzyszyło im trzech chłopców w wieku od dwunastu do siedemnastu lat. Najstarszy, któremu już prawie sypał się wąs, odziedziczył muskularną figurę ojca, dwóm młodszym, podobnie jak matce, już teraz wylewało się sadetko. Rodzice rozmawiali ze sobą po hiszpańsku, chłopcy po amerykańsku. Ani dorośli, ani dzieci nie zwracali uwagi na Holliwella. - Za tą rafą często można wypatrzeć żółwia - zwrócił się do chłopców Sandy. - Lubią tam pływać.

- Bombowo! - zawołał środkowy chłopiec z entuzjazmem.

- A czy one gryzą? - zaniepokoił się najmłodszy.

Sandy parsknął śmiechem.

- Żółwie? Gdzież tam! Żółwie nie gryzą. Mogą cię zabrać na przejażdżkę.

- Ej - ucieszył się siedemnastolatek. - Poszedłbym na to. Kiedy rodzice chłopców odzywali się do Sandy'ego, zwracali się doń oficjalnie i wyniośle, tak jakby byli przyzwyczajeni do służby. Sandy odpowiadał z szacunkiem.

Jakieś trzysta metrów od zatoki Sandy wyłączył silnik i pochylił się, żeby zarzucić kotwicę. Wszyscy popatrzyli na wodę. Odbijało się w niej niebo, połyskiwały promienie słońca, widać było ukryte w głębinie rafy - szereg wzniesień układających się ku otwartemu oceanowi.

Sandy przedstawił program. Prąd był południowy. Będą nurkować prosto z łodzi. Potem będą mogli okrążyć półkole raf, minąć piaszczyste dno i trzymając się krawędzi wrócić do łodzi. Jest tam czarna rafa koralowa, powiedział im Sandy. Miejsce to tubylcy nazywają Twbct.

Holliwell wpatrywał się w delikatne światło białych raf. W końcu przyjechał tu, żeby je zobaczyć. Głęboko zaczerpnął powietrze, nałożył kompensator pływalności, butlę z tlenem i schylił się, szarpiąc pasem z ciężarkami. Sandy przyczepił butlę z taką samą łatwością, z jaką inni wciągają sweter.

Kubańsko-amerykańskie stadło szamotało się, zakładając sprzęt, zapinając pasy - a wszystko to pod czujnym okiem głowy rodziny. Żona i najmłodszy syn nie nurkowali. W czasie kiedy Holliwell wkładał płetwy, Sandy sprawdził sprzęt średniego chłopca.

- Widział tu pan kiedyś rekiny? - spytał chłopiec, starając się nadać głosowi beztroskie brzmienie.

HoEiwell podziwiał jego zimną krew. Sprawdzając swój sprzęt, obejrzał się na Sandy'ego, ciekaw jego odpowiedzi.

- Tu nie ma rekinów - odparł po prostu Sandy.

Okazało się, że młodszy chłopiec będzie nurkował z Sandym, najstarszy zaś z ojcem. Tak zostało ustalone.

- Przyłączy się pan do nas? - zwrócił się do Holliwella nauczyciel. - Nie, po prostu będę się was trzymał - odparł Holliwell. - Nic mi nie będzie.

Co prawda nie był zbyt doświadczonym nurkiem, ale miejsce wydawało się łatwe.

Holliwell wyskoczył ostatni. Na plecach miał dwa pięcioletowe pojemniki, włożył też podkoszulek, żeby paski nie obcierały spalonej na słońcu skóry. Kiedy znalazł się w wodzie, maska wypełniła się niemal do poziomu oczu. Czekał, aż woda jeszcze się podniesie, zaciskając dziurki od nosa, żeby wyrównać ciśnienie. Widząc wokół siebie wierzchołki rafy, oczyścił maskę i na głębokościomierzu, który miał na przegubie, sprawdził, jak głęboko się zanurzył. Czterdzieści pięć stóp pod powierzchnią. Opadł na piaszczyste zagłębienie. Płetwami poruszał biały piasek. Wi-doczność na tej głębokości była cudowna - ponad trzydzieści metrów, może nawet sześćdziesiąt. Wokół niego tańczyły czarno--żółte raszple, jakby oczekiwały, że je nakarmi. Dalej krążyły niezliczone grupki papugoryb. Rafa opadała stopniowo, tarasami od najwyższego poziomu. Z każdego tarasu sterczały fantastycznie powykęcane rogi koralu. Pod nimi przemykały żółte wargacze, zza dwóch rozwidleń koralu wyglądały nieśmiało rybki. Kiedy wypłynął z równiny, na której się zatrzymał, za nim niczym dwaj harcerze ruszyły dwa bekaśniki. Odplynął od kolejnego tarasu i pozwolił, żeby ciężar butli pociągnął go głębiej. Kątem oka dostrzegł barrakudę - stosunkowo niewielką, na pewno poniżej metra - która czaiła się, czekając na maruderów. Kiedy sprawdził poziom, był na głębokości sześćdziesięciu stóp, a dno oceanu jeszcze nie przestawało schodzić w dół. Wyżej, jakieś czterdzieści stóp nad sobą zobaczył Sandy'ego i młodego Kubańczyka, rysujących się wyraźnie na tle zalanej słońcem powierzchni oceanu. Płynęli w drugą stronę.

Na następnym tarasie zobaczył czarny koral. Odnosiło się wrażenie, że są ich całe połacie, inkrustowane młodymi okazami złocistych gąbek. Krążąc tam, Holliwell czuł się, jakby leciał nad strumieniem lawy porośniętej stokrotkami. Kiedy się zbliżył, widział korzenie i splot gałęzi rafy. Tego się nie da wyrazić słowami - myślał. Czuł, że serce coraz szybciej mu bije, krew tętniła w żyłach niczym narkotyk. Lodowata, delikatna uroda wykraczała poza możliwości ludzkiej ręki, nawet ludzkiej wyobraźni. A jednak wydawało mu się, że owa doskonałość prowadzi do poznania. Poznania czego? Nie wiedział. Czegoś zgubionego, a może zapomnianego? Dalej płynął wśród rafy. W dół. Nie pamiętał, kiedy ostatnio poruszanie się po świecie sprawiało mu taką rozkosz.

Na głębokości mniej więcej dziewięćdziesięciu stóp natknął się na uskok. Ostatni taras rafy nagle się urywał, za nim nie było nic, jedynie cienista, niebieska otchłań, próżnia. Kolory zanikały. W miarę jak schodził, ściana nabierała odcienia szarawego błękitu. Te barwne, wielokolorowe ryby wyglądały buro niczym makrela. Szary homar szukał schronienia w skale. Ol-brzymie szare okonie przybliżyły się, by mu się uważniej przyjrzeć. Na jego widok plamiasta morena cofnęła się w szczelinę w rafie, potem wysunęła łeb i ogromnym, szarym ślepiem śledziła ruch bąbelków powietrza. Powierzchnia wody stała się czymś odległym, złudnym.

Holliwell znajdował się na głębokości stu dziesięciu stóp i mierzył ciśnienie, który w chwili zanurzenia wskazywał dwa i pół tysiąca funtów na cal kwadratowy, teraz wskazywał niecałe osiemset.

To dobrze - pomyślał - że butla nie ma rezerwy ani zaworu.

Wystarczy akurat na powrót, kiedy ciśnienie się wyrówna. Na głębokości stu dwudziestu stóp nie opuszczało go radosne podniecenie i nie potrafił się powstrzymać od zrobienia salta. Był na krawędzi utraty świadomości. Pora wracać na górę. Kiedy rozpoczął powrót, zauważył u swoich stóp jakieś migotanie odbitego światła. Coś przemknęło. Po chwili szamotanina była już wszędzie - nad nim, pod nim. Niebieskie smugi, szybkie jak błyskawice. Kłębowisko walczących ryb. Zaczął pompować, próbował szybciej się wspinać - ale tak jak uczono w podręczniku, żeby nie znaleźć się przed bąbelkami powietrza.

Jakieś pięćdziesiąt stóp dalej zobaczył wyraźnie ławicę podobnych do makreli rybek, które pędziły ku

płyć. Gdzie się nie obejrzał, migają mu przed oczami szaroniebieskie strzały. I nagle odniósł wrażenie, jakby sam ocean zadrżał. Raszple, wargacze, papugoryby, które do tej pory krążyły leniwie, w jednej chwili znieruchomiały, drżąc tylko niczym żywa rzeźba. Holliwell obrócił się dokoła i zobaczył, że ten sam dreszcz przeszył wszystkie istoty żywe w okolicy. Przerazenie ogarnęło morze, niewidzialny cień, cisza w ciszy. Kątem oka dostrzegł ławicę łososi, która skręciła w lewo, potem w prawo, zatoczyła krąg w jedną stronę, w drugą stronę, niczym czerwono-biały fajerwerk na tle głębokiego grana-tu. Widok był równie hipnotyzujący jak kołowanie szpaków nad wiosennym pastwiskiem. Wokół niego ryby tkwiły nieruchomo, drżące, gotowe do ucieczki.

To tam - pomyślał wtedy Holliwell. Ogarnął go strach; strach wręcz namacalny, strach, który zmieniał jego serce w lodowaty kamień.

Ruszył w górę za szybko, ze wszystkich sił starając się zapana-wać nad paniką. Idź za bąbelkami. Idź za tą skaczącą piłeczką. Kiedy tak pracował nogami, pnąc się w górę, aż do bólu zdawał sobie sprawę, że jest tutaj jedyną istotą, która porusza się w określonym celu. To coś ukryte tam musi mnie mieć namierzo-nego - myślał, czując drgania wody, jakie wzbudzały jego ruchy. Przycmiony, prymitywny mózg odnotowywał gwałtowne gesty i dokonywał kalkulacji. Strach. Żer.

Holliwellowi kończyło się powietrze. Za dużo oddychał, przeliczył się z zawartością butli. Odgłos jego własnego rozpaczliwego chwywania tchu dodatkowo powiększał panikę.

Kiedy już zapanował nad oddychaniem i dotarł do pierwszego tarasu, stwierdził, że wystarczy się wspinać tak, jak prowadzi rafa. Na głębokości czterdziestu stóp wypatrzył piaszczystą dolinę podobną do tej, na której wcześniej wylądował, ale rogi były wszędzie takie same, liny od kotwicy zaś ani śladu. Podniósł wzrok i zobaczył sylwetkę Sandy'ego, który opuszczał się, by przyjść mu z pomocą.

Sandy złapał wskaźnik ciśnienia Holliwella, na widok odczytu pokręcił z wyrzutem głową. Wskazał w

prawo i w górę wzdłuż linii rafy. Tak długo jak potrafił, Holliwell piął się po stoku. Ryby na płyciźnie pływały spokojnie, leniwie. Kiedy usłyszał, jak ciężko sapie wciągając powietrze, pokonał kolejne trzydzieści stóp na trzech oddechach. Tam zaś, w zupełnie innym wymiarze, delikatnie kotysała się łódź, najmłodszy z Kubańczyków wychylał się, rozmarzony patrząc na powierzchnię wody, a matka przerzucała "Cosmopolitan". W oddali, przez nagrzane powietrze unoszące się nad plażą, majaczyła zielona linia brzegu. Monotonną zieleń dżungli bananowców burzył biały, drewniany budynek z krzyżem na samotnym wzgórzu. Holliwell przekręcił się na plecy i pod-płynął do drabinki.

Chłopiec i matka przyglądali się, jak Holliwell zdejmuje sprzęt.

Zanim odłączy! regulator od butli, jeszcze raz sprawdził wskaźnik.

Tuż przed wyjściem z morza została zaledwie odrobina tlenu. - Puściutkie - oświadczył pasażerom łodzi. Napięcie, pierwotne instynkty, które na głębokości stu dziesięciu stóp wystawiły go na śmiertelne niebezpieczeństwo, wszystko to sprawiło, że teraz był w gadatliwym, żartobliwym nastroju.

Chłopiec popatrzył na wskaźnik.

- Nic nie zostało? Ani odrobinę?
- Puste - potwierdził Holliwell. - Puściutkie.

Niezręcznie się czuł w towarzystwie chłopca i zdawał sobie sprawę z pewnej sztuczności swego zachowania. Jego dzieci wyszły z tego okresu jakieś pięć lat temu, a może i więcej; zapomniał już, jak z takimi rozmawiać. Ponowny brak wprawy - pomyślał.

- Jak to się stało? - spytała kobieta.

- Po prostu się skończyło - wyjaśnił pogodnie Holliwell.
- Co pan widział? - chciał wiedzieć chłopiec.
- Mnóstwo ogromnych ryb - odparł. - I piękne, czarne ko-ralowce.
 - A my nie możemy uszczknąć ani jednego - westchnęła kobieta. - Co za szkoda, są takie piękne.
 - Jestem przekonany, że najpiękniej wyglądają właśnie tam - usłyszał swoje wygłoszone pompatycznie

oświadczenie Holliwell. Kobieta zalała się rumieńcem i wzruszyła ramionami. Nie jest taka znowu

najgorsza, uznał Holliwell. Pogawędzili chwilę. Rodzi-na nosiła nazwisko Paz, mieszkali w Miami. Od 1961 roku. Wszyscy chłopcy tam przyszli na świat. Mąż był dentystą, ona zajmowała się nieruchomościami. Przyjechali tu w odwiedziny do brata, który ma w Tecanie pięć sklepów. Holliwell powiedział jej, że jest profesorem; kobieta za długo mieszkała w Stanach, żeby to mogło zrobić na niej jakiegokolwiek wrażenie.

Jako drudzy wynurzyli się Sandy i średni syn. Chłopiec wdrapał się na pokład i prychnął pogardliwie w stronę HoUiwella. Nurek jednym zgrabnym ruchem wyślizgnął się z oprzyrządowania. - No i czegoś pan tam szukał, hę? - zwrócił się do HoUiwella.

Uśmiechał się. - Nic nie wspominałem, żeby tak głęboko złązić.

- Cóż, chyba miałem ochotę się rozejrzeć.

- Sandy kazał mu wyjść z wody - oświadczył średni syn. Señora Paz i najmłodszy chłopiec posłali Holliwellowi oskarżycielskie spojrzenie. Po czym señora Paz spytała ostro, co się dzieje z jej mężem i najstarszym synem. Sandy uspokoił ją, że obaj są pod statkiem, pływają nad rafą.

Nie minęło kilka minut, a dentysta wynurzył się i wdrapał na pokład. Był w świetnym humorze, jego przyjacielski nastrój rozciągnął się także na HoUiwella.

- Gdzie, u licha, się pan podziewał? - spytał doktor Paz profesora. - Nigdzie pana nie widziałem. - W

jego amerykańskim prawie nie było słycać obcej wymowy.

- Sandy kazał mu wyjść z wody - powtórzył średni.

- Po prostu trochę za głęboko popłynął - uspokajał Sandy.

- Ciut za głęboko, a tam powietrze szybciej się kończy.

- A cóż to za atrakcje tam można znaleźć? - spytał dentysta.

- Sam uskok - odparł Holliwell.

- A głęboki ten uskok? Jak pan myślisz? - pytał ze śmiechem Sandy.

- Oj, głęboki.

- Dziewięćset metrów - powiedział Sandy.

- Czy to możliwe?

Uśmiech zniknął z twarzy Sandy'ego. Nurek z powagą skinął głową, w oczach lśniła pewność.

- Powiadam ci, człowieku. Dziewięćset metrów.

Kiedy najmłodszy chłopiec chciał się dowiedzieć, ile to wyniesie w stopach, Sandy się zawahał.

- Mniej więcej dwie trzecie mili - wyjaśnił dentysta. - Wydawało mi się, że uczyli cię tego w szkole.

- Taaa, tępaku - zwrócił się do młodszego brata średni.

- I co wy na to? - odezwał się Holliwell.

W tej samej chwili wynurzył się najstarszy chłopiec z pustą butlą.

- Orka, orka! - zawołali dwaj młodzi. - Wreszcie się wynurzyła!

Oczy chłopca lśniły, kiedy wspinał się po drabince. Trudno kogoś nie lubić - myślał Holliwell - kiedy się patrzy, jak wychodzi z wody po nurkowaniu.

- Rany - powiedział chłopiec do Holliwella - nigdzie pana nie widzieliśmy.

- Sandy kazał mu...

Señora Paz uciszyła swojego środkowego syna zmarszczeniem brwi i uniesieniem brody.

W drodze powrotnej do przystani hotelowej bawili się lekką, towarzyską konwersacją. W budce Sandy,

który wiedział, jak zarobić na duży napiwek, pomógł Pazom umyć i oczyścić sprzęt i wesoło

zagadywał chłopców. Holliwell odstawił sprzęt i usiadł na pomoście. Po jakimś czasie przybłąkał się

Sandy. - Jak długo pan nurkowałeś? - spytał.

- Miałem papiery przez dwa lata. Teraz rzadko się w to bawię.

Sandy zapatrzył się na ocean.

- W ubiegłym roku straciłem w tamtym uskoku człowieka.

Opuściłem się za nim na dwieście metrów, ale on dalej leciał w dół.

- Samobójstwo - stwierdził Holliwell.

- Nie inaczej. Facet naćpa się prochów i idzie w dół.

- Musiało się to zdarzyć nie raz.

Sandy skinął głową.

- Ja nikogo nie tracę - oświadczył. - Musi to zrobić z własnej chęci.

Holliwell mimowolnie się wzdrygnął.

- Sądził pan, że właśnie to robiłem?

- O, nie - zapewnił szybko nurek. Dotknął jego ramienia, ale nie patrzył Holliwellowi w oczy.

- Dziś po południu nie będę nurkował - powiedział Holliwell. - Może wyrzuciłby mnie pan gdzieś przy French Harbour. Chętnie bym sobie tam ponurkował z fajką.

Sandy nie miał nic przeciwko. French Harbour była mu po drodze. Powiedział Holliwellowi, że jeśli chce, kuchnia zapakuje mu lunch. Razem poszli w stronę zabudowań hotelowych. - Coś tam dzisiaj było w tym uskoku - odezwał się Holliwell.

- Może jakiś duży rekin.

Sandy zatrzymał się w miejscu i popatrzył na Holliwella, ocieniając ręką oczy.

- Widziałeś pan rekina?

- Nie.

- No to nie mów, że rekin, póki nie zobaczysz go na własne oczy.

- Coś tam się działo.

- Mówiłem, żebyś pan tak głęboko nie schodził, panie Holliwell. Po to mówię gdzie można nurkować. Tam nie ma co schodzić, to złe miejsce.

- Dlaczego?

Sandy ruszył dalej. Holliwell za nim.

- W tym uskoku ludzie widzą różne rzeczy, sami nie wiedzą co.

Potem się boją.

- Zawsze tak było?

- Po prostu niebezpieczne nurkowanie, to wszystko. Niby wszystko cacy, ale uskok jest złośliwy.

Schodzi człowiek głębiej, niżby chciał.

- Ale tam tak pięknie.

- Równie pięknie jak na górze - odparł Sandy. - W świetle zawsze jest piękniej.

- Tak - przyznał Holliwełł. - Tak, oczywiście.

Rozdział szesnasty

Po południu, siedząc w cieniu wernady, Justin próbowała ponownie przeczytać *To the Finland Station*. Prawie przysnęła, kiedy dostrzegła mężczyznę, który pływał bez aparatu w południowej części Playa Tatę. Nie pamiętała już, od ilu dni czekała gotowa na przyjęcie rannych powstańców. Nocami nie spała, w świetle lampki błąkała się między noszami, basenami, sprawdzała narzędzia chirurgiczne na małej tacce, a wszystko to do wtóru radia rządowego, a po zakończeniu programu - audycji radia Sił Zbrojnych USA bądź zagranicznego serwisu BBC. Czasem ściszała odbiornik i wyszukiwała fale Radia Hawana.

Noce ciągnęły się w nieskończoność.

Był właśnie przypyływ i mężczyzna przepłynął obok rafy i skierował się ku plaży tuż obok stopni wiodących do misji. Kilkaset metrów dalej ze wzgórz Sierra spływał spory strumień, który niósł ze sobą wszelkie odpadki i śmiecie z chat położonych wyżej. Niewielkie ujście strumienia było brudne, niezbyt nadawało się do pływania. Ale żyjące tam krewetki osiągały wyjątkowe rozmiary. Justin nieraz widziała, jak nocą podpływają tam statki hotelowe na połów. Co więcej, wiedziała też, że niedaleko zatoki w wodzie był głęboki rów, w którym czaiły się ryby młoty, polujące na te wyjątkowe krewetki.

Mężczyzna to zapewne turysta z któregoś z hoteli. Wkrótce będzie ich więcej, kiedy spółka owocowa

zlikwiduje niezyskowe plantacje i zmieni to miejsce w dochodowy kurort.

Niepotrzebna, idiotyczna obecność wielbiciela sportów rozdrażniła Justin. Jeśli dalej się będzie kręcił

w pobliżu rowu, będzie musiała zejść i ostrzec przed niebezpieczeństwem, a nie była w nastroju do osobistego zaangażowania. Co gorsza, jakby chciał jeszcze bardziej ją zirytować, mężczyzna wyszedł z

wody obok mołu misji, zdjął płetwy i usiadł. Obok niego przeszły dwie kobiety z koszami z praniem na głowach. Oczami wyobraźni Justin widziała ten fałszywy uśmiech, który niewątpliwie towarzyszył temu kretyńskiemu okrzykowi: Buenos días. Podczas gdy Justin obserwowała mężczyznę na pomoście, na werandzie pojawił się ojciec Egan.

- Ktoś jest na przystani - zwrócił się do niej.
- Turysta. Nurkował sobie.
- Jak myślisz, czego chce?
- Zapewne opalać się na gorących, pięknych plażach Tecanu.

Za to zapłacił.

- Ale dlaczego na naszym pomoście?
- Bo to jego. Na rany Chrystusa, Charlie, idź i go spytaj.

Przyglądała się, jak Egan powoli, ostrożnie człapie po schodach. Jego stan pogarszał się niemal z minuty na minutę, w ciągu ostatnich kilku miesięcy zestarzał się w zastraszającym tempie, czasem wyglądał, jakby tracił kontakt z rzeczywistością. Teraz Egan rozmawiał z turystą. Turysta przyjął od niego papierosa i ogień. Dziwaczna para - opalony, muskularny mężczyzna pochylał się nad przygarbionym, szarym księdzem. Obaj spojrzeli w stronę misji. Egan pokazywał las, który za nią rósł. Justin zerwał się niecierpliwie i weszła do środka zrobić sobie kawy.

Do tej pory to był tylko dym, powiedział kiedyś Godoy. I może nadal nic się nie zmieniło.

Nadejdzie czas - myślała - że będą ode mnie czegoś potrzebować: albo mej wyuczonej, cichej, troskliwej opieki, albo modlitewnego wyczekiwania. Ludzie - powiedzmy sobie szczerze: mężczyźni - zawsze wymyślali sobie jakieś szczytne ideały i dążenia, a ona miała radośnie im służyć.

Sprawiedliwość. Przyszłe życie. Rewolucja. Wszystko ma swoje granice - myślała dalej. - Justin męczennica.

Kiedy znowu wyszła na werandę, Egan i nurek siedzieli na mołu pogrążeni w konwersacji.

Cóż - pomyślała sobie. - Czemu nie, przecież teraz wszyscy jesteśmy turystami. Od tygodni nikt tu się

nie pokazał. Widać Campos miał jakieś sposoby, żeby nikt do nich nie zaglądał. Po kilku minutach zadyszany ojciec Egan wdrapał się na górę. - Wiesz, kto to jest, ten facet? To antropolog. Miał jakieś sprawy w mieście, a teraz przyjechał obejrzeć nasze ruiny. - Twoją i moją?

- Hmm. Sprytny dzieciak.

Ale Justin coraz bardziej niepokoił ten nurek.

- I zaproponowałeś mu, że go tam zaprowadzisz?

- Owszem. I zaprosiłem go na kolację w piątek.

Justin popatrzyła na niego wściekle.

- Idź tam i odwołaj zaproszenie - rozkazała. W jej głosie dźwięczała stal. - Nie przyjmujemy go tutaj.

- Przyjmujemy. I to jak najbardziej.

- Nie przyjmujemy, jasne? - Justin prawie krzyczała.

- A można wiedzieć, czemu?

Odwróciła wzrok, patrząc na morze.

- Wielkie nieba, chyba możemy wybrać się do miasta na kolację? Nie rozumiem twoich obiekcji.

Uważasz, że nie można się ze mną pokazywać w miejscach publicznych? Młazczę? - Nie o to chodzi

- odparła Justin.

Lepiej dać temu spokój - pomyślała. - Zawsze istnieje praw-dopodobieństwo, że tamten już się nie pokaże. Albo że Egan zapomni.

Przeglądała się nieznajomemu. Siedział teraz do pasa w wodzie, zakładając płetwy. Potem ruszył ku głębszej wodzie. Coraz bliżej rzeki. Jeśli będzie dalej tam płynął, trafi na miejsce, gdzie zupełnie nieoczekiwanie dno gwałtownie opada. A wtedy już po nim. To nie miejsce dla turystów: rekiny, dno pokryte szkarłupniami. Był już tuż tuż, kiedy nagle się szarpnął i przestał płynąć. Chłapał dokoła, trzymając się za kolano. Justin wstała. Turysta dowlóknął się do płycizny i leżał, rękami ściskając ranę. Niech cię licho - myślała. - Zastrany wycieczkowicz.

- Coś mu się stało - odezwał się bezradnie Egan.

- Wlaź na diabelnego jeżowca, bałwan. Albo coś go użarło.

Poszła do ambulatorium, po drodze zabierając z kuchni wiadro. Wlała do niego pół litra amoniaku i rozrobiła źródlaną wodą z kranu. Z rym roztworem ruszyła przez werandę, po schodach i na plażę.

Nurek siedział prosto, plecami obrócony do oceanu. Kiedy ją zobaczył, krzywił się z bólu. Zęby miał zaciśnięte, pobladł pod opalenizną.

- Niech pan lepiej patrzy, gdzie siedzi. Tutaj aż się roi od szkartupni.

Mężczyzna podparł się na łokciu i ruszył ku Justin, płetwą sprawdzając piasek. Justin wyciągnęła rękę,

chwycił ją mocno i zawisł na niej całym ciężarem, wlokąc za sobą zranioną nogę. Maskę przesunął na czoło.

Justin wyprowadziła go z wody i przyjrzała się jego nodze. Jak należało się spodziewać, kolano było spuchnięte, fioletowe, ster-czały z niego końcówki kolców. Justin wylała na nie roztwór amoniaku i przetrła wacikiem.

- Można też sobie je obsikać - wyjaśniła.

- Trudno sikać na kolano, kiedy się siedzi - odparł mężczyzna. Na jego twarzy malowała się wdzięczność i zawstydzenie. Był wysoki, dobrze zbudowany. Ale, zdaniem Justin, jego rysy świadczyły o miękkości i pobłażaniu sobie. Ale może to skutek bólu, no i fakt bycia turystą.

- Naprawdę, bardzo przepraszam, że narobiłem tyle kłopotu.

Jest pani z misji?

- Tak - odparła krótko.

Z torby wyjęła opaskę uciskową i ze spuchniętego kolana wyciągnęła jeden kolec.

- Widzi pan - powiedziała -jeden już mam.

- Jestem przekonany, że ma pani ważniejsze sprawy na głowie.

- Och, niechże pan da spokój.

Znalazła drugi kolec i też wyciągnęła.

- Przez jakiś czas będzie spuchnięte, ale najgorszy ból zaraz powinien ustąpić. Nic poważnego.

- Widać miałem szczęście.

- A i owszem. Kiedy pan tak się szarpnął, bałam się, że to rekin.

- Rekin? Tutaj?

- W tym rowie są rekiny. I dno pokryte jeżowcami. A woda jest zanieczyszczona. Zupełnie jak w zatoce.

- W takim razie lepiej, żebym się nie wypuszczał poza Playa Tatę.

- Lepiej niech pan tak zrobi. To wredne miejsce.

I co teraz? Powinno mu się dać aspirynę i schować w cieniu. Nie wygląda, żeby był w szoku. Opieka medyczna dla turystów. Pomogła mu przejść przez zakurzoną drogę, usadziła pod drzewem ceiba, po czym wróciła do punktu po aspirynę. - Biedaczysko - odezwał się Egan, kiedy przechodziła przez kuchnię, zostawiając wiadro. - Miły gość.

- Aha - ucięła krótko.

Kiedy zeszła do niego, drogą przechodziło dwóch młodych wałkoni z miasta, którzy zatrzymali się na chwilę i kpili z niefortunnego nurka. Rzeczywiście, widok był godny pożałowania: płetwy na kolanach, maska i rurka ciągle na głowie, sine kolana. Nie pasujący, nikomu niepotrzebny gość.

- Niech pan połknie aspirynę - powiedziała. - Dwie. Zapomniałam wody.

Wziął tabletki, przełknął. Twarz powoli nabierała koloru. W świetle słońca, które przedzierało się przez gęste liście drzewa, Justin zauważyła dwie identyczne, prawie niedostrzegalne blizny na prawym uchu. Nie miał też maleńkiego kawałka płatka usznego.

- Nazywam się Frank Holliwell - przedstawił się nurek. - Do-piero co rozmawiałem z ojcem Eganem.

- Lepiej już? - Kiedy słońce nie padało na ucho, blizny nie było w ogóle widać. - Jak pan wróci?

- Ma po mnie przyplłynąć statek. - Popatrzył pod słońce przez liście ceiba. - Powinni być lada chwila.

- Dobrze się pan czuje?

- Znacznie lepiej.

- Dobrze. Niech pan teraz uważa na siebie.
- Rozumiem, że zostałem zaproszony na kolację w piątek.
- Nie, nie sądzę - odparła Justin, zalewając się rumieńcem. - Ojciec Egan chce chyba się wybrać z panem do miasta. Jeżeli będzie się dobrze czuł.

- Rozumiem.

- Straszny u nas nieporządek. Wkrótce się wyprowadzamy. Czują się niezręcznie pod tym spokojnym, beznamiętnym spojrzeniem nieznanego. Szybko zerknęła na ucho, w słońcu blizny znowu stały się widoczne.

- Będą musieli sobie radzić bez nas.

- Jest pani zakonnica?

- Zgadza się.

Spytał, do jakiego zakonu należy. Powiedziała. Kiwał potakująco głową, jakby nazwa Devotionist była mu znajoma. Katolik. - Dostawał pan od nich linijką po łapach? - spytała lekko.

- Nie po łapach. Od tego byli jezuici.

- Aaa... Rozumiem. Cóż, to... Wyższe sfery.

- Czy siostra też wybierze się z nami na kolację?

Zaskoczył ją ton, jakim postawił pytanie. Tak jakby z nią flirtował. Co się dzieje na tym świecie? - pomyślała. - I skąd ja mam wiedzieć?

Justin nieraz się przytrafiło, że nieco się odprężyła i zaczynała rozmawiać z mężczyzną poważnie i otwarcie, a ten czym prędzej dochodził do wniosku, że ona z nim flirtuje. Drażniło ją to. Chyba miało jakiś związek z jej wyglądem.

- Nie, nie mogę - odparła. - Muszę spakować całe ambulatorium.

- 1 jak się człowiek czuje jako zakonnica w tych czasach?

- Och, cóż, są przeróżne rodzaje zakonnicek.

No, nie - pomyślała. - Niech to. On naprawdę zaczyna z nią flirtować. Pewnie nie może nad sobą

zapanować. To stąd ta miękkość jego rysów.

- A pani?

- Jak ze średniowiecza. Jak z innego świata.

Kiedy się roześmiał, wbrew jej woli ogarnęło ją zadowolenie.

- Co to za ślady ma pan na uchu, panie Holliwell? - spytała.

Niech się znajdzie w defensywie.

Wyglądał na zaskoczonego i zawstydzonego pytaniem. - To znak przynależności do plemienia.

Przywiozłem to z południowo-wschodniej Azji.

- Naprawdę? Skąd?

- Z Indonezji - odparł szybko. - Z wyspy Sulawesi. Jestem antropologiem.

- I od tamtej pory przyjęli pana do swojej paczki.

- Tak - potaknął. - Do ich paczki. Poprosiłem o najmniejszy znaczek.

Dobiegł ich warkot silnika dużej motorówki. Obejrzeni się.

W stronę Playa Tatę nadpływał statek z hotelu Raj. - Cóż, niech pan uważa na nogę. Powinien pan

być wdzięczny losowi, że ukląkł na małym jeżowcu, inaczej mogło by się skończyć krojeniem nogi, żeby się dostać do kolców.

- Dziękuję.

- I niech pan go pilnuje.

- Słucham?

Roześmiała się.

- Swojego kolana.

- Och... tak. Siostrze, może moglibyśmy się jeszcze spotkać.

W ruinach, albo gdzieś. Bardzo chciałbym z siostrą porozmawiać.

- Będę dość zajęta.

- Pakowaniem i odmawianiem zdrowasiek.

Uśmiechnęła się i odwróciła. Zachował się impertynencko, zarozumiale i bezczelnie. Właśnie takich mężczyzn jak on określała mianem prymitywów. Ale równocześnie był dość miły. I nie tylko turystą - pomyślała. Justin potrafiła myśleć jak snobka. Kiedy znowu znalazła się na werandzie, ogarnęła ją radość. Samo odkrycie źródła tego wesela ją przygnębiło. Po chwili znowu czuła się winna i zawstydzona. Uderzyło jej do głowy. Głupota. Ale na myśl o kolejnej nocy spędzonej na wyczekiwaniu przechodziły ją ciarki. Mimo to nie wolno jej opuszczać rąk. Musi dalej im wierzyć.

Oparła się o poręcz, zaciskając wokół niej dłoń tak mocno, aż kostki jej pobieleły.

- Chryste, to nie do zniesienia - odezwała się na głos.

Egana znalazła w kuchni. Pijanego.

- Cicho, cicho - uspokajał. - Dobra dziewczynka.

Rozdział siedemnasty

Kiedy Pablo otworzył luk, oślepiły go jasne promienie słońca. Boso, bez koszuli wyszedł na rozgrzany pokład rufy. "Chmura" kołysała się przycumowana do betonowego mola w mieście, gdzie wszystkie domy były pokryte czerwoną dachówką, ulice zaś, w przeciwieństwie do Palmas brukowane, a ściany budynków portowych otynkowane na biało. Nad kapitanatem portu powiewała flaga z białym krzyżem i gwiazdami na niebieskim tle i druga, z trzema poprzecznymi pasami w barwach narodowych Holandii. Za miastem rozciągała się pustynia porośnięta kaktusami i kłującymi akacjami. Nad migotliwą wodą zatoki otoczonej wapienną palisadą wznosił się pojedynczy, biały szczyt niczym słup soli.

Koniec oszczędzania wody. Pablo wziął wąż i chlusnął sobie na głowę i twarz strumieniem świeżej wody. Ożywczej, chłodnej, źródlanej. Kiedy wycierał oczy, zobaczył nadchodzącego Tino. - Masz ochotę na łyk piwa na dobry początek dnia? - spytał pogodnie Tino.

- Zgrywasz się?

Tino ruchem ręki wskazał za pokład. Na pomoście stało dwa-naście skrzynek piwa Amstel.

Złocistowłosy Kreol prowadzący wózek widłowy stawiał następne.

- Idź, weź se - powiedział Tino, klepiąc go po ramieniu. Pablo zdążył już wziąć poranną dawkę benzedryny; przeszył go dreszcz obrzydzenia i gniewu. A niech się od niego odpieprzy. Przeskoczył nad relingiem i uważnie przyjrzał się miastu. Za przystanią znajdowało się kwadratowe targowisko, nad którym dominował kamienny budynek z dwuspadowym dachem; nad wejściem widniał napis "Bracia Perreira". Po prawej stronie, za murem ogrodu, w którym rosły palmy i bananowce, stał rządowy budynek z tymi samymi dwiema flagami, co nad kapitanatem portu.

Przy pobliskim molu widać było dwa holowniki, jeden pod amerykańską, drugi holenderską banderą.

Obok nich kotowały się dwa niewielkie wenezuelskie frachtowce. Więcej statków Pablo w porcie nie wypatrzył.

Podniósł skrzynkę piwa, wniósł ją na pokład i postawił obok ładowni z przodu. Po chwili wpadł w rytm; tempo, pot i prażące skórę słońce sprawiały, że czuł się przepotężny. Kiedy już piwo znalazło się na pokładzie, trzeba było wnieść kartony mrożonego mięsa, potem warzywa i owoce.

Mijając zamkniętą główną kabinę, za każdym razem słyszał głosy konferujących w środku osób i choć

nie rozumiał po-szczególnych słów, ton rozmówców kazał się domyślać wielkiej fortuny i wyjątkowej wygranej. Coraz mniej mu odpowiadała ta durna robota, czuł się manipulowany.

Po niecałej godzinie uznał, że pora na odpoczynek. Kartony niech się piętrzą na pomoście, on musi się schować przed słońcem. Tino siedział w maszynowni, grzebiąc w silniku. W cieniu luku Pablo dumał nad układami, w jakie się wpakował. Nie mógł przestać myśleć o starcu imieniem Naftali, który teraz siedział z tamtymi w kabinie, który mieszkał w pokoju hotelowym, gdzie mógł się tarzać w banknotach studolarowych.

Zrobiłem, co do mnie należało - myślał dalej. Tysiące mil dzieliło go od ohydy życia z dnia na dzień. McPhail i jemu podobni, nędzna przyczepa, ta dziwa i jej szcurze żarcie odeszły w przeszłość.

Znalazł się tam, gdzie powinien. Tam, gdzie albo się wygrywa, albo ginie. Utonie albo da się wsadzić

za kratki, gdzie odsłuży swoje. Ale jeśli mu się powiedzie, jeśli wygra, wróci i nikt nie będzie śmiał go tknąć. Albo osiedli się na jakiejś wyspie - lepszej niż ta - i stanie się jednym z tych, o których czyta się w Jeźdźcachfortuny: ludziach, którzy szukali przygód w tropikalnych krajach, a dzięki swej sile i sprytowi wygrali, dorobili się majątku i teraz pławiają się w luksusie w swoich willach nad zatoką z pięknymi żonami, tubylkami.

Ludzie chcieli, żeby człowiek się uważał za byle co. Dzięki temu można było nim manipulować i tak zostawało się na lodzie. To samo powtarza się i teraz - myślał. - Siedzą sobie w kajucie, ubijają wielkie interesy, a on musi targać ich żarcie. Zapłacą mu albo nie. Dla nich był zwykłą ofiarą losu. Jedną z wielu. Prawda zaś wyglądała tak, że są starzy i słabi. Grali wysoko, zrobili swój ruch, ale byli słabi. Callahan tankuje. A gdzież tam Negusowi i Callahanowi do niego? Ich dni się kończą. Nadeszła pora na kogoś młodszego, twardszego. Wszystko to kwestia woli. Jeśli pozwoli się, żeby słabeusze wleźli człowiekowi na głowę, będą go uciskać. Całe życie mu włożyli na głowę, ale nadeszła pora odwetu. Jest młody. Silny. Jeździec fortuny. Obejrzał sobie ich z bliska. Nic wielkiego.

Co prawda Naftalego w pokoju pełnym studolarówek nie widział. Ale Naftali się starzał. Tracił czuja.

Czy był równie mierny jak cała reszta. On, Pablo, sam się przekona. Trzeba zaryzykować, kto nie ryzykuje, nie wygrywa. A tutaj odchodziła jakaś zupełnie nowa gra. Pablo zaczynał podejrzewać, że wszystko się ułoży po jego myśli. I wtedy przyłazł Tino i wydarł się na niego. Ten smoluch kłął go w żywy kamień, i to w obecności pozostałych czarnuchów w porcie. Pablo został z powrotem zagoniony do roboty. Uginając się pod ciężarem sieci i pudeł części zamiennych, rozpamiętywał każdą obelgę, każde upokorzenie, które musiał znieść. Przemykały mu przed oczami równie jasne i bolesne, jakby każdą z nich przeżywał od nowa.

Kiedy wreszcie wszystkie produkty znalazły się na pokładzie, wziął kolejną tabletkę benzedryny, po czym podjął ostateczną decyzję. Uświadomił sobie, że tamci nigdy mu nie zapłacą. Uważają go za kretyna. Pora na następny ruch. Człowiek nie żyje wiecznie. Nie dorobi się, jeśli będzie grał ostrożnie. Próbował zostać wzorem cnót obywatelskich i skończył mieszkając w przy-czepie z niedouczoną

dziwką i dzieciakiem, którego nie był w stanie utrzymać. Nigdy więcej. Jeśli pozwolisz, żeby inni tobą rządili, skończysz jak wszyscy.

Po południu Tino wysłał go do kapitanatu portu po dokumenty "Chmury" i przedłużone pozwolenie na połów. Kiedy wrócił na pokład, konferencja już się skończyła. Żaluzje w kabinie były odślonięte, Naftali zniknął, zanim Pablo zdążył go obejrzeć. Callahanowie wyszli w kostiumach kąpielowych.

Pablo spytał, czy może wziąć prysznic.

- Nie krępuj się - odparł Callahan. - Już skończyliśmy. Callahan wygląda całkiem nieźle - pomyślał

Pablo. - Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę jego wiek i ilość wlewanego w siebie alkoholu.

Widok pani Callahan w bikini pobudził wściekłość Pabla i utwierdził go w raz podjętej decyzji. Zauważył, że Negus wreszcie pije piwo.

- Wybieramy się na plażę - odezwała się Deedee. - Aż do nowego hotelu. Ktoś chce się przyłączyć?

Pablo potrząsnął głową.

- Tino - zachęcała. - Chcę się przekonać, czy pokażesz nogi.

- O, nie - bronił się Tino. - Nie ja.

- Założę się, że nie umie pływać - zwróciła się do męża.

- Pływak zawołany - powiedział Tino ze smutnym uśmiechem. - W razie gdybyś potrzebował Naftalego, jest w hotelu Hollandia - zwrócił się do Negusa Callahan. - Pewnie w wyrze, o ile wiem, nie czuje się najlepiej. - Powiódł po swoich ludziach wzrokiem zadowolonego właściciela. - No, chłopcy, chyba nie narozrabiacie pod naszą nieobecność, co?

W tej samej chwili Pablo zauważył, że pomieszczenie obok kuchni stało otworem. W najwyższej szufladzie kłębiły się części do radia i inne rzeczy, które warto by trzymać pod kluczem.

Automatyczny pistolet, nawet nie wyjęty ze skórzanej kabury, leżał w najniższej szufladzie. A kłódka wisiała otwarta. - Chyba się umyję - powiedział Pablo.

Poszedł do swojej dziury po ręcznik, klapki i czystą bieliznę. Buty zostawił obok luku, obok nich pod

skarpetkami schował portfel i paszport. Włożył okulary i czapkę. Daszkiem osłonił oczy i usiadł na jednym z krzeseł w sterówce. Obrócił się tak, by widzieć główną kabinę i otwartą szafkę.

W kabinie Negus padł na drewnianą ławkę, nogi położył na stole, plecami opierał się o ściankę. Całą noc nie spał, pił od rana. Na stole, tuż obok jego nóg, stała szklaneczka czystego rumu.

Tino zniknął w maszynowni razem z jakimś ziomkiem z St. Joost. Dobiegało stamtąd stukanie przerywane cichymi przekleń-stwami.

Siedząc w obrotowym krześle, Pablo czuł się czysty, odświeżony, gotowy. Czekał, aż Negus zaśnie. Poganiając w duchu Freddy'ego Negusa, zerknął na książki ustawione obok Modaru. Znalazł dwie książki kodowe Straży Przybrzeżnej Stanów Zjednoczonych: w twardej oprawie z napisem "Tajne". Oprócz tego aktualną locję Straży Przybrzeżnej. Obok nich stały księgi kodowe mary-narek Tecanu i Composteli, tak podobnie wydane i o tak podobnym układzie, że miało się wrażenie, że wyszły z tej samej drukarni. Pablo ani w ząb nie rozumiał technicznego hiszpań-skiego, którym były napisane, ale poznał listę wojskowych czę-stotliwości i kodów.

Kiedy Negus zaczął wreszcie chrapać, Pablo cicho odłożył książki, wstał i bosy przeszedł do kuchni. Negus spał w głównej kabinie, niecałe trzy metry od niego. Odchyloną głowę oparł o drewnianą boazerię, usta miał otwarte. Pablo chwilę odczekał, wpatrując się w uśpioną twarz Negusa i wsłuchując w odgłosy pracy dobiegające z maszynowni. Narzędzia dalej stukały. Nie spuszczać wzroku z Negusa, schylił się i z najniższej szuflady wyciągnął pistolet. Cofnął się cichutko do sterówki i w pośpiechu zapiął szelki, chowając broń pod pachą. Kiedy skończył, Negus nadal chrapał, a Tino z pomocnikiem stukał w maszynowni. Z koszulą wypuszczoną na spodnie, Pablo wyszedł na pokład, zabrał buty i usiadł na brzegu włazu. Włożył do kieszeni portfel i paszport, niespiesznie wciągnął skarpety i kowbojskie buty. Zmusił się, żeby chwilę odczekać, potem przeskoczył przez reling i wolnym krokiem ruszył w stronę miasta. Na pokładzie "Chmury" nie było widać żywego ducha. Idąc w stronę rynku, nie mógł się powstrzymać i co chwila dotykał pistoletu ukrytego pod pachą. Kiedy promień słońca zajął do sterówki, a przez nią do kuchni i kabiny, Negus ocknął się i ścisnął rękami

głowę. Po chwili wstał, wzdrygnął się i wyszedł na pokład, dłonią zasłaniając oczy przed słońcem. Wąż leżał obok luku na rufie, Fred odkręcił kurek, przytrzymał szlauch nad głową i łapczywie pił wodę. Spod pokładu wynurzył się Tino w poplamionej smarami fioletowej koszulce i zabrał mu wodę.

- A gdzie dzieciak? - spytał Negus.

Tino przepłukał usta i splunął na pokład.

- Nie był z tobą?

,

Popatrzyli na siebie i ruszyli na poszukiwanie Pabla. Negus wołał go głośno. Sprawdzili kabinę i przegrzebali jego rzeczy. - Skurwiel zwiął - powiedział Negus.

- Zostawił łachy.

- A widziałeś gdzieś jego paszport?

Poszli do kuchni i pochylili się nad szafką. Negus przetarł oczy.

- Może nie wróci - odezwał się Tino.

- Zabrał stąd swoje zabawki - stwierdził Negus, z hukiem zatrzaskując szufladę. Nie zwracał sobie głowy zamykaniem jej na kłódkę.

- Dopadnę go - warknął Tino. - Nie ma takiego miejsca, w którym bym go nie znalazł. Nie w tej dziurze.

- Dobra - zgodził się Freddy Negus.

- Mam go przyprowadzić?

- Dowiedz się, co ten cholernik knuje, i daj mi znać. Wtedy się zastanowimy.

- Sie robi.

Negus przyglądał się, jak Tino szybkim krokiem idzie w stronę portu. W tej samej chwili dwaj młodzi wyspiarze, którzy siedzieli na pomoście, wstali i ruszyli razem z nim.

Rozdział osiemnasty

Holliwell dopił rum, przez chwilę rozważał, czyby nie łyknąć drugiego, i postanowił, że owszem. Nalał sobie szybko, z poczuciem winy. Dawno tyle nie wypił, a do tego jeszcze palił. Siedział w wiklinowym fotelu na ganku swojego domku w Raju, nogi oparł o poręcz i patrzył na rozciągający się przed nim ocean.

Czysty rum wyganiał z jego umysłu chorobę. Siłą woli koncentrował myśli na jasnookiej kobiecie z plaży przed misją. Pamiętał całkiem wyraźnie bezosobową, chłodną fachowość jej ruchów, kiedy wyciągała go na brzeg. Leciuteńki dotyk, niemal gest, ale musiała weń włożyć całą siłę. Przez kilka sekund opierał się na niej. Ciekawe. Znak czego? Zaufania. Pewności siebie. Bezczelnego zadufania, automatycznego przekonania o własnej wyższości, które tak cudownie było widzieć. Zakonnica.

Na myśl o niej chciał mu się śmiać. W rym samotnym śmiechu brzmiał podziw, pogarda i zazdrość.

Bardzo złudna rzecz, ta kobieca arogancja. Niektóre kobiety w swoich kontaktach z mężczyznami nie potrafią się powstrzymać od dawania do zrozumienia, że to one lepiej się czują na świecie. Zupełnie nie sprowokowane, rozwijają swe mityczne proporce. Te, które przynoszą życie. Tajemnicze Parki. Zginają się, ale nie łamią. Bardzo szybko to stało się bardzo prymitywne. Mówiąc o sprawach przyziemnych typu ludobójstwo czy pogoda odprawiły tajemne obrządki, robiły z tego Bóg wie co. Wasze widzenie jest niewyraźne, dawały do zrozumienia, tylko nasze oczy patrzą jasno. Mamy za sobą wasze deklaracje, gwałty, majaki i złudzenia - i przeżyliśmy. Na wszystko potrafimy patrzeć tak samo, potrafimy stworzyć łagodność. Dorośnijcie, mówią.

Odpowiedzi różniły się, były bardzo złożone, ale we wszystkich pojawiała się prymitywna wściekłość.

Cipa! Pizda, suka, dziwka! Ewa, Lilith, nie dająca spać, leniwa, brudna. Jesteście mniej ludzkie od nas - co znaczy, że bardziej ludzkie. Idźcie się umyć, dopasujcie się do naszych fantazji. Nie słyszycie naszych werbli! Nalał sobie jeszcze rumu i dopełnił szklankę ciepłą lemoniadą.

Lód w wiaderku stopniał.

Podobała mu się, to proste. Mógłby powiedzieć, co mu ślina na język przyniosła, albo nie powiedzieć

nic, i wtyki czy inni kapusie mogliby sobie z tym robić, co chcą. To bez różnicy. O to był najzupełniej spokojny.

W takim razie, czy ona czuła się w świecie jak u siebie? We współczesnym świecie - tak samo jak ów Żyd w owej niezrozumiałej przenośni? Wyglądało na to, że tak, owszem. A samo pytanie zapewne nigdy jej nawet nie przeszło przez myśl. Chętnie by ją o to zapytał. W końcu był antropologiem. Za kogo ty siebie masz, co ty sobie wyobrażasz?

Tak czy owak, ta kobieta widać uważa, że świat powinien zostać stworzony wedle jej zachcianek, tak

by zamieszkało w nim zadowolenie. W imię Boga, Ludzkości i innej Wyższej Wartości - nowy porządek czasów z górą, dołem i bokami. Odpowiednie konsekwencje jako skutki odpowiednich czynów. Wspaniały sposób widzenia świata - myślał. - Gdyby wygrał, przyniósłby nowe formy sztuki, swoją własną architekturę, nawet sposób odżywiania.

Kiedys w Sajgonie palił opium z młodym oficerem lotnictwa, który opisywał siebie jako zwycięzcę.

- Jeśli spróbujesz mi się przeciwstawić - twierdził ów oficer - wygram. A ty przegrasz.

- Zawsze? - spytał Holliwell.

Zawsze, wyjaśnił oficer. Bowiem skłonność do przegranej jest powszechna, a zaledwie garstka ludzi potrafi ją przewyciężyć. Holliwell zaryzykował stwierdzenie, że to musi być bardzo dziwne: do wszystkiego podchodzić z pełnym przekonaniem o zwycięstwie.

Oficera niełatwo zbijało się z tropu. Nosił okulary tak grube, że mimowolnie człowiek zastanawiał się,

jakim cudem w ogóle znalazł się w armii.

- Moim zdaniem - odparował pilot - dopiero dziwne jest podejmowanie działania, skoro się wie, że się

przegra. To mówiąc utkwiał w rozmówcy spojrzenie pełne satysfakcji. Oczy schowane za okularami należały do człowieka przekonanego o swej racji, tolerancyjnego i niespełna rozumu. Ale argument był trafny i oficer, tak jak zapowiadał, w tej utarczce słownej wygrał. Myślenie pozytywne. Ludzie, którzy w nie wierzyli. Jak to możliwe? - zastanawiał się Holliwell. - W jaki sposób potrafili samych

siebie przekonać, że w tym wirującym bajorze, jakim jest rzeczywistość, opatrność daje im przesłanie? Wizje, słyszenie głosów, życie swoimi i cudzymi halucynacjami, plakaty, piosenki, prymitywne rysunki, namiastka modlitwy. Szeregi bag-netów, rytm marsza, kadzidła albo pochodnie, hasła wznoszone jednym głosem, walki gołębi - wszystko to hipnoza. I to właśnie oni byli wampirami. Świat krwią opłacał ich wprowadzone w życie złudzenia, ale nikt nie protestował, bo przez jakiś czas czuli się lepiej. A teraz wyłączyli swój głos sumienia: musiało być dobrze, bo w końcu to oni. To my, my, poznajecie. Jesteśmy którzy, jesteśmy, którzy widzimy, tą bandą. I w końcu nadchodziło nieuniknione: nudził ich sprzeciw. W końcu nadchodziło nieunik-nione: odkrywali podstawowy sposób komunikowania się, od-krywali morderstwo. Morderstwo było zbawienne, dzięki niemu znowu nabierali mocy, jeśli czuli się bezsilni i niegodni. To była rzeczywistość, dzięki niemu znowu stawali się ludzcy, a odwołanie się do śmierci przypominało wszystkim, że czas jest krótki i nie ma co rozrabiać. Słabszym wystarczała akceptacja morderstwa. Nieszczęśliwi profesorowie, duchowni z niedoczynnością tarczycy, dzieci kwiaty, wszyscy oni mogli od Gauleitera uczyć się pogardliwego prychnięcia. Akceptacja świadczyła o tym, że są reali-stami, co z kolei świadczyło o tym, że są realni.

Od rumu bolała zraniona noga.

Nie ma sensu się wściekać. W jego wieku rzeczy powinno się przyjmować takimi, jakimi są. Rozpacz to też bezsensowne pobłażanie sobie, nie tak zabójcze jak próżna wiara, ale mamiące. A rozdrażnieniem nie stawi się czoła armiom złudzeń.

Trzeba koniecznie wierzyć w siebie. Bardzo, bardzo trudne. Człowiek to przecież zlepek zrywów, szarpnięć. Płynne to, bez stałego kształtu, zmienne, nieukształtowane - ale musi wystarczyć.

Samotność jest taka trudna.

W zapadającym zmroku myślał o niezmaconej ciszy, która zapadła nad rafą. Strach i niewyraźne barwy koralowców tkwiły w jego wspomnieniu niczym fragmenty zbiorczej pamięci, od-wiecznego snu. Zamknął oczy i słyszał swój oddech, czuł, jak

* panika niczym narkotyk pulsuje mu w żyłach.

Nie ma tu nic do roboty.

Drogą szło trzech mężczyzn, dźwigających drewno. Ich przygar-bione sylwetki rysowały się na tle fioletowoszkarłatego horyzon-tu. Kiedy się zbliżyli do terenów należących do hotelu, skręcili i szli okrężną trasą, żeby nie drażnić nerwów wrażliwych gości. To była diorama znoju i nędzy. Siedzącego w bujanym fotelu Holli-wella ogarnęło stosowne poczucie winy. B. Traven - ale to było takie południowe, że stanowiło zwykłą rzeczywistość. Znajome skubanie sumienia traktowane jak wizje. Noszenie drewna zawsze odbierze się inaczej, zależnie od stanu zdrowia, ducha i pory dnia. Siedzenie w hotelu i obserwowanie chłopów dla osób odpowiednio do tego przygotowanych zawsze było takie samo; ostatecznie nieodmiennie prowadziło do uzalania się nad sobą. Nie miał nic do roboty pod wodą. Ani tutaj, pod tym per-fumowanym niebem.

Przypomniawszy sobie, że, podobnie jak inni, miał coś do roboty. I to było rzeczywiste, jak on sam, jak ci

inni. Swoją robotę odwalił w University Park, jak najbardziej rzeczywistym miejscu, choć niedawno stworzonym. Był to obowiązek męża i ojca: uczyć, nawet inspirować, no i przetrwać. To nie było trywialne. Jakaś wynaturzona duma może nimi i gardzić, ale honor nie. Bo w końcu za kogo on siebie ma?

Czasem człowiek ma lekki przebłysk. Człowiek jest tylko tu i teraz, niezależnie od tego, co owo teraz znaczy.

Wir. Ludzie znikali, mówiono, że zginęli, jak na wojnie. Albo ich otoczenie się zmieniało jak dekoracje

w sztuce, tak że zostawali nieodpowiednio ubrani, odgrywali niewłaściwe role. Niektórzy znikali, pozostając, ryle że w ich mózgach niezdrowe myśli wyzarły dziury albo rozrosły się pasożyty.

Świat i stanowiska ludzi zmieniały się bezlitośnie. Karuzela krążyła nie zwalniając. Ubiegłotygodniowa

katastrofa lotnicza wysłała zdumionych sprzedawców na skały. Na koralowce i ryby piły spada suchy deszcz. W podmiejskich centrach handlowych po chodnikach idą pierwsze strunowce. Ich zewnętrzne

szkielety dokładnie upodabniają się do wyższych stworzeń. Za łagodnymi ślepiami ośmiornicy - szczątkowe skrzela i ostre zęby. Wynosić się stąd. Co do jednego. Reszta to fantazje. Zbyt ciekawie było to rozważać, żeby dalej rozważać. Kiedy na niebie zabłyśły gwiazdy, jego sercem zawładnęła strach. Przed oczami widział szmaty powiewające na wietrze, w ustach czuł smak garbarni. To wspomnienie dzieciństwa.

Wypił jeszcze, ale rum nie pomagał. Oto, co zostaje - pomyślał.

Rozdział dziewiętnasty

Późnym popołudniem Pablo siedział w barze El Wowo przestępując z nogi na nogę. Pił słaby rum i zabijał czas. Dobrze po zapadnięciu zmroku wyruszył na ulicę. Czuł się, jakby był uosobieniem konspiratora i siły. Ponury, niemal wściekły szedł wzdłuż mury pałacu gubernatora.

Hotel Hollandia, w którym miał mieszkać Naftali, znajdował się dwie przecznice dalej, na końcu ulicy.

Pablo dopadł do niego, napięty, próbując się rozluźnić. Spróbuj wziąć to na spokojnie, po co te nerwy.

Hotel okazał się piętrowym budynkiem z niewielkim ogrodem za ogrodzeniem. Na werandę wchodziło się po czterech, wyłożonych płytkami stopniach. Pablo pokonał je szybko i zajrzał do środka. W hallu nikogo nie było, za niewielkim kontuarem nikt nie stał. W pomieszczeniu dalej ktoś oglądał telewizję, komedię muzyczną po hiszpańsku ze stacji Caracas. Nikt się nie pojawił, kiedy Pablo ruszył na górę.

Korytarz pierwszego piętra pachniał lakierem i środkami owado-bójczymi. W głębi na wietrze powiewała nie dopasowana żaluzja. Z futryny złaźła farba. Lekkie stukanie żaluzji zagłuszyło ciche kroki Pabla.

Tylko pod jednymi drzwiami widać było smugę światła, w głębi korytarza, niedaleko okna. Drzwiami z numerem osiem. Po drugiej stronie stał pojemnik z chłodną wodą, obok plastikowy kubek. Pablo ruszył, obejrzawszy się przez ramię i sprawdzwszy schody, po czym ustawił się przed drzwiami do ósemki. Zaniepokoiły go głosy, które dobiegały ze środka. Rozmówcy posługiwali się jakimś obcym

mu językiem. Może holenderskim. Przez chwilę nasłuchiwał, wreszcie stwierdził, że to tylko jeden głos i jeden rozmówca. Mężczyzna mówił rozwlekle, niewyraźnie, jak pijak, który rozprawia sam ze sobą.

No, no - pomyślał Pablo. - Szybko się wstawiamy, co, przyjacielu?

Podszedł do pojemnika i cicho napełnił kubek wodą. Potem przykucnął przy drzwiach i zaczął wylewać jego zawartość. Drzwi otworzyły się niemal po pierwszej kropli.

Nad Pablem stał mężczyzna o jastrzębiej twarzy w niebieskim szlafroku i kapciach, który mierzył w gardło Pabla z broni, wyglądało to na automatyczny pistolet. Ręka ściskająca pistolet drżała, ale zamiary gospodarza nie pozostawiały cienia wątpliwości. Pablo odstawił kubek i podparł się na kolanie przyklękając. - Cóż to, marynarzu? - odezwał się mężczyzna o ostrych rysach twarzy.

Kiedy się schylił, żeby zabrać Pablowi pistolet zza rozpiętej koszuli, ten zdał sobie sprawę, jak niepewna była ręka starego. Gdyby nie to, że na chwilę sam stracił równowagę, Pablo może by i spróbował jakiegoś ruchu. Ale teraz było już za późno. Sklerotyczne ruchy starca przerażały go, a równocześnie dodawały odwagi. - Wreszcie przyszedłeś - mówił dalej mężczyzna. - Czekałem na ciebie cały wieczór.

- To nie ja - odparł Pablo, przyzwyczajając wzrok do słabego światła pokoju. - Zdaje się, że obaj się pomyliliśmy. Wie pan, chciałem zrobić kumplowi dowcip.

- Aha - stwierdził człowiek z pistoletem. - Śmieszne.

- Jak Boga kocham - błagał Pablo. - Niech się pan uspokoi! - Powiedz mi coś. Jak bardzo, twoim zdaniem, mam się uspokoić?

Ruchem ręki kazał Taborowi wejść głębiej do pokoju. Pokój był czysty, pozbawiony osobistego charakteru. Lokator niczego doń nie dodawał, wszystko pozostawił w rękach kierownika hotelu. - W mojej dawnej organizacji, gdyby jacyś dowcipnisie wylewali nam wodę pod drzwi, rozwalilibyśmy drzwi.

- Zaraz, proszę pana... Jak Boga kocham!

- A gdybym tak zrobił, teraz spod moich drzwi płynęłaby jedynie twoja krew. Ale i tak bym poczekał, zanim bym wysunął głowę zza drzwi, wierz mi.

- Niech pan zrozumie, to zwykła pomyłka.

Mężczyzna powoli usiadł na brzegu łóżka; był częściowo od-wrócony od Pabla.

- Widziałem cię dzisiaj na statku. Na trzy kilometry cuchnęło od ciebie złodziejaszkiem. - Naftali sprawdzał numer seryjny służbowej czterdziestki piątki Pabla. - I to złodziejaszkiem, który ma problemy. Od razu wiedziałem, że jeszcze się spotkamy. Odłożył swój pistolet na łóżko i przyjrzał się broni Pabla. - To własność rządu Stanów Zjednoczonych, nie? - spytał Naftali. Wyjął magazynek z pistoletu Pabla, odłożył i sięgnął po swój automatyczny. Oparł się o zagłówek, nie wypuszczając broni. - Zgadza się - odparł Pablo.

- A ty... Czyją ty jesteś własnością?

Pablo nie odpowiedział.

- Cóż, spóźniłeś się, złodzieju.

Naftali z kieszeni szlafroka wyjął jakiś świstek i rzucił go w stronę Pabla. Pablo podniósł go i przeczytał. Okazało się, że trzyma w rękach potwierdzenie dokonania przelewu trzystu osiemdziesięciu tysięcy guldenów na konto Nederlandse Algemeen Bank w Amsterdamie. Rachunek, na który przelano pieniądze, opiewał na nazwisko M. Blanc, mieszkańca Brukseli w Belgii. - Wiesz, co to znaczy, chłopcze?

- Chyba dość dobrze wiem.

- To znaczy, że na darmo byś umarł, złodzieju. Pieniądzy już nie ma.

- I co pan zrobi?

- A wiesz, co się zwykle robi?

Pablo głęboko zaczerpnął tchu i obejrzał się na drzwi. Miał wrażenie, że są strasznie daleko. Kiedy znowu obrócił się w stronę Naftalego, po raz pierwszy zauważył szafkę nocną. Cała była zastawiona butelkami: meksykańska brandy, nembutal w płynie - angielski środek nasenny - i maleńka buteleczka

insuliny, a obok niej strzykawka.

- Nie będę pana prosił o szansę.
- Spróbować nie zawadzi.

Pablo odwrócił wzrok, żeby nie widzieć lufy.

- Niech cię szlag.
- A o sobie nic nie powiesz? Choćby imienia?
- Pablo.
- Czyje życie jest więcej warte, Pablo? Twoje czy moje?

Pablo z nienawiścią popatrzył w zimne, szare oczy mężczyzny.

Nie znosił, żeby robiono z niego zabawkę.

- Idę stąd - powiedział do mężczyzny na łóżku. - A pan niech robi, co chce.
- Racja - stwierdził Naftali. - Mam prawo.

Pablo został w miejscu.

- Dziś jestem posłuszny wszelkim zachciankom, bo i czemu nie?

Zmieszany, wylękniony Pablo zacisnął zęby i próbował wzruszyć ramionami. Mężczyzna wyglądał na kompletnie pijanego. Albo zaćpanego. Mimo to jego ruchy były wyważone. To szalenie - uznał Pablo. -1 chory człowiek. Oczy miał zaczerwienione, był blady, pocił się. Śmiertelnie chory - myślał Pablo.

- Proszę - odezwał się na głos. Wiedział, że nie powinien tego mówić.
- Chyba na ciebie czekałem - stwierdził Naftali. - Złodziej zawsze kiedyś musi przyjść.

Pablo spanikował, szykował się do skoku i omal nie stracił równowagi. Za bardzo się bał.

- Zawstydzasz mnie - ciągnął mężczyzna. Pablo zauważył, że jednak nie był taki stary. To choroba i zmęczenie tak go wycieńczyły. - Umieram.

Tabor tylko się w niego wpatrywał, próbując oddychać.

- Rozumiesz, Pablo?

Pablo wolno potrząsnął głową.

Naftali uśmiechnął się zimno.

- Przeszkadzasz mi w samobójstwie.

Tabor otworzył usta.

- To okropne - mówił dalej Naftali. - Bezcelne wtargnięcie w tak podniosłej chwili. Ależ z ciebie prymitywny typek. - N-nie wiem, co panu powiedzieć - wyjąkał Pablo. - Pomyliłem się.

- To nie ulega wątpliwości.

- Bardzo się pomyliłem - przyznał Pablo Tabor. - Ale czołgał się nie będę, o nie. Co ma być, będzie.

Naftali na moment przymknął oczy. Pablo szybko zastanowił się, czy nie próbować rzucić się do drzwi. Nim zdołał zrobić ruch, twarde oczy znowu utkwiły w nim spojrzenie.

- Jesteś młody, Pablo.

Tabor przetknął ślinę.

- Napij się - powiedział Naftali.

Sięgnął po butelkę brandy i rzucił ją chłopakowi. Pablo złapał

ją i chwilę przytrzymał przy piersi, po czym przełożył ją do prawej

ręki. Oblizał wargi. Szykował się, żeby uderzyć nią mężczyznę

w głowę.

- Wybij to sobie z głowy - ostrzegł Naftali. - Chcę widzieć, jak pijesz.

Pablo wpatrywał się w butelkę.

- Nie - powiedział. - Nie mam chęci.

- Myślisz, że jest zatruta? - Naftali znowu się roześmiał. - To by dopiero było zabawne, hę?

Odszedłbym do wieczności z mier-nym złodziejaszkiem u mych stóp. Pogrzeb Wikinga. Nie bój się -

- uspokoił. - Może nie jest najlepsza, ale na pewno cię nie zabije. Pablo pociągnął łyk i ostrożnie odstawił butelkę u stóp łóżka.

- Siadaj - rozkazał Naftali.

Przeszedł przez pokój, usiadł na twardym krześle, opierając głowę na dłoniach.

- Opowiemy sobie swoje losy - oświadczył Naftali. - Przepraszam - próbował znowu Pablo. -

Naprawdę, strasznie przepraszam. A teraz puści mnie pan, dobrze? I t Naftali z powagą potrząsnął głową.

- Ekstrawertyk aż do końca, to cały ja, Pablo. Ale umiem też i słuchać. A skoro już tu jesteś, pogawędzimy. Ale tylko o ważnych rzeczach. Czas ucieka.

Pablo otworzył usta, chciał błagać. Pistolet nadal był w niego wymierzony. Zasłonił ręką oczy.

- Jestem złodziejem, jak ty - zaczął Naftali. - Starszym i o wiele lepszym. Inteligentniejszym. Gdybym nie został złodziejem, kto wie, kim bym został. Geologiem. Może śpiewakiem operowym.

Barytonem. - Nie spuszczać Pabla z muszki pochylił się i wziął butelkę z podłogi. - A tak naprawdę - podjął - sądzę, że zostałbym pianistą, choć może ci się to wydać dziwne. A teraz powiedz mi, biorąc pod uwagę twoją inteligencję, gdybyś nie został złodziejem, to co byś chciał robić?

- Rzecz w tym - odparł Pablo - że wcale nie jestem złodziejem.

- Odpowiedz poważnie.

- Cholera, człowieku, nie wiem. Słuchaj pan, skoro nie bierzesz pan tego tak serio, to może bym już sobie poszedł, co? - Nie poszedłbyś sobie. A teraz odpowiedz.

- Kurde, nie mam pojęcia.

- Postaraj się.

- Chyba wolałbym pracować w Straży Przybrzeżnej.

- Jeszcze bardziej się postaraj.

- Zrobiłbym wszystko inaczej. -1 ku swemu zaskoczeniu dodał:

- Może byłbym lepszym ojcem.

- Aa... Wreszcie zaczynasz mówić. Czyim ojcem?

- Chce pan poznać moje losy, co?

- Tak. Opowiedz swoimi słowami.

- Mam małego chłopca. Dziewięciolatka. I tylko żałuję, że nie trafił mu się lepszy ojciec. Tak wyszło, że padło na mnie. - No to dlaczego musisz być złodziejem?

- Bo mną manipulują. Manipulują i manipulują.

- Tak. Mną też. A co tak tobą manipuluje?

- Co? Wszystko, ot co. Wszystko.

Naftali wziął do ręki butelkę nembutalu i wypił z niej. Zalał to brandy, przełknął ją bez zmruczenia powieki, wzrok miał cały czas utkwiony w Pablu.

- Wszystko - powtórzył. - Życie? Historia?

- Pewnie. Jeśli pan tak to nazwie.

Kryształowe dzwoneczki zadźwięczały o zamkniętą okiennicę.

Naftali obejrzał się w tamtą stronę, ale pistoletu nie wypuścił. - Ja swojego ojca widziałem ostatni raz

- powiedział - kiedy stał na stołku od pianina. Pokazywał naszym gościom, że w kontakcie nie ma schowanej biżuterii. To było w dalekim kraju, o którym nawet nie słyszałeś. Ojciec miał na sobie tylko pizamę, a ja - choć chodziłem już do szkoły średniej - nigdy przedtem nie widziałem go w nocnym stroju. Moja matka zaś stała obok stołka z uniesionymi rękami, bo bała się, żeby ojciec nie spadł.

Byłem tam. I bałem się. Wtedy jeszcze nie nazywałem się Naftali. Pablo ściągnął brwi. Nic z tego nie "chwycił.

- Czy znaleźli biżuterię? - zapytał po chwili.

- Biżuterii nie. Ale w stołku były nokturny Szopena. Jego własne rękopisy. Właśnie w tym stołku.

Dokładnie w stylu mojego ojca.

- Aha. I znaleźli je?

- O, tak, znaleźli. Wrócili po nie. I po moich rodziców, i moje siostry. Ale mnie już nie było.

Wziął butelkę brandy i rzucił ją Pablowi. Pablo wychylił długi łyk. Naftali słuchał dźwięczenia kryształków.

-- Smutna historia - powiedział Pablo.

- Smutna - powtórzył Naftali. - Zdarzyło się takich miliony. Zdarzają się do dziś. Zawsze będą się zdarzać. Historia. Historia zawsze będzie tobą manipulować, marynarzu.

- Cóż - stwierdził Pablo - mam nadzieję, że odkuś się pan na tych fajdakach.

Podparty na łokciu Naftali wzruszył ramionami.

- Zemściłem się. Ale to nie wystarczyło. - Odwrócił się do zamkniętego okna, wiatr powiał po jego rzadkich włosach. - Nie dostanie się tego, co raz się straciło.

Oczy Naftalego przesłoniła mgła. Pablo zaczął mieć nadzieję, że może jednak wyjdzie cało z tej kabały.

- Ciągle pamiętam pociągi, Pablo. Ostatnie pociągi. Młodziutkie ukochane z gimnazjum czekające na

dworcu. I ich rodzice, czekający na córki. A tylko ja uciekłem, żeby ci o tym opowiedzieć. - Nie rozumiem tylko, dlaczego, skoro już pan zdobył tyle pieniędzy, teraz je wyrzuca.

- Gdybyś żył tyle lat, co ja, może byś zrozumiał. Ale nie zrozumiesz.

Oparł się wygodniej o zagłówek. Rękę z pistoletem wyciągnął wzdłuż boku.

- Wiesz, czego uczy Nietzsche? Uczy on, że myśl o samo-bójstwie pozwala człowiekowi przetrwać wiele długich, trudnych nocy. Cóż, wdzięcznym Nietzschemu za tę uwagę, ale, dcmke schon, dość już takich nocy.

Kolejny podmuch wiatru zakotłosał kryształkami.

- Ale cała ta forsa.... Mógłby pan sobie kupić to i owo. - Można sobie kupić furę świetnych nocy. Ale

nie można kupić poranków. Spróbuj kiedyś i kup sobie krótką noc za pieniądze, zrozumiesz wtedy, co miałem na myśli.

Gadać, gadać, niech gada - pomyślał Pablo.

- Ja tam bym nie był tak negatywnie nastawiony - stwierdził. - Tak jak ja to widzę, to jeśli pieniądze

nic nie znaczą, to nic już nie znaczy.

- Znam wartość wszystkiego - powiedział Naftali. - Kradłem wszystko i wszystko sprzedawałem.

- Życie to życie. Nie wolno wszystkiego wyrzucić na wiatr. To nie w moim stylu.

- Puszek na wietrze, ot, czym jesteś, Pablo. I ty mi mówisz, ty, który dużo sobie po mnie obiecujesz,

że życie to życie? - Ale jutro rano to ja będę żył.

Miał nadzieję, że to stwierdzenie nie okaże się pochopne.

- Po co?

- Po co? No... Chyba, żeby dalej się kręciło, nie?

- Żeby się kręciło - powtórzył Naftali. - I żeby świat dalej się kręcił. A może bez ciebie lepiej by się kręcił? Co ty na to? Pablo bacznie mu się przyglądał. Facet wyglądał, jakby balan-sował na krawędzi snu, ale spojrzenie nadal miał dość przytomne. - Nigdy mi to nie przyszło do głowy - przyznał Tabor.

- No więc się zastanów.

- Puści mnie pan?

- Miałem trzy żony - zadumał się Naftali. - Wszystkie były idealistkami. Wszystkie wylądowały w więzieniu. A ja: złodziej, morderca ani razu nie przestąpiłem progu więzienia. - Miał pan szczęście.

- A dlaczego miałbym cię wypuścić? - zapytał Naftali. Podciągnął się z nagłą energią. - Co jesteś wart? Powiedz. Przekonaj mnie. - Każdy jest coś wart - próbował Pablo. - W końcu... Każde życie ma jakąś wartość. No, wie pan, każdy ma jakiś cel. - Nie żartujesz? A jaki ty masz cel? Co to za cel?

- Nie wiem - wyznał Pablo. - Jeszcze go nie znalazłem. Ale wiem, że jakiś istnieje.

- Przecież jesteś wredny i głupi, prawda?

- Nie! - zaprzeczył gorąco Pablo. Był zdumiony i wściekły.

- Oczywiście, że nie!

Oczy Naftalego na chwilę uciekły. Wzrokiem błędził po ścianach.

Pablo się naprężył.

- Mógłbym położyć kres temu wszystkiemu - odezwał się starzec, unosząc pistolet. - Ale pomyślałem sobie: nie. Chcę odejść powoli. Chcę pamiętać. Uwierzyłbyś? Chciałbym pamiętać wszystko.

- Uwierzyłbym - powiedział Pablo. Znowu czuł na sobie chłodne, baczne spojrzenie mężczyzny.

- Jesteś bardzo głupim młodzieńcem. Mówię ci to wszystko dla twojego własnego dobra, bo powinieneś się tego dowiedzieć. - Mogę się napić? - spytał Pablo.

Naftali pozwolił mu podejść i wziąć sobie butelkę z łóżka. - A jeśli zginiesz w jakiejś norze za byle groszaka, co się stanie z twoim synem? Ty jesteś ten od syna, tak?

- Tak - odparł Pablo. - To ja.

- Co się z nim stanie? Zostanie złodziejem jak ojciec? Czy co?

Pablo odstawił butelkę z powrotem na łóżko Naftalego.

- A co to pana może obchodzić?

- Powiedz.

- Będzie kimś zupełnie innym niż ja. Będzie moim całkowitym przeciwieństwem.

Naftali znowu wystawił twarz na podmuch wiatru. Dzwoneczki zadźwięczały.

- Tam, gdzie się pan wybiera, nie będzie takiego wiatru.

- Wiatr zostawiam tobie.

- Nie boi się pan?

- A czego mam się bać? Diabłów?

Pablo był pod wrażeniem.

- Cieszy się pan poważną reputacją na morzu, wie pan, Naftali?

- Wszędzie cieszę się poważną reputacją - zgodził się Naftali.

- Słynę ze skąpstwa i gotowości do zabijania.

- Niech pan słucha - zapewnił spiesznie Pablo - doceniam, że tak łagodnie pan mnie potraktował.

Nie zdziwiłbym się, gdyby... Uśmiech Naftalego zatrzymał go w pół słowa. Twardy, nie-przyjemny uśmiech. Śmiertelny uśmiech. Znieruchomiał na swoim krześle.

- Zemsta nie wystarczy - powiedział Naftali. - Wiem. - Uśmiech zniknął z jego twarzy, ale oczy pozostały twarde. - Nie zemsta. Nie pieniądze. Picie. Opium. Kobiety. Wszystko, co lubimy, Pablo, ty

i ja. To nie wystarcza.

- Łatwo panu, koleś. Pan to wszystko miał.

- To nie wystarcza.

- No, dobra. W takim razie co wystarczy?

- Nie mnie ci to mówić, młodzieńcze. Ja mogę ci tylko powiedzieć, co nie wystarcza.

Pablo zaczął wstawać, ale Naftali uniósł pistolet i usadził go z powrotem. Wypił jeszcze trochę nembutalu, potem brandy i potoczył butelkę do Pabla.

- Napij się.

Pablo pociągnął łyk i oparł się wygodniej.

- Pociągi - powiedział Naftali.

Ku swemu zażenowaniu Pablo zobaczył, że mężczyzna płacze. - Pewnie, że przyszedłem cię obrobić, Naftali. Głupio, że wybrałem akurat dzisiejszy wieczór. Przepraszam.

- Dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdzie, że wybrałaś dzisiejszy wieczór - odparł Naftali. Pistolet nadal

trzymał wymierzony w Pabla, lewą rękę chował pod zagłówkiem. Wyciągnął ją zaciśniętą w pięść.

- Jeśli cię spytają, powiedz, że nie żyję. Powiedz, że mnie widziałeś. Że nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Pablo skinął głową. Naftali wyciągnął zaciśniętą lewą rękę i otworzył ją tuż przed nosem Pabla. Na bezbarwnej dłoni leżał niewielki, lśniący kamień. Dopiero po dłuższej chwili do Pabla dotarło, że to brylant.

- Daje mi to pan?

- Daję. Bierz.

Pablo w życiu nie widział równie dużego kamienia, a oglądał ich wiele. Wyglądał na co najmniej pięć razy większy od klejnotu w pierścionku żony, który podarował jej z okazji ślubu, a do tej pory nie spłacił za niego wszystkich rat.

- Niech mnie kule - szepnął.

- Nie chcę, żeby go tu znaleźli - powiedział Naftali. - Niech mnie kule - powtórzył Tabor. -

Racja,

szefie, bez dwóch zdań.

- I nie chcę - dodał cicho Naftali - żebyś potem przeszukiwał mój pokój. Wiążą się z tym... niemiłe wspomnienia. Uśmiechając się jak dziecko, Pablo nie odrywał wzroku od brylantu.

- Ostatni raz - ciągnął Naftali - dałem coś komuś, kiedy byłem dzieckiem. Teraz nie mam już nikogo oprócz ciebie i nic mnie to nie kosztuje. Weź to sobie, złodzieju. Daj to synowi, o którym opowiadałeś, i powiedz mu... - Potężne ziewnięcie nie dało mu dokończyć. - Albo zachowaj sobie i skłam. Zrób to, co ci każe twoja natura.

- Co chcesz, żebym mu powiedział, szefie?

- W innym wymiarze istnieje stworzenie, dla którego klejnotami są wygasłe światy. Kiedy chce mieć kolejny brylant, rzuca ziarno życia na jakąś małą planetkę. Po jakimś czasie pojawiają się ludzie, a potem nic... Patyna.

- Chcesz, żebym mu to powiedział?

Pistolet wypadł z dłoni Naftalego. Pablo poderwał się przerażony słysząc huk.

- Złodziej zawsze przyjdzie - powiedział Naftali. - Matka cię nie uczyła?

- Nie, nie matka.

- Tak - ciągnął Naftali. - Zawsze.

Tęczówki mężczyzny uciekały w tył głowy. Powiedział coś, ale za cicho, żeby Pablo dostyszał.

- Es ist eine schöne... - szepnął. - Ach. Pociągi.

Pablo pochylił się nad mosiężnym wezglowiem i słuchał. - Mózg to koralowiec - szeptał Naftali. -

Ma tylko zewnętrzną warstwę...

Tabor wziął butelkę brandy i przysiadł na łóżku. Brylant wrzucił do kieszeni koszuli.

- Pablo!

- No.

- Są rafy na zewnątrz, Pablo. Rafy w środku, w samym mózgu nurka.

- Nie rozumiem, szefie - powiedział Pablo. Uświadomił sobie, że boi się utracić obecność starca.

Ale mimo wszystko wygrał. Wykręcił kretyński numer, a mimo to wygrał. Miał wrażenie, jakby wszystko zostało darowane, jakby został wyróżniony przez Boga.

- W rafie widzisz komórki mózgu świata, wzgórza zmarłych. Mijasz je, płynąc na powierzchnię... widzisz je oczami wyobraźni... to twój własny mózg. Czasem wśród rafy... błysnie substancja mózgowia. Kryje się pod koralami.

Pablo wstał, podciągnął żaluzje i wyrzwał na ulicę. Była pusta. Dostrzegł tylko podstarzałego Chińczyka w hawajskiej koszuli, który szedł z rowerem wzdłuż krawężnika. Pablo odwrócił się, odstawił butelkę na komódkę. W lustrze błysnęła mu jego ciemna twarz.

- Pablo!

- Jestem, jestem, szefie.

- Twoje imię dźwięczy, Pablo. To twój mózg jest tam w głębi, biały, okrągły. Świeci wyraźnie w jasnym świetle, osiem zjaw pod warstwą koralu. Twój mózg to moneta... jedyna piłka w grze, Pablo.

Przeklął mnie - pomyślał Pablo. - Manipulował mną i teraz przeklął.

Lodowaty chłód ośmiu zjaw przeniknął jego serce. Przekleństwo umierającego.

A może - rozmyślał dalej - rzeczywiście w chwili śmierci człowiek widzi przyszłość.

- Ej, człowieku!

Potrząsnął Naftalego za ramię, najpierw delikatnie, potem mocniej, próbując wydostać go na powierzchnię. Ale oddech Naftalego przypominał sapanie jakiejś odległej, nieczułej maszyny, nad którą nie mógł zapanować.

Cofnął się i rozejrzał po pokoju, dotykając kieszeni, w której spoczywał brylant. Nie da się wykluczyć, że w pokoju jest schowane więcej klejnotów. Gdyby znalazł jeszcze choć jeden taki kamień, mógłby sobie kupić czas i wolność. A dwa albo trzy... Z podniecenia zacisnął zęby, górna warga wygięła mu się w gry-masie łapczywości.

Kiedy zaś sięgał po broń, która leżała obok nieprzytomnego Naftalego, zaświtała mu inna myśl:

może

uda się odratować starca, ściągnąć pomoc, lekarza, karetkę. Ale na to już za późno. Zbyt wiele trzeba by tłumaczyć, zbyt wiele sił uruchomić. Nie, to byłby głupi gest.

Pistolet Naftalego był niezły - japoński, nowy Nambu, ośmio-strzałowy, siedem sześćdziesiąt pięć.

Pablo zaczął od przegrzebania szuflad i szafy. W jednej szufladzie znalazł ścienny krucyfiks, w drugiej

spoczywały rachunki, robione na przebitce kopie kontraktów, listy pisane w różnych językach, część w dziwnym alfabecie, którego Pablo nigdy wcześniej nie widział. Tylko jedna była zamknięta, a gdy Pablo wyłamał zamek, okazało się, że leżało w niej kilkanaście paszportów różnych krajów. Na zawartość szafy złożyły się jedynie spodnie i liczne białe koszule z krótkimi rękawami.

Dał sobie spokój. Ogarnęło go przemożne zmęczenie, poza tym niebezpiecznie było dłużej tu zostawać. Opadł na krzesło, siedział chwilę, dopijając brandy, słuchając dźwięczenia kryształków i ciężkich oddechów konającego. Ciekawe - przeszło mu przez myśl - co on teraz widzi?

Ta myśl wzbudziła w nim nagłą panikę.

Jest za silny, weźmie mnie ze sobą.

Zerwał się, wahał przez chwilę i szybko pochylił nad łóżkiem, wyciągnął spod głowy Naftalego zagłówek. Wpatrując się w bez-barwną ścianę, z całej siły wcisnął go w twarz starca. Naftali szarpnął się słabo, rozpaczliwie, a może chłopakowi tylko tak się wydawało. Kiedy już skończył, puścił zagłówek, otarł pot z czoła. Nie mógł się zmusić, żeby poszukać pulsu mężczyzny. Zanim zgasił światło, zerknął szybko na sylwetkę na łóżku. Szare oczy Naftalego były zamglone, na ustach połyskiwała ślina. Nie było najmniejszych wątpliwości, po której stronie rafy teraz się znajduje. Kiedy tak stał samotny w ciemnym pokoju, ogarnął go smutek. Słowa Naftalego uzna nie za przekleństwo ani prorocstwo, ale za ostrzeżenie z zaświatów. Potrzebował przebaczenia starego czło-wieka.

Podszedł do szuflady, w której leżał krucyfiks, i przeżegnał się wzorem Meksykańczyków.

I co teraz, staruszkule? - pomyślał, dotykając brylantu.

Nie pozostawało nic innego, jak wrócić na pokład "Chmury".

Parter hotelu Hollandia tonął w mroku, pogrążony w ciszy. Drzwi wyjściowe były zaryglowane. Pablo ostrożnie otworzył zasuwę. Miasto wyglądało, jakby zamknęło się w sobie. Z oddali dobiegł odgłos silnika samochodowego, szczekanie psów, świergot ptaków, który tak strasznie drażnił go w Composteli. Zszedł po schodach, minął bramę i ruszył niewielką alejką, wiodącą na rynek. Dopiero wtedy zauważył starego Peugeota z wygaszonym znakiem Taxi, zaparkowanego w pobliżu hotelu. Za kierownicą siedział jakiś człowiek. Światło żarówki nad hotelu odbijało się w okularach, a może to był daszek czapki?

Na pokładzie "Chmury" Callahanowie świętowali w swojej kabinie; Negus siedział na mostku, zachmurzony, z piwem w ręku. - Gdzieś ty, u licha, się podziewał? - spytał Negus. - Mówił ci ktoś, kurwa, że możesz sobie zrobić wolne?

- Skończyłem ładowanie - odparł Pablo - a skoro kimałeś, pomyślałem sobie, że skoczę na chwilkę.

Negus niepewnym krokiem wynurzył się ze sterówki. Po całym dniu picia ledwo się trzymał na nogach, jego gniew był słaby, niegroźny.

- Nikt ci nie pozwolił zabierać pistoletu. Oddawaj. - Potrzebowałem do obrony. Nigdy nie wiadomo, na co się trafi w takich miejscach. - Oddał Negusowi swoją czterdziestkę piątkę. Nambu siedział schowany za paskiem, ukryty pod fałdami luźniej koszuli.

- A co ty sobie myślisz, że to jakiś busz? - warknął Negus, jakby w ostatniej chwili się rozmyślił.

- Kurde, z Tino już załatwiłem. Nie myślałem, że coś się stanie.

- Gdzie jest Tino? - spytał Negus. - Był z tobą?

- Nie widziałem go od popołudnia - odparł Pablo.

Wrócił do swojej kajuty, słysząc za plecami ciche przekleństwa Negusa. Wskoczył do środka, podpart właz i wyciągnął się na koi. Kiedy zamknął oczy, widział przed nimi tonące w białawej po-świacie koralowce.

Rozdział dwudziesty

Kościół Godoya stał na jednym ze wzgórz nad Puerto Alvarado: biała, ceglana budowla z bezkształtną, nie-udaną imitacją romańskiej wieży nad wejściem. Otworzywszy surowe, drewniane drzwi, Justin usłyszała płacz niemowląt. Z Montana przybyło kilka indiańskich małżeństw, by ochrzcić swoje dzieci. Klęczeli z namaszczeniem wokół chrzcielnicy, świece rzucały blask na ich ciemne twarze. Kobiety miały na sobie obrzydliwe, bawełniane szale, których nigdy nie sprzedawano w sklepach ani nie wysyłano na eksport, mężczyźni, ubrani w koszule i spodnie w kolorze khaki, ściskali w dłoniach słomkowe sombrera z czerwono-czarnymi opaskami oznaczającymi, że ich właściciel jest żonaty. Starsze dzieci, równie poważne i skupione jak dorośli, klęczały za rodzicami.

Kobiety po kolei wstawały i podawały swoje kilkutygodniowe niemowlęta, a kiedy Godoy sam, ponieważ nie było ministranta, wylewał na dzieci wodę święconą i namaszczał je olejem, w kościele rozlegały się piskliwe zawodzenia dzieci i szmer głosów chrzestnych przyjmujących na siebie zobowiązania. Justin siadła na końcu, chowając się w cieniu. Po chwili podniosła wzrok i zobaczyła dwóch mężczyzn: białego i Murzyna w ławce pod drugiej stronie. Obaj obejrzeni się, żeby na nią popatrzeć; zrobili to automatycznie. Jeden z nich przerzucił rękę przez oparcie ławki. Obaj byli ubrani w tanie jedwabne koszule w jaskrawe wzory.

Justin udała, że ich nie widzi, i dalej przypatrywała się obrządkowi. Kiedy niemowlęta zostały ochrzczone jak należy, a Godoy pobłogosławił Indian i kościół, obaj mężczyźni się przeżegnali. Justin odruchowo zrobiła to samo.

Ojciec Godoy z uśmiechem odprowadził Indian do drzwi. Mijając Justin, zerkali na nią. Nikt, nawet dzieci, nie popatrzył na mężczyzn w barwnych koszulach. Godoy otworzył drzwi kościoła i stanął na progu. Do wnętrza wpadła smuga światła słonecznego. Ksiądz ściskał ręce wiernych i wymieniał pozdrowienia. Kiedy Indianie już sobie poszli, nadal tkwił w drzwiach, dłonią zasłaniając oczy przed mocnym słońcem. Justin zauważyła, że komża na czarnej sutannie była z prawdziwej koronki. Tak kosztowna rzecz kontrastowała z tak ubogą parafią. Pewnie podarowała mu ją matka, uznała. Ubrania, oto, co dawały im matki.

Dwaj mężczyźni wstali i mijając Justin, zmierzyli ją beczelnym wejrzeniem, ćwiczoną i wzmocnioną dzięki czterechsetletniej tradycji. W drzwiach obdarzyli tym samym Godoy. Kiedy ta dwójka znalazła się już na dworze, Godoy zamknął drzwi i prze-kręcił klucz.

- Dziękuję, że przysłaś - zwrócił się ksiądz do Justin. Podszedł do niej i uściśnął jej rękę tym samym

gestem i z tym samym uśmiechem, co przed chwilą Indianom. Ta świadomość nieco zakłopotła Justin. Uznała jednak, że kieruje nim szczerłość i naturalność.

- Czekałam na wieści od ciebie - powiedziała Justin, co jak najbardziej zgadzało się z prawdą.

Przeszli razem w stronę ołtarza, Godoy podszedł do chrzcielnicy, żeby zdmuchnąć świecę. Justin usiadła w jednej z pierwszych ławek po lewej stronie kaplicy. Po zgaszeniu świec w kościele zapadły niemal zupełne ciemności, rozjaśniane jedynie przez światło wpadające przez dwa niewielkie okienka, pseudowitraże, na dachu i czerwoną lampkę przed tabernaculum.

Godoy przysiadł się do Justin. Jego twarz ginęła w mroku. Byli tuż obok siebie, nie dotykając się wcale. Dwa stworzenia w ciem-nościach kościoła.

- Posłałem po ciebie, żeby ci powiedzieć, że wyjeżdżam - ode-zwał się ksiądz.

Zaskoczyło ją, że tak bardzo te słowa zabolęły. W ciszy kościoła, pomyślała, zapewne usłyszała, jak zaskoczona gwałtownie wciąga powietrze. Utkwiła wzrok w lampce obok tabernaculum. - Dzieło ma swój początek w górach. To niezmiernie ważne, żebyśmy teraz tam byli.

- Oczywiście - odparła Justin. - Cokolwiek by to nie było...

Gdziekolwiek by się to działo... powinieneś tam być. Nie udało jej się tego powiedzieć gładko, ale głos jej się nie załamał.

- W górach zorganizowaliśmy kolektywy - ejidos. Pracują tam zakonnice, Indianie są zorganizowani. Wprost niewiarygodnych rzeczy tam dokonały te zakonnice. Nasze compadresitas. W przeciwieństwie do tutejszych zakonnice - dodała w duchu Justin - które zachowują się jak nastolatki, są sentymentalne i nieużyteczne.

- Mamy też tam ziemię - ciągnął Godoy. - Należy do nas prawem zasiedzenia i prawem własności.

Już

niedługo, lada chwila właściciele ziemscy i spółki miedziowe przyślą tam Gardię, żeby nam odebrała te tereny. Ale my na to nie pozwolimy. Bo tym razem stawimy im opór. I to w całym kraju.

- A co z tutejszym jbcó? - spytała Justin. - Czy ono się też zacznie?

- Oczywiście, że się zacznie. Kiedy tylko zostanie dany sygnał.

Broń jest w drodze. I wkrótce dotrze. Z całą pewnością.

- I skąd będę wiedziała, co mam robić?

- Osoby, które znasz, wskażą ci, co masz robić. Musisz się przygotować.

- Mogliśmy byli zrobić to samo, co zrobili ci ludzie w górach - powiedziała ze smutkiem Justin. -

Mogliśmy byli zorganizować kolektywy.

- Tutaj sytuacja wygląda trochę inaczej. Tu zagraniczne firmy dostają co chcą, i struktura nie jest tak wyraźnie widoczna jak tam. Poza tym tutaj, na wybrzeżu, jesteśmy oddzieleni od reszty kraju. A

można je wyzwolić tylko razem z całym krajem. - Sądziłam, że bycie pielęgniarką wystarczy - mówiła Justin, zwieszając głowę. - Nie rozglądałam się dokoła. Nie widziałam. Cały ten czas...

Słyszała niecierpliwe bębnienie palców Godoya o ławkę.

- Nie rób sobie wyrzutów. Ty masz swoją robotę, ja swoją.

- Szkoda, że wyjeżdżasz - odezwała się po chwili Justin.

Godoy milczał. Czekwała w ciemnościach na jego odpowiedź. - Przerwane przyjaźnie przynoszą rozczarowanie - powiedział tylko.

- Tak - zgodziła się spokojnie Justin. - Ale sądzę, że to w dużym stopniu jest wpisane w naszą pracę.

- Niestety tak.

Niestety tak. Zrobił jej tę grzeczność i poinformował o swoim wyjeździe, a teraz powinna odejść.

- Jak sądzisz, z jakim wyprzedzeniem będę poinformowana o konieczności przygotowania ambulatorium?

- Powiedziano ci, żebyś była gotowa jak najszybciej. W najlepszym wypadku będziesz miała dzień,

może więcej. - Dobrze.

- Muszę ruszać lada chwila. Mam jeszcze sporo spraw do załatwienia przed wyjazdem w góry.

- Tak - odparła Justin. - Ja też już muszę iść.

Nie miała dokąd jechać. Nie miała nic do roboty, oprócz doglądania konającego pijaka.

Siedzieli obok siebie. Żadne się nie poruszyło.

Dotkniesz mnie wreszcie? - myślała Justin. - Zrobisz choć tyle? Zrobię, co zechcesz, stanę twarzą w twarz z Guardiã, umrę, spróbuje dla ciebie zabić, ale dotkniesz mnie chociaż? Zrobisz coś dla mnie?

Wobec mnie? Dasz mi rękę? Dasz mi cokolwiek? Godoy wstał i czekał w nawie, aż Justin też się podniesie. Dźwignęła się i przeszła razem z nim przez kościół. Godoy w rękę trzymał klucz.

- Księżę Godoy - zwróciła się do niego. Nie spojrzał, prowadził ją dalej do drzwi, które właśnie otwierał. - Księżę Godoy! - prawie krzyknęła. - A co mnie obchodzi... Może jedyne, co mnie obchodzi, to... ja! Nie ten kraj. Tylko to, co ja, co ja czuję!

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu, potem się uśmiechnął.

Miał smutny uśmiech na każdą okazję - pomyślała. - Myślę, że w głębi ducha wszyscy jesteśmy tacy

sami. Ale może zaistnieć zbieżność interesów, prawda? Między sprawiedliwością a naszymi uczuciami.

Zdesperowana najpierw odstawiła rozhisteryzowaną nastolatkę, teraz penitentkę.

- Oczywiście. Ale zanim wyjadę, chcę ci coś powiedzieć. Chcę ci coś powiedzieć, bo może nigdy więcej się nie spotkamy. Zajmujesz w moim sercu szczególne miejsce. Tak się stało, że zajmujesz w moim sercu szczególne miejsce.

Godoy uchylił drzwi. Justin cofnęła się o krok, żeby nie dostrzegł wstydu na jej twarzy. Tak łatwo byłoby nic nie powiedzieć. Albo jeśli już, to wyrazić to idiotycznym, klasztornym językiem. Teraz było już za późno. Jakby zawieszona w czasie, przypatrywała mu się bacznie, oczekując jego odpowiedzi. Zobaczyła zmarszczone brwi, spuszczone wzrok.

- Ja czuję to samo do ciebie - powiedział, nie patrząc na nią. I natychmiast wiedziała, że kłamał.

Nie

wiadomo, jakie naprawdę żywił do niej uczucia, ale to stwierdzenie było kłamstwem, ochłapem dla zamknięcia jej ust.

Przyglądała się jego jabłku Adama na białej szyi nad najwyższym guzikiem jego sutanny i przyszło jej

na myśl, że Godoy musi całkiem niezłe umieć kłamać. Ale dla niej niezbyt się postarał. - W takim razie widzisz cały mój egoizm - stwierdziła. Roz-wścieczona przez jego kłamstwo, nie potrafiła się powstrzymać. - Moją znikomość i głupotę.

Godoy był szczerze zażenowany, a poza tym niepokoił się o swoje foco.

- Proszę cię - mitygował.

Szerzej otworzył drzwi. Stali oboje w potokach białego światła. - Jestem twoim przyjacielem, możesz

być tego pewna. Po-trzebuję twojej pomocy. 1 ci biedacy jej potrzebują. - Co do tego nigdy nie było dwóch zdań - zapewniła. - Będę tam, gdzie mnie będziesz potrzebował.

Kolejny melancholijny uśmiech.

- W takim razie do zobaczenia, droga przyjaciółko. - Tak, do zobaczenia - odparła Justin i zeszła po białych stopniach.

Dwaj mężczyźni w jaskrawych koszulach stali na rogu i musiała zebrać w sobie wszystkie siły, żeby minąć ich spokojnie z pogodnym, pełnym wyższości skinieniem głowy.

W drodze powrotnej pozwoliła sobie na łzy. Płakała ze wstydu i obrzydzenia, jakie wzbudziły w niej jego zdrada i obłuda. Ale on miał rację - mówiła w duchu. - Zachowałam się jak dziecko, moje uczucia nie miały najmniejszego znaczenia. To ona, wedle wszelkich reguł gry, się myliła.

Kiedy doszła do tego wniosku, przejechała już znaczną część drogi wzdłuż plaży. Słońce zniknęło za górami. Justin zatrzymała samochód nad oceanem i podeszła do wody. Długo, bardzo długo wpatrywała się w jego ciemnoniebieską, spokojną toń. We wszystkich systemach klasowych - myślała - słabość zawsze tkwi w tobie, tej kropeczce rdzy na silniku. Odnosiło się to do wszystkiego, nawet

zwykły dzień można było przeżyć z werwą, szybko, jeśli nie starało się za wszelką cenę postawić na swoim. Justin była przekonana, że sporo wie o zmaganiach ze sobą. Ale jeśli wygram, jeśli złamię samą siebie, co wtedy ze mnie pozostanie? Nie tyle się tego bała, co ją to ciekawiło. Czy to, co pozostanie, okaże się przydatne? A jeśli tak, to do czego? I czy będzie szczęśliwa. No i znowu wracamy do punktu wyjścia. Ja. Ja. Owym ja była tylko dziewczyna, młode stworzenie, rozpuszczone, z humorami. Jedyny prawdziwy Kościół był jedynym prawdziwym Kościołem, system naukowy był systemem naukowym, rewolucja była ni mniej ni więcej tylko rewolucją, ale dziewczyna pozostawała dziewczyną.

Jestem nic niewarta - pomyślała. - Ty jesteś nic niewart. My jesteśmy nic niewarci. Oni są nic niewarci.

My wszyscy jesteśmy kompletnie i całkowicie nic niewarci, tyle wari co kupa gnoju. A ty tam na górze pomóż nam się złamać, tak byśmy siebie już nie poznali, pomóż nam być bez oczu, bez naszych narządów płciowych, bez niczego. A przede wszystkim wyzuj nas z dziecięcych uczuć. Bo to ten dzieciak, który w nas siedzi, sprawia, że jesteśmy tak cholernie nic niewarci. Będziemy się biczować, wkroczymy do samego piekła, będziemy się smażyć. Czynić pokutę i naprawiać swe życie, amen. Bez końca zmagać się w imię historii. Dajcie mi sztandar, dajcie mi bęben, będę tam stała owego ranka, tak, będę. Ale to nie mnie tam zobaczcie. Zobaczcie godną tego imienia, powtórnie narodzoną rewolucjonistkę. Historia ciągle się ze mną zмага. Z tą dobrą mną. Ale jeśli nie będzie mnie tam owego ranka, to nie będzie mnie już nigdzie.

Weszła w morze, zanurzając się po kolana, schyliła się i nabrała w ręce słonej wody, żeby ochlapać twarz. Kiedy wracała do jeepa, brakowało kilku minut do zmierzchu i cień na drodze zaczynał przechodzić w mrok. Budziły się pierwsze nocne ptaki, dzienne zaś chowały się wśród nagłębszych gęstwiny wydając ostatnie trele. Na drodze przed sobą Justin coś zobaczyła. Zatrzymała się. Wzdłuż linii wody biegło jakieś zwierzę. Ale nie biegło susami. I to nie było zwierzę, ono raczej przypominało człowieka. Zmrok jeszcze nie całkiem zapadł, tak że dostrzegła jaśniejsze plamy: krótkie blond włosy, białe, poplamione ubranie.

Kiedy siadła za kierownicą, nie potrafiła z całą pewnością powiedzieć, czy owe plamy to krew. Były wyraźne, mocne, co do tego nie miała wątpliwości. Żaden znany jej owoc nie zabarwiłby ubrania na taki kolor. To nie mogło być nic innego jak krew. I wtedy uświadomiła sobie, że owo stworzenie to był ten menonita, który kilka tygodni temu przechodził obok misji. Zbocze ciemniało, wokół nie było żywego ducha, drogą też nie jechał żaden samochód. Justin wzdrygnęła się, zapaliła światła i ruszyła jeepem w stronę domu.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Holliwell pokuśtykał nierówną ścieżką wśród drzew kie-rując się w stronę jadalni. Na niebie świeciły gwiazdy, wiał lekki wiatr.

Od strony morza w jadalni hotelu Raj stało w rzędzie kilka stolików. Z krokwi zwisały lampiony, na dworze zawieszono je między palmami, w ten sposób rozwiązując problem oświetlenia stolików i plaży. Po drugiej stronie ogromnej, pustej przestrzeni przy barze stali oficerowie gwardii pijąc rum i słuchając starych przebojów Lucho Gatica. Przy jednym ze stolików Holliwell wy-patrzył pana Heatha. Heath siedział samotnie nad ginem i misecz-ką orzeszków ziemnych. Podniósł wzrok i zawołał Holliwella. - Skaleczył się pan? - spytał.

W świetle lampionu jego twarz wydawała się rumiana, wokół nosa i pod oczami rysowała się siatka nabrzmiałych żyłek. - Ukląknę na szkarłupniu tuż obok misji katolickiej. W pobliżu była jakaś zakonnica, która wyciągnęła kolce.

- Miał pan szczęście. Czy to była siostra Justin?

- Nawet nie spytałem o imię. Chyba to jedyna zakonnica w okolicy.

- Tak - stwierdził Heath. - Co pana tam sprowadziło?

Holliwell wzruszył ramionami.

- Nic takiego.

- I co pan o nich sądzi?

- A bo ja wiem? Pan co o nich myśli?

- Są dość mili, nie uważa pan?

- Tak - przyznał Holliwell. - Tak, są mili.

Heath i Holliwell zjedli na kolację świeżego złotoryba. W czasie posiłku pan Heath powiedział, że spółka owocowa zaproponowała mu pracę nad przekształceniem tych terenów w kurort. - Od kiedy zaraza zniszczyła zbiory, pozbywają się takich starych ramoli jak ja - zwierzył się Holliwellowi. - Dochody są w turystyce. Tak więc mam do wyboru: albo przyjmę tę propozycję, albo przejdę na emeryturę.

- I co pan zrobi?

Heath uśmiechnął się niejasno. Dopiero w tej chwili Holliwell uświadomił sobie, jak bardzo tamtem jest pijany.

- Kiedy tu przyjechałem pierwszy raz - wspominał pan Heath - jedynym przedstawicielem prawa w promieniu dwustu mil byłem ja i dziesięciu bandytów. To były piękne dni. . Holliwell skinął potakująco głową.

- Mogliśmy położyć nasz koc na pniu, zostawić go tak na całe tygodnie i nikt nie ważył się go dotknąć. Poważano nas. I my siebie też szanowaliśmy. Co rano wstawałem i mówiłem: Yo se auien soy. Rozumie pan?

- Jasne.

- Moi ludzie też mogli to sobie mówić. I to dzięki mnie. A nie osiągnąłem tego nie patrząc im w oczy

i dając po dziesięć szylingów, żeby się do mnie uśmiechali. A wie pan dlaczego? - Nie czekał na zachętę. - Bo nauczyłem się, jak należy ludzi prowadzić. Holliwell już miał spytać, gdzie się tego nauczył.

- Dziewiętnaście lat temu byłem w Legii, Legion Etrangere. Sidi Barras. Chryste, to były czasy!

- I potem przyjechał pan tutaj?

Za to pytanie Holliwell został nagrodzony szybkim, ponurym, bardzo podejrzliwym spojrzeniem. Ten

wzrok mówił: "Nie wściu-biaj nosa w nie swoje sprawy" i najwyraźniej właśnie to miał powiedzieć.

- Potem służyłem w policji na Cejlonie. Miałem tam pewne kłopoty... Diabelna procesja religijna w Kandi. Pokazano mi narzędzia, że się tak wyrażę. Wyjechałem wozem inspektora po przyjęciu i tak się to skończyło. Później trafiłem tutaj. - Wraca pan czasem do Anglii?

- Nie mogę - odparł Heath. - Jej tam nie ma, niech ją Bóg strzeże. To już nie moja Anglia. Oczywiście, wróciłem do domu na czas wojny. Służyłem w Drugiej Armii.

- U Montgomery'ego, tak on się nazywał?

Heath się roześmiał.

- Tak. Monty. Abstynent.

Kiedy obsługa zabrała talerze, zażądał jeszcze ginu. Holliwell, który starał się zapanować nad falą zmęczenia, próbował mu dotrzymać kroku za pomocą małej porcji rumu.

- Będziemy tu mieli po parę tysięcy turystów miesięcznie. Będziemy mieli mnie do podglądania przez

dziurki od klucza, czy pracownicy hotelu nie podbierają im złotych zegarków. Nauczymy ludzi kraść i nauczymy ich pogardy do nas.

Holliwell zaczął mamrotać coś o pracy dla ludności. O dawaniu im udziału.

- Ci ludzie nie lubią być biedni, Holliwell. Nikt nie lubi. Nauczmy ich wstydzić się swego ubóstwa, a

to coś nowego, wiesz pan? - Amerykańskiego, tak? - dodał Holliwell.

Heath prychnął.

- Zły to ptak, co własne gniazdo kala. Zwłaszcza za granicą.

Nie lubię takich.

- Ja nie kalam. Ja po prostu uważam, że tego co w mojej ojczyźnie najlepsze, nie da się wydobyć i zbadać.

Pan Heath go nie słyszał.

- My tylko wyciągamy te nasze cholerne łapska, ot co. Robimy to od wojny. Przepraszamy i dajemy,

dajemy, dajemy. I niejedno czarne, brązowe czy żółte życie w ten sposób uratowaliśmy. Bo my chcemy zostać zniszczeni, wie pan. I tak się stanie. Grupa gwardzistów świętujących przy barze stawała się coraz weselsza. Ale kilku z nich - Indianie albo mieszańcy - bardziej pijanych niż reszta, zapadło w groźny spokój. Nie pochodzili z wybrzeża, ale z gór i upijali się zupełnie inaczej. Oparci o kontuar, żeby utrzymać się w pozycji pionowej, porozumiewali się ze sobą pojedynczo wykrzykiwanymi słowami, gwizdami, nagłymi gestami, wybuchami nieprzyjemnego śmiechu. Drzemie w alkoholu jakaś telepatia.

Zjawił się dentysta z Miami. Towarzyszył mu wysoki młodzian w szykownej guayabara. Za nimi weszła pani Paz i synowie, wszyscy uczesani i pachnący. Powitały ich serdeczne okrzyki obecnych, także oficerów przy barze. Holliwell rzucił im "dobry wieczór", tak samo Heath, który najwyraźniej znał też ich kom-pana. Holliwell uznał, że ten wysoki młodzieniec to brat pani Paz. Kiedy Kubańczyków już posadzono i obsłużono, z ciemności wynurzyło się amerykańskie małżeństwo, usiedli przy stoliku za krzesłem Holliwella. Holliwell miał dość czasu, żeby im się przyjrzeć, kiedy przechodzili.

Kobieta miała swoje lata - może podchodziła pod pięćdziesiątkę, ale równie dobrze mogła liczyć sobie sześćdziesiąt albo i więcej. Ubrana była w luźną, barwną sukienkę rodem z Hawajów, wokół pełnej szyi wisały koraliki. Farbowane na czarno włosy przylegały do skroni w uczesaniu d la Pola Negri. Mężczyzna był szczupły, blady, o wydatnych wargach. Włosy miał króciutko przystryżone. Niewielkie, ciemne oczy. Na twarzy zachował wyraz swego rodzaju zasuszonej młodości. Wszystko, co na sobie miał, było białe, z butami włącznie.

Zjawienie się na sali małżeństwa wzbudziło wśród gwardzistów baczność uwagę. Groźnym spojrzeniem

wiedli po sali. Ale wyglądało na to, że nikt nie znał tej pary.

Pan Heath przyglądał się, jak małżeństwo siada, w zamyśleniu ssał plasterek cytryny, który podano razem z rybą.

- Stew Nabbs był w Key West - usłyszał Holliwell głos mężczyzny. Jeśli chodzi o niego, ledwo

trzymał się na nogach. Oczywiście rum nie przywrócił go do życia.

- Faj - mruknęła kobieta chrapliwie. - Drobiazg. Płatki.

Mężczyzna parsknął śmiechem. Nieprzyjemnym, wrednym. - Cóż - oświadczył Holliwell
swojemu

kompanowi - idę do łóżka. Mam już dość.

Pan Heath nachylił się ku niemu i powiedział cicho z lekkim półuśmiechem:

- Nigdzie się pan nie ruszy. Zostaje pan tutaj.

- Chyba nie zrozumiałem.

Heath zerknął nad ramieniem Holliwella na małżeństwo, po czym popatrzył mu w oczy.

- Chcę, żeby pan ich posłuchał. Są wyjątkowo interesujący. - Co za facet - zwracał się do swojej
towarzyszki mężczyzna za plecami Holliwella. - Poszukują go listami gończymi od Seattle po Tecan, a
ten mieszka sobie w Key West. Prawdziwy dom, masz pojęcie? Forsy jak lodu. Pieprzony facio. Ale to
nie potrwa długo. Holliwell wzruszył ramionami i pytająco uniósł brwi. Ale pan Heath rozsiadł się
wygodnie niczym meloman szykujący się do wysłuchania ulubionego koncertu.

- Niech pan zostanie - szepnęła - i słucha.

- Mieszkałeś z nim - powiedziała kobieta.

- Przechodziłem koło jego chary. Niedaleko Duval. A tam w garażu leży dzieciak. Może miał ze
czternaście lat. Na kanistrze. O nie, myślę sobie. Splunąłem. "To do zobaczenia, Stewart", mówię mu.

- Byliście kumplami.

- W Nowym Jorku, hotel Clayd. Aaaach. Ta chromolona dziura.

A nad nią Needle Park.

- Ej - zanuciła cicho kobieta. - Ej, pamiętam, Buddy. Prawda, że pamiętam?

- Pamiętasz Phelana, tego lichwiarza?

- Robiłam u Phelana - stwierdziła kobieta. Holliwell próbował sobie przypomnieć jej twarz. -1 ty
też,

Buddy. I Stew. - Wszyscy u niego robili. Ja i Stew byliśmy... Jak to się mówi?

Jego ludźmi.

- Jego pomocnikami. - Mówiła miękko, jakby przypominała dziecku zapomnianą lekcję. -1 o ile pamiętam, łamaliście nogi. Mężczyzna zaczął kląć bez opamiętania.

- I jak się dzisiaj nurkowało? - spytał Heath.

- Właśnie o tym myślałem - odparł Holliwell. - Nadzwyczaj interesująco.

Mężczyzna znowu mówił.

- Ten mały z zajęczą wargą od Rikera. Skurwiel załatwiał sześć kawałków dziennie i szedł do Phelana.

Prostak. Phelan mówi: załatwcie tego typka. No to jedziemy do tego dużego hotelu, Ansonia. Mają tam biura, wszystko. Idziemy do budki i zamawiamy jakieś gówno od Rikera. Po godzinie pokazuje się ten z zajęczą wargą, łapiemy go. Biegnie, drze się jak głupek. Leci na górę po schodach. Wreszcie razem ze Stew dorywamy go na najwyższym piętrze. Wieszamy go za nogi nad klatką schodową. Wszystko się sypie: forsa, portfel, moniaki, wszystko, a on tylko piszczy. Ale cholernego hamburgera nie wypuścił.

- Fioletowym korytarzem - wyrecytowała kobieta - biegnie z wrzaskiem szkarłatny ibis.

- I wiesz co Phelan na to? Pyta: czemu żeście go nie spuścili?

Holliwell popatrzył długo na Heatha.

- Twixt, tak się nazywa to miejsce, prawda? - spytał Heath. - Pamiętam doskonale tę ścianę. Zobaczył pan tam coś wspa-niałego?

- Coś się tam czaiło na dole, nie wiem co.

- Stew miał dziurawe buty - zwierzał się Buddy swojej towarzyszce. - Nosił tenisówki. Pieprzony hotel Clyde.

- I Phelan odszedł z tego świata?

- Tak myślisz?

- Przestraszył się pan? - spytał Heath Holliwella.

- Och. Chyba tak. Miejsce wyglądało dość groźnie.

- Ja mam zupełnie inne wyobrażenie groźnego miejsca. - Zaraz po tym, jak Phelan załatwił swoje -
ciągnął mężczyzna za Holliwellem- Stew coś się porobiło. Zaczął się dziwnie zachowywać. - Ha!
Słyszałam o tym. Wiem, co to było.

- Nie, Olga - odparł tamten. Zniżył głos. - Nie, nie wiesz. Gwardziści przy barze znacznie się
uspokoili, stali pijąc niemal w całkowitym milczeniu. Zapomnieli wrzucić żetony do grającej szafy. W
głębi jadalni kelner liczył białe świece leżące na stoliku. - Mieszkaliśmy jeszcze w Clyde. Stew
polował na panienki.

Łacie. To on załatwiał. Miał swoją gromadkę.

- Te dzieciaki są do niczego - stwierdziła Olga. - Obrzydliwe.

- Wyjechał z miasta. Jedną załatwił.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Załatwił jedną ze swoich panienek.

- Na śmierć?

- No, przecież ci mówię - zachnął się Buddy. - Pojechał do Los Angeles. Widziałem go tam. W
Hollywood.

- Bulwar Straconych Nadziei.

- Miał panienki na deskach. Prawdziwe cizie. Dwie. Robiły na niego.

- Dziwne to wszystko - zadumała się Olga.

- Dziwne. Był na prochach. Wdał się w niuchanie. On i przyjaciel.

- Też mi przyjaciel.

- Ich klienci kręcili filmy. Jeździli po okolicy, Stew i ten przyjaciel. Zbierali panienki. Miała biust - do
wora. Takie lżejsze. Prosto z ulicy.

- No, no, no - westchnęła Olga.

Lampiony wśród palm zamigotały, zgasty i po chwili znów zapłonęły. Gwardziści opuszczali
stanowisko przy barze. Jeden z nich chwiejnym krokiem wyszedł na dwór, beknął głośno i odlatł się na

drzewo. Nad koronami palm błyszcząły miliony gwiazd. - W Twixt wszystko jest takie proste - zwrócił się do Holliwella pan Heath. - Tam tam czysto. Tak daleko się widzi. - Sądziłem, że na górze jest to samo.

- Typowy błąd humanisty - stwierdził Heath. - Pozory mylą.

Istnieje głęboka filozoficzna różnica.

Holliwell nie miał na to odpowiedzi. Pan Heath okazał się filozofem i znowu Holliwell poczuł na ustach gorzki smak Wiet-namu. Wszędzie tam, gdzie było gorąco i zielono, aż roiło się od krzepkich filozofów i uzbrojonych proroków. Nic nowego. Heath patrzył za Holliwella, przybierając maskę udanej obojęt-ności. Buddy jeszcze bardziej zniżył głos, dźwięczały w nim ostrożność i strach.

- Łacie znikają. Stew miał filmy. Sprzedawał je. Twierdził, że ze świetnymi nazwiskami.

- Też mi.

- Bałem się jak wszyscy diabli. Wiedziałem, na co się zanosi.

Stew wiedział, że ja wiem. Jego przyjaciel to skończony kretyn.

- Biedactwo.

- Glinarze znajdują dzieci, Olga, dzieci. Bez narządów. Piszą o rym w gazetach.

- Rodziców nic nie obchodzi - dodała Olga. - Sprzedali je.

- Pornosy, locie, to była sprawka Stewa. Nie krył się z tym.

Mówił, że to dobry interes.

- A mówił, że to lubi?

- Nigdy nic takiego nie powiedział. Ale chyba tak, nie? Bałem się, Olga, wyjechałem.

- Czasem dzieciaki o to proszą - myślała na głos Olga. - To durny wiek.

- To samo mówił Stew. Ale ja powiadam: "Do zobaczenia, Stew". Bałem się.

- Właśnie dlatego nie mieszkam już w Los Angeles. Kiedy wstali, Heath przyjacielsko skinął im głową. Holliwell zmusił się, żeby się za nimi nie obejrzeć.

- Wie pan, jak na nich zwróciłem uwagę? - spytał Heath. Na rumianej twarzy gościł miły, pogodny

uśmiech. - Śmiech tego łajdaka. Kiedy usłyszałem, jak się śmieje, od razu wiedziałem, z kim mam do czynienia.

- Nietypowy turysta, co?

- Tak... Zresztą, co teraz jest typowe i normalne? Ostatnio po świecie włączą się najgorsze szumowiny, jakie Ameryka wydała. Mam nadzieję, że nie poczuł się pan dotknięty.

- W Stanach najróżniejsi ludzie mają pieniądze i czas. Chyba zdaje pan sobie z tego sprawę.

- Wydawało mi się, że Amerykanie sprzed trzydziestu lat byli nieco przyjemniejsi - zadumał się pan Heath. - Maniery tak samo fatalne, ale miłsi z nich byli goście.

- Wiem, kim są ci ludzie - odparł Holliwell. - Wiem, skąd się wzięli. Wiem o nich więcej, niż bym chciał.

- Więc ich pogawędka przy kolacji nie zrobiła na panu wrażenia?

- A na panu?

- Nie na mnie, koleś. Byłem z naszymi w Belsen i szczerze mówiąc, to też nie zrobiło na mnie szczególnego wrażenia. - A jakie zrobiło?

- Budziło we mnie chęć do pracy, żeby zakasać rękawy - powiedział pan Heath. - Podobnie reaguję

na tych... tutaj. - Olgę i Buddy'ego.

- Tak. Olgę. I Buddy'ego. Pobudzają mnie do myślenia. Ha, chłopcze. Pora brać się do roboty.

- To to samo - upierał się Holliwell. - I tu, i pod wodą. To ten sam proces.

- Bardzo łagodnie pan mówi. Czyżby twierdził pan, że każde życie jest świętością?

- Ja nie. Ale nawet Olga i Buddy noszą w sobie jakąś niewinność, prawda? A ten ich przyjaciel z opowieści?

- Holliwell. Holliwell. Bóg może wybaczy Oldze, Buddy'emu i całemu temu towarzystwu, ale On nie

musi z nimi żyć. Ma pan dzieci, prawda?

Holliwell przyznał, że owszem, ma.

- W okolicy krąży jakiś morderca dzieci. Wiedział pan o rym?

Zabił już pięcioro.

- Nie, nie wiedziałem. Ale to nie ma żadnego związku z tymi ludźmi.

- Czy ty jesteś kompletnie ślepy, człowieku? Ja. mogę cię zapewnić, mam oczy szeroko otwarte i umiem myśleć. A kiedy słyszę taki śmiech jak tamten, kiedy poczuje coś takiego w powie-trzu, budzi się we mnie ten sam zapach, co w naszych dobrych misjonarzach. Jestem gotów ruszyć i leczyć dusze. Wierzę, że Bóg polecił Olgę, Buddy'ego i nieboszczyka Rudolfa Hoessa mojej szczególnej opiece. Ale ponieważ nasza cywilizacja jest skorumpowana, tchórzliwa, ponieważ koniecznie chce być tyranizowana przez słabych, zdeprawowanych czubków, którzy nie wiedzą, co to szacunek do siebie czy miłosierdzie, ponieważ jest właśnie tak a nie inaczej, nie mogę robić tego, co do mnie należy. Kostki na dłoniach zaciśniętych wokół szklaneczki ginu po-bielaty. Heath zamrużył oczami, wychylił drinka i znowu się uśmiechnął.

- Dlatego jestem taki sfrustrowany - wyjaśnił.

Gwardziści zbierali się do wyjścia. Ostatni gwizdnął chamsko na nieśmiałą, ciemnoskórą barmankę, która lękliwie ich obsługiwała. Kiedy podeszła, za stanik jej barwnej, obcisłej sukienki wepchnął plik banknotów. Potem obejrzał się i przyglądał dwóm mężczyznom w drugim końcu sali.

- Jestem gliniarzem, naprawdę - powiedział Heath.

- Dlaczego mnie pan spytał, czy bałem się tam na dole? ' - Ach - kajał się Heath. - To było niegrzeczne pytanie. Prze-praszam.

- Nie wydało mi się niegrzeczne. Tylko trochę dziwne. - Moje maniery wołają o pomstę do nieba.

Chyba będę miał kłopoty w modnym kurorcie.

Rozdział dwudziesty drugi w Serrano po nawietrznej stronie zatoki, podmuchy silnego północnego wiatru z Teksasu uderzały łańcuchami o stabilizatory, cumy ciężko skrzypiały. W świetle lamp portowych widać było brudne fale szpecące mleczną zatokę. Pablo wraz z jednym z pracowników

Naftalego uwija! się przy wężu od ropy. Freddy Negus stał oparty o mostek paląc papierosa, wpatrując się w ciemność za budynkami portu. Czekał na Tino. Ludzie NaftaL 3 szybko się uwijali. Skrzynie z bronią, impregnowane kreozytem, wkładano do pojemników wystanych wodo-odpornym płótnem. Następnie końce brezentu zawiązywano i pojemniki wypełniano ośmiokilogramowymi kawałami lodu. Po godzinie ładowania "Chmura" była już prawie gotowa do wyruszenia w drogę.

Zazwyczaj Negus bacznie doglądał załadunku, ale tego wieczoru pozwolił, by robotnicy sami się tym zajęli. On całą uwagę skupił na ciemnej drodze, która prowadziła do mola. Po drugiej stronie zatoki światła rafinerii lśniły niczym wieże miasta-zjawy. Tuż za nimi na porośniętym kaktusami, tonącym w głębokim mroku zboczu widać było rozrzucone, pojedyncze światełka miasta Serrano. Tereny Naftalego oddzielała od pustyni siatka z drutu kolczastego i gruby mur kłującej akacji.

Zakurzoną drogę dojazdową do portu zagradzały dwie cięża-rówki, które stanęły maska w maskę w poprzek trasy. Pięćdziesiąt metrów dalej stał blaszany barak oświetlony tylko jedną gołą wką nad wejściem. Pod nią stał mężczyzna z pistoletem w kaburze i dozorował akcję załadunku. Negus zaklął i wszedł do sterówki.

- Wygląda na to, że nie przyjdzie - powiedział.

Pani Callahan porządkowała półki kuchenne. Callahan zaś pochylał się nad stołem nawigacyjnym.

- A to co ma znaczyć? - spytała Deedee Callahan.

- Nigdy przedtem nie zrobił czegoś takiego - stwierdził Negus.

Callahan milczał.

- Słuchaj. - Negus pochylał się nad stołem Callahana. - Zbierz to wszystko to kupy. Nieopatrznie

wypuściliśmy tego punka na ląd. Równocześnie Tino idzie na poszukiwania i nie wraca. - Co ty

sugerujesz? - zapytał Callahan. - Że dzieciak go sprzątnął? - Na rany Chrystusa, sam chciałbym

wiedzieć. Ale Tino ni z tego, ni z owego zniknął. Albo wpadł w coś i nie może się wydostać. Albo

uważa, że coś tu śmierdzi i gra na zwłokę. - No, ale przecież dałby ci chyba znać? - wtrąciła Deedee.

- Też mi się tak wydaje. Może nie mógł.

Negus odwrócił się i wyjrzał przez przydymioną szybę na ciemne morze.

- W tej branży jest ustalona kolejność rzeczy. Takie są reguły.

Callahan nie odrywał wzroku od mapy.

Skończywszy tankowanie Pablo przez jakiś czas pomagał w załadunku skrzyń. On też spoglądał na ciemną drogę prowadzącą do mola i myślał o pokoju w hotelu Hollandia, gdzie zapewne kryształki lekko dźwięczą na wietrze. Ze sterówki dobiegało niechętne warczenie Negusa. Kiedy zeskoczył na pomost, zauważył, że uzbrojony mężczyzna przy budce spojrzął na drogę. W oddali zamajaczyło słabe, migotliwe światełko. Pablo obejrzał się przez ramię na sterówkę i pobiegł do punktu.

- Co się stało? - spytał strażnika.

Strażnik popatrzył na niego, wzruszył ramionami i znowu utkwiał wzrok w drodze.

W miarę jak światło się zbliżało, Pablo zorientował się, że to lampa roweru. Wysoki tubylec w fioletowych chodakach pedałowal ze wszystkich sił po nierównej, piaszczystej drodze. Zatrzymał się obok chary, otarł pot z czoła. Zaczął rozmawiać ze strażnikiem. Posługiwali się językiem papamiento. Rowerzysta trzymał w dłoni dużą kopertę..

- Chłopak przyjechał z miasta - wyjaśnił Pablowi strażnik.

- Ma list dla pana Negusa.

Pablo obejrzał się za siebie i zobaczył, że budka strażnika stoi dokładnie między nim a mostkiem "Chmury".

- Ja to wezmę - powiedział.

- Pan Negus?

- Zgadza się. Dawaj.

Rowerzysta znowu coś powiedział. On też miał przy pasku pistolet.

- Mówi, że jechał z samego miasta. Trzydzieści kilometrów.

Trza by mu coś dać.

Pablo sięgnął do kieszeni i wyjął garść banknotów. Guldeny.

Wcisnął je rowerzyscie w garść. Nie miał pojęcia, ile to będzie.

Okazało się, że wystarczyło.

Strażnik i uzbrojony rowerzysta dalej stali, Pablo podszedł do światła przy wejściu do chaty, gdzie nadal nie był widoczny z pokładu. Wyjął kartkę z koperty i przeczytał w świetle żarówki. Drogi Frett - pisał Tino - może pisać szytko. Ten młody pank Pablo był ó Nawtalego i zatłók starócha. Sam widziż, że jest źle. Wisz, braku, sfoje żeżmy wyptywali ale to morze sie źle skończyć. Bojem sie ruszydź ztond. Policja sie krenct Hyba nie mój nic szefowi Lepiej ratój własnóm skure. Znajdzie sie, jak niejeden kopiec to drogi Szeju mósi znaleźćjakies wyjście, nie tak to inaczy. Rószamy do Curacao i koniec. Ten Pablo to skórwyszynki drań.

Pisane w Jesu Christo, Valentine.

Pablo schował kartkę do kieszeni. Rowerzysta znowu się odezwał.

- Kazali mi czekać na odpowiedź.

- Nie ma odpowiedzi - odparł Pablo. - Wszystko w porządku. - Pablo zacisnął wargi z wściekłością. -

Miałeś cholerne szczęście, że tu dojechałeś - zwrócił się do nic nie rozumiejącego rowerzysty. -

Naprawdę jestem ci wdzięczny.

W sterówce pan Callahan nastawiał swojego Rolexa według 321radia. Negus przeciągał palcami po rzadziejących włosach, jakby równomierne sygnały wybijające godzinę działały mu na nerwy. - Jeśli Tino się nie pokaże - odezwał się po chwili do Callahana - ja nie jadę.

- Przecież przed chwilą doszliśmy do wniosku, że się nie pokaże - stwierdził Callahan. - Prawda?

Deedee Callahan wodziła wzrokiem od Negusa do męża, trzy-mając między białymi zębami łupinę orzeszka pistacjowego. - Daj spokój, Freddy - uspokajał Callahan. - Nie zachowuj się jak stara baba. - Jesteś skończonym głupcem - oświadczył Negus - ot, co.

Deedee wysunęła głowę.

- Jest na luku. Zdaje się, że już skończyli.

- Idź, zagadaj go - rozkazał jej mąż. - Trzymaj go z daleka, żeby nie narozrabiał. Freddy i ja musimy

sobie pogadać. Przyglądał się, jak żona przygląda włosy i wychodzi. - Bez ciebie, Freddy, nie będę mógł wypłynąć. A Bóg mi świadkiem, chcę to zrobić jak najszybciej.

- Powinieneś wiedzieć, kiedy lepiej się nie ruszać, Callahan.

A nawet jeśli ty nie wiesz, to ja wiem.

- Freddy - przypomniał Callahan -jesteś mi coś winien.

- Ale nie życie, do diaska, Jack. Tego ci nie jestem winien.

Callahan zwinął mapę, którą oglądał, i odłożył na bok. - Przecież nie popłynę sam z Deedee i rym dzieciakiem Bóg wie skąd. Tamci dranie na wybrzeżu wezmą broń i zatopią nas. Potrzebny mi choć jeden człowiek, któremu mogę zaufać.

- Nie jedź.

- Drogi przyjacielu, muszę jechać. Muszę. Wszystko zależy od tego jednego kursu.

Negus odwrócił wzrok.

- Pamiętasz, co się przytrafiło Otisowi w Grenadzie, Freddy?

Kiedy nie miał nikogo zaufanego, a statek wyładowany M-I?

- Dopłynął do St. Eustatius - odparł z roztargnieniem Negus.

- Tam są porządni ludzie.

- Świetnie, a teraz spójrz na naszą sytuację. Zapłaciliśmy, załadowaliśmy towar. Nie możemy się teraz wycofać. Ja nie mogę. - A ja mogę. Tino mógł.

Callahan zamknął oczy, oparł łokieć o stół.

- Posłuchaj, Freddy. Póki nie dostarczymy towaru, nie będziemy mieli pieniędzy. Pablo chce nas wrobić, chodzi mu o forszę. Jakoś uda nam się go utrzymać w ryzach aż do dostawy.

- Może. A co potem?

- Potem go zabijemy. Co więcej, on jest twój za wszystko, co nabroił. Jeśli naprawdę sądzisz, że więcej z nim kłopotów niż korzyści, załatw go. Decyzję pozostawiam tobie.

Negus milczał przez chwilę. Callahan obrócił się w krześle, żeby sprawdzić tabelę pływów.

- Nie ma możliwości opłacenia go i spławienia?
- Nie - odparł Callahan nie podnosząc wzroku.
- Kurde, jeśli to ma zależeć ode mnie, załatwię go, gdy tylko wypłyniemy na pełne morze.
 - Nie, nie zrobisz tego, druhu. Będziesz cierpliwy. A kiedy bomba pójdzie w górę, może się okazać, że

sprawi ci to prawdziwą rozkosz.

Kiedy Deedee Callahan znowu pokazała się w sterówce, Negus obejrzał się zaskoczony.

- A gdzie smarkacz?

- Dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. Co się dzieje, panowie? Ruszamy czy nie? Bo statek

już załadowany, a chłopcy w porcie zastanawiają się, co my sobie, u licha, wyobrażamy. - Odbijamy,

Freddy - rozkazał Callahan.

Negus włożył czapkę, wyszedł na pokład i ryknął do Pabla, żeby związał cumy.

Callahan zdjął z półki butelkę whisky i nalał sobie jednego.

- A cóż słyhać u naszego młodzieńca? - spytał.

- Chodzi odęty nie wiedzieć czemu. Widziałeś kiedyś gnojka, który za wszelką cenę stara się nie sypnąć? To cały on. - Jak mawiał irlandzki mędrzec: nie wystarczy milczeć. Trzeba jeszcze wybrać, w jaki sposób się milczy - powiedział sentencjonalnie Callahan.

- Aha, bardzo dobre. Ale wiesz co, Jack, kochanie? Wcale mi się to wszystko nie podoba.

- Nie oszukasz mnie.

- On jest podejrzany. Jest. Jest.

- W takim razie go zabijemy - oznajmił Callahan. - Trzymaj się blisko niego. Chcemy wiedzieć, co knuje.

- On nie jest głupi, nie zapominaj o tym.

- Doprawdy?

- Wcale nie jest głupi. Jest, kurwa, całkiem sprytny.

- Tym gorzej.

- Dlatego teraz to ja będę pić, skoro mam się trzymać blisko niego. Za to ty będziesz trzeźwy. Bo szczeniak nie jest głupi, a ty musisz całkowicie panować nad sytuacją.

- Oczywiście masz rację.

- Jeszcze jak. Ale zabawa, co, szefie? - zawołała Deedee.

- W końcu po to tu jesteśmy, nie?

Całą noc płynęli z amortyzatorami, na granicy ryzyka, pozwalając się nieść słabnącemu prądowi północno-wschodniemu. O świcie nad samotnym wzniesieniem na południu zobaczyli zwały różowawych chmur, które niechętnie rozstępowały się pod podmuchami wiatru. Zresztą czym prędzej zastępowały je inne, które pojedynczo lub grupami zasłaniały odległy horyzont i zmie-rzały wprost ku pożytkowanym zboczom, zieleniejącym w oddali. Było to San Ignacio, wyspa niegdyś należąca do Anglii, potem na zmianę do Kolumbii lub Panamy, teraz jeśli czyjaś, to wyłącznie swoja.

Pablo schronił się po zawietrznej stronie rufy. Spał niespokojnie, co chwila się budząc. We śnie błądził pod powierzchnią morza, po przebudzeniu widział nad sobą gwiazdy. Raz obudziły go krople wody i kiedy uniósł głowę, zobaczył pod relingiem bryzgającą wodę, poczuł drzenie statku towarzyszące uruchomieniu potężnych silników, słyszał równomierne chlupotanie wody o kadłub. Nie potrafił określić, z jaką prędkością się poruszają, ale na pewno nie była to szybkość, którą mógłby rozwinąć jakikolwiek normalny kuter. Kiedy "Chmura" wróciła do zwykłego tempa piętnastu węzłów, Pablo znowu zapadł w sen.

Rano obudził go warkot silnika pomocniczego, który wciągał amortyzatory. Podeszedł tyłem do relingu i kiedy się obejrzał, zobaczył przed sobą odległą białą linię i zielone wzgórza niknące w chmurach. Nad głębokimi, ciemnymi dolinami wśród wzgórz lśniły tęcze.

- To Tecan - odezwała się Deedee.

Pablo uświadomił sobie, że kręciła się przy nim całą noc, podpytując, pijąc, szwendając się pod nogami. Nie zwracał na nią uwagi. Teraz leżała na pokrywie luku ubrana w same dżinsy, bez bluzki.

Brodę opierała na dłoniach. Pablo dotknął kieszeni, sprawdzając, czy brylant nadal tam jest. Był, na samym sercu. Freddy Negus wyszedł ze sterówki i włączył lebiódkę. Widać dzień spędzą tutaj. Negus ani razu nie spojrzał w jego kierunku;

Pablo wyczuł, że marynarz stara się go ignorować.

- A więc - zagaiła Deedee Callahan - wierzysz w istnienie innego świata?

Zwykła paplanina, ale pytanie go zaniepokoiło. Ustawił się przy relingu na zawietrzną, żeby się odlać.

- Nie rozumiem, co pani ma na myśli.

- Mało sypiasz, prawda?

- Nie potrzebuję dużo snu.

- W marynarce mawiali: "Czas nie spędzony na śnie to czas stracony". Czyżby Straż Przybrzeżna nie miała podobnego przy-słowia?

- Taaa - odburknął. - Ma.

Na delikatnej skórze jej ramienia dostrzegł miniaturowy tatuaż, " łańcuszek. Był malutki i elegancki, prawdziwe cacko. Deedee zauważyła jego spojrzenie.

- Łańcuch Cashla - wyjaśniła. - Symbol wieczności. Ciągnie się, ciągnie, ciągnie i ciągnie, i nie wiesz, gdzie się zaczyna, a gdzie kończy. Więc tylko się go trzymasz.

Paliła skręta. Pablo zdał sobie sprawę, że musiała je palić całą noc, bo czuł ten zapach przez sen.

Przekręciła się na plecy, przelotnie zerknęła na jej piersi: były niewielkie, okrągłe, młodzieńcze, trochę

jaśniejsze od reszty ciała. - Ta rafa nazywa się Chwała Bogu - powiedziała.

Wychyliwszy się za burtę nie zobaczył żadnej rafy. Woda pod statkiem wyglądała na głęboką, była tak

samo niebieska jak otaczające ich morze. Znowu popatrzył na wybrzeże, zastanawiając się, czy to nie

ten sam brzeg, który opuścili trzy dni temu. - Spędziłam tu ryle ranków - podjęła, dając mu skręta.

Po-trząsnął głową. - Tyle ranków. Ciekawe, ile ich było. - Na tym? - spytał Pablo.

Dopiero po chwili zorientowała się, że miał na myśli statek. - Ależ skąd. - Zapatrzyła się na ląd ze

smutnym, melan-cholijnym uśmiechem. - Na prawdziwej "Chmurze". Nie na tej namiastce.

- A jak ona wyglądała?

Deedee uniosła papierosa do ust, zaciągnęła się.

- To był - zaczęła wolno - to był szkuner, chłopcze. Siedem-dziesiąt stóp, dwa maszty. Zbudowany w Halifax, brał udział w wyścigach Lipton Cup. Zrobiony z drewna tekowego, które czuło się, zanim się zobaczyło. To była prawdziwa "Chmura". - Gdzie teraz jest?

Deedee wzruszyła ramionami, wyduła wargi i rozchyliła je z cichym jękiem.

- W czasie przeszłym. Pływa sobie w czasie przeszłym do-konanym.

Pablo prychnął. Powiedział jej, że jest naćpana.

- Dzięki temu nie spałam całą noc - odparła. - Przydaje się.

- A dlaczego pani nie spała?

- A dlaczego ty nie spałeś? - odpowiedziała pytaniem.

Nie wyciągnęła z niego odpowiedzi.

- A więc witaj załogo, która nigdy nie śpisz. Stała czujność i gotowość to zaleta statku.

Pablo przyglądał się, jak łańcuch od kotwicy naprężył się w miarę, jak płynął ku nawietrznej.

- Dlaczego zarzuciliśmy kotwicę?

Deedee strzepnęła popiół do morza i przekręciła się na brzuch.

- Spytaj jego, Pablo.

W sterówce Negus wystukiwał kod na odbiorniku VHF; w kabinie słychać było szumy, trzaski, ciche hiszpańskie zawołania. Negus i Callahan popatrzyli po sobie i usiedli, czekając. Callahan zerknął na zegarek.

Dość szybko usłyszeli głośno i wyraźnie głos mówiący po amerykańsku.

- Morscy bracia do Marie Truman, słyszysz mnie? Odbiór.

- Proszę, proszę - powiedział Callahan. - Mamy go.

Wziął do ręki mikrofon.

- Marie Truman do morscy bracia. Słyszę doskonale. Jaką mieliście noc?

- Morscy bracia do Marie Truman. Nudną. Szorowaliśmy sie-ciami po skałach. Złowiliśmy tylko rybę

piętę. Odbiór. Callahan uśmiechnął się szeroko do Negusa.

- Marie Truman do morscy bracia. Tylko jej nie wyrzucajcie, słyszycie? Na łądzie to cudo jest warte czterdzieści dolców. Odbiór. - Morscy bracia do Marie Truman. Do zobaczenia jutro przy Gracias a Dios. Miłego dnia. Odbiór.

- Marie Truman - odparł Callahan - do morscy bracia. Wam też udanego dnia. Bez odbioru. - Zwrócił

się do Negusa. - Czyż on nie jest kochany? Udaje teksaski statek. I ma to, czego my chcemy, my zaś mamy to, czego on chce.

- Przed nami jeszcze cały dzień.

- Skoro złapaliśmy go na VHF, to znaczy, że musi być maksimum siedemdziesiąt mil stąd.

Callahan podszedł do stołu nawigacyjnego i rzucił zużytą locję, która leżała na mapach wybrzeża.

- Sądząc z namiarów, nadaje z miejsca zwanego French Harbor. Tuż nad rafą. - Z kieszonki bawełnianej bluzki wyjął okulary do czytania i pochylił się nad mapą. - Ponoć ma być gdzieś tam wieża kościoła. Tak czy owak to o rzut kamieniem od Puerto Alvarado, a tam światła jest pod dostatkiem. Tak więc pod-płyniemy tam o zmroku. Sprawdź, co nas czeka, i ustal położenie. - Masz pogodę?

- Wspaniała pogoda, Freddy. Pogodnie. Słaby północny wiatr.

1 księżyc wszędzie dopiero po północy.

- Ten facet doskonale mówił po amerykańsku - niepokoił się Negus. - Boże, miej nas w swej opiece, jeśli się okaże, że rozmawialiśmy z kimś z Guardii. Sam wiesz, że mają u siebie od licha jankeskich bajerów, no i samych Jankesów.

- Ach, Fred - westchnął Callahan - gdyby go złapali, chcieliby mieć i mnie. A oto jestem u samych drzwi.

- Może wzięli ciebie, a chcą upolować jego.
- To skąd by wytrzasnęli jego kod? Opanuj się, gdzie ty masz głowę?

Negus wyszedł na pokład i przez lornetkę dokładnie przeszukał cały brzeg.

- Nic się nie dzieje - oznajmił Callahanowi po powrocie. Odłożył lornetkę do futerału koło steru.
- Rzecz w tym, Fred - zwrócił się do niego Callahan - że albo się coś robi, albo nie. My właśnie to

robimy, więc róbmy bez ciągłych humorów i zrzędzenia.

- Tak sobie pomyślałem - odezwał się Negus. - Może się okazać, że nasi ludzie to po prostu grupka pocziwych, patrio-tycznie nastawionych Hiszpanów. Którzy tylko zapłacą i odbiorą towar. I to bez żadnych kłopotów.

- W takim razie moglibyśmy od razu pozbyć się Pabla, zgadza się?
- Zgadza.

- Ale, co bardziej prawdopodobne, mogą się okazać bandą porypanych ratones. Skończyły się czasy przywoitych Hiszpanów na tym wybrzeżu. Wyginęli wraz z boomem kokainowym. Negus wysunął głowę przez luk i popatrzył na Pabla, który leżał oparty o wejście do kabiny, z kapeluszem zsuniętym na oczy. - Niech licho porwie tego typa - warknął.

Rozdział dwudziesty trzeci

Właśnie wracała z Morazon wioząc dwa pięciokilogramowe worki soczewicy i sporo owoców, kiedy zobaczyła przed sobą Camposa. Zaparkował jeepa w poprzek drogi tak, że żaden pojazd nie mógł przejechać, i stał przed wozem leniwie machając, żeby Justin się zatrzymała. Popołudniowe słońce odbijało się w jego lustrzankach. Justin co prawda już raz sobie postanowiła, że nie będzie się bała Camposa, ale niepokoiło ją ustawienie jego samochodu. Porucznik Campos stanął na środku jezdni i wzrokiem zmierzył zakonnicę od stóp do głów. W jego zachowaniu nie było śladu frywolności ani uśmiechu.

- Siostra Justin - stwierdził tylko. Próbowwała dostrzec jego oczy ukryte za ciemnymi okularami.

- Dzień dobry, panie poruczniku.

Minął ją i poszedł sprawdzić, co ma na tylnym siedzeniu.

- Zdaje się, że opuszcza siostra naszą biedną ojczyznę.

- Tak - odparła. - Już niedługo.

- Tak jak to siostrze nakazano.

- Owszem, przez mojego prowincjała. Kiedy tylko to będzie możliwe.

Porucznik oparł się o wóz i zapatrzył na morze.

- Dziesięć kilo soczewicy. Czyżby zamierzała siostra wziąć to wszystko do swej jankeskiej ojczyzny?

- Nadal mamy ludzi do wykarmienia.

- Hipisów - uciął Campos.

Justin nie znalazła dobrej odpowiedzi. To prawda, że ostatnio wokół misji kręciło się sporo długowłosych turystów z zagranicy, z których część najwyraźniej zamierzała się tam osiedlić na dłużej.

Justin zdawała sobie sprawę, że Egan coraz częściej spędza z nimi wieczory i że te odwiedziny mają z tym jakiś związek. Ale, o ile zdążyła się zorientować, a bacznie tego pilnowała, tamte dzieciaki nic nie ukradły. Przynosiły własne jedzenie. Tyle, że nie mogli sobie wybrać gorszego czasu. Jakoś będzie musiała położyć temu kres. Od wyjazdu Godoya nie otrzymała żadnych nowych instrukcji.

- Nie zapraszaliśmy tamtych ludzi - powiedziała - ani ich nie karmimy. Ruiny przyciągają turystów. To

nie nasza wina, że misja właśnie tam jest położona.

- Hipisi to nie turyści - oświadczył Campos. - Oni tylko odstraszą turystów.

Justin czuła, że bardzo wiele zależy od tego, jak teraz się zachowa. Koniecznie musi sprawić wrażenie

spokojnej i pewnej, równocześnie zaś musi sprawdzić, o co naprawdę chodzi porucznikowi

Camposowi - a nie było to łatwe zadanie. Justin niewiele wiedziała o policjantach, ale na przykładzie Camposa zdążyła się przekonać, że dobry policjant wcale nie musi oznaczać zdrowego na umyśle policjanta.

- Tak więc misja nie pomaga naszej ojczyźnie tak jak powinna.

Wręcz przeciwnie.

Do czego prowadzi to rozumowanie? - zastanawiała się po-spiesznie. Nie miała pojęcia, co Campos wiedział bądź podej-rzewał, wiedziała tylko, że najwyraźniej mu podpadła. A może tylko wściekł się, że ma hipisów na swoim terenie? Czy owi najnowsi uczniowie Egana nie staną się pretekstem do wyrzucenia ich z Tecanu? Albo to zwykła gra w kotka i myszkę, zanim obnaży się silne ramię Guardii, by powalić żalósny spisek przeciwko władzy: domniemane foco, ją, Godoya?

Dobry Boże - pomyślała -jeśli on wie, co ja knuję, to wie więcej ode mnie.

- Jeśli pan sobie tego życzy, powiemy im, żeby się przenieśli gdzie indziej. Z pańskiego polecenia.

- Oni mordują dzieci - powiedział. - Zginęło już sześcioro. Justin wypuściła kierownicę, którą, niczym ostatnią deskę ratunku, kurczowo ścisnęła w czasie rozmowy. Popatrzyła na porucznika z przerażeniem.

- Nie! - udało jej się wydusić. Nagle opuścił ją cały duch bojowy.

Campos posłał jej uśmiech.

- Tak. Zamordowali. Sześcioro.

- Te morderstwa... - odzyskała głos Justin. - Te morderstwa... zaczęły się wiele miesięcy temu...

Gdybyśmy mieli najmniejsze dowody bądź podejrzenia... choćby cień... zawiadomilibyśmy pana.

- A skąd mam wiedzieć? - odparował Campos.

Justin próbowała zapanować nad gniewem.

- Wszyscy byliśmy oburzeni tymi morderstwami, poruczniku. - Wściekłość w niej narastała, ale równocześnie zdała sobie sprawę, że szykuje się coś o wiele groźniejszego, fatalnego w skut-kach niż zwykłe zamieszanie. - Wszystkich nas dziwiła bezradność Guardii w rozwiązaniu tej tajemnicy. Może być pan pewny, poruczniku, że zrobimy, co w naszej mocy, by pomóc. - Dziwiła was bezradność Guardii?

- Byliśmy nią rozczarowani.

- Aha - powiedział, jakby to stwierdzenie go uspokoiło. - Wie siostra, to zabawne. Oboje mamy swoje

stroje służbowe. Ja noszę mundur. A siostra habitu nigdy. Czy nadal jest siostra zakonnica? - Może pan udać się do władz kościelnych lub Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i sprawdzić. Jestem zakonnica. Nie miesz-kamy w stolicy i wolno nam się ubierać w strój roboczy. - A więc to tylko kwestia pomieszania tradycji, he?

- Na to wygląda.

- W takim razie może być siostra pewna, że w naszym okręgu będzie siostra potraktowana zgodnie ze swoim statusem. Zmusiła się do uśmiechu. Jakim cudem udało jej się go znaleźć, nie miała pojęcia. A potem zachciało jej się uśmiechnąć do Camposa.

- Dziękujemy bardzo, poruczniku.

Stał chwilę, świszcząc przez zęby.

- A teraz, siostrze, zechce siostra łaskawie cofnąć samochód, żebym mógł przejechać.

Wrzuciła wsteczny bieg i wjechała w sytki, twardy piasek tuż obok linii wody. Przez chwilę koła tylko

buksowały. Zakłęta pod nosem. Tylne koła wy dostały się z piachu.

- Wybaczy siostra - spytał Campos - czyżby siostra coś powie-działa?

Sam wykręcił swój samochód na nieco wyższe miejsce i teraz wjeżdżał na drogę.

- Nie, nic.

Wrzucił bieg, silnik zawarczał.

- Zakonnice nie klną! - ryknął. - Nie przy mnie!

I ruszył jak zwykle szybko i ostro.

- Que la vaya bien - mruknęła Justin pod nosem i wróciła na drogę.

Jadąc do domu, całą uwagę skupiła na prowadzeniu samo-chodu. Była przerażona i marzyła wyłącznie o tym, żeby schronić się w siebie, zamknąć okiennice i wyciągnąć w chłodnym, ciem-nym pokoju. Wtedy będzie potrafiła jaśniej myśleć. Kiedy dotarła na miejsce, wzięła prysznic i położyła się

do łóżka. Przez jakiś czas, znużona ciężarem strachu i zmęczenia, spała. Nękały ją krótkie uciążliwe sny. Kiedy się przebudziła, stanęła twarzą w twarz z prostą rzeczywistością. Pomysł, by misja Devotionist przy French Harbor została wykorzystana jako punkt strategiczny w zbliżających się walkach, stanowił połączenie głęboko skrywanych pragnień. Jednym był jej egoizm, drugim naiwna wiara Tecańczyków w ochronę, jaką zapewnia flaga amerykańska.

Jeśli Ruch nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie stanowi Campos, oznaczało to, że zlekceważyli głębię jego szaleństwa. Uważali go zapewne za wrednego brutalnego oportunistę - idealnego wroga. Ona zaś podejrzewała, że w tym człowieku kryje się coś więcej. Wyglądał na schizofrenika, uno-siła się wokół niego woń człowieka ogarniętego przez niezdrowe chęci, które dziwnym trafem koncentrowały się na niej. Wiecznie o nią wypytywał. Egana, kupców, campesinos. To było coś więcej niż podejrzliwość. Na swój specyficzny sposób wydawał się inteligentniejszy od innych gwardzistów na podobnym stanowisku; to tak jakby udało mu się stać tym wszystkim, o co jego koledzy w trudzie i bezskutecznie zabiegali. A zatem, gdyby był tak inteligentny, jak przypuszczała, uchwyciłby się myśli o istnieniu na wybrzeżu foco. Podzieliłby się swoimi podejrzeniami ze zwierzchnikami w stolicy i, oczywiście, połączyłby wszystko z rozszanymi po całym kraju zakonnikami Devotionist. W pewnym sensie byłoby to dla niego z korzyścią. Kapitan Campos. Generał Campos.

W tym wszystkim pachniało też zdradą któregoś z członków organizacji. Wtecenie roilo się od informatorów. Mogli przeniknąć do Ruchu, może nawet do jego władz. Fiasko rewolucji darowałoby obecnemu rządowi dodatkowe dziesięć lat życia. Może więcej. Czy to możliwe - myślała - że zaczynam wreszcie rozumieć ten kraj? Niemożliwe - uznała. To tylko jeden z krótkich napadów zdrowego rozsądku. Chwilowa przypadłość.

Ubrała się i napiła chłodnej, źródlanej wody. Natychmiast wysłała im wiadomość. Że kontrole są podejrzanie częste i dokładne, że coś się szykuje, a to oznacza klęskę. Nie miała planu awaryjnego. Musiała założyć, że Tecański Ruch Wyzwoleńczy zna pojęcie planu awaryjnego.

Niezależnie od tego, czy decyzja o odrzuceniu udziału w ruchu wyzwolenia Tecanu była roztropna czy nie, na samą myśl o tym Justin ogarnęła gorycz. Tak wiele potrzebowali - myślała - i po-prosili o tak niewiele. Żeby światła na przystani zostawiać zapalone. Nie było w tym nic podejrzanego, wielu rybaków wypływało nocą i często zwracali się do niej albo do Egana z prośbą o niegaszenie świateł, by mogli bezpiecznie wpłynąć do przystani. Żeby zająć się rannymi - co przecież i tak by zrobiła. Ale obsesyjne zainteresowanie Camposa sprawiało, że jakiegol-wiek ruchy stały się ogromnie niebezpieczne. Guardia będzie pilnować palących się długo świateł. Ranni, którzy schronią się w ambulatorium, znajdą się w pułapce. Egan, który pozostawał pod jej opieką, na pewno nie przeżyje.

A więc decyzja. Bezwzględna, ale konieczna. To nie ostatnia wojna na świecie, ma przed sobą całe życie, by w nich uczest-niczyć. Justin przeszła do niewielkiego pokoiku obok kuchni, gdzie stała mała radiostacja. Siadła przy stole. Będzie musiała skontaktować się z siostrą Mary Joseph, żeby jej pomogła w zlik-widowaniu misji, nadać telegram do prowicjała, zawiadomić konsulat i MSW.

Zaczęła sporządzać notatki, ale po chwili odłożyła długopis. Campos. Kiedyś miała sen erotyczny z nim w roli głównej. Teraz był ciągle obecny w jej myślach i nagle coś ją uderzyło. Raz się zadamowiwszy, myśl nie chciała jej opuścić, wreszcie przerodziła się w pewność. To on zabijał dzieci! Oczywiście, Justin nie mogła tego w żaden sposób udowodnić, ale była o tym głęboko przekonana. Jak mogli powiedzieć, żeby się go nie bała? Jeśli zamierzali go zabić - domyśliła się tego już w czasie tamtej pierwszej rozmowy z Godoyem przy kolacji, ale jej własna słabość, skrupuły nie dopuszczały tej myśli do głosu - to dlaczego tego nie zrobili do tej pory? Teraz zaś, z taktycznego punktu widzenia, było już za późno. Ale czy na pewno? Może w tym wszystkim kryje się element szantażu? Może JRuch skądś dowiedział się o zbrodniach Camposa i uważał, że w ten sposób porucznik zostanie zneutralizowany? Niemożliwe - odrzuciła tę myśl - oni nie są cyniczni, nie tacy. Ale ktoś musi coś zrobić z Camposem. Inaczej dalej będzie mordował. Wszyscy, każda matka i każde dziecko mieszkające na wybrzeżu, będą zdani na jego łaskę i niełaskę, z jego rąk będą ginąć w mękach. To oczywiste, że torturowanie i zabój-stwa dzieci są ważniejsze od wprowadzania nowej władzy. Ale czyż to wszystko -

Campos na wybrzeżu, prezydent w swoim pałacu w stolicy, troska Amerykanów o zachowanie obecnego stanu - nie stanowiło elementu tej samej układanki? Zapatrzyła się na kartkę, która przed nią leżała, i położyła głowę na rękach.

Z dworu, od strony wyboistej ścieżki, która wiodła w głąb lądu, usłyszała głosy. Podeszła do okna, otworzyła okiennice i zobaczyła pierwsze grupki młodych obcokrajowców zmierzających do stel. Szli parami, większość miała jasne włosy, rozjaśnione przez słońce, i opalone twarze. Wydali jej się niewiarygodnie ufni, niewinni. A przecież najstarszy z nich był niewiele młodszy od niej. Przeszli niczym duchy. Nikt jej nie zauważył.

Ojciec Egan nadal spał w hamaku na werandzie. Podbrzusze miał zaokrąglone od choroby, ale twarz mu wychudła, oczy i policzki się zapadły. Kiedy Justin przyjechała do Tecanu, był czerstwy i pulchny. Teraz po raz pierwszy mogła zobaczyć wydatną szczękę i delikatne rysy. Jego twarz stanowiła poszarzałą kopię tego, jak mógł wyglądać w młodości, śmiertelną maskę przystojnego, wrażliwego młodego księdza, na którego widok echem Pierwszego Listu do Koryntian szybciej biło serce pobożnych niewiast.

Nie chcę go tutaj pogrzebać - pomyślała Justin - byle gdzie. Pod drzewem zielonej cytryny w Kalifornii czeka na niego kamien-ny grobowiec, gdzie będzie mógł spać z innymi cieniami, które tak jak on nocą sunęły do wyłożonej kobiercem kaplicy. Cieniami braci, którzy oddali i stracili serca, umysły, płęć i wnętrzności w służbie ich Jedyne-ego, Świętego, Wiszącego na Krzyżu. Obudził się, zobaczył, jak się w niego wpatruje.

- Co się stało, moja droga?

Usiadł na hamaku, brzuch zawisł mu nad paskiem, sięgając niemal do brzegu hamaka.

- Przyszło całkiem niezłe stadko - powiedziała.

Patrzył na nią nie rozumiejącym spojrzeniem.

- Twoi parafianie się gromadzą - wyjaśniła.

Egan ziewnął.

- Znowu coś ci się we mnie nie podoba.
- Cóż, muszą się stąd wynieść i to wszystko. Któryś z nas musi im o tym powiedzieć. Staram się oboje nas wyciągnąć stąd tak, żeby robić przy tym jak najmniej zamieszania, a Campos urządza afery Bóg wie o co.
- Był tu dzisiaj - wtrącił Egan. - Słowem o nich nie wspomniat.

Pytał o ciebie.

Justin przeszył dreszcz.

- O co?
- Właściwie nie wiadomo, o co mu chodziło, znasz go. Pytał mnie jak mężczyzna mężczyznę, czyjesteś dziewicą. Jak mężczyz-na mężczyznę, tak się wyraził. Potem chciał wiedzieć, czy byłaś kiedyś w Kalifornii albo w Paryżu. - Wstał i odgarnął włosy z czoła. - Dał mi do myślenia.

- A do jakichże to myśli cię sprowokował?

Ksiądz minął ją, kierując się do swojego pokoju, i zaczął pompować wodę na prysznic. Wołał do niej zza otwartych drzwi. - O człowieczeństwie. Zadawał mi te dziwne pytania i zacząłem się zastanawiać, czy on w ogóle jest człowiekiem. A potem zacząłem się zastanawiać, czy ja jestem człowiekiem. I ty, moja droga, czy ty też jesteś człowiekiem. I w końcu pomyślałem: co przez to rozumiemy? Człowieczeństwo. Czy to oznacza, że się żyje, porusza po Ziemi i nie jest się zwierzęciem? Czy też to, że się cienko przedzie? Cokolwiek by to nie było, czy jest tego coraz mniej? I czy jest dobre czy złe?

Skończył pompować, Justin słyszała, jak wyjmuje butelkę z brodzika i odkręca wodę.

- I wtedy zabrakło mi kategorii, że się tak wyrażę. Znaczenia się rozmyły. Pomyślałem: cóż, słowo można uznać za jakiś punkt wyjścia. W takim razie cisza musi mnie zadowolić. Myślenie nic tu nie da. Ale nie potrafię milczeć ani nie myśleć.

- Ale nadal możesz brać prysznic, Charlie - odparła. - Jest w rym jakaś zasługa.

Nie słyszał jej przez szum wody.

Justin stała przez chwilę, wpatrując się w nie zapisaną kartkę przy nadajniku, potem przeszła do kuchni. Od razu zauważyła, że do spiżarni ktoś się włamał. Brakowało worków z soczewicą, jeszcze do połowy pełnych. Jedyna kłódka w schowku została wyłamana i połowa mrożonych ryb zniknęła. Podobnie jak puszka z sucharami.

- Diabelne pasożyty - powiedziała głośno.

Tknięta nagłą myślą, poszła do ambulatorium. Tak jak się należało spodziewać, zniknął stoik z tabletkami kodeiny, połowa percodanu. Morfina została nie tknięta, widać nie udało im się jej znaleźć. Wściekła wypadła na werandę, zobaczyła owieczki Egana. - Ej, wy! - krzychała. - My się stykamy z prawdziwym bólem!

Tutaj ludzie naprawdę cierpią, potrzebują leków!

Trzech młodych chłopaków w opuszczonych białych, kapelu-szach, popatrzyło na nią jak na wariatkę,

która burzy ich leniwy spokój. A dwóch za nimi się uśmiechnęło!

- To ambulatorium! - wrzeszczała. - Te leki są dla naprawdę chorych, a nie dla was, szczeniaków bogatych rodziców, żebyście mogli sobie odlecieć!

I nagle wściekła, kipiąca ze złości zobaczyła przed sobą tego dziwaczego menonitę, który ostatnio tu

tak się kręcił. Chłopak tylko na nią patrzył. Miał bardzo niebieskie, przejrzyste oczy i buzię jak u lalki.

Justin przysięgłaby, że malował policzki. Gniewne słowa uwięzły jej w gardle. Przytrzymała się poręczy, odwróciła głowę i schowała się w budynku. Byle jej nie widział. Ale jego obraz nadal tkwił jej w pamięci. I nagle przypomniały jej się wersy, które zawsze kochała, a które teraz wzbudziły w niej odrazę:

Nie lękaj się; wyspa jest pełna szmerów, głosów, i słodkiego powietrza, które dają rozkosz, a nie bolą... Czuła się, jakby wszystko runęło. Dlaczego jest tyle cierpienia?

Dlaczego wszelkie jej wysiłki, by to zmienić, spełzają na niczym?

Tecan. To szatański kraj. Przeklęty.

Egan skończył brać prysznic i właśnie się ubierał. Justin weszła do pokoju, pociągnęła łyk Flor de Cana i usiadła na biurku. - Odlatuję, Charlie. Tak samo jak ty. Chyba musimy się poddać.

Egan wsadzał w spodnie białą koszulę.

- Po prostu się boisz, moja droga. Wiem coś o tym, mogę cię zapewnić. Pamiętasz, jak ja się bałem?

- Mnie nie tak łatwo przestraszyć, prawda, Charles?

- O, tak, prawda.

- Więc czego się boję?

Ksiądz podeszedł do lusterka, żeby się uczesać.

- Jest mnóstwo rzeczy, których możesz się bać. Sądzę jednak, że najbardziej boisz się Camposa.

Wiesz, że ma na ciebie chrapkę. Justin popatrzyła na jego odbicie w lustrze.

- Charles - spytała - czy to on zabija te dzieci?

Egan nie odpowiedział. Uczesał się, spod łóżka wyjął czystą reklamówkę, w której leżała Biblia.

Potem zabrał rum z miejsca, w które go odstawiała Justin, i schował butelkę do torby. Justin poszła za nim do gabinetu.

- Czy to Campos zabija te dzieci, Charles?

- Sądziłem, że mnie o to podejrzewasz.

- Nie. Camposa.

- Cóż, to na pewno nie ja. W tym się nie mylisz. Ja nie zabijam. Nie potrafię sobie wyobrazić, bym kiedykolwiek był zdolny do morderstwa.

Patrzyła, jak spoglądał na wzgórze, póki, jak jej się wydawało, nie zapomniał, gdzie się znajduje.

- Myślałem, że to Campos - odezwał się po chwili. - Właściwie byłem tego prawie pewny. Ale to nie

on.

Nagle zrobiło jej się bardzo słabo. Nie mogła oddychać.

- To znaczy, że wiesz, kto to robi - szepnęła. - Czy to...? - To ten młody menonita - odparł Egan. -

Uciekł tu z Nikaragui, gdzie szuka go policja. Wychował się na jednej z tamtejszych farm i stracił rozum. Jest bardzo pobożny. Słyszy głosy.

- Ukrywasz go.
- Mniej więcej.

Podeszła do księdza, ścisnęła go za ramię, próbując nad sobą zapanować.

- Nie możesz tego robić, ty głupku! On zabija małe dzieci! Nie zdawała sobie sprawy, że płacze. Łzy

sływały jej po policzkach, zbierały się na brodzie.

- Od czasu, kiedy do mnie przyszedł, nie. Mówię do niego, uspokajam go. Kiedy daję mu lekarstwa,

które zostawiła Mary Joe, nie słyszy głosów. A ja tamte głosy zastąpię swoim. Justin wytarła twarz chusteczką.

- Byłam pewna, że to Campos.
- Ja też. Ale nie.
- Jacyż z nas głupcy. To miejsce nas wykańcza.
- Wszędzie jest tak samo - powiedział Egan. - Wszędzie.

Zawsze.

- Rzecz w tym, że ten chłopiec wydaje mi się jakiś nieprawdziwy - myślała na głos Justin. - Nie wygląda jak człowiek. - Widzisz, sama - zaczynasz rozumieć. Cóż, jest jak najbardziej rzeczywisty i prawdziwy. Jak wszystko. Tu czy gdzie indziej. - Dobrze - powtarzała - dobrze.

Zaczęła krążyć po pokoju. Egan usiadł przy biurku z nadajnikiem i popatrzył na brudną podłogę.

- Wynosimy się stąd jak najprędzej - zdecydowała. - W tym czasie dopilnujemy, żeby chłopaka zamknęli gdzieś w Nikaragui. Wiem, to okropne, ale trzeba to zrobić. Może menonici zapewnią mu odpowiednią opiekę.

Nie jestem dzieckiem - myślała. - Nie jestem histeryczką, nauczyli mnie przyjmować świat takim, jakim jest. Pozostały trzy sprawy do załatwienia: po pierwsze dopilnować, żeby Ruch sam nie

poderżnął sobie gardła próbując korzystać z budynków misji; po drugie wyłączyć tego obłąkanego chłopaka z obiegu; po trzecie dotransportować siebie i Egana do Stanów.

Nie będę się bała - nakazała sobie w duchu. - Zrobię, co mam do zrobienia, a jeśli schrzanię sprawę, poniosę odpowiedzialność. W końcu nie jestem byle kim.

- Jest wiadomość do ciebie - odezwał się Egan. - Przyniesiona przez twoją przyjaciółkę, Laurę. Zdaje się, że to łacinniczka. - Rozumiem - powiedziała spokojnie Justin. - A gdzież jest ta wiadomość?

Przyglądała się, jak Egan grzebie w kieszeni spodni, wyciąga pomięty strzępek papieru i starannie wygładza go na kolanie. Opanuj się - mitygowała się w duchu. I przez chwilę była niewiarygodnie spokojna.

Wiadomość była rzeczywiście po łacinie, napisana drukowanymi literami:

NOLI RESPONDERE NI NECESSE SIT.

APPARA, ET LUMINES CUSTODI. NOLI TIME. "Nie odpowiadaj, chyba że będzie to konieczne. Przygotuj się i pamiętaj o świątkach. Nie bój się."

Justin przeczytała to kilkanaście razy, ze wszystkich sił starając się zachować pozory spokoju, który udało jej się osiągnąć. Świątki oznaczały oczywiście przybycie statku albo samolotu. Żaden problem, jeżeli sprzęt był przystosowany do warunków French Harbor. Jeśli tak to sobie wyobrazili, wtedy wszyscy zamieszani w sprawę zostaną natychmiast zabici, prezydent ogłosi święto narodowe, a Campos dostanie medal. I stanie się tak, jeśli nie dotrze na czas i ich nie powiadomi. Muszą zostać na miejscu. Nie ma mowy o skorzystaniu z ambulatorium. Równocześnie jednak wyglądało na to, że ona, Justin, nie ma najmniejszego wpływu na sytuację i nurt wydarzeń porwie ją i, niestety, Egana. Campos, jak słusznie zauważył duchowny, miał na nią chrapkę, ale nie wiedziała czemu, miałyby się poddać bez walki. Skoro sprawy zaszły tak daleko, jedyną rzeczą, jaką może wesprzeć Ruch, a więc opowiedzieć się za życiem w Tecanie, to uciec stąd jak najszybciej. Ale chciała walczyć, rozpaczliwie chciała walczyć - mimo swego strachu, a może właśnie z jego powodu. Choć nie da się wykluczyć, że udałoby się jej i jedno, i drugie. Walczyć i uciec. Kolejne szaleństwo, ale w tej sytuacji i tak nie miała

wielkich szans, zresztą to wszystko nie była jej wina. Gdyby udało jej się przekazać im wiadomość, ostrzec ich, równocześnie organizując szybkie spotkanie, znaleźliby dla niej inne zajęcie, coś pożytecznego. A w obecnej sytuacji zapewne powiedziano by jej, żeby zostawiła wszystko - wtedy mogłaby zabrać Egana i uciec stąd z czystym sumieniem. Już samo ostrzeżenie może się okazać cenną przysługą.

Wśród tych zgłiszczy zakiełkowało w niej ziarno nadziei. Wygoniła Egana z krzesła i podpierając się

jego słownikiem, ułożyła po łacinie odpowiedź:

UTI HOC LOCO NON POSSE EST IN COSILIO.

CONGREDI DEBEMUS. GRAVIS EST.

"Tego miejsca nie można wykorzystać. Konieczne spotkanie.

Pilne".

Napisała to na kartce, na której przedtem układała wiadomość do siostry Mary Joe. Tamte sprawy mogą poczekać jeden dzień, dopóki nie spotka się z powstańcami. Swoją krótki liścik pisała w czerwonej poświacie zachodzącego słońca. Tak czy owak, światła na przystani trzeba zostawić zapalone.

- Och, jak bardzo chciałabym móc się modlić - zwróciła się do Egana. - Jak bardzo.
- Nie ma takiej potrzeby - uspokajał. - Wszystko jest dobrze.

Nawet jeśli na to nie wygląda.

- Do diabła - odparła. - Nic dziwnego, że znalazłeś sobie wyznawców.

Rozdział dwudziesty czwarty

Promień słońca wpadł pod daszek czapki i przebudził Pabla z kolejnej lekkiej drzemki. Od Serrano ciągle zapadał w półsen, nędzną podróbkę świadomości niewrażliwą na prędkość. Wstał. Podrażniona przez słońce, spocona skóra swę-działa. Poszedł do kajuty po czyste ubranie.

Z kieszeni wyłowił trzy całe tabletki benzedryny i jedną prawie całkowicie pokruszoną. Natychmiast

połknął dwie pa-stylki. Może Callahanowie będą mieli jakieś. Tak, na pewno będą mieli. Pablo wyznawał zasadę, że zawsze coś się znajdzie. Zostawił brylant na miejscu, w kieszeni pobrudzonej koszuli roboczej.

Kiedy wyszedł na pokład, silniki pracowały i łańcuch kotwicy nawijał się na windę. Pablo stanął nad lukiem i przyglądał się, jak forpik obraca się, póki nie ustawili się na zachód od górzystego wybrzeża i zachodzącego słońca. Wtedy zbliżył się do relingu, oparł się na nim i patrzył na słabnące odbicie słońca na błękitnych wodach oceanu, czekając, aż proszek zacznie działać. Brylant spoczywał w jego kieszeni.

Zdmuchnął resztki popiołu tytoniowego z białej koszulki bawełnianej, którą, zrolowaną, trzymał razem ze świeżą zmianą bielizny. Wystarczyła chwila spokoju, a wszystko wychodziło. Przez parę minut - dzięki benzedrynie i czystemu ubraniu - Pablo był szczęśliwym człowiekiem. Ale nie zapominał, że cały czas grozi mu niebezpieczeństwo. O, nie. Gdyby zapomniał, świadczyłoby to o ostatecznej głupocie, a w swoim mniemaniu Pablo nie był zdolny do czegoś takiego.

List Tino zniknął co prawda w toniach przystani w Serrano, ale ci ludzie byli ostrożni i tajemniczy. Negusa chyba przeniknął - świat aż roił się od Negusów. Ale Callahanów nie rozumiał: ich tankowania bez utraty chłodu ani dziwnej pewności siebie. Początkowo źle ich ocenił, uznał ich za mięczaków. Czego byli tacy pewni? Dlaczego się nie bali? Ani słowem nie wspomnieli przy nim o Tino. Nie są głupi, muszą go podejrzewać. Ale o co? Przecież nie wiedzieli, co naprawdę się stało - bo i skąd? - a mimo to nie potrafili okazać mu zaufania, choć równocześnie nie wydawali się przestraszeni. Oczywiście, gdyby zaczęli okazywać lęk, musiałby przejść do działania. Nie miał żadnego planu. Tylko z grubsza orientował się, w jakim miejscu ziemi się znajduje. Miał jedynie pistolet Naftalego i swój nóż. Jego własny pistolet znowu leżał w zamkniętej szufladzie. Ale tamci nie życzyli mu dobrze. Nadal posiadali nad nim władzę i jego plan może się ograniczyć wyłącznie do obrony.

Przez chwilę zastanawiał się, co może oznaczać pogrzeb Wikin-ga. Potem znowu się uspokoił - czuł

się wręcz wspaniale. Te typki ze Straży Przybrzeżnej w Berry's Point w porównaniu z nim to same ćwoki, błazny. On wiódł życie pełne przygód. A kiedy wszedł do sterówki, postanowił, że pierwszą rzeczą, jaką sobie kupi, będzie smoking. Biały, taki do którego zakłada się czarny krawat. Noszony w ciepłych krajach.

Negus stał przy kole sterowym, pan Callahan pochylał się nad stołem nawigacyjnym i patrzył ku brzegowi.

- Mogę wziąć prysznic? - spytał Pablo.

Żaden z mężczyzn nawet na niego nie spojrzął.

- Możliwe, że dziś będziemy jeszcze łowić - odparł Callahan.

- Tylko byś się znowu pobrudził.

- Łowić? - upewnił się Pablo.

- A resztą w tym momencie pani z niego korzysta. To może potrwać chwilę - dorzucił Negus.

Pablo wyniósł się z powrotem na pokład. Czyste ubrania, które wziął ze sobą w oczekiwaniu kąpieli, teraz stanowiły tylko bez-użyteczny, krępujący bagaż. Pablo gotował się ze złości. Nie móc wziąć prysznic, kiedy się chce, tego już za wiele! To poniżenie. Człowiek czuje się odrzucony.

Rzucił ciuchy na koję.

Jeśli będą łowić dziś w nocy - pomyślał - to tylko dla pucu. Żeby przyrzucić czymś lód, pod którym leżała broń. Wspiął się po drabinie i zapatrzony na rufę stał, drapiąc się po zaroście. "Chmura" nabierała szybkości, mknęła wzdłuż linii brzegowej.

Euforyczny nastrój Pabla gdzieś się ulotnił.

Nie przybiją do tego brzegu, powinien był wcześniej to zrozumieć. W Serrano może mieli jakiś układ, ale tutaj broń służy do walki z legalnym rządem. Wzdłuż wybrzeża ciągnęły się pasma raf. Każda luka na tyle duża, by można tam było zrobić przystań, oznaczała miasto, a w mieście muszą być gliniarze. "Chmura", mimo wszystkich swych bajerów, nie mogła być zanurzona na mniej niż osiem stóp, więc będą musieli czekać na otwartym morzu, aż przyplynie jakiś mniejszy statek. Nie ma więc co liczyć, że

zejdzie na ląd, a kiedy już oddadzą ładunek, będzie tylko ich czworo i ocean. Zaś ci z małego statku niewątpliwie nie będą przyjaciółmi Pabla Tabora.

Wściekły, że pozbawiono go prysznica, negatywnie nastawiony do życia Pablo czuł, jak narkotyk przestaje działać. Długo zastanawiał się nad swoją sytuacją, próbując wymyślić jakiś plan korzystny dla niego. Niestety, bezskutecznie.

Ani słowem nie wspomnieli o Tino. Ani jednym parszywym słowem. Na St. Joost zapewne znaleziono już ciało Naftalego. Pablowi bardzo trudno było uwierzyć, że Callahanowie zamierzają mu zapłacić i puścić go wolno. A jednak - tłumaczył sobie w duchu - gdyby chcieli mnie załatwić, już by to zrobili. Czekają na sfinalizowanie interesu. Na pieniądze.

Pablo zaczął analizować bieg wypadków, w jaki wciągało go życie pełne przygód. Albo Callahanowie i

Negus zdobędą pieniądze, a on, Pablo, umrze - albo musi się postarać, żeby sytuacja się odwróciła. Ale on nie potrafił zabijać; nie mieściło mu się w głowie, że miałby ich zabić. Nawet gdyby go zmusili - z chciwości, paranoi, ich dewizy: albo my, albo ty - do obrony, był w mniejszości, zagubiony i samotny. Z drugiej jednak strony jeszcze mniej mu się mieściło w głowie, że to on miałby zginąć. - Niech to jasny szlag - powiedział głośno.

Znowu próbował zmusić swój mózg do wymyślenia optymistycznego wariantu - inna linia brzegowa,

brylant na miejscu, gotówka w łapie, zachwyty wszystkich dokoła. Potem kilka miesięcy na plaży. Koktajle z rumu i cytryny, odsztaflrowani kelnerzy, on w smokingu.

Znikąd pomocy. Został zagoniony do rogu. Siedzi w tym po uszy, sytuacja bez wyjścia. I wtedy wrócił szept konającego Naftalego, obraz tej strasznej walki, walki, która toczy się w ludzkim mózgu.

Popatrzył na ciemnozielony brzeg i ogarnął go strach. - Nie wydam się - powiedział Naftalemu. - Nie wygra się z przeznaczeniem.

Na wspomnienie Naftalego poczuł się nieco lepiej, bo przypomniało mu się, że już raz znalazł się w dość kiepskiej sytuacji i nieźle z niej wybrnął. Postarał się, przyłożył i zdobył punkt. To znaczy -

pomyślał - że jest w tym coś więcej niż ludzkie siły. Jest jeszcze Moc. Może uzyskać Wsparcie. Tak to nazywała jego matka. Wsparcie.

Modlił się do Jezusa, swojej matki i Naftalego. Dali mu do zrozumienia, że w najbliższych dniach sam się przekona.

Rozdział dwudziesty piąty

Było już dość późno, kiedy Holliwell wybrał się łodzią do Playa Tatę. Pokuśtykał plażą do niewielkiej przystani, długiej na jakieś dziesięć metrów, kończącej się przy pierwszej rafie. Miał na sobie długie, bawełniane spodnie, kurtkę i bez-kształtny, słomkowy kapelusz dla ochrony przed słońcem. Za załomem widać było plażę, na której natknął się na szkarłupnia, budynek misji, pomost, wysoką werandę i drewniany krzyż. To, co robił, można było nazwać szpiegowaniem.

Po drugiej stronie Playa o drewnianą ruderę opierał się Kubańczyk, hurtownik, brat pani Paz, i rozmawiał z kilkoma mężczyznami, którzy przyjechali z miasta. Mężczyźni też wyglądali na handlarzy. Na skraju drogi stał zaparkowany przykurzony, stary model Forda, którym tu dotarli. Kubańczyk i jego przyjaciele popijali Pina Coladas przygotowane w mikserze, schowanym w desce rozdzielczej wozu.

Przez ponad godzinę Holliwell przypatrywał się promieniom słońca tańczącym na wodzie nad rafą, srebrzystym sylwetkom barrakud polujących przy brzegu. Co chwila oglądał się w stronę misji. Właśnie tam pragnął się teraz znajdować. Nawet jeśli nie wziąć pod uwagę chorej nogi, to i tak nie było w tej chwili możliwości, by mógł się tam dyskretnie pojawić. Ale chciał zobaczyć zakonnice.

W upalnym słońcu świecącym nad Playa Tatę trudno było myśleć o prześladowaniach, zemście, poświęceniu i sprawiedliwości. Wszędzie trudno było Holliwellowi się nad tym zastanawiać, chyba że rozważał te kwestie jako abstrakcyjne funkcje behawioralne. Były to czynności, które, jak wierzyli niektórzy - przedmiot jego studiów: osobnicy uważający, że czują się na świecie jak u siebie w domu - pobudzały ich do działania. Wojny, to rozumiał. To, co ludzie na nich robili, to co sądzili, że robią, i

jak to sobie oraz innym tłumaczyli. I już, sam nie wiedząc kiedy, zastanawiał się, co powie tym ludziom, którzy osaczą go po powrocie do domu. Zdał sobie sprawę, że na pewno zjawią się i będą pytać: w końcu widziano go tutaj. Pomyślał, że może im nic nie powiedzieć. Albo coś, co wyjaśni sytuację. Bądź uniemożliwi zrozumienie. Jednego był pewny: musi się dowiedzieć, o co jej chodzi, że mieszka tam pod tym drewnianym krzyżem. Dowie się, co to dla niej znaczy. Nic więcej go nie obchodziło. To było trochę nieostrożne. Na tę myśl uśmiechnął się, krew zaczęła krążyć nieco szybciej, ogarnęło go lekkie podniecenie. Coś przypominającego odrobinę to, co czuł nad czarną rafą, ale nie tak prymitywne. Miało to też związek z dziewczyną. Krył się w tym element uwodzenia.

Wyciągnął się na obłazących z farby deskach. Kapelusz zostawił obok, ręką zasłonił oczy. Leżał tak, dopóki coś, przelatujący ptak albo chmura, która na chwilę przesłoniła oczy, go nie przebudziło. Usiadł, włożył na głowę kapelusz i dostrzegł jakąś postać, która szła w jego kierunku brzegiem plaży. Kiedy rozpoznał zakonnice z misji, poczuł nagłe uderzenie krwi, jak po dawce kokainy. Był zaskoczony. Miał nadzieję, że kobieta podejdzie do pomostu. Wyprostowany, dłońmi ściskając deski, wpatrywał się w nią. Była ubrana na biało i pomyślał sobie, że bardzo to do niej pasuje. Luźne, robocze białe spodnie i bluzka z krótkimi rękawami. Włosy miała przewiązane czerwoną chustką. Kiedy zbliżyła się do pomostu, zobaczył bladość i smutek malujący się na jej twarzy, niespokojne, zagubione oczy, z których wzyerało ogromne zmęczenie. Szła patrząc pod nogi, na piasek.

Zawołał i w tej samej chwili odezwał się jakiś głos wewnętrzny, który powiedział: Ty głupcze. Pijany ramol, wściubiający nos w nie swoje sprawy. Jakież z ciebie głupek.

Ale i tak już zawołał. Obejrzała się, nie poznała go. Zdjął kapelusz. - A, to pan-powiedziała, a on skinął głową, żałośnie przynajac, że owszem, to on.

- Nie powinien pan siedzieć na słońcu. Jak tam noga?
- Goi się - odparł. - Nie mam ochoty ciągle siedzieć w Raju.
- Nie podoba się tam panu?
- Niezbyt. Była tam kiedyś siostra?

- Nie, widziałam tylko z daleka.
- Jedyne, czego nie mogę zrobić, to nałożyć płetwy. Zostałem więc rzucony na pastwę lokalnych zasobów kulturowych. - Prawdziwa szkoda - wyraziła współczucie - jako że nie ma ich zbyt wiele.

Poprosił, czy nie mogłaby na chwilę przestać mówić; bał się, że zabraknie mu tchu. Chciał, żeby obok

niego usiadła, ale ona stała, na chwilę nieruchomiejąc.

- I jak idzie?

- Och - powiedziała - nieźle.

- Pakuje się siostra?

- Tak. Pakuję.

- Od jak dawna siostra tu jest?

- Jakies sześć lat. - Wyglądała, jakby musiała dokładniej policzyć. - Tak, będzie sześć lat.

- W takim razie zapewne żal siostrze wyjeżdżać. A może nie? Ściągnęła wargi, jakby bezskutecznie próbowała się uśmiechnąć.

- Tak, żal mi, że wyjeżdżam w ten sposób. Że zostawiam sprawy w takim stanie, podczas gdy mogłabym jeszcze pomóc. - Mówiąc o sprawach ma siostra na myśli ten kraj? Jego sytuację?

- Przyglądał się jej, szukając cienia podejrzliwości. Przywodził sobie na myśl agenta tajnej policji, który zaczął rozmawiać z podejrzanym obcokrajowcem o sytuacji panującej w jego ojczyźnie. Wszędzie takich się znajdzie.

- To biedny kraj.

- Teraz, wraz z rozwojem turystyki, może coś się zmieni na lepsze.

- Dla niektórych na pewno.

- Ale nie dla campesinos?

- Dla części zapewne. Jeśli się nauczą odpowiednio zachowywać i uśmiechać od ucha do ucha.

- W gazetach niewiele się pisze o tutejszej sytuacji politycznej - stwierdził Holliwell. - Nie w Stanach.

- Nie wątpię, że niewiele.

- Ale tego i owego można się dowiedzieć. Owi Guerilla w górach.

Człowiek się zastanawia, po czyjej stronie powinien stanąć.

- Po dobrej - odparła.

Roześmiał się.

- Ludzie mawiają, że to bananowa polityka.

- Jasne - zgodziła się i jej uśmiech się zmienił, nabrał goryczy. - To przecież bananowa republika.

Jestem pewna, że tak piszą w gazetach.

- Odłóżmy na chwilę uwarunkowania strategiczne. Przecież o banany warto walczyć. Każdy żywieniowiec by to siostrze powiedział.

- Doprawdy?

Holliwel wstał, nie odrywając od niej wzroku. Kiedy z jej oczu zniknęła mgiełka, lśniły jasnym blaskiem. Mgiełka zmęczenia bądź strachu.

- Jeśli się nie je bananów, organizmowi brakuje potasu. Jeśli brakuje potasu, człowiek odczuwa egzystencjalny niepokój. - Jestem pielęgniarką. Bardzo dziwne, że nigdy przedtem tego nie słyszałam.

- Może siostra sprawdzić w książkach. Jednym z objawów niedoboru potasu jest poczucie egzystencjalnego niepokoju. - Jest pan naukowcem. Powinnam wierzyć pańskim słowom. - Z całą pewnością. Teraz siostra rozumie, czemu Tecan jest tak ważny dla Stanów Zjednoczonych.

- Stanom Zjednoczonym - odparła - mogłaby się przydać dawka niepokoju egzystencjalnego.

- Jak siostra sądzi, co się stanie po siostry wyjeździe?

- Dojdzie do zmian, jestem tego absolutnie pewna. - Ponoć im więcej się zmienia, tym bardziej wszystko pozostaje takie samo...

Kręciła głową.

- Zmiany - powtórzyła.

- Ma siostra na myśli... coś w rodzaju rządu socjalistycznego?

Pytanie było obcesowe i wstydział się go.

- Krajem zaczną rządzić jego mieszkańcy. Może się okazać, że trochę więcej będziemy musieli płacić za nasz potas i poczucie harmonii w kosmosie.

- Czyli - stwierdził Holliwell - znowu występujemy w roli czarnego charakteru.

- Niech pan słucha: tu żyją dobrzy ludzie. Oni cierpią. Ich dzieci umierają, a nimi się manipuluje, morduje się ich. Oto cała ich polityka, nic więcej. Po prostu bunt ludzi, którzy chcą, by im wreszcie dano żyć.

- I wygrają?

- Jeśli istnieje sprawiedliwość na świecie, tak.

- A istnieje?

- Tak. Nawet tutaj. Nawet Tecan nie jest ponad nią.

- Ale to tylko słowa. Wytwór ludzkiej wyobraźni.

- I tyle wystarczy - odparowała.

Nie zwracał szczególnej uwagi na jej słowa. Nie musiał jej sondować i wyciągać z niej jej poglądów politycznych. Zamiast tego koncentrował się na tym, jaka była, i kiedy już rozplatał - albo

przynajmniej tak mu się wydawało - sieć grzecznych słówek, przekonał się, że płonie w niej ogień.

Ogień serca, wrażliwości. Mnóstwo tu zaangażowanych - pomyślał. - Całe mnóstwo uczciwych,

szlachetnych ludzi. Ale ona była inna. Ona cała była sercem, żyła tym, w tym, czując, dotykając. Owo

uczucie nie było dla niego, wiedział o tym od samego początku. W końcu nie na darmo był

antropologiem.

To ją zabije - uświadomił sobie. - Doprowadzi do szaleństwa. W jej oczach już pojawił się cień smutku i żalu. To siebie opłakiwała i żyła nadzieją; i właśnie dlatego była taka prawdziwa. I właśnie dlatego się w niej zakochał.

- Może tyle wystarczy - powiedział.

- Nawet tutaj mamy swoją historię. Wszystko się zmienia.

Ludzie żądają swoich praw.

- Czy historia troszczy się o ludzi?
- Sama chciałabym to wiedzieć. Może kiedyś, w przyszłości.

A na razie ludzie sami troszczą się o siebie.

- Tak - zgodził się Holliwell.

Matka cierpiąca. Wyjątkowe stworzenie - myślał Holliwell. - Jej wystarczyło, że ludzie sami się o siebie zatroszczą. Na razie. Pokażę ci, w jakiej wojnie powinniśmy zginąć, moja pani. Tym widokiem zniszczę niewinność, dobroć i ból twych dziecięcych oczu. Przeżyj pogrzeby obok leniwych rzek. Stertę uszu za stertę ramion. Chrzęst łańcuchów kierowców z Północnego Wietnamu przykutych do spalonych ciężarówek.

Wydawała mu się czymś wyjątkowym niczym jednorożec, stworzeniem, które należy zamknąć oddzielnie i czcić. On zaś był pijanym, sentymentalnym ramolem. Głupcem.

Pragnął jej białej świętości, choćby okruchu. Chciał się w niej obmyć, czerpać, czerpać, czerpać z niej i pić, by uleczyć kaca po życiu, po wojnie.

Dlaczego - zastanawiał się - uśmiecha się do mnie? I po chwili już wiedział dlaczego, choć ona na pewno sama nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie trzeba być antropologiem, żeby to wiedzieć.

- To do zobacze*nia jutro - odezwał się wreszcie.

On nigdy by do tego nie dopuścił. Był na to zbyt uczciwym, honorowym mężczyzną. Ale w tym momencie był pewny i nie czuł wstydu, że to myśli. Raczej ogarnęła go radość i wzruszenie na widok jej niewinności w tej materii, która była taka roz-tropna.

Uśmiech zniknął z jej twarzy. Popatrzyła na niego zmieszana, uniosła dłoń do twarzy.

- Miałem zjeść kolację - wyjaśnił Holliwell z uśmiechem.
- 1 obejrzeć ruiny.
- Ojej, zapomniałam.
- Nie przeszkadza to siostrze?
- Prze-przeszkadza - wyjąkała, dotykając ręką chustki. - Chciałam powiedzieć, że ja chyba nie będę

mogła. Ale ojciec Egan pana zabierze.

- Dobrze - odparł. - Cóż, tak czy owak się zobaczymy. - Tak. - Odwróciła się w kierunku, z którego przyszła, i powie-działa, nie patrząc na niego: - Niech pan uważa. Niech pan uważa na nogę.

Kiedy odeszła, chciało mu się płakać. Wstał i spacerował po plaży, zapomniawszy o chorej nodze. Po pół godzinie ku swemu zdziwieniu znalazł się na wysokości miejsca, gdzie odpoczywał Kubańczyk z przyjaciółmi. To mikser przykuł jego uwagę. Zdu-miewające, ilu ludzi w tym kraju miało miksery. Wszędzie tam, gdzie była elektryczność, tam pojawiały się miksery, nawet w domach, gdzie brakowało jedzenia. Kubańczyk machał ręką, zapraszając, by Holliwell się do nich przyłączył.

Okazało się, że Kubańczyk nazywał się Miguel Soyer. Był to wysoki, tryskający młodością mężczyzna o kwadratowej, pogodnej twarzy i ciepłych oczach ukrytych pod gęstymi brwiami. Wyglądem niezbyt przypominał siostrę.

- Nurkował pan z moim szwagrem? - spytał Soyer, podczas gdy jego trzej towarzysze przyglądali im

się uprzejmie zza ciem-nych okularów.

- Tak, rzeczywiście - przyznał Holliwell.

Przedstawiono go pozostałym gościom, ale natychmiast za-pomniał ich imiona. Mieli ponure miny charakterystyczne dla tutejszych godnych poważania biznesmenów. Holliwellowi to nie przeszkadzało. To po prostu kwestia nieodpowiedniej powierz-chowności, skutek różnicy amerykańskiego i latynoskiego myś-lenia oraz odmiennego pojmowania męskości.

- Twixt - podjął Soyer. - Piękne miejsce.

- Tak, bardzo przyjemnie się pływało.

Soyer obrócił się w kierunku misji.

- Przyjaźni się pan z siostrą Justin?

- Nie. Wczoraj przydarzył mi się niewielki wypadek w pobliżu misji. Siostra wyjęła mi z kolana kolce szkarłupnia i tak się poznaliśmy.

- Jest pielęgniarką - oświadczył niejasno Soyer. - Teraz jest pan jej pacjentem, hę?

Holliwell dał się poczęstować trunkiem.

- Bardzo oddana kobieta - ciągnął Soyer. - Wszyscy tu ogromnie ją podziwiamy.

- Jest bardzo miła, prawda?

- Bardzo, bardzo miła. Bardzo amerykańska. Una típica.

- Chyba tak - przyznał Holliwell.

- Dobrze znam Amerykę Północną. Kiedyś umiałem mówić po angielsku, ale wyszedłem z wprawy.

Holliwell podniósł go na duchu, zapewniając, że jego zdaniem pan Soyer bynajmniej nie ma kłopotów

z posługiwaniem się językiem angielskim. Trzej towarzysze Kubańczyka nadal milczeli. - Uczyłem się w Waszyngtonie - wyjaśnił Soyer. - Na George-town University. Przygotowywałem się do pracy w dyplomacji na Kubie, kiedy komuniści przejęli władzę.

- Aha - stwierdził tylko Holliwell.

- Ameryka jest taka wolna. To mi się tam podobało. Tyle różnych możliwości.

- Mimo to osiadł pan tutaj.

- Tutejszy styl życia bardziej mi odpowiada. Chyba wolę spokój.

- A jak idzie biznes?

- Nieźle - odparł Soyer. Nadal patrzył w stronę misji. - Słyszeliśmy, że siostra Justin wyjeżdża.

- Tak mi mówiła.

- W takim razie to pewnie prawda, hę?

- Rany. Chyba tak.

- Czy pana zdaniem prawdziwa z niej idealistka?

- Tak przypuszczam.

Zapadła cisza.

- Czy prawdziwa idealistka ma być przeciwieństwem fałszywej idealistki? - podjął po chwili Holliwell.

Soyer klepnął się po kolanie i wybuchnął donośnym, dudniącym śmiechem.

- Źle używam słów, proszę o wybaczenie - usprawiedliwił się. - Jestem ogromnie zaintrygowany

-
powiedział Holliwell. - Cie-kaw jestem, jak się układają stosunki między misjonarzami a tutejszą wspólnotą. Czy są dobre? Serdeczne?

- A dlaczegoż by miały nie być - spytał Soyer. I dodał: - Czemu akurat mnie pan pyta?

- Ciekawiło mnie, co pan o tym sądzi.

- Moim zdaniem są bardziej niż przyjazne. Ale ja w ogóle leżę w tylek Amerykanom.

Holliwell miał nadzieję, że należało się uśmiechnąć, więc wykonał stosowny grymas.

- Misja - mówił dalej Soyer. - Siostra Justin... Nie wiem, co tam teraz robią.

- Wspomniała, że czują się bezużyteczni. Zapewne dlatego opuszczają misję.

- Nas i pana - stwierdził pan Soyer. - Mówię, jakbym był obywatelem Tecanu, bo tu teraz jest mój dom, tak więc nas i pana wiele łączy. Mamy wspólnych wrogów.

- Szczera prawda - zgodził się Holliwell.

- Największy wróg - oświadczył Soyer - kryje się w samej Ameryce. Czy pan też tak uważa?

- My wszyscy jesteśmy swoimi największymi wrogami, prawda?

- Nie to miałem na myśli. Coś innego.

- Amerykańska polityka to pomieszanie z poplątaniem. - Holli-well się zawahał. - Spieprzona.

- Może to skutek nadmiernej wygody. Wszystkim jest wygodnie i dobrze.

- Nie wszystkim.

- Aha - powiedział pan Soyer. - Rozumiem pański punkt widzenia.

- Nie interesuję się szczególnie polityką.

- A siostra Justin? - podchwycił Soyer. - Jak pan sądzi, czy ona się interesuje polityką?

- Nie, nie sądzę. W ogóle się nie interesuje.

Zobaczył zmarszczkę na czole Kubańczyka. Soyer mruknął coś i pokręcił głową, jakby uzyskał szczególnie ważną informację. Holliwell popatrzył na ocean i z niejaką ulgą dostrzegł łódź Sandy'ego płynącą ku brzegowi.

- Nie widzę państwa Paz - powiedziała Holliwell.

- Wrócili do domu. Dziś z samego rana.

- Dziękuję za chłodny napój, panie Soyer.

Holliwell wstał i skinął głową trzem towarzyszom Kubańczyka.

Odwdzięczyli się tym samym.

- Na długo pan zostaje? - spytał Soyer.

- Nie, nie sądzę. Chciałem tylko nieco odpocząć po trudach pracy.

- Słuchaj pan, Holliwell, nie wracaj pan łodzią. Napij się pan z nami, odwieziemy pana potem do domu.

Holliwell wyjaśnił, że noga go jeszcze boli i że ma coś do napisania.

- Aha - odezwał się jeden z do tej pory milczących przyjaciół Soyera. - Pisanie.

Rzeczywiście, Holliwell odczuwał ból. Kręciło mu się w głowie i po raz pierwszy od jakiegoś czasu przypomniały mu się nocne telefony w Santiago de Compostela.

W drodze powrotnej Sandy spytał, przekrzykując hałas silnika:

- Jak tam noga?

- Lepiej - odkrzyknął Holliwell. - Ale nadal nie mogę nałożyć płetwy.

Sandy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Przynajmniej nie wpakujesz się pan w tarapaty.

- Na to już chyba za późno - odparł Holliwell.

Rozdział dwudziesty szósty

Ciemności zapadały szybko, ledwie słońce skryło się za poszarpaną linią brzegu. Gwiazdą wieczorną była We-nus. Wisiała nisko nad horyzontem na wschodzie, w jej blasku gładka powierzchnia oceanu nabierała barwy ołowiu. Z tamtej też strony zerwał się wiatr, burząc wodę pod dziobem "Chmury", ale przy tym nawet nie marszcząc powierzchni morza. Na niebie, nad fioletową chmurą deszczową,

zarysowaną niczym dłonią kali-grafa, migotały Deneb i Wega.

Freddy Negus, który trzymał ster, zaciągnął żaluzje sterówki. Callahan ze szklaneczką w jednej dłoni

stał obok luku i przez lornetkę obserwował linię brzegową.

- Jak tam ruch? - spytał Negus. - Mam rozbłyski na ekranie.

- Zapalamy światła.

Negus wcisnął guzik, który zapalił światła na maszcie i oświetlił powierzchnię roboczą wokół luków.

Callahan podszedł, żeby zapalić reflektor na forpiku.

- Wygląda na to, że lada chwila powinniśmy się znaleźć na wysokości Portu Alvarado, szefie - powiedział Negus. Callahan dolał sobie trunku do szklanki i pochylił się, sprawdzając wskazania na radarze, potem nad stołem nawigacyjnym. Włączył głośniejszy sygnał Loranu, tak żeby było go słychać, i porównywał z zegarkiem.

- Jesteśmy prawie na miejscu, Freddy. Jak tam dno? - Dno lepiej nie mówić. Jeszcze trochę w prawo,

a wylądujemy na rafach.

Callahan opierał się o luk patrząc ku brzegowi.

- Są światła Puerto Alvarado. Widzę sukinsyna. Gdyby ci się udało popłynąć ciut szybciej, Freddy, to

byłoby bosko. Złapałibysmy jeszcze odrobinę światła, kiedy rzucimy boję.

- Mogę wyciągnąć dwanaście węzłów na głównym silniku.

Tylko tyle.

- Puerto Alvarado. - Callahan próbował naśladować hisz-pańską wymowę. - Widzę banany i chyba widzę narodową latarnię.

- Dziura zabita dechami - oświadczył Negus. - Kiedyś musiałem tu wyciągnąć chłopców z paki. Żaden problem. Wtedy posiadanie brytyjskiego paszportu jeszcze coś znaczyło.

Callahan badał wzrokiem zatokę.

- Od mojego ostatniego pobytu dorzucili sporo świetlnych pławów. - Zerknął na ekran radaru. -

Kręci tu się mnóstwo nie oświetlonych statków.

- Jak zwykle w tego typu okolicach - stwierdził Negus. - Nic szybszego niż dziesięć węzłów. Nic nam nie wejdzie w paradę. Callahan sprawdził wskazania Loranu i swoje mapy.

- Lada chwila połączymy się na CB. Zaraz za tym punktem. Callahan zdjął z półki w kuchni butelkę rumu i nalewał sobie kolejnego drinka, trzymając szyjkę nad szklanką, żeby zastępca go nie usłyszał, kiedy Negus podniósł się z krzesła i obrócił w jego stronę.

- Popatrz no, Jack. Pokazał mi się jakiś sukinsyn w namiarze trzysta czterdzieści stopni. Pruje na nas, i to szybko. Callahan zostawił szklankę, pobiegł do drzwi kabiny, załomotał w nie dwa razy i wypadł na pokład z lornetką.

- Nie widzę go! - krzyknął. - Jest nie oświetlony.

- Kurważ jego mać - zaklął Negus.

W chwilę potem Deedee Callahan stała obok męża, wyęzając wzrok, próbując dostrzec coś w ciemnościach.

- Uruchom dodatkowe silniki, malutka - zwrócił się do niej Callahan. -1 to szybciotko.

Zbiegła do maszynowni i właśnie otwierała metalowy luk, kiedy usłyszała śmiech męża.

- Zapalił! - zawołał do nich. - To łódź rybacka.

Negus wyglądał przez szybę na dopiero co zapalone światła tamtej jednostki.

- Musiał wyciągać jakieś trzydzieści. Jesteś pewny, że to zwykła łódź?

- Marynarka Rastafaran - stwierdził Callahan, patrząc przez lornetkę. - Płynie prosto do Alvarado.

Weszła Deedee ocierając pot z czoła.

- Czy można to jakoś wytłumaczyć? - spytała. - A może załoga jest tak samo naćpana jak my?

- Chyba mają kłopoty ze światłami - odparł Negus. - Chcą się dostać na brzeg, zanim ich dorwie spółka owocowa. I jest przy-stosowany do przewozu towarów.

- Nie chcę nigdy więcej - śpiewała Deedee Callahan - nocnych hałasów. Que vida.

- A gdzie się podział ten pieprzony Pablo? - spytał Negus.

- Śpi. Zostaw go w spokoju.

Pochylił się nad Raytheon i zaznaczył coś na wykresie Loranu.

- Dobra - odezwał się. - Freddy, znajdź mi dziurę w tej ścianie.

Negus skierował "Chmurę" na rafę i zmniejszył prędkość.

Wszyscy wpatrywali się w odczyt echosondy.

- To chyba tu - powiedział Negus po chwili. - Dziewięćdziesiąt dziewięćdziesiąt, pochyłość.

- Silniki stop - rozkazał Callahan. - I rzuć hak, żebyśmy nie wpadli na skały.

Deedee stała na pokładzie, próbując przeniknąć mrok. - Widzę tylko słabą poświatę znad Alvarado

-

powiedziała. - To za tym załomem.

Pan Callahan stał przy stole nawigacyjnym. Przed sobą trzymał fragment mapy.

- Pozwól, że zerknę na mapę.

- Na tym wzniesieniu jest latarnia - powiedziała pani Callahan, osłaniając oczy przed blaskiem światła

pokładowych. - Masz ją na wykresie Loranu.

- Mam - powiedział nanosząc współrzędne z Raytheon na mapę z obserwacji i stawiając "x" w miejscu, gdzie znajdowała się radiolatarnia lotniskowa. Czekali, aż statek obróci się na kotwicy.

- Dwa światła na przystani, sześćdziesiąt stopni od latarni.

Nad nimi budynek z krzyżem.

- To świetnie, pod warunkiem, że będą się palić całą noc. Ktokolwiek jednak je włączył, musi korzystać z agregatu, bo tam nie ma elektryczności.

- Będą zapalone - zapewnił Callahan. - Powiedziano nam, że będą zapalone.

Zaznaczył światła przystani na sporządzanej odręcznie mapie i umieścił ją pod locją.

- Dobra. Deedee, idź, obudź tego palanta i przekręć pławę.

Pora pogadać z klientem.

Odbiornik CB milczał, kiedy Negus wystukał kod.

- Jose - odezwał się w pustkę - masz dla mnie te pompy? - Jak najbardziej, panie Fry. - Głos był inny, ale odprężony, swobodnie posługujący się angielskim.

- To doskonale - odparł Negus, rozłączając się. - Sądysz, że nas widzi? - zwrócił się do Callahana.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości.

Wpadli nieco zadyszani Deedee i Pablo. Kiedy Deedee Callahan po niego przyszła, Pablo kulił się w swojej kajucie tuż obok pistoletu Naftalego i z tęsknotą, a równocześnie strachem, spoglądał na światła Puerto Alvarado.

- Cześć, dzieciaki - zwrócił się Callahan do żony i Pabla.

- A teraz otworzymy składzik z bronią.

Pablo przyglądał się, jak Callahan otwiera szafkę, w której leżał jego, Pabla, pistolet. Oprócz niego zobaczył tam kilka innych pistoletów. Na widok swej broni Pablo postąpił o krok naprzód. - Wróc to tempo - warknął do niego Negus.

- Nie, Pablo - wyjaśniał cierpliwie Callahan - my tylko otwieramy schowek z bronią, bynajmniej nie

zamierzamy wymachiwać nią do mijających nas statków.

Przeszedł przez kuchnię do wyłożonej boazerią kajuty. Tam wybrał kolejny kluczyk z kółka, podszedł do dwóch foteli i otworzył coś, co wyglądało na biblioteczkę z drewna tekowego. Znajdował się tam niewielki karabin zagranicznej marki i kilka strzelb. Przekręcił klucz w zamku i zostawił sprzęt w spokoju. - To bardzo denerwujące - wytłumaczył pan Callahan - szukać kluczy, kiedy człowiek się spieszy. A na razie niech nikt nie zapomina, że od brzegu dzieli nas zaledwie kilka mil, jesteśmy oświetleni niczym choinka bożonarodzeniowa. Dlatego zachowajmy nasze zwykłe pozory szacowności i spokoju i zostawmy te zabawki na miejscu. Dopóki nie będą nam potrzebne. Co, jak ufam, nie nastąpi.

- Jak zwykle masz świętą rację - zgodziła się Deedee.

Callahan wziął szklaneczkę rumu, z której wcześniej pił. - A teraz - zwrócił się do Pabla - ty i

Deedee

wyberzecie się na krewetki.

- Nie kapuję - powiedział Pablo.

- Pani Callahan ci wyjaśni. - Pieszczotliwym gestem podrapał żonę za uchem. - A kiedy już będziecie

na pokładzie, ty, Deedee, załóż na głowę jakąś czapkę, dobra? Żebyś wyglądała na jankes-kiego rybaka, a nie cud dziewicę krasawicę.

Poszła do siebie. Kiedy ponownie się wynurzyła, miała na sobie czarną czapkę i zielony uniform.

Włosy schowała pod czapkę. Mrugnęła do Pabla.

- Ruszamy, Teksańczyku. Czas brać się do łowienia. Kiedy tamci znaleźli się już na pokładzie, Callahan opadł na krzesło w sterówce i dokończył drinka. Wziął naszkicowaną przez siebie mapę z obserwacji i uśmiechnął się do Negusa. - Wyprowadzimy statek na radiolatarnię. Dokładnie w namiarze sto osiemdziesiąt. O jedenastej zero zero będziemy ją znowu mieli dokładnie na zero-zero-zero.

- Tak jest, panie kapitanie - odparł Negus i skierował statek na pełne morze.

- Wyrzucimy sieć - ciągnął Callahan, spoglądając na ekran radaru - więc lepiej się nie rozpędzaj.

Osiem, dziewięć węzłów to góra.

- Ej, Jack, odchrzanisz się wreszcie? Mamy kupę czasu do zabicia, a ty się zachowujesz, jakbyś chciał,

żebym już ruszał. Callahan wykonał pojednawczy gest swoją szczupłą, drobną ręką. Usłyszeli krztuszenie się silnika stabilizatora i odgłos łańcucha wlokącego się po pokładzie.

- Niech piekło pochłonie Tino - powiedział Negus. W kuchni zjawiała się Deedee Callahan w rękawicach roboczych, białych kaloszach rybaka i czapce nasuniętej głęboko na czoło. Zabrała z półki butelkę rumu i kilka skrętów.

- Ej, stary - powiedziała, widząc, ile rumu zostało - wydawało mi się, że ty miałeś być dzisiaj trzeźwy.

A ja miałam się zalać w biedroneczkę.

- Możesz się zalewać do woli - odparł Callahan.

Negus obejrzał się przez ramię.

- A cóż ty planujesz, panienczko? Imprezkę na pokładzie? - Czemu nie? Będziemy skubać te małe obrzydlistwa. Wiecie - zwróciła się do mężczyzn - kiedyś całkiem lubiłam krewetki. - Daj sobie spokój ze skubaniem - oświadczył jej małżonek. - Tylko wrzucaj je do środka i upewnij się, że to na pewno krewetki.

Negus wychylił się ze swojego miejsca i zabrał Deedee butelkę.

- To moja dawka na dziś - oświadczył, pociągnąwszy łyk. - Najpierw odwalamy robotę, potem możemy robić, co nam się żywnie podoba. Taka jest ponoć kolejność rzeczy w tym fachu. - Czy wyciągać włók? - spytała Deedee.

- Daj sobie siana.

Callahan wstał, podszedł do luku i wyjrzał na czarny ocean. Z wyrzuconymi za burtę sieciami i stabilizatorami "Chmura" nabierała nachylenia zgoła niewspółmiernego do pogody. - A jak wygląda sprawa z Pablem?

- Siedzi spokojnie - odparła. - Chciałby wiedzieć, co będzie robił, kiedy wrócimy na miejsce.

- Cóż - zamyślił się Callahan - wprowadź go co nieco w sprawę, niech się poczuje ważny. Ale nie pozwól, żeby się upił i stracił swą wspaniałą godną minę. Zajmij go czymś innym.

- Będę mu pieściła ptaszka, podczas gdy on będzie skubał krewetki, co wy na to?

Znowu puścili w koło butelkę.

- Hej - upewniła się Deedee - rzeczywiście chcesz, żebym mu opowiedziała o całej akcji?

Callahan spojrzął na rufę, gdzie Pablo wygładzał fałdy niewodu. - A dlaczegoż by nie? Niech myśli, że przed nim jakaś przyszłość.

Negus zaśmiał się chrapliwie.

- Przyglądaj mu się bacznie, Deedee. Przyglądaj mu się bacznie. Jeśli zacznie się niepokoić, będzie się

zachowywał, jakby coś go gnębiło, od razu nam mów.

- On zawsze tak się zachowuje. Skąd będę wiedziała? - Intuicja - stwierdził Callahan. -
Wstuchaj się

w mroczny siódmy zmysł i w razie czego wracaj tu z Pablem. Od tej chwili ani na moment nie można
go spuścić z oka.

Kiedy wyszła, Negus ustawił ster na jeden-osiem-zero i obaj usiedli na miejscach. Negus zapalił
fajkę.

- Jack, niech to lichy - odezwał się po kilku minutach. - Ta cała akcja... Nie postawiłbym na nią... Nie
postawiłbym złamanego panamskiego peso...

- A musisz? - wpadł mu w słowo Callahan. - Musisz to po raz n-ry powtarzać?

Negus znowu zapadł w milczenie. Ale na krótko.

- To diabelnie świetna kobitka, Jack. Mam nadzieję, że trosz-czysz się o nią jak należy.

- Ona się troszczy o mnie - odparł Callahan. - Troszczy się o nas wszystkich.

CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział dwudziesty siódmy

Na polanie jedna za drugą, w takich samych odległościach stały trzy stele. Podstawy tonęły w
powojach, ale część gałązek obcięto, żeby odślonić inskrypcje i hieroglify. Dawniej polana stanowiła
część plantacji; na niewielkim wzniesieniu, na którym znajdowały się stele, rosła soczewica i dzikie
odmiany dyni; z trzech stron otaczały je wysokie drzewa ramon. Obok, do morza płynął niewielki
strumyk, biorący początek w górach.

Miejsce to, stanowiące niejasną, wspólną własność spółki owocowej i rodziny prezydenta,
przylegało

do ziem ofiarowanych kiedyś misji. Na niektórych mapach oznaczano je jako wykopaliska
archeologiczne, ale dawno już zostało ogołoczone ze wszystkich swoich skarbów, z wyjątkiem trzech
stel. Co prawda pojawiali się tu czasem poszukiwacze przygód i grzebali w ziemi. Poza tym miejsce
było zupełnie zapomniane.

Przecinkę zamykał niewielki wzgórek, który tak naprawdę był piramidą porośniętą przez dżunglę. Odkryto ją czterdzieści lat temu, wnętrza dokładnie przeszukano i zbadano, znaleziska odesłano do Filadelfii.

Zanim przyjechali tu anrykwariusze i szmuglerzy, mieszkańcy wybrzeża chowali zmarłych na kawałku słonej, nieurodzajnej ziemi, bardzo blisko samych płyt. Znajdowało się tu też kilka nieznanymi grobów z okresu, kiedy przenieśli się tu obcy - ludzie o nieznanymi imionami, zaginionymi. Sam Egan natknął się tu kiedyś na ciało małego chłopczyka, Indianina przywleczzonego z gór, i pogrzebał go obok strumienia. Przechodzień wędrujący szlakiem wiodącym znad morza do wodospadów w dolinie, mógłby minąć płyty i zagrzebaną piramidę, nawet ich nie zauważyć w świetle padającym przez gałęzie drzew, wśród bogactwa kształtów i barw zieleni.

Słońce gasło na niebie, kiedy Egan szedł ścieżką niosąc plastikową torbę, mamrocząc coś cicho pod nosem. Czekali na niego przy płytach. Przyjechali tu z Północnej i Południowej Ameryki albo Europy. Zebrało ich się ponad dwanaście osób. Namioty i hamaki porozbijali na całej polanie. Młodzież tego typu, do tej pory rzadko tu spotykana, coraz częściej ściągająca do Tecanu, jakby tu czegoś szukała. Ojciec Egan przychodził do nich i głosił swą naukę. Na stojącej najbardziej na wschód steli - odbarwionej po latach wycierania w celu uzyskania kopii, wiekach stania na deszczu, słońcu i wietrze - można było się dopatrzeć zarysu postaci człowieka w pióropuszu na głowie. Pod nią leżały przygotowane drwa na ognisko. Kiedy Egan usiadł na swoim miejscu pod kamienną płytą, szczupłą, młoda dziewczyna z zabandażowaną ręką połała ropą stertę drewniek. Pozostali patrzyli oparci o plecaki. Nieco na uboczu siedział krępy, jasnowłosa mężczyzna o gęstych brwiach, rysach twarzy przypominających elfa i jasnoniebieskich oczach. Kiedy już zapłonął ogień, Egan odwrócił się od grupy i z zamkniętymi oczami oparł o kamień. Wydawało mu się, że miał przygotowany tekst. Teraz w głowie płonął ogień. Z wilgotnymi oczami zwrócił się do słuchaczy.

- Cemu szukacie żywego pośród umarłych? - odezwał się do nich słowami Chrystusa.

Ktoś cicho zachichotał. W nieruchomym powietrzu unosił się zapach marihuany.

- Cóż wy robicie, dzieci, w takim miejscu? - Wstał, podpierając się o płytę. - Kiedy po zmartwychwstaniu anioł spytał niewiastę przy grobie, czemu płacze, odparła: "Bo zabrali Pana i nie wiem, gdzie go położyli".

Na najwyższych gałęziach małpki wyskrzekiwały ostatnie do-niesienia, ich wartownicy wzywali spóźnialskich do powrotu. Pora szykować się do snu.

-Zabrany - ciągnął Egan. - Położony gdzieś indziej. Nic dziwnego, że płakała. Wy na jej miejscu pewnie też byście płakali. A może już płaczecie?

Część słuchaczy przyznała, że płacze.

- Oczywiście, że płaczecie. Wszyscy płaczemy. Każdy, nawet najmądrzejszy, ma rzeczy, które boi się utracić, nad których utratą płacze.

Dziewczyna z gorączką zaczęła śpiewać. Leżała z głową opartą na kolanach towarzysza.

- To martwe miejsce - mówił dalej Egan. - Cmentarzysko, i właśnie dlatego tu się gromadzimy. To historia. To świat. - Nie mój - przerwał mężczyzna. Był starszy od pozostałych i pijany. - O nie, nie mój.

Egan nie zwrócił na niego uwagi.

- To po prostu inne miasto na wzgórzu. Ziemskie, historyczne miasto. Ogromne. Tu oddajemy cześć śmierci. Temu, co nieudane. Umieszczone w niewłaściwym miejscu.

- A jaśniejsza strona? - spytał mężczyzna. - Czy istnieje coś takiego?

- Oczywiście - zapewnił Egan. - Ale ona nie ma z tobą nic wspólnego. Ty na niej się nie znalazłeś.

Pablo i Deedee siedzieli pod żarówkami przed ładowniami, na przewróconych koszach na krewetki, plecami oparci o lazaret. Na otwartych lukach wisiała sieć, rozciągnięta między stabilizatorami. Draga wyglądała, jakby ktoś posypał ją konfetti. Połów przypominał śmietnik po zabawie karnawałowej. W jasnym świetle widzieli przed sobą kotłowaną obrzydliwych, żywych ciał, łup wydarty ciemnościom i głębinom. Leżały tam tysiące stworzeń, wyglądających jakby się narodziły w chorym mózgu: muszle, łuski, pięćdziesiąt odnóży, sześcioro oczu, które wiły się. miotały, pełzły wśród braci w niewoli,

próbując się wydostać na powierzchnię. Łupieżcy i ofiary, połączeni wspólnym losem, pomieszani, oślepieni, wyrwani ze swojego znajomego świata. - No, grzebiemy, Pablo - powiedziała Deedee. - Chyba wiesz, jak z grubsza wygląda krewetka?

Pablo w milczeniu wpatrywał się w ruszającą się żywą masę u swoich stóp. Deedee wstała, ostrożnie podeszła do sieci i ochraniając rękawiczką ręką wyłowiła stamtąd prawie sześćdziesięciocentymetrową barrakudę. Chwyła szarpając się rybę za łeb, poza zasięgiem rzędu ostrych zębów i wyrzuciła za burtę. - Biedactwo - stwierdziła. Pracowała ze skrzętem w zębach. - Może się jeszcze jakaś znaleźć - ostrzegła Pabla, siadając znowu na koszu - więc uważaj, w co wsadzasz ręce.

Pablo pochylił się, znalazł krewetkę i popatrzył na skorupiaka leżącego w jego otwartej dłoni.

- O to chodzi - powiedziała Deedee. - Właśnie jedną złapałeś. Kiedy już zbierasz cały kosz tych małych koleżków, wsadź go do chłodni. Gbybyśmy byli uczciwymi rybakami, za jakich się podajemy, odrywalibyśmy im łebki i odnóża. Ale nie jesteśmy, więc nie będziemy.

Nie podobał mu się jej wzrok. Uśmiechała się, była naćpana, ale za bezstroską gadaniną i pogodną miną kryła się pełna poczucia winy ostrożność. Pablo słabo się znał na połowie krewetek, natomiast zdawało mu się, że całkiem nieźle zna się na kobiecych niepokojach. Wiedział, jak się zachowują, kiedy próbują sobie człowieka urobić. Jak się uśmiechają, kiedy śmiertelnie się boją. Zaciśnął rękę, w której trzymał krewetkę. Zmiażdżył skorupiaka, palcami lewej dłoni oderwał mu łebek. Ten gest niepotrzebnego okrucieństwa najwyraźniej nie zaniepokoił Deedee. Dalej radośnie patrzyła mu w oczy, ale Pablo był przekonany, że zauważyła i odpowiednio zinterpretowała to ostrzeżenie. Pomyślał sobie, że musi być bardzo twarda i że różni się od wszystkich znanych mu kobiet. I teraz ze sobą grali. A w tej chwili nie znosił nawet tego słowa, pachniało mu szeptem Naftalego.

- Resztę tych stworów, nie-krewetek, na razie zostaw w spokoju.

Później wyrzucimy je do wody.

Nie odrywał od niej wzroku, spokojnie wytrzymywała jego spojrzenie, aż wreszcie poczuł się głupio.

Była lepszym graczem od niego. Zaczynał jej nienawidzić. Zaczynał się jej bać, bać bardziej niż

pozostałych.

- Pierwszy raz, kiedy w ogóle się do tego zabrałam - opowiadała, kiedy napełniali kosze - facet rzucił

we mnie barrakudą. Cisnęła niedopałek na pokład. Niech tam zgaśnie na wilgotnych deskach.

- Mhm. - Pablo nie odrywał oczu od roboty.

- Miałam ochotę też w ciebie rzucić rybą. Ale potem się zastanowiłam. I to dogłębnie.

- Mogłaby mnie ugryźć - stwierdził.

- Mogłaby. I co by się wtedy stało ze mną?

Zdał sobie sprawę, że najchętniej by ją przeleciał, a potem zabił. Na tę myśl humor jeszcze bardziej mu się zwarzył, bo wierzył, że takie odruchy to jego wyłączna własność. To raniło jego poczucie godności. Co więcej, nie był pewny, czy ona go tylko podpuszcza, czy naprawdę się napaliła.

Wydawało mu się, że już wie, a tu znowu się zmieniało. Niepewny, coraz bardziej wściekły wymyślił

tylko jedną strategię: słuchać, czekać i sondować. - Musi być pani szalona - powiedział. - Bo to

przecież szaleństwo, żeby taka przystojna kobieta jak pani marnowała się na tej łajbie. - W takim razie jest nas już dwoje - stwierdziła. - Co najmniej.

- Taaa - odparł Pablo. - Ale ja jestem tu tylko przechodniem. Przeszły go ciarki. Żywił niemal modlitewną nadzieję, że to może się okazać prawdą.

- Zmierzył chłodnym wejrzeniem świat, życie. Jeźdźcze, ruszaj w drogę - wyrecytowała. Prawdziwa wiedźma.

Nie minęły trzy kwadranse, a wybierali dość krewetek, żeby przykryć cały jeden pojemnik i połowę drugiego. Pablo stał na bryłach lodu, biorąc od Deedee koszyki. Kiedy już skończyli z krewetkami, Deedee znowu uruchomiła silniki stabilizatorów, Pablo zaś pomógł jej znowu rozciągnąć linę dragi.

- Doskonałe miejsce na połów krewetek - oświadczyła Deedee Callahan. - Jeśli jeszcze kiedyś będziemy znowu się w to bawili, muszę je zapamiętać.

Pablo patrzył na morze. Pojawiło się więcej statków. W pobliżu pracowały cztery, może pięć, jasno oświetlone.

- W każdej chwili może nas dorwać rybacki patrol - powiedział Pablo. Chciał w ten sposób podtrzymać rozmowę, poza tym trochę przestraszyć babę i w ten sposób poprawić sobie nastrój. - Na twoim miejscu przestałabym się obawiać, Pab. Nigdy jeszcze nas nie sprawdzano, nigdy. Sprawdzają tylko numery i barwy. Kiedy podpłyną na tyle blisko, żeby zobaczyć, że mają do czynienia z Amerykańcami, dadzą nam spokój. No, chyba że nas szukają.

- Ale to nam nie grozi, prawda?

Napiła się rumu i podała mu butelkę.

- Cóż, ja nic nie powiedziałam. Ani szef, ani Freddy. A ty?

- To chyba żart, prawda?

- Tak - odparła - prawda?

- Nie ufają mi - oświadczył gniewnie, ruchem głowy wskazując sterówkę. - Wiem o tym.

- Skoro ci nie ufają, muszą mieć po temu powody. Cóż by to mogło być?

- Odstawia pani gliniarza czy co, pani Callahan?

- My odstawiamy piratów. Muszę ci ufać. Tak samo oni. Inaczej szedłbyś z zawiązanymi oczami po desce wysuniętej za burtę. Piracka śmierć. Tak to już bywa z piratami.

- A co z tym czarnuchem, który został w St. Joost?

- Masz na myśli Tino?

Znowu próbował przeniknąć ją wzrokiem. A ona spokojnie, pogodnie patrzyła mu w oczy.

- Zwykle nie określamy go mianem czarnucha - stwierdziła lekko. - To nasz stary przyjaciel. Trochę nas niepokoi jego nieobecność, ale jesteśmy głęboko przekonani, że nikomu by nic nie powiedział.

- Każdemu może się przytrafić wsypa.

- Nie lubię tego słowa - powiedziała. - Nie podoba mi się, tak samo jak nie podoba mi się sposób, w

jaki je wymówiłeś. Zabrzmiało tak, jakbyś był punkiem.

Pablo był szczerze zdziwiony.

- Nikt nigdy nie nazwał mnie punkiem - oświadczył z mocą, kiedy już się otrząsnął.

Uśmiechnęła się i westchnęła.

- Nikt? Nigdy? Ani razu? - I po chwili zaatakowała. - Cie-kawy z ciebie człowiek - stwierdziła. - Dbaj o swoje wyższe uczucia.

Kiedy myślał nad odpowiedzią i wreszcie postanowił, że jej powie, że jego uczucia są wystarczająco wysokie jak na nią, na pokład wyszedł pan Callahan i obejrzał połów spoczywający w chłodniach.

- Doskonale, moi rybacy - powiedział. - A teraz jeszcze raz wyciągamy sieci, nie mamy zbyt wiele czasu.

Drugi połów okazał się mniej obfity, tak że musieli dorzucić lodu i co drobniejsze ryby, żeby wypełnić

drugi pojemnik. Wyszedł Negus i pomagał im, póki siatki nie zostały zabezpieczone, a luki chłodni dokładnie zamknięte. Pablo stwierdził, że Callahan znowu się upił. Nawet cichy, uwijający się Negus nie wyglądał na zupełnie trzeźwego.

- Zgubimy tamte statki - zwrócił się do niego Callahan. - Potem ruszamy bez świateł, za to szybko.

- A tam on już będzie na nas czekał - dodała Deedee. - Podoba mi się to - oświadczył Callahan. - Wszystko układa się świetnie. - Uśmiechnął się do Tabora. -A jak u ciebie, Pablo, też się świetnie układa?

- Jasne - zapewnił Pablo.

Deedee uwiesiła mu się na ramieniu.

- Nam tutaj dobrze. Zgrana z nas paczka.

Kiedy Callahan i Negus wrócili do sterowni, Deedee nadal stała przytulona do Tabora. Oboje przyglądali się, jak Callahan rusza naprzód, trochę krzywo, bardziej chwiejnie, niż to narzucał ruch "Chmury". Pablo sięgnął do kieszeni po resztkę benzedryny. Kiedy wreszcie narkotyk zadziałał, Pablo był rozczarowany i zdziwiony. Przez ułamek sekundy nie wiedział, gdzie jest, i opanował go strach. Ale po chwili to wrażenie minęło i poczuł się lepiej. Poprosił o jeszcze trochę rumu. Deedee ciągle wisiła mu u ramienia. Przez jakiś czas był spokojny, czuł smutek zmieszany z wdzięcznością, że kobieta jest obok niego. - Jesteś dobrym człowiekiem - mówiła do niego uspokajająco.

- Dobrze sobie radzisz i poradzisz sobie jeszcze lepiej. - Podoba mi się to, co mówisz - odparł Pablo

i parsknął śmiechem. Niemal zachichotał. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby go rozumiała.

Roześmiała się razem z nim. - Jak długo jesteś z tym mężczyzną?

- Od zawsze - powiedziała i oboje się roześmiali.

Zrobiła skręta i jeszcze trochę łyknęli z butelki.

- Skoro jesteś z nim od zawsze - spytał Pablo - to dlaczego na mnie lecisz?

- Chwała niebiosom. Już myślałam, że nigdy nie zapytasz. Nie przypuszczałam, że zauważyłeś.

Z tego też się roześmiali. Palili mocną trawę z Jamajki. I wtedy Pablo zdał sobie sprawę, że coś mu nie

gra w tym, co powiedziała, albo w sposobie, w jaki to powiedziała. Ktoś zriowu sobie z nim pogrywa.

W sterówce Negus wyłączył autopilota i skierował statek na północ; igła kompasu nad radarem drgnęła. Odszdzili statki, zostawiając je za sobą.

- Boże daj, żeby poszło łatwo - westchnął Negus. - Do tej pory to był taki zafajdany...

- Czyżbyś zamierzał na dobre zawinąć do portu, Freddy? - Sie wie - odparł z głębi serca Negus.

-1

wcale nie żartuję. Za stary już jestem na takie zabawy. Prawdęś mówił, kiedy mi to wytknąłeś.

- A ja ci powiadam, że było ciężko. Bez Tino, za to z Taborem. Zapewniam cię. Ale mówiłem Deedee... Mówiłem jej, że potrzebny mi podejrzany typ, którego będę trzymał w ryzach. - Od lat ci powtarzam, Jack, w tych czasach nie można do naszej roboty brać byle kogo. Bo na pewno wybierze się niewłaściwego. A do tego, moim zdaniem, za dużo tankujesz jak na kogoś, kto siedzi w tej branży. Callahan nie mógł z rym dyskutować.

- I co Deedee ma robić z tym tam typasem?

- Zaopiekować się nim. To mądra dziewczynka.

- Z całym szacunkiem i tak dalej, to prawda - stwierdził Negus. Potem obejrzał się przez ramię i zniżył głos. - A po wszystkim facet wylatuje?

- Nie jestem pozbawiony zasad - powiedział Callahan. - Spełniam swoje obowiązki względem

świata

i międzynarodowych linii oceanicznych. Wylatuje.

- I Deedee wie o tym?

-Wie.

- A więc tutaj sprawę mamy jasną. Bo ona ma do niego jakąś sła-bość. Opiekowanie się nim, rozumiesz, mogłoby coś dla niej znaczyć. - Wiem, co to dla niej znaczy, Freddy, i ty też. Słabość to niewłaściwie określenie. Deedee wcale nie jest sentymentalna, za grosz.

- Nie, niech mnie kule, nie. Nie jest sentymentalna. Ona jest... taka jaka jest.

- Odchylona.

- Czy jak tam to sobie nazwiesz.

- Lubi balansować na linie. Dla niej to buhaj. Wlazł w gówna i jutro już będzie po nim. I właśnie coś takiego lubi. - Tak - zgodził się Negus. - Ja też tak myślę. Właśnie w ten sposób podchodzi do sprawy.

- Moim zdaniem ona jest cudowna. Wyjątkowa. Idealnie do mnie pasuje.

- Tak - po raz kolejny zgodził się Negus. - Pasuje. Ty i ona pasujecie do siebie jak ulał.

- Nie można powiedzieć, że nasze małżeństwo zostało zaplanowane w niebie, ale podoba nam się.

Oboje lubimy ryzyko. Sądzisz, że on się domyśli, dlaczego ona na niego tak leci?

Negus wybuchnął śmiechem.

- Cóż, gdybym ja był na jego miejscu, nie domyśliłbym się.

A chyba wszystko już widziałem na tym świecie.

- Ale co jest dobre, a co złe, hej, Fred? Seks i śmiertelność są ze sobą ściśle powiązane. To fakt biologiczny.

Zaczął sobie nalewać kolejnego drinka. Negus wyjął mu szklan-kę z ręki.

- Starczy, szefie. Następny dopiero po wszystkim.

Callahan patrzył, jak Negus wylewa całą zawartość szklanki za burtę.

- Dobra - stwierdził. - Pora zaciemnić statek i ustawić się na potrójne zero. Jeszcze parę minut.
- Kiedy wejdziemy, będę na forpiku. Od czasu do czasu powinniśmy sprawdzać Deedee.
- Poradzi sobie - uspokajał Callahan. - Ma broń. Lepiej, żebym to ja sprawdzał, Freddy. Tak będzie

lepiej.

- Pewnie, to raczej twoja robota niż moja.

Wiecie - mówił ojciec Egan - przypomina mi się tutaj inne miasto. - Zaśmiał się krótko, typowym księżowskim śmiechem. - Kiedy szycowałem się do zostania tym kimś, kim zostałem, wysłano mnie do pracy w szpitalu. Żebym pocieszał umierających. Pamiętam tamtą kostnicę: była bardzo wiktoriańska, w stylu neorenesansowym. W przedsionku na ścianie widniała łacińska maksyma: "Niech uśmiech zniknie, niech śmiech ustanie. W tym oto miejscu zmarli pomagają żywym".

Najstarszy członek grupy zerwał się na nogi, bełkocząc. - Kłamstwo! - krzyknął. Jego nalana twarz

poczerwieniała z gniewu. Przytknął dłonie do ust, żeby jego głos poniósł się dalej i wyrzeszczał: -

Nabieranie!

- Opiszę wam, jak to wyglądało - zwrócił się Egan do zgromadzenia. - Jestem pewien, że znacie ten

obraz. Grupka ludzi stoi nad stertą ciał. Uśmiechają się, w dłoniach trzymają broń. Niektórzy zawiązali sobie chustki wokół ust, nie żeby wyglądać jak bandyci, ale żeby nie czuć smrodu. Czego szukają w tej stercie? Czy któryś z nich zgubił zegarek? To bez znaczenia. Ksiądz otarł usta rękawem i ostrożnie postąpił krok naprzód. - To wyjątkowy obraz, dzieci. I tak jest teraz. Właśnie dlatego widzicie go każdego tygodnia we wszystkich gazetach. Oczywiście, istnieją różne warianty: ludzie i ubrania mogą się różnić kolorami, ale obraz pozostaje taki sam.

Wokół nich zapadała coraz głębsza cisza i mrok. Orzechy ramon spadały na ziemię przez liście, ich stłumione uderzenia przypominały kapanie deszczu.

- Teraz zastanówmy się, dlaczego każe nam się tydzień po tygodniu oglądać ten obraz, póki nie wryje

się w nasze mózgi, póki nie widzimy go zasypiając i budząc się rano? Czy właśnie to mamy zobaczyć?

Czy to jakaś chytra gra w kości, dzieci? Czy, mówiąc krótko, jest to jakieś przesłanie do nas?

Nikt nie odpowiedział.

- Czy tamci martwi pomogą żyjącym? - spytał. - Czy mamy szukać żywego pośród umarłych? Co to znaczy?

Podniósł się brodaty, ciemnowłosy młodzieniec w wodoszczel-nym joncho, który do tej pory siedział po turecku.

- Święty jest pośród umarłych - oświadczył.

Dziewczyna, która rozpałała ognisko, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

- O, nie - zawołała cicho.

Egan stał z rękami założonymi pod brodą, twarz miał uniesioną, oczy zamknięte.

- A mimo to - powiedział - mimo to... Gdzie? - Otworzył oczy i popatrzył na swoją trzódkę przez blask ogniska. - Bo można patrzeć w twarze umarłych - robię to od lat, więc coś o tym wiem - i nie zobaczyć nic. Nic oprócz zwykłej śmierci. Można się wpatrywać ze wszystkich sił, modlić o znak, o cokolwiek, o naj-mniejszy ślad czegoś... czegoś więcej. Brak odpowiedzi. Westchnął i potrząsnął głową.

- Można się wpatrywać w umarłą twarz świata, próbować złapać go na gorącym uczynku. Nic z tego.

Można dalej patrzeć, powtarzać sobie, że się coś widziało, jakąś choćby najmniejszą namiastkę, wiecie, czegoś... żywego. Życia przez wielkie Ż. Albo Jedyne, świętego, co tam sobie chcecie. Ale to na nic.

Nie zobaczycie. Nie objawi się w ten sposób.

Przysunął się do ogniska, chwiejąc się niebezpiecznie. Żar bijący od ognia kazał mu się cofnąć.

- Można patrzeć na zewnątrz. Ku gwiazdom, najodleglejszym galaktykom. Ani śladu. Albo patrzeć w

głąb. Zróbcie to! - nakazał. - Spójrzcie w głąb. Zamknijcie oczy i popatrzcie od zewnątrz do środka. I

co tam znajdziecie? Pęcherzyki. Skóra, co? Ciało, pasożyty, zgorzkniałe wnętrzności i odrobinę chuci.

Zanurzamy się w nasze rozliczne skażenia, złudzenia i znajdujemy swoje umysły, małe licha, diabelne

proteuszowskie elementy. Coś poza tym? Jakiś promyk?

Niektórzy siedzieli z zamkniętymi oczami, wpatrując się w głąb samych siebie. Inni utkwili spojrzenie w Eganie albo w ogniu. - Może tak - ciągnął Egan. - Może, co? Kto się rozezna w tym bałaganie? Ale może coś tam jest. Jakiś maleńki promień światła. Co to jest?

- Koreczek anchois - stwierdził pijany mężczyzna. - Nie strawiony kawałek wołowiny.

Odwrocił się i podszedł ku ciemnej linii drzew, zabierając ze sobą pudełko chusteczek higienicznych.

- Duch Marleya - mówił idąc. - Duch przyszłych święt Bożego Narodzenia.

Egan udawał że nie słyszy.

- Oto właśnie "dlaczego" i "po co" - podjął ksiądz. - Owo maleńkie światełko. Ja co prawda nigdy go

nie widziałem, ale ono musi tam być. To życie. Życie przez wielkie Ż. Jest cała ta śmierć i umieranie, i to jedyna różnica. Jedyna różnica w rym wszystkim. Nie ma aniołów - ciągnął dalej. - Nie istnieje coś takiego. Trony. Panowanie. Cała ta gadanina to bzdury. Ale jest życie. Jest Żyjący pośród umarłych. Przecież właściwie nigdy go nie widziano, praw-da? Właściwie nawet by się nie wiedziało, że ono tam jest, ale ono musi być, prawda? Tylko że umieszczone w niewłaściwym miejscu. Kręciło mu się w głowie, brakowało tchu. Znowu oparł się o płytę, żeby nie upaść.

- A ponieważ ono tam jest, wszystko jest w porządku. Przez cienie i migotliwy blask ogniska próbował ogarnąć wzrokiem wszystkich zebranych.

- To właśnie twój Święty pośród umarłych, synu - zwrócił się do brodacza. Okiem zahaczył o dziwnego blondyna, coś kazało mu odwrócić wzrok. - Musicie próbować je znaleźć, rozumiecie? A jeśli nie znajdziecie, musicie w nie wierzyć. Jeśli nie potraficie wierzyć, musicie mieć nadzieję, że to wara się uda. A jeśli nawet nie potraficie mieć nadziei, jedyne, co wam pozostaje, to pokochać samą ideę. Kochać na odległość, jeśli to najlepsze, na co was stać, dzieci. Kochać niczym tajemniczego kochanka. Ich milczenie zbiło go z tropu. Obszedł ognisko i stanął w pół-kregu, jaki stworzyli.

- To jedyne, co ma jakieś znaczenie wśród wszystkich naszych rzeczy - zakończył. - A nie ma ich wiele. Ił go blask żarówek, tak że nie widział jej twarzy. Stała przy relingu przeciągając się. Pablo

przeszedł do relingu po drugiej stronie i rozejrzał się za światłami innych statków, które jeszcze niedawno pracowały w pobliżu. Nie zobaczył żadnych świateł. Wyglądało na to, że zmienili kurs. Wiatr wiał pod innym kątem i prądy podchodziły od innej strony, co sprawiało, że morze wydawało się mniej przyjazne. Wysunął się z kręgu światła, znalazł górne punkty Wielkiej Niedźwiedzicy, połączył z gwiazdą Polarną. Nowy kurs prowadził na północ. Powiał ożywczy wiatr. Pablowi zrobiło się chłodno.

- Jestem zmęczony - oznajmił. - Spodziewam się, że już wkrótce dostanę wypłatę.

Deedee znowu paliła marihuanę. Poczł jej zapach, kiedy kobieta przeszła przez rufę i usiadła na swoim przewróconym koszu. Ani na chwilę nie przestawała palić. Z koszyka wyjęła normalnego papierosa i butelkę portorykańskiego rumu. Od-kręciła rum i wychyliła spory łyk.

- Czyż nie dostanę wkrótce wypłaty?

Teraz już widział jej twarz całkiem wyraźnie. Uśmiechała się do niego dziwnie. Miał wrażenie, jakby go widziała pierwszy raz. Wzdrygnął się i to najwyraźniej jeszcze bardziej ją rozbawiło.

Wstała i podeszła do niego ze skrętem i butelką.

- Już niedługo, malutki. Dostaniesz. A teraz napij się tego. Rum był dobry, czysty i lekki, o wiele lepszy niż ten ulepek, który pili w sterówce. Deedee wcisnęła mu do ust skręta i Pablo, sam nie wiedząc kiedy, automatycznie wypalił więcej, niż po-winien.

- Problem w tym - powiedział - że nie rozumiem. Dzieją się różne rzeczy, a ja nie rozumiem. Jakby coś było grane. - Zawsze coś jest grane.

Próbował odczytać wyraz jej oczu, kiedy wszystkie światła pogasły. Widać było tylko poświatę, jaką na szybę rzucały urządzenia nawigacyjne i słaby blask nie zgaszonych lamp w kajucie, przedzierający się przez żaluzje. "Chmura" jeszcze raz zmieniła kurs i ktoś - Negus - wyszedł na pokład i otworzył skrzynkę od silników. Kiedy ją zatrasnął, statek wyraźnie zaczął nabierać szybkości. Drgnął cały, wiatr, który do tej pory muskał ich lekko, teraz szumiał w uszach; "Chmura" pędziła niczym błyskawica.

Negus znowu zniknął. Wrócił ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy. Paski światła z salonu zniknęły. Negus przykucnął w for-piku, na piersi dyndała mu lornetka.

- Ruszamy - powiedziała pani Callahan.

Poruszanie się z taką prędkością na statku, który wyglądał jak zwykły kuter, robiło niesamowite wrażenie, wręcz śmieszło. Pablo wpatrywał się w białą wodę, która pieniała się pod dziobem. Deedee usiadła na koszu, zaplotła ramiona, włóczkową torbę położyła na kolanach. Zapaliła papierosa.

- Usiądź, Pablo, bo wypadniesz. Płyniemy szybciej, niż przypuszczasz. Uciekaj z tego wiatru, a mamusia ci opowie, jak się sprawy mają.

Idąc za nią do ciemnego lazaretu, w pierwszym momencie pomyślał, że to nie w porządku, bo ich ubrania śmierdzą. Pracowali przy krewetkach. I że nie powinna palić, tu są beczki z ropą.

Kiedy Deedee usadowiła się na miejscu, usiadł obok. To był pierwszy bliższy kontakt z nią od tamtego wieczoru w kuchni, który wydawał mu się teraz tak odległy. Walczył teraz, by utrzymać Pabla, utrzymać w sobie myślącego, kalkulującego Pabla, bo wystarczyło, by usiadł obok tej kobiety, a ogarniało go pożądanie i mrok. Pożądanie miało smak bąbelków i gumy; mrok - znał to doskonale. Z ciemnościami kojarzyło mu się sporo różnych doznań, ale teraz ten drugi Pablo był rozłuszczony i przestraszony. Deedee zsunęła mu czapkę, przyciągnęła sobie jego głowę do ramienia i oparła o nią brodę.

- Więc sprawa wygląda tak, Pablo - zaczęła.

Pablo zamknął oczy, słuchał. Nie wiedzieć czemu, miał wrażenie, że mamusia coś mu powie.

- Mamy do ubicia pewien interes z chłopcami z tego wybrzeża, ale ich nie znamy. Może im wpaść do głowy, żeby zabrać nam towar, statek, wszystko, i wyrzucić za burtę. I tak się zdarza. Dlatego musimy okazać szczerą intencję. Potrzebny nam zwariowany staruszek jak ty, na oko wredny i tak paskudny, że pomyślą sobie, że mógłby im wpakować parę kulek tylko po to, żeby usłyszeć, jak to będzie, kiedy wpadną z pluskiem do wody. A teraz spójrz na to od ich strony. Wszystko płatne

gotówką do rączki. Może to trochę już niemodne, ale takie mamy obyczaje, już tacy jesteśmy, rozumiesz. Mają dla nas forszę. Trzeba się liczyć z tym, że możemy zabrać im pieniądze i ich załatwić - tak też się zdarzało.

Przecięgnęła mu palcami po karku.

- Tak więc, tak więc, najmilszy... - Objęła go. - Tak więc przyplwają swoim statkiem i ładujemy towar. Schodzisz do nich, więc wszyscy świetnie się czują. Zwykle trzeba zrobić kilka kursów do brzegu i z powrotem i czują się lepiej, bo nawet jeśli nie dostaną całego towaru, zawsze mają ciebie. A ty będziesz z nimi z tą swoją groźną miną, że choćby nawet mieli jakieś brzydkie pomysły, szybko im wywietrzeją z główek. Tak więc przywiozą cię razem z ostatnim transportem. Zabieramy pieniądze. Buena sueñe i viva la causa, sprawa załatwiona. Nic rozpaczliwego, nawet dziś. Obowiązują pewne reguły. Jesteś uzbrojony.

Zaczął się śmiać. A może teraz to już nie był on, a mrok. Ona też się przyłączyła. Słyszał jej śmiech.

Potem poszukał pod śmierzdzącymi, mokrymi džinsami słod-kiego ciała, ściągnął z kobiety bluzkę i zaczął lizać jej piersi, brodawki, nad nimi, wokół nich, znowu same brodawki. - Szaleństwo - powiedziała. - Szaleństwo.

Czapka zsunęła jej się z głowy i włosy rozsypały się na szorstkiej sieci. Napierała na niego pośladkami

- miękkiymi, okrągłymi, wilgotnymi pod mokrym materiałem spodni - i sięgnęła do jego rozporka.

Pchnęła go na belę. Ona jego!

- Nie musisz mnie trzymać - odezwał się. To mówił mrok.

Ale w odpowiedzi pochyliła się i zębami kąsała jego członek. Potem uniosła się na dłoniach i stopach

niczym przeciągający się kot, zrzuciła kalosze, zsunęła obcisłe džinsy. Naga pochylała się nad nim, leżącym na plecach. Pablo zdjął koszulę, rozpiął suwak i zsunął spodnie do kostek.

Nadal się śmiała.

- Nie ściągasz butów, nawet kiedy bierzesz damę, Teksań-czyku?

- Nie twój, kurwa, interes. ;

Odpowiedziała mu, biorąc jego prawą rękę i wkładając sobie między uda, gdzie skóra była gładka jak

powierzchnia szklanki maślanki w letni dzień. Uwięziła tam jego rękę, kciuk utknął w zagłębieniu jej pośladków, palce bawiły się wśród warg sromo-wych. Schował twarz w jej szyi, potem przesunął się na ramię, gdzie patrzył na niego dumny tautaż, a potem, kiedy nie mógł już wstrzymać się ani chwili dłużej, szedł między uda, gdzie jego usta i język zaznały rozkoszy, jakiej nigdy przedtem nie doświadczył. Kobieta przesuwiała się w górę, póki nie znalazła się nad nim, dziwnie wyprostowana, z odrzuconą głową, ślizgając się po nim raz za razem, nacierając, póki oboje nie szczytowali. Deedee nadal cicho jęczała, kiedy zerknął nad siebie i zobaczył, że właz jest szeroko otwarty. Widział nawet gwiazdy. - Właz - powiedział.

Sięgnęła po torebkę i butelkę.

- Boisz się kłopotów?

Z jej tonu nie potrafił odgadnąć, czy to wyzwanie czy pocieszenie, więc nie odpowiedział.

- Żadne kłopoty nie czekają nas na tym statku. Przynajmniej nie jeśli chodzi o ciebie i o mnie. A powodów tego nie mogę ci na razie wyjaśnić.

Nie tracąc czujności poprzestał na tym i choć nie podobał mu się ton, jakim się do niego odzywała, znowu był gotowy. A może to obudziła się żądza tego od mroku. Wziął Deedee jeszcze raz, próbując ją skrzywdzić - ale jej nie można było w ten sposób skrzywdzić. Na każde pchnięcie odpowiadała, odpowiadała pożą-dliwie, jakby żaden ruch nie mógł jej zaskoczyć. Czyli nie mógł jej zranić, nie mógł jej złamać ani upokorzyć. A kiedy zaczął szczy-tować i chciał się wysunąć, przytrzymała go, puszczając powoli, tak jak jej odpowiadało, aż przed oczami zaczęły mu migotać światła i bał się, że zaraz zemdleje.

Ogarnęła go euforia, czuł się lepiej niż na najlepszym haju.

Zamiat myśli miał w głowie arabeski, zwoje, urywki muzyki.

Deedee wkładała ubranie. Pablo automatycznie zapiął spodnie.

- Czy w tobie nie ma za grosz delikatności, chłopcze? - spytała. Popatrzył ku jej twarzy ginącej w mroku. Lęk chwycił go za pierś, wbił szpony w mięśnie. Wcześniej Pablo zauważył cień, który mignął nad wejściem. Był pewny, że widział. - Nie masz się czego bać - szepnęła cicho.

Te słowa były dla niego czymś strasznym.

- Ktoś jest tam na górze - powiedział.
- Niewykluczone, Pablo. Ale to nie problem.

Nie problem. A on siedział w śmierdzącej pułapce i nadal nie pojmował, jakim cudem tu się znalazł. A obok, w ciemnościach, wróg o delikatnym, miękkim ciele uspokajał go złocistym, czystym głosem.

- Hej, hej - mówiła, lekko go muskając. - Wszystko w porządku, mój miły.

W porządku. Ale oni chcą go zabić. Już raz to wszystko rozważał i właśnie do takiego wniosku doszedł.

- Wystawiłaś mnie.
- Nie bądź głupi - powiedziała pewnie.

I w tej samej chwili przestał się trząść. Wystawiła go, ni mniej, ni więcej. Znalazł się wśród szaleńców, w pustym, ciemnym pomieszczeniu o smaku soli, pachnącym rybą i śmiercią. Zaraz go zabiją. Siedział zupełnie nieruchomo, czekając na jej ruch, nasłuchując odgłosów z góry.

- Uspokój się, uspokój się - mówiła, jakby uciszała konia. Był już całkiem uspokojony. Tyle samo miał wspólnego z rzeczywistością co kwitnący bluszcz, który, wydawało mu się, że widzi w ciemnościach, czy muzyka, którą słyszał. Wszystko szło na opak, ale on jest silny.

Z sznura od sieci zrobił pętlę i na ślepo zacisnął ją kobiecie na szyi. Jedną rękę wyciągnęła przed siebie, walcząc z liną, ale drugą szukała czegoś w ciemnościach. Pablo, który z całej siły zaciskał pętlę, miał nieco spowolnione reakcje i dopiero po chwili zorientował się, o co chodzi Deedee. Deedee wyciągnęła z torby pistolet i kolbą uderzyła go mocno w górną wargę, prawie trafiając w nos. Pablo wypuścił linę i próbował złapać pistolet. Nie wiedział, czym go uderzyła, ale wiedział, że to musiał być pistolet. Kobieta krzyczała. Zduszonym, przerażającym głosem wołała męża. Kiedy Pablo

wyrwał jej z ręki broń, głową nacisnął jej klatkę piersiową, żeby nie mogła piszczeć głośniejsze, i spod swojej torby wyciągnął pistolet Naftalego.

Teraz w pomieszczeniu zabłysło prawdziwe światło. Ktoś z latarką przeszukiwał wnętrze. Pablo wciągnął Deedee na siebie - wyglądało to, jakby znowu się kochali - wbiła mu zęby w ramię. Kiedy już leżała na nim, wepchnął jej pod żebro lufę pistoletu i wystrzelił jeden z ośmiu naboju. Zęby rozluźniły uścisk, kobietę odrzuciło na belkę. Z drabiny padły dwa strzały, co najmniej jeden trafił w Deedee. Przewróciła się na bok, kolana nadal miała złączone. W pomieszczeniu błyskały światła. Chłopakowi przywodziły na myśl ogniki, mokre, lśniące pluskwy. Huk go ogłuszył. Przywarł to ściany, kula go ominęła. Kiedy wystrzelił do mężczyzny na drabinie, zrobił to pewnie, jakby miał czasu do woli. I po sekundzie wiedział, że trafił do celu. Dobiegło go szuranie, jęknięcie, pistolet uderzył o ostatni stopień drabinki i poleciał na pokład. Mężczyzna skrył się za kręgiem światła latarki. Nieruchomy, niewidoczny. Pablo siedział w mroku dysząc, czekając, aż postać za latarką się poruszy. Kiedy zaczął się podnosić, powietrze rozciął kolejny błysk. Taborowi podwinęła się noga, głową uderzył o pochyły sufit. Ukląkł i wystrzelił dwa razy, mierząc w przestrzeń za latarką. Rozległ się jęk i mężczyzna - to był Callahan - coś powiedział, ale Pablo nie rozumiał, co. I wtedy Pablo odkrył, że jest ranny. Na udzie z tyłu namacał krwawą plamę. Pociągnął palcem po kości, nie była złamana. Kula mogła go przeszyć, nie uszkodzając kości, ale i tak bolało. Wszystko będzie dobrze - pomyślał. Ma dość sił, by ich wszystkich powystrzelać i przeżyć. Został jeszcze jeden. Z pokładu nad sobą usłyszał, jak Negus woła po imieniu Callahana. Zaczął wspinać się po drabinie, odwrócony do niej plecami, chwilę odpoczywając na każdym szczeblu. Głos Negusa dobiegał z oddali, niesiony przez wiatr. Wreszcie Pablo siadł na luku. Nigdzie nie było widać światła. Schował głowę i zerknął przez ramię. Zobaczył Negusa ze strzelbą, który przykucnął niespokojnie obok luku rufowego.

- Jack? - spytał Negus i sięgnął po latarkę, którą odstawił na pokrywę luku.

W tej samej chwili Pablo zrobił pełny obrót, strzelił i wyskoczył z luku. Potoczył się po śliskim pokładzie jak te stworzenia, które skubał wcześniej tego wieczoru. Wiedział, że spudłował. Noga go

bolała, kiedy czołgał się szukając schronienia w ciemnościach, opuściła go hardość zabójcy, gotowego mordować z zimną krwią. Negus go namierzał, ustawiał się za pokrywą luku, szykując się do strzału. Pablo, teraz wystraszony, schronił się za lukami odpływowymi i wystrzelił pięć kul z niewielkiego Nambu. Światło było słabe. I wtedy zobaczył, jak Negus cofa się, robi dwa chwiejne kroki i opada na pokrywą luku. Jego broń eksplodowała w niebo. Nie wierząc własnym oczom Pablo zdał sobie sprawę, że Negus osunął się na pokład. To był prawdziwy cud. Pablo zawahał się chwilę, zobaczył, jak Negus próbuje wymierzyć w niego i strzela. Wydawało mu się, że znowu spudłował. Negus upuścił strzelbę na pokład i patrzył na nią, klnąc pod nosem. Obrócił się do Pabla. - Skończ z tym, słyszałeś? Dość już!

W jego głosie słychać było ból. Cierpiał. Pablo opuścił broń. - Niech pan już na mnie nie krzyczy, panie Negus. Wracać z powrotem do relingu.

Kiedy Negus stanął, jak mu kazano, Pablo schylił się, oparty na zdrowej nodze i wziął strzelbę.

- Och, ty łajdaczyno. Ty mierna szujko. Cóż ty zrobił?

Wyglądał na wściekłego. Pablo poczuł się, jakby zrobił coś złego. - Są tam. - Pablo pokazał właz do swojej kajuty. - Zajrzyj do środka, to zobaczysz.

Sztywno stawiając nogi Negus podszedł do pokrywy luku, wziął latarkę i stanął na najwyższym szczeblu drabiny. Tabor zatrzymał się za nim, pilnując, żeby tamten nie zszedł niżej, i przyglądał się, jak Negus kieruje snop światła na ciche pomieszczenie. - Ty sukinyński draniu - powiedział Freddy Negus.

- Manipulowali mną - wyjaśnił Pablo. - Ty też.

- Cóż, już więcej nie będą, spryciarzu. Nie żyją, ty ich zabiłeś.

- Ich wina, manipulowali mną.

Pabla ogarnęło obrzydzenie zmieszane z wyrzutami sumienia.

Negus usiadł na luku, ściskając się za brzuch.

- Nie wiem, co mu wpadło do łba, żeby cię nająć. Od początku wiedziałem, że to błąd.

Ze sterówki dobiegał równy sygnał radionamiernika. Dźwięczał i dźwięczał w powietrzu, głos z pustej przestrzeni.

- Niech piekło pochłonie ludzkie słabostki i błędy - zaklął Negus. - Margines błędu zawsze jest taki mały, a tamta dwójka wiecznie prowokowała los. - Zakaszłał i splunął na pokład. - Myśleli sobie, że będą mieć z ciebie zabawkę, albo co. - Cóż, nie jestem niczyją zabawką - stwierdził Pablo. - Niektórzy pewnie mogą sobie pozwolić na to, żeby inni się nimi bawili, ale nie ja. Nieraz już ludzie próbowali mną manipulować i zawsze w końcu przekonywali się, że nie ma tak dobrze.

Negus wstał, chciał iść do przodu, zatrzymał się, znowu ruszył przed siebie, przytrzymując się relingu.

- Niezbyt mogę chodzić - powiedział do Pabla.

- Ja też. Ale ty jesteś ranny w brzuch.

Kiedy dotarli do sterówki, Pablo chciał wejść do środka; Negus powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie chcę tam krwi.

Pablo zrozumiał. Negus usiadł na szafce z narzędziami i za-patrzył się na morze. Tabor oparł się o reling. Nigdzie nie było widać świateł ani chmur, które przesłoniłyby gwiazdy. Nad statkiem Pablo widział dyszel Wielkiego Wozu i Gwiazdę Polarną. - Nie masz za grosz rozumu, synu - odezwał się Negus. - Po coś w ogóle się tu zaciągnął?

- Musiałem. Sądziłem, że mnie potrzebujecie.

Negus znowu splunął.

- A tymczasem nie potrzebowaliśmy, racja? Ani my ciebie, ani ty nas.

- Chyba nie - stwierdził Pablo. -Ale to się nazywa łut szczęścia. Zaczęła mu świtać nadzieja, że może

jednak uda mu się obrócić całą tę sytuację na swoją korzyść. A przede wszystkim chciał się

dowiedzieć, czy na statku znajdzie się trochę towaru dla niego. - No i cóż, dziecino, znaleźliśmy się w impasie. Rozumiesz, co mam na myśli.

- Nie - odparł Pablo.

Ale zaintrygowało go, zachęciło takie ustawienie sprawy. - Boli mnie. Dostałem kulkę w burzch.
Nie

wiem, ale to... - Nie dokończył. - Ale ciebie też boli, chłopcze. Nie wydostaniesz się z tego statku.

Przynajmniej na tym wybrzeżu. Przybijesz do brzegu i natychmiast dorwie cię Guardia albo piraci.

Krwawisz, chłopcze, przyciągasz rekiny, rozumiesz, co mam na myśli? Pablo w milczeniu

przysłuchiwał się głuchemu sygnałowi. Negus podniósł się i stanął oparty o reling kilka kroków od niego.

- Mogę zaprowadzić ten statek w każde miejsce. Mogę obu nas zawieźć dosłownie wszędzie.

- Jak? - spytał Pablo.

Negus coraz bardziej się zapalał.

- Och, na Chrystusa, gdziekolwiek. Do San Ignacio. Kolumbii.

Na jakąś wyspę niedaleko stąd. Wszędzie tam mam przyjaciół. Znajdę dla nas lekarza. Sprzedamy towar. Szmaragdy. Dostanie-my w zamian.

. W słabym

świecie padającym ze sterowni próbował zbadać wyraz twarzy Pabla. Uśmiechał się.

- A co byś im powiedział? Gdybyśmy dotarli do Kolumbii, czy do jednego z tych twoich miejsc?

- Tysiące rzeczy. Tysiące rzeczy... - Mówił coraz szybciej. Zaczął się śmiać. - Póki masz forszę albo jakiś towar, gównu ich obchodzi, co robicie i gdzie. Załatwilibyśmy to bez problemu. Pablo nadstawiał ucha na głos nadziei. To może być prawda.

Chwilami obaj w to wierzyli.

Negus z trudem wciągnął powietrze i kontynuował zachęcony. - Słuchaj, Pablo, tu zużywamy jakieś

dwadzieścia galonów na godzinę. Nawet więcej. Więcej. Będziesz pływał w kółko. Kiedy Pablo nie odpowiedział, jeszcze bardziej się zapalił-- Jak tu zostaniesz, chłopie, będziesz widział różności. Dzień i noc. Rzeczy, których nigdy nie doświadczył. Wiem, co mówię. A tu lepiej nie być samemu, bo to, co się tu widzi, czasem jest, a czasem tego nie ma. Czasem jest gorsze niż wszystko. Wiem. Ja jeden wiem. A jeśli ja nas stąd wyciągnę, będziemy obaj wolni. Bezpieczni. Wolni. Oni mnie znają. Nie są

drobiazgowi. Roześmiał się i zabrakło mu tchu. Wtedy Tabor zrozumiał, że tamten kłamie, gada do niego jak do dziecka, próbując kupić sobie życie. Manipuluje nim.

Wiele lat temu w pewnym miasteczku, które Pablo znalazł, w czasach prohibicji przemysłnicy w porze odpływu przykuli jakiegoś staruszka do boi kotwicznej i tak go zostawili, by zalał go przyptyw. Tak się złożyło, że przypałał się szczeniak, który wcale nie powinien chadzać w tamte strony, i mężczyzna błagał go, zaklinał na wszystko, żeby sprowadził pomoc. Ale dzieciak zapomniał albo rodzice poradzili mu, żeby lepiej dał spokój, i fala przyptywu zalała tamtego na metr, a może i więcej, a o dzieciaku dowiedziano się później.

Pablo patrzył na swojego osłabionego wroga i ogarnął go żal.

- No, dobra - zdecydował. - Zróbmy, jak mówisz.

Szczęście Negusa było tak wielkie, że, mimo żalu, który od-czuwał, Pablo nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Stary łamaga wrzeszczał z radości jak pijus, którym zresztą był, i nie przestawał wykrzykiwać o szmaragdach, kokainie i willach, które sobie zbudują. Twarz mu się śmiała jak dziecku w pierwszy dzień świąt, kiedy Pablo go zalał. Musiał oprzeć starego o reling, żeby nie stał się zawadą. Jednak kiedy go przytrzymał, noga bardziej bolała, więc obaj na chwilę oparli się o reling, jeden obok drugiego. Towarzysze podróży. Potem Tabor schylił się, złapał Negusa pod kolana i wyrzucił za burtę. Głuchy, jednostajny dźwięk nadal dobiegał ze sterówki.

Pablo stał dalej przy relingu, opierając się o niego łokciami i ze złączonymi dłońmi wpatrywał się w Wielką Niedźwiedzicę. Patrzył, jak wędruje wokół Gwiazdy Polarnej. Zrobiło mu się zimno. Może to z powodu rany. Teraz on i stworzenia w chłodni były jedynymi żywymi istotami na pokładzie.

Kiedy już Pablo dokonał swego dzieła, ogarnął go strach.

Doznał dziwnego uczucia, po chwili zrozumiał: to była samotność. Głęboka, niezmierna samotność, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył.

- Jezu, pomóż mi - powiedział na głos.

Brakowało mu ich, tak wyglądała prawda. Dziwaczne uczucie, bo przecież były z nich prawdziwe

szmaty, łajdactwo, które próbowało nim manipulować. Za Naftalim tęsknił inaczej. To go nie gnębiło. Ale ich śmierć, to że wszyscy nie żyją - to trudno było przyjąć. Nakładało na człowieka ciężar.

Cecil - pomyślał. - Ten czarny sukinsyn, od niego się to wszystko zaczęło.

Wtedy zaczął się zastanawiać, skąd by tu wziąć trochę prochów. W drodze do głównej kajuty przystanął w sterówce i spojrzał na sprzęt nawigacyjny. Kompas ustawiono na kurs zero-zero-zero i ciągle buczenie kazało się domyślać, że tak płynęli we właściwym kierunku. Obrócili się o sto osiemdziesiąt stopni od pierwotnego kursu i teraz wracali - żaden problem. Na mapie zobaczył naszkicowaną przez Callahana trasę. W rogu Callahan zanotował współrzędne z Loranu. Na razie wszystko jest w porządku, ale za jakiś czas, kiedy zbliży się do brzegu, będzie musiał przejąć ster, żeby w ciemnościach nie nadziać się na rafę. A na brzegu będą stali ludzie, ci żądni forsy, skrzekliwi faceci. Niewykluczone, że rodacy matki.

Pablo wziął latarkę i poszedł do łazienki z prysznicem. Pod niewielką umywalką znalazł małą szafkę. Otworzył ją. Z przodu stał zestaw pierwszej pomocy, mydło i cała kolekcja leków uspokajających, wszystkie przepisane dla Dolores Callahan. Pablo odepchnął je niecierpliwym gestem; znalazł aspirynę, puder aloesowy, żeńszeń, egzotyczne szampony. Dopiero kiedy już był na progu załamania, na najniższej półce pod syfonem znalazł niewielką buteleczkę z sześcioma pastylkami desoxy. Chwył butelkę i z wdzięczności uderzył głową w półkę. Od razu się uspokoił i uważniej przejrzał rozrzucone butelki, wśród nich znalazł słoiczek z tabletkami przeciwbólowymi. Rozpoznał szare, półokrągłe pigułki, ten sam środek brała Kathy na swoje miesięcz-kowe humory i w domu czasami się nimi ratował.

Pablo usiadł na desce klozetowej, połknął dwie desoxy i jeden środek przeciwbólowy, potem zabandażował sobie nogę. Nie znalazł dziury wlotowej ani wylotowej, tylko głębokie draśnięcie po zewnętrznej stronie. Nie wyglądało poważnie. Krwawienie prawie ustało. Poradzi sobie.

Postawił latarkę u stóp i usiadł na jednym z szezlongów, czekając, aż środki zaczną działać. Dziwaczne miejsce, ten salonik, z drewnem tekowym, bambusem i hiszpańskim stolikiem. Zorien-

tował się teraz, że pomieszczenie wygospodarowano kosztem trzeciej chłodni. Callahanowie zrobili z niego pływający salonik. I pasował do nich. Tak właśnie sobie wyobrażali zabawę i życie w luksusie. Drewniane żaluzje na poziomie pokładu chroniły go przed upałem, ale tak naprawdę była to nora z niezliczonymi wentylatorami, równie ciasna i zagrożona jak kajuta Pabla. Kiedy poczuł się lepiej, przeszedł do kajuty Deedee. Otworzył drzwi. Zobaczył przed sobą duże łóżko przymocowane do ściany i metalową biblioteczkę z mnóstwem przeróżnych książek. Na niej stało zdjęcie obojga Callahanów na jakimś trawniku, w tle widać było stoliki z parasolami słonecznymi. Callahan - młodszy i szczuplejszy - stał za ławką, na której siedziała jego żona - ona niewiele się zmieniła. Włosy miała ściągnięte w kok, uśmiech był samą słodyczą. Nogi w obcisłych bryczesach i butach do konnej jazdy skrzyżowała swobodnie, naturalnym gestem. Ubrana była w żakiet. Ręka Callahana spoczywała na jej ramieniu, przykryta jej dłonią obleczoną w rękawiczkę.

Pablo położył ramkę zdjęciem do półki. W pokoju pachniało szafranem.

Pora, by Callahanowie podzielili los Negusa.

Pablo pokuśtykał na pokład, biorąc ze sobą dwa dodatkowe reflektory. Rozejrzał się dokładnie, na horyzoncie nie było żadnych świateł. Żeby załatwić sprawę, będzie musiał zaryzykować korzystanie z własnego światła. Okazało się jednak, że samodzielne wyciągnięcie dwóch ciał z kajuty przerasta jego siły. Zapalił reflektory: jeden obok włazu, żeby oświetlał pomieszczenie, drugi obok luku rufowego, stanowiska pracy. Potem uruchomił silnik włoku i ustawił sieć na osi kadłuba. Łańcuch, skrzydła i szorstka sieć rozciągnęły się niczym zapadły namiot cyrkowy. Pablo znalazł koniec łańcucha i ściskając go pod pachą powoli, walcząc z bólem, zszedł na dół. Za nim ciągnął się splątany sznur.

Najpierw zajął się Callahanem, przeciągnął dwa łańcuchy pod barczystymi ramionami nieboszczyka. Kiedy uznał, że liny są wystarczająco mocno połączone, wyszedł na pokład i przestawił włok na nawijanie. Wlokąc swój ciężar, skrzydła i łańcuch grzechotały we włazie niczym fala odpływu. Pablo usiadł na krawędzi, żeby wyciągnąć ciało. Kiedy już Callahan dyndał nad pokładem, Pablo rozczepił łańcuch, ustawił włok za burtą i opuścił. Poszło łatwo. Pablo czekał z oszczepem, w razie gdyby

ciało lub sieć przecięły pracujące silniki. Ale łańcuch wrócił na miejsce, sieć rozłożyła się gładko i ciało pana Callahana zsunęło się prosto do oceanu i zniknęło.

Pablo odpoczął chwilę, masując obolałą nogę. Rozglądał się za światłami statków albo samolotów, patrzył na północ, czy z mroku nie wyrasta przed nim ściana gór. Kiedy już wydawało mu się, że nabrał dość sił, poszedł do sterówki sprawdzić prędkość, współrzędne i echosondę. Prędkość się nie zmieniła, echosonda wskazywała głębokość ponad osiem sążni bez tendencji do zmian, igła kompasu tkwiła nieruchomo na pozycji zero-zero-zero, buczenie zaś było równie stałe jak Gwiazda Polarna.

Na pokładzie znowu uruchomił silnik, żeby wciągnąć linę. Później po raz drugi Pablo zsunął się do lazaretu, wlokąc za sobą łańcuch. Bez trudu znalazł ciało kobiety, wcisnął je między skrzydła. Ciemności i ciało pachniały olejkiem do opalania. Pablo przytrzymał martwą Deedee holując ją do góry i przez właz. Kiedy opuścił bom włoku i sieć chciała ją wyrzucić do morza, nie popłynęła równie gładko jak mąż. Bezbarwne włosy, które w wodzie nabrały jasnej poświaty, zaplątały się w skrzydła, ubranie zahaczyło o szorstką sieć, nogi były zawinięte w łańcuchy. W końcu Pablo musiał postawić reflektor obok relingu i przeciąć sieć. Łańcuchy najpierw opadły, potem się naprężyły, włosy zaplątane w skrzydła osłaniały ją niczym woal. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w morze, jakby osiem sążni stanowiło nowe, interesujące odkrycie. Galeona, uosobienie bólu i przeznaczenia, poleciała stopami w dół, ku toniom.

Tak oto Pablo rozprawił się ze zmarłą i wyłączył światła. Słychać było tylko jednostajne buczenie i szmer silników. Wskaźniki pozostawały w nie zmienionej pozycji. Pablo wypalił papierosa, połknął kolejną tabletkę. Uznał, że jego niewidoczna obecność na oceanie musi tamtym wystarczyć za ceremonię pogrzebową. Odpowiedź - mówił ojciec Egan - moim zdaniem znaleźli w młynkach modlitewnych. Wiecie, co jest na nich napisane? Większość słuchaczy zasnęła. Egana słuchali tylko dziewczyna z zabandażowaną ręką, rozgorączkowana dziewczyna i jej chłopak, ciemnobrody młodzian i masywny blondyn. Reszta zebrała się wokół ognia i stóp zarośniętej piramidy, gdzie palili marihuanę i podawali sobie z rąk do rąk butelkę bezbarwnego rumu. Ich wybuchy śmiechu

przytłumionym echem odbijały się od starożytnych płyt.

- Napis na młynkach modlitewnych głosi: "Klejnot kryje się w lotosie". Obracają młynkami setki razy dziennie. Poruszają powietrze, tak że nawet wiatr głosi: Klejnot kryje się w lotosie. Chora dziewczyna jęknęła i poprawiła się w objęciu kochanka.

Egan umilkł, popatrzył na nią. Dziewczyna cierpiała na dengę. Sam wielokrotnie przechodził już gorączkę tropikalną. Będę musiał przynieść dla niej leki - pomyślał i na moment zapomniał, o czym ostatnio nauczał. Wreszcie sobie przypomniał. Dziewczyna - myślał dalej - jest niczym lotos, a ból w błyszczących od gorączki oczach to klejnot.

- Lotos - zwrócił się do niej - jest pełen słodczy, cudownego zapachu, pięknem życia. Ale jest też słaby, skazany na śmierć. Posiany na zatracenie. Klejnot zaś... - Poczuł, że ramię mu drętwieje, próbował je unieść, ale bezskutecznie. - Klejnot jest nieśmiertelny, istnieje poza czasem. Poza wszelkim wymiarem. Bo klejnot to sens.

Z głębi dżungli dobiegł przenikliwy krzyk, krzyk, który mógł wydać człowiek. Ktoś - albo coś - zaskoczony w mroku. - Wy jesteście lotosami. Wasze drogie ciała, do których jesteście tak przywiązani. Klejnot kryje się w was. - Egan roześmiał się i znowu przeciągnął rękawem po ustach. - Klejnot jest w was uwięziony. Cały zaś śmiertelny świat to lotos. A Żyjący to klejnot w nim ukryty. To ta jaśniejsza strona.

Rozejrzał się, wzrokiem szukając pijanego mężczyzny, który z nim polemizował, ale tamten już sobie poszedł.

- Jest posiany na zatracenie - wyrecytował Egan. - Rośnie na chwałę. Posiany w niełasce, wyrasta w chwale. Posiany w słabości, wyrasta w mocy. Po jaśniejszej stronie wszystko jest w porządku. Moglibyście pomyśleć, że ci, których miejsce jest po jaśniejszej stronie, nie mają tu nic do roboty. Tutaj jest wir. - Wyciągnął rękę i trzema palcami narysował spiralę. - Ten wir to król, samotny, ukryty w mroku, ale tam, na górze... Tam jest życie, tam jest miejsce, w którym przebywa Żyjący. Ale - oświadczył, stukając palcem w dłoń, jakby się powoływał na jakiegoś mądrego męża - klejnot kryje się

w lotosie. Dlaczego?

Powiódł wzrokiem po swoich słuchaczach.

- Dlaczego, dzieci?

Siedzieli nieruchomo, wpatrując się w niego.

- Dlatego - zadudnił Egan - że oni są tak samo samotni jak my! Żyjący jest także samotny. Albowiem częśćka jego tkwi w każdym z nas, klejnot w lotosie.

Przerwał, żeby wciągnąć powietrze.

- Czyż to nie jest cudowne, mimo wszystko? Jesteśmy jego kochankami, o których nikt nie wie. Bo dlaczegoż by inaczej Żyjący krył się w tym mięsie, w tych wszystkich lękach, obawach, on, Święty wśród umarłych? Dlaczegoż by miał się kryć w Wirze i nadawać sens stercie ciał? Dlaczego camposino nie jest po prostu zwierzęciem? Dlaczego nie? Dlaczego to zbiorowisko umarłych ma jakiś sens? Tak samo jak zaginione dziecko. Chora dziewczynka, utopione...

Przeszył go dreszcz. Znowu umilkł.

- Bowiem klejnot skrył się w lotosie z poczucia samotności i potajemnej miłości. On nie ma wyboru.

Wyczerpany oparł się o kamienną płytę. Potem przypomniało mu się przeczytane kiedyś zdanie. A może sam je napisał. - Trudno widzieć - zwrócił się do młodych słuchaczy. - Nigdy się nie wie, kiedy się ogląda Żyjącego. Oko, którym patrzysz, jest tym samym, którym On ogląda ciebie.

Dziewczyna z gorączką oparła ręce na ramionach chłopaka i stanęła prosto.

- Obręcz pęktła - powiedziała śpiewnie. - Obręcz pęktła wokół serca wiernego Jana.

Chłopak próbował ją uciszyć, posadzić, ale wyszarpnęła mu się.

- Obręcz pęktła wokół serca wiernego Jana! - wrzeszczała. Egan osunął się na ziemię i leżał oparty o

stelę. Sądził, że udało mu się przekazać to, co chciał. Dłoń trzymał na torebce, na wypukłości butelki Flor de Cana.

- Nie, nie - zwrócił się do dziewczyny łagodnie. - To coś zupełnie innego. Tamto to tylko baśń.

Rozdział dwudziesty ósmy

Oustin spędziła rano na sporządzaniu inwentarza i rozmowie z urzędnikiem biura spedycyjnego w Puerto Alvarado. Poradzono jej, że łatwiej i oszczędniej będzie załadować dobytek misji na statek w Puerto Alvarado niż transportować go do stolicy. Urzędnik zapewnił, że lada dzień będzie dysponował statkiem, który pomieści cały sprzęt.

Właśnie minęło południe i Justin pracowała w kuchni, kiedy, obejrzawszy się, zobaczyła młodą Tecankę, z którą rozmawiała na plaży tydzień temu. Dziewczyna weszła po schodach bezszelestnie. Justin nie znała jej imienia.

- Nie będę mogła więcej tu przychodzić - oświadczyła wysłan-niczka. - Chyba że w wyjątkowych sytuacjach.

Justin wprowadziła ją do kuchni.

- Masz rację. Nie powinnaś ryzykować i tu przychodzić. Wy-słałam ci wiadomość przez kościelnego.

- Mam dla siostry odpowiedź od dowództwa - powiedziała dziewczyna. - Zgadzą się, że nie należy siostry dalej w sprawę angażować. Proszą tylko, by nadal siostra zostawiała zapalone światła. Tylko o to.

- To niewiele.

- Mówią, że to dobrze, że szykuje się siostra do wyjazdu. Wszystkim nam grozi ogromne niebezpieczeństwo. Jeśli nic się nie ruszy, wkrótce będziemy musieli schronić się w górach. - Kiedy to nastąpi? Już niedługo?

- Chyba tak, ale nie wiem wiele. Tylko dowództwo wie.

- Cóż, zdaje się, że mnie już to nie dotyczy.

- Nie dotyczy. Ale niech siostra posłucha: kiedy się zacznie, nikt nie będzie bezpieczny. Tutaj są lekarstwa, opatrunki, a to zawsze się przyda.

- Wyjeżdżając, zostawię, ile się da, w budynku. Możecie z nich korzystać.

- Gdyby się okazało, że nie zdąży siostra wyjechać przed wszystkim, może być siostra bezpieczniejsza

z nami. Decyzja należy do siostry. Postaram się ostrzec siostrę, ale może nie być na to czasu.

- Dziękuję - odparła Justin. - Poradzę sobie.

- Oni także dziękują. Dowództwo.

Dziewczyna już wychodziła, kiedy Justin zapytała:

- A co słyhać u księdza Godoya?

- Wyjechał. Wyjechał w góry.

Kiedy wysłanniczka zniknęła, Justin ogarnęła rozpacz. Rozpaczliwie chciała wyjechać, rozpacziwie chciała znaleźć się już gdzie indziej - bowiem teraz, kiedy już nie mogli aktywnie wesprzeć powstańców, ich bezczynność i beżużyteczność wy-dawała się jeszcze gorsza. Jej zadanie będzie teraz polegało na namówieniu Charliego Egana, żeby wyjechał razem z nią. Na myśl o Eganie przypomniała sobie tego mężczyznę, którego widziała w Playa Tatę. Tego, co to miał ponoć zabrać Egana na kolację. To był bardzo pewny siebie mężczyzna, dumny, wręcz arogancki. Wydawało jej się, że może go znieubić. Ale, sama nie wiedziała czemu, nie mogła. Albo przypomina mi kogoś - pomyślała.

I nagle przygniótł ją ciężar tego wszystkiego. Sześć lat, wszystko, co się wydarzyło od dnia procesji, Godoy, zabójstwa dzieci. Rozpętała się w niej burza, wreszcie ogarnęło ją przemożne współczucie wobec świata, co czasem zdarzało jej się w dzieciń-stwie. Wstydziała się swej przyziemności, nieważności, a przede wszystkim swego ciała, jego prymitywnych potrzeb, jego chamskiej zwyczajności, grzeszności, śmiertelności. Zwykle wtedy przesta-wała jeść, mając nadzieję, że umrze. Teraz czuła, że nie może stać bez ruchu, nie może kierować swoimi myślami, nie może płakać. Stała na środku kuchni, niewidzącym wzrokiem patrząc przez otwarte drzwi na prostokąt jasnego, nieczułego nieba, czekając; nigdy jeszcze nie czuła się tak osamotniona i porzucona. Holliwell miał za sobą ciężki dzień spędzony głównie na próbach nie upicia się. Bez końca krążył między plażą

hotelową a swoim domkiem. W hotelu nagle zaczęło się roić od ludzi, którzy przedstawiali się jako dostawcy, i choć nieco przypominali mu dostawców zapamiętanych z Wietnamu, wydawali mu się równocześnie bardziej groźni i mniej barwni. Błdzi, o wydatnych wargach byli wszędzie: sączyli piwo na plaży, tłoczyli się przy barku. Rozprawiali o Bogocie, Namaguie, Zihuatanejo i czymś, co nazywali miastem Cancun. Wielu z nich wyglądało na starych znajomych Heatha i sertoSoyera, kubańskiego przedsiębiorcy. Pozostali byli przyjaciółmi Olgi i Buddy'ego. Kiedy popadali w milczenie, oznaczało to, że handlują koką albo szmaragdami. Odnosiło się wrażenie, jakby uczestniczyło się w zgromadzeniu przedstawicieli zła, które powoli, z sykiem wydostawało się z butelki, obnażając swoją naturę. Holliwell zaparkował wynajętego jeepa przy drodze, wspiął się po schodach do budynku misji i ruszył prosto do kuchni. Zakonnica wyglądała ogromnie poważnie.

- Wie siostra, że nawet nie znam jej imienia? - odezwał się Holliwell.

- Justin Feeney - odparła.

Jest czymś zaniepokojona. I zmęczona - pomyślał.

- Czy jest ojciec Egan?

Potrząsnęła głową.

- Poszedł do ruin. Na pewno zapomniał o kolacji z panem.

Powinna była pana ostrzec, że to tak się skończy.

- Może bym poszedł i z nim porozmawiał?

- Za daleko. Ściemniłoby się i zabłądziłby pan. Zresztą nie pójdzie z panem. Wypadł z gry.

Holliwell popatrzył na niebo.

- Coraz z nim gorzej - dodała Justin Feeney.

- Cóż, trudno - poddał się Holliwell. - Chętnie obejrzę je przy innej okazji.

- Jak pańska noga?

- Dobrze.

Spojrzał na nią. Od jego przyjscia nawet nie drgnęła.

- Pewnie pan wypożyczył jeepa i tak dalej - powiedziała.

- Naprawdę mi przykro.

- Nic się na to nie poradzi.

- Pija pan brandy? - zapytała.

- Jasne.

Przeszła do skrzydła, w którym mieścił się punkt opatrunkowy, po chwili wróciła z małą butelką brandy do celów leczniczych i butelką agua minerał.

- Niech się siostra napije - zaproponował, kiedy otworzyła obie butelki. Zachowywała się, jakby nie

usłyszała.

- Gdyby było można, sama bym tam pana zaprowadziła - usprawiedliwiła się - ale już za późno.

Będzie za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć.

- Innym razem.

Czuł na sobie jej spojrzenie, kiedy pił.

- A co by siostra powiedziała - spytał, wychyliwszy swoją porcję - na to, żebym to ją zaprosił na kolację do miasta? Po prostu nie mam ochoty wracać do Raju.

- Nie - odparła i zaśmiała się nerwowo. - Nie, to niemożliwe.

- Na pewno?

- Nie - powtórzyła uparcie. - Niemożliwe.

- Zgoda. - Holliwellowi nie chciało się stamtąd odchodzić.

- Czy mógłbym wypić jeszcze jedną brandy?

- Nie powinien pan - oznajmiła. - Pański organizm jest zatruty. - Noga mnie nie boli. A reszcie przydałoby się trochę po-krzepienia.

- Nie powinien pan.

- Niech to diabli. Czepiają się i czepiają.

- No, dobrze - ustąpiła Justin.

Znowu poszła do ambulatorium, a gdy wróciła, w ręku miała oprócz wody mineralnej dwie buteleczki brandy. Jedną wlała Holliwellowi, drugą sobie.

- Czy coś nie w porządku? - spytał Holliwell, uważnie przyglądając się zakonnicy.
- Chętnie wybrałabym się do miasta na kolację - oświadczyła.
- Pojadę z panem.
- Naprawdę?
- Tak. Tak, chętnie.

Holliwell uśmiechał się niepewnie.

- Świetnie - powiedział po chwili.
- Możemy pójść do chińskiej restauracji. Nie jest zła - podsunęła zakonnica.
 - Doskonale - zgodził się.

Coś tu nie gra - pomyślał. To nie kwestia złej atmosfery, którą przywłókł z hotelu, ani jego zagubienia,

ani bólu w kolanie, które teraz piekło od alkoholu. Ta kobieta jest na wykończeniu. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się w niego nie widzącym wzrokiem, usta miała lekko rozchylone, jakby właśnie dostała cios. Cóż za piękne oczy - pomyślał.

- Może ja bym poprowadziła? - zaproponowała. - Może pan zostawić swojego jeepa tutaj, jeśli pan chce.

- Boi się siostra, że zemdleję za kierownicą?
- Całkiem niewykluczone. Ale pomyślałam sobie, że może będzie panu zręczniejsze.
- Bardzo siostrze dziękuję. Rzeczywiście, byłoby to dla mnie wygodniejsze.

Za wszelką cenę próbuje udawać niezależną - pomyślał - bawiąc się przy tym odrobinę.

Wyglądało na to, że rzeczywiście miała ochotę się z nim wybrać. Ale coś się nie kleiło. Coś knuła.

Przyglądając jej się znad szklanki, odczuł lekki żal, że tu w ogóle przyszedł. Pomyślał, że szykują się jakieś kłopoty, ona o nich wiedziała i bała się. I choć Holliwell nie był ani szpiegiem, ani

informatorem, choć jego wizyta była całkowicie niewinna - nie stanowił dla Justin najlepszego towarzystwa.

Jechali w milczeniu. Zapadł zmrok, bardzo szybko po nim nadeszła noc. Po prawej stronie połyskiwało morze, po lewej wznosił się ciemny masyw gór. Jazda przypominała balansowanie na krawędzi, między ledwo widocznymi i niewidocznymi rzeczami. Holliwell czuł się wyjątkowo niezręcznie, napięcie z minuty na minutę coraz bardziej narastało. Widział płomienie ognia błyskające zza uchylonych drzwi chat i ogniska na plantacjach trzcinowych. Obok niego siedziała obca kobieta o lodowatej twarzy, z której emanowała nieugięta siła. Holliwell czuł się, jakby go poddawano ocenie. Ale poza tym było pięknie; wiatr był taki, jaki być powinien, jakim go stworzył Bóg: ożywczy, znad oceanu, nie skażony przez czas. Od właściwego wiatru morskiego odrywały się delikatne powiewy niosące ze sobą zapach jodu, zapach drzew jacaranda, kwiatów skądś znajomych, których melodyjne nazwy niosły się przez świat: meiang, ving, ba- zapach miast w Ban Me Thuot, gotowanego oleju, ekskrementów, kadzi-dła, śmierci. Zapach nadchodzących zmian. Wojny. Nie powinien tu być. Wybrał życie w świecie, który zmieniał się owinięty w kołdrę złudzeń pokoju, gdzie zapachy dziwiły, dusza spała, a sny były tylko snami. Ta pełna woni przeznaczenia noc pobudziła Holliwella do czujności, napiął się, za światłami samo-chodu wypatrywał szybkiego mignięcia koszmaru. Tu toczy się wojna. Końcówki nerwów drżały niczym młode koralowce na rafie w rytm wystrzałów, które prawie słyszał.

- Pięknie tu - zwrócił się do swej towarzyszki, kiedy skręcili w stronę miasta i jeep wspinał się na niskie skały nad deltą. - Chyba tak - odparła tajemnicza młoda kobieta. Zakonnica. Nad słabym światłem reflektorów i luną nagich lamp Morazon Holliwell dostrzegł daleko, na środku morza maleńką latarnię morską. To zapewne Camarillo, najbliższa z wysp Corazon. Cudowne miejsce. Miał tam kiedyś przyjaciół. Wiedział, że tym razem jej nie odwiedzi.

Kiedy zjeżdżali ulicami, zmierzając do centrum miasta, od czasu do czasu przyglądał się zakonnicy, starając się, żeby go na tym nie przytapała. Pozornie mogło się wydawać, że każdy gram energii

Idaho.

Los Angeles mi się nie podobało. Pragnęłam Boga, no i w ogóle. A oni mnie potrzebowali. Bóg. No i w ogóle. Pełniejsze życie. Bogatsze.

- Zawsze wydawało mi się, że są nie z tego stulecia. To znaczy, jeszcze bardziej niż pozostali.
- Nie - zaprzeczyła - nie bardziej. Mają mnóstwo świetnych lekarek.

Kiwał głową, entuzjastycznie się z nią zgadzając.

- Często duchowieństwo traktowało ich jak prymitywnych Irlandczyków. I przypuszczam, że nadal tak uważają. - Wiem, że tak bywa - powiedział Holliwell. - Mówię to jako wychowanek jezuitów. I chyba jest w tym ziarno prawdy? - Ja jestem tym ziarnem prawdy.

Jej głos przywodził mu na myśl czystą wodę płynącą po gładkich kamieniach. Lśniące złociście otoczaki w południowej części pasma Salmon. Złoto głupców i prawdziwy kruszec. - Dlaczego została siostra pielęgniarką, a nie lekarką? Chciałem... Oczywiście, nie ma nic złego w byciu pielęgniarką. - Nie muszę być lekarką dla satysfakcji zajmowania wyższej pozycji. Chyba w ogóle mi to nie przyszło na myśl. W końcu byłam dziewczyną, prawda? Sądzi pan, że na Synaju mieli lekarki? - W czasach mojej młodości chyba nie - przyznał Holliwell.

Któreś z nas musi się uspokoić - pomyślał.

- Ale sądziłem, że za siostry czasów to już się zmieniło - dodał. - Nie. - Dokończyła piwo i osuszyła wargi papierową serwetką, cały czas bacznie przyglądając się Holliwellowi. - Wygląda pan na ledwo przytomnego. Dobrze się pan czuje?

- Czuję się doskonale - powiedział bardzo wolno. - Jeśli się siostra nie pogniewa, to i siostra wygląda na ledwo przytomną. - Och, naprawdę? - Usiłowała się roześmiać. - No, cóż, to prawda. - Znowu spróbowała. - Przecież się wyprowadzamy. I mamy tyle rzeczy do zrobienia.

- Ale powinniśmy się rozluźnić. Przecież w tym momencie nie pracujemy.

Holliwell przywołał dziewczynkę i zamówił kolejne piwa.

- To piwo jest okropne - stwierdziła Justin.

- O tak, bez wątpienia.

Zdał sobie sprawę, że choć nie wie dlaczego, będzie musiał jej wszystko opowiedzieć: o Martym Nolanie, Ocampo, o wszystkim. Będzie musiał się wytłumaczyć i to przyjdzie mu z największym trudem. Właściwie ciężko było wyjaśnić swoją tutaj obecność. Tak bardzo dał się ponieść różnym, nie powiązanim ze sobą sytuacjom, zbiegom okoliczności, impulsom i potrzebom, że nie sposób się było doszukać jakiejś logiki w jego ruchach. Nic w jego działaniu nie trzymało się kupy. Chyba że jako agenta Nolana.

Jeśli jej nie powie, może się to okazać dla niej jeszcze bardziej niebezpieczne. I tak już grozi jej niebezpieczeństwo. A jeśli jej powie, zapewno okaże się to niebezpieczne dla niego. - Słyszałem dużo o siostrze - podjął. - Najwyraźniej zrobiła siostra ogromne wrażenie na tutejszych mieszkańcach. - A co pan słyszał?

- Niektórzy uważają siostrę za swego rodzaju radykała.

- Kto?

- Tubylcy. Dzień po naszej rozmowie spotkałem w Playa Tatę pewnego mężczyznę. Chyba za siostrą nie przepadał. Nie wyglądała ani na zaskoczoną, ani na zaniepokojoną.

- Są ludzie, którzy nienawidzą mnie, bo mam własne zdanie.

Na przykład tutejsi przedstawiciele Guardii.

- Interesujące. A jak to się stało?

- Och, kiedy misja jeszcze funkcjonowała, robiłam pewne rzeczy, które nie przypadły im do gustu.

Uczyłam kobiety podstaw pielęgniarstwa i to nabrało nieco politycznego charakteru. Doszły inne sprawy. Każda tego rodzaju rzecz stawia ich na baczność. No i przyjaźniłam się z kilkoma duchownymi, których podejrzewano o działalność antyrządową. Nadal się z nimi przyjaźnię.

- To nie brzmi wcale tak groźnie.

- Może dla pana. Ale Guardii to wystarcza.

- Sądziłem, że niebezpiecznie jest wdawać się w nieporozumienia z Guardia.
 - Widzi pan, ja wyjeżdżam, moja wojna się skończyła. Oni wygrali. Ja odchodzę.

- Ten mężczyzna w Playa Tatę był dość nieprzyjemny.

- Wie pan, jak się nazywał?

Holliwell chwilę się zastanawiał nad odpowiedzią i uznał, że lepiej zrobić unik. Sprawa mocno śmierdziała.

- Nie zapamiętałem.

- Kubańczyk?

- Chyba tak.

- Wiem, kto to. To wielki biznesmen, hurtownik. Kiedy się spotykamy, zachowuje się całkiem mile, ale moim zdaniem ma Fidela w głowie.

- To wszystko wydaje mi się odrobinę przerażające. - Szpiegują mnie. Guardia. Dużo więcej chyba

nie mogą mi zrobić.

I nagle Holliwell zdał sobie sprawę, że ona się boi. Strach był jednym z czynników składających się na

jej dzisiejszy nastrój. Potrzebowała przyjaciela. A dostała mnie - pomyślał.

- Mam nadzieję, że siostra uważa.
- Pan lepiej niech też uważa. - Rozejrzała się szybko po sali.
- Chyba nie chciałby pan tu być, kiedy wszystko się zacznie.
- Lada chwila?
- Wiem tyle, co usłyszałam. A słyszę... wiele.

Pojawiła się Chinka z piwem i Justin szybko zmieniła temat.

Była niespokojna, roztrzęsiona.

- Nie wolno panu wypić obu tych piw - ostrzegła. - Zaskodzą panu. Będę musiała jedno wypić.
 - Przepraszam. To szlachetnie z siostry strony.

- Ma pan diabelną rację, że szlachetnie. To świństwo przypomina końskie siki.
- Jedno można powiedzieć na pewno: nie zachowuje się siostra jak typowa zakonnica.
- Końskie siki to cytata z Szekspira. Z Burzy.

I nagle posmutniała.

Holliwell pomyślał, że łatwiej będzie z nią sobie poradzić, podchodząc od tej strony, ale złamała mu serce tymi końskimi sikami z Burzy. Nigdy jeszcze nie był aż tak zakochany. A piwo rzeczywiście nie nadawało się do picia.

- Czy jest siostra zadowolona z tych sześciu lat spędzonych tutaj? Czy osiągnęła siostra...
- Chce pan wiedzieć, czy zapewniłam tutaj owieczkom światłość duszy i chwilową poprawę stanu ich ciał? Zapanował nad pierwszym odruchem, w którym chciał ja przeprosić za sprowokowanie do ataku.

- No właśnie.
- Myślę, że przede wszystkim my na tym pobycie skorzystaliśmy. I wszystko co robiliśmy, robiliśmy dla siebie.

- W ostatecznym rozrachunku, wszystko co człowiek robi, robi dla siebie.
- Prosta odpowiedź.
- Spodziewała się siostra, że osiągnie coś więcej?
- Nie wiem, czego się spodziewałam.

Ja wiem - pomyślał Holliwell. Ale od razu zdał sobie sprawę, że poznał tylko część prawdy. Unikał patrzenia jej w oczy. Z trudem mu to przychodziło, bo nie potrafiły niczego ukryć. Oprócz strachu lśniła w nich duma, która nad nim panowała. Pragnienie czegoś więcej, oto, co kierowało tą zakonnice. Czegokolwiek by świat nie ofiarowywał w imię cnoty, poświęcenia, dobrych uczynków - ona chciała więcej, chciała wszystkiego, tak jakby jej się to należało. Może i jest sprytna, może i nauczyła się odgrywać maluczką, ale nie nauczyła się, jak zgasić w oczach ten blask dumy. - Co siostra zrobi po powrocie do Stanów? - spytał. - Po pierwsze wystąpię z zakonu. Nie jestem

członkiem Kościoła. Nie wierzę w niego. Jestem oszukaną zakonnica. - Bynajmniej nie jest siostra oszukaną zakonnica, nawet jeśli siostra tak uważa.

- Spartoliliśmy sprawę tutaj - powiedziała. - Nie uwierzyłby pan, jakiego bałaganu tu narobiliśmy.

Pragnienie absolutu błyszczące w jej oczach. Kobieta niezdolna do kompromisu, która przywdziała go

niczym włosiennicę i nigdy nie wybaczyła sobie ani innym, wreszcie się zbuntowała. Zapewne nie zdawała sobie sprawy, co ten widok mógł wywoływać w sercach mniejszych, słabszych ludzi, trzymających się kurczowo ośrodków władzy. Uznali ją za wroga, Nemezisa, Kasandrę. Groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo.

Kiedy wyrzął przez okno i zobaczył łódź rybacką, która buchając parą wyruszała na połów, dwa pokłady z kołyszającymi się czerwonymi i zielonymi światłami, wrócił do rzek swej przeszłości. W jednej chwili woda zmieniła się w Dalat, Pachnącą Rzekę, której wody wyrzuciły Marty'ego Nolana do drugiego, mniej godnego życia. Holliwellowi przyszło do głowy, że Nolan znalazł tę kobietę dzięki tajemnej mocy wskrzeszonego Łazarza, znalazł sobie nową wojnę i wroga. I w tej samej chwili, kiedy popatrzył na Justin, która z apetytem ale na pewno nie łapczywie jadła swój stek, zaczął się zastanawiać, czy to samo nie dotyczy i jego, czy nie szukał nowej wojny i Nemezisa. Ale zakochał się i nie czuł żalu. Zniknął. Żal, jego drugie ja, ciało jego ciała. Zniknął. - Zapewne zbyt wiele siostra od siebie wymagała. Myślę, że trudno tu zrobić jakiś wyłom.

- Próbowaliśmy. Ale wybraliśmy niewłaściwy sposób. - Ciekawe, czy istnieje właściwy - zastanawiał

się głośno Holliwell.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Musi - powiedziała. I dodała - Cieszę się, że przestał pan mnie wypytywać. Czuję się jak na cenzurowanym. - Przepraszam. A jak siostra sądzi, dlaczego pytałem?

Posłała mu słaby, nerwowy uśmiech.

- Zwiedza pan obce strony, prawda? Jest pan inteligentnym turystą i chce jak najwięcej wynieść z tej

podróży. Stanowimy element tutejszego folkloru.

- Bardzo chłodno siostra ocenia me dobre intencje.
- Dobre intencje są tu bardzo popularne. Zgadłam czy nie?
- Nie, nie zgadła siostra. Zadaję pytania, bo siostrę polubiłem.

I jestem antropologiem. W ten sposób komunikuję się ze światem.

Tylko to potrafię.

- Najpierw powinien pan zdobyć zaufanie tubylca. Byle głupi misjonarzyna to wie.
 - Bardzo pragnąłbym zdobyć siostry zaufanie.
 - Ale dlaczego? Przecież jest pan tylko przechodniem. Cóż warte moje zaufanie? Przepraszam.

Trudno

ze mną rozmawiać. Niezbyt ze mnie interesujące towarzystwo.

- Niech mi siostra wierzy, nie pragnę innego towarzystwa.
- Tylko mojego? - Wyglądała na szczerze zaskoczoną. - Lubię siostrę, już to siostrze mówiłem.

Nie

powiedziałbym tego, gdyby to nie była prawda.

- Jest pan samotny? - spytała. Dziwne pytanie.

Uśmiechnął się.

- Zawsze. Tak więc jestem godnym obiektem siostry zainteresowania.

Znowu się w niego wpatrywała, ale teraz jej wzrok był spokojniejszy.

- Nie przyszło mi na myśl, że ktoś taki jak pan może być samotny. Wydawało mi się, że wiedzie pan

interesujące, pełne życie.

- Kpi sobie siostra ze mnie.

Właściwie był przekonany, że nie, ale musiał się upewnić.

Tylko ona potrafiła wypowiedzieć to zdanie bez cienia ironii. - Ależ skąd - zaprzeczyła. - Nie kpię.

Wie pan, jaka to by była dla mnie przyjemność, gdyby nie... reszta?

- Może... - Szukał słów, odpowiednich słów, tak strasznie się bał, by jej nie utracić. - Może

zapomniemy na chwilę o... reszcie? W jej oczach pojawił się taki żal, tak bardzo wyraźny, że nie potrafił stawić mu czoła. Kręciła głową.

- Trudno o niej zapomnieć.

- Wyjdźmy na dwór - powiedział - albo zmuszę siostrę do wypicia kolejnego piwa. Czy brzeg rzeki to odpowiednie miejsce? W jej oczach błysnął uśmiech, który go oślepił. Małeńki, psotny uśmieszek, któremu pozwoliła wydostać się na powierzchnię. Holliwell wstrzymał dech w piersiach.

- Chodzi panu o to, czy jest bezpieczne dla turystów? Tak, jest bezpieczne.

Kiedy zeszli na dół i Holliwell wyjmował z portfela pobrudzone, tłuste banknoty, żeby zapłacić za kolację, wydało mu się, że zauważył, jak Justin kładzie swoją starannie złożoną serwetkę na ladzie. Był jednak tak oszołomiony, że nie zwrócił wtedy na to uwagi, ale gest utkwiał w pamięci i przypomniał mu się po jakimś czasie.

Za Gran Mura de China rozciągała się żałosna imitacja parku, z rozwalającym się murkiem oddzielającym nie koszony trawnik od rzeki. Obok niego stała budka z lodami. W pobliżu, na zapuszczonym trawniku grały dzieci, lawirując między trzema nieprzytomnymi ofiarami namiętności do bimbrowa. Jedyną ławkę zajął stary Murzyn w panamie, który wyglądał, jakby tu spędzał cały dzień.

Holliwell i Justin przeszli małym paseo wzdłuż muru. - Jedyne niebezpieczeństwo stanowią tu orzechy kokosowe - zwróciła się do Holliwella Justin. - Nikt ich nie zrywa. - Zaskarżymy ich.

- Dużo szczęścia życzy kominiarz - stwierdziła Justin. Przed sobą mieli ginące w mroku rozlewisko

rzeki, która dalej łączyła się z morzem. Światła kołysały się nieustannie poruszane wolnym biegiem rzeki albo silniejszą falą przyptywu. - Kuleje pan. Szkoda, że tak paskudnie skaleczył pan sobie tę nogę.

- To był spisek - przyznał się Holliwell. - Żeby ściągnąć siostrę na plażę.

- Nie wiedział pan, że tam byłam.

-Nie.

- Jestem prostą kobietą. I tak mną manipulują.

Potem roześmiała się lekko i Holliwel się ucieszył, bo czuł się, jakby ją okłamał, i to bolało.

Oczywiście, że nie skłamał. Przecież nie wiedział.

- To by przypominało odstrzelenie sobie palca, byle zwrócić na siebie uwagę.

Wiedział, że będzie musiał jej powiedzieć. Ale jeszcze nie teraz, kiedy trochę się odprężyła i próbowała mile spędzić czas. Wojenna miłość, nic w tym stylu.

- Jak siostra sądzi, kiedy wrócicie do Stanów?

- Trudno powiedzieć. Kiedy tylko uda nam się to załatwić. - A kiedy siostra wystąpi z zakonu, co siostra wtedy będzie robić?

- Pewnie poszukam jakieś pracy. Mam dyplom pielęgniarki. Może rzeczywiście wybiorę się na studia

medycznie, jeśli uda mi się pożyczyć pieniądze. - Popatrzyła na niego z lekkim wyrzutem. - Znowu pan wypytuje.

- Muszę - odparł - skoro siostra mnie o nic nie pyta. Jak inaczej dowiemy się czegoś o sobie?

- Nigdy się nie dowiemy.

Doszli do końca drogi. Za nią rozciągało się tylko bagno, pnie drzew i ciemność.

- Strasznie mi się nie chce - odezwała się Justin - ale muszę wracać. Możemy? Dobry Boże, nie pamiętam nawet pańskiego imienia.

- Frank. Tak, oczywiście. Wracamy.

Znowu była tylko noc i droga. Siedzieli, każde nękane przez swoje osobiste furie. Jeep mknął, rozchlapując wodę. Justin - podobnie jak w drodze do miasta - wyprostowana, chłodna, całą uwagę skupiła na prowadzeniu wozu, Holliwel zaś myślami wracał do innej drogi, ogarnęło go podobne uczucie jak w Wietnamie, kiedy noc zastała człowieka na nieznannej drodze w buszu, gdzie w każdej chwili należało się spodziewać miny albo ataku i szło się skulonym, rozglądając za jakimś rowem.

Samochód zatrzymał się przed budynkiem misji. Oboje siedzieli nieruchomo, wsłuchując się w odgłosy nocy. Z pewnej odległości dobiegał jakiś niecierpliwy głos, wykrzykujący coś po angielsku. Żadne nie zwróciło nań uwagi.

- Boże - odezwała się Justin - jak ja nienawidzę tego miejsca i wszystkiego, co ono oznacza.

HoUiwell wysiadł z jeepa. Justin została na miejscu. - Niech siostra przestanie się tym gnębić. To będzie tylko przeszłość i czegoś się siostra z tego nauczy. Właściwie nic innego nie mogła siostra robić.

- Sześć cholernych lat. - Wyjęła kluczyk ze stacyjki, wyskoczyła z samochodu i obeszła go dokoła. - Mogliśmy byli zrobić wszystko zupełnie inaczej. Mogliśmy pomóc tym ludziom bronić się przed amerykańskimi wtykami i sługusami, którzy rządzą tym krajem. Zamiast raczyć ich aspiryną i wodą święconą. Teraz już za późno.

HoUiwell podszedł do niej.

- Przepraszam, gadam od rzeczy.

Kiedy podniosła na niego wzrok, zobaczył, że dziewczyna jest skrajnie wyczerpana. Twarz jej się zapadła. Była na krawędzi załamania nerwowego.

- Dla ciebie nie jest jeszcze za późno na nic, Justin. Jesteś młoda.

Przygryzła wargę i popatrzyła na ziemię. W jej oczach znowu czaiło się szaleństwo, wyglądała jak zwierzę, które próbuje się wyrwać, uciec. Jego ramię samo się ku niej wyciągnęło, nie potrafił zapanować nad tym gestem i ujął ją za rękę. Drżała, ale była - sucha, drobna, schludna dłoń w jego dużej, spoconej łapie. - Nazywam się May - powiedziała nagle. - Urodziłam się w maju.

- May, muszę cię chwilę przytrzymać. Drżysz.

Podniosła wzrok i popatrzyła - przez niego, za niego. - Nie. Nie wolno ci tego tutaj robić. Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co ze mną robisz. Nie zdajesz sobie sprawy. - Masz kłopoty - przekonywał. - Wydaje mi się, że masz kłopoty. Wrócę jutro.

- Nie wolno ci tego robić...

- Wrócę jutro. I jeśli będziesz uważała, że musisz - wygonisz mnie.

W odpowiedzi tylko potrząsnęła głową.

Zmusił się, żeby się od niej oderwać, podszedł do wynajętego jeepa i uruchomił silnik.

Kiedy odjeżdżał, stała obok schodów wiodących do misji. Mógł tylko na chwilę oderwać wzrok od drogi i zaledwie przez moment na nią popatrzeć; próbował się uśmiechnąć.

- Uważaj - usłyszał jej wołanie. May.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Kiedy nad horyzontem zamajaczyły góry i radiolatarnia lotniskowa, Pablo ograniczył prędkość do dziewięciu węzłów i patrzył, jak współrzędne Loranu zdążają ku temu, co, jak ufał, było punktami zaznaczonymi przez Callahana na mapie z obserwacji. Dawało się już dostrzec światła przystani: jedno pod latarnią, drugie na prawo od niej. Od czasu do czasu Pablo zerkał na echosondę. Dno nadal wyglądało na równe.

Daleko na południe od niego błysnęły światła dwóch tutejszych krewetkowców. "Chmura" zaś jako taka pozostawała nie oświetlona. Światło radiolatarni na wzgórzu stawało się coraz wyraźniejsze, Pablo widział przez lornetkę niewielką przystań, na której były zapalone światła. Widział nawet światła w oknach budynku nad przystanią.

Pablo jeszcze bardziej zwolnił. Hurgot silników rozcinający ciszę nocy działał mu na nerwy. Właśnie pomyślał kolejny proszek przeciwbólowy, kiedy wskazania echosondy nagle opadły do dziesięciu stóp, potem dno zaczęło się powoli wznosić. Wyłączył automatycznego pilota i sam przejął ster. Po tylu godzinach monotonnego buczenia namiar sygnału radiowego zaczął się zmieniać. Pablo wyłączył urządzenie. W tym momencie kurs zero-zero-zero nie oznaczał zupełnie nic, Pablo znalazł się przed ścianą koralowców, miotał się, próbując ustalić stałą Loranu, starając się jakimś cudem ustawić w odpowiedniej odległości wobec światła wieży i przystani. W ciemnościach nocy czaiła się zdrada.

Pablo zaczął panikować. Jak by nie manewrował, trafiał na rafę. Zapanowało go szaleńcze pragnienie ucieczki. Skierować się w stronę morza. Wycofać się i płynąć wzdłuż brzegu, szukając czegoś, co by wyglądało w miarę bezpiecznie. Albo dotrzeć do obiecanych przez Negusa wysp rozkoszy, do San Ignacio, Kolumbii. Ale stracił już wiarę w szansę ucieczki do bezpiecznego schronienia. Lękał się

nadejścia dnia i światła, a jeszcze bardziej obawiał się pełnego morza, z którego właśnie uciekł i nad którym nie potrafił zaplanować. Decyzję musi podjąć teraz. Nieważne, jak. Teraz. Modląc się, zlanym potem kręcił sterem. Próbował ustalić położenie świateł. Patrzył na współrzędne Loranu.

Nagle z włączonego odbiornika CB rozległ się głos. Zabrzmiał tak wyraźnie i blisko, że Pablo przestraszony gwałtownie cofnął się od urządzeń. Przez chwilę wydawało mu się, że ktoś tu jest. -
Panie Fry? Słyszysz mnie pan? Panie Fry?

Niewiele brakowało, a zacząłby prosić o pomoc. Wydawało mu się, że nic nie może być gorsze od tego, co przeżywa w tej chwili. - Słyszysz mnie pan? Panie Fry?

Powstrzymał się. Milczał. Głos w radiu ucichł.

W pewnym momencie, mimo że współrzędne chyba się zgadzały i odczyt był identyczny z notatkami

Callahana, Pablo zobaczył na echosondzie, że dno znajduje się niecałe piętnaście stóp pod nim. Wszystko źle. Już miał gwałtownie szarpnąć statek, kiedy głębokość opadła do siedemdziesięciu, osiemdziesięciu, wreszcie dziewięćdziesięciu stóp. Pablo roześmiał się głośno i zaklął. Właśnie wyłączał silniki, kiedy rozległ się huk, który poderwał go na nogi. Coś rąbnęło w kadłub. Skręcił ster w lewo, choć wiedział, że na to już za późno i wybiegł sprawdzić, co się stało. Na chwilę zrobiło się jasno - prawdziwa łaska Boża - dzięki czemu przy prawej burcie zobaczył pławę, która podskakiwała na wodzie, niczym puszka na ulicy popychana powiewem wiatru. W pewnym momencie szarpnięta przez kotwicę, wróciła na miejsce niczym pokorne szczenię. - Ave Maria purissima - powiedział nabożnie Pablo. Prąd spychał statek ku krawędzi rafy. Pablo szybko uruchomił windę kotwicy. Łańcuch rozwijał się szybko. Na kotwicy nie było dodatkowej liny - jeśli szybko utknie i on szybko utknie - ale nie zwracał sobie tym teraz głowy. Prąd obrócił statek, tak że forpikiem był zwrócony na pełne morze. Pablo popatrzył na ocean i zadrżał. Był chory, noga go bolała, miał już dość tej wody. Nade wszystko pragnął się znaleźć na lądzie.

Ale obrócenie statku z powrotem w stronę brzegu niewiele pomogło. Za palącymi się światłami, które

miały go ocalić, rozciągał się Tecan. Gra toczyła się cały czas, bez końca. Szybko się uzbroił - naładował Remingtona, włożył kolejny magazynek do swojego automatu. Przyniósł z kajuty kaburę noszoną pod pachą i wsunął ją pod brudną koszulę roboczą. Nie miał zapasowych naboju do Nambu, więc wyrzucił go za burtę. Potem usiadł przed sterówką i czekał.

Bardzo szybko z mroku dobiegł go odgłos silników zbliżających się do statku. Na jego ucho to musiał być mocny statek, takie silniki pracowały na najcięższych bostońskich wielorybnikach. Na pewno był więcej niż jeden.

- Panie Fry!

To mógł być ten sam głos, który usłyszał przez radio. Pozostałe statki wyłączyły silniki. Tylko jeden powoli zbliżał się do "Chmu-ry". Pablo wychylił się za reling. Ten cień majaczący na wodzie to mógł być statek z załogą. Albo i nie.

- Pan Fry? - spytał męski głos z dołu.

Pablo chwilę się zastanawiał.

- Zgadza się! - odrzyknął. - To ja. A kim wy jesteście, bracia? Odpowiedziała mu cisza. Potem wszystkie statki ruszyły na-przód. Było ich trzy albo cztery. Z wody nie dobiegały już powitania. Czekali na hasło.

- Noselas codas! - zawołał Pablo. Nie wiedział, jak po hiszpańsku będzie "kod". Czy codas czy jakoś

inaczej. -Ja tu tylko pracuję. - Pokaż się - zażądał mężczyzna wystraszonym głosem.

Pablo podszedł do relingu ze strzelbą. Teraz widział ich łódź. Rzeczywiście, to był statek wielorybniczy, a na nim czterech mężczyzn. Wszyscy mierzyli w Pabla z M-16 albo czegoś bardzo do nich podobnego. Pozostałe statki warczały w mroku, trzymając się trochę dalej. Stamtąd zapewne też w niego mierzą. - Broń! - rozkazał kolejny, jeszcze bardziej wystraszony głos. Pablo uświadomił sobie, że trzyma w ręku Remingtona i wyrzucił go za burtę.

Gdyby dostali tyle Remingtonów, ile dziś wyleciało za burtę, mogli by sobie urządzać dziesięć rewolucji - pomyślał. - To cholernie dobra broń.

Zaświecili mu w oczy reflektorami i z pełnego zdumienia pomruku mężczyzn ze statku Pablo domyślił się, że spodziewali się innego widoku.

Przyjaciel pana Fry odzyskał panowanie nad sobą.

- Wszyscy wyjść na pokład! - krzyknął. - Pokazać się co do jednego.

Pabla nagle ogarnęło zmęczenie.

- Najgorsze w tej hecy jest to, że zostałem tylko ja. Znowu cisza. Niewidoczne statki odpłynęły nieco, a czterej mężczyźni z najbliższego uważnie mu się przyglądali. Wreszcie podpłynęli do burty.

Ich szef zaczął się wspinać, podczas gdy pozostali trzej próbowali utrzymać równowagę w chwiejnym statku równocześnie nie spuszczać Pabla z muszki. Fałszywa linia go zmyliła, kiedy schodził ze swojego pokładu niewiele brakowało, a by zawisł w powietrzu, musiał się podciągnąć na rękach.

Mężczyźni z pokładu oświetlili latarkami Pabla i swojego szefa, po czym znowu je zgasili.

Najwyraźniej bali się światła tak samo jak i on. Pablo wzruszył ramionami, żeby okazać swoją dobrą wolę. Przy sobie miał nadal nóż i automat. Mężczyźni próbowali równocześnie obserwować Pabla i rozglądać się po pokładzie. Po chwili zawołał przyjaciół. Statki podpłynęły bliżej. Czterej mężczyźni, którzy wskoczyli na pokład "Chmury", owinęli cumę wokół pachoła. Dowódca, ten który mówił, cisnął Pabla na pokład obok sterówki. Dwaj szli ostrożnie przeszukali pomieszczenia. Mieli latarki, ale zapalali je tylko tam, gdzie światło nie wydostawało się na zewnątrz.

- Sangre - usłyszał polecenie jednego z mężczyzn Pablo. Może właśnie dlatego przywódca rozerwał

mu koszulę na piersi i zabrał pistolet. Kiedy stanął za nim drugi, żeby go osłaniać, zdjął też kaburę, szelki i przewiesił sobie przez ramię. Dowódca zwrócił się do jednego ze swoich ludzi - Pablo nie zrozumiał ani słowa - i tamten cicho zaświstał, jakby przywoływał stado. Pozostałe statki przybiły i mężczyźni jeden po drugim przeskakiwali przez reling. Pablo odniósł wrażenie, że w pobliżu kryje się jeszcze jeden statek, może na czatach.

Mogą mnie teraz zabić - pomyślał Pablo. Część mężczyzn przykucnęła wokół niego, tak by nie było ich widać zza burty, i oświetlali go latarkami, jakby był jakimś dziwnym stworzeniem wyrzuconym

przez morze.

Rozsuwali lód, zakrywający skrzynie w ładowni. Kiedy zobaczyli towar, po ich okrzykach Pablo odgadł, że załoga nie składała się wyłącznie z mężczyzn. Wywlekali skrzynie z chłodni, pod butami chrzęściły przewrócone plastikowe kosze i niepotrzebne skorupy krewetek.

Pablo przekręcił głowę i między nogami pilnujących go ludzi zobaczył, jak tamci podważają wieka skrzyń, sprawdzając zawartość. Między nimi klęczała kobieta w chustce i głośno czytała spis. - Galii. Siedemdziesiąt pięć. Magazynki na pięćdziesiąt sztuk. Trzy skrzynie. - Czytała dalej, wahając się, jakby nie znała tych określeń. - TRW. Siedemdziesiąt pięć. Pięć, pięćdziesiąt sześć. Magazynki na trzydzieści naboji. Trzy skrzynie.

Wyciągnęli skrzynie na pokład i zajęli się drugą chłodnią.

- Jesteś ranny - zwrócił się ich szef do Pabla.

- Myślisz, że sam tego nie zauważyłem?

- Muszę wiedzieć, co się tutaj stało.

Pablo wybuchnął śmiechem.

- Sam chciałbym wiedzieć - odparł.

- Powiedz, co wiesz - nalegał tamten. - Tutaj toczy się wojna.

Zaatakowano was?

- Nie. To był istny obłąd.

Przesłuchujący go mężczyzna roześmiał się. Pozostali się nie przyłączyli.

- Innymi słowy walczyłeś. A pozostali?

- Sam zgadnij.

- Zabiłeś ich. Tak mi wychodzi. A ich ciała padły już łupem rekinów. I co ty na to, Jankesie? Co

powiesz na takie wyjaśnienie?

- Nie obchodzi mnie, co ze mną zrobicie. To nie był mój pomysł. Z chłodni dobiegły nieopanowane

okrzyki radości. Zdaniem Pabla wpadli na drugą część towaru. Ich szef, mężczyzna przesłuchujący

Pabla, podniósł się i uciszył swoich ludzi. Ustawili się w szeregu i podawali sobie z rąk do rąk towar, przerzucając go do siebie. Przywódca skierował do tego wszystkich ludzi, z wyjątkiem jednej osoby. Potem wrócił do przesłuchiwania Pabla. - Możesz chodzić? - spytał Pabla.

Podnosząc go na nogi, zauważyli nóż przypięty do tydki. Kręcąc głowami zaprowadzili chłopaka do sterówki. Przywódca i Pablo usiedli na miejscach Negusa i Callahana. Zastępca dowódcy stał w drzwiach mierząc prosto w pierś Pabla.

- Jeśli nas zdradziliście - odezwał się szef. - Jeśli ktoś tu chlapał ozorem... ty zginiesz pierwszy.
- Gdybym nie sądził, że nic nam nie grozi, nie przypląnąłbym tutaj - odparł Pablo.

Co prawda nadal nie miał pojęcia, gdzie właściwie się znajduje - wyłączając jego własne domysły i podejrzenia.

- Poszło o pieniądze, tak? Albo o broń? Może ktoś próbował zatrzymać naszą operację?

Pablo nie wiedział, jak im wytłumaczyć.

- Poszło częściowo o sprawy osobiste. Częściowo o pieniądze. - Powiódł wzrokiem od dowódcy do mężczyzny z bronią. - Tak czasem bywa.

- Tak, to prawda - przyznał dowódca. - Takie rzeczy często się zdarzają. I ty wygrałeś. Musisz być bardzo silny.

- Do czego pijesz, szefie? Teraz ty tu rządzisz.

Dowódca miał na sobie żółty sztormiak, spod niego wyglądała tania, plastikowa teczka. Była tak wypchana, że suwak prawie pękał. Biorąc ją pod pachę, przywódca podszedł do radia CB.

- Chyba nie mam ochoty być twoim szefem - stwierdził.

Wziął na chwilę odbiorniki, potem odłożył na miejsce. - Nie jest dobrze - zwrócił się do Pabla. - Sądziliśmy, że mamy do czynienia z odpowiedzialnymi ludźmi, rozumiesz? To dla nas kłopot, którego wcale nie potrzebujemy.

Pablo patrzył na teczkę i milczał. Słyszał, jak statki odpływają jeden po drugim. Ostatni stał przy burcie i ludzie cichym gwizdaniem przywoływali szefów do siebie. Mężczyzna w drzwiach powiódł

wzrokiem od Pabla do statku.

- Hay que matarlo - zwrócił się do zwierzchnika. - Musimy go zabić.
- Y la barca? - spytał tamten, obserwując Pabla. - A co ze statkiem?
- Zatop go.

Na twarzy przywódcy błysnął cień uśmiechu. Z koperty wyjął zwój banknotów i cisnął go na stół nawigacyjny. Pablowi błysnęły setki. Przynajmniej na wierzchu.

- Dla jednego tyle starczy. Tyle wynosi niecały roczny zarobek dwojga ludzi w tym kraju. A teraz zabieraj się stąd ze swoim statkiem. Byle dalej od nas.

Pabla ogarnęła taka wściekłość, że przemówił bez zastanowienia. - Widzisz, co on robi? - zwrócił się

do zastępcy. - Okrada mnie z moich pieniędzy. Chce je sobie zatrzymać.

- Hay que matarlo - powtórzył ten ze strzelbą.
- Nie - odparł przywódca. - No - powiedział do Pabla - wynoś się stąd, póki jeszcze możesz.

Mężczyźni wyszli ze sterówki i ruszyli na swój statek. Pablo pokuśtykał za nimi. Statek wielorybniczy już odpływał. Pablo przechylił się przez reling.

- Nie dam rady! - zawołał. - Jestem ranny, nie wiem, jak się stąd wydostać!

Ktoś uruchomił silniki.

- Zaraz! - krzyczał Pablo. - Ta forsa mi teraz na nic! Nie mam gdzie jechać! Dajcie się do was przyłączyć, chłopaki. Umiem walczyć, mam doświadczenie. Przysięgam na Chrystusa, com-padre, jestem z wami!

- Może innym razem - odkrzyknął dowódca. - Twardziel z ciebie. I statek odpłynął, niknąc w ciemnościach z cichym warkotem silnika.

- Ukradliście mi moją forszę, skurwysyny! - wrzasnął Pablo.

Najprawdopodobniej już go nie słyszeli. Nie było sensu strzelać.

Zniknęli mu z oczu, a strzały mogłyby ściągnąć straż przybrzeżną. A skoro już o przedstawicielach władzy mowa, Pablo na wszelki wypadek rozejrzał się wokoło. Światła na przystani zgasty i jedynym

puktem odniesienia została radiolatarnia lotniskowa na wzniesieniu nad zatoką. Wiatr był lekki, łagodny, ale właśnie wschodził księżyc, oświetlając kontury statku. Pablo spojrzął na zalane blaskiem księżycą tonie i nagle ogarnęła go fala bólu i znużenia. Widok oceanu napełniał go strachem. Bał się. Nie mógł wrócić na otwarte morze.

Wtedy błysnęła mu myśl. Ten port, który mijali po południu, na pewno jest gdzieś niedaleko. Port morski z dźwigami ładującymi towary na statki przy betonowym moło. Widać tam było światła dużego miasta. Powinny tam kursować autobusy, może nawet samoloty.

Otarł czoło, przeliczył pieniądze na stole nawigacyjnym - okazało się, że wszedł w posiadanie niecałego półtora tysiąca amerykańskich dolarów. Półtora patyka i brylant. Nie, nie będzie dłużej ryzykował przebywania na morzu, na tym statku pełnym krwi, wśród raf. Postanowił ruszyć na poszukiwanie miejsca, gdzie mógłby zawinąć.

Między dawisami tuż obok kajuty Pabla stała maleńka szalupa. Pablo poszedł na rufę, żeby dokładniej jej się przyjrzeć. Okazało się, że dawisy i kołowroty są zardzewiałe; pierwszy ślad zaniedbania, z jakim się spotkał na pokładzie "Chmury". Dobrą godzinę zajęło mu zdjęcie łodzi i nie obeszło się bez kluczy maszynowych, a nawet nożyc do cięcia metalu. Kiedy już łódź kołysała się na falach, przywiązał cumy do relingu. Zmusił się do zejścia do lazaretu na poszukiwanie silnika i kanistra w benzyną, ale nie znalazł ich ani tam, ani nigdzie indziej. W swojej kajucie natknął się jedynie na dulki i dwa aluminiowe wiosła od pary. Pablo włożył je do szalupy. Wrócił do sterówki i pochylił się nad współrzędnymi Loranu Callahana, próbując się dowiedzieć, gdzie właściwie jest. Radiola-tarnia lotniskowa figurowała na wszystkich mapach, miasto na północ od niej nosiło nazwę Puerto Alvarado. Nawet na najdokładniejszych mapach nie prezentowało się zbyt okazale, ale lepszy rydz niż nic. W morzu wszędzie ogromne skupiska raf koralowych. Gdyby skierował "Chmurę" choć odrobinę na południe, rąbnąłby w rafę. Kurs w zamiarze między dwieście dziesięć a trzysta skończyłby się na zewnętrznej rafie i gdyby płynąć szybko i z rozpędem, statek mógłby pójść pod wodę. Pablo zrozumiał, że po prostu cudem trafił na pławę. I nie miał najmniejszych wątpliwości, że

nigdy by sobie nie poradził z wyprowadzeniem statku. Najbliższe kilkadziesiąt minut spędził przeszukując wszystkie pomieszczenia, otwierając wszystkie luki, iluminatory, wszystko, co się dało otworzyć. Najprawdopodobniej w tunelu wału śruby był zawór denny, ale nie miał teraz czasu go szukać. W salonie znalazł kamizelkę ratunkową i torbę na ubrania. Włożył kamizelkę, potem schował w torbie brylant i półtora tysiąca dolarów i upchnął ją w szalupie.

Dał "Chmurze" dość przyspieszenia, żeby ruszyła na rafy, i podniósł kotwicę. Ku jego uldze i wdzięczności dała się wyciągnąć bez trudu. Nastawiwszy kierunek, odcumował łódkę, a kiedy dryfowała ku brzegowi, nastawił przepustnicę silnika na całą naprzód i wskoczył do morza.

Woda była ciepła, ale na tyle chłodna, że noga zaczęła jeszcze bardziej boleć. Przypomniał sobie o rekinach i ze wszystkich sił płynął do uciekającej szalupy, utrzymując się na powierzchni dzięki pracy rąk i zdrowej nogi.

Po drugim machnięciu wiosłami zobaczył, jak kuter uderza w rafę. W tym miejscu były dwie warstwy rafy i musiały znajdować się tuż pod wodą, bo "Chmura" przeleciała nad pierwszą, jakby się zmieniała w amfibię, prawie nie zwalniając. Choć dno było rozdarte, silniki jeszcze się trzymały i dopiero przy drugiej rafie oprócz trzasku drewna rozległ się jęk gruchotanego metalu i rozpaczliwy syk niszczonej maszyny.

Wnętrznosci "Chmury" zostały rozszarpane, nad wodą sterczał tylko forpik rysujący się wyraźnie w świetle księżyca. Pablo chwilę odpoczął przy wiosłach i przyglądał się, jak dziób powoli tonie, w miarę jak woda wdziera się całym ciężarem do pomieszczeń, kierując statek ku środkowi rafy i wciągając go w otchłań. Widać było kilka płomyków, rozległ się stłumiony wybuch i w niebo nad spokojnym, gładkim oceanem wystrzeliły kłęby dymu. Potem znowu trzask, kolejne ognisko i statek obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, ostatecznie znikając w toni. Pablo ujął wiosła i nadal patrzył. Nie był pewny, czy ta biała plama na wodzie, którą widział w słabym świetle księżyca, to wierzchołek rafy czy też wystająca część statku. Jeśli "Chmura" nie zniszczyła całkowicie drugiej ściany, mogła osiąść na płyciźnie, tak że szybko by ją znaleziono. Odpędził tę myśl. Miał nadzieję, że już niedługo w ogóle

zapomni o "Chmurze" i wszystkim, co się z nią wiązało. Wszystko będzie inaczej. Wszystko jest jak trzeba. Zacisnął zęby i ruszył ku czarnej zatoce, która rozciągała się za jego plecami.

Rozdział trzydziesty

Kiedy Holliwell wrócił do hotelu, hangar był oblężony przez ludzi, którzy określali siebie mianem pośredników. Zaskoczył go ruch i hałas. Co prawda nie miał zegarka, ale przypuszczał, że dochodzi północ.

Chwilę stał pod palmami na dworze, rozglądając się za towarzyszem. Ktoś go zawołał. Obejrzał się i zobaczył pana Soyera, który uśmiechał się zapraszająco. Obok niego siedział pan Heath, a naprzeciwko, przy tym samym stoliku Olga i Buddy. Nie wiedzieć czemu, wszystkich dziwnie radował widok Holliwella. - A co ty tam robisz w tym mroku, Holliwell? - zapytał pogodnie Kubańczyk. - Chodź, napij się z nami.

Holliwellowi ten zestaw gości wydawał się co najmniej dziwny. Został w mroku, gdzie, jak sądził, dobrze się krył, i przypatrywał się czwórce przy stoliku.

- Chodź, opowiedz, co tam słysząc - wołał pan Heath. - Z punktu widzenia zakonniczy.

Nie podszedł do nich, skierował się do baru.

- Skurwielowi przydałyby się porządne wciry - odezwał się ktoś obok Holliwella. Rozmawiał z kimś innym o jeszcze kimś innym. Holliwell zażądał aparatu telefonicznego. Nie chcieli mu dać. Barman nawet nie kiwnął palcem. Nigdzie w pobliżu nie było nikogo z kierownictwa.

Holliwell nalegał; barman zaprowadził go do niewielkiego biura przy kuchni, gdzie młody Hiszpan sprawdzał rachunki. Pół-przytomny, zmordowany Holliwell zdobył się na nadludzki wysiłek i urządził awanturę. Krzyczał, straszył, groził, błagał - wszystko, byle się dostać do telefonu. Wreszcie dowiedział się, że Raj jest w posiadaniu połączenia radiotelefonicznego; młody Hiszpan ostrzegł, że nie ręczy za jakość połączenia oraz że będzie ono bardzo drogie. Holliwell próbował się dodzwonić do stolicy, do kapitana Zecci.

W końcu dostał linię. Stał plecami do hałaśliwego baru i słuchał szumu w słuchawce. Ku swemu zdumieniu i uldze połączył się. Na drugim końcu słuchawkę odebrał żołnierz piechoty morskiej.

Słyszeli się wyraźnie. Wszystko szło świetnie.

Zapytał żołnierza o domowy telefon kapitana Zecca, na co ten poprosił, by zechciał poczekać. W końcu odezwała się młoda kobieta, pracownica ambasady. Kiedy spytał o numer, zapadło długie milczenie i wreszcie stwierdziła, że sprawdzi, czy kapitan jest osiągalny.

- Słucham, kapitan Zecca - przemówił następny głos w słuchawce.

- Tom! - zawołał HoUiwell - Znalazłem cię! Mówi Frank HoUiwell.

- Tak, proszę pana - odparł Zecca. - Tak.

- Jestem w okolicach Alvarado - ciągnął HoUiwell.

- Wiem doskonale, gdzie pan jest, panie HoUiwell. - Potrzebuję twojej pomocy. Są tu ludzie, którym jest potrzebna ochrona. Zwłaszcza że zanoszą się na kłopoty.

- Czy zechciałby pan uważać na to, co pan mówi, panie HoUiwell? Bo jeśli nie zacznie pan uważniej

mówić, nie będę pana słyszał.

- Co?

- Mów ostrożniej, HoUiwell.

- Muszę ci powiedzieć, co się tu dzieje. Jak mam to zrobić?

- Wiemy, co tu się dzieje. Ten oddział nie zajmuje się tą sprawą.

- Jak to, Zecca?

- Tak to, że nie my się tym zajmujemy. Musisz porozmawiać z nimi. Na miejscu.

- Nimi? Na miejscu? Jakimi nimi? Gdzie?

- HoUiwell, nie będziemy dalej rozmawiać, jeśli nie zaczniesz uważać na słowa. Mam na myśli ludzi,

którzy tym się zajmują. Przecież wiesz, kogo mam na myśli.

- Chyba... Nie sądzę... Nie sądzę, że bym wiedział.

- Znasz ich, HoUiwell. Oni ciebie znają.

- Ach. Tak. Znam.

- Powinieneś. Jestem o tym przekonany.

- Ale oni wszystko pokręcili. Dlatego dzwonię - upierał się HoUiwell.

- Niesamowite. Nie wierzę swoim uszom. Człowieku, jeśli uważasz, że wszystko pokręcili, sam im to

powiedz.

- Ale oni nie będą patrzeć na to od mojej strony.

- Słuchaj, stary druhu - to ich sprawa. Nie moja. Twoja i ich.

- Nic nie możesz zrobić?

- Po wszystkim. Może.

- Po jakim wszystkim?

- Ej, HoUiwell - powiedział kapitan Zecca. - Spadaj lepiej, co, koleś?

- Nie wiem, co robić, rozumiesz?

W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie Zecci. - Zrób to, co ci rozum dyktuje. Wszystko się sypie. Porozmawiaj z nimi.

- Rozumiem.

- Naprawdę? Boja nie. Kończę rozmowę.

- Tak - odparł HoUiwell.

- Do zobaczenia, mądrało. Trzymaj się.

Kiedy HoUiwell wrócił do baru, zobaczył, że Kubańczyka nie ma przy stoliku. Zamówił whisky i po chwili zauważył jak tamten nadchodzi od strony domków. Miał zatroskaną minę. HoUiwell widział, jak Kubańczyk spogląda ku stolikowi, gdzie siedzieli jego towarzysze, potem wzrokiem przeszukuje bar. Kiedy ich oczy się spotkały, czekał. Na widok Holliwella na twarzy Kubańczyka miał niepokoję zagościł szeroki, fałszywy uśmiech. Mężczyzna spojrzał karcąco na Holliwella. Profesor dopił drinka, broniąc się przed chłodem tego wejrzenia. Potem minął Kubańczyka i zniknął w mroku.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Kiedy już dobił do brzegu, Pablo wyjął ceratę i worek i pchnął aluminiową szalupę na wodę. Za krzewami namorzynu zaczynała się piaszczysta droga. Przeciął ją i zanurzył się w gęsty las, gdzie czubki drzew przesłaniały niebo, a powietrze było ciężkie i duszne. Po jakimś czasie na brzegu wypalanej polany, na której gniły melony, natrafił na prowizoryczną chatę. Szczury czmychały mu spod nóg. Na zewnątrz czaiły się zwierzęta.

We śnie widział blask poranka, oślepiające, białe słupy ognia. Ale to był tylko sen. Po jakimś czasie zmusił się do wstania i połknął kilka niebieskich pastylek, by odpędzić ból. Wsunął butelkę i zwitek pieniędzy do kieszeni spodni, brylant z powrotem wylądował w kieszonce koszuli. Słyszał głosy, głos Deedee i sta-rego Żyda. Czasem matki.

Po omacku zaczął przedzierać się przez las. Zmuszał zranioną nogę do wysiłku. Skoro kość jest cała, noga nadaje się, żeby ją podnieść i opuścić. Ciało funkcjonowało w miarę dobrze, ale mózg był rozpalony, jarzył się niczym ogień w mrokach nocy. W końcu Pablo trafił jakoś na ścieżkę i prawdziwe światło, którego mógł się trzymać. Przez dłuższy czas jego przewodnikiem nie był płomień ogniska, ale różne odcienie ciemności, w której poruszają się rzeczy świecące swym własnym blaskiem. Światło rzeczy dziejących się w mroku.

Czuł się niczym zwierzę widzące w ciemnościach. W końcu nawet zaczął się czuć tak, jakby stawał się mrokiem, a jego jestestwo lękało się jasności. Zdrętwiałymi palcami namacał brylant w kieszonce, maleńką lampę, która go wiodła. Myślał o swoim nożu, o kulach, o pięściach i zębach. Głosy w jego głowie to śpiewały, to szeptały.

Droga doprowadziła go na inną polanę, gdzie płonął ogień i siedzieli ludzie. Między drzewami wisiaty hamaki. Widok istot ludzkich wzbudził w nim gniew.

Lachmyty - pomyślał i wtedy zorientował się, że to Amerykanie. Dwadzieścia osób, może

czterdzieści. Polana przypominała mu obrazki z książek o rozbójnikach, które oglądał w dzieciństwie.

Ale ci tutaj byli młodzi i delikatni.

Stał chwilę, potem wszedł między nich. Jedno po drugim zauważali jego obecność. Był Księciem Ciemności i to jego królestwo.

- Oye, señor- zwrócił się do niego starszy mężczyzna, siedzący przy jednym z ognisk.

Spasiony Amerykaniec.

- Oye, oye, señor - odparł Pablo swoim najłagodniejszym głosem - chinga su madre - hyo de la siete

leches.

Roześmiał się tłuszciochowi w twarz.

- Gdzie twój szefunio, grubasie?

Mężczyzna zacisnął wargi, zęby mu zadźwięczały.

- Gdzie wasz najgłówniejszy?

Tamtem wzruszył ramionami i odwrócił głowę. Pablo postąpił o krok, stanął twarz w twarz z mężczyzną i przechylił głowę, przyglądając mu się spod ściągniętych brwi.

- Taki jeden, stary, który tu mieszka - odezwała się dziewczyna, która siedziała przy rym samym ognisku. Pablo obrócił się w jej stronę. - Jest gdzieś tam.

Ruchem ręki pokazała drugi koniec polany, za trzema kamien-nymi płytami, które stały na środku.

- Dziękuję - powiedział Pablo.

Patrzył jej w oczy, próbując wyczytać w jej twarzy, co naprawdę myśli. Dziewczyna odwróciła wzrok.

Kiedy szedł w stronę kamien-nych płyt, ktoś zawołał:

- Ej, ty, noga ci krwawi!

Tablice przypominały płyty nagrobne, były wysokości człowieka. Pablo przyjrzał im się w słabym świetle ognia. Na pierwszej dostrzegł zatarty profil. Nad głową człowieka szczyrzył ostre zębiska kot.

Pod niewyraźną twarzą zobaczył drugą - odwróconą - niczym lustrzane odbicie pierwszej. Pod nią z kolei wykuto różne kształty: coś w rodzaju grzechotnika, pióra, jaszczurki. To znak tego miejsca -

uznał Pablo. Tablice, oto czego tu wszyscy szukali.

Niedaleko trzech rzeźbionych płyt jakiś starzec w białej koszuli dorzucał drewno do ognia. Obok niego leżała Biblia i butelka rumu. Pablo przez chwilę go obserwował, potem zbliżył się do niewielkiego ogniska.

- Hej, tam - odezwał się do starca.

Ojciec Egan nie wyglądał na zaskoczonego.

- Witaj, synu.

Pablo usiadł naprzeciwko księdza opierając się o pień. Przez chwilę miał wrażenie, że już nigdy się nie podniesie. - Wiesz - zwrócił się do duchownego - przychodzę tu prosto z morza. Jestem rozbitkiem.

Z twarzy Egana nie dawało się niczego wyczytać.

- Nie kłamie - powiedział słabo Pablo. - Nadzialiśmy się na rafę kilka mil od brzegu. Nasz statek chyba leży teraz na dnie. - Na miłosierdzie Pańskie - odparł Egan. Pogrzebał w ognisku.

- Czy załoga ocalała?

- Taa - mruknął Pablo. - Byłem tylko ja.

- Masz ranę na nodze.

Pablo skinął głową, sięgnął po butelkę księdza i pociągnął z niej łyk.

- Potrzebuję pomocy. Muszę się położyć. Leki też mogą się okazać potrzebne.

- Masz szczęście - stwierdził Egan. - Możemy ci zapewnić łóżko i lekarstwa.

Pablo przymknął oczy z wdzięczności.

- Chodzi też o to... Oficjalnie nie powinno nas tu być. Nie wolno nam tu łowić, rozumiesz. Nie mamy papierów. Więc nie chcemy żadnych glinarzy ani straży przybrzeżnej, ani niczego w tym stylu.

Nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteśmy. - Nie odrywał wzroku od twarzy starca. Egan nie wyglądał

na zaniepokojonego. - Proszę cię, bo jesteś moim rodakiem. Chyba jesteś Amerykaniem, prawda?

- Mniej więcej - odrzekł Egan. - Jestem obywatelem. Obywatel miasta bez nazwy.

- To mógłbyś mi pomóc, nie? Mam trochę grosza. Pcha się drzwiami i oknami. - Dyskretnie doknął

kieszzeni z banknotami. - Tak że gdybyś dał mi lokum i pozwolił mi zająć się nogą, no i gdybyś trzymał język za zębami, to by było naprawdę świetnie. A ja już dopilnuję, żeby ci to odpowiednio wynagrodzić.

- Sądzę, że możemy zrobić dla ciebie wszystko, o co prosisz.

Jak się nazywasz?

- Pablo. Do diaska, to by było świetnie, brachu. Naprawdę bombowo.

Ksiądz zostawił ognisko w spokoju i spojrzął na gościa.

- Nie ciebie oczekiwałem, Pablo.

Pablo uśmiechnął się i oparł wygodniej o kłodę. Wszystko to było zbyt piękne, żeby było prawdziwe, ale nie miał już siły na nadmierną ostrożność. Uwierzył.

- Ale to ja ci wpadłem w ręce - odparł i zemdlał.

Kiedy odzyskał przytomność, w pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest. Czuł zapach dymu palącego się wilgotnego drewna, słyszał śpiew nocnych ptaków. Usiadł i zobaczył Egana przy ognisku. Miał wrażenie, jakby to był kolejny z jego licznych snów. We wszystkich pojawiały się ptaki.

- Byłeś rozłuszczony - odezwał się ksiądz.

Pablo rozejrzał się po polanie i zobaczył, że płonie tam jeszcze kilka ognisk. Nieznajomi ukryli się w cieniu. Ktoś grał na gitarze, między drzewami wisały hamaki.

- Nie byłem, facet. Spałem.

Egan utkwiał puste spojrzenie w ogniu.

- Czy na tym twoim statku doszło do walki? - spytał Pabla. - Nie. To znaczy, nie wiem. Słabo to wszystko pamiętam. Może uderzyłem się w głowę.

Ksiądz przyglądał mu się w zamyśleniu. Pablo odpowiedział ostrzegawczym uśmiechem, ale ksiądz nie odwrócił wzroku. - Skąd płynęliście? Dokąd zmierzaliście?

Pablo przygarbił się, jakby chciał strząsnąć pytania z grzbietu. - Z Florydy - powiedział. - Wiesz - zwrócił się do Egana po chwili - nie powinieneś tak mnie wypytywać. Wtedy to cię nie będzie

obchodzić, rozumiesz, co mam na myśli. A tutaj, biorąc pod uwagę sytuację, tak byłoby dla ciebie lepiej.

- Tutaj - powtórzył Egan. - Masz absolutną rację. Cóż, ja jestem bardzo dyskretny. Słynę tu z dyskrecji.

- Mówiłeś, że mi pomożesz.

- Tak, pomogę ci, Pablo. Musimy jednak zostać tu jeszcze chwilę, bo czekam na gościa.

- Kogo? - zaniepokoił się Pablo.

- Nie musisz się niepokoić. Poczekaj, sam zobaczysz. Pablo schylił się i dotknął nogi, sprawdzając,

czy nóż jest na miejscu, potem rozgryzł kolejną pigułkę przeciwbólową, żeby być gotowy na wszystko.

Mniej więcej po dziesięciu minutach ojciec Egan powiedział:

- Idzie.

Pablo poszedł za wzrokiem księdza i zobaczył potężnego, wysokiego mężczyznę w ogrodniczkach i słomianym sombrero. Kiedy się zbliżył, widać było kwadratową twarz. A przede wszystkim w oczy rzucał się jego nos, wręcz karykaturalnie długi. Oczy miał małe, niebieskie, ukryte w sieci zmarszczek. Wiek? Równie dobrze mógł sobie liczyć lat osiemnaście i osiemdziesiąt.

- Nazywa się Weitling - przedstawił ojciec Egan. - Kiedyś nazywałem go Rolnikiem.

- To nie Amerykanin - zauważył Pablo.

-Nie.

Pablo przypatrywał się, jak Rolnik podchodzi do ogniska i ostrożnie rozgląda się wokoło. Całe jego ciało świadczyło o ogromnej sile fizycznej.

- Kim jest ten człowiek? - spytał Rolnik delikatnym, niemal kobiecym głosem. Miał na myśli Pabla.

- To Pablo, Weitling. Boisz się go?

- Tak - odparł Weitling. Nadał odpowiedzi nieco pytający ton.

- Nie bój się. To przyjaciel.

- Nocny przyjaciel?

- Tak, jeszcze jeden nocny przyjaciel, taki jak ty.

Pablo obnażył górne zęby, Weitling nie przypadł mu do gustu.

Potęźnie zbudowany mężczyzna przykucnął i zdjął sombrero. Jasne włosy były tak delikatne, że wydawało się, że odbijają się w nich płomienie ogniska.

- Powiedz nam, Weitling - poprosił Egan - co widziałeś, słyszałeś i nad czym myślałeś?
- Nie wolno mi powiedzieć tego, co słyszałem - wyjaśnił im Rolnik. - Zakazane. To tajemnica.

Wjego angielszczyźnie pobrzmiwał ślad wymowy niemieckiej.

- Czasem człowiek... Myślałem nad tym.

- Doskonale, Weitling. - Ojciec Egan z powagą i uznaniem skinął głową. - Nad tym, co ci powiedziałem?

- Tak - odparł Weitling.

Potem skupił uwagę na Pablu, którego twarz stopniowo wykrzywił grymas nienawiści i niewysłowionego obrzydzenia. Rolnik stawiał czoło niechęci Pabla ze spokojem konia pociągowego.

- Powiedz mi, co postanowiłeś? - spytał ojciec Egan, wsadzając do ognia długą, zieloną gałąź. Jego ręka lekko drżała. - Świat jest pełny zła - odparł Weitling. Popatrzył na Pabla. - On jest zły. - Wolno obrócić się ku Eganowi, który utkwiał wzrok w ognisku. - Ty też.

Egan nie spojrzał na niego.

- Po owocach ich poznacie je - zacytował. - Czy powiedziałem ci coś, przez co zacząłeś mnie uważać

za złego?

- Tak słyszałem - odrzekł cicho Weitling. - Słyszałem to.

- Głosy ci powiedziały?

Rolnik burknął pytająco-potwierdzająco.

- Aha. Ale oczywiście nie możesz mi powiedzieć, co one powiedziały. - Egan zacisnął wargi.

Pablo odsunął się, najdalej jak mógł, od Weitlinga. W duchu przeżegnał się, odstraszając złego ducha.

Oczy Rolnika były niebieskie jak guziki. Oczy wypchanego zwierzęcia. - Spróbujmy sobie przypomnieć, o czym rozmawialiśmy - podjął ksiądz. Jego głos miał melodyjne brzmienie. Pablo rozpoznał charakterystyczne, łagodne szemranie głosu zza kratki konfesjonatu. - Powiedziałem ci, że wydaje mi się, że zabijasz ludzi zamiast ich kochać. Że tak naprawdę chciałeś kochać. Tak powiedziałem?

Rolnik milczał.

- Zapewne uznałeś to za bzdury. Może to i są bzdury. Mowa trawa. He? - Powiódł wzrokiem od jednego do drugiego. - Wtedy to tak nie wyglądało. Wydawało się trochę prawdziwe. Co o tym sądzisz, Pablo?

- Ej, rozumiesz. Skąd mam wiedzieć?

- W takim razie dajmy sobie z tamtym spokój. Sentymentalne gadanie. Ale, Weitling, powiedziałem ci

także, że Bóg lubi wszystkie swe stworzenia takimi, jakie są, i to nie ma żadnego związku z moimi uczuciami. Taka jest prawda, wierz mi. Powiedziałem: wierz mi, On nigdy nie stworzył niczego cudowniejszego nad małe dziecko. Zabrania ci się, zabrania, Weitling, robienia najmniejszej krzywdy dziecku. Podałem ci rozdział i werset, prawda? Łukasz, 18,16, tak? Mateusz, 18,6.

Na dużej, kwadratowej twarzy Weitlinga odmalowała się walka wewnętrzna.

-Ja- powiedział. - Ja.

Przez chwilę wyglądał na podnieconego. Zaczął podskakiwać.

Pod spodniami widać było ruchy silnych, twardych mięśni ud.

W przygaszonych oczach Egana zalśniły iskierki nadziei.

- Dobrze. I przemyślałeś sobie to wszystko, prawda? -Ja- przytaknął Weitling. Dłońmi ścisnął kolana, zapatrzył się w przestrzeń. - Myślałem nad tym i myślałem. Aż mnie to zaczęło boleć, tak myślałem. Modliłem się. Powiedziały, że jesteś diabłem i mnie kusisz.

Egan przygryzł wąskie wargi i uniósł rękę do czoła.

- Ale ty wiesz, że to nieprawda, co, chłopcze?

Weitling przestał podskakiwać i spojrzał na Egana z szerokim, radosnym uśmiechem. Błysnęły białe, regularne zęby. - Myślę, że nim jesteś.

Roześmiał się głośno.

Ku swemu zmieszaniu Pablo zauważył, że Egan drży. - Weitling - odezwał się ksiądz. Oblizał wargi i pochylił się w jego stronę. - Weitling, przypomnij sobie Boże wróble. "Czyż nie sprzedaje się dwóch wróbli za asa? A przecież żaden z nich bez woli Ojca waszego nie spadnie na ziemię. U was zaś nawet włosy na głowie wszystkie są policzone. Dlatego nie bójcie się: jesteście ważniejsi niż wiele wróbli". Oto, co Najwyższy mówi swym dzieciom, Weitling. Nie śmieć czynić im krzywdy.

Rolnik znowu się roześmiał. Śmiech dobywał się z niego, z jego ciała, brzmiał zupełnie inaczej niż cienki, cichy głosik. Umilkł i utkwiał w księdzu spojrzenie małych, płonących oczu. - A nie lękajcie się tych, którzy zabijają ciało! Tak? Jest tak napisane, co?

- Nie słuchaj głosów, Weitling! One są złe.
- Nie - upierał się Weitling. - Bóg przemawia.
- Bóg zabrania mordować, Weitling. Bóg strzeże małe dzieci.

On jest Tym, który naprawdę kocha. On stworzył jagnię. - Pewnego dnia zostanie złożona ofiara z baranka - oświadczył Weitling patrząc nad ogniem. - Kiedy wszystko zostanie oczyszczzone, zobaczę baranka zaplątanego w krzakach. Wtedy ofiara ze złej mały się skończy i znajdzie się baranek. Obiecano mi to. - Ach, Weitling - westchnął ojciec Egan - tak roztropnie rozmawialiśmy ubiegłej nocy. Obaj byliśmy tacy spokojni. Sądziłem, że mnie słuchałeś.

- Muszę cię oszukać - powiedział Rolnik i jego twarz rozjaśnił kolejny tępy uśmiech. - Jestem sprytny.

Oszukałem cię. Zachowanie Rolnika doprowadzało Pabla Tabora do szaleństwa. Miał ochotę zabić czuba. Parę ładnych minut spędził, zmieniając pozycję, żeby móc szybko wyciągnąć nóż, gdyby przyszło co do czego. Teraz uśmiech Weitlinga doprowadził go do pasji. - Zastrany czubek.

Splunął przez zęby. Nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Weitling, synu - Egan ostrożnie wyciągnął kościstą rękę do szaleńca. - Cóż by to był za Bóg, gdyby

kazał ci zabijać niewinne istoty?

Kiedy Egan i przyczajony Pablo patrzyli na Weitlinga, on odrzucił głowę i złożył usta w ryjek. Z okrągłych warg dobyło się drżące zawodzenie.

- Ooch, on jest straszliwy - śpiewał Weitling.

Twarz wykrzywił mu grymas strachu. Założył ramiona na piersi, wcisnął dłonie pod pachy. Był w transie.

- Jest o wiele okropniejszy, niż sobie wyobrażasz. Jego twarz kolorem przypomina kukurydzę. Albo czasem jest niewidzialna, jeszcze gorsza. Włosy ma niebieskie. To błyskawica. Ramiona i nogi są zrobione z robali. Moc. To jest jak otchłań pod człowiekiem, w którą się wpada. Wpada. O, ja biedny, wpadam. Miażdży mnie. I jest straszną muzyką, wyciem. Zostałem stworzony, by widzieć jego straszliwą twarz i słyszeć jego okropny głos. Jego głos przypomina dudnienie. Hałas organów. 1 einjlaute. A także skrzeczenie papug, tak, czasem. Papugi. Mówi, że spadnę jeszcze głębiej i jestem ściśnięty. O, ja biedny. Mówi, że nie ma już miłosierdzia. Mówi o Jezusie Chrystusie, że to czarownik, nie król. Mówi, że muszę zobaczyć tę żółtą twarz. Mówi, że jestem złym Weitlingiem, i boję się. Strasznie się boję.

Weitling jeszcze bardziej odchylił głowę do tyłu i z jego ust dobył się kolejny krzyk;

- Ooch, mówi, że wino to krew. Jedz surowe mięso, tak nakazuje. On sprawi, że wszystkie pola pokryją się krwią, i wtedy nakaże słońcu, by je wysuszyło. Jest bezlitosny dla Weitlinga. Jest bezlitosny dla dzieci. Są zepsute, mówi. On jest wolny.

Zabiera je do siebie, ich kości, wnętrzności. Robi z nich deszcz.

Ten deszcz to jego śmiech z Weitlinga. Jego śmiechem ten deszcz. Robi deszcz z kawałków dzieci. Ryby są karmione krwią. A kiedy widzą jego twarz, otwierają im się oczy, połykają zęby. Każę Weitlingowi zejść na dół. I schodzę. I robię to. Dla niego jesteście kupą łajna. To właśnie mi mówi.

- Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami - szepnął cicho ojciec Egan, uderzając się w pierś. Pablo nie odrywał wzroku od twarzy szaleńca.

Egan wyciągnął słabą dłoń i dotknął ramienia Rolnika Weit-linga.

- Weitling, konieczna ofiara dokonana się już wiele lat temu.

Teraz nikt niczego od ciebie nie żąda, tylko żebyś chciał się leczyć. Weitling kołysał się w rytm werbli

swego boga. Odtrącił rękę Egana.

- On jest królem, a ja jego złą małpą. Jestem złą małpą, która mieszka na drzewach. Mówią dzieciom,

żeby uciekać przed złą małpą i uciekają. Ale czyją jestem małpą, nie wiedzą. On wzywa. Wrzeszczy jak głodna małpa. Musi zrobić deszcz. Swym straszliwym głosem drze się na Weitlinga.

- Przestań - odezwał się głucho Egan. - Przestań natychmiast, synu.

Weitling dalej się kołysał.

- Nie wiedzą tego, co ja, Weitling, wiem. Dzięki mnie wschodzi słońce. Słyszę, jak wschodzi. Beze mnie nie ma deszczu. Kiedy słońce wzejdzie i krew wyschnie, będzie tak pięknie. Ja, tak się stanie.

Koniec głodu. Niepewności. Będzie wszystko, czego będziemy potrzebować.

Egan przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

- No cóż - odezwał się -już to kiedyś słyszałem.

- Ale jeśli nie będzie krwi, wszystko zostanie zniszczone. Ciemność. Słońce spadnie i gwiazdy, i księżyc. Ziemia się otworzy i wszystko zostanie zmiążdżone jak Weitling.

- Mamisz się, Weitling. Wszystko to samo się o siebie troszczy. Na tym polega piękno tego wszystkiego. Przynajmniej tak powiadają. - Wziął do ręki butelkę rumu, jakby miał zamiar się napić, ale zaraz ją wypuścił. - Nie rozumiesz, że lepiej, by świat sam doszedł do kresu i zniszczenia, tak żebyś nie musiał się zmuszać do czynienia tych okropieństw? A może małe dzieci zostały stworzone po to, by cierpieć i zginąć?

Weitling przestał się kołysać i wstał. Uroczysta mina zniknęła, jego silna, szeroka twarz się odprężyła.

- Jestem mały - zwrócił się do Egana, patrząc na niego z góry - ale dla ciebie jestem zbyt wielki. On jest ze mną i jestem silny. - Cóż, dla mnie jesteś za silny, ale nie w tym rzecz. Idź, Weitling. Wróc do

swoich, znajdź swego biskupa albo starszych, niech oni pomogą ci wrócić do zdrowia.

- Tam gdzie pójdę - oznajmił Weitling - oni mnie nie znajdą.

Rozejrzał się i obrócił w stronę Pabla.

- A ty - oświadczył mu - ty nie jesteś dobrym chłopcem.

Pablo parsknął.

- Doprawdy? - spytał.

Rolnik cofnął się o krok, odwrócił i poszedł w swoją stronę. - Jeden wielki syf- powiedział Pablo. -

Powinieneś ogrodzić to miejsce.

- Musisz wiedzieć - wyjaśnił ksiądz - że on morduje dzieci. Nie wiemy, ile właściwie już zabił. Słyszysz głosy.

- Naprawdę to robi? Zabija małe dzieciaki?

Patrząc w ogień, Egan skinął głową.

- Człowieku, jeśli to on, nie powinieneś go tak puścić.

- A co powinienem zrobić?

- Eee, cholera, powiedz komuś. Albo go zamknąć. O, właśnie, świetna myśl.

- Gdybym powiedział komukolwiek w okolicy, powiesiliby go jeszcze tego samego dnia.

- I co w tym złego? Nie zrobiłby już więcej nikomu krzywdy.

- Tak. Ale nie jestem pewien, czy nie można by mu pomóc. - Zgrywasz się, czy co? Po prostu nie masz dzieci, dlatego tak mówisz.

- Ach - zgodził się Egan. - Może i masz rację. - Zadumał się na chwilę. - Wiesz, zawsze dzieci stawiałem na pierwszym miejscu, chociaż nie mam swoich. Zawsze mnie nękało, że świat tak źle się z nimi obchodzi. Że się gubią w dżungli i wpadają w pułapki. Bolały mnie te wszystkie okropnie rzeczy, które im się przytrafiają.

Sama myśl o tym potrafiła zniszczyć najpiękniejszy dzień. - I, kurwa, masz rację, facet. Dzieci to jedyna czysta rzecz na tym zgniłym, pieprzonym świecie. Ludzie gównem mnie obchodzą, sami sobie

ściągną ten syf na głowę. Ale z dziećmi to zupełnie inna sprawa.

- Ale Weitling... W pewnym sensie on też jest dzieckiem.

- Jak dla mnie to jest zwykłym mordercą, cholernym czubem.

Na takiego jest tylko jedno lekarstwo.

- Jest bardzo chory, a w głowie roi mu się od majaków i historii, które źle na niego wpływają. Nie jest

w tym odosobniony. Pablo westchnął i przekręcił się, żeby się podeprzeć na łokciu. - Nie wiem,

brachu - powiedział ze znużeniem. - Mam swoje problemy.

- Próbowałem dotrzeć do menonitów, żeby im o nim powiedzieć; poprosiłem moich przyjaciół w górach, żeby się z nimi skontaktowali. Ale nie mają telefonów, mieszkają w niedostępnych miejscach, często w ogóle nie rozmawiają z obcymi.

Egan znowu sięgnął po butelkę i tym razem wypił.

- Oczywiście, że masz rację. Będę musiał dopilnować, żeby go schwytano. Mam się tak samo jak on.

Na wzmiankę o chwytaniu, Pabla ogarnął niepokój. Patrzył na odległą twarz starca, trupioblada nawet

w świetle ogniska, i poczuł narastający ból w nodze, zrobiło mu się zimno.

Źle idzie - pomyślał. - Coś tu śmierdzi.

Egan pił rum. Siedział z opuszczoną głową, cicho mówiąc do siebie.

- I znowu nie zobaczyłem... - usłyszał Pablo. - Czy to dlatego, że brakowało zmysłowości, ja sam...

Słaby głos duchownego zamarł.

Pablo usiadł prosto.

- Słuchaj, człowieku, obiecałeś, że mi pomożesz. Powiedziałeś, że znajdziesz mi wyro. Dasz

lekarstwa. Jestem chory, chory, rozumiesz?

- Statek - odezwał się starzec. - Walczyłeś na statku. Dlatego tu się znalazłeś.

- Co cię, kurwa, obchodzi statek?

Strach, który czał się w mroku, musnął go swoimi piórami. Podejrzane miejsce. Mordercy,

kompletnie szurnięty staruch. Był jednym z nich - mieli wszystko, czego sobie człowiek zażyczy, a tak naprawdę mieli gówno. To podejrzane miejsce, złe miejsce. Może nawet w ogóle nie istniało.

- Coś się dzieje, Pablo - podjął ksiądz. - Coś, co ma związek z miejscem, w którym się znaleźliśmy.

Chłopakowi ścisnęło się gardło. Otworzył usta, żeby wciągnąć powietrze.

- Co masz na myśli?

Tabletki zaczynały w końcu działać. Lepiej, żeby ci ludzie uważali. I niech nie próbują nim manipulować.

- Przyglądałeś się kamieniom?

Pablo zrozumiał, że tamtemu chodzi o te stojące płyty z na-pisami.

- No, mniej więcej.

- Obejrzałeś je uważnie? Czytałeś, co tam jest napisane? - Było ciemno. Zresztą, skąd mam wiedzieć, jak czytać te gryzmoły?

- Kamienie opowiadają o ofiarach z ludzi. Wszystkie rzeźby, wszystkie postacie mówią wyłącznie o tym i o niczym innym. - Ofiary z ludzi - powtórzył Pablo.

- Pewnego razu przyjechał tu człowiek z muzeum narodowego. Odrysowali na papierze wszelkie inskrypcje i rysunki, zabrali wszystko, co można było wziąć. Twierdzili, że to na wystawę w muzeum, ale oczywiście dostała to rodzina prezydenta i czym prędzej sprzedała. Wzięli kości i skorupy z rysunkami. Tamten człowiek mówił, że dzięki temu dowiedzą się czegoś o życiu codziennym sprzed wielu lat, o stosunku ludzi do życia. Okazało się jednak, że się mylił, okazało się, że każda kreska mówiła o ofiarach z ludzi - nawet na kościach. Tak jakby nie istniało coś takiego jak życie codzienne. Tylko ofiary.

Tabor patrzył na niego nie rozumiejącym spojrzeniem. - Rozumiesz, Pablo. Nad tym miejscem wisi

przekleństwo. Ono przyciąga ludzi pokroju Weitlinga czy takich jak ty. Pole krwi. Miejsce Czaszki. -

Starzec ściągnął brwi i potrząsnął głową. - Czy to możliwe? Świątynia? Świątynia demiurga?

Pablo poczuł ciarki na plecach.

- Ale czemu nie? - spytał Egan. - Czymkolwiek byłoby życie, na pewno nie jest rozsądne. Znaki i cuda,

co?

- Słuchaj no - odezwał się Pablo. - Próbujesz mnie wyrolować.

W jego pamięci odezwało się echo jakiegoś starego koszmaru.

Miejsce Czaszki.

- To, co się wydarzyło, to była najczystsza samoobrona i nic więcej, rozumiesz. Tamci ludzie byli źli, chcieli mnie zabić, człowieku. Miałem szczęście, że w ogóle przeżyłem. Do oczu księdza znowu powróciło życie. Zacisnął wargi i uderzył Pabla pięścią w klatkę piersiową.

- Coś się dzieje, Pablo. Zawsze. Coś biegnie swoim torem.

- Nie... - zaczął Pablo - Nie ro...

- Pewien proces. - Egan głęboko zaczerpnął tchu, zatrzymał oddech i wypuścił powietrze w chrapliwym szepcie. - Niezmierzony. Wpadłem w taki syf - pomyślał Pablo - że równie dobrze mógłbym już być nieboszczykiem. Żadna różnica.

Przypomniały mu się poranki w sosnowym lesie, wyprawy na polowanie. Ale przecież zastrzelił swoje

psy.

- Wyobraź sobie - ciągnął Egan. - Ta kolosalna, immanentna siła, a to tylko błysk w łajnie. Warstwa na warstwie leżą intencje, świadomość. Niezmierzona wola. Niewidoczna i obejmująca wszystko.

- Możesz mi dać łyka tego rumu, brachu? - spytał Pablo.

- Wiesz, nie czuję się najlepiej.

Kiedy Egan nie odpowiedział, sam sięgnął po butelkę. - Jest wpleciona. Ukryta we wszechświecie.

Wszędzie, a mimo to wечно nigdzie. Zawsze obecna i nigdy nie osiągalna. Jasne spojrzenie ojca Egana padło na Pabla. Wyglądał, jakby go nie poznawał. A jednak zawołał go po imieniu.

- Pablo - powiedział. - Co za tajemnica, he?

- Nie - odparł Pablo - nie, nie czuję się najlepiej, nie kłamię.

Nie podoba mi się mój stan.

- W końcu jest tutaj, zostawiając znaki, szykując pułapki. Jak pułapki na owady, ukryte wśród liści. Na motyle. Nigdy jej nie znajdujemy. Czy ona kiedykolwiek nas odnajduje? - Boli mnie ta noga - skarżył się Pablo. - Wydaje mi się, że coraz z nią gorzej. - Z trudem sięgnął do kieszeni dżinsów. - Widzisz, mam tylko tyle tabletek przeciwbólowych i muszę dostać więcej. - Podsunął buteleczkę Eganowi pod nos. - Nawet aspirynę, bylebym cokolwiek dostał.

- Rozpoznasz tancerza po tańcu, Pablo. Wiesz, to o tym jest wiersz. W tym cały problem.

- A ciebie to gównem obchodzi - oświadczył z goryczą Pablo. - Ależ obchodzi - odparł pogodnie Egan,

nawet nie patrząc na Pabla. -A teraz posłuchaj. Pewien mój przyjaciel spędził pięćdziesiąt lat w Afryce.

Opowiadał mi, że była tam ćma, która mieszkała wyłącznie w koloniach, żyjących na gałęziach pewnego gatunku drzew. Siadały na takiej gałęzi i układały z siebie liść albo kwiat o zupełnie nie znanym w naturze wzorze. Ich własnym. Cudowne, prawda? Ale to jeszcze nie wszystko. Jeśli się potrząsnęło gałąź, ćmy uciekały. Po dziesięciu minutach wracały i układały się w dokładnie ten sam liść czy kwiat. Setki, może tysiące ciem, każda dokładnie w tym samym miejscu. Każda ćma zajmowała dokładnie to samo miejsce w całości. - Obrócił się ku chłopakowi. - Układanka.

Zrozpaczony Pablo wznosił oczy ku niebu i zazgrzytał zębami.

- Nie wiem, kurwa, o czym ty w ogóle pierdzielisz, stary czubku.

Obiecałeś, że mi pomożesz.

Egan poklepał Tabora po ramieniu.

- Niepojęte - stwierdził. - Credo quia absurdum

Pabla zmęczył już gniew. Niepokój zmieniał się w ponury, niemal grobowy nastrój. Będzie musiał tyknąć jeszcze prochy, znieść brak odpoczynku, ryzykować uruchomienie strachów, które mieszkają na dnie butelki. Jest jeszcze rum, może się przydać. Miał wrażenie, że mózg mu się kurczy.

- Lśniaca. Odbicie.

Pablo włożył do ust pastylkę i próbował ją przełknąć. Miał wrażenie, że ma tam suchą trawę. Źdźbła

drażniły mu gardło. Kiedy przymknął oczy, widział małe, wirujące światła. Miejsce Czaszki.

- Czemu jesteś tak nieosiągalny? - zawołał Egan w stronę lasu.

- Dlaczego tak musi być?

- Z kim ty rozmawiasz? - spytał Pablo.

Egan postąpił mu smutny, pocieszający uśmiech. Obaj czekali, jakby z lasu miała nadpłynąć odpowiedź.

- Opłakuję Weitlingów tego świata, Pablo. Są ofiarami rzeczy takimi, jakie one są. Jakieś substancje

we krwi, niedobór cukru w komórkach mózgowych i załapują wszystko. To co widzą, jest całkiem realne, jest tak wszechogarniające, że uznają to za Boga. Nie sposób zobaczyć to, co oni widzą, i nie oszaleć. Obrócił się w kierunku, w którym udał się Weitling, przez chwilę wpatrywał się w miejsce, gdzie tamten zniknął, i znowu popatrzył na ogień.

- Zostali wybrani. Kapłani, bo widzieli, biedni dranie. Właśnie tym jest szatan, Pablo. Szatan, to rzeczy takie, jakimi są. Pamiętasz Mefistofelesa, hę? "Dziwne, choć to piekło, my z niego nie uciekamy".

Pablo zamknął oczy. Wzdrygnął się.

- Mówimy, że się mamy, ale to przecież rzeczywistość stanowi ich problem. W przeciwieństwie do

ciebie i do mnie, widzą ją jasno - żadnych załamania, żadnej powiastki, żeby się podeprzeć, muszą sami od początku do końca wymyślić swoją historię. Wypala im mózgi i muszą nazwać to objawieniem.

Prymitywne skojarzenia, współczująca magia, co się nawinie pod rękę. Sam wiesz, jak to jest, chłopcze, każdy musi nadać cierpieniu jakiś sens. Tamten jest pierwotnym, barankiem paschalnym, po-święceniem. Ale to nie jest objawienie. Objawienie to coś innego. Egan przez chwilę milczał, potem otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Taborowi chciało się wyć.

- Co to jest, na miłość boską?

- Jest w porządku, Pablo, rozumiesz? Do tego wszystko się sprowadza. Wszystko jest w porządku.

Wbrew pozorom. Nie można wyciągnąć innego wniosku.

- Nie wiem, co z was za banda - odparł kompletnie załamany Pablo - ale wszyscy jesteście szurnięci.

Myślałem, że mi pomożesz. Nie mam nic do roboty w tym wariatkowie.

- Pablo, słuchaj, jest w porządku. I dla ciebie. Zajmiemy się tobą. Jesteś wśród przyjaciół.

Oczy starca nie dawały mu spokoju. Pablo szukał jakiejś ucieczki, odrobiny rozsądku, jakiegoś klucza,

oznak brzasku. Sytuacja go przerosła.

- Ej! - zwrócił się do księdza. - Czyja to była świątynia, co mówisz?

Egan przez chwilę wpatrywał się w niego, nie rozumiejąc. - A, a tak, demiurga. Taka przerośnia.

Przynajmniej tak mi się wydaje, ale któż to może wiedzieć? Inny system teologiczny. Roześmiał się do siebie. Pablo poczuł na karku zimny dreszcz.

- Mówiłeś... o szatanie. Przecież mówiłeś o szatanie, tak?

- Ta sama historia.

- Chryste - jęknął Pablo. Serce waliło mu jak młotem.

- Te systemy, Pablo... różne określenia tego samego procesu.

Liczy się tylko to, do czego wszystko się sprowadza. Pablo Tabor próbował wzrokiem przeniknąć ciemności. W żyłach tętniło mu narastające podniecenie.

- Kurwa mać - zaklął. - Jestem w tym. Ja. Jestem.

- Oczywiście - przytaknął Egan.

- Tutaj coś się dzieje - powiedział Pablo bez tchu. - Masz rację, stary. Coś bardzo dziwnego i szczególnego. Tutaj dzieją się różne rzeczy.

- Tak, rzeczywiście. Teraz to czujesz, prawda?

Pablo zadrzał, rozdarty między podnieceniem a strachem.

- Naprawdę to czuję - oświadczył, gwałtownie kiwając głową.

- Kurwa, ale ekstra.

- To świat poruszający się w czasie - wyjaśnił mu ojciec Egan. - Człowiek czuje te słabe drgania,

objawy kazuistyczne. Trochę ma pietra. Ale pod tym wszystkim... coś jest. - Lekko klepnął Pabla po ramieniu. - To kryje się w chwili. Weź to w dłoń, chłopcze.

Pablo szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w ogień. W tań-czących płomieniach widział smoki, dzikie konie, chóry demiur-gów, te rzeczy.

- Tak miało być - przemówił urywanym głosem. - Wszystko miało być właśnie tak.

Podniósł rękę do twarzy i pokręcił głową. Czuł się szczęśliwy.

- Właśnie po to tu się znalazłem - zwrócił się do ojca Egana. - Dlatego musiałem najpierw odlecieć.

To wszystko prowadziło właśnie do tego, rozumiesz? We wszystkim był ukryty cel i sens. Pomyślał o brylancie w kieszeni, dotknął go przez materiał.

- Z pewnością - przytaknął ojciec Egan.

- Kiedy zastrzeliłem psy - wyjaśnił zaabsorbowany Pablo - uru-chomiłem całą tę machinę. Od tamtej

pory wszystko wiodło mnie do tego miejsca.

- Staraleś się wrócić, Pablo. Jak wszyscy.

- Wtedy tam trafiłem, wiesz. Dostałem się na "Chmurę". Cały czas się uczyłem, choć wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Ojciec Egan potakująco skinął głową.

Oszołomiony poznaniem Pablo wpatrywał się w niego zdumiony. - St. Joost, tam poznałem tego starego Żyda. Umierał w mojej obecności. Mówił rzeczy, których nie pojmowałem, ale teraz rozumiem. Dał mi coś. - Pablo sięgnął do kieszonki i wyjął z niej brylant. - Nie pokazałbym tego nikomu, kto by mi się wydał podejrzany, ale ty jesteś w porządku, więc ci pokazuję. Ten stary Żyd mi go dał. - Egan popatrzył na brylant. - Nie daję ci go, kumasz? Stary dał mi dla mojego chłopca. Jest wart kupę szmalu, wystarczy na niego spojrzeć, ale poza tym on coś znaczy. Ma jakieś znaczenie, tak mi się wydaje.

- Zobaczmy - powiedział Egan. - Cóż on mógłby oznaczać? Ujął od spodu dłoń Pabla, w której spoczywał brylant, i uniół ją do góry.

- "Klejnot kryje się w lotosie", może właśnie to. Wieczne w prze-mijającym. Bodhisattwa ze współczucia odmawiający sobie nir-wany. Zgłębiający moją i twoją ignorancję, co? To metafora naszych przyjaciół buddystów.

Oczy Pabla zajaśniały.

- Kurwa mać. Santa Maria.

Czule wpatrywał się w brylant na swej dłoni.

- Ej! - zawołał do księdza. - Brylanty trwają wiecznie! Słyszałeś to zdanie? To coś znaczy, nie?

- Słyszałem - potwierdził Egan. - Może ma ono religijne znaczenie.

- Słuchaj - powiedział Pablo i przełknął ślinę. - Możesz mi opowiedzieć o moich poprzednich wcieleniach? Tego najbardziej chciałbym się dowiedzieć.

- Cóż, obawiam się, że nie. Nic nie wiem o poprzednich wcieleniach, ani czy w ogóle je posiadamy.

- Bajerujesz. Myślałem, że wiesz o tym wszystkim.

- Nie o przeszłym życiu. Mnie wystarcza jedno na raz. - Pewnego dnia ktoś mi o tym powie - zapewnił Pablo. - Prze-konam się o wszystkim, bo takie jest moje przeznaczenie. Ludzie będą do mnie przychodzić, żeby się dowiedzieć.

Ziewnął. Gorączka wywołana przez nagłe objawienie była ni-czym narkotyk, znacznie silniejszy od pigułek Callahanów. Poczuł się silny, spokojny, pogodzony ze światem, jakby nikt nigdy nim nie manipulował.

- Może tak, Pablo. Może jesteś obdarzony talentem i siłami do tego. Przechowujemy swój skarb w glinianych naczyniach. - Kurwa, ale ekstra.

Zmęczenie, które odczuwał, przestało być groźne. Wyciągnął się na kłującej trawie przy ognisku i przymknął oczy. Egan przyłożył dłoń do czoła Pabla, chłopak drgnął. Po raz pierwszy zwrócił uwagę na ranę na nodze Tabora i choć nie potrafił ocenić stopnia zagrożenia, widział, że jest brudna i nie-właściwie opatrzona.

- Możemy już iść - powiedział ksiądz. - Rozpędziłem się, za dużo gadałem. Jeśli jesteś w stanie iść,

doprowadzę cię do punktu opatrunkowego. To niedaleko.

Pablo uchylił powieki i potrząsnął głową.

- Trzeba się tobą zająć. Musisz dostać antybiotyki.

- Nie - odparł Pablo. - Chcę chwilę poczekać. Jestem zbyt zmordowany. Chcę tylko tu poleżeć i słuchać tych diabelnych ptaków. Reszta głównie mnie obchodzi.

Zapatrzył się w ogień. Przechylił głowę. Na brzegu polany rozdarł się ptak. Jakby w odpowiedzi rozległ się pisk dziewczyny -jedna z tych Amerykanek, gadających przez sen.

- Przebyłem cholernie długą drogę, wiesz o tym?

- Wrócę i ściągnę dla ciebie pomoc. Mamy pielęgniarkę, nic ci się tu nie stanie.

Pablo chwycił Egan za ramię i nie puszczał.

- Ty też masz zostać, brachu. Musisz mi opowiedzieć wszystko, co powinienem wiedzieć, bo po to tu się znalazłem. Egan usiadł na kłodzie, o którą opierał się Pablo, i pociągnął tyk Flor de Caria.

- W porządku - ustąpił.

I tak zaczął mówić chłopakowi o Świętej Pleromie i Niezgłębionym, Niepojętym, w którym istnieją wszystkie rzeczy, Panu Milczeniu i Otchłani. Opowiedział o zagubionej Zofii, dziwce Mądrości, która w swym godnym potępienia namiętym pragnieniu przeniknięcia Świętego, nie doceniła głębokości Otchłani i zgubiła drogę. Błąkająca się, przerażona Zofia, opowiadał Egan, zobaczyła, że wyrosła wielka ściana, dzieląca ją od Wszystkiego, od Niewysłowionego; po raz pierwszy natknęła się na Granicę. Z rozpacz po tej stracie, wyjaśnił Egan, Zofia powołała do życia strach i ból, zagubienie i wszystko to, co miało zastąpić w świecie obecność Świętego. Potem z tego wszystkiego narodził się De-miurg, siła niewiedzy, której mocą Pablo, on sam i wszyscy szli po omacku przez zupełne ciemności. Opowiadał o tym Pablowski nie tak, jak o nich pisał, ale jakby były to rzeczywiste fakty, jakby opowiadał dziecku bajkę. Ale, o czym przypominał mu Pablo, nie miał dzieci. Wtedy pomyślał, że może to są fakty, prawdziwe rzeczy, równie prawdziwe jak słońce, które właśnie wschodziło nad polaną.

Pablo zasnął, więc ksiądz wziął kawałek szmaty i owinął ją wokół ostrego patyka, żeby promienie nie

raziły chłopaka w oczy. Tabor nadal zaciskał rękę; Egan delikatnie rozchylił palce i znalazł w niej brylant. Wsunął go z powrotem do kieszeni, z której Pablo wcześniej go wyjął.

Ciekawe - pomyślał sobie. Przypuszczał, że chłopak go ukradł. Może zabił, żeby go zdobyć, tam na statku. Pokręcił głową, wziął butelkę i wypił.

W mieście, w nadbrzeżnych wioskach, dzieci Tecanu brały na ramiona codzienne ciężary i szykowały się do przetrwania z odzie-dziczonym po przodkach spokojem rządów krwio pijców i grabież-ców. Niedaleko, podróżujący po świecie młodzi ludzie, poruszali się przy ogniskach. Nad oceanem zielony, potem szary, przefiltrowany przez wodę pierwszy promień słońca, przeniknąwszy głębie, zajrzy do dziewczyny, która leżała pogrzebana na dnie morza. A ona nie będzie tam samotna. W lesie zaś Weitling zapewne spogląda na wschodzące słońce i rozpala się pod wpływem majaków o ofiarach i krwi. Egan postanowił, że pora zacząć obławę na szaleńca, by ocalić pozostałe dzieci.

Ksiądz zasłonił oczy przed słońcem i pomyślał o Niezgłębionym, przez dłuższą chwilę zastanawiając się, czy przez przerażającą zatokę otchłani, przez ciemności i ciszę mógłby zaryzykować skierowanie ku Temu modlitwy. W końcu się nie odważył. Wziął rum. Wypił. Wreszcie wydarzenia nocy i jego zmożyły i zapadł w sen.

Rozdział trzydziesty drugi

Holliwell nie zasnął, choć leżał w łóżku do świtu. Ledwo na niebie pojawiły się pierwsze promienie dnia, pojechał do misji, zaparkował samochód i ruszył wąską plażą. Widok oceanu wzbudził w nim niepokój. Nie dał się oszukać efektownymi pokazami: koronkami piany na łamiącej się fali, delikatnym tęczmom w kroplach wody. Wiedział, co rozciąga się pod tymi beztroskimi pozorami. Poranne igraszki morza przywołały przed oczy inne obrazy: pomalowany w kwiaty samochód do przewozu trupów, jaskrawy turban na głowie trędowatego. Niedaleko plaży w Da Nang widział trędowatego w koszulce z napisem: "Pocałuj mnie". Nie było się o co wściekać; jakiś dowcipniś wymalował tę propozycję, a

trędowaty dostał koszulkę. Holliwell przed dłuższą chwilę stał nad wodą. Za ledwie parę metrów dalej, pod jasnoniebieskimi falami, rozciągał się najbar-dziej spontaniczny z wszechświatów. Jego gra oszałamiała. Ma-miła przemijające ciało obietnicami, przyrzekając wszystko od kiepskiego piwka po chłodne unicestwienie.

Czy zawsze musi się błądzić przez opary wśród duchów, zawsze zostaje się na to skazanym, choć nigdy się to nie kończy? Złudzenia składające się na kolejne złudzenia, nieograniczone halucynacje bez końca i jakiegoś stałego punktu - pragnienia, lęki, przerażają-ce cienie i światełka, swoje własne delirium i delirium wszystkich pozostałych. To właśnie trzymało człowieka przy życiu. Trzymało przy życiu, póki serce nie mogło dłużej tego znieść i pękało. Jesteś zakochany - przypomniał sobie. - W May. A ona jest ścigana.

Zapalił papierosa, wypalił. Kiedy się obejrzał, zobaczył ją, jak stoi przy drodze. Czekająca na autobus, dłonią osłaniała oczy przed promieniami słońca. Holliwell wrzucił resztę papierosa do krysta-licznie czystej wody.

Szła ku niemu między rozkładającymi się liśćmi palmowymi i wodorostami. Serce łomotało mu w piersi. Czyżby rzeczywiście? Miłość? Kolejne pragnienie oczyszczone z radości, jeszcze jeden narkotyk krążący w słonawej krwi. Namiętność, którą trzeba będzie wepchnąć do wilgotnej klatki świadomości. I oto stała obok, drząc w chłodzie poranka, dziewczyna o miodo-wych włosach. A ty chciałeś z nią być, oczywiście, że chciałeś. Chciałeś uleczyć się z samotności. Chciałeś w jakiś cudowny sposób zburzyć dzielące was mury, które odgradzały wasze ja, twoje i May. Każdy by chciał.

Otworzył usta, ale wyraz jej twarzy sprawił, że umilkł. Kiedy to sobie przypomni, będzie myślał, że wyglądała niczym zjawa - postać z innej materii, która nagle mu się objawiła. Nieustanny chaos, jaki w nim się kłębił, dla niej był zjawiskiem całkowicie nie znanym. Pomyślał sobie, że May musiała zawrzeć jakąś tajemną umowę ze światem rzeczy; jej piękność była pięknnością osoby wewnętrznie ułożonej, pewnej. Taka kobieta żyje, umiera, doko-nuje wyborów, wszystko robi ze spokojnym sercem. Może rządzić, leczyć chorych, maszerować z apokaliptycznymi legionami. Do tego stopnia wyglądała na

zjawę.

Teraz ta drżąca dziewczyna z pewnością czuła się zagubiona. Nie mogła się ratować doświadczeniem, nie znała się też na podstępach. Z niewinności wylądowała w miejscu, gdzie ziemia drży pod stopami i nic nie jest takie, na jakie wygląda. Zdradzona królowa mieczy. Albo zwykły zdrowy rozsądek na wyczerpaniu, u granic wytrzymałości.

Pod tym względem stanowiła wyzwanie i prowokację dla istot w typie Holliwella. Ogarniało go pragnienie, by ją kochać albo zniszczyć. Jeśli jeszcze bardziej je obnażyć, zmierzało ku obu tym rzeczom, by pochłonąć jej ciało i ducha. Złowieszcze, nie-bezpieczne.

Ale on był uczciwym człowiekiem, za takiego go uważano. Zdolnym do poświęcenia i honoru. Dlatego też May stanowiła dla Holliwella coś, czego bał się znacznie bardziej niż wyzwania. Stanowiła wybór.

Zamknął oczy. Otworzył. Strach, bezsenność i picie zupełnie go rozstroiły, zresztą nie po raz pierwszy. Miał majaki. - A więc wróciłeś.

- Oczywiście, że tak - odparł.

Przeszli razem po piasku, wspięli się po schodach do am-bulatorium. Na kuchence grzała się kawa. May naląła dla nich obojga.

- Tak się zastanawiam - odezwał się Holliwell po chwili - czy pozwoliłabyś mi wlać do niej parę kropel brandy?

Natychmiast poderwała się z krzesła. Nadal roztrzęsiona, bardzo blada przyniosła mu małą buteleczkę brandy.

- Piję - wyjaśnił.

- Wiem - oświadczyła spokojnie. - Widać to po twojej twarzy.

Charakterystyczna miękkość.

Holliwell cofnął się rozbawiony i dotknięty.

- Twoja twarz jest zarazem twarda i miękka - poinformowała. - Wygląda na twardą i nieco zaciętą, ale niektóre miejsca są zaokrąglone.

Ostrożnie przytaknęła.

- W tym momencie już całkiem niezłe ją poznałam. Myślałam o tobie.

Ciekaw był, o czym myślała. Kogo, swoim zdaniem, miała przed sobą.

- Wczoraj wieczorem czułam, że stajesz się dla mnie kimś bliskim.

- Tak było.

- Wiem. Musisz zrozumieć, że dla mnie to dość rzadkie uczucie. Nie wiem, jak sobie z nim radzić.

Wypił wzmocnioną kawę.

O, May - pomyślał. - Nie jestem twoim zagubionym Tygrysem.

Był jej Przeciwnikiem. Teraz już jej nie wypuści, chociaż mógł. Pokazać mu ciało, zje; odsłonić wnętrze, zajmie je. Przeciwnik to kochanek.

Schwycił oba końce delikatnej sieci, w którą weszła. - Zakochałem się w tobie - powiedział. - Tylko tak mogę to wyrazić.

Wyciągnął rękę i doknął jej. W jednej chwili ogarnęła go radość i wyrzuty sumienia. Spotkały się dwa

głody i namiastka spełnienia. Wydawało mu się, że jej głód rozumie lepiej niż swój. Nie znała gry i to czyniło całą sytuację trudną, ale i podniecającą. Wmawiał sobie, że nie igra z nią, ale zdąży do godnego pocieszenia w przyjacielskim miejscu.

To nie była ta sytuacja, kiedy przez drzewa zapomina się o lesie.

Ona tam była, zawsze. Gdyby ją porzucił, będzie się naprzykrzać.

Miała nieskończone oczekiwania i bez wstydu dążyła do spełnienia. Spełnienie, do którego dążyła, było niewinne i stanowiło odbicie jej wyobrażeń o ziemskiej miłości. Czasem myślał o niej jako o Ewie. A nad tym wszystkim i w tym wszystkim było bicie jej serca. Holliwel czuł jego rezonans w swoim ciele. Pieścił bicie jej serca nadając temu wymiar seksualny. Badał jego uderzenia pod ciepłym jej jedwabistej skóry. Chciał go dopaść w głębi jej ciała, znaleźć się w niej, gdzie jego rytm kształtował

jej wnętrzonosci i kości niczym primum mobile. Chciał, by bicie jej serca nim owładnęło. Chciał trzymać w dłoniach to serce.

Był taki rozpalony, że nie potrafił bardziej przedłużać. Pomogło jej narzucenie się jego egoizmowi, i kiedy nadeszła chwila, której właściwie się obawiał, był już gotów. Dudnienie w drżące wrota, rozlegające się echem wśród ścian. Jeszcze raz. Jeszcze raz. Nie ukrywała się. Była. Czekala.

Sądził, że może dzielić jej ból. Przebijanie dziewictwa było takie, jak być powinno - przedłużenie jego

ciała szukające dla siebie schronienia, przedzierające się centymetr po centymetrze przez krew i przeszkody w poszukiwaniu jej coraz szybciej łomoczącego serca. Doświadczyli tego razem, odegrali wspólnie tę przerośnię. Kiedy już znalazł się w jej wnętrzu, był wolny. Przez chwilę potrafił sobie wmówić, że ściany jestestwa się rozpadły, a ich rozdzielenie zniknęło. Dla niego było to niczym wspianiały wiersz, pełen krwi i pożądania. Jej serce biło coraz szybciej, szybciej. Skończyli jako ocean.

Dopiero kilka minut później, już po wszystkim, uświadomił sobie, że jednak mu się wymknęła. Nie pojmował, jak to się mogło stać. Obrócił się ku niej i zobaczył, że ją stracił. Widział jej zęby przygryzające górną wargę. W jej oczach lśniły łzy. Oczywiście, zbyt wiele oczekiwał po tym akcie; dziwna naiwność z jego strony. Oboje oczekiwali o wiele za wiele.

Jak ostatni głupek zadawał stałe pytania. Czy dobrze się czuje, czyjej nie bolało, czy -jak to ujął - spodobało jej się. Odpychał ją, on, którego świadomość była Innym. Każde troskliwe pytanie, każde uprzejme zapewnienie jeszcze bardziej ich rozdzielało. Wstał, zaczerpnął wody z umywalki, żeby się obmyć, i podszedł do jednego z okien. Wcześniej May zamknęła okiennice, teraz otworzył jedną i po raz drugi dzisiejszego ranka spoglądał na ocean. Morze w jednej dłoni, kobieta w drugiej. On zaś pośrodku. Wszyscy troje znowu rozdzieleni w swej samotności i niezmienności. Złudzenia jedności umknęły.

Kiedy obrócił się w stronę jej łóżka, już siedziała owinięta w prześcieradło. Zauważył ślady krwi i odwrócił wzrok. Na twarzy kobiety zagościł dziwny uśmiech. Kiedy się odezwała, mówiła cichym, nieswoim głosem.

- Żona... O świtaniu będę... - usłyszał jej słowa. - Brzask... Czyliż masz dla mnie sztandar? -

Popatrzyła mu w oczy z zimnym, przesmutnym uśmiechem. - Nic nigdy nie wychodzi tak, jak to sobie wyobrażałam.

Znowu odwrócił się do okna patrząc na ocean.

- Nie powinnaś była tego mówić.

- O, nie. - Wstała owinięta w prześcieradło i podeszła do niego. - O, nie. Proszę, nie zrozum mnie źle. To było przyjemne. Bardzo przyjemne.

Kiedy obrócił się do niej, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

- Bardzo miłe, proszę pana. Bardzo miłe i nowe.

- Bolało - powiedział. - Nie tego się spodziewałaś. - Nie o to mi chodziło. Po prostu nie sądziłam,

że to się wydarzy właśnie tak.

- Ani ja. - Otoczył dłońmi jej szyję i popatrzył na zażawione oczy. - To się nie wydarzyło. Myśmy to zrobili.

-Tak.

Kiedy ją objął, stała nieruchomo. Delikatnie gładziła go po ramieniu trzema palcami, jakby głaskała kota. Osobliwy cios. - Poczekaj na mnie - poprosiła, szczelniej owijając się prześcieradłem. - Muszę się umyć.

- Nigdzie nie idę.

Oparł się o parapet, paląc, wyglądając na drogę. Słyszał, jak dziewczyna płacze pod prysznicem.

Wróciła ubrana w gładką niebieską sukienkę, z włosami schowanymi pod chustką w tym samym kolorze. Strój pielęgniarki, prawie habit.

- Masz naprawdę poważne kłopoty - zwrócił się do niej Holli-well. - Bardzo poważne i bardzo niebezpieczne. Obserwują cię bardzo źli ludzie.

Justin wpatrywała się w swoje niewyraźne odbicie w metalowym, polerowanym blacie stołu.

- Wiem o tym.

- Wiesz, kto?

- Jasne. Guardia Nacional i jej współpracownicy.

Umilkł na chwilę.

- Są jeszcze inni. Obcokrajowcy - odezwał się wreszcie. - Możliwe, że tutejsi podopieczni CIA. To wolni strzelcy. - Co to znaczy?

- To znaczy, że nikogo zbytnio nie obchodzi, co robią. A oni polują na ciebie.

Udało jej się uśmiechnąć.

- Właśnie na mnie?

- Uważają cię za element wywrotowy.

- Bo i jestem. Ale nie najlepiej mi to wychodzi.

- Cóż, udało ci się zwrócić na siebie ich uwagę. Chcą cię dorwać.

- Daj spokój, to nie o mnie im chodzi.

Przyglądał się, jak May powoli unosi palce do ust.

- Owszem, tak - powiedział. - O ciebie.

Nie potrafił jej tego wytłumaczyć. Wzbudziła w nich apetyty podobne do tego, który on sam odczuwał. On swój głód nazwał miłością, jak oni nazwą swój, nie miał pojęcia. To była napastliwość, wstyd - bezdradna wściekłość zwrócona przeciwko niewinności i wdziękowi, nienawiść okrutnika wobec miłości, życia i dobra. Nazwy ani słowa się nie liczyły, ta gra była stara, starsza niż one.

Przypomniał sobie bicie jej serca przy jego sercu i owo tętnienie krwi w absolutnej ciszy, jej odważne

pulsowanie odbijające się echem w wewnętrznym uchu tamtych mężczyzn skojarzyło mu się z rytmem zagubionego stworzenia morskiego, błądzącego wśród raf. Jej serce niczym legendarne zwierzę, samo przynoszące sobie zgubę. Jednorożec.

- A niech sobie na mnie polują - odezwała się, nie odrywając wzroku od lśniącego blatu. - W tym samym czasie ludzie, którzy naprawdę coś robią, mogą im zabrać kraj sprzed nosa. - Czyżby się mylili co do ciebie? Nie jesteś zamieszana w żadną poważniejszą działalność?

- Nie pomylili się. Byłam zaangażowana w walkę. Byłam. Czas przeszły. Wiedziałam, że mnie otaczają. Wycofałam się. Dałam znać zainteresowanym.

Potrząsnął głową.

- Jest już za późno. Musimy cię stąd wyciągnąć. - Spojrzał na drogę. - Jeśli wyjedziesz ze mną, może nawet nam się udać. - Och, Frank, nie mogę, sam wiesz. - Wzruszyła ramionami ze słabym, zmęczonym uśmiechem. - Jestem odpowiedzialna za ojca Egana. Jestem odpowiedzialna za to wszystko. - Musisz, May. Skrzywdzą cię.

Popatrzyła na niego ostro. Bała się i była zła na siebie, że się boi.

- Dlaczego w kółko powtarzasz, że chodzi o mnie?
- Bo chodzi o ciebie.
- Nie - odparła niepewnie. - Ja jestem niczym.
- Mogłabyś pojechać ze mną do Miami. A potem... Nie wiem.

Rzeczywiście, nie wiedział. Nie potrafił sięgnąć myślami dalej.

Poczuł na sobie jej wzrok.

- To już by było coś, prawda? - spytała.
- Spróbujmy, May.
- To już by było coś. Ale to niemożliwe. Nie mogę zostawić chorego, starego człowieka. Nie mogę opuścić ludzi, którzy mi zaufali. - Wolno pokręciła głową. - Nie, Frank. Nie teraz. Muszę przekazać moim przyjaciołom to, co mi powiedziałeś. I wtedy zapewne wymyślę coś mądrego. - Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, tak samo jak ubiegłego wieczoru. - Skąd wiesz to wszystko? O tych ludziach, o tym, kim są? O wolnych strzelcach?
- Potrafię takich poznać na kilometr. Byłem w Wietnamie.
- To stamtąd wyniosłeś tę małą bliznę?

Dotknął płatka ucha.

- Zgadza się. W górach.

- Mówiłeś, że... gdzieś indziej.
- Skłamałem.
- Musiało być tam strasznie - powiedziała. - Bardzo było źle?

Spodobałoby ci się - stwierdził w duchu.

- Dało się przeżyć.
- Nie wiem, kim właściwie jesteś.
- May, na miłość boską! Zbierajmy się i uciekajmy stąd! - Myślisz, że jestem za głupia, żeby się bać?
-

spytała. - Boję się jak lichy. Tak, chciaabym uciec. Boję się i chciaabym uciec. Ale nie rozumiesz, że to niemożliwe? - Przeszył ją dreszcz, uniosła odwrócone dłonie. -To po prostu niemożliwe. Nie mogę tego zrobić. Zbliżyła się ku niemu, podszedł do niej i przytulił. Stała w jego objęciu bardzo sztywna, przerażona, wpatrując się w ot-warte okno.

- O Boże, przyszli - usłyszał jej głos.

Szybko wypuścił ją z ramion.

- Kto?

Ostrożnie przysunął się do okna i zobaczył młodą dziewczynę z warkoczami, ubraną w oryginalną - chyba karaibską - sukienkę, jak szła plażą w stronę misji.

- Kto? Ta mała Indianka?
- Nie jest Indianką. Jest z miasta. To moja łączniczka.

Justin przełknęła ślinę i wyprostowała ramiona.

- Wczoraj przesłałam im wiadomość, że się wycofuję. Nie wysłaliby dziewczyny tutaj w środku dnia, gdyby nie chodziło o coś ważnego.

- Możesz ją zatrzymać na dworze?
- Nie sądzę. - Spojrzała na niego zawstydzona. - Będziesz musiał się ukryć. Jakoś stąd wyślizgnąć.

Niczym kochanek w farsie, Holliwell wymknął się przez okno w łazience, zsuwając się po twardej przyporze wbitej w zarośnięty stok, która podparła ścianę budynku. Przez krzaki przedarł się do

drogi, biegnącej wzdłuż strumienia, prowadzącej w głąb lądu. Szedł ścieżką jakieś pięć minut, potem stanął, usiadł pod drzewem przy brzegu i patrzył, jak owady ślizgają się po brązowej powierzchni wody.

Zrozumiał, że May nie pojedzie. Nie miał ani dość siły ani autorytetu, by ją przekonać. Teraz jemu samemu groziło niebezpieczeństwo, za daleko się posunął. Sprowadzało się to - musiał spojrzeć prawdzie w oczy - do tego, że myślał sobie, że uda mu się zapalić Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek. Oczywiście nieoficjalnie. W imię łączności. Wyobraził sobie, że zajmuje jakieś miejsce w tym interesie, a potem założył, że owo miejsce istnieje. Teraz będzie żałował, gorzko i głęboko. Niejasno uświadamiał sobie, że od tej pory jego życie się zmieni. Niezależnie od tego, co się stanie, nie będzie mądrzejszy. Nie przypuszczał, żeby jego zdolność osądu mogła wzrosnąć.

Las go wchłonął, oddzielając od misji i od morza. Pozostawiony w cichym, dusznym zawieszeniu, niczym we śnie szedł przez cieniłą, pachnącą dżunglę. Dzięki ścieżce i rzece trzymał się drogi, nie zabłądził.

Jakieś pół kilometra dalej nagle otworzyła się przed nim polana.

Za nią rozciągały się wzgórza, a jeszcze dalej urwista ściana gór. Na polanie w nierównym szeregu stały trzy stele, wyraźne, oczyszczone z brudu i roślin niczym obiekty muzealne. Najbliższa straciła kolor od częstego tarcia. Jeśli się o nią nie zadba - pomyślał Holliwell - wkrótce będzie po niej.

Podszedł bliżej i uważnie przyjrzał się polanie. Sądząc po zarysie, jedno ze wzgórz w pobliżu to piramida porośnięta dżunglą. Może jest ich więcej. Imponujące miejsce; to że polana leżała odsłonięta, nie strzeżona, najlepiej świadczyło o barbarzyństwie rządu. Ten, kto tarł tablice, żeby sporządzić odciski, równie dobrze mógł wykopać stelę i zabrać stąd, na to samo by wyszło. Zdziwił się, że Oscar Ocampo nigdy tu się nie wybrał, można było zbić na tym fortunę. Sama polana była wyjątkowo mało żyzna. To dzięki skąpej warstwie gleby kamienie tak wyraźnie się rysowały. Ziemia była piaszczysta, pokryta skorupami - zapewne metr albo nieco głębiej pod ziemią znajdowała się sól bądź słona woda i dlatego polana była jałowa. A może wisiądo nad nią jakieś przekleństwo kapłanów. Kiedy Holliwell

wynurzył się zza osłony lasu, po drugiej stronie polany dostrzegł śpiącego młodego mężczyznę. Wyglądał na Tecańczyka, na piersi miał zawieszony pistolet. Holliwell stanął jak wryty, potem skrył się w lesie.

Kiedy znowu znalazł się w cieniu budynku misji, schronił się przy strumieniu, w miejscu z widokiem na drogę. Nad sobą słyszał głos siostry Justin, rozmawiającej ze swym gościem. Ton był rzeczowy, serdeczny.

Wreszcie usłyszał stukanie podeszew sandałów o schody wiodące z ganku, dziewczyna z warkoczami minęła go, kierując się drogą do miasta. Odczekał, aż się oddali, i obszedł budynek, kierując się do punktu opatrunkowego. Idąc po schodach zobaczył ojca Egana - jeszcze w piżamie - który stał w oknie kuchni, mrugając powiekami, broniąc się przed ostrymi promieniami słońca. Egan pozdrowił go niedbałym machnięciem ręki. Holliwell zastój Justin w tym samym miejscu, w którym ją zostawił, obok okna. Popatrzyła na niego ze smutnym uśmiechem. - W tych waszych ruinach są ludzie - odezwał się do niej Holliwell. - Są uzbrojeni i nie wyglądają zbyt pokojowo. - Wszystkich tam mamy - odparła. - Teraz to bez znaczenia.

W jej głosie pojawiła się nuta, która go zaniepokoiła.

- Co się stało?

Głęboko wciągnęła powietrze i powoli je wypuściła.

- Wygląda na to... że wróciłam.

- Co przez to rozumiesz, May?

- To stanie się dzisiaj. - Jej oczy się rozszerzyły. - Wiesz, co to znaczy? To, na co wszyscy czekaliśmy.

Powstanie, Frank. Wybuchnie dziś wieczorem.

- Dobry Boże.

- Potrzebują mnie - ciągnęła. Napotkała jego przerażone spojrzenie. - Spytałam ich i powiedzieli, że

tak. Oczekują mnie w klinice spółki dziś o ósmej. Zebrali broń i ludzi, zamierzają zająć wybrzeże.

- May, czy ty nie zdajesz sobie sprawy, jakie to szaleństwo? Dla ciebie?
- Nic nie mów, Frank. Zrozum, jestem taka szczęśliwa. Nigdy nie byłam równie szczęśliwa.

Odwrócić się i zaczął krążyć po sali. Łóżko, na którym przedtem leżeli, było zasłane.

- Widać twoi przyjaciele nie zdają sobie sprawy, jakie namięt-ności wzbudziłaś.
- Szpiedzy mają pecha - stwierdziła Justin. - Już jutro skończą się wszelkie tajemnice.
- Wszędzie czają się agenci i policja. A może oni tylko czekają na twój ruch, żeby cię dopaść -

przekonywał.

Nie odpowiedziała.

- Och, na miłość boską, May. Niech sobie urządzają tę swoją przeklętą rewolucję, ale bez ciebie. Jeśli

wygrają, i tak cię wygonią. - Nie przyjechałam tu, żeby obejrzeć kawałek świata, zbić majątek czy zdobyć wykształcenie. Przyjechałam, bo po prostu i zwyczajnie chciałam pomagać ludziom. Nie wycofam się teraz. - Ech, kurwa - brzmiał cały komentarz Holliwella. - To nie ja decyduję o tym, czego ludzie ode mnie chcą. Oni decydują, a ja staram się to zrobić. Takie są reguły gry. Zawsze je akceptowałam.

- Wykorzystują cię.

- A żebyś wiedział. Wreszcie, dzięki Bogu.

Znalazł kolejną miniaturową buteleczkę brandy i otworzył.

- Powiem ci coś teraz, May, coś, czego nie chciałem ci mówić.

Powiem ci, żebyś zdała sobie sprawę ze swojego położenia. Zmusił się do spojrzenia jej w oczy. Na jej twarzy nadal gościł blady, nieufny uśmiezek.

- Kiedy tu przyjechałem, pewien mój znajomy, o którym wiem, że pracuje w wywiadzie, poprosił mnie, żebym sprawdził to miejsce. Miałem się dowiedzieć, co wy tu knujecie. Czy wiesz, co to oznacza?

- Mów dalej.

- To znaczy, że ktoś na ciebie donosił. Aż do Waszyngtonu. Jeszcze niedawno siedziałem w

nowojorskiej restauracji i rozmawiałem o tobie z tym człowiekiem. A teraz, proszę, zastanów się i powiedz, jakie masz szanse.

Zastłoniła oczy dłonią i oparła się o framugę okna.

- Cóż - odezwała się po chwili - będziesz miał im co opowiadać, prawda? A do tego jeszcze mały, świński dowcip, co? - Odmówiłem mu, May. Powiedziałem, że tego nie zrobię. Potem w Santiago zahaczył mnie kolejny agent. Znowu o ciebie. Stano-wicie własność publiczną, ty i twoi przyjaciele.

Dopił brandy i rzucił butelkę do metalowego pojemnika na narzędzia. Nieprzyjemny, metaliczny odgłos zadźwięczał w powietrzu.

- Wszystkim im odmówiłem. Wierz mi albo nie, ale przyjechałem tu wyłącznie z pobudek osobistych.

Może chciałem zobaczyć ludzi, którzy robią to, w co wierzą. A może po prostu byłem ciekaw.

Zwrócili się do mnie, bo pomogłem raz firmie w Wietnamie. Teraz już dla nich nie pracuję. Nie składałem żadnych raportów. Płakała cicho. Odstłoniła oczy i podeszła do Holliwella.

- Jest pan ogromnie przekonujący - powiedziała.

I dzieliła go pięścią w nos. Cios był silny, na chwilę go omduszył. Uderzyła go jeszcze dwa razy, prawe sierpowe. Z nosa popłynęła krew. Przyłożył sobie do niego chusteczkę. - Mówię ci prawdę. Możesz mnie zabić, jeśli chcesz, masz czas. - Wiesz co? - spytała. - Niewiele brakowało, a bym z tobą pojechała. O mały włos.

- Żałuję, że tego nie zrobiłaś, May.

- Jesteś kolejnym z tych łajdusów. Teraz to widzę. Nie obchodzą mnie twoje słowa.

- Mylisz się. Powiedziałem, że cię kocham, i mówiłem to szczerze. Nie jestem pewny, co to znaczy zakochać się w kimś. Zapewne to coś bezsensownego i głupiego. Ale kocham cię, wierz mi.

Cokolwiek by to oznaczało.

- A ja uważałam siebie za głupią. Jesteś gorszy niż ja. - Nie chciałem ci mówić. Miałem zamiar tego

nie robić. Jak się okazuje, równie dobrze mogłem to sobie darować.

- Och, ależ ja się cieszę, że to zrobiłeś. Teraz już wiemy, kim jesteście. Przynajmniej co nieco.

Stali w milczeniu, wpatrując się w wyszorowaną podłogę ambulatorium.

- Niewiele mogę zrobić dla ciebie w hotelu. Po prostu uważaj. Tamtym ludziom wydaje się, że wiedzą, dlaczego tutaj się znalazłem, ale nie zwierają mi się ze swoich sekretów. - Uśmiechnął się. - Chyba mi nie ufają.

- Cóż, twoja sytuacja też nie jest najlepsza. Jeżeli oczywiście nie kłamiesz. - Popatrzyła na niego, jakby

się czegoś wstydiła. - Muszę założyć, że nie kłamiesz, kiedy mówisz, że dla nich nie pracujesz.

Inaczej nie wiedziałabym, co zrobić, jestem nowa w tym fachu.

- Rzeczywiście, moja sytuacja nie jest najlepsza.

- Ruszamy, Frank. Pójdę tam, gdzie mi każą. To miejsce zamieni się w pole bitwy i to ty powinieneś

czym prędzej stąd uciekać. Podeszła do lodówki, wyjęła kostkę lodu owiniętą w gazę i podała

Holliwellowi. Przyłożył ją sobie do nosa, otarł krzepnącą krew. - Bóg nie działa przez historię, May.

To kolejne błędne mnie-manie zachodniej kultury.

- Jak na mnie, za bardzo to metafizyczne. Ja nie wiem, jak działa Bóg.

- Ci ludzie naprawdę nie mają nic wspólnego z powiastką umoralniającą. W tym bajzlu, w jakim żyjemy, nie znajdziesz morału. Oczywiście, możesz sobie wmówić, że jest w tym coś bajkowego. Ale wszystko to są bzdury.

- Na przykład miłość - dorzuciła.

- Tak. Na przykład miłość.

Justin uśmiechnęła się. Spoglądała na ocean.

- Kiedy byłem mała, któregoś razu jechałam sobie na kucu i nagle zobaczyłam to coś, jadące drogą.

Nie wiedziałam, co to może być. Przystanęłam więc, zsiadłam z konia i patrzyłam. Okazało się, że to ciężarówka ciągnie olbrzymi dom. Wielki, stary dom, Frank, postawiony na płycie, która zajmowała całą drogę. Faceci przenosili go w inne miejsce i wszyscy wyglądali na takich dumnych z tego, co

robią. Dumni, że im się przyglądają. Że ja się im przyglądam. - Odwróciła się do Holliwella i roześmiała. Patrzył na nią i miał wrażenie, że serce mu pęknie. - Byłam taka podniecona! Nie wierzyłam własnym oczom: ci ludzie przenosili dom. To tak jakby przenosili górę. Poczułam się dumna. Pomyślałam sobie, że oto człowiek zdolny jest uczynić wszystko. Wystarczy tylko chęć i siła.

- Zerknęła na niego z rozbawieniem.

- Nie rozumiesz, o co mi chodzi, prawda?

- Nie rozumiem - odparł. On też się roześmiał. - Nie mam zielonego pojęcia.

- Zupełnie inaczej myślimy. - Potrząsnęła głową. - Boże, musieliśmy postradać zmysły, żeby tak od razu wskakiwać do łóżka. Obcy sobie ludzie. Jak para zajęcy. To chyba moja wina. Musiałam stracić świadomość.

- Nie sądzę.

- Widzisz, ja nie potrafię zachować cienia nadziei w rozpacz, tak jak ty to robisz. Nie potrafię znaleźć

w niej pocieszenia. Zwilżył chusteczkę w topniejącym lodzie i wrzucił go razem z gazikiem do metalowego pojemnika.

- Doprawdy nieuczciwie pan ze mną postąpił, panie Holliwell.

Powiniem się pan wstydzić.

Widział, jak odsuwa się od niego, znika z jego życia.

- Przepraszam - odrzekł. - Ale nie żałuję.

- Wierzę w każde twoje słowo. Ale nie będę udawać, że cię rozumiem. Zawsze taki będziesz?

Wzruszył ramionami. Wyciągnęła rękę i musnęła go po policzku.

Zaskoczyła go czułość tego gestu.

- Wydaje mi się, że rozpacz i poddawanie się losowi są dla ciebie jak alkohol. Upijasz się nimi. Ale to nie dla mnie, Frank. Mam zupełnie inny temperament. Nie jestem tak wyrafinowana. Kiedy ruszył do drzwi, podeszła razem z nim. Na chwilę ujęła jego dłoń, potem wypuściła.

- Oboje będziemy musieli znaleźć jakieś wytłumaczenie twojej tutaj obecności, w razie gdyby ktoś

zobaczył - odezwała się. - Oboje będziemy musieli wymyślić kłamstwa.

- Czyli nie doniesiesz na mnie powstańcom?

- Nie, nie doniosę. Chcę, żebyś wrócił, kiedy już będzie po wszystkim. - Przystanęła, on też się zatrzymał. - Ufam ci teraz. Proszę, powiedz mi, że dobrze robię.

- Dobrze robisz, że mi ufasz - odrzekł. - Przecież cię kocham, prawda? Już ci to mówiłem. - Jakiż ten

świat jest dziwny.

]Rozdział trzydziesty trzeci

Holliwell dowiedział się, że dzisiaj Rio de la Fe nie popłyną żadni pasażerowie. Z miasta nad jeziorem

nie dotarły statki i w krytych blachą biurach przewoźnika brakowało jedno-myślności w tej kwestii.

Urzędnik pochodzący z wysp oświadczył, że to zapewne jakieś problemy z papierkami. Indianin z gór zauważył, że dziś rzeka jest niebezpieczna. Wszystko w rękach Boga - stwierdził Indianin.

Wietnamka w biurze linii lotniczych oznajmiła Holliwellowi, że dziś nie ma żadnych samolotów. Dawła mu cień nadziei na czwartek. Wrócił jeepem do hotelu. Panowała w nim cisza. Szpiedzy i handlowcy się ukryli. Kupił w barze butelkę rumu, poszedł do swojego domku i upił się do nieprzytomności. Wkrótce po zapadnięciu zmroku do pokoju weszła grupka mężczyzn; przebudzili Holliwella. Było ich trzech. Zapalili nocną lampkę, potrząsali nim. W ciepłym świetle lampki rozpoznał panów Heatha i Soyera. Towarzyszył im oficer Guardii, niski, barczysty mężczyzna o łagodnym wejrzeniu.

- Cześć, Holliwell - odezwał się pan Heath. - Przykro nam, ale mamy to i owo do załatwienia.

Holliwell spuścił nogi na podłogę. Mężczyźni przyglądali się, jak siada na brzegu przepoconego materaca mrugając oczami, bliski mdłości.

- Może tak byś się ubrał - rzucił Heath. - Wychodzimy. Holliwell napił się trochę wody z karafki na

nocnej szafce i wstał. Kubańczyk wyjął z kieszeni pigułki, Holliwell połknął dwie.

- W czym problem? - spytał, wkładając koszulę.

- W niczym - wyjaśnił Heath. - Tyle że jeśli chodzi o ciebie, to robota już skończona.

- Nie wiem, co masz na myśli mówiąc o robocie.

- Na twoim miejscu bym się spakował - ciągnął pan Heath.

- Nie będziesz już tu wracał.

Holliwell przekonał się, że nadal jest nieco pijany.

- Czyżby wyrzucano mnie z kraju?

Tym razem odpowiedział Kubańczyk.

- Grozi panu niebezpieczeństwo. Chronimy naszych przyjaciół.

Jest pan naszym przyjacielem, panie Holliwell.

Spakowawszy się, wyszedł za nimi na dwór. Skrzeczenie, przenikliwe odgłosy nocnych zwierząt były mocno niepokojące. Przed domkiem stał jeep Guardii.

- A co z rachunkiem?

- Byle szybko, Holliwell - odparł Heath. - Dobry chłopiec. Holliwell usiadł na tylnym siedzeniu.

Miejsce obok niego zajął Heath. Kubańczyk i gwardzista wskoczyli na przód, oficer kierował. Kiedy mijali hangar, Holliwell zauważył, że budynek jest zaciemniony, stoliki poskładane, a bar zamknięty.

Gdy wyjechali na drogę, dołączył do nich drugi jeep z trzema żołnierzami w kaskach i mundurach bojowych. Była doń przymocowana wieżyczka z karabinem maszynowym kaliber 7.62. - Co tu się dzieje? - zwrócił się Holliwell do Heatha.

- Zdrada - oświadczył pan Heath z udaną podniosłością.

- Nie wiem tylko, co to ma wspólnego ze mną.

- Cóż, trzeba będzie cię wprowadzić, zanim nas opuścisz.

Wtedy się przekonany, prawda?

W drodze do miasta minęli blokadę drogi zrobioną przez Guardię. Blokada polegała na ustawieniu dwóch kozłów i znaku Aduana. Po obu stronach drogi widzieli przycupniętych na indiańską modłę

młodych gwardzistów, którzy mrużyli oczy oślepieni przez światła samochodu. Po niebie niczym stwór wyciągający swe macki krążył helikopter z reflektorem, rysując ósemki na plaży, na wodzie aż do rafy.

Na rzece kołysało się kilka przycumowanych średnich barek desantowych. Same miasto ciemniało, choć minęła dopiero siódma. Syryjczycy szybko zatrzaskiwali żaluzje, neony wokół placu pogasły, sklepy były pozamykane. Na samym placu tłoczyli się uzbrojeni żołnierze, przygotowani do walki. Stali luźno albo przykucnęli na trawie. Nad nimi górowała ciemna katedra, niedostępna, oddzielona od nich masywnymi dębowymi drzwiami. Po zachodniej części placu stało dwadzieścia ciężarówek i co chwila podjeżdżały następne, z których wysypywały się kolejne oddziały gwardzistów. Cywilów kręciło się bardzo niewiele. Jeep, którym jechał HoUiwell, zatrzymał się przed Muniapali-dad. Kiedy HoUiwell wysiadł, zobaczył, że przed drzwiami budynku policji zgromadził się tłum kobiet; sierżant Guardii mówił coś do nich cicho. Heath wyskoczył za Holliwellem, potem oficer Guardii i pan Soyer. Z budynku wybiegł szeregowiec, siadł za kierownicą i odprowadził jeepa. Drugi jeep, który towarzyszył im w drodze, ruszył za nim. Holliwella zaskakiwała ta sprawność i dobra organizacja.

Tłum kobiet blokował wejście do posterunku i wartownicy stosunkowo łagodnie zrobili przejście dla Holliwella i jego towarzyszy. Sierżant mówił kobietom, że osoby, o które pytały, są zaginione. Były to mieszkanki miasta, w większości mieszanej krwi i choć trudno to było określić z całą pewnością, wszystkie liczyły sobie ponad trzydzieści lat. HoUiwell szybko rozejrzał się wkoło i dostrzegł młodą dziewczynę, która tego ranka odwiedziła Justin, tę, którą początkowo wziął za Karaibkę. Wpatrywała się w niego intensywnie, wzrok świadczył o niepewności. Przecież nie mogła go widzieć, ale patrzyła na niego, jakby go poznawała. To było niespokojne spojrzenie i niosło ze sobą kłopoty. Towarzystwo, w którym się znalazł, nie zarekomenduje go u przyjaciół Justin. W budynku też znajdowali się uzbrojeni żołnierze. Pomieszczenie biura wyglądało, jakby szykowano się do obrony. Wokół zasłoniętych żaluzjami okien stały worki z piaskiem, oddział gwardzistów był w ubraniach maskujących, wszyscy z granatami za pasem. Podoficer zsalutował, kiedy HoUiwell i jego towarzysze

weszli do biura. HoUiwell zdał sobie sprawę, że trochę za dużo gwardzistów mu salutowało, żeby mógł pozostać nie zaangażowany w losy Tecanu. Drzwi wejściowe zostawili otwarte. Porucznik Guardii klócił się z kimś na zewnątrz. HoUiwell pomyślał, że to zapewne dziewczyna z warkoczykami.

Heath wyszedł, żeby sprawdzić, o co chodzi. Gwardzista wziął go na bok.

- Czy przypadkiem nie zobaczyłeś tam jakiejś znajomej? - za-wołał Anglik do Holliwella.

HoUiwell zbliżył się do drzwi i popatrzył na hełmy wartowników i rzedniejący tłum kobiet.

Dziewczyna zniknęła.

- Nie. Prawie nikogo tu nie znam - odparł.

- Nie? - spytał Heath.

Oficer Guardii przebiegł przez ulicę, na plac i zniknął Holli-wellowi z oczu. Wartownicy nie zamykali drzwi, póki nie wrócił, potem zatrzasnęli je i zaryglowali.

HoUiwell szedł za nim przez zabarykadowane biuro, aż dotarli do dziwnego pokoju bez okien w środku budynku. Dziwność tego pokoju dezorientowała i HoUiwell poczuł się jeszcze bardziej niepewnie. Pomieszczenie miało kamienną posadzkę i wilgotne ściany z otynkowanej cegły. Blaszany dach nad drutem kolcza-stym nadawał mu wygląd klatki. Do sufitu były przymocowane dwie bardzo silne lampy, takie jakie można spotkać na ogrodzeniach fabryk i murach więziennych. W zacięzionym rogu leżał śmietnik składający się ze sprzętu elektrycznego - przewody, ręczne prądnice, zużyte akumulatory walały się po brudnej podłodze. Przyjrawszy się uważniej ścianom, HoUiwell zauważył, że kiedyś na dwóch dłuższych ścianach były okna, ale zostały zamurowane. Na środku pokoju stały dwa biurka -jedno z tele-fonem.

W tym dziwnym pokoju unosił się zapach pleśni, środków dezynfekujących i czegoś jeszcze - znajomych acz nieprzyjemnych rzeczy, których HoUiwell nie potrafił rozróżnić. I w chwili, kiedy pojął, że owo pomieszczenie to niegdysiejsze patio, zabite, odcięte od dopływu powietrza i światła, zdał sobie sprawę, że owe ciemne plamy na kamiennej posadzce to krew.

Soyer położył walizkę na jednym z biurek. Wyciągnął rękę i znacząco potarł palcami.

- Chciałby dostać kluczyki - pospieszył z wyjaśnieniem Heath. - Przykro mi psuć mu zabawę, ale wystarczy, że spróbuje otworzyć, to przekona się, że nie jest zamknięta - odparł Holliwell. Był pijany, rozbity, ale to nie przeszkadzało, by ogarniał go coraz większy strach.

Kubańczyk powiódł wzrokiem od Holliwella do Heatha. Heath uśmiechał się uspokajająco.

Okazało się, że rzeczywiście walizka Holliwella nie była zatrzaśnięta i pan Soyer starannie przejrzał jej

zawartość. Nie znalazł tam nic podejrzanego, jedynie przybory toaletowe, papierosy i ubrania. Czyste były ładnie złożone, brudne wsadzone do hotelowej torby. Ale pan Soyer się nie spieszył.

- Niecierpliwi się pan - stwierdził. - Chciałby jak najszybciej wyruszyć w drogę. Rozumiemy.

- Jest cośkolwiek wstawiony - odezwał się Heath.

- Tak - odparł Soyer, szukając w walizce drugiego dna, obmacując szwy, grzebiąc w brudnej bieliźnie.

- Coś jest w naszych stronach, nie wiem, co takiego, ale Amerykanie od razu sięgają tu po kieliszek.

Prawda, Holliwell?

- Czy nie moglibyśmy postawić sprawy jasno, Soyer? Bez ozdobników i gierek?

Soyer zamknął walizkę.

- Jasno? - upewnił się. - Właśnie tak lubisz?

Utkwił wzrok w punkcie za głową Holliwella. Holliwell przy-pomniał sobie, że stał tam porucznik Gardii.

- Chyba nie mam ochoty rozmawiać z tym facetem - zwierzył się Heathowi Soyer. - Uważam go za bezczelnego chama. Heath wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- W sprawach techniki to olbrzymy - powiedział po hiszpańsku gwardzista - ale jeśli chodzi o kulturę, zwykli pigmeje. Teraz przemówił pan Heath.

- Wiesz, co się przytrafiło Ocampo, Holliwell?

- Co?

- Nie żyje.
- Był moim przyjacielem - odezwał się po chwili Holliwell.
- Bardzo bliskim.
- Ten facet, Cole, z którym przyjechałeś do kraju. On też nie żyje.
 - Cole był po prostu dziennikarzem. Po co ktoś miałby go zabijać?
 - Nie masz pomysłu?
 - Mówiłem mu, żeby nie jechał do Tapa sam. Facet był trochę niezrównoważony.
- Doprawdy? - spytał Heath. - Teraz jest bardzo zrównoważony.

Ale martwy. Sądźmy, że ktoś wzięł go za ciebie.

- Ale mnie też nikt nie ma powodu zabijać.
- Jestem pewny, że masz rację - odparł Heath. - Hej, Miguel?
- Prawie całkowicie - stwierdził Soyer.
- Rzecz w tym, Holliwell, że biorąc pod uwagę fakt, że Ocampo nie żyje, Cole nie żyje, a ty igrasz sobie z panną Feeney, chcielibyś-my się dowiedzieć, co tu, kurwa, jest grane?
 - Nie ma w tym żadnej tajemnicy - wyjaśnił Holliwell. - Marty Nolan poprosił mnie, żebym rzucił okiem na misję, skoro już tu jadę.
 - Odmówiłeś, pamiętasz?
 - Odmówiłem. Ale potem wygrała ciekawość. Nie zapominajcie, że jestem antropologiem.
 - I to była wycieczka krajoznawcza, tak, profesorze? Przygoda w ramach urlopu udzielonego na zbadanie interesujących terenów?
- Możecie to sobie nazwać, jak chcecie.

Na twarzy Soyera pojawił się ponury uśmiech.

- Niech pan uważa, profesorze. Niech pan uważa, bo nie wiadomo, jak to nazwiemy. Nasza nazwa może się panu nie spodobać. - Także Ocampo prosił cię, żebyś tu przyjechał - włączył się Heath. - Czyżby nie powiedział ci, po co?

- Powiedział, że wystarczy, by mnie tu widziano. To są jego własne słowa. Zaciekało mnie to i chciałem mu pójść na rękę w tej sprawie.

Heath stęknął załamany.

- Do licha, sam właściwie nie wiem, dlaczego przyjechałem.

- Popatrzył na czerwoną twarz Heatha. - Daj spokój, Heath! Czasem się robi takie rzeczy. Twój świat może jest wykalkulowany, ale nie mój. Po pierwsze nie przypuszczałem, że trafię tu na cholerną...

Ale zanim się ugryzł w język, było już za późno. Zaczął się bać, naprawdę bać - dopiero teraz. Wydawało mu się, że omal się nie wygadał i w końcu przegrał. Był pijany i jak ostatni głupek wyobrażał sobie, że prawda leży po jego stronie - ale oczywiście nie było żadnej prawdy. Były tylko okoliczności.

- Cholerną rewolucję - dokończył Heath. - Ale trafiłeś. Przykro mi. A to, co tutaj wyprawiałeś, Holliwell, jeśli to interpretować bez miłosierdzia, pachnie podwójną grą.

Porucznik Guardii wyszedł zza pleców Holliwella i stanął przed profesorem. Patrząc na niego miało się wrażenie, że porucznik odczuwa straszny ból, ale znosi go po męsku. Zapalił papierosa i rzucił zapalniczkę - mogło się wydawać, przypadkowo - na koszulę Holliwella. Wypalone drewnienko schowało się w fałdzie ubrania. Holliwell nie strącił go.

- Ale my nie zajmujemy się czynkami miłosierdzia - stwierdził Soyer. - Interpretujemy czyny, Staramy się być poważni. - Sprawa wygląda tak, Holliwell - tłumaczył cierpliwie pan Heath. - Ty może sobie tu oglądasz widoczki i snujesz głębokie rozważania, a tymczasem ludzie tutaj rozpaczliwie walczą o rzeczy, w które wierzą. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za cikliwego. Ale ty i te twoje moralne przygody, które możesz sobie przegryzać w Stanach... Naprawdę, trudno ci dobrze życzyć.

- Ale my ci życzymy dobrze ~ wtrącił się pan Soyer - bo jesteś Amerykaninem i cały świat cię kocha. Próbuujemy zrozumieć. - I czy nam się to udaje? - zwrócił się z pytaniem pan Heath.

- Claro que si - odparł Kubańczyk. - Oczywiście, że tak. Wiemy, że nasi dobrzy sąsiedzi, naród Stanów Zjednoczonych, łączy się z nami w walce o postęp. Znamy jego głębokie zatroskanie o

moralność międzynarodową. Jego poczucie braterstwa. Jego oddanie prawom człowieka. Czasem trudno nam go zrozumieć, ale kimże my jesteśmy? Mimo to rozumiemy, że musimy. Kończąc to wystąpienie pan Soyer nie potrafił powściągnąć uśmiechu.

- Jeśli oczekiwaliście, że będę z wami współpracował - powiedział Holliwell - powinniście byli mi zaufać, wprowadzić mnie w sprawę.

- Ale my nie mogliśmy.

Pan Heath nosił na piersi małą metalową buteleczkę w podniszczonym, skórzanym futerale. Wyjął ją

z kieszeni ciemnej, letniej marynarki, potrząsnął i wychylił łyk trunku. - Sparzyliśmy się. Przysyłają nam jakichś takich facetów w twoim rodzaju. Cóż, szczerze mówiąc, to dość przygnębiające. Przecież ty mówisz dwoma językami. To nam bardzo utrudnia działanie. No bo w końcu po czyjej jesteś stronie?

- Tak więc - przejął pałeczkę Soyer - nie mogliśmy ci zaufać. Za to inni to zrobili, czy dobrze zgaduję? Siostra Justin? Sądzimy, że wiesz coś o tym, co ona i jej przyjaciele szykują dziś wieczorem. - Nie wiem nic o ich planach - zaprzeczył Holliwell. Pan Soyer zacisnął szczęki, broda lekko mu zadrżała. Obrócił się w stronę Heatha. Heath prychnął i bębnił palcami o stół. - Naprawdę, Holliwell, bardzo trudno w to uwierzyć.

Soyer przysunął się do stojącego Holliwella.

- Bo my jesteśmy gotowi zrozumieć. I dlatego panu nie wierzymy, profesorze. Zapewniam jednak, że powie nam pan, co pan wie. Porucznik Guardii po raz pierwszy zabrał głos.

- Musimy wiedzieć, gdzie będzie zakonnica - odezwał się po hiszpańsku. Jego zdecydowana mina robiła wrażenie, budziła lęk. - Nie mogę wam udzielić odpowiedzi, na które czekacie. Nie znam ich.

Spojrzenie Heatha się rozmyło, odwrócił wzrok. Soyer stuknął się kostkami dłoni w czoło. Uniósł górną wargę, odsłaniając zęby. - Holliwell, nie wszyscy dożyją jutra. W Jankesolandzie jest prawda, że nikt nie umiera. Tu życie bywa zagrożone. - Przykro mi - odparł Holliwell.

- Przykro? - powtórzył pan Soyer. - Przykro?

W jego dłoni błysnął pistolet. Delikatnie przyłożył lufę do warg Holliwella.

- Albo usłyszemy szczerą prawdę i tylko prawdę, ty zapasiony przychówku dojenej krowy, albo osobiście wydrę ci ją z gardła. Kiedy Soyer cofnął pistolet, Holliwell wyjął z kieszeni papierosa i włożył go do ust. Po smaku poznał, że włożył go nie tą stroną, filtr był z drugiej strony.

- Nie bądź durniem, Holliwell! - wydarł się na niego Heath.

- Zgaś tego peta!

Holliwell ochotczo postuchał, jakby to było jego jedyne zmartwienie.

- Uważa się za bohatera - stwierdził Heath. - Wydaje mu się, że siedzi w kinie. - Rozczarowany potrząsnął głową. - Zostaw nas samych, Migueł, bądź dobrym kumplem.

- Jeszcze mi powie, wyśpiewa wszyściutko.

- Mamy mało czasu - prosił Heath. - Zrób mi tę przysługę.

Soyer otarł czoło, głośno przełknął ślinę i opuścił dziwny pokój. Za nim zniknął i porucznik. Kiedy wyszli, Heath wyciągnął piersiówkę, potrząsnął i odstawił na biurko z telefonem. - Poddaj się, brachu

- powiedział. - Każdy kiedyś mówi. - Naprawdę uważasz, że tamta strona dopuściła mnie do swoich tajemnic? - spytał Holliwell. - Sądzisz, że zakonnica podała mi plan bitwy?

- Nie rozumiesz sytuacji, więc ci wyjaśnię. Postaram się to zrobić jak najlepiej, ale nie będę powtarzał.

Soyer cię zabije, jeśli mu nie pomożesz. Nie zrobił tego do tej pory, bo za bardzo się boi, żeby nie podpaść górze, a góra to właściwie twój rząd. Poza tym boi się, że powiem, co widziałem, choć w tej kwestii się myli. Stanąłbym po jego stronie. To rozumiesz?

-Tak.

- Dobrze. Ty, Holliwell, stanowisz dla nas źródło. Soyer ze względów praktycznych zajmuje się twoją sprawą. Władze tego kraju reprezentowane przez porucznika Camposa zwróciły się do niego z prośbą o sprawdzenie poczynąń siostry... jak jej tam... i Soyer chce się z tego wywiązać. Proszę, zrozum, że

nikt nie ma najmniejszych wątpliwości co do charakteru działań, jakie ona i ludzie, z którymi jest związana, prowadzą. Ani co do miejsca jej pobytu: jestem przekonany, że będzie w misji bandażując dzielnych chłopców i wyglądając uroczo. Jednakowoż, ponieważ ona i ksiądz są obywatelami Stanów Zjednoczonych, a misja podlega jurysdykcji amerykańskiej, Soyer jest bezpośrednio zaangażowany i ty też. A biorąc pod uwagę ilość Jankeś-wych zaangażowanych w to wszystko, musimy sprawę załatwić skrupulatnie i biurokratycznie. Słuchasz uważnie, Holliwell?

- Słucham uważnie.

- Wojna to prawdziwe piekło, o czym sam zapewne doskonale wiesz. Sprawy będą własnym torem.

W całym tym bałaganie potrzebujemy spójnej wersji wydarzeń, która pewnego dnia może wylądować w czyichś aktach. Jakiś cholerny polityk albo inne nie wiadomo co spyta, co się stało w Tecanie wtedy a wtedy. Na co my odpowiemy: wydarzyły się następujące rzeczy - bla, bla, bla. Albo też odpowiemy: wydarzyły się następujące rzeczy - Soyer przesłuchał Holliwella. Holliwell wyspał Justin i misję. Soyer, tak jak go wcześniej proszono, przekazał tę wiadomość zaprzyżnionym organom kraju. Nadążasz? Soyerowi jest potrzebny ten ciąg wydarzeń. Chce, żeby, jak to określiłeś, widziano, że to robi. Pozory, powiesz może. Ale to element tej roboty.

- Czyli właśnie ja mam mu powiedzieć to, co on doskonale już wie, tak?

- Właśnie. Dla niego właśnie po to tu jesteś. A z tego, co wiemy, nienawidzi cię serdecznie. Chce patrzeć, jak ją wydajesz. - To bez sensu, zmuszać ludzi do takich rzeczy - powiedział Holliwell.

- Może, ale nie mnie to mów. I na miłość boską, nie mów jemu.

Heath znowu potrząsnął flaszka, ale tym razem wypił.

- A co się stanie z siostrą?

- Zostanie deportowana. Jeżeli dotrzemy do niej przed Cam-posem. Z nami będzie bezpieczniejsza.

- Twierdzisz, że obronicie ją przed Camposem?

- A dlaczegoż by nie? Soyer pracuje dla twojego rządu. Podejrzewam, że woleliby nie wylądować w końcu z martwą zakonnicą. Za duży kłopot. A z naszego punktu widzenia, bardzo by nam było miło,

gdybyśmy mogli z nią porozmawiać. Próbujemy ułożyć tę składankę w całość, a stąd to wcale nie jest łatwe. Nie musimy mówić Tecańczykom wszystkiego, czego się dowiemy. - A jeśli ona nie będzie chciała z wami rozmawiać? Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby chciała.

- Myślisz, że chciałbym ryzykować moją nieśmiertelną duszę i poddawać siostrzyczkę przesłuchaniu

trzeciego stopnia? Ależ, Holliwell, nawet bym nie wiedział, jak się do tego zabrać. - Owszem, wiedziałbyś. I twój przyjaciel też.

- Nie zrobimy jej krzywdy, Holliwell. Daj spokój, człowieku, to jej szczęśliwy los. I twój jedyny los, bo jeśli tego nie zrobisz, nie zobaczysz jej żywej. Jesteś nasz.

- A jaką mam gwarancję, że nie odstawicie jej do porucznika? - Wygodniej by było tego uniknąć. Zresztą, tobie będzie już wszystko jedno, skoro będziesz wąchał kwiatki od spodu. Słuchaj, Holliwell - perswadował Heath - prosimy cię tylko, żebyś zrobił odrobinę więcej, niż robiłeś do tej pory.

Zachować pozory, co?

- A ręczysz mi słowem, że nie stanie jej się krzywda? - Słowem? - upewnił się pan Heath. Roześmiał

się urywanie, mimo to wyglądał odrobinę smutno. - Nikt jeszcze nie prosił, bym mu dał słowo. Ale jeśli chcesz to tak ująć... Pewnie, Holliwell, zatroszczymy się o nią.

- Dobra - ustąpił Holliwell.

- No, proszę. Dobry chłopczyk.

Zaproponował Holliwellowi tyka i ten chętnie skorzystał z okazji. Potem Heath zawołał do pokoju Soyera i Camposa i Holliwell wyjaśnił, że dyskutował na tematy polityczne z siostrą Justin Feeney z misji Devotionist w Las Ruinas i że zakonnica przyznała, że jest zaangażowana w działalność konspiracyjną wymierzoną przeciwko stabilności i integralności republiki.

Soyer słuchał radośnie. Oczywiście miał wilgotne, pytania zadawał cicho i uprzejmie. Tłumaczył odpowiedzi Camposowi, który wyrażnie się niecierpliwił.

- Co jeszcze może mi pan powiedzieć, profesorze? - spytał, kiedy Holliwell zakończył składanie

oświadczenia. - Na pewno dzieliła się z panem swoimi nadziejami i marzeniami? Co, jej zdaniem, stanie się w kraju?

- Nie wie nic na ten temat. Jest zwykłą pielęgniarką. Chce być tam, gdzie będzie potrzebna.

To powiedziawszy, zerknął niespokojnie na Camposa. Porucznik obnażył zęby.

- Sama czystość, co, Holliwell? - stwierdził Soyer.

- Tak - zgodził się Holliwell.

Soyer uśmiechnął się szeroko.

- To dobrze, profesorze. I bardzo dobrze, że zechciał pan się z nami tym podzielić. Wydaje mi się, że pańskim problemem jest to, że nie potrafi pan rozpoznać prawdziwych przyjaciół. My wszyscy jesteśmy pana przyjaciółmi. A pan nas zdradza. Holliwell wyjął z paczki papierosa i włożył go do ust, tym razem prawidłowo. Soyer podał mu ogień.

- My tu robimy brudną robotę, gringo. Ty poddajesz się napadom tchórzostwa i użalania nad sobą, a

plącimy za to my. Nie ty. Jeśli dalej tak będziecie robić, pewnego dnia wasi wrogowie uśpią cały wasz przeklęty naród i, wierz mi, nikt nie będzie nad wami płakał. Holliwell spojrział na papierosa, którego trzymał między palcami. - Odpoczywaj spokojnie - mówił dalej Soyer - ze świadomością, że to nie o ciebie walczę. Nie jestem takim głupcem. Walczę za moją ojczyznę, a wystarczy, że musimy być od was uzależnieni. Naród zdrajców - zwrócił się do Heatha. - Pozbawiony dumy.

Mięczaki. Jak ja was nienawidzę.

Heath dopił do końca zawartość piersiówki. Mrugnął, jakby alkohol palił mu wnętrzności.

- Nie znam się na tym - powiedział. - Wszędzie znajdzie się najróżniejsze typy. Wszyscy są tacy sami.

Pamiętam, co mawiał mój kumpel z wojska: Wystarczy posłuchać Jankesa przez pięć minut, a będzie się wiedziało wszystko, co ten ma do powiedzenia przez całe życie.

Soyer słuchał jednym uchem, parsknął radośnie.

- Szczebiotliwyś. Jak ten profesorek. - Stanął przed Holli-wellem; był odrobinę niższy od niego. - A

więc, profesorze, teraz pora na abrazos? Amerykanie - zwrócił się do Heatha - wprost uwielbiają abrazos. Ci...

Holliwell rzucił Soyerowi papieros w twarz i rąbnął go łokciem w szczękę. W jednej chwili złapali go Heath i porucznik. Porucznik miał siłę ciężarowca. Ramię, za które ścisnął gwardzista, było bez czucia, za to w barku pulsował ból.

Holliwell z przyjemnością stwierdził, że pan Soyer przestał się uśmiechać. Pan Soyer stał kilka kroków

od niego, wargę miał zakrwawioną, twarz pobladłą. Ale w dłoni trzymał pistolet, i to pistolet wymierzony w Holliwella.

- Spokojnie, Miguel - mitygował Heath.

Holliwell natychmiast pożałował swojego odruchu. Patrzył na broń w ręku Kubańczyka, który powoli zbliżał się do niego. Jeśli mnie nie zastrzeli - myślał - to uderzy kolbą w twarz. A rągnięcie Soyera w nos nie było na tyle satysfakcjonujące, żeby to zrekompensować. Ale Soyer go nie uderzył. - Chciałem postąpić jak mężczyzna - wyjaśnił Kubańczyk. - Za późno, Holliwell - stwierdził, odkładając broń. Dotknął spuchniętej wargi. - Za późno.

- Na Boga - oświadczył Heath z niesmakiem - skończony z ciebie głupek, Holliwell. Sam się prosisz.

Puścili go.

- Nie obraziłem się o ten przebłysk złego nastroju - oświadczył Soyer. - Teraz wybierzesz się ze mną

na przejażdżkę. Jedziemy do misji i obaj przywieziemy tu siostrę Justin. Wtedy będziesz mógł się jej wytłumaczyć, tak samo jak wytłumaczyłeś się mnie. Soyer i Campos ponownie opuścili pokój -

Campos, by skomu-nikować się ze swoimi ludźmi w misji; Soyer, by się doprowadzić do porządku.

Pan Heath spojrział na Holliwella markotnie. - Bardzo głupio z twojej strony, Holliwell. To prawda, prowoko-wał cię. Ale to nie zmienia faktu, że głupio postąpiłeś. - Oczywiście - przyznał Holliwell.

- Wiesz, masz szczęście. Może uda nam się wyciągnąć twoją przyjaciółkę z tego syfu. A gdybyś na nas

nie wpadł? - To kto wie.

- Ta wieczorna zabawa nie będzie przyjemna dla żadnego z was. Ale naprawdę tak będzie lepiej.

- Może powinienem być wdzięczny.

- Powinieneś - zapewnił Heath. - I jeszcze będziesz. Na rękawie ciemnej, bawełnianej marynarki miał

przyklepiony zaschły kawałek jedzenia. Zaczął go zdrapywać.

- Wiesz, Miguel nic nie poradzi na swoje uczucia. Przeżył to i owo i zgorzkniał. Właściwie, nie jest jeszcze taki znowu najgorszy. -A ty?

Heath się uśmiechnął.

- Och, ja. Ja po prostu samotnie trzymam swoją straż. Wartę nad Renem.

- Czy odrobinę nie za bardzo odległa placówka jak na szósty wydział?

- Szósty? Nie, nie należę do szóstego wydziału, Holliwell. No, właściwie nie. Choć oczywiście nie mam nic przeciwko ofiarowaniu swych usług brytyjskiemu podatnikowi. Ani amerykańskiemu. Ale pracuję dla Międzynarodowej Służby Ochrony Inwestorów. A ci z kolei pracują dla spółek, które wykupiły tu ziemię. To ogromna inwestycja, zmierzająca do przekształcenia wybrzeża w teren turystyczny, itp, itd. Włożono w to mnóstwo pieniędzy. I chcą wiedzieć, co tu się dzieje, nie? Jeśli uda nam się podtrzymać środowisko korzystne dla ich interesów, robimy to. Co w tym złego? - Sprawia ci to taką przyjemność, że musi być w porządku. - Właśnie tak to widzę. Wiesz, lubię swoją pracę. Od czasu do czasu uda mi się naprawić odrobinę zła. Zrobić małą plombkę w naszym tak dalekim od doskonałości świecie.

- Powiedz mi coś o twoich przyjaciółach Buddym i Oldze. Czy pomagają ci w sprowadzaniu innych na dobrą drogę? Heath roześmiał się bezgłośnie, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku.

- Och, to moje zajęcie. Moje następne zajęcie po tobie i sio-strzyczce. W pewnym sensie jest mi to na

rękę, bo znaleźli sobie tutaj wspólnika i wykupili tysiące hektarów na północ od wybrzeża. Tacy

ludzie zawsze mają forszę, co, Holliwell? - Pokręcił głową i jego spłowiałe, niebieskie oczy na chwilę

się ożywiły. - Ale i tak bym ich tropił, nawet w wolnym czasie, gdybym musiał. Jeszcze pożąają, że

ranie spotkali, nie bój się. Nie pozwolę, żeby się tu kręciły takie typki, stary druhu. Nie w moim grajdołku. Nie na wolności.

- Wiesz ciekawe życie.

Heath zsunął się z biurka, o które się opierał, i podszedł do drzwi, wiodących do drugiego biura.

- Nigdy mnie nie interesowało spokojne życie. Nie dla takich jak ja szelki maklerów. Ale to nieważne.

Staął w otwartych drzwiach, wyglądając. Z pokoju obok dobiegał odgłos ładowania broni i trzaski krótkofalówki. - Wkrótce cię zawołają - zwrócił się do Holliwella. Holliwell został przy biurku, patrząc na czarny telefon bez tarczy.

- Musisz wiedzieć, że dzięki temu czuję się, jakbym, choć w minimalnym stopniu, był gniewem bożym - podjął Heath. - Ja nie szukam zabłąkanych ani zboczonych, o nie. Wszyscy skrzy-wieni sami mnie znajdują. Jestem niczym rekin czający się na dnie laguny. Musisz sięgnąć prawie dna, żeby do mnie dotrzeć. A kiedy już tam się znajdziesz, ja czekam gotowy.

- Wszystko świetnie - oświadczył Holliwell - ale nie obawiasz się, że twoi klienci mogą mieć pecha, jeśli chodzi o te inwestycje tutaj? - Całkiem niewykluczone. Ale przecież nie mogą powiedzieć, że nie próbowaliśmy, prawda?

- Nie, nie mogą.

- To wojna, Holliwell. Ona toczy się na całym świecie. I podejrzewam, że w końcu tamta strona wygra. A kiedy już wygrają, jak wszyscy zwycięzcy przekonają się, że nic nie układa się tak, jak to sobie zaplanowali i w ogóle wygląda zupełnie inaczej. A za tysiąc lat to będzie już tylko starożytna historia, której nikomu nie będzie chciało się czytać. - Heath zrobił smutną minę. - Ale czy to mnie zniechęca? Nie! "Ucieka występny, choć go nikt nie goni, lecz prawy jest ufny", Holliwell.

Otanął wraz z Soyerem na obstawionym chodniku przed Municipidad, czekając na jeepa, który zawiezie ich do misji. Łącznicy krążyli między posterunkiem Guardii a oddziałami, które kryły się w mroku spowijającym plac. Jedynymi światłami w okolicy były reflektory samochodów wojskowych i żółte latarki gwardzistów, kierujących ruchem.

Wokół samego placu zgromadziły się oddziały, czekające na rozkazy. Niezwykłą ciszę rozcinały tylko polecenia wykrzykiwane przez oficera albo ponure, dudniące uno-dos-tres odliczającego plutonu. Od czasu do czasu słyhać było rytmiczny tupot oddziału piechoty maszerującego dwójkami, kiedy poszczególne jednostki odrywały się od większej grupy, by zająć miejsce w jednej z ciężarówek zaparkowanych przed katedrą. Były tam też oddziały konne. Holliwell co prawda ich nie widział, ale słyszał stukanie końskich kopyt o kamienie jedynej brukowanej ulicy Alvarado. Pokazali się też oficerowie w haftowanych rogatywkach, wymieniający na ulicy abrazos i grupka cywili w guayaberas, którzy wyglądali jak handlarze heroiną z Bronx. Oficerowie i ich współ-nicy-cywile wyglądali na radośnie podnieconych. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na Soyera ani Holliwella.

Takie stłoczenie wielu żołnierzy na stosunkowo niewielkiej, zamkniętej powierzchni sprawiało, że Holliwell źle się poczuł; miało to związek z wcześniejszymi przeżyciami. Na moment losy Guardii Nacional stopiły się z losem Holliwella - w końcu znalazł się po czyjejs stronie. Był prawie pewny, że z mroku ktoś go obserwuje. Przypomniat sobie dziewczynę z warkoczykami i wzrok, jakim go zmierzyła. Od czasu do czasu to samo spojrzenie pojawiała się w oczach mijanego gwardzisty. Zawsze znikalo, kiedy na nie odpowiedział. Zastępowala je pustka, nada - albo przepraszający uśmiech.

W końcu przy chodniku, na którym czekali Holliwell i Soyer, zatrzymały się dwa jeepy. Campos siedział w pierwszym wozie obok kierowcy. Eskorta miała czterech żołnierzy i działko. Kiedy Holliwell usiadł z tyłu, Soyer obszedł wóz i wdał się w minutową, cichą pogawędkę z porucznikiem, po czym wskoczył na miejsce obok Holliwella.

- Twoja zakonnica jest w misji - zwrócił się do niego Soyer. - Campos kazał otoczyć miejsce, ale ze względu na jej narodowość mają poczekać.

Wyjął karabin ze stojaka za przednim siedzeniem i położył go sobie na kolanach.

- Jesteście za nią odpowiedzialni - powiedział Holliwell.

- Nie my - odparł Soyer. - Ty.

Samochody ruszyły. Minęli kilka opustoszałych skrzyżowań i już wspinali się krętą drogą wzdłuż rzeki. Droga robiła się coraz węższa, błotnista, szum oceanu zagłuszał ryk silników. Prosto z moczarów wypadli na drogę wzdłuż plaży. Wokół nich, poza zasięgiem światła rozciągała się ciemność, absolutna, pełna zapachów. Mniej więcej po dwudziestu minutach jazdy Holliwell zdał sobie sprawę, że słyszy motocykl, jadący przed nimi. Maszyna utrzymywała stałą prędkość, jakby ich prowadziła. Holliwell poczuł zjawy z Trzeciej Drogi, ten ciąg samochodów wojskowych mknących przez ciemną dżunglę. Eskortujący jeep jechał tuż za nimi. Za blisko, zdaniem Holliwella. Nocą w dżungli człowiek zawsze musiał mieć kogoś, na kim mógłby się wesprzeć.

Pierwszy wystrzał z moździerza wydawał się tak nieunikniony, że Holliwell omal go nie przegapił. Dotarł do niego dopiero po kilku sekundach. Rozległ się gdzieś w głębi lądu, na tyle daleko, że odbił się echem o ścianę gór. Po nim nadszedł następny, potem jazgotanie karabinów maszynowych - trzy długie serie. Z zupełnie innej strony dobiegła palba charakterystyczna dla strzelca mierzącego do celu. Strzelano z różnych stron, z różnym natężeniem i częstotliwością, ale już ani na chwilę nie zapadła cisza. Wszystko to odbywało się stosunkowo daleko od drogi, którą jechali. Poprzez odgłosy strzelaniny Holliwell dalej słyszał monotony warkot motocykla z przodu.

Zerknął na Soyera, ale w ciemności nie widział jego twarzy. Zauważył tylko, że Kubańczyk mocniej ścisnął karabin i że prawą rękę trzyma na spuście. Porucznik Campos obrócił się ku nim w siedzeniu, jakby chciał coś powiedzieć do Soyera, ale rozmyślił się i w milczeniu spoglądał na drogę. Holliwell, który siedział za kierowcą, otrzeźwiał na tyle, by czuć straszliwe napięcie, gotowość. Zapomniał o okropnej wizycie, którą lada chwila mieli złożyć. Wpatrywał się w nieprzenikloną ciemność, jakby chciał ją zmusić do zdradzenia mu swych sekretów. Zauważył, że odgłos poprzedzającego ich motocykla umilkł.

Ledwo w świetle reflektorów samochodowych dostrzegł pień namorzynu leżący w poprzek drogi, a już wiedział doskonale, co nastąpi. Pień zagrażał drogę na zakręcie. Przedtem go tu nie było. Kiedy w chwilę potem myślał o tym, co zrobił, kulił się z przerażenia, uświadamiając sobie, ile czasu

upłynęło między spostrzeżeniem pnia a skokiem z samochodu. Ale tak naprawdę nie było go wiele. Holliwell toczył się po ubitym piachu i szukał schronienia, zanim jeszcze jeepy się zatrzymały, a zza zakrętu i od strony lądu rozszczękały się karabiny maszynowe. Zasadzka miała kształt litery L, jak to, nie wiedzieć czemu, Holliwell przewidział. Podstawa L blokowała zakręt równoległy do barykady, pionowa linia ciągnęła się na jakieś cztery metry, co zmuszało wozy do hamowania. Strzelcy dysponowali jedynie czasem - myślał Holliwell, jak szalony czołgając się w stronę miękkiego piasku. Musieliby otworzyć ogień, zanim koła przestaną się obracać; przed nimi dwa unieruchomione doskonałe jeepy rysowały się wyraźnie niczym para kałamarnic gotowanych w atra-mencie.

Schronienie na plaży to żadne schronienie. Próbuąc się wtopić w piasek, Holliwell wsłuchiwał się w hałas strzelaniny, dudnienie łusek o metal, krzyki. Księżyc nie świecił, gwiazdy lśniły słabym, chłodnym blaskiem, niebo płonęło kolorami, które Holliwell widział w swym mózgu. W tej niemal hipnotyzującej ciemności nie odróżniał morza od brzegu, nie widział nawet palm. Kiedy analizował ostatnie minuty, wydało mu się, że widział, jak przynajmniej jeden pasażer wyskoczył - zapewne kilka sekund po jego własnej ucieczce. Niezależnie od tego, kto to był, jeśli uciekł, zapewne teraz też kryje się w ciemnościach między oceanem i wrogami.

Strzelanina na drodze ustała. Uniósł głowę i zerknął przez ramię. Jeden z samochodów płonął. Przez chwilę wśród płomieni zamajaczyła mu czyjaś postać. Powstańcy śmiali się, rozprawiali z podnieceniem. Rozległy się dwa pojedyncze strzały - tej nocy nie brali jeńców. Potem głosy umilkły, jakby zasadzkowicze przenieśli się w głąb lądu, na wyższe tereny.

Holliwell przeczołgał się trochę dalej od drogi, potem ostrożnie wstał. Od wody dzieliło go jakieś piętnaście metrów. Przez chwilę tkwił nieruchomo, uważnie nasłuchując - ale nigdzie w pobliżu nie usłyszał żadnych odgłosów, z wyjątkiem cichego szumu fal i odległej kanonady. Był sam, w obcym miejscu, do tego w całkowitych ciemnościach, pozbawiony sprzymierzeńców i przyjaciół. To miejsce go przerażało - wreszcie osiągnął punkt, do którego zmierzał od chwili przyjazdu na południe. Stanowiło naturalne, wybrane przez niego środowisko.

Przykucnął nad brzegiem morza i próbował się zdecydować, gdzie powinien wyruszyć. Nie wróci do miasta, obie strony będą na niego polować. A teraz, kiedy już płynie krew, wyjaśnienia czy targi nie wystarczą. Mógłby spróbować ukryć się w dżungli, tam trafiają się maleńkie wioski przy plantacjach. Uznał jednak ten pomysł za nieroztropny. Wiedzieliby, że umknął z zasadzki. Podzieliłby los Cole'a.

W końcu postanowił, że pójdzie do misji. Wydawało mu się, że może oczekiwać tam jakiegoś zrozumienia. Jeśli dotrze na czas, powie jej, co się wydarzyło. Jeśli zaś nie będzie mogła albo nie będzie chciała mu pomóc, a on nadal będzie wolny, może jakoś uda mu się ukryć wśród innych obcokrajowców, szwendających się po tamtejszych ruinach. Ruszył brzegiem oceanu. Później nie będzie pamiętał, jak długo szedł, zanim dotarł do budynków Las Ruinas. Na schodach wejściowych ułożono świet-listy krzyż z latarni sztormowych i to były pierwsze światła, jakie Holliwell widział od momentu opuszczenia Alvarado. Szedł za słabym blaskiem wodorostów, mocząc sobie buty, od czasu do czasu zapadając się po kolana w miękkim piachu. Po lewej stronie ciemny ocean igrał z nieskończonością czasu. Na łądzie zaś ludzie igrali ze swoim życiem w mniej cierpliwym mroku. Teren, po którym szedł Holliwell, stanowił ziemię niczyją. Chwiłami czuł się wolny. Później zaś ogarniał go strach, zalewał go lęk falujący w tym samym rytmie co słabnące bądź nasilające się odgłosy strzelaniny. Zatrzymał się tylko raz - żeby popatrzeć, jak dwa helikoptery lecą w tandemie nad stokiem, widoczne tylko dzięki swoim reflektorom.

Schronił się w szopie na przystani obok misji i próbował się zorientować, jak się przedstawia sytuacja.

Przez zamknięte okien-nice punktu opatrunkowego przedostawały się smugi światła, reszta budynku tonęła w mroku, tylko na schodach paliły się żarówki. Holliwell słyszał głosy i pospieszne kroki na werandzie. W oknie księdza błysnął wyrzucany żarzący się papieros. Na drodze, tuż przy schodach, stały dwa ciemne pikapy. Wyszedł z szopy i zaczął iść plażą, kiedy na krawędzi wody zobaczył dwóch martwych mężczyzn. Jeden leżał twarzą do nieba, z rozrzuconymi ramionami, jakby spadł z pomostu. Kalkę pierś-wą miał rozszarpaną. Drugi klęczał, zakrwawiona twarz schowała się w piasku. Obaj zabici mieli na sobie hełmy i maskujące mundury Guardii. Holliwell na chwilę przystanął, ale zaraz

ruszył dalej. Teraz już będzie go widać z budynku. Musi zaryzykować. Zza linii drzew ogrodu przy misji nagle wyłoniły się cienie. Ktoś krzyknął. Z werandy rozbłysnął płomień pocisków karabinowych. Holliwell padł na ziemię. Atakujący mierzył w dobrym kierunku, ale za wysoko. Z lasu otaczającego ogród wyłonił się uzbrojeni mężczyźni, ale cywile, nie gwardziści.

- May! - krzyknął Holliwell. Prawie namacalnie czuł, jak pistolety zwracają się w jego stronę.

Przez drogę przeszedł mężczyzna w ciemnych spodniach i ruszył plażą w jego stronę.

- To ty, Holliwell? - spytał mężczyzna. Okazało się, że to ojciec Egan.

-Tak, to ja.

- Nie powinieneś tu przychodzić - powiedział ksiądz.

Holliwell wstał i otrzepał się z piasku.

- Chcesz pogadać z szefem? - zapytał Egan. - Chodź. Kiedy zmierzali z Eganem ku schodom, Holliwell czuł na plecach karabiny strażników. Kiedy już znaleźli się na schodach, w mroków werandy wynurzyli się mężczyźni w mundurach Guardii, niosący kartonowe pudła. Byli nie uzbrojeni, bez hełmów; nie wyglądali już jak gwardziści, ale jak wystraszeni młodzi Indianie. Nieśli pudła w milczeniu, ostrożnie omijając lampy ułożone w kształcie krzyża, i ładowali pakunki do za-parkowanych ciężarówek.

Holliwell popatrzył nad poświatą rzucaną przez lampy i na szczycie schodów dostrzegł Justin. Ręce trzymała w kieszeniach dzinsów, twarzy nie widział. Po raz pierwszy, od kiedy ją znał, wydawała się swobodna, odprężona. Po chwili zeszła do niego. - Co się stało?

- Zabrali mnie z hotelu koło siódmej. Najusticia. W Alvarado są tysiące żołnierzy. - Machnął ręką w stronę niewidocznych gór. - Mają helikoptery.

- Wiem - odparła.

Nie wyjmując rąk z kieszeni, zrobiła półobrót. Holliwell zdał sobie sprawę, że nie będzie chciała mu teraz spojrzeć w twarz w obawie, żeby się nie rozkleić. Nie życzyła sobie, by dumę z uczestnictwa w walce zepsuły wspomnienia z ranka, intymność. - Jak uciekłeś?

- Jechaliśmy... Jechali po ciebie. Wpadliśmy w zasadzkę.

- Campos? - spytała.

- Był z nami. Zdaje mi się, że go dorwali.

Ostro wciągnęła powietrze. Od strony miasta dobiegł odgłos serii z karabinów maszynowych.

- Próbowałem się wyrwać - ciągnął Holliwell. - W południe miasto było zamknięte. Aresztowali mnie.

- Mówiłeś.

- Zastosowali wobec mnie przymus. Musiałem pójść z nimi na ugodę. Obiecali, że nie zrobią ci krzywdy.

- Powiedziałeś im.

Po obu stronach budynku stali uzbrojeni mężczyźni, przyglądając się ich rozmowie. Justin westchnęła

i zeszła o jeden schodek w dół.

. - Och, Frank. A więc mnie zdradziłeś, tak?

- Nie wiem. Wydawało mi się, że nie.

- Ale zdradziłeś - powtórzyła spokojnie. - I ja o tym nie wiedziałam.

- Gdybyś tam była, może nie sądziłabyś mnie tak surowo.

Oczywiście, teraz to już bez znaczenia.

- A dla ciebie to ma znaczenie?

- To, co ma dla mnie znaczenie, przestało się już liczyć - odparł.

Nagle ogarnęło go zniecierpliwienie na tę kobietę. Stała chłodna, nieustraszona wśród odgłosów swojej wojny. Wzruszała go, a równocześnie budziła lęk głębia jej odwagi i potęga jej złudzeń.

Poczuł zazdrość i podziw, i miłość. Lekkie drżenie głosu, kiedy pytała o jego sumienie, wydało mu się niegodne chwili. - Kiedy już pogodzę się z tym, co się stało - powiedział - to i będę umiał z tym żyć.

Najwyraźniej już taki jego los, że uczestniczy w głośnych wojnach. Wietnam cieszył się dużą popularnością wśród jego radykalnych przyjaciół. Jako świadek tej głośnej wojny po obu stronach

oglądał przykłady odwagi i waleczności. Owe głośne wojny - choć może u radykałów wzbudzają dreszczyk emocji - tak naprawdę były równie gówniane, jak każda inna. Z drugiej jednak strony, podobnie jak w niektórych podniecających, niedoskonałych operach - a właściwie podobnie jak we wszystkim - zdarzały się w nich rzeczy warte przeżycia. Takie chwile nie trwały długo. - Nie możesz tu zostać - zwróciła się do Holliwella Justin.

- Wyjeżdżamy stąd, kiedy tylko załadujemy ciężarówkę.

- Nie mogę wrócić. Twoi przyjaciele widzieli mnie w justicia. - Moi przyjaciele - odrzekła - moi przyjaciele będą tam, gdzie wyruszamy.

- Mam nadzieję, May, dla twojego dobra. Rząd rzucił tu ogromne siły i tę rundę możecie przegrać.

Twierdzą, że was otoczyli. Ruszyła po schodach w górę, Holliwell za nią. Kiedy przystanęła, żeby wziąć jedną z latarni sztormowych, zerknęła przez ramię na Holliwella. W migotliwym blasku lampy jej twarz wyglądała niczym uosobienie uśmiechu.

- Ani przez chwilę nie byliśmy otoczeni. Rozbroiliśmy wszystkie wysłane przeciwko nam oddziały Guardii. - Ruchem brody pokazała żołnierzy ładujących pudła do ciężarówek. - Wielu zabiliśmy - dodała, idąc dalej.

W ambulatorium, za zamkniętymi okiennicami płonęło światło. Łóżka ustawiono w jednym końcu pokoju, pod dwoma ścianami siedziało kilkunastu mężczyzn w mundurach Guardii. Po przeciwnej stronie dwaj czarni Karaibowie w barwnych koszulach i hełmach Guardii, z Uzi na kolanach pilnowali więźniów. Łóżko, na którym Holliwell i Justin zrobili swój ukłon w stronę miłości, zajmował ciemnoskóry mężczyzna o twardych rysach. Siedział paląc papierosa. Nogę miał owiniętą w czyste bandaże, na lewym ramieniu widać było tatuaż - kotwicę. Ojciec Egan, który wszedł za nimi do sali, przysiadł w nogach łóżka. Holliwell rozejrzał się po pokoju i zatrzymał wzrok na dwóch małych buteleczkach brandy, które stały pod łóżkiem obok sandałów Egana. Radośnie, bez ceremonii schylił się i zabrał buteleczki spomiędzy przybrudzonych stóp. Ojciec Egan westchnął. Holliwell otworzył jedną butelkę, drugą schował do kieszeni. Justin przyglądała się temu w milczeniu.

Spojrzał na nią, sądząc, że odwróci wzrok. Przypomniał sobie teraz, że te oczy nie potrafiły kłamać, przez nie Justin była jak obnażona.

- Cóż - odezwał się, kiedy wypił zawartość buteleczki - narodziła się niewiarygodna piękność.

Nie uciekała przed jego spojrzeniem, poważna, skupiona mina zmieniła się w radosny młodzieńczy uśmiech - niespodziewany, nieskrępowany.

- Czyż to już nie coś? - spytała.

- Tak, to już coś.

- I co ja mam z tobą począć? Wpadłeś po uszy.

- To już chyba nie twój problem. Wpadłem po uszy bez ciebie.

- Wiecznie musisz gadać? Tłumaczyć się?

- Gdyby zostały mi jeszcze jakieś wyjaśnienia, zasypałbym cię nimi bez wahania. Gdyby to miało znaczenie.

- A ja bym w nie uwierzyła, Frank. Namówiłbyś mnie do uwierzenia w każde, najmniejsze słówko. Ale

tylko mnie. - A więc przegram kolejną wojnę - powiedział. - To już druga. Justin wpatrywała się w podłogę, podczas gdy on opróżniał drugą butelkę. Minęła dłuższa chwila, nim się odezwała. -

Umiesz przegrywać. Prawdziwy z siebie szczęściarz. Jeśli mi pomożesz, pożyczysz dłużej, niż na to zasługujesz.

- Proszę, jacy z nas twardzi chłopcy.

- Zgadza się - odparła, lekko się uśmiechając. Jej uśmiechy były dla niego błogosławieństwem. - Musimy być twardzi. Dam ci naszą łódź. Ten dzieciak - ruchem głowy wskazała na młodego, rannego chłopaka - nazywa się Pablo i jest Amerykaninem. - Pablo wymamrotał coś niewyraźnego, próbując się uśmiechnąć. - Weź go na łódź i obaj wypłynicie na morze. I przed wschodem słońca macie być jak najdalej stąd.

Holliwell popatrzył na chłopaka, potem na Justin.

- Myślisz, że mielibyśmy jakąś szansę?

- Moim zdaniem macie bardzo duże szanse - odparła.

Pablo poruszył się na łóżku.

- To prawda - wtrącił. - Pogoda jest po prostu cudowna. Mocną, solidną łódź jestem w stanie doprowadzić na samą Florydę.

- Za dnia powinniście się natknąć na jeden z parowców kur-sujących kanałem. Codziennie widzimy je

z plaży. Jeśli pogoda się zepsuje, możecie skręcić na południe i wystarczy wam paliwa na dopłynięcie do Limon w Kostaryce.

- Zdaje się, że nie mam wyboru, co?

- Nie sądzę, Frank. Masz szczęście. Uda ci się.

- Ja też - dodał Pablo. - Zawsze miałem szczęście.

- Chryste - jęknął Holliwell. Zerknął na księdza siedzącego w nogach łóżka Pabla. - A co z ojcem?

- Nie mam takiego szczęścia jak wy dwaj. Zresztą i tak zostaję. - Naprawdę, to najlepsze rozwiązanie, Frank. Chciałam wysłać Pabla z Charliem, ale dla was obu będzie lepiej, jeśli to ty popłyniesz.

- Dobra - ustąpił Holliwell. - Zróbmy tak.

Podczas gdy Karaibowie pilnowali więźniów, Justin i Holliwell zabrali się do szykowania zapasów potrzebnych na wyprawę przez morze. W kuchni załadowali skrzynkę owoców: ananasy, papaję, kilkadziesiąt cytryn. Do tego wzięli też prawie połowę żywności w puszkach, przede wszystkim mielonkę wołową i fa-solę, dzięki którym żył Egan. Na zmianę mordowali kuchenną pompę, żeby wycisnęła z siebie dość wody do napełnienia pięćdziesięciolitrowego pojemnika. Kiedy skończyli, kazali dwóm jeńcom znieść to wszystko do szopy. Towarzyszył im jeden uzbrojony buntownik jako eskorta. Ta niewielka procesja prze-maszerowała plażą, mijając ciała zabitych gwardzistów, i zatrzymała się przy małej przystani. Holliwell stanął na pokładzie, a tamci ustawili się w szeregu i w niemal absolutnych ciemnościach podawali sobie zapasy z rąk do rąk. Z otwartej szopy wyjęli do połowy opróżniony kanister benzyny, trochę ropy i plastikowy lejek.

Kiedy wrócili na drogę, dwa pikapy stały już załadowane i dowódca powstańców zwoływał swoich ludzi z lasu, każąc się zebrać wzdłuż drogi. Dowódca pracował wcześniej jako księgowy w burdelu w Alvarado i do tej pory nie mógł się ostrząsnąć ze zdumienia, jak łatwo sobie poradził z gwardzistami. W jego oczach żarzył się niespokojny blask, co chwila ocierał ręką twarz, jak ktoś zagubiony, zdezorientowany. Działanie przytłumiło jego poczucie rzeczywistości. Jak na warunki tecańskie wychował się w cieplarnianych warunkach i jedyne miejsce, w jakim do tej pory stykał się ze zmasowanym atakiem i jego skutkami, było kino. Nie wiedział, co zrobić z Holliwellem, i dlatego go ignorował. Księgowy był młody, niski i tłusty, miał pulchną buzię rozpuszczonego dziecka. Budził w Holliwellu współczucie. Holliwell stał w pobliżu, kiedy dowódca mówił Justin, że w ciężarówkach nie zmieszczą się jego ludzie, leki i jeńcy. Justin zaproponowała więc, by jeńcy szli pieszo. To unieszczęśliwiło księgowego. Tak pięknie wcześniej do nich przemawiał, że przeszli pod jego rozkazy. Nie chciał ich utracić. Nigdy jeszcze nie przytrafiło mu się coś podobnego. Przysłuchującego się temu Holliwella ogarnęła też i zazdrość. Tamten przeżył swoją chwilę chwały.

Justin i księgowy zgadzali się, że już najwyższy czas opuścić misję. Odgłosy strzelaniny od strony miasta nieco ucichły, za to wzmożyły się na wzgórzach za misją. No i na południu, gdzie do tej pory było właściwie cicho, teraz szczekała broń maszynowa. A właśnie w tym kierunku zmierzali.

Poszli na górę do punktu opatrunkowego i księgowy rozpoczął przemowę do skulonych jeńców. Opowiedział im, co robił jeszcze wczoraj, i zwierzył się, jak to aż do dziś nie wiedział, kim właściwie jest, ale w rewolucji odnalazł wolność. I oni też ją mogą odnaleźć. Wyraził nadzieję, że będą mu ufać i włączą się czynnie do rewolucji, choć to oznacza, że będą musieli iść i raz po raz się poddawać. Gdyby był okrutnikiem takim jak ich oficerowie, po prostu by ich zabił. Gdyby to oni go pojмали, stwierdził, na pewno rozkazano by im go zabić i, przymuszeni, uczyniliby to. Mówiąc to, księgowy sam zdawał się nie wierzyć własnym słowom, choć były one bardzo prawdziwe. Płomienną wymową natura obdarzyła tego młodzieńca. Marnował się na stanowisku księgowego w burdelu, ale iluż ludzi w tym kraju też się marnowało na niewłaściwych stanowiskach. Kiedy Justin poszła po zapasowe

bandaże i antybiotyki dla Pabla, Holliwell zbliżył się do łóżka, żeby przyjrzeć się człowiekowi, z którym będzie płynął. Ojciec Egan nadal siedział w tym samym miejscu.

- Właściwie nie przedstawiliśmy was sobie, prawda? To jest Holliwell, Pablo. Jest antropologiem. A to

Pablo.

- Jak się czujesz, Pablo? - spytał Holliwell.

- Bywało lepiej - odparł Pablo.

Holliwell odniósł dość nieprzyjemne wrażenie, że jest traktowany lekceważąco. Może Pablo nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, takie już miał obyczaje.

- Co robisz w tej cholерnej dziurze, brachu?

- Prowadziłem badania.

Pablo zawahał się, wreszcie parsknął śmiechem.

- Taaa?

Holliwell odszedł i na środku pokoju wpał na Justin, niosącą leki dla Pabla.

- Kim jest ten szczeniak? - spytał.

- Właściwie nikt nie wie. Charlie Egan mówi, że jest poszukiwany przez prawo, a mnie to wystarcza.

Pewnie zwał ze statku. Holliwell nie odpowiedział.

Razem z Justin dźwignęli chłopaka z łóżka i postawili go na nogi. Schwytani Indianie i księgowy obserwowali ich ruchy. Kiedy chłopak już stał, obrócił się do ojca Egana.

- Myślisz, że będzie dobrze? - spytał księdza. Holliwella wzruszył ten gest.

- Tak, wszystko będzie dobrze, Pablo. Dla ciebie zawsze wszystko będzie dobrze.

Pablo się uśmiechnął. Powiódł wzrokiem po Justin i Holliwellu. Holliwell przysięgłby, że w oczach chłopaka zobaczył przebłysk triumfalnej złośliwości. Nagle Pablo sposepniał.

- Gdzie mój nóż? - odezwał się ostro.

Ojciec Egan sięgnął pod materac i wyjął olbrzymi nóż w plastikowej pochwie. Pablo wyrwał mu go z rąk.

- Nóż zawsze się przyda, nie? Do krojenia.
- Chcesz, żebym go niósł? - zaoferował się Holliwell.
- Poradzę sobie - oświadczył Pablo i wsunął nóż za pasek. Cała trójka zeszła do statku. Od czasu do czasu Pablo kładł rękę na ramieniu Holliwella i opierał się na nim całym ciężarem. Za sobą słyszeli warkot uruchamianych silników. Księgowy i jeńcy schodzili po schodach, po drodze zabierając latarnie sztormowe.

Holliwell i Justin pomogli chłopakowi wejść na pokład łodzi. Przeczłogał się na dziób, zrobił sobie oparcie z przepierzenia i położył się na wilgotnym brezencie.

- Będziesz wiedział, jak... to prowadzić? - zwróciła się do Holliwella Justin.
- Jasne.
- Jest tu kompas, byłe jaki, ale lepszy rydz niż nic. Płyn cały czas w prawo i uważaj na rafy.
- Naprawdę uważasz, że cię zdradziłem? - spytał Holliwell.
- Nie chciałem, żeby to tak wyszło.
- Jestem pewna, że nie chciałeś. Wiem, że nie chciałeś. Ale, jak sam mówisz, to już bez znaczenia. - Leciutko musnęła jego ramię. - Kto wie, dokąd każde z nas dopłynie?
- Spotkam cię.
- Nie miej wyrzutów sumienia. Nie teraz.
- Do widzenia. Kocham cię.
- Och, Frank - powiedziała szybko, jakby ją to żenowało. Odwróciła się i ledwo usłyszał jej pożegnanie. - Jasne. Do widzenia, Frank.

Wyprawdzając statek z przystani, pomyślał o rafach i głośno przetknął ślinę. Czuł, że ten chłopak, Pablo, mimo mroku, przygląda mu się z dzioba.

Rozdział trzydziesty czwarty

Następnego ranka, w narastającym upale, doprowadzono May Feeney do justicia. Siedziała w

samochodzie obok porucznika Guardii. Miał jasną, piegowatą twarz, błękitne oczy i miękki, brązowy wąsik. Nie odezwał się do niej ani słowem, ale przez całą tę straszliwą, długą drogę nie wyjmował ręki spod spódnicy dziewczyny. Obmacywał, dłubał palcem jej najintymniejsze części ciała. Justin mogła tylko próbować się jak najbardziej odsunąć. Oczy miała spuszczone ze wstydu i żeby nie widzieć tego człowieka.

Na placu, gdzie kiedyś wszyscy przychodzili oglądać woskową figurę Chrystusa, zebrały się sępy i skakały po chodnikach i trawniku. Cała chmara ptaków kłębiła się nad dachem Municipality. Niczym mechaniczne zabawki kręciły łbami w obie strony, bystrymi ślepiami przypatrując się temu, co się działo na dole, próbując nie uronić niczego ze spektaklu. Ale ulice i plac były zupełnie puste.

Błękitnooki porucznik przeprowadził zakonnicę między kolumnami w kolorze ochry, pod spłaszczonym łukiem nad którym widniało godło Republiki. Zachowywał się bardzo oficjalnie. Ręka spoczywająca na ramieniu mogła należeć do kogoś zupełnie innego niż człowiek z samochodu. Jej uścisk nie był ani miękki, ani brutalny, ale dziwnie poprawny. Tak jakby dotykanie dziewczyny w innych miejscach niż te, które obmacywał w samochodzie, budziło w nim odrazę.

481 Ludynku Guardii zebrało się kilku kaprali w panterkach i słuchali radia. Jakiś aktor zwracał się do narodu, zachęcając go do nieustannej walki o wolność. Komunistyczny najeźdźca został pokonany, zapewniał, i uciekał w popłochu przed zwycięską armią Guardii, walczącej w imię postępu i chrześcijaństwa. Kaprale Guardii popatrzyli na wchodzącą May. Wszyscy mieli wąsy, co w górach oznaczało przynależność do białej rasy. Część się uśmiechała, część wyglądała na obojętnych.

Minęli pierwszy pokój i znaleźli się w długim pomieszczeniu z zamurowanymi oknami i nieprzyjemnym zapachem. Campos już tam czekał. Kiedy ją wzięli, Justin wiedziała, że on będzie na nią gdzieś czekał.

- Drzysz - powiedział.

To była prawda. Kolana jej się trzęsły. Czuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Serce jej się ścisnęło z obrzydzenia.

- Sprawdziłem ją, tak że się spóźniłeś - stwierdził niebieskooki oficer.

Był w doskonałym nastroju. Załatwił sprawę palcem, uniósł go przed nosem, a potem podsunął pod nos Camposowi. Roześmiał się i May pomyślała, że to dziwne słuchać ludzkiego śmiechu, kiedy tak człowiekowi do śmiechu daleko, dziwne być tak daleko od tego, co go wywołało, jak światłość od mroku.

Campos ujął ją pod ramię podobnym gestem jak tamten porucznik i pociągnął do nie malowanych drzwi, które prowadziły do składziku i na dziedziniec. May zobaczyła przed sobą rzędy trumien ze złożonymi w nich ciałami żołnierzy Guardii, a dalej rzucone na kupę ciała chłopów, które rozkładały się w upale, śmierdziały; nad nimi krążyły roje much. Wśród tych ciał May rozpoznała księgowego, który przez chwilę był dowódcą. Odwróciła się.

- Zginęli - powiedział Campos. - Przez ciebie.

Próbowała się zmusić do powiedzenia czegoś, do krzyku, odpowiedzi, kłamstwa. Ale na widok ciał tak się załamała, a strach przed Camposem był tak wielki, że początkowo w ogóle nie mogła wydobyć głosu. Zmuszała się, zmuszała, aż wreszcie z jej ust wyrwał się szloch i odbił echem o kamienne ściany. Brzydziła się tego szlochu. Odzierał ją z godności. Ale mimo to musiała go 482szyć - coś, co należy do niej, jej dźwięk - nawet jeśli to miałby być płacz. To jedyne, co tutaj miało jakiś związek z nią. Reszta to Wróg. Błękitnooki oficer odrzucił głowę i cicho zawył jak wilk, naigrawając się z May. Potem wyszedł i została sama z Camposem. Z pokoju obok dobiegał przytłumiony dźwięk radia. Campos przez chwilę nasłuchiwał. Podeszedł do drzwi wiodących do biura, otworzył je i przechyliwszy głowę słuchał sztucznego, radosnego głosu kobiety kończącej oświadczenie. Potem zamknął drzwi i podeszedł do May. Teraz zrozumiała, kim naprawdę był i dlaczego zawsze tak się go bała. Wiedziała, że nic nie zostanie jej oszczędzone i że musi postarać się być gotowa.

Muszę to zrobić - myślała, kiedy zaczynał. - Ja muszę to skończyć, nie on.

Nastawiła kompas umysłu najbliżej i najdokładniej, jak potrafiła, na wytrwałość i miłosierdzie. Płakała, bo najpierw nie było nic, zupełnie nic. Tylko spadające na nią ciosy. Choć bił ją potwornie,

niewyobrażalnie, nadal próbowała. Nawet kiedy była skąpana we krwi, nie ustawała w próbach. Choć w pewnym momencie zapomniała, kim był jej oprawca i dlaczego zadawał jej ból, nadal myślała o łzach, krwi, śluzie, chwiejących się zębach: to nie jest nic złego, to po prostu i mnie nic nie jest. Prąd trząsał nią, szarpał, miotał, jakby nie miała kości. Nie myślała o krzyku. Wstrząsy ją oślepiły, one ją zabijają. - Mój ojciec cię urządzi, ty łachudro - powiedziała. Uderzył ją czymś w głowę i światło zgasło. Wiedziała, że będzie tylko gorzej i że ona już nigdy nie wróci. Wyciągnęła dłonie, tak jak w puste popołudnia kilku ostatnich miesięcy wyciągała je ku obojętnemu morzu i nadal niczego tam nie było. Płakała. Żyła tylko między wstrząsami elektrycznymi, a czas jest taki cenny. Nie była bohaterką.

Czasem jedyne, na co potrafię się zdobyć - powiedziała mu - to niewielka, spokojna uczciwość.

Próbowała powiedzieć.

W pewnej chwili zobaczyła ruch swoich palców i wiedziała, że to elektryczność nimi porusza. Jej obrączka zniknęła. Potem coś nadeszło, coś, czego nie rozpoznawała. W przerwie, kiedy miała czas, pytała siebie, co to może być. Czy znajduje się w niej czy poza nią. Cokolwiek by to nie było, nie zostawiało miejsca na nic poza sobą. Silniejsze od prądu, a przecież raził mocno. Silniejsze od silniejszego, silniejsze od miłości. Wydawało jej się, że może to jednak miłość. Brakowało jej sił, by to znieść. Za bardzo już była zmęczona.

A więc ty? W środku, na zewnątrz, obok, niedaleko. Znikający nieznajomy, oszust.

Chryste - pomyślała - tak daleko. Daleko od czego?

Ale czemu zawsze tak daleko?

Porque? - spytała.

Usłyszała ryk mężczyzny.

Zawsze tak daleko. Ty. Zawsze taki bezwzględny wobec swojego dziecka, zmuszający mnie do trwania na posterunku. Ty, wieczne przeznaczenie. Ty Jakuba, Izaaka, Ezawa.

A więc niech się stanie. W końcu, czyja ja jestem? Dla kogo mnie przygwoździli?

Dlatego powiedziała do Camposa: - Oto ja, służebnica Pańska.

Rozdział trzydziesty piąty

O świecie Tecan stanowił tylko ścianę intensywnie zielonych gór. Holliwell nigdy go nie oglądał od tej

strony. Ten widok wzbudził w nim coś, co - wbrew rozsądkowi - przypomniało pragnienie.

Nocą mijało ich sporo oświetlonych statków, ale nigdy nie na tyle blisko, by groziło to wypadkiem, bądź by próbować krzyczeć o pomoc. Holliwell w szafce obok zbiornika na paliwo znalazł latarkę i próbował nadawać nią sygnały. Bezskutecznie. Uznał, że zapewne blask był za słaby, albo mylono go ze światłami wybrzeża. Teraz, kiedy jasne słońce rozproszyło mrok, po morzu kręciło się mnóstwo statków. Na północ sunęły trzy niewielkie frachtowce, rysując się wyraźnie na tle różowych chmur. Wszystkie były parę mil od ich łodzi. Holliwellowi wydawało się mało prawdopodobne, żeby w dzień się zatrzymały, nawet gdyby jakiś marynarz wypatrzył ich niewielki kuter.

Jego towarzysza podróży, Pabla, ta sytuacja najwyraźniej nie niepokoiła. Widać całkowicie go pochłaniały kłębiące się w nim uczucia. Podczas gdy Holliwell sterował, on leżał na dziobie, wpatrując się w niebo. Holliwell przez jakiś czas obserwował chłopaka, potem odwrócił wzrok.

Powierzchnia morza wyglądała niczym przejrzysty, delikatny szmaragd. Już niedługo stanie się lustrem

dla palących promieni słonecznych. Holliwell zaczął szukać swoich okularów przeciw-485ecnych i znalazł je w kieszeni koszuli. Jakimś niepojętym cudem dotrwały całe, nie uszkodzone.

- Tyle jest rzeczy na świecie - odezwał się Pablo.

Trzymał w dłoni małą fiolkę; właśnie się szykował do połknięcia kolejnej pastylki. Nocą, po połknięciu tych tabletek, robił się gadatliwy. Holliwell udawał, że śpi. Ale dobrze nastawiał ucha i gadanina Pabla najpierw go zaniepokoiła, potem zaczął się naprawdę bać. Pablo, kimkolwiek naprawdę był, wyglądał na szaleńca, ciągle naćpanego, buchającego nienawiścią i okrucieństwem zwróconymi przeciwko wszystkim, całemu światu. - Więcej niż się człowiekowi może w głowie pomieścić, bracie.

- Rzeczywiście - zgodził się HoUiwell.

Pablo posłał mu głupkowany, niebezpieczny uśmiech. Poranne słońce uderzyło ich jak młotem. Wiatr był łagodny, morze wyglądało na spokojne. Zefir znad wybrzeża pchał ich powoli na północny wschód bez konieczności uruchamiania silnika. HoUiwell odwrócił się od drwiącej twarzy Pabla i szukał na horyzoncie oznak załamania pogody. Ale, na tyle, na ile się na tym znał, nic na niebie nie zapowiadało pogorszenia aury. - Jak sądzisz, Pablo - zwrócił się do chłopaka - czy pogoda się utrzyma?

Ciągle próbował sprowadzić rozmowę na praktyczne tematy, wierząc, że uda mu się znaleźć dziedzinę, o której będzie można porozmawiać normalnie i bez obaw. Jak na razie szczęście mu nie dopisywało.

- Taaa - odparł beztrąsko Pablo. - Pogoda jest dobra.

Oparł się o burtę i wznosił oczu ku niebu.

- Rozumiesz, człowieku, tyle rzeczy... Nigdy nie wiadomo. Holliwella, mimo panującego upału, przeszył dreszcz. Ze swojej buteleczki wyjął tabletkę aviomarinu.

- Cóż - odezwał się po chwili. - Uruchomię silnik. Może uda nam się wpłynąć na trasę statków. Jeśli zobaczą nas z bliska, może się zatrzymają.

Pablo skinął głową, uśmiechając się tajemniczo.

Na ile jest szalony? - zastanawiał się HoUiwell. - Czy go w ogóle coś obchodzi?

Silnik nie chciał zapalić. HoUiwell mordował się z nim ponad 486godziny. Bezskutecznie. Wreszcie, zlany potem, padł, opierając się o burtę. Pablo poczołgał się ku rufie, zdjął pokrywę silnika i wytarł go w środku kawałkiem brezentu.

- Spróbuj teraz, profesorku.

HoUiwell szarpnął przewód. "Evinrude" przebudziła się z rykiem.

- Styki zamokły - wyjaśnił Pablo. - To wszystko.

- Dzięki - odparł HoUiwell.

Miał wrażenie, że porażka z silnikiem osłabi go w oczach Pabla i przyspieszy jego szaleństwo.

Wymienili spojrzenia. Pablo nie przestawał się uśmiechać. HoUiwell zaczynał go nienawidzić. - Znasz się na tych indiańskich bazgrołach, nie?

- Nikt właściwie ich do końca nie rozumie. Tylko niektóre rzeczy.
- Opowiedz mi o nich.
- Cóż - zaczął HoUiwell z wątlým uśmiechem - bardzo dużo piszą tam o bóstwie deszczu, które

nazywamy bogiem Siedem. - Bóg Siedem? To wszystko?

- Nie potrafimy stwierdzić, jak naprawdę się nazywał.
- Nawet ty?
- Nawet.

Pablo wyglądał na zamyślonego.

- Ten stary z misji - stwierdził - na pewno by wiedział. - Na niektórych kamieniach znajduje się król, może on też jest bóstwem, ale nam się wydaje, że to król. Ktoś się na niego uwziął, bo wszędzie, gdzie jest przedstawiony, odłupano mu twarz. Nikt nie wie, kim właściwie był. Nazywamy go Pochmurne Niebo.

- Pochmurne Niebo - powiedział Pablo i jeszcze raz powtórzył to cicho. - Ej, a co wiesz o tych ofiarach z ludzi? O co w tym chodziło?

- O to samo, co zawsze. To nie Indianie pierwsi wymyślili ofiary z ludzi.
- Rozumiem, dlaczego to robili - oznajmił Holliwellowi Pablo.
- Gdzieś w głębi ducha rozumiem. Chyba mam to we krwi.

HoUiwell przyglądał się chłopakowi i milczał.

- Wiesz o czarach, które tam odprawiali? - zapytał Pablo.

HoUiwell sięgnął po dzbanek i wypił łyk wody.

487kich czarach?

- Nie mówię o tych z dawnych czasów - wyjaśnił Pablo. - Mówię o tych naprawdę strasznych, które

są teraz. O ofiarach. - Chyba nie nadążam.

Pablo wzruszył ramionami.

- Jak nie chcesz, to nie gadaj, nie będę cię zmuszał. Ale wiedz, że stary mi o wszystkim mówił. Wiem, co tam się dzieje. O Demiur-gu i całej reszcie.

- Zdaje się, że straciłem wątek - powiedział Holliwell. Uświadomił sobie, że Pablo zachowuje się, jakby on, Holliwell, należał do jakiejś masonerii, zrodzonej w mózgu tego obłąkanego chłopaka. Nie wiedział, co będzie rozsądniejsze: czy dać tamtemu się wygadać, czy ustawić go do pionu.

- Pewnie porozmawiasz ze mną, kiedy nadejdzie twój czas - stwierdził Pablo. - Kiedy będziesz gotowy. Możemy spędzić jeszcze wiele czasu na tej łodzi.

Holliwell uznał, że w stwierdzeniu Pabla kryje się groźba. Wagę chłopaka szacował na jakieś siedemdziesiąt parę kilo - ale przeciwnik wyglądał na twardego, dobrze umięśnionego, a złośliwość i nerwowa energia mogły uczynić z niego bardzo trudnego przeciwnika. Co więcej był młody i szalony, podczas gdy Holliwell słabł od przebywania na słońcu i braku snu. Holliwell starał się nie patrzeć na Pabla, próbując zachować gotowość i licząc na łut szczęścia. Może ktoś ich jednak weźmie.

Przecież ci z misji musieli sobie zdawać sprawę, że chłopak jest szalony i niebezpieczny. Zresztą może

nie jest aż tak rozstrojony, na jakiego wygląda. Holliwell sam nie wiedział, tamci ludzie byli tacy dobrodusznymi, hien pensants. W tej całej sytuacji kryła się jakaś okrutna sprawiedliwość losu, ale Holliwell nie był w nastroju, żeby się nią rozkoszować.

Gdzieś na południu pojawił się mały frachtowiec, który wyglądał, jakby zdążył ku wybrzeżu. Holliwell oblizał wargi i całą uwagę skoncentrował na łodzi, wyciskając z niej maksymalną prędkość.

- Ponoć czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal - odezwał się Pablo - ale to nieprawda. Jeśli człowiek

nic nie wie, inni go wykorzystują.

488oda - przyznał Holliwell.

- Powiadam ci, człowieku, ostatnio ryle się dowiedziałem, że sam nie mogę się nadziwić. Świat jest

zupełnie inny, niż mi się wydawało.

Holliwell był zaintrygowany.

- Ale lepszy czy gorszy?

Na twarzy Pabla pojawił się młodzieńczy uśmiech. - Hmm... Niech się zastanowię. - Pomyślał chwilę. - Chyba i lepszy, i gorszy. Ale jest w nim coś więcej. Przynajmniej dla mnie. - To dobrze.

- Wiem, co robisz - oświadczył Pablo. - Bierzesz mnie na spytki. To ja powinienem się uczyć od ciebie.

Holliwell spojrzał na niego, bacznie przyglądając się zamazanym rysom śniadej twarzy, rozpalonym oczom. Miał wrażenie, że zagląda do czegoś wrednego i szalonego. I dziwnie znajomego. - Wiesz o wiele, wiele więcej, niż chcesz się przyznać, facet.

Teraz już nie mam wątpliwości.

Kiedy słońce swoim żarem zalało ocean, Pablo zdjął koszulę, spodnie, zmoczył koszulę w morzu i zawinął ją sobie wokół głowy niczym turban. Wyciągnął się na przedniej części łodzi, rozkoszując się upałem i słońcem. Holliwell zauważył przytroczony do nogi nóż.

Namierzony przez Holliwella frachtowiec nadal płynął w ich stronę. Holliwell utkwiał wzrok w czarnej sylwetce statku, próbując ściągnąć go tu mocą swej woli. Teraz już dostrzegł dym z komina. Z całej siły, aż do bólu zacisnął rękę na przepustnicy silnika; miał zamiar zmusić łódź do rozwinięcia jeszcze większej prędkości. Pablo przypatrywał mu się uważnie.

- Poradzimy sobie - uspokoił Holliwella.

- Właśnie to chciałem usłyszeć.

- Mówię ci, facet, nie masz się o co martwić. Wracamy do domu. Przynajmniej ja.

Przez ponad godzinę Holliwell całą uwagę skupiał na frachtowcu, próbując ocenić jego wielkość i prędkość. Odwracał się tylko, kiedy już pot zalewał mu oczy. Przytrzymując przepustnicę łokciem, wycierał okulary i chłodził sobie twarz wodą. Woda przynosiła ulgę tylko na moment. Holliwell czuł, jak 489z mu puchnie, a upał i sól pieką jego odsłonięte ciało. Unosząc dzbanek, pił oszczędnie i

myślał o zmarnowanej wodzie.

Czuł się chory. Bał się.

Pablo zapadł w coś w rodzaju snu. Żółte oczy były nieruchome, częściowo zasłonięte przez drgające powieki i zacienione przez turban z koszuli. Holliwell jak mógł, starał się wyrzucić obecność Pabla z pamięci, ale nie potrafił się powstrzymać od zerkania na nóż, przyczepiony do łydki chłopaka. Nóż miał rękojeść i pochwę z plastiku, ostrze było szerokie, ciężkie. Holliwellowi ten nóż kojarzył się nieco z jego właścicielem.

W głębinach przerażonego, umęczonego słońcem jestestwa Holliwella zaczął się rysować koszmarny

obraz złożony z Pabla i jego olbrzymiego, zakrwawionego noża. Od ilu już godzin słyszał ten niewyraźny, leniwy bełkot, próbując odczytać, co się kryje w chmurnych, przysłoniętych powiekami oczach, patrząc, jak mięśnie szczupłej, brązowej twarzy to się napinają, to odprężają. Czuł się, jakby po trwającej całe życie pogoni jego osobisty wróg, jego diabeł, dopadł go i przyparł do muru. Całe życie - myślał - już od dzieciństwa, prześladowali go ludzie tacy jak Pablo. Ale jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby go uwięzili w pułapce tak jak teraz: w samo południe, w odludnym miejscu.

Postanowił sobie, że wszyscy mogą z nim wygrać: morze, słońce, pragnienie i głód, ale nie Pablo.

Pierwej obaj zginą. To postanowienie przyniosło mu gorzką satysfakcję, która, po nadziei, stanowiła jedyne jego pocieszenie; wiedział, że będzie się jej trzymał.

Odległy statek nadał był wiele mil od nich, na horyzoncie, i wcale się nie powiększał. Holliwellowi chciało się wyć. - Nie uda ci się - stwierdził Pablo.

Te słowa zmroziły Holliwella do szpiku, ale nie odrywał wzroku od statku.

- Co chciałeś przez to powiedzieć, Pablo?

- No, przecież tamten zmienił kurs, to widać - odparł Pablo. Zza pleców Holliwella spoglądał na frachtowiec. - Teraz już nie uda ci się przeciąć mu drogi.

Holliwell prawie widział znak firmowy wymalowany złotymi literami na błękitnym tle. Cóż to były za śliczności - pomyślał. - Może nas widzą - powiedział na głos.

490awet jeśli, i tak się nie zatrzymają.

- Przecież muszą nas widzieć.
- Cóż, tutaj są dziwni ludzie - stwierdził Pablo. - W ogóle wszędzie. To że cię widzą, wcale nie oznacza, że przyjdą ci z pomocą. A nawet jeśli przyjdą, to wcale nie musi ci wyjść na dobre.

Holliwell nadal nie spuszczał wzroku ze statku. Ustawił się pod innym kątem, tak że niemal można było odczytać jego nazwę i port. Załamany Holliwell rozejrzał się po morzu. Widać było dwa inne statki, ale bardzo daleko. Zerknął na zegarek. Wskazówki pokazywały wpół do pierwszej. Zegarek wydawał się bzdurą, drobiazgiem, maleńkim metalowym rejestratorem otaczającej ich niezmierności. I jeszcze tyle dnia przed nimi. Tyle paliwa, tyle wody.

Pablo obierał pomarańczę. Holliwell przyglądał mu się, starając się zapanować nad gniewem i odrazą.

- Wpadliśmy, Pablo, nie sądzisz?

Pablo dał mu połówkę obranej pomarańczy i skinął głową ku wschodowi.

- Spójrz tam.
- O co chodzi? - Holliwell usłyszał w swoim głosie lekkie drzenie. - Pogoda się zmienia?

Pablo uśmiechnął się z otuchą.

- Wyspy - oświadczył. - Jeśli nie namierzemy jakiegś dzisiaj, namierzemy jutro. Prawdziwe, śliczne wysepki.

Holliwell po raz ostatni próbował sobie wmówić, że Pablo jest rozsądny. Nie udało się. W zwierzęcych oczach czytał tylko szaleństwo i groźbę.

- Cóż - odezwał się po chwili. - Popłyniemy na silniku jeszcze jakąś godzinę. Potem lepiej poczekać i się rozejrzeć. Czuł, że Pabla bawi jego twarde trzymanie się głosu rozsądku. - Jeśli do czwartej nie znajdziemy pomocy, skieruję statek na północ. Może uda nam się dopłynąć do wybrzeża Composteli.
- To jest pod wiatr - nie zgodził się Pablo. - Nigdy tam nie dotrzemy. Płyniemy na wyspy.

Holliwell włożył do ust cząstkę pomarańczy, wyssał z niej sok i wypluł miąższ. - Nie wiem, dlaczego

jesteś tego taki pewny.

- Bo tak musi być - wyjaśnił Pablo. - Dlatego.

Nie odpowiedział, ale Pablo wyglądał na niezadowolonego z jego reakcji.

- Spoko, wyluzuj się, profesorku. Taki z ciebie mądry facet, a taki czepliwy.

- Ze mną wszystko w porządku. Lepiej ty poluzuj. W oczach Pabla pojawił się chłód. Mignął w nich

gniew niczym błysk ostrza noża.

- Może nie jesteś tym, za kogo cię uważałem.

- Jestem po prostu facetem, z którym znalazłeś się na statku - stwierdził HoUiwell. - To powinno ci wystarczyć. Pablo przez chwilę patrzył na niego z nieszczęśliwą miną, potem przesunął się do przodu.

- Odpocznij sobie - zwrócił się do Holliwella. - Zastąpię cię przy sterze.

HoUiwell nie potrafił się zmusić do wypuszczenia przepustnicy z ręki.

- O co ci, kurwa, chodzi? Boisz się, że zejdziesz z kursu?

HoUiwell przesunął się i Pablo zajął jego miejsce przy sterze.

Potem przykrył koszulą twarz i leżał z głową na brezencie.

Był zmordowany, ale bał się spać.

- Myślałem, że jesteś jednym z nich - mówił Pablo. - Myślałem sobie, że jesteś w porządku.

- Jednym z których?

- Z tych ludzi, tam w misji. Myślałem, że trzymasz z nimi.

- Byłem przypadkowym przechodniem.

- Musisz zrozumieć jedno, HoUiwell. Ma miejsce pewien proces i ja jestem w jego środku. Mnóstwo rzeczy jest pisanych. Holliwella nie zaskoczyła ta deklaracja. Spodziewał się czegoś w tym stylu i był na to przygotowany. Nienawiść krążyła w jego żyłach niczym odtrutka. Będzie gotowy. Mimo słońca i upału nie straci przytomności. Zdjął koszulę z twarzy i przekręcił się na bok, patrząc nad dziobem.

Minął ich kolejny statek, płynący na północ.

- Wiesz, o czym mówię - ciągnął Pablo. - Cholernie dobrze wiesz.

492 tępnie wyłączył silnik i popadł w milczenie.

Po jakimś czasie Holliwella zmogło zmęczenie, myśli zaczęły krążyć swoimi torami. Sny - jeśli to były sny - miały smak soli i prażyło w nich słońce, tak jak na zewnątrz. Widział nie istniejące statki. Jeden minął ich, kiedy już zbliżył się niemal na wyciągnięcie ręki. HoUiwell widział najdrobniejsze szczegóły - czerwony reling, rdzę na dolnej części kadłuba, zanurzonej pod wodą, farbę i lśniące mosiężne gałki na mostku kapitańskim.

Kiedy wyrwał się z tych majaków, upał i słońce nieco ustąpiły. Przed nimi rysowały się ciężkie kontury chmur, zerwał się silny wiatr, który unosił fale, tak że pryskały na pokład, i coraz bardziej oddalał ich od wybrzeża. Nigdzie w okolicy nie było widać statków. Pablo z wiadra zrobił coś w rodzaju kotwicy dryfującej, która pomogła im utrzymać kurs, a przy okazji uzyskał sznur, na którym wywiesił ubrania, żeby wyschły przed nocą. Bez słowa zabrał też koszulę Holliwella i rozciągnął ją obok swojej. - Nabrałeś mnie, facet - oświadczył. - Jeśli nie masz ni wspólnego ze sprawą, lepiej mi jej nie spieprz. To znaczy nic próbuj mnie rolować, bo tego nie lubię.

- Musisz mi zaufać. Potrzebujemy siebie nawzajem. - Ja nikogo nie potrzebuję - stwierdził Pablo.

-
Już me chłoplr, opowiedziałbym ci, w jakie gównno się wpakowałem, kiedy ludziom wierzyłem. W ogóle nie chcę o tym myśleć.

Kiedy słońce się schowało, niebo znowu nabrało kolorów. Morze wyglądało, jakby unosiła się nad nim delikatna, zielonkawa mgiełka.

- Źle się czuję - poskarżył się nagle Pablo. - Moja noga.

Chyba mam gorączkę.

HoUiwell się przejął, zmienił w chodzącą troskę. Zwilżył chus teczkę w świeżej wodzie i dał ją chłopakowi, żeby się ochłodził. Zamienili się miejscami, HoUiwell znowu przejął ster. Wiatr był znacznie chłodniejszy. Pablo włożył koszulę i wyciągnął się na brezencie.

- Masz gdzieś tam penicylinę - powiedział HoUiwell do swego towarzysza podróży. - Powinieneś ją

wziąć.

Pablo znalazł tabletki i Holliwell zauważył, że chłopakowi drżą palce, kiedy odkręcał plastikowe wieczko. Oprócz penicyliny połknął jedną ze swoich pastylek, tych, które rozwiązywały mu język.

- Nie ma dwóch zdań, boli mnie jak cholera.

Zerkając na kompas, Holliwell stwierdził, że dryfowali zdecydowanie na wschód. Czyli zapewne Pablo miał rację. Nie dla nich Compostela. A co los dla nich zaplanował, pokaże sani nie-zmierzony ocean.

Pablo wzdrygnął się i podparł na łokciu.

- Nie próbowałbyś mnie wyrolować, co, profesorku?
- Oczywiście, że nie - zapewnił Holliwell.
- Bo to by była ostatnia rzecz w twoim cholernym życiu, Jim.

I lepiej uwierz mi na słowo.

- Spokojnie, Pablo.

Strach ścisnął mu pierś. Zimny wiatr przeszywał go na wskroś, tak że zaczął drżeć. Pablo znowu opadł na brezent, wyglądał na uśpionego. Holliwell przyglądał się nożowi przyczepionemu do łydki. Tkwił w pochwie przytrzymywany przez gumę, która otaczała rękojeść. Próba wyjęcia go stanowiłaby bardzo delikatną i ogromnie niebezpieczną operację. A ten skurwiel nawet porządnie nie śpi. Oczy ma otwarte.

Nie był lepszy od zwierzęcia. Był po prostu zwierzęciem. Słońce niemal dotykało horyzontu, kiedy Tabor znowu się ocknął.

- Mówiłeś, że ją zdradziłeś.

Przez moment Holliwell nie miał pojęcia, o czym tamten mówił.

- Powiedziałeś do niej: "Zdradziłem cię". Co to znaczyło?
- Nic poważnego - odparł Holliwell. - Założyliśmy się o coś.

Oczy Pabla były puste, zagubione.

- Wiesz, jestem częścią procesu, a ty nie.

- Cóż, moja strata.

- Myślałem, że jestem po prostu jednym z wielu. - Pablo szeptał ledwo słyszalnie. - Uważałem siebie za jednego z prze-granych.

- A tymczasem stanowisz część całego procesu.

- Wszystko - upierał się Pablo - wszystko, co się wydarzyło, miało jakiś cel. Żebym się nauczył.

Wszystko, co się wydarzyło. Wszyscy, których spotkałem.

- Z wyjątkiem mnie - dokończył Holliwell.

- Ja tak nie twierdzę, Holliwell. Nie jestem tego pewny. Może ty też. Wiesz, ten stary mi powiedział coś takiego: oko, którym patrzysz, jest też okiem, które patrzy na ciebie. Tak mi powiedział. Holliwell przypomniał sobie nagle doświadczenie, o którym czytał. Wyciął nawet ten artykuł i przeczytał na zajęciach. Nauko-wiec, który postanowił obserwować zachowanie szympanсів, zrobił w drzwiach judasza, przez który mógł - nie widziany - podglądać zwierzęta. Kiedy przykładał doń oko, widział tylko coś, co w końcu zidentyfikował jako oko szympansa po drugiej stronie drzwi. Małpie zachowanie. Znowu przeszył go dreszcz. Zaszczekał zębami.

- Sądzę, że ja też mogę stanowić część tego procesu - odezwał się, kiedy już wziął się w garść. - Nauczyłem się tu kilku rzeczy. Owinął koszulę wokół poparzonego ciała i obejrzał się w stronę wybrzeża Tecanu, które teraz malowało się tylko zieloną linią na zamglonym horyzoncie. Przekonał się, jakie puste miejsca kryją się w jego wnętrzu. Podjął słabą próbę dobrej walki i dowiedział się, że nie zostały w nim ani dobro, ani walka. I zamiast sobie odpuścić, kiedy jeszcze mógł, znowu rzucił się w pogoń za życiem. Pokazali mu życie. I kazali zjeść.

Odwrócił się plecami do Tecanu i stanął twarzą w twarz ze swoim towarzyszem podróży.

Teraz jedyną perspektywą została śmierć, nagła bądź powolna; ani zasłużona, ani niezasłużona. I będzie musiał stawić jej czoło słuchając tego zaćpanego czuba, tego zasranego łachmyty o małych oczkach szaleńca.

- Weźmy na przykład mnie - mówił Pablo. - Tak mną manipulowali. Miałem takie popieprzone życie.

Dobra, teraz jestem chory, ale i tak czuję się o wiele lepiej niż przedtem. - Obejrzał się przez ramię i popatrzył na Holliwella. - Teraz wszystko się zmieni. Całkowicie.

1 Holliwell, który trząsał się po prysznicu, jaki mu urządziła fala, tylko skinął głową.

- Nie wiem, co chcesz zrobić, Holliwell, ale ja wracam do domu. Właśnie tak. Wracam do domu i wszystko będzie inaczej. Bo wygrałem, rozumiesz, co mam na myśli?

Uśmiechnął się szeroko. Zęby miał białe i zgrabne. Jedyna zdrowa rzecz w tej chorej twarzy - pomyślał Holliwell. - Wziąłem ze sobą kupę pamiątek wymiernych w forsie. Kupę, Holliwell, nawet nie pytaj. A oprócz tego dobra duchowe. Holliwell widział, jak chłopak powtarza pod nosem ostatnie dwa słowa.

- I mam tam w kraju moją małą żoneczkę. Tak, proszę pana.

I chłopca. To dobry chłopiec.

Nagle na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Dotknął kieszeni na piersi. To coś, czego szukał, na szczęście było na miejscu. - Po prostu rozglądaj się za wyspą, Holliwell. Zobaczysz ją! Holliwell ponownie bacznie się przyjrzał nieprzyjemnej twarzy swego towarzysza podróży i nagle ogarnęły go skrupuły. Z sentymentalizmu, wyrzutów sumienia, świadomego złamania postanowienia woli narodziła się niespodziewana zmiana decyzji. Zapłonęła w nim iskra nadziei, że może jednak obaj przeżyją. Teraz myślał, że ten chłopak to po prostu zwariowany szczeniak, od którego był starszy, twardszy i bardziej bezwzględny. I mimo tych durnych pogroźek, szczawik nie skłaniał się do morderstwa, które w swojej paranoi i szaleństwie mógł uważać za najlepsze rozwiązanie. A poza tym ona zaufała Pablowi, przyjęła go, oddała pod opiekę Holliwellowi. Może - myślał dalej Holliwell - jestem jej to winien. Ogarnęło go pragnienie, by zawrócić ku odległym, zielonym brzegom, ale tego nie zrobił. Teraz wszystko było tam stracone.

Sama czynność, zrobienie tego budziło w nim niechęć. Może trafią na statek. A może nawet - szczyt absurdu - znajdą wyspę. Postanowił, że nie straci głowy, bacznie będzie pilnował Pabla i spróbuje

jakoś przeżyć nadchodzącą noc.

Na niebie pojawiły się barwy zmierzchu. Słońce już nie prażyło, chowało się za horyzontem.

Spokojnie - nakazał sobie Holliwell. - Żyj nadzieją.

- Słyszysz je? - spytał Pablo Tabor.

- Co?

Holliwell wsłuchiwał się uważnie. Ale do jego uszu docierał wyłącznie szum fal, plusk wody

uderzającej o burty. Nic poza rym. - Przecież musisz - upierał się Pablo. - Musisz słyszeć.

, - Nie wiem, o czym mówisz.

- To do mnie - ciągnął Pablo. - Teraz są moje. - Znowu się dźwignął. - Słyszę je tak wyraźnie jak ty mnie.

- Co słyszysz, Pablo?

Znowu nadstawił uszu, nie tracąc jeszcze nadziei, że w końcu coś usłyszy.

- Czy to... głosy?

- Zabawny jesteś. Jesteś sprytnym sukinsynem.

Uśmiechnął się szeroko. Holliwell miał wrażenie, że serce przestało mu bić.

- Są po prostu piękne - powiedział Pablo. - Ni mniej, ni więcej tylko piękne.

Holliwell poddał się i potakująco skinął głową.

- Teraz jesteśmy kumplami - oznajmił Pablo. - Jesteśmy braćmi.

- Jak najbardziej - zgodził się Holliwell.

Próbował sobie wmówić, że rana i choroba osłabiły Pabla, tak że nie stanowi już zagrożenia. Ale

kiedy spojrzął na siedzącego prosto naprzeciwko niego chłopaka, którego rozsadała cho-robliwa

energia, zdał sobie sprawę, że to on jest słabszy. Bo mu zimno, bo ma spieczoną skórę, bo cierpi na

sentymentalizm. - Zamierzałem cię zabić, Holliwell. Nie zgrywam się.

- No, no - mitygował Holliwell. - Nie żałujesz?

- Nigdy niczego nie żałuję - oświadczył Pablo. - A wiesz, dlaczego?

- Nie.

Pablo się roześmiał.

- Bo nie mam czego żałować.

-Aha.

Szczupła twarz Pabla promieniowała młodością, siłą, nienaturalną łagodnością. Holliwell doskonale zdawał sobie sprawę, że wkrótce owa łagodność zniknie, a to stworzenie zwróci się przeciwko niemu i zażąda, jak zwykle z tymi stworzeniami bywa, ofiary. Wtedy będzie musiał przemawiać doń łagodnie, posyłać lekkie uśmiechy współczucia, w które usta nie będą chciały się układać. Szczere chęci całego świata nic tu nie pomogą - pomyślał Holliwell. - Nie dam rady.

- Zabijałem ludzi - oświadczył Pablo. - Gównu mnie to wzrusza.

Manipulowali mną. Sami się o to prosili.

- Ja tobą nie manipuluję.

- Nie - zgodził się Pablo. - I tego szukałem. Nie myśl sobie, że nie.

Wieczór przyniósł silny wiatr, który nie zamierzał ustępować. Szaleństwo Pabla i chłód przenikający

odstąpione ciało osłabiały Holliwella. Oparł się o burtę statku. Nie potrafił zapanować nad drżeniem.

Poznałem cię wreszcie - myślał, przyglądając się chłopakowi.

- Od razu powinienem był cię poznać. Znam cię od dawna.

Poczuł tę samą siłę, na którą się natknął nad rafą.

To było coś wodnistego, coś, co się narodziło w wodzie, podobnie jak cholera czy przywryca.

Holliwell niejedno już przeżył; widywał to wielokrotnie. W ławicach drżących ryb, na poletkach ryżowych, lśniące w rynsztokach. Było silniejsze od wszystkiego. A obnażone jeszcze bardziej przybierało na sile. Połykiwało w miliardach par oczu. Łatwiej było myśleć o rym jako o jakimś zboczeniu, wykwiecie natury. Ale tym razem stanął z tym twarzą w twarz. To była rzeczywistość.

- Co z tobą? - spytał Pablo.

- To chyba udar - odparł Holliwell. - Mam dreszcze.

Pablo wziął brezent, na którym leżał, i podał go Holliwellowi.

Zaczął rozpinać guziki koszuli.

- Chcesz włożyć na wierzch moją koszulę? Ja nie potrzebuję.

Mnie jest ciepło.

- Dzięki. Zatrzymaj ją.

Zachodzące słońce lśniło niczym złoto zanurzone w przejrzystej wodzie, rzucając na nich swe odbite promienie. Pablo siedział twarzą do niego.

- Ci zwykle ludzie - przemówił Pablo. - Co oni mnie obchodzą.

Są do niczego.

Na chwilę przymknął oczy i zaraz je otworzył.

- Nic mnie już nie powstrzyma, HoUiwell. Ja wiem już wszystko. Może i dziesięć milionów ludzi twierdzić, że już wszystko zrozumieci, ale tylko ja naprawdę to zrobiłem. Tak miało być. - Dobrze - odparł HoUiwell. - Dobrze.

- Musimy trzymać się razem, my dwaj. Ty mi powiesz, to co masz mi powiedzieć, ja to sprawię. A potem ja zrobię to samo dla ciebie.

Pochylił się i wziął HoUiwella za ramię-

- Kiedy uchwycisz moje, bracie, kiedy już znajdziesz się w samym środku, to świat jest fantastyczny.

Powiódł triumfującym wzrokiem po pustym morzu, niebie, fioletowych chmurach.

- Jest mięciutki, niewystawiony. Jest cudowny.

- Dobrze - powtórzył HoUiwell.

Nie widział już Pabla, mógł tam sobie siedzieć dowolnie wybrany człowiek. Serce zaczęło mu szybciej bić, pobudzane znanym, starym gniewem.

Jeśli dorwiemy kiedyś wszystkich tych nawiedzonych, tych ludzi o błyszczących oczach i zamkniętymi w jednym miejscu - pomyślał - może wreszcie przestaniemy mieć dość życia. Kiedy Pablo znowu opadł na legowisko i zasnął, HoUiwell obserwował nóż w pochwie tak samo jak kilka godzin temu

obserwował statek. Potem, nie odrywając wzroku od drgających powiek Pabla, sięgnął i najdelikatniej jak potrafił, podniósł gumowy kapturek przytrzymujący rękojeść i wyciągnął noz z jas-krawej, plastikowej pochwy. Ostrze zaśniło w blasku ostatnich promieni słońca. HoUiwell wetknął nóż za pasek na plecach. Po kilku minutach Pablo wstał. HoUiwell spodziewał się, że chłopak od razu dostrzeże brak noża, ale Pablo niczego nie zauważył. - Wiesz coś o poprzednich wcieleniach ludzi? - spytał HoUi-wella.

- Nie. ..

Coś w wyglądzie Holliwella zaniepokoiło Pabla. Zwęził oczy w szparki.

- Dobrze się czujesz, bracie?

- Miałem zły sen - odparł HoUiwell.

Zadrzał, ale nie z zimna, lecz z obawy i obrzydzenia. Roześmiał się.

- Ciągle mi się śni. Powtarza się raz za razem.

- Co to za sen? - Pablo podciągnął się do pozycji siedzącej. - W tym śnie - wyjaśnił HoUiwell - różnię

się od wszystkich. Na przykład jadę metrem i wszyscy są czarni, tylko nie ja. Zaraz przytrafi mi się coś naprawdę wrednego, ale nikogo to nie obchodzi. Wszyscy się śmieją, bo są inni niż ja. - Trząśł się cały, zaschło mu w ustach, serce tak mu dudniło, że bał się, czy to wytrzyma. - Albo jestem na statku.

Załoga składa się z Chiń-czyków, Malajczyków, Hindusów, kogokolwiek, byle by nie był taki jak ja. I

znowu to coś ma się stać. Nikogo to nie obchodzi. Śmiesz ich. Różnię się od nich.

Pablo potakiwał z szeroko otwartymi oczami.

- Tak, właśnie to - powiedział. - Doskonale to ująłeś.

- Naprawdę?

- Bo to jestem ja - ciągnął podniecony Pablo. - Właśnie coś takiego spotykało mnie przez całe życie.

- Tak to już bywa.

- Jestem Hiszpanem, rozumiesz? A przynajmniej moja matka była. Była... Sam nie wiem. Indianką z domieszką hiszpańskiej krwi. Dlatego nigdy nie byłem taki jak inni. I duchem też się od nich

różniłem. Właśnie dlatego oni wszyscy mną manipulują. - To okropne - wyraził współczucie

Holliwell.

- Nie ma nic okropniejszego niż to, kiedy ludzie tobą manipu-lują, bo się od nich różnisz. To boli.
To

tak człowieka wykrzywia. Tylko się wiruje, wiruje w ich rękach.

- Jest pewna opowieść o naturze ludzkiej - powiedział Holliwell. - Słyszysz się ją w najróżniejszych miejscach. Słyszało się kiedyś w Wietnamie. Zapewne opowiadają ją i w Tecanie. - Jestem wolny i otwarty - oznajmił Pablo, patrząc przed siebie na obrąbek fioletowej chmury. - Wolny, człowieku. - To opowieść o bawole i skorpionie. Na pewno ją słyszałeś. Pablo znowu skupił uwagę na Holliwellu i pokręcił głową, jakby myślał o czymś innym.

- Co to za opowieść?

Holliwell wsunął rękę za plecy, żeby dotknąć noża. Ramię mu się naprężyło. Głęboko zaczerpnął oddechu.

- Do bawoła stojącego nad brzegiem rzeki podchodzi skorpion. "Bardzo pana proszę", zwraca się do

bawoła, "czy nie zechciałby pan przenieść mnie na drugi brzeg?" "Nie ma mowy", odpowiada bawół.

"Ukąsisz mnie i utonę". Ale skorpion zaklina się, że tego nie zrobi. "Czemu miałbym to zrobić",

powiada, "skoro wtedy utonąłbym razem z panem?" I tak oto ruszają. W połowie drogi skorpion rani

bawoła. "Ty sukinsynu", mówi biedny bawół, "zabiłeś nas obu". Na to skorpion tonąc: "Taką mam

naturę". Pablo patrzył pustym wzrokiem i skinął głową.

- Rozumiesz, w czym rzecz, Pablo? Tak właśnie jest, prawda?

- Ale tak nie musi być - odparł Pablo.

Holliwell oblizał wyschłe wargi.

- Powiem ci coś, Pablo. Myślę, że właściwie masz rację. Sądzę, że mamy sobie nawzajem coś do ofiarowania.

- Święte słowa.

- Ale tego, co ty mi oferujesz, Pablo, ja nie mam zamiaru wziąć, rozumiesz? Bo w życiu dość się już tego nadostawałem, chłopcze. Tak że pozwól, że ja ci coś dam, póki jeszcze jesteś w nastroju, żeby się uczyć.

Pablo nie wiedział, co myśleć.

- Na przykład?

- Nazwij to - powiedział Holliwell - skróceniem nadziei.

Mocniej oparł nogi o ster.

Po chwili zobaczył ruch warg Pabla. Chłopak bezgłośnie powtórzył zdanie. Skrócenie nadziei.

Holliwell poderwał się do skoku, lewą rękę zacisnął na szyi Pabla, w prawej, zgiętej w łokciu, ścisnął nóż. W następnej sekundzie wbił nóż w ciało i poczuł, jak ostrze zatrzymuje się na opornej kości. Pchnął jeszcze mocniej i czubek noża ominął zebro i wszedł jeszcze głębiej. Holliwell nie przestawał pchać, póki czubek nie pokazał się na plecach. Kiedy ręka się rozluźniła, cofnął ją i wtedy napotkał spojrzenie Pabla. W jego oczach widać było zaskoczenie, ale i rozczarowanie, jednak przede wszystkim jakiś wyraz oczekiwania, jakby miało nadejść coś lepszego. Wyciągnął nóż z ciała, Pablo stęknął. Nic lepszego nie przyszło i nie przyjdzie. Holliwellowi zrobiło się żal.

- Przepraszam - powiedział.

Potem pięścią zdzielił Pabla w twarz, żeby nie widzieć tego przenikliwego, oskarżycielskiego wzroku i

napinając mięśnie, jednym długim ruchem wyrzucił ciało Pabla do ciemniejącej wody. Pablo jedną ręką próbował uchwycić się burty. Holliwell miał ochotę ją odepchnąć, ale nie potrafił się do tego zmusić. Stał nieruchomo, jak w szoku. Bez tchu przyglądał się, jak uniesiona głowa Pabla i chlapiące rozpaczliwie ramiona oddalają się od statku. Nawet jeśli pojawiła się krew, nie widział jej w zapadającym zmroku.

Ostatni promień słońca zabłysnął nad Pablem Taborem. Raz - tylko jeden raz - wyrzucił ramiona w górę, próbując rozciąć fale. Potem odrzucił głowę i z otwartymi ustami unosił się na wodzie.

Holliwell wbrew sobie patrzył na Pabla. Ze zdumieniem przekonał się, że przecież widział już kiedyś

taką twarz. To już nie było oblicze diabła, ale wykrzywiona z bólu, przestraszona twarz dziecka, na której mimo wszystko gościł cień oczekiwania. To była twarz brata, syna, jego własna. Twarz każdego człowieka, kolejnej ofiary niewiedzy i lęku.

Po prostu jeden z nas - pomyślał Holliwell. Wreszcie skumałem ten dowcip - powiedział do siebie. - Wszyscy jesteśmy jednym wielkim żartem. Jeden w drugiego. Taką mamy naturę. -1 w tej samej chwili pomyślał o May. - Co za nieszczęście, że mamy tylko siebie.

Łódź dryfowała dalej i Pablo zniknął. Niewielkie fale, zrodzone pod podmuchem lekkiego wiatru od brzegu, zaszyły maleńkie pęknięcie w szwie oceanu w miejscu jego pobytu.

Kiedy słońce wreszcie zniknęło, cienki strumień niskich chmur przesunął się na północ i zapłonął wszystkimi barwami czerwieni i złota. Holliwell, wiedziony pragnieniem ucieczki, uruchomił silnik; nastawił przepustnicę na maksymalną prędkość i sunął na wschód. Widząc świetliste, niewiarygodnie piękne chmury, zaczął recytować:

- Patrz, patrz - mówił na głos - gdzie strugi Jego krwi płoną na firmamencie. Wystarczy jedna kropla, aby mnie ocalić. W Wietnamie zdaniem tym bawił kompanię i stało się ono ich małym przesądem, formułką recytowaną o zachodzie słońca i w chwilach napięcia, nigdy jednak nie modlitwą. Teraz powtarzał ją raz po raz, póki słowa nie straciły znaczenia. Na koszuli miał krew. Zdjął ubranie i zaczął spierać plamy w słonej, morskiej wodzie. Wtedy zobaczył, że krew jest także na statku. Zmył ją słoną wodą, pomagając sobie spodniami Pabla, pompą zęzową, czerpakiem. Zapadł zmrok, a on nadal szukał śladów krwi; wyłączył silnik, wziął ze skrzynki latarkę i sprawdzał na całym pokładzie, czy gdzieś nie zostały plamy. Przy dziobie wypatrzył mały, błyszczący kamyczek. W świetle latarki wyglądało to na kryształ górski. Wyrzucił go do morza razem z poplamionymi spodniami Pabla.

Po półgodzinie zobaczył światła mijającego go statku. Holliwell tak długo wysyłał latarką sygnał SOS, aż w końcu zrozumiał, że nic z tego nie wyjdzie. Było mu bardzo zimno, czuł się fatalnie. Trząsł się nawet po wypiciu letniej wody z dzbanka. Położył się na brezentowej płachcie i próbował zasnąć.

W nocy stracił panowanie nad sytuacją. Słyszał muzykę, która miała jakiś związek z przemieszczaniem

się gwiazd nad głową, i dowcipy. W jednym z dowcipów rekin przepływał obok łodzi, szukając czegoś do przekąszenia.

- Co tam jest? - zwrócił się rekin do kolegi.
- Sami swoi - odparł tamten. Holliwell roześmiał się na głos.

Rozdział trzydziesty szósty

Nie żyje - powiadomił ojca Egan porucznik Campos.

- Twoja zakonnica nie żyje.

W pobliskim lesie orzechy ramon spadały z gałęzi, niczym nieustanny deszcz, szeleszczący o liście.

- Wiedziałem - odparł Egan.

Campos chwiejnym krokiem wkroczył na polanę, gdzie stały stele, padł na kolana i zażądał spowiedzi.

Mierzył do księdza ze swojego służbowego pistoletu. Przypominało to sakramentalne wymuszenie.

Nie udało mu się zwać do Miami, jak to zrobił prezydent, więc tutaj walczył o drabinę Jakubowa.

- Bóg, który przepada za sztuczkami, zakpił sobie ze mnie - oświadczył gorzko.

Campos miał na głowie zjadliwie żółtą czapkę z dwoma skrzyżowanymi kotwicami, mocno przybrudzoną nad daszkiem. Właś-nie tego rodzaju czapki stanowiły ulubione nakrycie głowy mod-nisiów z Alvarado. Biała koszula i spodnie były całe upačkane w czerwonym błocie. Jedyne, co pozostało z dawnego, oficjalnego Camposa, to ciemne okulary. Kiedy je zdjął, żeby otrzeć twarz, Egan zobaczył źrenice wielkości łebka od szpilki. Musiał prze-chwycić torbę z silnymi lekami Justin - pomyślał ksiądz. Porucznik przewrócił oczami.

- Czy takie coś jak ty... czy ty potrafisz zrozumieć? Tchórz i degenerat. Ja jestem mężczyzną, który zna swoją pozycję, a ty chcesz mnie ośmieszyć. Człowiek o wysokiej pozycji służbowej, odpowiedzialny za porządek. Nie jesteś godzien całować mnie w dupę, a tymczasem to ja klęczę przed tobą.

Egan był jak ogłuszony.

- A więc ją zabiłeś, tak?

- Zabiłem ją. Była dyletantką. - Prychnął pogardliwie i splunął na ziemię. - Ileż śmierci spowodowała. Setki? Tysiące? Ona sama nie zdawała sobie sprawy, jakim jest złem wcielonym. - Och, Campos - powiedział Egan.

- Wyspowiadaj mnie! - krzyknął Campos, wymachując bronią.

- To moje prawo.

Egan zrobił w powietrzu znak krzyża.

Ty, który kochasz sztuczki - modlił się w duchu. - Któryś stworzył Lewiatana, czemu każesz nam stawać twarzą w twarz w tymi okropieństwami? Któryś stworzył baranka? To Jego sposób na to, żeby nie słuchać - pomyślał ksiądz. - Kiedy trzeba mieć do czynienia z owieczkami, Jego nigdy nie ma w domu, wiecznie jest nieuchwytny. Wystarczy wyciągnąć rękę, a zostaje tylko przerażający dotyk ciała, nic pewniejszego ani delikatniejszego. Zadaj pytanie, a odpowiedzi będą zawoalowane, usłyszysz luźne słowa niczym majaki rozgorączkowanego umysłu. - Rozumiem, że była torturowana?

- My w Guardii nie żartujemy. To nie było przyjęcie urodzinowe. Egan pochylił się nad kamienną płytą, na której siedział, i oparł czoło na pięści.

- Po co się spowiadasz, Campos? Nie jestem twoim sędzią. - Dla spokoju sumienia - odparł z trudem Campos. - Widzisz, co się stało, klecho? Byłem, kim byłem, a teraz jestem biedniejszy od najbiedniejszego Murzyna. Moje życie jest zagrożone. Moja dusza też. Kościół istnieje dla ludzi takich jak ja.

- A, Kościół - powiedział Egan z uśmiechem. - Oczywiście.

- Przed śmiercią powiedziała: "Oto ja, służebnica Pańska".

Egan uniósł głowę.

- Naprawdę? Justin? Wielkie nieba. I co wy na to, hę? Carlos wyduł górną wargę, nad którą świecił wąsik, i wbił wzrok w ziemię.

- Tak powiedziała, naprawdę? Zatkłeś ją na śmierć, spraw-dziłeś po swojemu, jak bydlę, upewniłeś

się, a ona to powiedziała? Dobra dziewczyna. - Egan otarł oczy. - Ona była kimś wyjątkowym, ta młoda Justin. No i? - zwrócił się do Camposa. - Przypuszczam, że to cię rąbnięło, co?

- Rąbnięło - przyznał Campos. - Zmyliło mnie. I wtedy zrozumiałem, że Bóg sobie ze mnie zakpił.

- Może po prostu jesteś przesądny.

- Ja? - zawołał oburzony Campos. - To był znak od Boga!

- krzyknął. - Nie waż się zaprzeczać. Znak od Boga dla mnie!

- Znak czego?

- Nawet nie umiesz być księdzem, ty maricort Znak, że będę musiał błagać o przebaczenie.

- A, rozumiem.

Egan wpatrywał się bezmyślnie w fioletowe kwiaty, wyrastające z pnącza na jednej z piramid.

- Sądzę, że Justin by ci wybaczyła, gdyby mogła. Jej jest teraz dobrze. Ale ty masz dług do uregulowania.

- Przysięgam - zaklął się Campos.

- Jeśli chcesz, żeby Justin ci przebaczyła, musisz przestać mordować młode kobiety. One może i na to

zasłużyły, ale to rani ich rodziny. Ten dzieciak w twojej zamrażarce. Ona pewnie nie skończyła jeszcze dwudziestu lat, a to strasznie mało, żeby być zastraszoną i ginąć.

- To się zdarza wszędzie - bronił się Campos.

- Mimo to, poruczniku.

Campos przeżegnał się i żarliwie wpatrywał w bezchmurne niebo.

- Ale muszę mieć pociechę - powiedział, złożony przysięgę. - Jeśli chcesz pociechy i przebaczenia Justin, będziesz musiał przyjąć wizję. Czy będziesz umiał?

- Bez trudu. Już taki jestem.

- Musisz się skoncentrować najmocniej, jak potrafisz, i wyobrazić sobie świat, w którym cię nie ma.

Świat, w którym nie na najmniejszego śladu twojej obecności.

Campos znowu się przeżegnał i zamknął oczy.

- Chwileczkę - powiedział. - Nie rozumiem.

Patrzący na kwiaty Egan się zniecierpliwił.

- Och - westchnął.

Wydawało mu się, że jasno się wyraził.

- Muszę wiedzieć, że Bóg mi przebacza - upierał się Campos. - Przyszedłem, upokorzyłem się przed maricon przebranym za księdza. Teraz wszystko leży w Jego rękach.

- Campos, Boga nie obchodzi, co ty robisz.

- Nie obchodzi?

- Oczywiście, że nie. A dlaczego by miało go obchodzić? - Nie mów mi, że Boga nie obchodzi, co ja robię - mówił Campos oburzony. - Musi. Musi, albo... miłosierdzie nie istnieje. Egan spojrzał na porucznika i uśmiechnął się do niego. - Miłosierdzie nie istnieje. Przynajmniej nie to, o którym ty mówisz. Nie tutaj. Nie możemy go rozdawać ani otrzymywać. Na tym poziomie ono po prostu jest nieosiągalne.

- Ale ja w nie wierzę. Wierzę w miłosierdzie.

- Ktoś tak doświadczony jak ty powinien mieć więcej rozumu.

- W takim razie, co to jest?

- Och. - Egan wzruszył ramionami. - Przecież wiesz, Campos, prawda? Ułamki chwili. Przebłyski.

Małe podniesienie na duchu, hę? Takie łaciate.

Łaciate - pomyślał, spoglądając na plątaninę powoju i kwiatów.

- Dobrze.

-Ale miłosierdzie w tamtym znaczeniu? O, nie, nie sądzę.

Człowiek radzi sobie, jak może.

Campos wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami i poderwał się na nogi.

- Klęczę przed szatanem - powiedział.

Przeszył go dreszcz. Ciężko dysząc, cofnął się od kamienia, na którym siedział Egan, i wymierzył w Egana. Z gardła dobył mu się zduszony chichot. Nacisnął spust. Broń szczęknęła beznamiętnie.

Pociągnął za spust jeszcze raz. Z tym samym rezultatem. - Matko Boska, nie mam naboju. - Opuścił broń i przeszukał kieszenie koszuli. - Jestem bezbronny - oznajmił Eganowi przeprasającym tonem. - Nie mam więcej naboju.

- Cóż - odparł Egan. - Ja też nie.

Campos schował pistolet za pasek i desperacko rozglądał się wokoło.

- Spójrz! - zawołał zduszonym szeptem. - Tam ktoś jest! Egan obejrzał się za siebie. Kilkaset metrów

dalej, u podstawy nie zbadanej piramidy, kopali dwaj mężczyźni. W rękach mieli łopaty i kilofy.

Przyjechali zaraz po walce, nim zdążyły uciwnąć strzały, i zaczęli kopać wokół zarośniętej piramidy

rów. Przyświecał im tylko jeden cel. Od czasu do czasu któryś wyskakiwał na usypany zwal

czerwonej ziemi i wrzucał do leżącego na podorędziu worka po mące jakiś dzbanek czy fragment

biżuterii. Początkowo traktowali Egana z wrogością, grozili mu. Teraz przestali zwracać na niego

uwagę. Jeszcze nie zauważyli Camposa. Obaj mieli pistolety u pasów.

- To huaqueros - wyjaśnił Egan porucznikowi. - Rabusie.

- Aha - powiedział Campos.

Wolno zaczął się wycofywać w kierunku, z którego przyszedł. Oczy utkwione w pracujących

huaqueros przesłaniała mgiełka gniewu i pożądliwości. Egan patrzył, jak porucznik rejteruje. Kiedy

huaqueros go zauważyli, był już na granicy lasu. Mężczyźni na moment znieruchomieli z rękami na

bronii. Potem jeden złapał wypełniony do połowy wór i czmychnęli z polany.

Kiedy zniknęli, ksiądz znowu skupił uwagę na kwiatkach oplatających starożytne płyty. W dniach poprzedzających walkę kwiaty dopiero wychylały się z pąków i rozkwitały niemal na jego oczach.

Wydzielały ciężki, słodkawy zapach, który niczym tajemnica spowijał polanę i las.

Tamtej nocy, kiedy Guardia zaatakowała tereny spółki, widział z oddali błyskanie kul. Justin też tam była i została schwytana. Potem, następnego dnia, jeszcze trochę strzelali, a kiedy i to umilkło, w

duszy Egana zabrzmiał motyw z trzeciego trio Schuberta i tak pozostało. Nie pamiętał, gdzie pierwszy raz je usłyszał, dawno temu, w zupełnie innym miejscu. To był drobiazg, prosta melodia, ale poszczególne nuty zostały tak cudownie połączone, że słuchanie ich stanowiło prawdziwą rozkosz, nie kończącą się przyjemność. Egan zastanawiał się, co przynosiło taką radość. - Ani jednej nudnej chwili - powiedział do siebie.

To prawda. Jego chwile nigdy nie były nudne, bo nauczył się zajmować je jedna po drugiej. Zawsze coś się działo i spędzał wiele godzin bez picia. Ale choć tak wiele szczęśliwych godzin przeżył, nic go nie uodporniło na smutek. To nie ta sama nękająca zgryzota serca, która przedtem zatruwała mu życie, ale i tak go ogarniał i musiał go znosić. Teraz potrafił go zanalizować. Znękanym zastanawiał się nad coraz szybciej postępującym rozkładem jego ciała i towarzyszącymi mu objawami. Nie poznawał własnej twarzy w lustrze. Ręce nieustannie mu się trzęsły, palce były zdrętwiałe, serce trzepotało nierówno. Wszystkie ćwieki puszczały. Ta nieustanna zawodność życia przynosiła właściwie pewną pociechę. Przypominała mu, że niezależnie od tego jak zrozpaczony i samotny człowiek się czuje, świat sam się o siebie troszczy, póki krąg się nie zamknie.

On został powołany do czujności i choć czujność przynosiła czasem radość, niełatwo było patrzeć, jak świat nadal się mami i krąży po polu bitewnym dawno przegranej wojny. Trzeba było zamknąć serce przed litością - jeśli się potrafiło. Prawda to coś wspaniałego, ale musi być nagrodą samą w sobie.

Wiele godzin potem z mroku zaczęły się wyłaniać zarysy świata i Holliwella najpierw ogarnęła ulga, ale wkrótce uświadomił sobie, że ma się czego obawiać. Z lękiem spoglądał na wschód, wiedząc, że tam wszędzie słońce. Bał się słońca.

Kiedy z morza wynurzył się pierwszy srebrzysty, palący promień, Holliwell wiedział, że ujrzy oko świata i ta świadomość sprawiła, że zadrzał jeszcze mocniej niż w ciągu tej długiej nocy. Odwrócił się do niego plecami.

W samym środku wschodzącego słońca będzie na niego czekało - oko tego wszystkiego. Tak,

niebieskie. Niewiarygodnie przejrzyste. Otwarte wejrzenie. Stanie znieruchomiały przed tym okiem i każda komórka jego jestestwa wyrwie się ku poznaniu siebie. On, Holliwell, był tym wszystkim. Nie ma nic lepszego. Nieobecność zła napełniała go niewyobrażalnym strachem. I wtedy z nieba, nagle tak samo niebieskiego jak oko świata, ciężko łopocząc skrzydłami zjawił się pelikan z czerwoną plamką krwi na piersi. Głowa Holliwella sama się odwróciła, by śledzić lot ptaka, ale nie odważył się całkiem obrócić, by stanąć twarzą w twarz ze słońcem.

Nieco później nadleciał żółty ptaszek, drobinka, i przysiadł na burcie statku. Podskoczył kilka razy, zaledwie o parę centymetrów od twarzy Holliwella, i mrugnął do niego ślepkim wielkości nasienia kwiatu. W maleńkim oczku błysnęło słabe odbicie oka świata. Tak, w rym mogę mu stawić czoło - pomyślał Holliwell. - To przecież tylko mały, żółty ptaszek.

Trzymając spieczone plecy nadal obrócone ku wschodowi, obejrzał się z ukosa i ze zdumieniem zobaczył niedaleko wyspę. Widać było piaszczyste wydmy, nad nimi niskie wzgórza porośnięte zielonymi i żółtymi pnączami, i kaktusy, i palmy. Palmy kokosowe. Fale marszczyły się lekko, biegnąc ku brzegowi, ten sam nurt unosił Holliwella. Wyrzał za burtę i zobaczył wierzchołki raf koralowych zaledwie parę stóp od dna łodzi. To wyspa, obiecana przez Pabla.

Wyciągnął rękę i macał, szukając dzbanka z wodą. Nadal bał się zobaczyć słońce. Kiedy już wypił i odstawił dzbanek, zaskoczył go kolejny widok.

Jakieś sto metrów od niego na wodzie kołysała się łódź, niewiele większa od jego, ale z większą przednią nadbudówką i dwoma fotelami wędkarskimi na pokładzie. Między siedzeniami a daszkiem stało troje ludzi. Przyglądali mu się bez słowa, nieruchomo. Ster trzymał Murzyn w błękitnej kapitańskiej czapce. Obok niego stał biały Amerykanin w średnim wieku - bardzo wysoki, łysiejący mężczyzna w druciakach i białej koszuli z długimi rękawami. Turysta. Gość na wyspie, który wybrał się na połów. Trzecią osobą było dziecko, jedenasto-, dwunastoletni chłopczyk. W jednej ręce ścisnął czerwoną puszkę Coca-Coli, w drugiej długą wędkę. Wpatrywał się w Holliwella i w jego wzroku malowało się coś więcej niż zaskoczenie, tak się patrzy na coś, czego nigdy się nie widziało ani

spodziewało zobaczyć. Słońce padało chłopcu na twarz. Jego oko odbijało się w oku chłopca.

Sztuczka - pomyślał Holliwell. Załamany wreszcie obrócił się ku słońcu. Było tylko świecąca, oślepiającą gwiazdą. Holliwell zaczął się śmiać, póki nie rozboleły go szczęki. Zaciśnął mocno zęby.

- Hej-ho! - zawołał przez wodę.

Sternik trzymał łódź z dala od łodzi Holliwella, jakby się obawiał, że nieznajmomy może ich zaatakować.

- To tylko my, dziecińo - odezwał się Holliwell.

Zajrzał w przestraszone oczy dziecka i zobaczył w nich odbicie. Wszystko. Patrzymy na siebie.

Rzeczy patrz na siebie. To równie niewinne jak światło dnia.

Jakie dobre słowo mogę im powiedzieć? - dumął.

- Amerykanin! - zawołał.

To chyba powinno wystarczyć.

- Ej, bracie - pytanie skierował do ojca chłopca - a znasz ten kawał o trzech małpach?

Ale tylko coś bełkotał.

A znasz ten o Demiurgu i skróceniu nadziei?

Trójka podróżnych nadal się w niego wpatrywała.

Oko, którym patrzysz - mówił im - jest tym samym, które na ciebie spogląda.

Nie opowiem też im historyjek o morderstwach - postanowił.

- To już innego dnia.

- Cieszę się, że widzę was w dobrym zdrowiu - zawołał Holliwell.

- Potrzebuję tu pomocy.

Sternik przełączył silnik i ruszył! do tyłu. Mała łódka wykonała zgrabny zwrot. Holliwell próbował się podnieść, ale słońce przy-gwoździło go do pokładu.

- Dlaczego on tak na mnie patrzy? - spytał Holliwell. Jakbym miał być czymś innym. No, bo nie powiecie, że nie próbowałem.

Ona ma swój wschód słońca - pomyślał - a ja swój. Holliwelł zrozumiał, że znalazł się w domu; nie musiał się obawiać słońca.

Bowiem nie ma czego się obawiać - pomyślał sobie - człowiek, który pojął historię.

KONIEC